Jack-Alain Léger

Urodzony w roku 1947 francuski pisarz, muzyk, tłumacz, charyzmatyczny autor międzynarodowego bestselleru *Monńgnore* (1976, wyd. pol. 1988), opublikował ponad trzydzieści książek — w ostatnich latach również pod pseudonimem Paul Smali. Jest miłośnikiem rocka i opery, tłumaczem na francuski niektórych utworów Tolkiena i Dylatta.

Jack-Alain Lèger

Godzina Tygrysa

Dla Jeana Raphoza,
który nauczył mnie odwagi.
Pamięci Anny Hoang,
bez której nie mógłbym
tego napisać.

„Kiedy wreszcie zorza rozbłyska
w mrokach najczarniejszej nocy,
kiedy dziki zwierz
budzi się, by iść do wodopoju, a poniżeni ludzie wstają,
by zaspokoić żądzę zemsty —
ta pora zwie się GODZINĄ TYGRYSA..."

Wah-Han.

„Trzecia godzina nocy wybiła, GODZINA TYGRYSA, i wstałem i przeciągnąłem się niby okrutny tygrys, który wstaje i przeciąga się i ryczy w odległym lesie. Wiedziałem, że dla mnie wybiła godzina odwetu; a dla niegodziwych godzina skruchy..."

Anonim (Hu Kui?)

„Nie drzyj, serce moje! Duszo moja,
nie lękaj się! Trzeba uzbroić się w cierpliwość
i zawziętość — wkrótce nadejdzie GODZINA TYGRYSA..."

Huo-Mai J'En

PROLOG

— Nigdy go nie zapomnę. Nie potrafię. On był życiem, rozumiesz? Samym życiem.

— Faye, proszę cię, chyba nie zaczniesz znowu...

— Nie, posłuchaj!

— Faye!

— On był życiem, a ja nie żyję. Nie żyję od dnia, kiedy...

— To tylko słowa! Słowa. Słowa. Faye, jak zwykle nie chcesz stawić czoła rzeczywistości. Wolisz żyć w swoich snach, marzeniach, w ciasnych marzeniach dziewczynki, która czeka na swojego księcia z bajki. Ale książę z bajki nie przyjdzie, a ty niedługo skończysz trzydzieści lat...

— Owszem. A ty sześćdziesiąt...

— Jesteś bezczelna, Faye! I złośliwa. W tym także przypominasz małą dziewczynkę, małą jędzę, która zasługuje na lanie... Tylko że powiem coś, co cię zrani: prawda jest taka, że to już prawie siedem lat, jak on nie żyje! Abel umarł, słyszysz, Faye? Abel umarł, więcej go nie zobaczysz! Abel umarł... A ty powinnaś teraz nauczyć się żyć. Nie jesteś już dzieckiem. Więc błagam, spróbuj choć raz mówić mi tylko i wyłącznie o sobie. Nie o nim. On mnie w ogóle nie obchodzi.

— Czy nie po to tu jestem, żeby mówić o wszystkim, co mi przychodzi do głowy? Czy nie tłumaczyłaś mi na początku tej parszywej analizy, która chyba nigdy się skończy... czy nie tłumaczyłaś mi, że wszystko ma znaczenie?

— Owszem, ale jeśli chodzi o to wspomnienie, do którego ciągle wracasz... Ta obsesja...

— A czy nie tłumaczyłaś mi też, że nawet powtarzanie się również ma ukryte znaczenie?

— Tak. Ale próbuję ci pomóc, chciałabym widzieć jakieś postępy. A ty jesteś w tej chwili w pełni regresu i bardzo ci to odpowiada. Z upodobaniem grzebiesz się w swoim nieszczęściu, w swoim cierpieniu. Nigdy nie masz tego dosyć. Toteż wiecznie wracasz do tej samej opowieści, którą znam już na pamięć: wszedł do pokoju...

— Do pokoju, gdzie umierał mój ojciec...

— Faye, ze sto razy opowiadałaś mi tę historię!

— I ze sto razy płaciłam ci czterdzieści pięć dolarów, żebyś przez krótkie dwadzieścia minut słuchała, jak ci ją opowiadam. Możesz jej więc wysłuchać po raz sto pierwszy... Dlatego że przynosi mi to ulgę i dlatego że na zakończenie tego cholernego seansu zapłacę ci jak zawsze...

— Nie bądź trywialna, moja droga! Nie w tym problem...

— Nie, dla was, psychoanalityków, problem nigdy nie jest w tym. Tylko kiedy chodzi o honorarium...

— Och, Faye, kochanie!

— Nie jestem twoim kochaniem! Jestem twoją pacjentką, pani doktor. I czy ci się to podoba, czy nie, opowiem ci tę moją historyjkę za czterdzieści pięć dolarów.

— No dobrze, mów! Jeśli ci to służy, opowiadaj! Czemu milczysz, Faye? Faye, chyba nie będziesz płakać? Faye, maleńka...

— Nie, nie będę płakać. Będę silna. Taka jak on...

— Faye... może faktycznie dotykamy tu czegoś istotnego. Opowiedz mi o nim, Faye. Opowiedz mi o nim jeszcze raz. Powiedz, kim był Abel.

W gabinecie zapadło milczenie. Doktor Levine zgasiła lampkę na biurku: półmrok bardziej sprzyja zwierzeniom. Faye wyciągnęła nogi, obrzuciła niepewnym spojrzeniem otaczające ją wnętrze wyłożone ciemną boazerią, wnętrze tak dobrze jej znane, ale teraz, gdy było pogrążone w półmroku, jakby trochę nierzeczywiste. Tak samo jak mało rzeczywisty był ten ciągnący się w nieskończoność dwudziestominutowy sens i to „cholerne" popołudnie, które będzie musiała potem przetrzymać, pomyślała, i ten „cholerny" wieczór, który tak

szybko nadejdzie: pusty, bez końca, nieokreślony... Całe to życie, „cholerne" życie, które zostało jej do przeżycia.

Abel za to był rzeczywisty —w to nigdy nie wątpiła, było to nawet jedyne, w co nigdy nie wątpiła. Abel nie był marzeniem, jak ta doktor Levin usiłowała jej wmówić, nie był snem... Rozjaśnił na krótko jej tak trudne do udźwignięcia, tak uciążliwe życie. Ale teraz Abel nie żyje. Nie żyje! Z jakimż okrucieństwem doktor Le\dn przypominała jej o tym. „Tłusta krowa!"—pomyślała Faye. — „Za dużą przyjemność by jej sprawiło, gdyby zobaczyła, że płaczę..."

Nie, Faye nie będzie płakać. Nie dzisiaj. Obiecała to sobie. Sobie i Ablowi. Pamięci o nim...

Zapaliła cygaretkę, zaciągnęła się głęboko i metodycznie zgasiła ją na brzegu popielniczki, po czym cichym głosem podjęła opowieść o tym spotkaniu, którą doktor Levin tyle już razy słyszała z jej ust:

— Wszedł do tego pokoju... Wszedł w półmrok pokoju, gdzie umierał mój ojciec... Staliśmy przy jego łóżku, moja matka, brat i ja... Wszyscy troje ubrani już na czarno... Tak, na czarno. Co za brak taktu, prawda? Przy łożu chorego na czarno! Chciałam wcześniej zwrócić na to mamie uwagę, ale nie miałam odwagi... Nie śmiałam... nigdy nie śmiem mówić przy niej na głos, wiesz o tym... Więc ubrałam się tak, jak mi kazała... Powiedziała, że tak jest stosowniej! A Abel... Ha, pamiętam, jakby to było wczoraj: miał na sobie białą bawełnianą koszulkę, na nogach tenisówki i trochę wytarte dżinsy... ale tak w sam raz... To znaczy bez jakiejś ostentacji. Nic z niechlujnego stylu bitników... Nie, nie wyczuwało się w nim żadnej chęci prowokacji: był, jaki był, a na resztę gwizdał... Nie odgrywał żadnej komedyjki. I nigdy też nie zrobił na mnie wrażenia, że czuje się nie na miejscu, skrępowany... A przecież to była niesamowita rola! Ktokolwiek inny czułby się z pewnością zażenowany... A on po prostu nie potrafił być inny, niż był... On był... był rzeczywisty. Właśnie tak. Nie znajduję innego słowa. Był pierwszą osobą rzeczywistą, którą spotkałam w tym przeklętym bagnie, jakim od urodzenia jest moje życie... Wyglądał prawdziwie. Chcę powiedzieć, że był i to wystarczało, rozumiesz? Całą noc spędził w podróży, nie przebrał się ani

nie ogolił, a jednak kiedy kamerdyner mojego ojca, ta stara ciota Geoffrey w białych rękawiczkach, kłaniający się w pas i z tym swoim niewiarygodnym angielskim akcentem... no więc kiedy Geoffrey otworzył mu drzwi i Abel wszedł między te wszystkie „ludwiki piętnaste" ze złoceniami, między starożytności, jakie się ogląda tylko w muzeach... hmm, jak by ci to powiedzieć? Wtedy właśnie my z naszymi dobrymi manierami i smutnymi minami w tych luksusowych żałobnych łachach poczuliśmy się intruzami! I na pewno nie ja jedna tak pomyślałam: moja podła matka zgromiła go spojrzeniem, jakby go przyłapała na podkradaniu sreber! A Jeremy podskoczył, zupełnie jakby usiadł na gwoździu... Śmiertelna cisza: słychać było tylko syk tlenu i ciężki oddech mojego ojca... Abel wcale nie próbował przybrać takiej okolicznościowo zasmuconej miny, w jaką się przystraja twarz wchodząc do pokoju człowieka umierającego. Nie był ani smutny, ani sztucznie wesoły, może ciut wzruszony. Skinął nam głową na powitanie, tak zwyczajnie, bez słowa, i zaraz podszedł do mojego... do swojego ojca. Nie popatrzył na niego ukradkiem tak jak my od trzech dni, odkąd byliśmy tam, u jego wezgłowia. Nie. Abel miał takie proste, szczere spojrzenie... I równocześnie szczyptę zdziwienia w oczach. Albo zmęczenia podróżą, sama nie wiem. Stał wyprostowany w nogach łóżka i biło od niego wielkie wrażenie siły, wrażenie rzetelności, spokoju... Był piękny. Nie było to takie piękno jak u ludzi, na których popatrzysz i od razu widzisz, że są piękni... To było jakieś piękno wewnętrzne... I odkrywało sieje powolutku... Zaczęłam mu się przyglądać: było to bardzo niegrzeczne, wiedziałam, ale miałam to gdzieś. Byłam zaintrygowana. Nie wiedziałam jeszcze, kim jest i dlaczego się tam znalazł. W każdym razie mówiłam sobie: oto ktoś, kto się czuje idealnie w swojej skórze... A jednocześnie było w nim coś takiego kruchego, niedokończonego, dziecięcego jeszcze... Miał dopiero dwadzieścia cztery lata! i tchnął radością życia i zdrowiem: mocno opalony, o spierzchniętych wargach, na których zostały resztki białej maści, z taką śmieszną jasną obwódką dokoła oczu, zostawioną przez okulary wysokogórskie... Wiesz, jakie? Okrągłe, osadzone w skórzanej oprawie... Dodawało to czegoś... jak by to powiedzieć? czegoś błazeń-

skiego do jego uroku. Było to... rozczulające! Tak samo jak dołeczki w jego policzkach... I jak jasny puszek, który właściwie nie był zarostem... I jak ten przedni ukruszony ząb — myślę, że ukruszył go sobie przy upadku rok wcześniej. I jeszcze to, co mnie z miejsca oczarowało: jego krok, bardzo sprężysty, swobodny... Wrodzona elegancja ruchów... Ale sądzę, że na to miało też pewien wpływ uprawianie alpinizmu... Podobnie jak taniec, alpinizm nadaje człowiekowi jakąś swobodę ruchów... Abel kojarzył mi się z kotem. Tak, z pięknym kotem: uderzyło mnie to, kiedy zobaczyłam, jak podchodzi do wezgłowia łóżka... Kiedy zrobił to, o czym żadne z nas dotąd nie pomyślało: wziął rękę taty i łagodnie powiedział: „Widzisz, jestem!" To nie było oczywiście nic takiego, po prostu drobny dowód uczucia, ale byłam wstrząśnięta. Jak gdyby te słowa do mnie zostały skierowane: „Widzisz, jestem!" Już go w tamtej chwili kochałam! Kochałam... Wtedy zauważył, że go obserwuję, i znów zrobił coś równie niesłychanego: uśmiechnął się do mnie... Możesz to sobie wyobrazić? Uśmiechnął się do mnie i uczynił taki lekki serdeczny gest. Gest porozumienia... „Widzisz, jestem!" Nie musieliśmy sobie nic mówić: zrozumieliśmy się... A potem, hm, potem... tak, od tamtej chwili miałam uczucie, że będzie jak w tej piosence, wiesz? Ze cień jego uśmiechu będzie mnie prześladował w snach... I te proste słowa: „Widzisz, jestem!" — Nie, nie! On nie umarł! Nie mogę uwierzyć, że... Nie chcę myśleć, że on umarł. To nie ma sensu, wiem, ale czasami mówię sobie: on żyje! Śni mi się po nocach!... Tak! on żyje! Abel! Abel!... I zrywam się ze snu. I krzyczę jego imię na cały głos! Widzę go! Jest tam! Och, Abel! Abel!... Powtarzam jego imię ciszej. Abel, Abel... Szepczę jego imię: Abel... I płaczę...

Część pierwsza

. GODZINA KOTA

Szedł w wątłym niebieskawym świetle brzasku dnia wschodzącego nad lodowcem. Szedł równym krokiem, nie patrząc pod nogi, po oślepiającym zboczu, które skrzypiało pod jego butami zaopatrzonymi w ostre raki. Szedł, wbijając niekiedy czekan, zapomniawszy o najbardziej elementarnych środkach ostrożności, jakich należy przestrzegać, gdy idzie się po lodowcu. Szedł pogrążony w myślach, we wspomnieniach, a przed nim, wyraźnie odcinający się na ciemnym jeszcze na północy niebie, rysował się szczyt z czerwonego granitu, straszliwa Aiguille du Fou.

Nagle stracił równowagę.

— Och! Czyżbyś chciał, żeby twój stary Jacques zleciał?

Nieco rozwlekły akcent sabaudzki i ton zarazem gderliwy i serdeczny, tak dobrze mu znane, przywołały go natychmiast do rzeczywistości. A rzeczywistość była taka, że omal nie upadł i nie ześliznął się do wąskiej sinawej rozpadliny, otwierającej się o kilka kroków dalej.

Odwrócił się i uśmiechnął dość żałośnie, jak zbesztane dziecko proszące, by mu "wybaczono nieotttożaois. 3a.cquc& Servoz, jego przewodnik, jego przyjaciel, którego poprzedzał, odkąd opuścili biwak, dogonił go, zwijając linę w równe zwoje.

— To nic, Abel, dzisiaj ja sam jestem padnięty! No, puść mnie na prowadzenie, a ty się pozbieraj.

— Wybacz. Nie myślę o tym, co robię.

— Widzę. Stale myślisz o Johannie, nie sądź, że tego nie pojąłem! Tyle że to ani czas, ani miejsce po temu. Jeśli

chcesz zawrócić, powiedz od razu... Wiesz, że nie będę miał ci za złe.

— Zgłupiałeś? Zawrócić! Jeszcze czego!

— Świetnie. Idziemy dalej. Ale musisz w takim razie wybrać: ona albo wspinaczka. Nie możesz myśleć równocześnie o jednym i drugim...

— Och, cicho już, błagam! — żartobliwie powiedział Abel. —Wyobraź sobie, że dokładnie to samo mi powiedziała przy rozstaniu: „Ha, w tym roku musisz wybrać: albo j|, albo góry!"

— I co odpowiedziałeś?

— Nic. Zanuciłem tylko tę piosenkę z nowego albumu Dylana: *Most likely you go your way and VII go minę...*

— To znaczy?

— „Najpewniej ty pójdziesz swoją drogą, a ja pójdę swoją..." Przez cały ten czas, jak byliśmy z Johanną tazem, zawsze mieliśmy jakąś piosenkę Dylana. Na każdą okoliczność życia... Zaczęło się od *One Too Many Mornirtg,* kiedyśmy się poznali. Potem była *Love Minus Zero No Limit,* którą nazwaliśmy hymnem naszej miłości. O raa|t Tyle razy puszczaliśmy ją tam i z powrotem! Płyta j|tt bardziej zdarta niż stary singiel... Zdarzyło nam się nawet słuchać jej stojąc na baczność, jak dwoje kretynów! Ale zawsze przebiegał nas taki sam dreszcz przy słowach: „Kochanie, milcząco do mnie mów..." A przecież Johanna wcale nie mówi milcząco, to znaczy rzadko. A jak wpadnie w nerwy...! Pamiętam, raz podeptała nowy album, który jej podarowałem na urodziny... Aż się pochorowałem z tego! I jak ostatni debil mogłem tylko powtarzać: och, nie! nowy Dylan! nowy Dylan!

No i właśnie nowego Dylana, *Blonde on Blonde,* kupiłem jej tego dnia, kiedyśmy postanowili rozstać się na lato. Jest tam genialny blues zatytułowany *Yisions of Johanna...*

* *
*

Na samym początku dziejów ich miłości, w czerwcu roku 1964, rzeczywiście była piosenka *One Too Many Morning,* ale ich historia zaczęła się kilka godzin wcześniej, gdy jeszcze

żadnemu przez myśl nawet nie przeszło, że się pokochają — wręcz przeciwnie.

Nad Paryżem rozpętała się burza i wielkie krople deszczu rozbijały się o parujący asfalt. Przy wjeździe na Autostradę Południa samotny chłopak z uniesionym kciukiem dusił się od dobrych dwudziestu minut w nieprzemakalnej pelerynie khaki i zaczynał już tracić nadzieję, że jakiś samochód osobowy czy ciężarowy zatrzyma się przy nim. Przyjechał z Kalifornii — było to wypisane fluorescencyjnymi literami na jego ciężkim plecaku, w poprzek którego przytroczone miał starannie ułożone czekan, buty lodowcowe i kilka zwojów liny. Jechał do Chamonix — takie przynajmniej widniało na kawałku kartonu życzenie wykaligrafowane grubym mazakiem, zaczynającym się rozmywać w deszczu. Za każdym razem gdy jakiś pojazd stawał na czerwonym świetle, Abel przez opuszczoną do połowy szybę prosił i tłumaczył, wyjaśniając w niepewnej francuszczyźnie, „że jest studentem i że chce się spiąć na Mont Blanc". Nadaremno: kiedy zapalało się zielone światło, doskonale obojętni kierowcy ruszali jak błyskawica, a spod kół tryskały strugi wody, lejąc mu się nawet pod pelerynę — „cholera!" Pot i deszcz: był przemoczony do suchej nitki i klął w duchu tych drańskich skurwieli Francuzów...

A przecież rankiem tego samego dnia, kiedy wylądował na Orły, szalał ze szczęścia. Był w Paryżu! Był we Francji! W kraju Rimbauda i Prousta! W kraju, gdzie są Grandes Jorasses i Aiguille du Midi! W kraju swojej Ma, swojej kochanej staruszki Madeleinel... W „drugiej ojczyźnie każdego, kto miłuje wolność i poezję", jak mu dość pompatycznie napisał stary Ford, jego profesor literatury porównawczej, kiedy go powiadomił o swoich planach! O wyjeździe do Francji...

Był we Francji. I w oczach miał łzy. Chciało mu się rzucać na szyję wszystkim ludziom mijanym na schodach prowadzących do sali odbioru bagażu, ściskać ich, mówić im, że ich kocha. Podśpiewywał, podskakiwał na śliskim marmurze holu, oszołomiony zmęczeniem podróżą i różnicą czasu. I w ogóle się nie oburzył na ograniczonego tłustego celnika, który kazał mu opróżnić plecak do samego dna i skrupulatnie przez dobry kwadrans oglądał cały jego ekwipunek

wysokogórski, hak po haku, karabinek po karabinku, po czym stwierdził, że nic z tego chyba nie powinno służyć „szprycowaniu się haszyszem"!

Wyglądało na to, że amerykańscy studenci, jeszcze nie tak nagminnie palący choćby zwykłą „trawkę", zaczynają mieć złą reputację w oczach władz francuskich. Abel do nich należał i ignorancja celnika po prostu ubawiła go do tez...

Śmiał się z tego jeszcze łażąc po ulicach Paryża, który zostawiał sobie na dokładniejsze zwiedzanie, w dwa albo trzy dni, w drodze powrotnej...

Notre-Dame, Luwr, Plac Zgody — i o czwartej po południu ustawił się przy wjeździe na autostradę. Obliczył, że przyjdzie mu jechać przez całą noc. Nazajutrz koło południa, może ciut wcześniej, znajdzie się w Chamonix.

Minęła jednak godzina, potem druga... Później ruszyła falanga mieszkańców podparyskich miejscowości, „tych mend, które nigdy nie jadą dalej jak do swojej zasranej podparyskiej dziury!"... I deszcz zaczął lać mocniej. I teraz Ablowi było już chłodno. I głodno. I senno. I w napadzie zniechęcenia jął liczyć w myśli, czy wystarczyłoby mu pieniędzy na pociąg, gdyby oszczędził później na reszcie. Ale rezygnowanie z czegoś nie było w jego stylu. Czy zrezygnowałby, gdyby się znalazł w tarapatach na Aiguilles Rouges albo na Dent du Gevant? Czy zrezygnował na Sentinel Rock, kiedy pękła mu lina? Nie! postanowił wspinać się dalej bez zabezpieczenia... W nadziei zatem, ze rozczuli kierowców ciężarówek, zaczął deklamować wiersze Rimbauda i całe stronice Prousta, których nauczył się na pamięć. Ale kierowców ani trochę to nie rozczuliło. Brali go po prostu za wariata i dawali mu to do zrozumienia pukając się w czoło albo naciskając klakson. Jeśli wymownym gestem nie zginali ręki w łokciu!

— Cholera! Jasna cholera!

A potem tęcza, jaką widuje się tylko na dziecięcych rysunkach, zabarwiła ołowiane niebo, burza przeszła i zjawiły się te dwie dziewczyny. Piękność w kompanii brzyduli. I Abel pomyślał: zawsze tak właśnie jest z autostopowiczkami! Nigdy nie widać, żeby dwie ładne razem podróżowały.

Szpetota ma pewnie za zadanie pilnować tę drugą i wołać pomocy, jak tylko szofer ciężarówki traci głowę... Ta jednak była szczególnie piękna: długie włosy tak czarne, aż połyskujące niebiesko, wielkie jasnoszare oczy, dwuznaczny, enigmatyczny uśmieszek... I poczwara, która ją nadzorowała: tłusta i pryszczata, aż strach brał! Amerykanki bez najmniejszej wątpliwości. Poczwara trzymała zresztą pod pachą nieodzowny *Europę on 5 dollars a day,* parszywy przewodnik napisany przez facetów, którzy chyba nigdy nie wyprowadzali się z apartamentu za 300 dolarów doba w „Carlyle": no bo czy, nie grzebiąc w śmietnikach i nie rozkładając śpiwora pod mostem, można jadać trzy razy dziennie i nocować pod dachem za jedyne 5 dolarów? Próbowałyście kiedy?

To właśnie Abel z mety im powiedział, żeby je rozśmieszyć. Ale roześmiała się tylko piękność. Brzydula zmierzyła go wzrokiem z nieskrywaną wzgardą i Abel na własny użytek od razu przezwał ją „Dupiata". Dupiata wierzyła we wszystko, co wydrukowane. I jeśli napisano, że w Paryżu można zjeść za 5 franków w uroczym bistrze, gdzie szefowa w czasie deseru przygrywa klientowi melodyjkę na akordeonie, znaczy to, że tak jest naprawdę!

— O, ty też jesteś z Kalifornii! — zauważyła tamta, widać nie zainteresowana problemem przewodnika.

— Studiuję w Berkeley, trzeci rok. Literatura i socjologia.

— Coś takiego! My też — zawołała ucieszona. — Tylko jesteśmy na psychologii.

I wtedy Abel, zwykle chorobliwie nieśmiały w obecności dziewczyn, ku własnemu zdumieniu odpowiedział:

— Ach, to dlatego cię nie zauważyłem! Bo przecież taka piękność jak ty...

Nie zarumieniła się ani nawet nie przybrała lekko urażonej albo sarkastycznej miny osoby podrywanej, zgodnie z zasadami. Uśmiechnęła się — tym uśmiechem, który tak go intrygował — i przedstawiła się:

— Johanna Jones.

— Abel Young.

Żeby nie być gorsza, Dupiata wymamrotała przez aparat ortodontyczny niewyraźne „Mary-coś tam Coś tam-stone".

Może:Livingstone. Abel nie poprosił jednak, by powtórzyła — miał to w nosie. Właściwie to ona jakby nie istniała...

— Gdzie jedziesz? — spytał Johannę.

— Do Prowansji. I do Włoch... A ty?

— W Alpy. Będę się wspinał...

— Idiotyczne!—prychnęła Dupiata. — W Stanach dość jest chyba gór, nie? Po co przyjeżdżać tutaj?

Co za śmierdzące dno! Abel własnym uszom nie wierzył, natychmiast jednak odpalił:

— Trzeba ocipieć, żeby jechaćdo Włoch! Mamy przecież u siebie dość *pizza-parlors, spaghetti-houses* i kafeterii!

— A cóż ty sobie myślisz? Jedziemy oglądać muzea.

Oniemiał: zastanawiał się, jak taka ładna dziewczyna, wyglądająca na inteligentną „i w ogóle", może wlec za sobą niczym kulę u nogi podobną glebę. I to kulę jak nic ważącą te swoje sto dziewięćdziesiąt funtów!

Jeśli o to idzie, to był niesprawiedliwy: w końcu on też niegdyś był otyły. I pryszczaty... Ale był pod urokiem Johanny — już. Osobliwie wzruszony. I serce mu waliło. Nigdy mu się coś takiego nie przytrafiło, myślał, nigdy w takim stopniu. O rany! Czy można... no czy można się w ten sposób zakochać? Od pierwszego wejrzenia? Od pierwszego uśmiechu? Strasznie to głupie, nie? Tak się dzieje tylko w kinie. A i to w kiczowatych filmidłach dla kucharek!... A jeśli życie jest kiczem? Jeśli w taki właśnie sposób sprawy się zaczynają, kiedy zaczynają się na dobre? Jeśli to wszystko odbywa się jak w najbanalniejszej piosence, jak w odwiecznych romancach, które człowiek nuci bezmyślnie?

Tak był wzburzony, że nie mógł już nic więcej wymyślić, aby ją rozśmieszyć. Patrzył na nią i ogarniała go wściekła chęć, by odebrać ją Dupiatej, która już jęczała, że „tyle czekają". Nawet gdyby musiał użyć siły...

— Dawno czekasz?—spytała Johanna.—Myślisz, że to długo potrwa?

— Sterczę tu blisko trzy godziny.

— O Jezu! Słyszysz, Marilyn?

I w dodatku na imię miała Marilyn! Ablowi chciało się zaśmiać szyderczo.

— On tak mówi specjalnie, żeby nam dokuczyć—gdaknęła Marilyn.

W tejże chwili, jakby na potwierdzenie słów „tej kupy gnoju", zatrzymał się DS, którego kierowca, jadący sam, zaprosił do środka całą trójkę.

I wtedy zdarzyło się coś niewiarygodnego: Marilyn rzuciła się na tylne siedzenie, wciągnęła za sobą Johannę i ich dwa plecaki i zatrzasnęła drzwiczki...

Samochód wjechał na pas prowadzący na autostradę.

Świnie! Sprzątnęły mu samochód sprzed nosa i wystawiły go do wiatru, jego, który tyle czasu czekał! I Johanna już znikała z jego życia, ot tak! Równie szybko, jak się w nim pojawiła — „Johanna!"

Dziesięć minut potem był jeszcze tak wściekły, że nie od razu pojął, iż mruganie światłami srebrzystego porsche'a, który stanął na czerwonym świetle, jest zaproszeniem.

Porsche! — to nie był sen.

Porsche!

— To wóz ojca. Zatrzymałem się, bo podziałało stare braterstwo alpinistów: zobaczyłam u pana czekan i liny... Ja też się wspinam. Na imię mi Jean-Claude. Dwadzieścia pięć lat. Student medycyny. Mieszkam w Lyonie. Wie pan już o mnie wszystko.

— Abel. Trzeci rok literatury w Berkeley. Dwadzieścia dwa lata.

Uścisnęli sobie dłonie. I już coupć mknęło lewym pasem jezdni.

Szybko dogonili tamten DS. Kiedy go mijali, Abel, który dowcipnie opowiedział towarzyszowi swoją niemiłą przygodę, zagrał na nosie jadącym w nim „wiedźmom". Dziecinada —ale czyż nie był jeszcze trochę dzieckiem? A raczej: czyż nie był w r e s z c i e dzieckiem on, którego dzieciństwo zaznaczyło się powagą, bólem, rozpaczą, on, który w gruncie rzeczy wcale nie miał dzieciństwa?

No i dopiero teraz czuł się beztroski, wesoły. Teraz dopiero zaznawał tego, co jest proste i zarazem cudowne, a co zwie się radością życia. Dopiero teraz jakąś tam drogą gdzieś we Francji jechał, pijany z rozkoszy, w pysznym świetle zachodzącego słońca...

Słońce chylące się na horyzoncie, postrzępione lekkie różowe chmurki w dali, przemykanie pni drzew rosnących

przy szosie, złote błyski tańczące na przedniej szybie, przejrzysty granat pięknej letniej nocy i warkot potężnego silnika grającego całą mocą, i w radiu pierwsze dźwięki wspaniałej uwertury do *Tannhausera* — czyż nie to właśnie -było szczęściem?

Szczęście! Niczego innego nie pragnął, niczego innego nie żądał, o niczym innym nie marzył jak tylko o szczęściu. On i całe jego pokolenie. Wszyscy ci, co mieszkali w Kaliforni albo opuszczali wschodnie wybrzeże i tam się przenosili. Wszyscy ci, co opłakiwali śmierć Marilyn Monroe, jakby umarła bliska przyjaciółka, i wszyscy ci, co załamani oglądali w telewizji małego Johna-Johna Kennedy'ego, gdy w postawie na baczność oddawał honory ciału ojca... Chcieli szczęścia natychmiast! Dlatego wymyślą nowy świat! Zapowiadał to Bob Dylan, gdy tłumom ludzi śpiewał, że „czasy się zmienią".

Abel jednak nie był na tyle naiwny, by sobie wyobrażać, że wszystko zmieni się tak prosto jak w tych marzeniach. Stary świat mocno się trzymał, wiedział o tym. Tutaj w betonowych silosach skupiały się tysiące Hiroszim. W Ameryce Łacińskiej, w Afryce, Azji codziennie miliony umierały z głodu. W Europie Wschodniej deportowano ludzi tylko za to, że mieli inne zdanie. Jakże krucha była idea szczęścia w obliczu tylu okropności! Jego walczący przeciwko rasizmowi czarni przyjaciele uwierzyli w rychłe zniesienie segregacji rasowej: ale w południowych stanach mordercy z Ku-Klux-Klanu zabijali uczestników marszów pokoju. Jego koledzy z organizacji lewicowych wierzyli w szybkie uregulowanie konfliktu wietnamskiego, przepowiadali, że przykład Francji, która wdała się w zakończoną dopiero co „brudną wojnę" w Algierii, posłuży jako przestroga: nie dalej jak poprzedniego dnia, 24 czerwca, generał Taylor został mianowany ambasadorem w Sajgonie w miejsce Cabota Lodge'a. Kiedy po cywilu następuje wojskowy, zły to znak dla pokoju! — w tym względzie Abel nie miał żadnych złudzeń. Przeczuwał nawet, że niebawem będzie powołany razem ze swymi rówieśnikami, i to bez względu na studia, które miał kończyć. Rozważał już ucieczkę do Kanady albo

do Szwajcarii — „raczej do Szwajcarii, gdzie jest Matterhorn i Eiger!" mówił sobie—w myślach organizował trudne życie dezertera.

-r- Wie pan, Jean-Claude... — zagadnął.

^— Mów mi „ty".

— Wiesz, pod pozorną szlachetnością i idealizmem studentów kryje się ogromna... hmm... miernota i w gruncie rzeczy na ogół studenci to barany. Niezdolni samodzielnie myśleć ani działać, niezdolni pokierować swoim życiem. Im są potrzebne banały, hasła, slogany, żeby je powtarzać jak dzieciaki reklamy usłyszane w telewizji, im są potrzebne gwiazdy, żeby je mogli podziwiać: Mao, Che, Luther King. Tym matołom potrzebni są przywódcy. Ja też długo szukałem bohatera, mojego bohatera. W czasach, kiedy byłem nieszczęśliwy: uważałem, że jestem szkaradny — i byłem szkaradny: ważyłem coś koło stu dziewięćdziesięciu funtów i sapałem jak foka — uważałem, że jestem żałosny: byłem taki strachliwy, że cały się trząsłem, jak tylko zobaczyłem, że gdzieś się kłócą... Myślałem, że nigdy żadna dziewczyna mnie nie zechce. Nie miałem przyjaciół... No więc rozpaczliwie szukałem bohatera, którego mógłbym podziwiać: w książkach, komiksach, telewizji, kinie... Byłem zablokowany uczuciowo, koszmarnie znerwicowany. I przez to, że tak się torturowałem, zaczynałem kompletnie bzikować. A potem, kiedy sięgnąłem dna, kiedy chciałem sobie palnąć w łeb... To mi przyszło ot tak jednego ranka: popatrzyłem na siebie w lustrze, tak, tak! popatrzyłem na tę górę tłuszczu. Miałem odwagę spojrzeć sobie w twarz i wtedy zawołałem: „Ty baranie, znalazłeś swojego bohatera! Ty sam powinieneś być swoim bohaterem! Tak, ty będziesz jedynym swoim bohaterem!" I od tego dnia postanowiłem wziąć się w garść, zmienić swoje życie. I jeden kumpel, Thomas Haynes, kolega z pokoju w akademiku, ten, który nauczył mnie wspinaczki, też mi bardzo pomógł, kiedy powiedział: „Chcieć to móc. Wystarczy, że się polubisz takim, jaki jesteś, a staniesz się taki, jakim chciałbyś być. Chodź ze mną, staruszku, nauczę cię wspinaczki. Jak będziesz wisiał na kawałku skały nad przepaścią, nie będziesz miał czasu, żeby się uważać za szkaradę. Wtedy zresztą będziesz piękny, zobaczysz..."

Jean-Claude przerwał Ablowi:

— Bardzo ładne jest to, co mówisz, ale to postawa elitarna, punkt widzenia człowieka uprzywilejowanego. Bo jesteś uprzywilejowany, Abel, prawda? Co robi twój ojciec?

— No proszę, typowe pytanie Europejczyka: „Co. robi twój ojciec?"

— No odpowiedzże!

— Nie mam ojca.

— Och, przykro mi, że...

— Nic nie szkodzi. Nie mogłeś wiedzieć.

— Ale pozwól, że zapytam jeszcze: a matka?

— Prowadzi marny zajazd, przystanek dla kierowców ciężarówek przy drodze 132, kawałek przed Modesto. Tak, ta dziura nazywa się Modesto! Jak widzisz, jeśli chodzi o przywileje...

— Przykro mi, naprawdę...

— Nie jest zresztą moją matką. Matki też nie mam. Dowiedziałem się tego, kiedy miałem dziesięć lat.

— Bardzo mi przykro!

— A wiesz? Ta kobieta, która mnie wychowała, do której mówię Ma i która prowadzi ten barek, jest z pochodzenia Francuzką. Madeleine Langlois. Była kiedyś pokojówką u mojego... u mojego ojca. Wyszła za majordomusa, Włocha...

— Ale... jeszcze raz będę niedyskretny: skoro twój ojciec miał pokojówkę i majordomusa, to jak to się stało, że...

— Istotnie — przerwał mu Abel tonem uprzejmym, nie dopuszczającym jednak dyskusji — będziesz niedyskretny!

Jeszcze przed północą wjechali do Lyonu. Jean-Claude zaproponował Ablowi nocleg i Abel, umierający ze zmęczenia, nie dał się długo prosić.

Willa, wybudowana niedawno na zboczu wzgórza nad Saoną, należała do niewielu udanych tworów współczesnej architektury. Apartament zaś, złożony z pokoju gościnnego, łazienki i niedużego saloniku, mógłby figurować w najbardziej wymagającym piśmie dekoratorskim. Nigdy jeszcze Abel nie spał w takim luksusie. Jeśli idzie o łóżka, to znał tylko przytulne posłanie w kącie saloniku nad hałaśliwym barem swojej Ma, wąski tapczanik w akademiku i śpiwór

pod gołym niebem. I kiedy zasypiał, wyleżawszy się błogo w gorącej kąpieli, nie zdołał pohamować śmiechu, gdy wyobraził sobie, jaką minę zrobiłoby paru jego kolegów, nieczułych działaczy, twardych ekstremistów, widząc go, jak pławi się w cudownym „kapitalistycznym" bagnie.

* *

— *I'm one too many mornings...*

— *...And a thousand miles behind.*

O rany! A któż to mógł podjąć piosenkę, którą on właśnie nucił? I to tutaj, na drodze do Chambćry?

Kto? Otóż... Johanna!

Rzeczywiście była tam, siedziała w rowie. A obok Dupiata spała z głową dziwacznie wciśniętą między ich dwie torby podróżne. Jeszcze wstrętniejsza niż przebudzona! „Jasna cholera!"

Czy jest skazany na spotykanie ich na swej drodze za każdym razem, gdy będzie wystawiał kciuk? Zaczynał mieć tego dosyć! A poza tym czego one szukają tutaj, na drodze w Alpy? Zdaje się, że te dwie pipy chciały jechać do Prowansji?

— Mało ci, że mi sprzątnęłaś citroena sprzed nosa? Teraz jeszcze zabierasz mi piosenkę! — zawołał, udając zarazem, że jest obrażony i wściekły. — Widziałem w życiu różne zgagi, ale to przechodzi wszystko!

— Dylan jest chyba dla wszystkich, nie?

— Dla wszystkich? Też coś! Dla ciebie to jeszcze, ale nie dla tej krowy! — odparł, oskarżycielskim palcem wskazując Marilyn, która przewróciła się na brzuch i głośno chrapała.

— Co to, to nie! Mowy nie ma! Bob Dylan należy do tych, którzy na niego zasługują. I nie powiesz chyba, że ta poczwara...

Johanna nie udawała nawet, że oburza ją takie chamstwo. Przeciwnie, ku zdumieniu Abla zaczęła się śmiać do rozpuku.

— Przykro mi za wczoraj — powiedziała przyjaźnie.

— Naprawdę nie spodziewałam się, że Marilyn... Byłam na nią wściekła. Ale na pocieszenie powiem ci, że nie przyniosło

nam to szczęścia. Podróż miałyśmy koszmarną: trzeba było pięć razy zmieniać karetę! A ile gruchotów się pałęta o dziesiątej wieczór! Ostatni, skurczybyk, zostawił nas tu o piątej rano...

— Ha ha ha! Ale śmieszne!

— Och, nie bądź taki obrażalski!

— Nie jestem, nie mam powodu: całą drogę przejechałem porschem. Gaz do dechy, zakręty na kontrolowanym poślizgu, Wagner... Słowem, pełna kultura! A potem noc w sypialni, przy której apartament prezydencki w Hiltonie to zawszona klitka z burdelu w slumsach Kalkuty. Europa za trzy kafle dziennie!... Widzisz? Gdybyś pojechała ze mną i zostawiła tę córę Frankensteinai Godzilli, miałabyś podróż pierwsza klasa. I mogliśmy byli na pięknych drogach Francji razem śpiewać rzewne bluesy starego Bobby'ego. To by dopiero było romantyczne!

— Zabawne! Uważam, że jesteś bezczelny, a równocześnie nie umiem tak naprawdę cię nie cierpieć.

— Ha, to samo właśnie sobie mówiłem: wnerwiasz mnie, że nie wiem, a od wczoraj tylko o tobie śnię! Niestety! w samym środku snu widzę nagle tę szczurzą mordkę i zrywam się na równe nogi. „Och, nie! Tylko nie to! wrzeszczę. Tylko nie Marilyn!"

— Śmieszny jesteś! To moja kuzynka i muszę ją strawić. Myślisz, że sprawia mi to przyjemność? Wprawdzie mój stary jest lewicowym liberałem, wiecznie gada o nowych obyczajach, nowym społeczeństwie itepe, ale nigdy by mnie samej nie puścił. Mama aż się pochorowała. I tak nie wie, że jedziemy do Włoch, a gdyby jeszcze wiedziała, że autostopem... Apopleksji by dostała. Dla niej świat cywilizowany kończy się trzy ulice od Russian Hill...

Coraz bardziej się wygłupiając, Abel zakołysał ramionami, z błazeńską przesadą napiął mięśnie jak rozgrzewający się atleta i rzekł drwiąco:

— Jasne, że gdyby mnie znała, dostałabyś się pod moją opiekę. Przystojny chłopak, który wspina się na „szóstki", nieźle sobie radzi z francuskim i potrafi usadzić podrywaczy *madę in Jtaly]* I zatrzymuje auta o, tak!... Wystarczy, że wystawi kciuk!

Słowom towarzyszył gest.

I jakby na potwierdzenie tych słów dokładnie na ich wysokości zatrzymała się lancia!

— O kurczę! Z tobą faktycznie dobrze idzie!

— A co? Nie mówiłem? — zawołał, sam oszołomiony takim niewyobrażalnie szczęśliwym trafem.

— Dobijasz mnie!

Wszystko odbyło się w jedną chwilę: Abel złapał Johannę za rękę i wepchnął do luksusowej bryki, wołając:

— Szybko! Która twoja torba?

— Eeee... nie... niebieska — wyjąkała Johanna, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co się dzieje.

Abel rzucił się do bagaży, przewracając w przelocie Marilyn, która zaczęła wrzeszczeć ze strachu. W dwóch susach dopadł *z* powrotem samochodu, rzucił na siedzenie torbę ruchem rugbisty posyłającego piłkę na aut i zatrzasnął drzwiczki.

Pojechali!

W lusterku wstecznym widzieli porzuconą kuzynkę, która dreptała na środku szosy, krzyczała, pluła, klęła, wreszcie spróbowała za nimi biec — jeśli w ogóle może być mowa o „bieganiu", gdy ktoś tak żałośnie podryguje—wreszcie zadyszana osunęła się na asfalt i wybuchnęła rozdzierającym płaczem. Bezkształtna popsuta marionetka malejąca... malejąca... aż wreszcie za zakrętem zniknęła im z oczu.

W Johannie i Ablu było beznamiętne okrucieństwo ludzi młodych: zaczęli się śmiać.

— Co się stało? — zapytał kierowca lancii. — Nic z tego nie zrozumiałem...

— Och, proszę o tym nie myśleć! — bezczelnie odrzekł Abel. — Rzecz w tym, że ta krowa przylepiła się do nas jeszcze w San Francisco, a mamy jej powyżej uszu, moja narzeczona i ja...

Mężczyzna porozumiewawczo mrugnął do nich lekko rozczulonym okiem. Johanna, jeszcze pod wrażeniem, nie zaprotestowała. Oparła się delikatnie na piersi Abla i nic już nie mówiąc, prawie natychmiast zasnęła. Pojechali!

Pojechali i wydawało im się, że narodziła się oto szalona miłość, wydawało im się, że jadą tak przytuleni całemu życiu

wszystkie możliwe źródła zdobycia tego, co było im potrzebne. Ściany pomalowali farbą używaną do oznaczeń na drogach, „pożyczoną" z warsztatów przy autostradzie. Była to fluorescencyjna biel pomieszana z odblaskową miką i wieczorem, kiedy zapalali lampy, zyskiwali efekt absolutnie zaskakujący: ściany znikały w oślepiającym blasku.

— Obłędne! — radośnie zawołał Thomas Haynes, gdy pierwszy raz ich odwiedził. — Lepsze od haszu, żeby pobujać.

Abel i Johanna mieli także maleńkie podwórko, wszystkim lokatorom domu służące za śmietnik, oni jednak urządzili wnim ogródek oczyściwszy je z odpadków, jakie się tam uzbierały przez ostatnie dziesięć lat, i zasadziwszy kwiatki w wielkiej zardzewiałej balii, pełniącej dotąd rolę kubła. Thomas podarował im dziesięć sadzonek konopii indyjskich, ale z braku dostatecznego nasłonecznienia nie chciały *się przyjąć*. Żadnych problemów nie nastręczało im jednak zdobycie marihuany do palenia: nie wybiła jeszcze godzina represji, były to czasy, kiedy w Berkeley panowała zupełna swoboda. I Abel z Johanną żyli w całkowitej zgodzie z duchem epoki. Wiedli fantastycznie cygańskie życie: codzienność była wieczną niewiadomą, a z niewiadomymi radzili sobie na rozmaite sposoby, kiedy czuli, że przez jakiś czas nie mogą liczyć na wsparcie przez państwa Jones i że pismo alpinistyczne, z którym Abel współpracował, odmówi mu kolejnej zaliczki za jeszcze nie zaczęty artykuł. Co miesiąc od piętnastego nie mieli już grosza przy duszy, lecz — Bóg wie jakim cudem — nadal prowadzili otwarty dom i wieczorami, po zajęciach, roiło się u nich od gości. Swoją miłość, choć początkowo wydawało im się konieczne trzymać ją w tajemnicy, niedługo ukrywali, i przyjaciele licznie ściągali, by trochę jak w teatrze oglądać komedię, którą niestrudzenie we dwójkę grali: dąsy, śmiechy, krzyki, czułe gesty, łzy, sprzeczki i żarliwe wyznania, drobne swary i wielkie radości — ich wojnę i pokój.

Jednakże w ciągu dwóch lat Abel dojrzał znacznie bardziej niż Johanna—i był tego świadom. Powoli wykształcił w sobie cechy, których brakuje podrostkowi: tolerancję, umiar, wyrozumiałość, dobroć, skromność, pewną dozę pogodnej obojętności, a także poczucie odpowiedzialności.

Zaczął uczyć się żyć. I dzisiaj opadały go wątpliwości: czy po powrocie do San Francisco będzie miał ochotę znowu wejść w tę absurdalną przygodę w momencie, w jakim ją przerwali decydując się na rozstanie? Zwiąże naderwane nici czy też znajdzie siły, by je przerwać na zawsze? A jeśli przyjdzie mu definitywnie opuścić Johannę, to czy poradzi sobie z tym bez zbytniego cierpienia? Czy potrafi zapomnieć?

Zapomnieć, że się kochali? Jakże by mógł? Czy byłby zdolny wymazać z pamięci te chwile szczęścia, jakiego jeszcze tak niedawno zaznawali?

Tak było w maju, kiedy w miasteczku akademickim zapanowało wrzenie.

— Nie walczysz z nami, gwiżdżesz na to! — żarliwie zarzuciła mu Johanna. — Czemu nie przyjdziesz na manifestację?

— Bo wyobraź sobie, że nie mam nic wspólnego z tymi dzieciuchami, którym się wydaje, że zmienią świat maszerując z transparentami i wykrzykując idiotyczne hasła! — odpowiedział Abel.

I przez dwa dni potem słowem się do siebie nie odezwali.

Ale kiedy policja wtargnęła do miasteczka, wszyscy towarzysze Johanny wycofali się w haniebnym popłochu, A ci, co nazywali Abla „cykorem", ujrzeli, jak sam jeden niczym do ataku rzuca się na gęstą, czarną, groźną tyralierę sił porządkowych, i usłyszeli jego krzyk:

— Na Bogal chyba nie pozwolicie tym skurwysynom opanować Berkeley! Tego jeszcze nie było! Chyba się nie spietracie przed tymi gnojkami!

Umilkły oburzone wrzaski. W zapadłej ciszy, pełnej napięcia i niepokoju, nagle huknął granat antyzamieszkowy. Abel upadł trzymając się rękami za głowę—z której pociekła krew. I wtedy, podczas gdy manifestanci nadal się cofali, z ich szeregów pomknęła ku niemu Johanna. Biegła, biegła, biegła... A potem uklękła pośrodku trawnika, gdzie Abel zwijał się i krzyczał z bólu. Lecz kiedy zobaczył ją pochyloną nad sobą, ucichł i nawet zmusił się do uspokajającego uśmiechu. Przytuliła go do siebie czule, jak dziecko...

— Och, Abelito! Abelito!

Czy mógłby kiedykolwiek zapomnieć tak przejmującą chwilę? Johanna płakała — on umrze, mówiła sobie, umrze,

zabili go! — on zaś, gdy policjanci we czterech ciągnęli go w stronę furgonu więziennego, jeszcze żartował. Szeptał do Johanny:

— Wszystko będzie dobrze, nie martw się! Na pewno zidiocieję po takim uderzeniu w łeb, ale to niewiele zmieni, prawda? Przecież już jestem idiotą, stale mi to powtarzasz, kochana!

— Abelito, nie będziesz więcej tak robił...

— No, no, nie becz, staruszko. Nic się nie stało...

— Och, kochany!...

Kochali się, wtedy się kochali — była to wiosna życia.

* *

Była to wiosna życia!

Tamtego lata roku 1964 Abel smakował każdą jego chwilę, jak gdyby miała być ostatnią — z jakimś zapamiętaniem. Odnosił wrażenie, że dni i noce pełniejsze są treści niż całe lata. Kiedy w rzadkich chwilach spokoju i odprężenia wracało mu wspomnienie smutnych czasów chorowitego dzieciństwa, spędzanych w łóżku pośród stert książek w półmroku ponurego saloniku, ciasnego i stale rozbrzmiewającego hałasami z dołu, z baru jego Ma, kiedy porównywał tamte dni nieustającego cierpienia z obecną aktywnością, ciągłym wysiłkiem, doznawał zawrotu głowy. Wspinał się na Aiguille Verte, Aiguille Rouge, Aiguille Sans Nom, na Droites i na Courtes. O zmierzchu schodził w dolinę zmordowany, ze skurczem w mięśniach łydek od nadmiernego wysiłku, plecami obolałymi od ciężaru plecaka, palcami otartymi od liny, krwawiącymi stopami, zadyszany. Ale zaledwie godzinę później widziano go, świeżego i wypoczętego niczym nowo narodzone dziecię, jak spaceruje po ulicach Chamonix z Johanną trzymaną czule za rękę. Zabierał ją na pizzę, a potem do późnej nocy tańczyli jak oszalali rocka i jeszcze łazili w świetle księżyca, wracając do hoteliku w Praż, gdzie się zatrzymali... O świcie Jacques Servoz wyciągał go z łóżka i Abel znowu ruszał z nim w góry, zawsze wesoły, raźny, niestrudzony. Dzisiaj pójdą na Tour Ronde albo na Mont

Maudit, albo na Persćvćrance. Wróci jutro po południu. I Johanna będzie na niego czekała na stacji kolejki linowej... Och! kabina wolno zjeżdżająca w dolinę o zachodzie słońca, kabina rozrywająca lekki welon białych chmur, które wiszą na wysokości trzech tysięcy metrów, a potem zanurzająca się w przedwieczorny przepych lasu. Och! te oślepiające, wiecznie zmienne blaski, gra cieni rzucanych przez szczyty i pięknej jasności wieczoru... I znaleźć się tam z walącym sercem w objęciach kochanej dziewczyny... I wyszeptać do niej tylko: „Kochana! moja kochana! Pewnie śmierdzę potem i jestem nie ogolony..."

— To nic — odpowiadała Johanna. — Dla mnie zawsze pachniesz. A broda nie kłuje.

— Wezmę tylko prysznic i zabieram cię gdzieś. Jestem ci to winien.

— Nie jesteś zmęczony?

— Nie. No, troszkę. Po śmierci będzie czas na odpoczywanie. A na razie trzeba korzystać z życia. Dzisiaj ja zapraszam. Balanga na sto dwa!

— Skąd weźmiesz forsę?

— Pytanie! Twoją oczywiście! *I'm just a gigolo*... jak mówi piosenka. Jestem tylko żigolakiem. Dobrze wiesz.

Był to jeden z ich ulubionych żartów. Abel rzeczywiście nie miał grosza przy duszy, ale rodzice Johanny, przerażeni, że jedyna córka znajdzie się daleko od nich w obcym kraju, wręczyli jej tuż przed wyjazdem plik czeków podróżnych. Tego się nie spodziewała: miała odbyć studencką podróż — noclegi w schroniskach młodzieżowych i obiady z kanapek — a tu okazywało się, że mogą sobie z kuzynką nieźle poużywać. W roku 1964 posiadacz dolarów amerykańskich w każdym innym kraju niż Stany mógł się czuć jak nabab. Tego wieczoru Abel i Johanna mieli pić szampana, nie zapominając o wzniesieniu toastu za Dupiatą — to także był ich ulubiony żart, niemal już rytuał. Tego wieczoru mieli tańczyć i szaleć. A później, o brzasku, objęci ramionami będą spacerować rozkoszując się cudami poranka: zapachem trawy i kwiatów rozchylających kielichy, gdy opadnie rosa, słodyczą powietrza, przepychem barw...

O tej porze Abla ogarniało czasami coś na kształt ulotnego strachu: czy za to szczęście, które naraz na niego

spadło, nie przyjdzie mu kiedyś zapłacić? Czy nie skończy się rozkoszny sen? I czy przebudzenie nie będzie zbyt przykre?

Ale też mówił sobie, że właśnie dlatego, że tyle doświadczył i wycierpiał, teraz tak głęboko odczuwa zmianę w życiu, tę eksplozję energii. Bo wydawało mu się, że na tę radość zasłużył bardziej niż ktokolwiek inny. Czy jednak taka myśl wystarczała, by odegnać koszmarne wizje, które go niekiedy nawiedzały, ponure przeczucia, obawy? Czy nie jest mu przeznaczony los straszny, jemu, którego narodziny otacza tyle tajemnic? I rzecz zasadnicza: dlaczego właśnie teraz wszystko miało mu być dane? Zdrowie, szyk, swoboda bycia, wesołość, nonszalancja, uroda?

No i Alpy. I jeszcze Johanna...

Johanna! Po raz pierwszy kochał. Z nią bowiem miłość nie była ukradkowa, niosąca rozczarowanie, frustrująca —nie taka, jakiej doświadcza siedemnastolatek na siedzeniu kabrioletu pożyczonego od kolegi, nie taka, która pozo stawia w sercu gorycz: była to miłość prawdziwa. Tak prawdziwa, że nie musząc sobie nawzajem niczego udowad niać, nie kochali się z Johanna pierwszego ani drugiego, ani nawet trzeciego dnia wspólnego życia. Do zbliżenia doszło później, pewnego wieczoru, a odbyło się ono w sposób niezwykle tkliwy i nie miało jakby znaczenia. Bo w gruncie rzeczy liczyło się nie bardziej niż uśmiech, spojrzenie, pieszczota czy nawet tylko milczenie ciężkie od obietnic.

O świcie Johanna wyznała:

— Wiesz? teraz mogę ci już powiedzieć: to było pierwszy raz.

Abel zaś odpowiedział po cichu:

— No to i ja ci coś wyjawię: dla mnie też było jak pierwszy raz. Przed tobą przesypiałem się tylko ukradkiem w starych chevroletach. I zawsze brzuch miałem spięty strachem, żeby z krzaków nie wylazł gliniarz albo ojciec dziewczyny ze strzelbą. A później człowieka ogarniał taki potworny niesmak po tym, co zrobił! Chciało się zdechnąć. Nawet jeśli potem dalej się odgrywało zaprawionego w bo jach babiarza, który zmienia dziewczyny jak rękawiczki —żeby kumple wybałuszali gały!... Johanna, dzisiaj dla mnie to też był pierwszy raz...

— A ty jesteś pierwszym facetem, jakiego znam, który nie chełpi się przede mną zdobyczami. *Abelito mio,* naprawdę dziwny z ciebie gość!

Alpy.

Również były dla niego objawieniem. Oczywiście przedtem wiele się wspinał w Sierra Nevada, w parku Yosemite. Czasem odbywał wyprawy wymagające sporych umiejętności technicznych, bardzo trudne, zbliżone do wyczynów. Tyle że jedynie tym właśnie były. Bo taki jest alpinizm w Stanach: to tylko sport. Niewątpliwie podniecający — ale sport. Nie jest jak w Europie sztuką, etyką, filozofią życia...

W towarzystwie Jacques'a Servoza Abel miał odkryć duchowe bogactwa tego, co było dlań dotąd wyłącznie działaniem praktycznym.

— Jak tylko się znajdziesz w Chamonix — powiedział mu przed wyjazdem Thomas Haynes—masz jechać do Praż i zapytać o dom Servozów. Zobaczysz: to stary domek alpejski z niebieskimi okiennicami, cały w kwiatach. Leży za takim małym tartakiem, zaraz za mostem na Arve... Zawołaj go, bo przy wejściu nie ma dzwonka. Albo jeszcze lepiej wejdź od razu. Tam nigdy nie zamykają drzwi, nawet jak nikogo w domu nie ma. Ci ludzie tacy już są... Powiesz mu, że ja cię przysyłam, i jak znam Jacques'a, godzinę później zabierze cię na wypad i zaprzyjaźnisz się z nim na wieki. Tylko nie próbuj przed nim udawać, bo zaraz cię przejrzy. I dostaniesz taką jak ja nauczkę. Lekcję pokory. Pamiętam, ile na początku przyszło mi wycierpieć. Czasem to aż beczałem. Mówiłem sobie: „Cholera, człowieku, czego ty szukasz z tym wariatem? Czyś ty masochista?" Tylko że w dniu, kiedy Jacques takim milutkim głosem cedząc przez zęby mówi ci niby to obojętnie: „Całkiem nieźle ci to wychodzi, stary. Stajesz się powoli poważnym klientem, na którego można liczyć. Teraz jesteś swój gość"... Człowieku! tak się cieszysz, że spływają z ciebie wszystkie trudy. Takiej radości więcej nie zaznasz...

Dokładnie tak potoczyły się sprawy.

— Niech no pan tylko zajdzie — powiedział Jacques Servoz widząc, jak trochę onieśmielony Abel idzie ku

drzwiom domku o mebieskich okiennicach. Abel zaś, który nie wiedział, że powiedzenie „niech no tylko" przez Sabaudczyka nie wyraża jakiegoś ograniczenia, lecz przeciwnie, jest starą formułką grzecznościową żywą jeszcze w wysoko położonych dolinach masywu Mont Blanc, zaczął się obawiać pogardy ze strony młodego przewodnika. Zwłaszcza że góral należał do ludzi nader małomównych i powściągliwych. Podczas gdy Abel, przepełniony werwą i entuzjazmem, mówił mu, jak bardzo chciałby zaraz nazajutrz z rana wyruszyć na długą wyprawę w góry, Servoz, kołysząc się nonszalancko na krześle, odpowiadał tylko niezbyt zachęcającymi półsłówkami: „Można iść... Czemunie? Zobaczy się." Albo mruczał pod nosem: „To całkiem możliwe..."

Struchlały Abel mówił sobie w duchu, że nie udało się, że musiał zrobić na nim fatalne wrażenie, choć nie wiedział dlaczego. I już gotował się do odejścia, by jak najszybciej rozejrzeć się za innym przewodnikiem, serdeczniejszym, kiedy Jacąues niespodzianie podniósł się z krzesła i spokojnie oświadczył:

— Doskonale. Idziesz ze mną.

— Jak to?

— No tak. Teraz. Ruszamy. Przenocujemy nad jeziorem Blanc.

— Ale... zdaje mi się, że to blisko dwie godziny marszu od najwyższej stacji kolejki.

— Faktycznie, dwie godziny. I tego się boisz?

— Nie, ale jest szósta. I kolejkę zamkną, nim dojdziemy do stacji...

— Nie myślisz chyba, że pojedziemy kolejką?

— Ach, więc...

— No wreszcie. Widzi mi się, że zaczynasz chwytać, stary!

— Ale zajmie nam to parę ładnych godzin!

— Ze cztery albo pięć... albo dziesięć. Zależnie od tego, jak będziesz ty szedł, zależnie od mojej fantazji...

— Ale noc...

— Ha, jeśli nie masz latarki, mogę ci pożyczyć... Leć teraz po plecak i anorak. I zaraz wracaj. Ja jestem gotów, czekam. Chyba że już ci nie zależy na wspinaczce ze mną...

— Mowa! Lecę po bety! Za minutę wracam!

I tak Servoz już podczas pierwszego wypadu pozwolił mu fbznać posępną poezję forsownego marszu nocą: tańczący rumień światła latarki, który rysuje zwodnicze stoki i iluzo-pczne zbocza, dobywa z mroku sylwetki poczwarnych óstw budzących przerażenie. Ale nauczył go też rozumieć, co mówi niebo: że chmura b kształcie na pozór groźnym jest, przeciwnie, zwiastunem pięknej pogody; że wolne rozpraszanie się, białej smugi ciągnącej się za odrzutowcem zapowiada bliską burzę... Servoz nauczył go czytać ze śniegu, lodu, konfiguracji szczelin. Nauczył go po dotyku, z zamkniętymi oczami, odróżniać wapień od granitu, piaskowiec od łupków. Nauczył go mowy wiatrów i gry światła na morenach i skałach. Nauczył go także rozpoznawać krzyk pardwi i furkot skrzydeł wzbijającej się do lotu kawki, ślady koziorożca, kryjówkę świstaka. Wtajemniczył go. I nauczył go odwagi.
Mimo młodego wieku — Jacąues miał dopiero trzydziesty drugi rok — był dla Abla ojcem, którego ten nigdy nie miał. I dobrze było czuć się pod opieką kogoś, na kogo zawsze można liczyć, kogoś silnego i spokojnego, kogoś, kto wie. Dobrze było zdobywać doświadczenie, które Jacąues tak szczodrze potrafił przekazać. Dobrze było biwakować z nim. Arabskie porzekadło mówi: „Kto nigdy nie spał pod namiotem ojca, nigdy nie stanie się w pełni mężczyzną". Abel był teraz w pełni mężczyzną.

Niebo zaczynało się zasnuwać. Niepokoiło to Servoza, nie chciał jednak zbytnio okazywać tego swemu towarzyszowi. Toteż nadal żartował na każdym postoju, kiedy ciężko dyszący Abel uspokajał gwałtowne bicie serca. Jacąues wiedział, że jeśli zaskoczy ich burza na tej niemal gładkiej i pozbawionej występów skale, to uniemożliwi dalszą wspinaczkę... Zejść na dół? Nie było mowy, żeby tego dokonali drogą, którą tu dotarli. Zbyt wielkim groziło to niebezpieczeństwem, a poza tym za daleko już zaszli: sporo trudu kosztowało ich pokonanie wielkiego nawisu w kształcie

siódemki, gdzie równie mozolnie wspięli się ich poprzednicy przed trzema laty. Teraz ratunek mogli znaleźć tylko wyżej. Lecz od szczytu dzieliło ich jeszcze dobre dziesięć godzin wspinaczki, a noc była coraz bliżej. Musieli jak najszybciej dotrzeć do j akiejś platformy, gdzie mogliby rozłożyć biwak...

Zaskoczyła ich nie burza, ale coś znacznie gorszego! W ciągu kilkudziesięciu minut niebo sfioletowiało, później przybrało barwę ołowianoszarą, a wreszcie pobielało i ochłodziło się tak bardzo, że choć obwieszeni linami i uprzężami, z plecakami na ramionach, musieli się jakoś przyodziać w swetry, anoraki, kominiarki, naciągnąć rękawice. Rozpętała się zamieć. Zimowa zamieć, gęsta, oślepiająca, która wirowała z piekielnym łoskotem i to unosiła ich niczym fala głębinowa pływaka, to znów brutalnie ciskała nimi o ścianę. Trzymać się! po prostu trzymać się, nie dać się porwać podmuchom śnieżnego wichru, nie ześliznąć się—to stało się najważniejsze. Dalsza wspinaczka była już wykluczona. Teraz szło tylko o to, by zespolić się ze skałą.

— Abel! — krzyczał Jacques co sił w płucach, by usłyszał go towarzysz znajdujący się odeń zaledwie o trzy metry na tej samej wysokości. — Abel! tylko się nie ruszaj! Musimy przeczekać! Nie ma innego wyjścia! Spokojnie! Podejdę do ciebie i wbiję ze dwa haki. Zaczepisz uprząż i plecak, będzie ci wygodniej, zobaczysz...

Trzykrotnie krzyżując nogi, posunął się ostrożnie o kilka metrów wzdłuż rysy biegnącej w tym miejscu zygzakami przez skałę. Ablowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby go ubezpieczać. Blady i drżący, o dziwnie nieruchomym spojrzeniu, nie patrzył już na przewodnika, lecz w otchłań pod sobą. Jacques pojął, że musi użyć autorytetu, jeśli nie chce zobaczyć, jak chłopak puszcza naraz linę. Stanowczo, choć spokojnie powiedział:

— Abel, musisz mi pomóc, inaczej przepadniemy obaj. Podaj mi mój młotek. Nie mogę go wydostać, zaklinował się w tylnej kieszeni. To pewnie przez uprząż...

Prawdę powiedziawszy bez trudu mógłby młotek sam dobyć, ale wiedział, że zmuszając Abla do konkretnego działania, ściągnie jego uwagę i uchroni go przed poddaniem się lękowi i zawrotem głowy. Abel, przytomniejąc nieco,

zręcznie ujął młotek i podał mu, trzymając go jak należy za obuch.

— Nie pieprz, że się zaklinował! — obruszył się. — Masz mnie za półgłówka czy co?

„Taki bunt to dobry znak", ucieszył się w duchu Jacques. I uspokoił się trochę.

— No wiesz! To ja ci tu szykuję wygodny fotelik, łobuzie, a ty tak mi dziękujesz? — zawołał ze śmiechem. — Do diabła z takimi klientami!

— Wybacz, stary—przeprosił Abel żałośnie. — Sam nie wiem, co mnie napadło. Cholera jasna! to ten śnieg... Mam go pełno w oczach, w ustach! I boję się, Jacques! Boję się!

— Wiesz, to się może każdemu przytrafić. Minie! Tak samo jak ta parszywa zamieć... Zamieć w lipcu! koniec świata! Zaprawdę, bracia, powiadam wam...

Pomógłszy Ablowi ulokować się, Servoz tuż obok niego przygotował również dla siebie pewniejsze oparcie i zamocował na nim swoją uprząż. Potem wbił jeszcze dwa haki, na których między sobą ułożyli plecaki. Siedzieli teraz nad przepaścią, przy samej skale pokrywającej się szronem. Zmarznięte krupy śnieżne trzaskały o ich przemoczone odzienie. Zawieja przybierała zaś na sile, smagając ich, tnąc po twarzach, oślepiając, dławiąc, tamując oddech...

A niewzruszony Jacques bez ustanku żartował:

— No i widzisz, Abel? Siedzimy tu sobie po królewsku! Można by tak spędzić całe życie...

— Nie gadaj takich rzeczy, bo jeszcze wykraczesz.

— Wprawdzie brakuje nam telewizora, ale pominąwszy to...

— Przestań pieprzyć głupoty, Jacques!

— Też coś! Zęby nie można nawet pożartować...

— Do pioruna, Jacques, ja się boję! Nic nie rozumiesz czy robisz to specjalnie? Mówię ci, że się boję! Boję się śmiertelnie. Boję się, że tu umrę.

— I co z tego? Myślisz może, że dla mnie to galowe przyjęcie? Posłuchaj no: jeśli nie chcesz, żeby to się skończyło tragicznie, będziesz musiał wziąć się w garść. Co się z tobą dzieje? Nigdy cię takim nie widziałem... Posłuchaj: przede wszystkim nie wolno ci tracić humoru, to najpierwsza zasada, jakiej musisz przestrzegać, kiedy się znajdziesz

w opałach. I trzeba wtedy myśleć o jednym: żeby zostać przy życiu, na Boga! zostać przy życiu! Przez cały czas musisz się odrobinę ruszać, o tak... Musisz się leduteńko wierdć, żeby się ustrzec odmrożeń. Bez przerwy sobie powtarzać: mój nos! moje ręce! nogi! Czy jeszcze je czuję? Czy krew krąży w całym dele?... Pamiętaj, Abel: dało! Na własnym dele musisz skupić całą uwagę, bo przede wszystkim ono musi wytrzymać... A co do reszty, to trzeba się opanować i pamiętać, że wiele ludzi przeżyło rzeczy znacznie gorsze niż taki byle jaki wiaterek ze śniegiem. Który w dodatku na pewno nie potrwa długo...

— Nie potrwa długo!... Mówisz tak, żeby mnie uspokoić! — zawołał Abel.

— A *idź* ty, niczego się przed tobą nie da ukryć—odpalił Jacąues z udawaną opryskliwośdą.

Była zamierzona: w podobnych wypadkach może się okazać zbawienna dla tego, kto stracił odwagę. Szorstko Abla traktując i bez owijania w bawełnę stawiając go wobec rzeczywistośd, Jacąues liczył, że jego towarzysz zawstydzi się, iż tak bardzo — on, zwykle odważny do przesady — stchórzył... Nie mylił się: Abel szybko się opanował, a nawet zdołał przywołać na usta nieco dziednny uśmiech, który miał znaczyć coś w rodzaju: „Więcej nie będę. Obie cuję."

Spostrzegłszy zmianę, jaka w nim zaszła, Jacąues podjął głosem łagodniejszym i nie tak szorstkim:

— Wiesz? w Algierii przeżyłem o wiele gorsze chwile. W karnej kompanii, gdzie mnie posłali, jak dałem po mordzie temu gnojkowi porucznikowi. Odmówiłem tor turowania Kabylów z dopiero co „oczyszczonej" wioski — tak parszywie nazywano wtedy tego typu operacje: oczyścić, jakby szło o śmiede, a nie ludzi... W obozie, muszę przyznać, napatrzyłem się, że ho ho! Zaznałem pragnienia i głodu, nieopisanego skwaru i chłodu, przeżyłem gorączkę i dyzcnterię, chłostę, kąpiel w lodowatej wodzie, elektrowstrząsy, ryki takie, że można było oszaleć, gimnasty kę na golasa w błocie, gwałt, wszystko... Tak, ale w tym wcale nie najgorszy był strach przed śmierdą, tylko wieczne upokarzanie. Uczude, że nie jest się już człowiekiem, lecz zwierzędem... Czymś mniej niż zwierzę... Bo zwierzęta nigdy

sobie nawzajem nie robią krzywdy dla samego krzywdzenia... I widzisz, Abel, tutaj, cokolwiek się zdarzy, choćby najgorsze, będziesz zawsze tylko ty i skała...

Słuchając opowieści o okrutnych przejściach, jakich Jacąues zaznał w górach Auras i które przetrzymał używając całej siły woli, by nie popaść w obłęd, Abel zapominał o swoich przeżyciach. Przestał nawet myśleć o cierpieniach, tak przecież groźnych, jakie z całą pewnością szykowała mu noc.

A noc już nadchodziła...

Wyczyniając w zamieci akrobatyczne wygibasy, musieli odpiąć dolną część uprzęży, rozzuć się ostrożnie, by nie upuścić butów w przepaść, potem wśliznąć się po pas do śpiwora, zmajstrować z liny i rzemienia od uprzęży coś w rodzaju prowizorycznego półhamaka, włożyć puchową kurtkę, owinąć się pałatką, a na koniec zagotować sobie wody, aby przynajmniej napić się gorącej herbaty zagryzanej suszonymi owocami. Chociaż palnik przystosowano do używania w tego typu okolicznościach, nie jest łatwo zapalić go w czasie burzy. Dopiero za dziesiątym razem metaldehyd rozgorzał.

Głuchy niepokój na powrót ogarniał drżącego z zimna Abla.

— Jacąues — poprosił naraz — Jacąues, powiedz: myślisz, że z tego wyjdziemy?

Przez chwilę trwało milczenie.

Potem Jacąues odpowiedział, nieco enigmatycznie, lecz wkładając w swe słowa całe uczucie, na jakie może się zdobyć ojciec wobec syna:

— Posłuchaj, Abelito... Wyjdziemy, jeśli nie będziesz się bał, że umrzesz.

Straszna była ta nie kończąca się noc! Wirujące masy mroźnego powietrza z rykiem uderzały o skałę, wył wiatr przeciwny, rozbijający się niczym fala przybojowa, porywisty, skłębiony, kołujący... I raptowne, niepokojące jego

przycichanie ledwie na kilka chwil! Śmiertelna cisza poprzedzająca jeszcze gwałtowniejsze szaleństwo żywiołu! Śnieg znowu sypie tumanami, jego kłęby wirują, zdają się wzbijać ku niebu, niesione zawieruchą, która nie przestaje dąć, nie przestaje ryczeć!

Och! strasznie było trwać tam w dziwnym stanie nie będącym ani czuwaniem, ani snem, lecz czymś na kształt agonii, długim natrętnym koszmarem pełnym widziadeł, nie kończącym się rojeniem z oczami raz otwartymi, to znów zamkniętymi, graniczącym z szaleństwem! Dojmujący ból ciała od wrzynających się w nie pasów uprzęży, nieznośny skurcz mięśni, niecierpliwość, której niczym nie można uciszyć, choćby najlżejszym ruchem, otępienie, z którym trzeba walczyć, coraz większe wyczerpanie, o którym wiadomo, że jest nieodwracalne, zamroczenie... A w chwilach powrotu do przytomności absurdalne pytanie, które w końcu opanowuje mózg niby wewnętrzne cierpienie zgoła fizyczne: dzień... czy dzień wreszcie wstanie?

Wstał. Wąskie pasmo bladego światła ledwie zdołało rozerwać gęstą zasłonę z mgieł. Czy to jest dzień? Ta ledwo widoczna poświata na wschodzie jest dniem czy jeszcze jednym koszmarnym przywidzeniem, jakie niesie noc? Czy słońce wzeszło?

Kilka chwil później mgła na powrót się zwarła, jeszcze gęstsza, jeszcze bardziej przytłaczająca. Wiatr ucichł, przestał sypać śnieg. Ale ponieważ wzrokiem można sięgnąć nie dalej jak na wyciągnięcie ręki, nadal niepodobna podjąć dalszą wspinaczkę lub zejście. Poza tym granit jest śliski jak lód. Trzeba czekać, czekać, czekać — przez całą wieczność. Palce są obrzmiałe, sztywne od wysiłku w poprzednim dniu. Spuchnięte stopy kulą się w śpiworze lepkim od wilgoci. Szyja zaś zesztywniała od trzymania jej w tej samej pozycji bez możliwości oparcia o coś głowy. Należy jednak dbać o zaspokojenie podstawowych życiowych potrzeb organizmu: należy się ostrożnie wydostać z ciepłego kokonu ochronnego, jakim jest puchowy śpiwór, by oddać mocz. Należy się zmusić do wypicia paru łyków roztopionego śniegu, zgarniętego do blaszanej kwaterki — w gardle jest gorzka suchość. Należy nie tracić nadziei...

Ale strach nadal dręczy, trzyma serce w swoich okowach: czy wystarczy sił, aby wytrzymać? I na jak długo? Potem lęk nieco ustępuje: ależ oczywiście, że wyjdą z tego cało! Nadejdzie pomoc, pogoda poprawi się szybko, równie szybko jak się pogorszyła. No i przecież życie, myśli sobie człowiek, życie jest silniejsze od tego wszystkiego, litościwsze. Nie opuści nas w potrzebie...

^ Obok spał Jacąues — było południe. I Abel czuł się teraz osobliwie spokojny, jakby wyzuty z poczucia własnego istnienia i obojętny na zagrażające mu niebezpieczeństwa. Myślami błądził gdzie indziej. Wspominał swoje dzieciństwo w Modesto, jak biegał po ogródku przylegającym do zajazdu dla kierowców ciężarówek, jak bawił się ze swoim białym pudlem o imieniu Hooboo, jak kopał piłkę w ogromną, głośno dźwięczącą metalową tablicę przyciętą w kształt butelki coca-coli, z której wypływała piana. Wspominał, jak ile sił w nogach pedałował na swoim rowerku: jechał aż do niedalekiej pompy z benzyną. A tam Dick nalewał mu do pełna benzyny super... To znaczy udawał, że nalewa. Było to bardzo zabawne. Abel prosił też o sprawdzenie ciśnienia w oponach — przybierał wtedy poważną minę spieszącego się „pana" — i odjeżdżał całym gazem, naśladując warczenie motocykla albo wycie syreny policyjnej. Wślizgiwał się między wielkie ciężarówki ustawione jedna przy drugiej ukosem do drogi na parkingu przed zajazdem. Fasada „Madeleine's" niknęła za tym murem metalu i brezentu, ale przez szeroko otwarte okna dobiegały go wesołe pokrzykiwania, śmiechy, przekleństwa, terkotanie flippera, zapach smażonej papryki, pomidorów i boczku. Panował upał — było lato. Drogą numer 132 przemykały niekiedy luksusowe samochody z odsuniętym dachem, w dźwiękach romantycznej muzyki Glenna Millera lub Raya Conniffa unosząc swój sekret ku legendarnym miastom, miastom o niewyobrażalnych bogactwach i pięknie, ku którym on także kiedyś, gdy będzie większy, pomknie za kierownicą kabrioletu: do San Francisco! Las Vegas! Los Angeles!... A Hooboo ujadał z radości, ponieważ Abel przynosił mu miskę z jedzeniem. Dick zaś dla ochłody polewał go zimną wodą z wiadra, którego używał do

mycia szy klientów. I Ma z czułością w głosie wołała go do stołu:

— Abel, skarbie! Chodź, mój ty człowieczku! Obiad gotowy!

Wtedy Abel był szczęśliwy — to było przedtem. Zanim się dowiedział... Było to wtedy, gdy jeszcze mógł wierzyć w szczęście. Jakżeby zresztą, mimo tego wszystkiego, co oglądał szeroko otwartymi dziecięcymi oczami, mógł nie wierzyć?

Był przecież ten pan, taki elegancki i dystyngowany, który odwiedzał go na Boże Narodzenie, urodziny i imieniny — wtedy wszystko wyglądało jak w bajce. Długi czarny cadillac zatrzymywał się przed rzędem ciężarówek ustawionych na parkingu. Biały kierowca, w białych rękawiczkach, w uniformie białym latem, szarym w zimie, otwierał drzwiczki, z czapką w ręku schylając się z szacunkiem *w* ukłonie, i pan wysiadał, majestatyczny, wyniosły, imponujący. Ale uprzejmy. Niespokojnie mówił: „A gdzież to się podział Abelek? Gdzie ten łobuziak?", udając przez chwilę, że nic widzi chłopca, jak biegnie ku niemu, sadząc susami, podskakując na jednej nodze, wirując jak fryga...

— A, jest! Poznaję go — wołał wreszcie ze zdumieniem pan. — Ależ wyrósł! — I zaraz mówił, żeby Harry, kierowca, otworzył bagażnik limuzyny. A tam leżały sterty zabawek, owiniętych wstążką pudełek pełnych cukierków i czekoladek. Tyle tego było! Abel nie wiedział, na co najpierw patrzeć. „To wszystko dla ciebie!" mówił pan, całując go.

Oczywiście pocałunek był z tych nieco szorstkich, pocałunek mężczyzny. Wszyscy mężczyźni są nieco brutalni: wystarczyło zobaczyć, jak się obchodzą z biedną Ma ci dranie, którzy się wokół niej kręcili, obłapiali ją na siłę nachylając się przez kontuar albo ukradkiem obmacywali, kiedy ich obsługiwała. Broniła się jak mogła, ofuktiwała ich ostro, na zalecanki odpowiadała słowami ubliżającymi i szorstkimi. Jej uroczy akcent francuski, który tak im się podobał, stawał się wtedy wulgarny, jej subtelna uprzejmość przemieniała się w furię... Ale Ma zawsze w końcu ulegała temu czy tamtemu. Na ogół był to jakiś kierowca ciężarówki czekający na spóźniony ładunek albo mający przerwę na wypoczynek między dwiema długimi trasami transkontynentalnymi.

Pewnego wieczoru klient, dyskretnie ulokowany w jednym z boksów w głębi, zostawał przy swoim piwie po zamknięciu. Ma mówiła mu wtedy, żeby poszedł z nią na górę na noc. Albo na kilka nocy... Przez cienką gipsową ściankę, do której przylegał jego pokoik, Abel z zainteresowaniem słuchał, jak się kochali. Często jednak po dwóch, trzech dniach wspólnego życia przychodził czas razów i krzyków. Wtedy z oczami pełnymi łez, upokorzony, że nie jest w stanie obronić matki, Abel na wąskim łóżeczku przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, szukając zapomnienia...

Mężczyzna potem odchodził. A Madeleine, jak jej patronka, płakała całymi dniami. Tylko Abel umiał ją pocieszyć. Obejmował ją mocno krótkimi rączkami, wieszał się na jej szyi, całował—i jego pocałunki były łagodne. Ma często mu to powtarzała, śmiejąc się przez łzy. „Och, ty jesteś moim małym mężczyzną" — szeptała mu do ucha — „moim małym narzeczonym!" I niebawem, pragnąc go pocieszyć w strapieniu, jakie miał z powodu jej strapienia, nuciła mu półgłosem starą francuską kołysankę, usypiając go na kolanach:

Meunier, tu dors
Ton moulin, ton moulin
Va trop vite...

Albo piosenkę:

Panie Janie
Panie Janie
Rano wstań!

której słowa Abel dotąd pamiętał.

Czasami, kiedy była w wyjątkowo dobrym humorze, kiedy od dłuższego czasu nie było żadnego mężczyzny w jej życiu, Madeleine zawieszała na drzwiach wejściowych tabliczkę „Zamknięte", ściągała fartuch, zdejmowała akordeon zawieszony na pasach obok ekspresu do kawy i ku wielkiemu zadowoleniu znajdujących się tam paru bywalców zaczynała śpiewać jakąś znaną piosenkę Mistinguett, Chevaliera czy Damii. Abel w ogóle nie rozumiał słów, ale melodia wpadała w ucho i niebawem zaczynał tańczyć między boksami, skakał

z siedzenia na siedzenie, walcował i walcował, i walcował, aż padał na ziemię ogarnięty zawrotem głowy. Były to cudowne chwile! I odnosił prawdziwy sukces, z czego był bardzo dumny: kierowcy otaczali go kręgiem klaszcząc do taktu, nazywając „Fred Astaire Junior" lub „Little Gene Kelly", i włączając się na koniec do tańca, którego tempo stawało się coraz żywsze... Och! jakże Abel czuł się wtedy szczęśliwy! Wtedy prawie lubił tych niedobrych gburów, którzy zadawali cierpienie jego matce. Mówił sobie, że później on też będzie jeździł wielkimi błyszczącymi ciężarówkami z jednego wybrzeża na drugie. I że między jedną a drugą trasą zawsze wpadnie do zajazdu swojej Ma, gdzie odnajdzie rozkoszne ciepełko, zapach kawy i opiekanego chleba... Tyle że wreszcie zaprowadzi tam swoje prawa. I Madeleine Langlois będzie szanowana: nikt więcej nie odważy się jej napastować, taki respekt wszyscy będą czuli przed jej dużym, dzielnym synem. Nie! już nikt nie spróbuje maltretować Ma! I nikt prócz niego nie będzie miał prawa jej całować.

I nikt też więcej nie będzie miał prawa drwić z pana przyjeżdżającego cadillakiem — ze „starego Emersona", jak go nazywano —nikt więcej nie będzie miał prawa śmiać się ze Świętego Mikołaja za jego plecami...

— Abel, śpisz?

Jacques, który się właśnie przebudził, serdecznym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

— Zdawało mi się, że to ty spałeś, stary — odparł ironicznie Abel, zabijając ręce dla rozgrzewki. — Zastanawiam się zresztą, jak możesz!

— Spałem tylko połowicznie. A jak wiesz, mam troje oczu! —kpiącym tonem odpowiedział Jacques.—I to trzecie oko, osławione oko przewodnika, dojrzało, że zaczyna się przejaśniać.

Niebo istotnie powoli się rozchmurzało. Na wschodzie pojawiało się coraz szersze pasmo błękitu. Rzecz osobliwa jednak: podobnie jak zimą przy ładnej pogodzie, ziąb stawał się coraz dotkliwszy.

— Musimy iść — zdecydował nagle przewodnik. — Za wszelką cenę trzeba się teraz wspiąć. Nie możemy tu

zostać. Spróbujemy dotrzeć przed nocą do dużej przewieszki. Szybko...

Szybko! mówili sobie w duchu. Szybko! Szybciej!

Szybciej, bo niebo na nowo ciemniało i fioletowiało. Szybciej, bo zrywał się wiatr niosący lekkie zmarznięte płatki śniegu. Szybciej, bo z oddali dochodziło dudnienie pierwszych piorunów, powoli się zbliżając. Szybciej, bo nad ich głowami zygzak błyskawicy rozświetlił niebo...

I Abel krzyczał:

— Grad! Grad!

Teraz bowiem sypał grad — gęsty. Duże kawałki lodu wielkości gołębiego jaja waliły w ich kaski i tłukły się dokoła, odbijały się od ściany, uderzały w ich twarze i ręce, które rozpaczliwie czepiały się skały, by nie wypuścić wątłego oparcia.

Jeszcze jedno musieli przejść! Zaznali już udręki śniegu, wiatru, mgły, zadymki; zaznali udręki bezsennej nocy spędzonej w uprzęży zawieszonej na haku; zaznali udręki chłodu i ciemności. A teraz grad! Cóż gorszego mogło im się przydarzyć? Czy przyjdzie im zginąć tak blisko przewieszki, gdzie mieli nadzieję znaleźć schronienie? Stopy się ślizgały, dłonie z coraz większym trudem się zaciskały, nic nie widzieli, ich ciała kurczyły się konwulsyjnie, ale musieli za wszelką cenę piąć się dalej — Jacąues tak powiedział. Sypał grad i nadchodziła noc. Och! co mogło ich jeszcze czekać?

Coś znacznie gorszego.

— Jacąues!

W okrzyku tym było przerażenie i rozpacz. Ponad nimi oderwał się głaz, staczał się, odbijał od ściany i spadając, przeciął linę — na trzy części.

— Abel! Och, nie!...

Nie, Abel nie spadł! Nadal był na ścianie, utrzymując chwiejną równowagę nad przepaścią.

— W porządku, Jacąues! Nic mi się nie stało — miał jeszcze siłę zawołać.

— Och! Abel!... Abel...

Struchlały Jacąues bezsilnie patrzył, jak Abel niepostrzeżenie ześlizguje się wzdłuż szczeliny...

— Nie!

Abel wziął się w garść i przywarł ciałem do mokrego granitu. Ręce miał we krwi, ale wytrzymał. Jak długo uda mu się tak wytrwać? niespokojnie zastanawiał się przewodnik. Jeden kawałek liny zwisał jemu u pasa, drugi u pasa jego towarzysza. Nie mógł go już asekurować. Trzeba by użyć innej liny. Nie było jednak mowy, żeby wydobyć ją z plecaka i opasać się w tak niebezpiecznej pozycji. Jedyne, co można było zrobić, to piąć się, piąć się wciąż wyżej — „szybko!"

Szybko, bo teraz sypał się na nich deszcz drobnych kamieni przemieszanych z gradem...

Szybko, bo od tej chwili była to kwestia życia lub śmierci: Abel przejawiał pierwsze oznaki wyczerpania nerwowego. Emocja i napięcie okazały się zbyt silne...

— Chodź, Abel! No chodź! Jeszcze tylko krok, jeden malutki kroczek. Będziemy na szczycie przed południem, Servoz ci to mówi. Będziemy przed południem...

Nie było im dane tam dotrzeć.

— Nie! — rozległ *sie naraz krzyk* Servoza, który przy warł do Abla wciskając go w zagłębienie w skale.

Ponad nimi znowu odrywał się potężny blok granitu, przez chwilę balansował na krawędzi, po czym runął z ogłuszającym łoskotem, spadł na przewieszkę i *porwał ze sobą* ich plecaki, sprzęt obozowy, młotki, większość karabinków i haków, które dopiero co odłożyli, by wciągnąć puchowe kurtki...

Byli sami, bez schronienia, bez jedzenia i picia, bez nadziei na pomoc, bez możliwości opuszczenia wąskiej przewieszki; byli sami na balkonie piekieł.

I znowu zapadała noc.

Znowu zrywała się burza...

* *

Nadchodziła teraz śmierć, podstępna, nieodgadniona, nieodparta — ale też upragniona.

Śmierć była lepsza od kolejnej nocy agonii na tej przewieszce — trzeciej? czwartej? Zaczynali już tracić po-

czucie czasu. Znajdowali się poza czasem, poza życiem, zagubieni gdzieś w ogromie wszechświata, miedzy niebem a ziemią, pod słońcem wreszcie świecącym.

Być może nawet już nie żyli. Ablowi, którego umysł chwilami szwankował, czasem tak się wydawało.

Jacques zachowywał większą przytomność i opanowa nie. Gdy wyczuwał, że Abel jest u progu łez, wtedy, starając się zapobiec nowemu napadowi rozpaczy, brał go w ramiona i tulił łagodnie, szepcząc do ucha bez ustanku, jak dziecku pocieszanemu w strapieniu: *

— Abel... No już... Wszystko będzie dobrze... Nadejdzie pomoc... Patrz, znowu się wypogodziło! Wiatru prawie nic ma... niebo jest jasne... Abel, to już nie potrwa długo... Musisz wytrzymać, Abel... Musisz żyć... Nie możesz tego zrobić Johannie... Przecież ją lubisz... I starego Servoza też przecie lubisz: chyba^o teraz nie zostawisz, co?...

I było to jakby tchnięcie weń odrobiny swojego życia, tak bogatego, tak szczodrego. Jakby mu je darowywał, choć niewątpliwie za kilka dni, za kilka godzin, kiedy zabierze go śmierć, tego życia na zawsze pozbawi własnego syna, małego Davida, i swą żonę Colette.

Jacques bez ustanku o nich myślał. Oczyma wyobraźni widział Colette tam, w dolinie, z Davidem na ręku, nadaremnie przebiegającą wzrokiem szczyty gór. Wyobrażał sobie, jak oszalała z niepokoju domaga się wyprawy ratunkowej, która się nie organizuje albo organizuje się opieszale, jak błaga, by jak najszybciej ruszono z pomocą, by przynajmniej „coś" spróbowano zrobić...

Cóż jednak mogli dla nich zrobić koledzy ze Stowarzyszenia Przewodników? Co mogli zrobić członkowie pogotowia ratunkowego żandarmerii? Ilu było w stanie przybyć im z pomocą? Takich dało się policzyć na palcach jednej ręki. I to jeszcze warunki musiały być dobre, a pogoda niezmienna przez czterdzieści osiem godzin, aby zdążyli sprowadzić dwóch rozbitków z przewieszki na Aiguille du Fou.

Aiguille du Fou! Góra Szaleńca!—słusznie tak nazwana. Jacques istotnie musiał być szalony, żeby przyprowadzić tu Abla! I ogarnięty lekką manią prześladowczą, którą w jego umyśle z wolna wywoływało nerwowe wyczerpanie, za-

stanawiał się chwilami, czy Aiguille nie nazywała się tak ze względu na niego — aby go wyzwać.

Udawało mu się jednak nadal dość szybko odzyskiwać poczucie rzeczywistości i starał się nie ulegać zbytnio panicznemu strachowi, jaki opanował Abla. Był zdania, że pomoc może przyjść jedynie z nieba. Tyle że helikopter musiał zawisnąć dokładnie nad nimi — co było mocno niebezpieczne z powodu ciągle dużej siły wiatru...

Och, jakież poczuli przez króciutką chwilę szczęście poprzedniego dnia — a może dwa dni wcześniej? — usłyszawszy charakterystyczny warkot wirnika rozcinającego nad nimi powietrze...

— Jacques! Jacques! — zawołał wtedy Abel z gwałtownością obłąkanego. — Jacques! Są!

I z radości rzucił się ku wielkiemu owadowi błyszczącemu w słońcu... ku przepaści! Gdyby Jacques w porę go nie przytrzymał, Abel by nie żył...

Może tak byłoby lepiej! myślał teraz przewodnik w rzadkich i krótkich chwilach zwątpienia. Jakże gorzkie bowiem czekało ich rozczarowanie! Zobaczyli pilota i siedzącego obok ratownika wymachujących do nich zza lśniącego kokpitu, zobaczyli, że helikopter się zniża szukając miejsca odpowiedniego, by nad nimi zawisnąć... A potem zobaczyli, jak kołysany turbulencjami znowu się wznosi: zbyt silne były podmuchy wiatru, by można zaryzykować akcję ratowniczą.

A co musiała przeżywać Colette Servoz, kiedy się okazało, iż alouette wraca bez dwóch zaginionych! Tyle że teraz przynajmniej wiedziała, co się z nimi dzieje. Wiedziała, że żyją — jeśli życiem można nazwać prymitywne pragnienie przeżycia, o które walczyli — i nic ponadto.

Później, po południu, raz jeszcze pojawił się helikopter, witany znowu obłąkanym wrzaskiem Abla. Wypuszczono wciągarkę ze skrzynią z żywnością, odzieżą i lekarstwami, mającymi pomóc im przetrwać do czasu, aż wyprawa ratunkowa lepiej się zorganizuje. Skrzynia kołysała się przez kilka sekund w powietrzu, miotana podmuchami wiatru, po czym huknęła o skałę i roztrzaskała się... Bez słowa oszołomieni Jacques i Abel patrzyli, jak w przepaść spadają butelki i pudełka, palniki i puchowa odzież, liny i pałatki — los zawziął się na nich. Jakby ich karząc za jakieś

przewinienie. Może za to, że chcieli się wspiąć na przeklętą Aiguille du Fou!

Nic nie mogli teraz zrobić. Tylko czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Oczekiwanie jednak sączyło w ich serca coś na kształt nieznośnego przerażenia: czy to właśnie jest wieczność? Czy już przekroczyli próg śmierci?

Nadchodził obłęd, podstępny, niezbadany, nieodparty, ale też upragniony. Albowiem obłęd w pewnym sensie oznaczał zapomnienie.

Przed oczami tańczyły im przywidzenia, coraz bardziej obsesyjne i fascynujące, wizje niezwykłe i wspomnienia tak wyraźne, aż zdawało im się, że raz jeszcze przeżywają chwile przeszłe, wracające im na pamięć mimowolnie.

— Ma! Ma! Ma! — zaczął w pewnej chwili krzyczeć Abel. Jego szeroko otwarte oczy były błędne. Na co patrzył z takim przerażeniem? — Ma! — powtórzył rozpaczliwie, w zgięciu ramienia kryjąc twarz, swą piękną twarz zniekształconą zmęczeniem. — Och, nie! Nie!... Ma! Nie!

— Ma! — krzyknął, zrywając się ze snu. Zza ściany dochodziły przerażające go zduszone jęki, głuche dźwięki uderzeń. Olbrzym, który od kilku nocy spał z Madeleine, znowu zaczął ją bić. A Madeleine zaklinała go cichym głosem, łamiącym się ze strachu:

— John, błagam! John! Nie, John...

Nie mogąc tego dłużej znieść Abel usiadł, przez chwilę się wahał, po czym wyskoczył z łóżka. Miał już dziesięć lat. I dzisiaj, silny owymi dziesięcioma latami, słuchając tylko tego, co mu dyktowało jego męstwo, będzie jak dzielny kapitan, którego przygody poznał z książki podarowanej mu przez pana z cadillaca: odważy się stawić czoło olbrzymowi, choć tak bardzo się go boi.

Pobiegł do sypialni, z rozmachem otworzył drzwi...

Nigdy chyba nie zapomni widoku, jaki ujrzał: w półmroku nagusieńki kolos siedział okrakiem na jego matce i podskakiwał, okładając ją razami — czy mógłby coś takiego zapomnieć?

— Proszę pana! Proszę pana!

Zaskoczony mężczyzna obrócił głowę.

Z przodu był jeszcze straszniejszy: góra grubych mięśni utopionych w tłuszczu, owłosiony jak małpa, lśniący od potu, spieniony:

— No co? Czego tu chcesz, szczeniaku?

Zszedł z łóżka i kroczył, złowrogi, ku dziecku. Chłopiec jednak nie cofał się. Przestał się bać: miał w sobie dość wewnętrznej siły woli.

— Proszę pana — rzekł głosikiem napiętym do granic, ale stanowczym — nie chcę, żeby pan robił krzywdę mojej mamie! Nie chcę...

— Twojej mamie? — zawołał mężczyzna. — Też coś! Twojej mamie! A, bo ty myślisz, że... Biedny smarkacz!

Abel zrazu nie pojął, dlaczego Madeieine załamując ręce jęła go błagać:

— John, nie! Zabraniam ci! John, och! proszę, milcz! Nie mów mu, John...

John jednak szydził nadal z dzikim zadowoleniem:

— Twoja matka!

I wtedy to, dokładnie w tej chwili Abel się dowiedział!

— Twoja matka! — powtórzył mężczyzna, śmiejąc się w najlepsze. — Ale przecież ona nie jest twoją matką, głupi szczeniaku! Ha ha! „Moja mama!" No nie! Posłuchajcie tylko tego bękarta, który chce mi prawić morały! A tak, bękart! Bękart, powiedziałem! Bo jesteś tylko bękartem, głupi szczeniaku!

— John! Nie, John!

— Och, zamknij się, Mad! Za kogo się ma ten skurwysyn? Za kogo się masz, szczeniaku, hę? Pewnieś nigdy się nie zastanawiał, czemu nie nazywasz się Langlois, co? Jakbyś był dzieciakiem Madeleine, to tak byś się właśnie nazywał, ty głupku! Albo Livio: tak się nazywał jej facet, który ją rzucił... Między nami mówiąc, dobrze zrobił!

— John! Ucisz się, John...

— No nie, ten gnojek naprawdę mnie wpieprza. Wiecznie mi siedzi na karku. „Moja mama! Moja mama!" Nazywasz się Young, szczeniaku! Abel Young! A chcesz wiedzieć dlaczego? Bo ta dziwka twoja matka nazywała się Young, dlatego! I kojfnęła, jak cię rodziłal Trudno się jej dziwić... Zobaczyła, że z cipki wyłazi jej takie paskudztwo i pewnie się przelękła...

— John! Przestań! Nie, John!... — szlochała Madeleine, ściskając w ramionach skamieniałego ze zgrozy Abla, ściskając go, aż mu brakowało tchu...

Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć te krzyki, łzy, tę furię? Czy zapomni zbierające go mdłości? Czy zapomni obłąkany szał Johna, który i jego zaczął okładać, a Madeleine nadaremnie próbowała go osłonić?

— Nazywasz się Young! — znowu ciągnął swoje olbrzym. — Słyszysz, wstrętny bękarcie? Young! A nie tak jak twój ojciec! Nie nazywasz się Abel Emerson, słyszysz, szczeniaku?... A chcesz wiedzieć czemu? Chcesz? Bo jesteś zwykłym bękartem! Bękartem! Ten stary fiut Emerson wywalił cię jak śmierdzące gówno! Ale też niczym lepszym nie jesteś... Nie chciał cię papcio Emerson, facet z cadillakiem, który się bawi w Świętego Mikołaja! Pewnie tak samo jak twoja matka papcio Emerson uznał cię za paskudztwo... A wiesz, kim jest Emerson, pieprzony szczeniaku? Wiesz, kim jest twój ojciec? Miliarderem! Tak, miliarderem! A wiesz, co znaczy miliarder? To facet, co ma forsy jak lodu! Jeden z dziesięciu najbogatszych w Stanach, czyli jeden z dziesięciu najbogatszych facetów na tym zasranym świecie!...

— To nieprawda! Nieprawda! — sprzeciwił się naraz mały Abel, oszołomiony ze strachu i udręki. — To nieprawda! Pan kłamie — powtarzał, zanosząc się czkawką i wstrząsany konwulsjami. — To nieprawda!

I naraz, wyrwawszy się z objęć Madeleine, która osunęła się nieprzytomna, wyskoczył przez otwarte okno — w przepaść.

Bywa, że mając dziesięć lat chce się umrzeć.

Bywa też, że i później chce się umrzeć, kiedy człowiek czuje się opuszczony przez Boga i ludzi, podobnie jak niegdyś on czuł się niesprawiedliwie opuszczony przez ojca.

Abel był jeszcze pod wpływem szoku spowodowanego okrutnym wspomnieniem z przeszłości. Znów odnajdywał straszne uczucie, zarazem chwilowe i nieskończone, lotu w przepaść. I on, który ocalał z tej próby samobójstwa i później, przez długie lata choroby i cierpienia moralnego, sądził, że nie zazna w swym życiu gorszych chwil, teraz oto

wypowiadał słowa bez związku, a wśród nich stale się przewijało „chcę umrzeć".

— Ma, oni już nie przylecą — mówił. — Nic przylecą helikopterem... To przez Johna, Ma! I Dick też nie mógł... Ale gwiżdżę na to: chcę umrzeć... Mogą sobie nie przychodzić! Chcę umrzeć...

— Może byś się w końcu zamknął! — przerwał mu Jacąues z nienawiścią w głosie.

Był to jego pierwszy napad słabości: on także, znalazłszy się u kresu wytrzymałości nerwowej, nagle przestał się kontrolować.

Oniemiały z przerażenia Abel cofnął się, patrząc na przyjaciela, jakby go nie poznawał: Jacąues również go opuszcza...

Jednak nie. Resztką woli Jacąues, wstrząsany nerwowym szlochem, przysunął się doń i konwulsyjnie go ściskając zawołał:

— Och, Abel! Abel, chłopcze... Wybacz mi! Wybacz!

I naraz zmienił się ton jego głosu: z błagalnego stał się szaleńczo radosny.

— Abel, nadlatują! — wybełkotał. — Nadlatują! — powtórzył normalnie. — Abel! Abel! Przylecieli! — wrzasnął. — Słuchaj tylko! Słuchaj! Są tam, Abel! Są!...

I palcem pokazywał hałaśliwe cacuszko na błękitnym niebie...

— Przylecieli! Widzisz? Słyszysz ich, Abel? Widzisz?

Jednakże Abel niczego nie widział, niczego nie słyszał — zamknął się w swojej rozpaczy.

I naraz rzucił się ku przepaści, w napadzie szaleństwa deklamując kilka wersów z Rimbauda, którego tak lubił, kilka wersów, które nie wiedząc dlaczego teraz sobie przypomniał:

Już odnaleziona. Co? —
Wieczność. To ona. Morze
odchodzące Pospołu ze
słońcem.

Część druga

GODZINA WILCZYCY

Stary niedługo wykorkuje!

Robert G. Kelly, ledwie zamknąwszy za sobą dwuskrzydłowe drzwi dyrektorskich gabinetów, oznajmił tę wieść wyzbywając się zwyczajowej oględności w słowach. Dwaj mężczyźni, których tu wezwał, George Whyatt i Sam Bergman Jr., przez chwilę jakby skamieniali tkwili z otwartymi ustami na progu przestronnej sali recepcyjnej, poprzedzającej właściwy gabinet. Nie dlatego, że ich ta nowina zaskoczyła: od trzech miesięcy, czyli odkąd Eliott E. Emerson wypoczywał w Saint-Jean-Cap*Ferrat we Francji, szeptano po kątach, iż ten nienormalny i długi „wypoczynek" nie jest bynajmniej wypoczynkiem. Określenie bowiem wyglądało na eufemistyczne: było to pobożne kłamstwo przeznaczone dla uszu 4560 pracowników koncernu Events, mające przed nimi ukryć, że szef umiera. „Na raka gardła", dodawał ten i ów z rzekomo, a może i rzeczywiście wtajemniczonych... Whyatt i Bergman, najbliżsi współpracownicy Kelly'ego, domyślali się prawdy, jednakże tym, co ich teraz zdumiało, był widok Kelly'ego zamykającego drzwi swojego gabinetu po raz pierwszy od trzydziestu lat, te drzwi, które manifestując swą demokratyczną bezpośredniość, zostawiał zawsze szeroko otwarte, twierdził bowiem, że każdy dziennikarz „Eventsa", choćby najniżej postawiony w sztywnej hierarchii redakcji, niezależnie od pory dnia powinien mieć swobodny do niego dostęp, jeśli sobie tego życzy. Nie trzeba chyba dodawać, że niewielu było takich, co ośmielili się z owej swobody skorzystać, nie zapowiedziani przedtem

groźnemu Kelly'emu przez jego groźną sekretarkę, miss Hepplewhite.

To, że zamknął drzwi, zdumiało Whyatta i Bergmana, ale jeszcze bardziej ich zaszokowało, że z ust dyrektora generalnego pisma padł nie tylko wulgarny czasownik „wykorkować", ale też określenie nieoczekiwane, niestosowne, niebywałe: „stary"! W ciągu trzydziestu lat Kelly nigdy sobie nie pozwolił nazwać Emersona „starym". Zostawiał to niższym piętrom Events Tower. I jeżeli w ciągu trzydziestu lat ze dwa, trzy razy zapomniał się do tego stopnia, że powiedział o szefie „Trzy E" — tak Eliotta Ernesta Emersona przezywało całe wydawnictwo — to zawsze potem szczerze się kajał, jak gdyby dopuścił się niewybaczalnego wykroczenia w zakresie dobrego smaku. A tymczasem samego Emersona bawił ten niewinny i w sumie sympatyczny skrót, znany do tego stopnia, że nawet prezydent Kennedy tak się właśnie w ciepłych słowach zwrócił do starca podczas obiadu w Białym Domu. Kelly jednak zawsze był uosobieniem rezerwy i dystynkcji. Można by twierdzić, że — wierny w tej kwestii koncepcji szefa, wielkiego pana nie mającego sobie równych, i na swój sposób bardziej cesarski niż cesarz — to on wymyślił „styl Eventsa", na który składał się sztywny i bardzo „staroeuropejski" bon ton, subtelny melanż uprzejmości i arogancji, wyniosłej nonszalancji i kpiącej powściągliwości, dandyzmu i suchego purytanizmu. Nie ma mowy, żeby w biurach Eventsa, przynajmniej powyżej pięćdziesiątego czwartego lub piątego piętra, kiedykolwiek pojawił się mężczyzna w golfie, w koszuli z zakasanymi rękawami czy—co gorsza! — bez krawata. Jeśli idzie o kobiety posłuszne modzie na spodnie, którą jesienią roku 65 narzucili Cardin i Courreges, to zaraz mogły myśleć o rozejrzeniu się za nową posadą „naprzeciwko"—tą peryfrazą pracownicy Eventsa określali koncern Time-Life: tak postanowił Kelly i nawet projektanci z *Lady Chic,* żurnalu koncernu, ściśle się tego trzymali. Jedna Kay Mc Kay pozwalała sobie czasem na pokazywanie się w prowokujących, krojonych po męsku garniturach z pasiastej flaneli. Ale Kay Mc Kay była żoną „Trzy E". Ona jedna mogła łamać zakazy Kelly'ego, czego zresztą nigdy nie omieszkała uczynić...

Jakie to jednak miało znaczenie dla KelIy'ego? Czyż nie ku jego radom skłaniał się szef? Czyż nie on w sposób najbardziej autentyczny reprezentował „elegancję £ventsa", ten szyk niepowtarzalny: dyskretne, stonowane krawaty, dyskretne garnitury szare bądź ciemnoniebieskie, dyskretne samochody europejskie, dyskretne wakacje raczej w Salzburgu lub Wenecji niż na wyspach Bahama, raczej dyskretne obiady w mieście niż kolacje w nocnych klubach, a do tego niewyczerpane pokłady kurtuazji wszędzie indziej już niemodnej. Słowem, „styl Emersona".

Toteż „stary" w ustach Kelly'ego było równie szokujące jak odkrycie, że jego matka po kryjomu się upija albo ojciec okrada stragany. Ten człowiek, zwykle wypowiadający się w sposób tak opanowany, musiał być zatem u szczytu wzburzenia, żeby tak sobie pofolgować. Niewątpliwie był to skutek nagłego osłabienia subtelnej tyranii, jaką od tylu lat przetrzymywał bez mrugnięcia. Nieobecność Emersona zdawała go na samego siebie i w pewnym sensie to go deprymowało. Ale też można się było dopatrywać w odstępstwie od własnych zasad językowych oznaki rozgoryczenia rosnącego w nim od trzech miesięcy, odkąd Emerson „wypoczywał" w Saint-Jean-Cap-Ferrat, Kelly'emu zaś przyszło bez ustanku znosić obecność jego żony i syna. Kay Mc Kay i Jeremy zdecydowani byli sprawować taką samą jak Eliott władzę absolutną. Tyle że teraz Kelly sam musiał stawiać czoło kaprysom, zachciankom, szaleństwom, atakom histerii tej, którą przezwano Lady Mc Beef, straszna Lady Mc Beef! A jego szefem, którego miał być prawą ręką, nie będzie już człowiek genialny, jakiemu żarliwie służył przez ponad ćwierć wieku, lecz, niestety! ten, którego nigdy nie nazywano po prostu Jeremy Emerson, tylko „ten kretyn Jeremy"! Kelly czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Życie nagle waliło się w gruzy...

— Stary wykorkuje! — powtórzył, tak ciężko opadając na swój dyrektorski fotel pokryty czarną skórą, aż niechcący wprawił go w ruch obrotowy. — Wykorkuje! — westchnął.

Whyatt i Bergman patrzyli na jego profil: bulwersowało ich, że tak jest przybity i jakby samemu sobie czyni niemy wyrzut za nieoczekiwanie ordynarny język. Przetarł palcami

oczy. Wydawał się wyczerpany bezsenną nocą. Szeptem dodał:

— Przyszedł właśnie teleks z Saint-Jean-Cap-Ferrat: to już koniec. Lekarze mówią, że zostało mu najwyżej kilka dni, może kilka godzin. Wezwał do siebie Kay, Faye i Jeremy'ego. A wczoraj, ponieważ była niejaka poprawa, dał radę porozmawiać ze mną przez telefon. Prosił, żebym został w Nowym Jorku. „Emerson odchodzi, ale Events zostaje", powiedział. A potem bardzo tajemniczym głosem dodał jeszcze, że mam się nastawić na wielką, ogromną niespodziankę w kwestii spadku. Próbowałem się czegoś więcej dowiedzieć, ale urwał twierdząc, że jest zmęczony i musi już kończyć... To tyle. Nic więcej nie wiem... — zakończył Kelly.

I nagle po policzkach spłynęły mu dwie łzy, których nawet nie starał się ukryć. Whyatt i Bergman, zakłopotani, usiedli na narożnej kanapie i nie wiedząc, co powiedzieć w charakterze wyrazów współczucia, ukradkiem patrzyli, jak z trudem hamuje ściskający go za gardło szloch. W najmniejszym stopniu ich nie dziwiła gwałtowność jego reakcji. Eliott E. Emerson był dla Kelly'ego bogiem i mistrzem, duchowym ojcem, po prostu ojcem... Ale ojcem wymagającym, który przez całe życie był także jego tyranem. Współpracownicy „Eventsa" często mawiali: „Trzęsiemy się wszyscy przed Robertem, ale nigdy nie będziemy się trzęśli przed nim tak, jak on trząsł się przed »Trzema E«!"

Kelly dokonał wyboru swego tyrana w roku 1935, kiedy to, jeszcze jako młody człowiek, z dnia na dzień zwolnił się z „Time'a" i zatrudnił u Emersona. Niemal od pierwszej chwili zrodziło się między nimi coś na kształt platonicznej namiętności; i jak w każdej prawdziwej namiętności nie ominęły ich nierozerwalnie z nią związane nienawiść i przyjaźń, przymus i uległość, bunty ze strony Kelly'ego, a ze strony Emersona — straszne represje, zawsze potulnie akceptowane... Wszystko to, co genialny magnat prasowy, założyciel pisma wszech czasów wymyślił, nie ujrzałoby światła dziennego, gdyby nie było przy nim Kelly'cgo, zarazem przyjaciela, doradcy, skromnego wykonawcy poleceń, popychadła, błyskotliwego zastępcy — jakiego potrzebuje każdy zwycięzca, by pomyślnie zrealizować swoje przedsięwzięcie — szarej eminencji. A czasem, w razie niepowodzenia,

również kozła ofiarnego. Tyle że porażki zdarzały się Emersonowi tak rzadko, iż Kelly nie przypominał sobie, by musiał odegrać tę przykrą rolę ze dwa, trzy razy w życiu. I ze dwa, trzy razy przy tej okazji — takiego figla płatała mu podświadomość — nazwał Emersona „Trzy E"... Wszystkie pomysły rzucane przez „Trzy E" urzeczywistniały się dzięki Kelly'emu — i „Trzy E" dobrze o tym wiedział. Mądrość zawsze mu nakazywała o tym wiedzieć. Nigdy niewiarygodny sukces nie uderzył mu do głowy. Również pod tym względem był genialny: geniusz umie postępować i nigdy nie czuje zazdrości ani pogardy wobec tego, kto jest jego prawą ręką. Sam Aleksander Wielki byłby nikim, gdyby go nie wspomagał jakiś nieznany wódz, którego imię nie przeszło do historii: przez trzydzieści lat ich współpracy Kelly był takim właśnie nieznanym wodzem, działającym skutecznie, choć niewidocznym...

Whyatt i Bergman rozmawiali półgłosem, gdy Kelly w łazience przylegającej do gabinetu szerokim strumieniem lał wodę na zaczerwienione oczy i starał się wrócić do równowagi.

— No, na brak rozrywek to tu nie będziemy narzekać — westchnął Bergman. — Z Lady Mc Beef i tym kretynem Jeremym ubaw będzie po pachy! George, jeśli chcesz znać moje zdanie, to trzeba się przestawić, i to szybko! Teraz wszystko jest lepsze od gnicia tutaj. Natychmiast się biorę za czytanie ogłoszeń „Eventsa" — dodał żartobliwie. — Wierz mi, że byle co mnie urządza. Nawet posada redaktora części poświęconej akcesoriom metalowym w katalogu Sears Roebuck...

— Nie gadaj głupot. Naprawdę nie widzę, co by to miało zmienić w naszej sytuacji... Gorzej niż za czasów „Trzy E" nie będzie!

— Właśnie że taki Bo szef był może tyranem, ale nie łajdakiem ani głupcem. Zapytaj, co myśli o tym Kelly, który blisko trzy miesiące ma na karku królową matkę i tego kretyna pieszczoszka Jeremy'ego. Widzisz zresztą, że biedak jest na skraju załamania nerwowego. A bigos dopiero się zaczyna! Wystarczy pomyśleć o tym horrendalnym idiotyzmie z „Tuxedem", w jakie nas wpakował Jeremy!

— Pierwszy fałszywy krok koncernu!—z zadowoleniem oznajmił Robert G. Kelly, który odzyskawszy nad sobą panowanie, usłyszał słowa Bergmana, gdy zakręcił kurek, i teraz wracał zamaszystym, zdecydowanym krokiem do gabinetu—to również było do niego niepodobne: on, zwykle tak dyskretny...

— Pierwszy totalny kretynizm, odkąd ta buda istnieje!

Dawał upust rozgoryczeniu z gwałtownością, która wystraszyła jego rozmówców.

— To oznacza katastrofę, słyszysz, Sam? Katastrofę! Studnię bez dna... Już utopiliśmy w tym półtora miliona dolarów, a nie ma nawet cienia nadziei na ujrzenie choćby zalążka numeru zerowego! Nic! Jesteśmy na etapie piątego zespołu redakcyjnego, dziesiątego projektu formatu i makiety i czy ja wiem, co tam jeszcze?... Trwa enta kampania w agencjach reklamowych, żeby wykupiły miejsce w piśmie, a ciągle nie możemy im pokazać najmarniejszego projektu, który z grubsza by mówił, co to ma być! I to wszystko w chwili, kiedy musimy odnowić umowę „Eventsa" z agencją Young&Rubicam! To bez sensu, kompletnie bez sensu!

— A wiesz? — zawołał Whyatt. — Może nie jestem najbystrzejszy, ale do tej pory nie pojąłem, co Jeremy chce zrobić z tym „Tuxedem"...

— Żeby przynajmniej ten pajac wiedział! — odpalił Kelly.

— Och, Robercie! — udał zgorszenie Bergman.

I trzej mężczyźni, którzy nigdy takiej wspólnoty uczuć nie zaznali, wybuchnęli śmiechem. Kelly nie starał się nawet udawać żalu za to słowo: padło i nie cofał go! Wreszcie wyrażał tak długo skrywaną w sobie nienawiść.

— Sprawa wygląda tak — podjął — że Jeremy E. Emerson ma się za kogoś takiego jak Hugh Heffher, wyobraźcie sobie! A raczej ma ambicję być anty-Heffnerem. I chce stworzyć ni mniej, ni więcej tylko anty-„Playboya"! Uważa, że to jedyny tytuł, jakiego jeszcze brakuje koncernowi, żebyśmy byli naprawdę „na poziomie", jak mi kiedyś powiedział. „Robert, nie jesteśmy na poziomie!" Skończony kretyn!... A więc, skoro chcecie wszystko wiedzieć, „Tuxedo" — jeśli to to w ogóle kiedykolwiek ujrzy światło dnia!

— „Tuxedo" będzie prawdziwym anty-„Flayboyem". Wszędzie tam, gdzie „Playboy" pokazuje gole tyłki, Jeremy chce zamieszczać zdjęcia zdrowych, wysportowanych panienek z towarzystwa... Oczywiście ubranych! Mówię wam, że tak chce zrobić! Ten pętak sądzi, że na tym właśnie polega styl „Eventsa" i że jest mu wierny zakładając „Tuxedo", „pismo dżentelmena doskonałego"! Półgłówek!... Ale to nie wszystko: szanowny pan Jeremy życzy sobie tak samo jak Hefmer wielkich pisarzy. Tylko że, trzymajcie się mocno! wielkich pisarzy, którzy nie są ani lewicowcami, ani pedałami, ani Murzynami, ani neurotykami, ani alkoholikami... ani nawet nowojorczykami! A gdyby tak nieszczęściem mieli być Żydami, to trudno, byle w granic ach rozsądku. Mimo wszystko Jeremy ma niejakie skrupuły w otwartym określeniu siebie jako antysemity — miałby z tym trudności! Wyjaśnił mi jednak, że lubi tylko Żydów „wybielonych", jeśli tak można powiedzieć, słowem, Żydów i la Emerson...

— Wielkich pisarzy, którzy nie są ani lewicowcami, ani pedałami, ani Murzynami, ani neurotykami, ani alkoholi kami... — powtórzył Whyatt, wstrząsany śmiechem.

A Bergman, równie rozbawiony, zawołał:

— Ha! świetnie! Hefmer zafundował sobie dwóch Millerów, Arthura i Henry'ego, zafundował sobie Mailera, Chestera Himesa, Trumana Capote'a i Albee'ego. My będziemy mieli pamiętniki generała MacArthura w części literackiej i babci Eisenhower w części rozrywkowej!

— No i widzicie, jak to wygląda! — mówił dalej Kelly spokojniejszym tonem. Niecodzienna w tym gabinecie wesołość teraz jego zdumiewała. Poważniej już dodał:

— Zmierzamy prosto do ruiny. Ten dureń, który się uważa za dziedzica ducha Emersona, myli po prosto znudzenie i konformizm z... z klasą, szykiem Eliotta.

— Cóż chcesz, Robert? Lady Mc Beef przyłożyła do tego ręki. Jaka matka...

— Jakże on... jak... — westchnął z cicha Kelly.

Nie dokończył myśli. Było to zresztą niepotrzebne: tamci domyślili się, o co mu idzie. Oni również setki razy zadawali sobie to pytanie, nie śmiąc go na głos wyrazić, tak wielki respekt budził w nich szef: jakże człowiek, równie elegancki i inteligentny jak Emerson, mógł poślubić kobietę równie

wulgarną jak Kay Mc Kay? Czy wyłącznie dlatego, że Kay była kiedyś jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie? I czy Emerson był mężczyzną, który poślubia kobietę tylko dla urody, choćby była ogniście ruda jak Kay? Abigail, jego pierwsza żona, choć nie tak rzucająca się w oczy, była osóbką bardzo ładną, a z natury dokładnym przeciwieństwem Kay: dobra, łagodna, kochająca, powściągliwa, a przy tym wytworna, wykształcona, błyskotliwa, dystyngowana... Dzięki kontaktom z tą panną wywodzącą się z arystokracji *waspów,* potomkinią emigrantów przybyłych do Ameryki na „Mayflower", Eliott stał się czymś na kształt renesansowego księcia, szeroko podziwianego. Abigail dodała mu poloru, wyrafinowania gustu, którego jeszcze brakowało wnukowi Abrahama Abrahamowicza. Nauczyła go sztuki życia wypracowanej przez swój ród, zarazem prostej i wyszukanej — sztuki życia nazywanej teraz „stylem Emersona". Przy Abigail Emerson zaznał szczęścia. Jakże rozpaczał po jej strasznej śmierci w kwiecie wieku, w pełni sławy! Nikt nigdy nie zdołał pojąć, jak to się stało, że w niespełna półtora roku po zdjęciu żałoby, po tak przejmującej rozpaczy, Eliott poślubił byłą tancerkę kabaretową, młodą wdowę po królu konserw wołowych: Kay Mc Kay.

Kelly machinalnym gestem dłoni odpędził te gorzkie myśli i wrócił do tematu zwołanej naprędce narady:

— Słuchajcie, moi drodzy — rzekł — nie jesteśmy tu po to, żeby mówić o przykrościach związanych z *Tuxedo.* Dość wiedzieć, że to pewna katastrofa...

Bergman, zwracając się do Whyatta, żartobliwie zauważył niby to mimochodem:

— A nie mówiłem, George? Trzeba jak najszybciej uciekać ze statku. Nadchodzi panowanie Kay i Jeremy'ego Emersonów...

— A Faye? — rzekł na to Whyatt. — O niej zapomniałeś?

— Och, biedna Faye! — sapnął Kelly przez zaciśnięte zęby.

— Jaka ona jest? — spytał Whyatt. — Wiesz, Robert, z pięć, sześć razy dostąpiłem niezrównanego zaszczytu goszczenia w dworku, ale ta pannica nigdy nie raczyła zjeść z nami.

— Ja ją widziałem — oznajmił Bergman z komiczną pyszałkowatością.—Wydała mi się przeurocza... Delicje nie dziewczyna, istne delicje! Tylko... jak by to powiedzieć?... trochę jak nie z tej ziemi. Trochę... pomylona.

— Trudno się dziwić: z taką matką! Biedna mała!

— Słuchaj no, George... Ty, stary kawaler... Powinieneś się trochę postarać! Emersonówna to naprawdę w tej chwili najlepsza partia. Piękna dwudziestka, a niedługo odziedziczy na spółkę z bratem imperium Eventsa! W dodatku mamuśka Kay zawsze miała do ciebie słabość...

— Skądś ty to wytrzasnął?

— Mamuśka Kay, jak mówię, byłaby uradowana, gdyby zdołała ci ją wetknąć: nie znosi biednej Faye...

— A wiecie? ta dziwka i ten jej łajdak Howard dopięli swego. Dowiedziałem się przez Barretta, że udało im się ubezwłasnowolnić Faye i zmusić ją do rezygnacji z wszelkich roszczeń do zarządzania swoim majątkiem. Dziewczyna naturalnie odziedziczy połowę fortuny, ale na tym koniec: nie ma mowy, żeby kiedykolwiek zasiadła w radzie nadzorczej lub jakiejkolwiek innej. Do końca życia ma być pod kuratelą. Wszystko znajduje się w gestii Kay i ona będzie jej wypłacała pensję wedle swego widzimisię. Howardowi dwa lata zajęło wykombinowanie tego, nie bez trudu zresztą, ale osiągnął cel: zdołali udowodnić ekspertom, że Faye jest stuknięta. Przy czym największy wstręt budzi we mnie to, że Eliott okazał się słaby, przymknął oczy i też podpisał! Musi z nim być naprawdę źle!... Stuknięta! Trudno się dziwić, zważywszy na te wszystkie środki uspokajające i inne świństwa, którymi Kay zaczęła opychać małą, jak miała z dziesięć, dwanaście lat!

— Ale dlaczego?

— Zdaje się, że dziewczyna jest trochę nerwowa i zmiennego usposobienia. Sądzę jednak, że przyczyna leży w czym innym: Kay nie może znieść jej widoku, bo jest równie piękna jak ona w tym wieku. Faye samą swoją obecnością stale jej przypomina, że nie ma już dwudziestu lat. A dobrze wiecie, co jest obsesją Kay: że starzejąc się zbrzydnie, straci urodę...

— Słyszałem, że w Sag Harbor zainstalowano całkiem obłędne urządzenia: jest cała sala gimnastyczna, sauna, gabinet masażu i kompletne wyposażenie salonu piękności,

jakiego chyba byś nie znalazł nawet u Harriett Hubbard Hayer ani u Heleny Rubinstein.

— George, nie potrafisz sobie tego wyobrazić! Ktoś chciał kiedyś zrobić na ten temat reportaż w „Lady Chic". Bertram pokazał mi zdjęcia: to rzeczywiście zupełne wariactwo. Ta kobieta jedno ma w głowie: być piękną, być zawsze piękną... Co do reportażu, to najpierw się zgodziła, apóźniej pomyślała pewnie, że zaszkodziłoby odrobinę jej wizerunkowi, gdyby się dowiedziano, ile wysiłku wkłada w podtrzymanie urody. Tekst był już w składzie, kiedy się połapała. Zrobiła scenę Eliottowi i artykuł nigdy się nie ukazał. Wtedy jedyny raz w historii „Lady Chic" wyszło z dwudniowym opóźnieniem!... Biedna ta Kay... Czasem to aż mi jej żal: ta jej niewiarygodna nerwica, ta rozpaczliwa, patetyczna walka ze zmarszczkami i upływem czasu! Gdybyście wiedzieli, na jakie tortury dobrowolnie się skazuje, żeby być wiecznie młodą Kay!

— Jednej rzeczy w tym wszystkim nie rozumiem: jak to jest z tymi lekarzami...

— Chodzi ci *o* przypadek Mc Kay?

— Nie, myślę o Faye. Jeżeli dziewczyna nie jest obłąkana...

— Och, wiesz, eksperci w tej dziedzinie!... A przy tym Kay przekupiłaby samego papieża, gdyby było trzeba. I nie da się ukryć, że jeśli pokazali lekarzom obrazy namalowane przez Faye... Biedna mała!

— Ona maluje?

;

— Tak. I to bardzo dobrze. Muszę przyznać, że niezbyt się znam na sztuce, ale widziałem jej obrazy i wydały mi się bardzo ładne. Kompletnie zwariowane, lecz ładne... Teraz Faye ma tylko dla siebie pawilon w głębi parku. Tam właśnie ' pracuje. Odwiedziłem ją kiedyś. To naprawdę robi wrażenie! Ściany pokryte są płótnem od podłogi po sam sufit i Faye maluje na nich freski. Niesamowicie erotyczne. Nawet pornograficzne... Jaka w tym dziecku jest siła, jaka wyobraźnia! Nikt by nie pomyślał, taka jest zawsze zamknięta, wrażliwa i dyskretna... Tyle tam gwałtu, okrucieństwa! Emerson pokazał kiedyś jej wytwory dwóm krytykom z „Painted Events", których zaprosił na obiad. Obaj powiedzieli, że są świetne — i wiem, że byli absolutnie szczerzy, bo

mnie później powtórzyli to samo. Mówili, że gdyby chciała, mogłaby wystawiać. Tyle że trzeba by znaleźć dyrektora galerii z tupetem na tyle dużym, żeby odważył się to pokazać i zaryzykować zamkniecie galerii z powodu obrazy moralności albo czegoś w tym stylu: tam są same sceny sadomasochistyczne. Nie do wytrzymania. Przebite na wylot ciała, wyrwane członki, zakneblowane usta, nadzy ludzie rozciągnięci na łożach tortur, maski, sznury, pale, bicze... Potworność! I wszystko bardzo realistyczne. Wymuskane nawet. Jak płótna Dalego albo te wielkie, pompatyczne malowidła z końca wieku. Dlatego zresztą tak przykro na nie patrzeć: wyglądają jak żywe obrazy!... Potworność, mówię wam! Absolutna potworność! A jak człowiek patrzy na te narzędzia tortur odtworzone z maniacką dokładnością, to zaraz nasuwa mu się skojarzenie z maszynerią z prywatnego salonu piękności Kay... Niechybnie dla Faye jest to sposób zemsty! Biedna, bardzo biedna jest ta Faye: jaką męką musi być posiadanie takiej matki! Jaką męką świadomość, że jest się do tego stopnia znienawidzoną! Jaką męką sama konieczność istnienia...

Robert G. Kelly zadumał się, a po chwili podjął:

— Aleśmy się rozgadali! Nie po to tutaj jesteśmy. Mamy omówić nową sytuację, której trzeba będzie stawić czoło. I zastanowić się nad numerem poświęconym Eliottowi, pora o tym pomyśleć. Skorzystajmy z tego, że nie dopadnie nas Jeremy przez kilka najbliższych dni, kiedy będzie w Saint--Jean-Cap-Ferrat. Mam genialny pomysł...

Urwał naraz i zagryzł wargi, uśmiechając się z lekka żałośnie i przepraszająco. Whyatt z Bergmanem patrzyli nań z niejakim zdumieniem: to także było u Kelly'ego czymś nowym. Nigdy dotąd nie słyszeli, żeby się chełpił, nawet żartem: nie było to w jego stylu. Czyżby zapowiedź niedalekiej śmierci szefa wzburzyła go bardziej, niż chciał okazać? A może odejście tego człowieka, podświadomie odczuwane jako wyzwolenie, uskrzydlało go naraz...

— To znaczy pomysł — podjął skromniej. — I chciałbym, żebyście mi szczerze powiedzieli, co o tym sądzicie. — Mówiąc to, znakomicie wiedział, że przyklasną wszystkiemu. Czy ktokolwiek wyraził najlżejszy sprzeciw wobec tego, co mówił Kelly? A czy Kelly kiedykolwiek w czymkol-

wiek sprzeciwił się Emersonowi? — Idzie o to — oznajmił — żeby dzieje Eliotta opisał nie jeden z nas, lecz ktoś z wydawnictwa, kto w życiu go nie spotkał. Niechby opowiedział, co o nim wie, jakie Eliott mógł mieć znaczenie dla osoby, która nigdy się z nim nie zetknęła... Jak percypowano mit Emersona. I pomyślałem, że nowością byłoby powierzyć to zadanie naszemu tegorocznemu stypendyście... temu... jakże mu tam?

— Hmm... Richie... Richie... Strasznie mi wstyd: przecież ja wręczałem dyplom temu chłopakowi i już zapomniałem jego nazwisko...

— Garrymore, nie?

— O właśnie, Garrymore. Richie Garrymore.

— No, więc rozumiecie, o co mi chodzi? Młody laureat Fundacji Eventsa zostaje zaangażowany w koncernie tego samego dnia, kiedy założyciel imperium wyjeżdża do Saint--Jean-Cap-Ferrat, by tam umrzeć. Tyle o szefie słyszał! Nigdy go jednak nie widział. I próbuje wyrazić, czego się o nim dowiedział od ludzi... Słowami bardzo prostymi... Naiwnymi nawet. Chłopak powinien udać trochę nierozgarniętego: , .Ludzie mi mówili, że Emerson był taki... że lubił robić tak... Ja tylko powtarzam, co mi powiedziano..." Do licha! już widzę ten artykuł wydrukowany. A jeżeli ten Barrymore...

— Garrymore, Robercie.

— Tak. Jeżeli ten Garrymore spełni nadzieje, jakie położyło w nim jury, to rzecz *może* być pierwszorzędna. W numerze znajdzie się oczywiście cały szereg artykułów uzupełniających, w których będzie historia sukcesu Eliotta Emersona, dzieje „Eventsa" i koncernu, anegdoty z jego życia prywatnego... Ale ten reportaż napisany przez debiutującego w gazecie! Tym sposobem inaczej zostanie powiedziane: to jest właśnie „Events". I choć założyciel pisma nie żyje, jego duch nadal trwa. Pokładamy wiarę w młodych talentach, które ciągle odkrywamy... No, wiecie, w czym rzecz...

— Tak, to faktycznie dobry pomysł, Robercie. Ale Garrymore musi się do tego jak najszybciej zabrać, bo to niełatwe...

— Zwłaszcza że jednocześnie musimy od niego zażądać absolutnej dyskrecji. Nie chcę, żeby się rozeszło, co się dzieje w Saint-Jean. Im później się dowiedzą, tym lepiej...

— Nie powinniśmy się łudzić, Robercie — pozwolił sobie przerwać mu Whyatt. — Przecież zaraz trzeba będzie zacząć poszukiwania w archiwach i u fotografików. Wybrać zdjęcia, które chcemy opublikować w części retrospektywnej... I dziesięć minut później wszyscy, od pierwszego do ostatniego piętra Events Tower, będą wiedzieli. A nawet... „naprzeciwko".

— On ma bezwzględnie słuszność — poparł go Bergman. — Jeśli tylko zażądasz dokumentacji na temat Emersona, Robercie, natychmiast każda nawet najtępsza archiwistka połapie się, że to na numer pamiątkowy.

— W takim razie trzeba się pogodzić z tym, że za kilka godzin wszyscy w Eventsie się dowiedzą...

— Chyba rzeczywiście trzeba się z tym pogodzić, Robercie. Nie bez kozery nasz piękny budynek nazwano szklanym domem. Bardzo by mnie zresztą zdziwiło, gdyby chłopcy z teleksu jeszcze nie rozpuścili po piętrach dzisiejszej wiadomości.

— Nie. Barrett pomyślał o tym i adresował teleks do *mojego apartamentu w Witonie, a nie tutaj*.

— I tak wcześniej czy później ktoś okaże się niedyskretny.

— Ha! niech się więc dzieje, co chce! Niech tu ściągną tego Garrymore'a... Odliczanie się zaczęło — rzekł Kelly. I tonem bardziej uroczystym, pełnym autentycznego wzruszenia, dodał: — W Saint-Jean-Cap-Ferrat też, to ostatnia walka...

Po czym na powrót stał się wielkim profesjonalistą, jakim był zawsze, odkąd spotkał Eliotta Emersona, i powiedział:

— Mam jeszcze jeden pomysł: tytuł, dotąd drukowany białym liternictwem, teraz będzie czarny.

Whyatt i Bergman skinęli aprobująco głowami i zebrali się do wyjścia zrozumiawszy, że narada skończona.

Stary wykorkuje!

Mimo rozlicznych środków ostrożności podjętych, by wieść się nie rozeszła, wydostała się w końcu jakoś z górnych pięter Events Tower i lotem błyskawicy biegła z biura do

biura, siejąc poruszenie i niepokój, budząc wszędzie nerwowe podniecenie podobne do tego, jakie ogarnia poddanych króla, gdy dowiedzą się o bliskiej śmierci władcy. Eliott E. Emerson był w pewnym sensie cząstką losu każdego z tych ludzi. I każdy doświadczał nieokreślonego smutku, nie umiejąc nazwać jego przyczyn: był smutny i tyle. Napięcie było wyczuwalne nawet w niecodziennej ciszy i powściągliwości panującej w korytarzach, holach i windach ogromnego drapacza chmur, rojnego od świtu po zmierzch. O północy jak zawsze okna biur na fasadzie powoli zgasły i jak zawsze pozostało oświetlone tylko pięćdziesiąt pomieszczeń, których rozkład malował w ciemności słowo Events. Kto jednak znał już nowinę i popatrzył teraz na tę delikatną grę światła i mroku, wydawała mu się poważniejsza i bardziej melancholijna — jak pożegnanie.

Pośrodku „świętego czworoboku", jaki tworzą budynki Centrum Rockefellera, wznosi się Events Tower, budowla smukła, lekka, prawie niematerialna, o pięćdziesiąt metrów przewyższająca Time-Life Building, który jakby wyzywała z wysokości swoich sześćdziesięciu pięciu pięter. Otwarta 13 stycznia 1963 roku, w dzień siedemdziesiątych urodzin EUotta E. Emersona, jest jednym z niekwestionowanych arcydzieł włoskiego architekta Luigiego Benelli. Lekko wypukła, cała z niebieskawego, delikatnie odbijającego szkła, otamowana cienkimi pionowymi prętami z lśniącego aluminium, dzięki dokładnie wypracowanemu efektowi optycznemu wygląda jak dziób statku żeglującego po niebie i choć nieruchomego, sunącego bez ustanku śród oceanu mgieł i szarzyzny Manhattanu. Przed wieżowcem znajduje się rozległy dziedziniec, zaprojektowany według planu rynku w Sienie i wyłożony trawertynem białym, szarym i różowym. Po kładkach bez wsporników przerzuconych nad basenami, między strzelającymi wodą fontannami wchodzi się do głównego holu, gdzie dopiero między gigantycznymi mobilami Caldera i monumentalnymi posągami Henry'ego Moore'a można sobie zdać sprawę z ogromu budowli, o którym pojęcie lepsze niż długi opis dają liczby, uprzejmie cytowane turystom przez witające ich hostessy:

— Wysokość: 259 metrów; 65 000 metrów kwadratowych powierzchni podłóg zbudowanych techniką nawisów;

S200 ścian ze szkła hartowanego, poddanego obróbce według technologii trzymanej w tajemnicy, dzięki czemu zależnie od natężenia światła dziennego jaśnieje lub ciemnieje; sztuczne oświetlenie o mocy 780000 watów i natężeniu regulowanym automatycznie przez komputer według wskaźników mierzących światło zewnętrzne. Budowa całości trwała niecałe pięć lat i kosztowała ponad 326 milionów dolarów — objaśniają, prowadząc gościa ku jednej z 38 wind ciśnieniowych, która w czterdzieści sekund zawiezie go na taras na dachu, gdzie urządzono lądowisko dla śmigłowców. Kiedy stare, przepełnione biura, przez długi czas rozrzucone w siedmiu budynkach od Madison Avenue po 42 Zachodnią, przeniesiono tutaj, w pierwszych dniach wydawało się, że niepodobna przywyknąć do takiej przestronności, ale bardzo szybko wieża — „szklany dom", jak ją przezwano — okazała się jeszcze za ciasna, by pomieścić gigantyczne imperium Eventsa.

„Jeśli nie pisano o czymś w „Eventsie", to znaczy, że tego nigdy nie było": oto jeden z najbardziej znanych i chełpliwych aforyzmów Eliotta E. Emersona, którego błyskotliwe powiedzonka i dowcipy zapełniają teraz całe księgi cytatów. Maksyma ta całkiem nieźle wyraża, jak bardzo się ceni jeden z najbardziej czytanych tygodników amerykańskich. „Events" to więcej niż tylko pismo: to instytucja narodowa. Tej samej rangi co West Point, Coca-Cola czy parada 4 lipca... Coś jeszcze ważniejszego, jeśli wierzyć prezydentowi Roosevelttowi, który w roku 1943 na jednym ze spotkań „przy kominku" oznajmił:

— Wiecie państwo, w tym kraju jest Biały Dom, Kongres i... Events. A co się tyczy polityki tego kraju, to wcale nie jestem pewien, czy decyzje nie zapadają najpierw w Eventsie, potem w Kongresie, a na koniec... w Białym Domu.

Czy jednak trzeba przedstawiać „Eventsa"?

Kto może powiedzieć, że nigdy nie widział na stojaku przed kioskiem, w jakimkolwiek kraju na tym świecie, słynnego pisma? Kto prócz analfabety może powiedzieć, że nigdy nie przeczytał tytułu na okładce, drukowanego czarnym liternictwem od numeru z 16 kwietnia 1966 roku? Kto nie zna powstałej w roku 1921 wytwornej i niezmiennej

czcionki art deco? Kto nie zauważył wydłużonej kreski nad T, biegnącej nad pozostałymi literami i godzącej strzałą nad S, dzięki czemu słowo wygląda jak wyrzucone z łuku w przyszłość? Kto nie ma w oku formatu 20x32 nie zmienionego od trzydziestu lat i zinstytucjonalizowanego przez drukarzy do tego stopnia, że teraz mówi się „events" na format o takich proporcjach?

Który Amerykanin może oświadczyć, że nigdy nie przerzucił kartek z glansowanego papieru w chwili bezczynności, czy to w poczekalni u dentysty, czy na lotnisku bądź u fryzjera? Kto nigdy nie czytał długiego wstępniaka podpisanego faksymilem Roberta G. Kelly'ego — „Masz być nudny, Robercie, polecał Eliott E. Emerson z właściwym mu cynizmem i szyderstwem, masz być nudny, do licha! Wszyscy będą to brali za powagę..."

Kto może przysiąc, że nigdy nie dał wiary plotkom Barbary Ridgewick w jej rubryce niedyskrecji: „Jeśli w najbliższych dniach zamierzasz wyjść z Marilyn Monroe" — mawiał E. E. Emerson — „to nie warto się z tym kryć: Barbara dowie się o tym przed twoją żoną!"

Któryż pisarz cieszący się powodzeniem może powiedzieć, że nigdy nie przeglądał nerwowo strony 32, wróżebnej strony 32, gdzie zamieszcza się cotygodniową listę bestsellerów — E. E. Emerson: „Nie obchodzi mnie, czy numer 1 na naszej Uście rzeczywiście najlepiej się sprzedawał: jeżeli my tak podajemy, to od jutra ten tytuł będzie się najlepiej sprzedawał!"

I kto, prócz osób absolutnie pozbawionych poczucia humoru, mógł się nie pokładać ze śmiechu patrząc na cotygodniowy rysunek satyryczny genialnego Shawna Arbotha, który zawsze potrafi w kilku kreskach i dwóch, trzech niewiarygodnie zabawnych replikach streścić jakieś wydarzenie z minionego tygodnia, choćby było najsmutniejsze?

No a kto przynajmniej raz w życiu nie przyłapał się na myśli, że istotnie: „Jeśli nie pisano o czymś w «Eventsie», to znaczy, że tego nie było!"?

Tak oto urzeka „Events". I tak ogromny jest sekretny wpływ pisma, że dziesięciowierszowy artykulik stał się źródłem zmian w sztabie podczas wojny koreańskiej, a pe-

wien ambasador Stanów Zjednoczonych w Rzymie za Mussoliniego wolał się podać do dymisji niż być przedmiotem cotygodniowych napaści ze strony dziennikarza-antyfaszysty piszącego artykuły wstępne...

I wielka jest również jego renoma — któryż z młodych marząc o sławie nie mówił sobie: „Kiedyś znajdę się na okładce «Eventsa», będę człowiekiem roku!"? Tak wielka jest jednak arogancja pisma, że Robert G. Kelly i Eliott E. Emerson pozwolili sobie na dowcip, ogłaszając „człowiekiem roku 1944" jednego ze swoich gońców—inna rzecz, że ten nie znany publiczności pracownik koncernu odznaczył się pod Sainte-Mere-Eglise w czasie lądowania aliantów 6 czerwca; a jeszcze lepiej zrobili w roku 1957: z impertynencją zgoła niewzruszoną „człowiekiem roku" wybrali Łajkę, psa-kosmonautę! To jest właśnie duch „Eventsa"!

„Events" niczego nie odkrywa, „Events" uświęca. Zawsze fundując sobie luksus zaskoczenia: wydarzenia przemijają, a ludzie pamiętają, w jak nieoczekiwany sposób przedstawiono je w „Eventsie". Hiroszima? Na okładce nie znalazł się grzyb atomowy, lecz czterobarwna reprodukcja — zresztą jedna z pierwszych kolorowych okładek pisma — „Apokalipsy" Hieronima Boscha. Egzekucja Rosenbergów? Nie zamieszczono portretów Juliusa i Ethel, lecz zadziwiające zdjęcie sędziego Kaufmana, który ich skazał na krzesło elektryczne, przyłapanego przez fotografika, jak płacze z twarzą ukrytą w zgięciu ramienia. Śmierć Stalina? Rysunek Shawna Arbotha przedstawiał za drutami obozu tysiące więźniów skutych kajdanami, a mimo to nisko pochylonych przed ogromnym posągiem dyktatora. Zabójstwo Kennedyego? Całą okładkę wszerz przecinało anonimowe graffiti sfotografowane w nowojorskim metrze, mówiące z prostotą: „John, nigdy cię nie zapomnimy..."

Tym oto sposobem od chwili założenia „Events", będący biblią konformizmu amerykańskiego, największą ewangelią frazesów i banałów, nowym testamentem wysoko rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego, przekonanego o wyższości swojego stylu życia i myślenia, tym oto sposobem „Events" uchodzi jednak za pismo niezwykle oryginalne, nowoczesne, odważne, pobudzające, a nawet zakłócające spokój...

Eliott E. Emerson mówił: „Geniusz polega na tym, żeby głaskać ludzi z włosem, a mimo to żeby się czuli kompletnie zwichrzeni!"

Doskonale mu się to udało. Events jest dzisiaj legendarną instytucją, która wydaje ponad dziesięć milionów egzemplarzy pisma, wielotytułowym kolosem, który by nasycić głód, pożera co tydzień, całe lasy i odwraca bieg rzek, by zaspokoić pragnienie, przelewa hektolitry atramentu i w mrokach swych wilkołaczych trzewi wywołuje tysiące mil filmów.

Jakby jednak tego sukcesu było za mało Eliottowi E. Emersonowi, wokół „Eventsa" w ciągu ćwierćwiecza powstało największe imperium prasowe. Events to nie tylko pismo „Events", to także miesięczniki, takie jak: „Funny Kid", „Lady Chic", „Miss Pretty", „Finance", „Houses &Homes", wydawnictwa specjalistyczne, profesjonalne dzienniki, tygodniki, kwartalniki...

Od muzyki i pisma „Adagio" poczynając, ana wędkarstwie i łowiectwie z pismem „The Wild" kończąc, nie ma takiej dziedziny ludzkiej aktywności, której by w Eventsie nie wykorzystano!

Poza tym w nie skrywanym celu zwiększenia jeszcze rentowności kosztownych działów ikonograficznych i nieprzebranych archiwów koncernu, niestrudzony „Trzy E" i jego wierny zastępca Kelly wpadli z początkiem lat pięćdziesiątych na myśl utworzenia Wydawnictwa „Events": atlasy, encyklopedie, kolorowe albumy, słowniki, przewodniki, podręczniki — każde przedsięwzięcie uwieńczył sukces. Co się tyczy ostatniego konceptu króla prasy starzejącego się, ale wciąż tryskającego inwencją, to wymyślił w roku 1963 serię *How to...,* cienkie broszury kieszonkowe, z których dowiesz się wszystkiego, absolutnie wszystkiego, od Jak zrozumieć filozofię Swedenborga" po ,jak przyrządzać mrożonki", i które po piętnastu latach stanowią kolekcję przeszło trzystu pięćdziesięciu tytułów, gdzie sąsiadują ze sobą w oszołamiającym surrealistycznym chaosie: *Jak dbać o nogi* i *Jak zyskać pogodny spokój Buddyl*

Tak, nic co ludzkie nie jest Eventsowi obce. I jakże tu nie pomyśleć, że E. E. Emerson miał poniekąd rację, kiedy bez

mrugnięcia, zarazem żartobliwie, nieskromnie i w sposób obłudnienapuszony, oświadczał mówiąc o sobie: „«Trzy E»? No, wiecie... to ten facet, co pracuje w biurach na ostatnim piętrze, drzwi w drzwi z Panem Bogiem!"?

Kimże więc był ten „facet", na którego przez lata patrzono, jak pracuje w biurach położonych tuż obok drzwi samego Pana Boga?

Wchodząc do jednej z prywatnych wind, jeżdżących na piętra dyrekcji, młody Richie Garrymore rozmyślał nad tajemnicą tego człowieka, w którego biografii zaczynał się z pasją zagłębiać. Robert G. Kelly go wezwał i Richie czuł się lekko zaniepokojony. Palcami przeczesał włosy przed lustrem w kabinie, ukazującym mu postać wyrośniętego nieśmiałego studenta w okrągłych okularkach bez oprawki, „intelektualisty z Village" odzianego w tweedową marynarkę, kupioną za pierwszą pensję w „Eventsie" rankiem w dzień wręczenia nagrody stypendialnej Fundacji Eventsa. Ta Fundacja to jeszcze jeden pomysł „Trzy E". Co roku organizuje konkurs dla wschodzących talentów. Polega on na zredagowaniu dwunastostronicowego reportażu na dowolny temat. Laureatowi zapewnia się możliwość natychmiastowego debiutu w „Eventsie". Kilku stypendystów okazało się godnych zainteresowania, z jakim odnieśli się do ich pracy jurorzy: w ciągu kilku lat stali się pierwszorzędnymi dziennikarzami lub reporterami... Richie Garrymore, czerpiąc otuchę z ich przykładu, miał nadzieję, że dobrze wykorzysta niewiarygodną gratkę, jaką było dlań napisanie tego wspomnienia pośmiertnego. Ale też był świadom, że kładzie na szalę swoją karierę: kiedy idzie o apologię własnego szefa, nie można sobie pozwolić na najmniejszy fałszywy krok. Musiał poszukać trafnego kompromisu między czystym schlebianiem i paroma krytycznymi uwagami, które by dowiodły jego wrodzonej żyłki dziennikarskiej.

Whyatt wydawał się bardzo zadowolony z tego, co już mu pokazał, i Richie odnosił wrażenie, że utrafił w ton, jakiego po nim oczekiwano: ton „zielonego" co krok wpadającego w zachwyt — dlaczego Kelly naraz chciał go widzieć?

Wyszedłszy z windy, Richie z respektem skłonił się przed straszną miss Hepplewhite, która ledwie raczyła mu wskazać palcem otwarte drzwi gabinetu szefa, dając tym samym do zrozumienia, że może wejść.

— A, Richie! — powitał go Robert G. Kelly jowialnie i poufale. — Chłopcze, wezwałem pana, żebyśmy pomówili o pani Emerson. Whyattpowiadomiłmnie, że natrafił pan na niejakie... powiedzmy: trudności, kiedy w dziale dokumentacji ogólnej chciał pan odszukać to, co jej dotyczy...

— I na kategoryczną odmowę dziewczyn z sekcji „życie prywatne i niedyskrecje"!

— Bardzo mi przykro, naprawdę! Zaraz na początku wyrobi pan sobie marną opinię o firmie. Ale niech pan słucha, Richie: mnie wystarczy nudny artykuł na trzy strony o tym, jak nad-zwy-czajną małżonką była pani Emerson dla Eliotta od początku do końca ich pożycia—nic innego! Ojej wspaniałomyślności i gościnności, które stanowiły o uroku przyjęć w Sag Harbor, o dyskretnej skuteczności, z jaką służyła pomocą mężowi, o dwojgu pięknych dzieci, które mu dała... No, sam pan wie, nie muszę robić konspektu. Pana artykuł ma być wzruszającym wspomnieniem, a nie śledztwem... A przede wszystkim — byłbym zapomniał o najważniejszym! niech pan koniecznie wspomni ojej niezniszczalnej urodzie: zrobi to na niej dobre wrażenie.

— Proszę pana, ale to wszystko w najlepszym razie zajmie mi pół kolumny. A i to porządnie rozwlekając...

— Richie, przyjacielu, jest pan stanowczo za ambitny: czasami trzeba ulec prawom gatunku. Mnie też się zdarza pismaczyć, jak to się mówi! A przecież nie mam dwudziestu lat.

— Ja bardzo przepraszam...

— Nie ma za co! Bo równocześnie doceniam, że nie ugina się pan tak szybko jak pańscy rówieśnicy, którzy u nas pracują. Podoba mi się pana upór. Jest pan poważnym młodzieńcem, już prawdziwym profesjonalistą. Jeśli pan chce, razem poszukamy sposobu na rozdęcie tego artykułu. No, co by pan jeszcze mógł napisać o pani Emerson?

— Rzecz w tym, proszę pana, że ja naprawdę nic o niej nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego za plecami przezywa się ją Lady Mc Beef!

— Jak to, Richie? Nie wie pan? Wolne żarty...

— Zapewniam pana, że nie wiem.

Robert G. Kelly był w nastroju do zwierzeń. Po krótkiej chwili rzekł półgłosem, jakby wyjawiał wielki sekret:

— Kay Mc Kay była tancerką kabaretową...

— Oczywiście nie sprecyzuję, że tańczyła w kabarecie — przerwał mu zaraz Richie, pragnąc udowodnić, że jest godzien zaufania, jakim obdarza go dyrektor „Eventsa". — Była tancerką i tyle.

— Do licha! Richie, pan naprawdę załapał ducha „Eventsa"! — zawołał Kelly, strzelając palcami. — Za czynam się pana bać!

Garrymore poczerwieniał z dumy i skromnie zakolebał się w fotelu, który Kelly dopiero co wskazał mu palcem, przypomniawszy sobie, że gość stoi. A Kelly mówił dalej, lecz nieco ostrożniej.

— Kay była nadzwyczajną pięknością. Porównywal ną z Ritą Hayworth... I powiedzmy... nie zasypiała gruszek w popiele: w gruncie rzeczy była ogromną karierowiczką. A postanowiła, że wyjdzie bogato za mąż, zanim skończy dwadzieścia lat. Był rok 1930: wielki kryzys, wszyscy albo prawie wszyscy przymierali głodem. Kay zaś poprzysięgła sobie, że za wszelką cenę wydobędzie się z biedy. Tańczyła wtedy w pierwszym szeregu baletu w „Primaverze". Pew nego wieczoru wszedł tam pewien teksański miliarder, który na parę dni przyjechał pohulać do Nowego Jorku. Wymiana spojrzeń, szklaneczka przy barze po występie, potem druga, trzecia... i załatwione! Kay Mc Kay schwytała w sidła Juliusa Hancocka, króla wołowiny konserwowej. Stąd przezwisko Lady Mc Beef, jakie niektórzy istotnie pozwalają sobie używać w stosunku do pani Emerson... Ale — dodał z niejakim wahaniem w głosie — ale jest jeszcze inny powód nadania jej tego przezwiska.

Znowu się zawahał, po czym rzekł z nutką błagania:

— Richie, może mi pan przyrzec, że z tego, co teraz panu powiem, ani słowo nigdy nie wyjdzie poza ten gabinet? Poproszę zresztą, żeby pan zamknął jego drzwi...

Poruszony Garrymore zerwał się, by spełnić prośbę przełożonego, po czym usiadł z powrotem. Przez chwilę jeszcze panowało milczenie. Wreszcie Kelly zebrał się na odwagę i zaczął mówić dalej:

— Niech pan posłucha, Richie: jeżeli będzie pan szukał materiałów ze skrupulatnością, z jaką pan podchodzi do wszystkiego, to i tak wpadnie pan kiedyś na tę aferę — wszystkie gazety o tym wtedy pisały — na jedno wiec wyjdzie, gdy się pan dowie ode mnie. Oto co się stało: dokładnie trzy miesiące po ślubie Julius Hancock zmarł porażony prądem we własnej wannie. To był naprawdę idiotyczny wypadek: Kay Mc Kay suszyła sobie włosy w łazience, kiedy on brał kąpiel, i nagle przez nieuwagę upuściła suszarkę do wanny. Jakiś przewód się odsłonił, poza tym suszarka była modelem z lat trzydziestych, ciężkim i źle izolowanym... Krótko mówiąc Hancock w trzy miesiące po ślubie uczynił Kay najbogatszą i najpiękniejszą wdową w Teksasie. Późniejsze dochodzenie ujawniło trzy zastana wiające fakty: po pierwsze, Hancockowie nigdy razem nie robili toalety, ponieważ każde miało swoją łazienkę. Kay wyjaśniła jednak, że tego ranka chciała omówić z mężem jakąś nie cierpiącą zwłoki sprawę. Po drugie, Kay nigdy nie suszyła sobie sama włosów: robiła to jej pokojówka. Ale i na to Kay miała odpowiedź, mianowicie rozmowa z Juliusem miała dotyczyć spraw tak intymnych, że odesłała pokojów kę. I na koniec ciekawostka: suszarka została kupiona niedługo przedtem i praktycznie wcale nie była używana. A przewód miała uszkodzony. Widać defekt fabryczny!

Kelly urwał swą wygłaszaną ironicznym Łpńem opowieść: nagle poczuł zakłopotanie, że dał się wciągnąć w tak daleko idące niedyskrecje. Garrymore przez chwilę siedział w milczeniu, po czym bardzo delikatnie zapytał:

— Proszę pana, a dlaczego miałaby go zabić?

— Do diabła! — wybuchnął Kelly. — Richie, ja nigdy nie twierdziłem, że go zabiła! Co panu przyszło do głowy? To był wy-pa-dek, zwykły, tragiczny wy-pa-dek! — dodał obłudnie. — Do takiego zresztą wniosku doprowadziło śledztwo: nieszczęśliwy wypadek. A nieborak, który żartem oczywiście wysunął przypuszczenie, że ten wypadek bardzo przypomina zbrodnię doskonałą z powieści Agathy Christie, raz dwa miał na karku proces o pomówienie... Mimo wszystko nie da się ukryć, że śmierć Hancocka cholernie urządzała Kay Mc Kay...

— Ale przecież... już była bogata!

— Richie, nie zna pan Kay Mc Kay! Wtedy już spragniona była poważania. Chciała, aby zapomniano, że była tancerką w „Primaverze". A cała fortuna Hancocka zbyt mocno zalatywała jeszcze mięsem: to było za mało eleganckie dla „boskiej rudowłosej", jak ją nazywała wtedy prasa. Ambicją Kay było wybrzeże wschodnie, bostońska śmietanka, Washington DC, patrycjuszowskie rody z Sag Harbor! Zaproszenia do Białego Domu i na garden parties do Rockefellerów i Vanderbiltów! Pojmuje pan?

— I co było dalej?

— Otóż „boska rudowłosa", w strojach żałobnych, ale — uwaga! — piekielnie seksownych, zaczęła penetrować modne miejsca w poszukiwaniu mężczyzny eleganckiego i majętnego, który by ją wprowadził w wielki świat. W tym samym czasie Eliott Emerson stracił pierwszą żonę, Abigail, i bardzo rozpaczał. Pewnego dnia w roku 1932 na kortach klubu „Handicap" król prasy grał w tenisa ze swoim synem Ablem, wówczas ośmioletnim uroczym chłopcem, na którego przeniósł całą miłość. Kay piła herbatę na tarasie budynku klubu, jednego ze swoich najulubieńszych terenów polowań, i przyglądała się im. Wzruszający był widok cierpliwości tego mężczyzny o rysach naznaczonych cierpieniem i beztroski chłopczyka pokładającego się ze śmiechu... Ale czy na pewno z tego właśnie powodu Kay tak im się przypatrywała? Kiedy po skończonej partii mały Abel przechodził obok niej udając się do szatni, piękna ruda pani w czerni pogłaskała go po głowie i uprzejmie zagadnęła pytając, kim jest jego tatuś, ten przystojny, dystyngowany pan, który tak doskonale uczy go, jak uderzać piłeczkę taką małą rakietką. Dziecko z dumą odpowiedziało: „To Eliott E. Emerson, prezes klubu". Ale prawdę mówiąc piękna pani już to wiedziała: przeczytała nazwisko na tabliczce, gdzie wpisywano zajmujących kort... Chłopiec dodał jeszcze, że jego tato ma takie wielkie pismo, które się nazywa „Events", ale piękna ruda pani to także wiedziała. W bardzo miły sposób zaprosiła tatę małego Abla, by po prysznicu orzeźwił się w jej towarzystwie — było to tym subtelniejsze, że do taty małego Abla ten klub należał, i tym milsze, prawda? I kobieta zapraszająca mężczyznę, to takie zabawne... Eliott E. Emerson przyjął więc zaproszenie: młody wdowiec i młoda wdowa

to istoty idealne, by się wzajemnie zrozumieć... Tych dwoje tak dobrze się zrozumiało, że trzy miesiące później Eliott Emerson poślubił Kay Mc Kay, wdowę po Hancocku.
Kelly umilkł naraz i zadumał się.

— Wie pan? to dziwne—zauważył Garrymore.—Można by powiedzieć, że czyta mi pan swój artykuł!

— A tak — odparł Kelly. — Bo to jest artykuł, który noszę w głowie od trzydziestu lat—i którego nigdy nie piszę. I którego pan też nigdy nie napisze, Richie, jeśli zależy panu na życiu.

Sążnisty reportaż—którego Richie Garrymore zpewnością nigdy nie odważy się opublikować, choć z przyjemnością nad nim pracował po kilkumiesięcznym gorączkowym zbieraniu materiałów, prowadzonym w sposób równie oszczędny co utajniony — napisany został stylem błyskotliwym, lekkim, urywanym i jak ragtime rytmicznym, stylem, który w późniejszym czasie tak się przyczynił do sławy młodego dziennikarza, że dzisiaj w środowiskach prasowych mówi się: „to pióro Garrymore'a" na określenie artykułu stworzonego z polotem zabarwionym nonszalancją. Reportaż tak się zaczynał:

Abraham spłodził Izaaka Abrahamowicza, który spłodził Saula Abrahamowicza, który spłodził Mosze Abrahamowicza, który spłodził Barucha Abrahamowicza, który spłodził Natana Abrahamowicza, który spłodził Arona Abrahamowicza, który spłodził Szymona Abrahamowicza, który spłodził Abrahama Abrahamowicza, który spłodził... Jerry'ego Emersona.

Ale Jerry Emerson nie zawsze tak się nazywał. Nazwisko to przybrał pewnego jesiennego dnia roku 1883, kiedy to razem z kilkoma członkami rodziny parostatek „Danzig" wypluł go ze swoich cuchnących trzewi i wyrzucił na zatłoczone nabrzeża Ellis Isłand, pomiędzy krocie imigrantów, którzy oszołomieni i pobladli mrowili się w posępnym blasku świtu. Były to ponure czasy: Wolność jeszcze nie

rozjaśniała świata. Bartholdi jednak czynił wszystko, by jak najszybciej się to stało, i pochodnia posągu została wreszcie odlana z brązu. Brakowało tylko szczodrego Josepha Pulitzera, wydawcy „New York Worlda", by wycelować ją wysoko w niebo i zapalić; brakowało tylko prezydenta Clevelanda, by dokonał odsłonięcia. Stało się to trzy lata potem. A wcześniej ponure, okrutnie ponure było przybycie tych nieszczęsnych wychudzonych stworzeń, które przez osiemnaście czy dwadzieścia dni tkwiły skulone na dolnych pokładach wielkich statków, znosząc głód, brud, bezsenność, morską chorobę — ale też karmiąc się obłąkańczą nadzieją: tam im się powiedzie! Będą bogaci! Będą żyli w dostatku! Będą jedli mięso i spali w białej pościeli! W Ameryce! W Ameryce...

Przylądek Bartery wyłaniał się już z porannej mgły i wszyscy spoglądali rozgorączkowanym wzrokiem na ten kraj, o którym tyle marzyli. Niestety! Przebudzenie nastąpiło szybko: imigracyjna rzeczywistość to wielkie budynki na Ellis Island, gdzie ich na długie godziny jak bydło stłoczono, znacząc, odwszawiając, kąpiąc, szczepiąc przeciwko ospie, kierując następnie do jakby boksów — jak wystraszone bydlęta potulnie zdążające za strasznymi urzędnikami o wyglądzie rzeźników. Niektórzy tracili tam nawet własne nazwiska. Tak się stało z Menahemem Abrahamowiczem, krzepkim dwudziestotrzylatkiem, wyjątkowo sprytnym i co więcej, umiejącym czytać. Czekał w swoim boksie z matką, dwiema siostrami i Aronem, bratem rabina gminy w rodzinnej wsi, skąd uciekli, mając dość odwiecznych prześladowań i pogromów. Aron nauczył go odrobinę angielskiego, tyle, ile sam poznał nie wiadomo jak i kiedy — lecz Aron był osobliwym człowiekiem, czymś na kształt mędrca, który przemierzył świat i któremu nie zadaje się zbyt wielu pytań, tak bardzo jego autorytet przytłacza: być może był po prostu Żydem Wiecznym Tułaczem...

Przybyli ze wszystkich stron świata ludzie byli wywoływani kolejno narodowościami i defilowali przed urzędnikiem cywilnym, zasiadającym na podwyższeniu i obłożonym ciężkimi rejestrami, i szorstko zwracającym się do każdego:

— Nazwisko, imię...

Był Irlandczykiem, napastliwym, niechętnym i pogardliwym. Kiedy przyszła kolej na Menahema Abrahamowicza — który, choć onieśmielony, podszedł zdecydowanym krokiem, a za nim trzy kobiety czepiające się jego kaftana i trwożliwie pokrzykujące ze strachu, że stracą syna, brata, opiekuna — gburowatość urzędnika jeszcze się powiększyła: długą linijką, służącą mu do podkreślania w rejestrze, odepchnął do innej kolejki te głupie baby, co wprowadzały mu zamęt we właściwe sprawowanie obowiązków służbowych.

— Nazwisko! — huknął wtedy na Menahema, wcale nie zważając na jego zuchowatą minę.

— Abrahamowicz — bardzo wyraźnie wymówił młody Żyd. — Abrahamowicz, Menahem.

— Nie rozumiem! — wrzasnął urzędnik, ewidentnie pełen złej woli.—Pieprzone żydki, nie może się toto nazywać porządnie jak my, chrześcijanie!

— Aa-aa-aabrahamowicz — powtórzył Menahem, jąkając się ze wstydu, co skutek dało taki, że stał się jeszcze ciulmniej zrozumiały dla Irlandczyka.

— Przecie mówię, że nie rozumiem! — burknął tamten, wyraźnie coraz bardziej zły. I powtórzył z oślim uporem człowieka mającego troszkę władzy, przekonanego o swojej słuszności i autorytecie emanującym z całej jego osoby: — Nazwisko, imię...

I wtedy imigrantowi przyszła do głowy genialna myśl —pierwsza z myśli mających z czasem przeobrazić jego życie ubogiego Żyda w bajkę: zauważywszy nad trybuną cerbera afisz towarzystwa żeglugowego, którego promy, *ferry-boats,* obsługiwały wówczas trasę Brooklyn-Staten Island, starannie odcyfrował napis, po czym bez mrugnięcia oświadczył:

— Emerson Ferry.

— No, to już lepiej —mruknął skryba, literując:—E-m--e-r-s-o-n... Imię?

— Ferry, proszę pana.

— Chcesz powiedzieć: Jeny?

— Tak, Jerry — usłyszał własny głos Menahem.

— Jerry Emerson — powtórzył urzędnik. I wpisał nazwisko, po czym pod „Emerson" narysował kreskę. W ten sposób dokonał się nowy chrzest. A Jerry z dziecięcym zadowolę-

niem powtarzał sobie w duchu: „Emerson, Emerson, Emerson..." Brzmiało to dobrze. Prawdziwie po amerykańsku. A stanie się Amerykaninem o wide szybaej niż d wszyscy prostaczkowie zebrani w halach na Ellis Island — to sobie poprzysiągł. Tak, Jerry'emu Emersonowi na pewno się powiedzie: nie będzie już nigdy więcej rierpiał głodu ani chłodu, ani strachu przed szykanami policji i przed nienawiścią, jaką żywiono do jego przeklętej rasy.

— No, stawaj, Nowy Jorku! Mierz się ze mną! — zawołał kilka godzin później, wałęsając się po szerokich alejach bogatych dzielnic Manhattanu. Poranne mgły już się rozwiewały. W pięknym żółtym blasku wczesnej jesieni mijały się na jezdni kocze, faetony, tilbury i kabriolety; dągnęły je stępa strojne w pompony zaprzęgi, wioząc raźnych młodzieńców z kwiatami w butonierkach i wytworne młode damy, które pod szerokim rondem lekkich kapeluszy zdobionych owocami tylko na poły skrywały fascynująco tęskne rozmarzenie... Rok 1883 był jednym z najbardziej olśniewających sezonów w Nowym Jorku. Na wiosnę wszyscy niepokoili się i delektowali kwestią wielkiego balu „w stylu osiemnastowiecznym" wydawanego przez Williama K. Vanderbilta. Czy miss Astor zostanie zaproszona? I czy w związku z tym pani Astor, jej matka, przyjmie pana Vanderbilta w swoim pałacu przy Piątej Aid? Przez długi czas ten pasjonujący temat wprawiał w poruszenie cały Nowy Jork, lecz Vanderbiltowie i Astorowie w końcu się pogodzili i jesienią miasto żyło tylko balami, rautami, kolacjami, galowymi wieczorami i garden parties, które następowały jedne po drugich w porywającym rytmie walca lub polki. Zaczynano przyjmować wtedy gośd ze Starego Świata, lecz gośde d w niczym nie przypominali wychudzonych imigrantów, zapędzanych na Ellis Island i pozbawianych własnych nazwisk. Nazwiska tamtych wiodły się od diuków z dworu Ludwika XIV, od hiszpańskich grandów, od szlachetnie urodzonych konetablów i krzyżowców. I niewiele brakowało, żeby rozmarzone amerykańskie panny, witające gości na szczyde schodów neogotyckiego domostwa swoich rodziców, dziwiły się, iż przybywają we frakach i cylindrach, a nie w zbroi, hełmie i na pięknym rumaku... Czy Jerry Emerson — to znaczy Menahem Abrahamowicz — mógł sobie

wyobrażać, że jego syn, syn mający przyjść na świat kilka lat później, gdy życie będzie już wiódł dostatnie, czy mógł sobie wyobrażać, że ten syn wejdzie w świat luksusu, bogactw i ekstrawagancji, których on tylko się domyślał za pysznymi fasadami w stylu antycznym, wznoszącymi się po obu stronach Piątej Alei?

Mógł sobie wyobrażać, oczywiście — lecz na swój sposób. Mógł sobie wyobrażać całą siłą swojej ambicji, woli zwycięstwa i przeczucia swego olśniewającego przeznaczenia — czyż Aron nie przepowiedział mu sukcesu? Wracając o zmierzchu na dolny Manhattan obiecał sobie, że nim upłynie dziesięć lat, będzie milionerem.

Obietnicy dotrzymał.

Jak większość Żydów przybyłych z Europy na początek zamieszkał z matką i siostrami pośród krajan i odnalezionych tu członków swej rozległej rodziny, w ruderze w zaułku wychodzącym na Jedenastą Wschodnią. Stary Mosze, daleki krewniak, przyjął go na próbę do swej pracowni krawieckiej. Obruszył się zrazu, że młody karierowicz przybrał gojowskie imię, i ostro go zbeształ. Jednakże wobec pomysłowości i inteligencji chłopaka musiał skapitulować. Jerry wynajdywał sztuczki, które przyspieszały wszywanie podszewek i obrębianie, Jerry wymyślał z głowy takie kroje, że na każde dziesięć garniturów zyskiwało się na tkaninie jeden, Jerry pracował z większym zacięciem niż dziewięciu pozostałych krawczyków razem — Jerry był genialny: Mosze powiedział to jasno. Miałby o nim pewnie jeszcze lepsze zdanie, gdyby wiedział, że Jerry całe noce spędza na doskonaleniu angielskiego czytając gazety. Gazety fascynowały Jerry'ego. Z rozkoszą pogrążał się w lekturze wszystkiego, co mu wpadło w ręce: dzienników, magazynów ilustrowanych, tygodników czy miesięczników... Wszystko było dobre, jeśli tylko pachniało farbą i zostało wydrukowane na papierze. Zrodziła się gorąca pasja. A w głowie zaczynała mu się wykluwać pewna myśl: „A gdybym tak ja też..."

Nadszedł dzień 28 października roku 1886 i Statua Wolności wreszcie została odsłonięta oczom rozradowanego tłumu, cisnącego się na pokładach tysiąca statków i na nabrzeżach Battery... Ale Jerry'ego w tym tłumie nie było:

w tym samym bowiem czasie stary Mosze wydawał ostatnie tchnienie. W swoim testamencie uwzględnił tego, o którym zawsze mówił „mój mały Menahem", i w nikim nie budziło wątpliwości, że młody Emerson stanie po nim na czele interesu. Mimo ledwie dwudziestu sześciu lat wydawał się najbardziej kompetentny. Jakież było zdumienie, konsternacja nawet, kiedy poznano niewiarygodną decyzję Jerry'ego: sprzedaje swoją część! Tak, sprzedaje i rozstaje się z pracownią. A wiecie dlaczego? „Biedny wariat!", dowiadując się o tym wzdychały kumoszki, którym Jerry od jakiegoś czasu wydawał się całkiem interesującą partią dla córek, „biedny wariat!", powtarzały, słysząc potwierdzenie nowiny: spieniężał swoją część, żeby założyć — „trzymajcie się mocno!" — gazetę!

Nie można powiedzieć, żeby ta gazeta była nieciekawa, to się szybko okazało! Była pisana w jidysz i zawierała mnóstwo wszelkiego rodzaju drobnych ogłoszeń: handlowych, lokalowych, matrymonialnych — w owym czasie była to nowość, w dodatku bardzo użyteczna dla gminy... Ale zakładać gazetę, kiedy można było żyć z pracowni krawieckiej ciągle przynoszącej zysk! Jerry został wykluczony ze swego plemienia. Początkowo mu to doskwierało, lecz w końcu, gdy miał pewność, że zmierza do sukcesu, przestał się przejmować: wiedział, że ma rację. Wypełniała się przepowiednia Arona. Pewnego dnia on też otoczony będzie szacunkiem, jakim otacza się Pulitzera...

Ani się spodziewał, że takie oburzenie wywoła, kiedy w roku 1889, już pewien siebie i materialnie zabezpieczony, ale nie zaspokoiwszy jeszcze pragnienia majątku i sławy, haniebnie zdradził swoich i przeszedł na stronę wroga. Pewnego pięknego dnia bowiem tygodnik w jidysz, którego nowego numeru w każdy wtorkowy poranek z niecierpliwością oczekiwano w Lower East Side, pojawił się na straganach na rogu ulicy pod angielskim tytułem: „Various Advertisements&Events". Gorzej: po rozłożeniu gazety spostrzeżono, że całość napisana jest w języku gojów. Tego już było za wiele! Wszyscy odwrócili się od Jerry'ego... No, nieścisłe jest powiedzenie: „wszyscy"! Projektem zainteresowali się bowiem bankierzy — zaczynał się awans społeczny Jerry'ego Emersona.

„V.A.&E." — taką nazwą bardzo szybko obdarzono pismo—przedstawiało coś nowego i obiecującego w dziedzinie prasy. Duże całostronicowe fotograwiury i artykuły na wszelkie tematy, od najbardziej błahych po najpoważniejsze, lecz zawsze jednakowo traktowane, w stylu „firmowym", wypracowanym w ciągu kilku lat przy pomocy dziennikarzy, których Jerry, mimo bardzo powierzchownego wykształcenia, nader inteligentnie dobierał. Przestano kształtować pismo jako zespół rozmaitych talentów, a przeciwnie, jako jednolitą całość, gdzie wszystkie talenty się zlewały. Przyjęto styl niezbyt górny, aby nikogo nie odstręczał, skoro nastawiono się teraz na masowego odbiorcę, zamieszczano mnóstwo reklam: w „V.A. &E". kiełkowały wszystkie tendencje współczesnej prasy. Niebawem przybyło dużych, całostronicowych ulotek handlowych, a ogłoszenia drobne gminy żydowskiej stały się dyskretniejsze. W samym tytule czcionka, jaką drukowano „Various Advertisements", z czasem zmalała, aż w końcu ta część tytułu stała się tylko dopiskiem nad „Events": rodziło się czasopismo ilustrowane. Nikomu jednak do głowy wtedy nie przyszło, nawet bankierom, że po definitywnym usunięciu „Various Advertisements" pismo trzydzieści lat później stanie się w rękach syna Jerry'ego Emersona najpoczytniejszym na świecie magazynem.

Ale sto tysięcy egzemplarzy w tamtych czasach to było naprawdę coś! Pierwszego „stutysięcznika" Jerry Emerson uczcił 15 stycznia roku 1891. I skorzystał z okazji, by poślubić pewną młodziutką piękność, Sarę Katzenbach, córkę słynnego jubilera z Dziesiątej Ulicy. Ceremonia w synagodze i huczne przyjęcie weselne wywołały najpiękniejszy zamęt, jaki gmina kiedykolwiek oglądała. Za wulgarne uznano zaproszenie do wielkiego hotelu prowadzonego przez nieżydów, lecz zaczynano wyciągać do małego Menahema rękę na zgodę. On zaś podchodził teraz do tego z dystansem: jedyne, czego pragnął, to żeby jego syn, którego niebawem z całą pewnością będzie miał, mógł tańczyć w pięknych patrycjuszowskich domostwach przy Piątej Alei, odkrytych w dniu, gdy on przybył do Nowego Jorku i był tylko klepiącym biedę Żydkiem, spacerującym z zadartą wysoko głową. Przed nim drzwi wielkiego świata były zamknięte, ale otworzą się przed jego synem!

I narodził się syn tak oczekiwany. Hosanna! Hosanna! Narodził się w dniu, niechaj będzie błogosławiony, 13 stycznia roku 1893, i nie dano mu na imię Mosze czy Abraham albo Aron, lecz imiona dwóch bankierów komandytariuszy „V.A.&E"., którzy wydawali się Jerry'emu ludźmi najbardziej dystyngowanymi, najbardziej szacownymi i wreszcie najbardziej amerykańskimi ze wszystkich Amerykanów: Eliott i Ernest. Narodził się więc Eliott Ernest i nie został nawet obrzezany — tak postanowił jego ojciec.

Żaden książę następca tronu nie był w dzieciństwie tak pieszczony, o niczyją edukację bardziej nie dbano. W ślicznym domu przy Madison Avenue, gdzie Sara i Jerry zamieszkali, całe piętro miał dla siebie. Oprócz babci Katzenbachowej, jej córki i angielskiej guwernantki, niejakiej miss Lowe, jeszcze dwie siostry Jerry'ego, Ruth i Rebeka, obydwie stare panny, otrzymały zadanie wychowania go niczym królewskiego syna. Ruth prowadziła w tajemnicy dziennik — z którego znamy fakty dotychczas podane w tej opowieści oraz dużą część późniejszych: zapisany w nim został ekstrawagancki ceremoniał, jakim otaczano dziecko bez ustanku, czy to gdy dosiadało konia, czy grało w krykieta, uczyło się angielskiego, geografii bądź rysunku. Za pośrednictwem syna Jerry brał odwet za wszystkie afronty, jakich sam doświadczył, za wszystkie urazy i upokorzenia. Brał odwet za swoje dzieciństwo, nędzne dzieciństwo przeżyte na ugorach obrzeży rodzinnej wsi. Brał odwet na tym gburowatym urzędniku biura imigracyjnego z Ellis Island, na tym psie Irlandczyku, który udawał, że nie rozumie jego nazwiska...

Mijały lata łatwego życia. „V. A. &E". wydano w 250000 egzemplarzy 1 stycznia roku 1900, a 13 tego samego miesiąca mały Eliott obchodził siódme urodziny. Był bardzo bystrym, żywym dzieckiem, o dziwo! wcale nie pozbawionym samodzielności ani rozpieszczonym cieplarnianymi warunkami. Uwielbienie, jakim pięć kobiet darzyło jedynaka, nie zdołało go zepsuć: dostrzeżono to w późniejszym czasie i zdumiano się. Po ojcu Eliott odziedziczył nieugiętą wolę i rzadką zuchwałość. Posiadając wszelkie uzdolnienia, mógł był wieść młodość próżmaczą i beztroską, postąpił jednak inaczej: wykazał się pracowitością w college'u i już w wieku trzynas-

tu, czternastu lat namiętnym zainteresowaniem do wszystkiego, co wiązało się z prasą. Mógł był balować i ścigać się automobilami z nuworyszami w swoim wieku: wolał w swoim pokoju spędzać samotnie długie godziny nad lekturą albo przemierzać lasy. A przecież nie stronił od ludzi, nie był nieśmiały, przeciwnie: dowodził dużej swobody bycia w towarzystwie, a nawet sporego poczucia humoru i kąśliwości, przez co zarazem szukano jego kompanii i obawiano się docinków, ale on czuł się wyższy nad swych rówieśników obojga płci, których próżność i pustota nudziły go. Toteż wcale nie dążył do przestawania z nimi. Uczucie, że jest „inny", jeszcze się zaakcentowało, kiedy wstąpił do Princeton. Sprawił bowiem ojcu tę radość! A jakże ojciec cieszył się z nowiny: rodzony prawnuk Abrahama Abrahamowicza został przyjęty na najbardziej renomowany uniwersytet amerykański! Jerry Emerson wydał wówczas przyjęcie, przy którym jego przyjęcie weselne sprzed dwudziestu lat było niczym. I ten człowiek tak poważny i stateczny teraz, gdy mu się powiodło, przez trzy dni nie trzeźwiał.

Eliott nie był lubiany wśród kolegów, ale jako doskonały student i niezły sportowiec bardzo przez nich podziwiany. Zakosztował romantycznego życia studenckiego z początku wieku. W Europie od trzech lat trwała wtedy wojna: zaledwie ukończył studia, został powołany pod sztandary razem z dwoma milionami sobie podobnych i wysłany na front w Ardeny. W błocie, krwi i robactwie, pod gradem pocisków i wśród żołnierskich mogił, księżycowych kraterów i okaleczonych drzew, walczył z nonszalancką brawurą, z wytworną pogardą niebezpieczeństwa i czymś na kształt obojętności, które zaczynały go wyróżniać spomiędzy innych. Cudem jakimś wrócił z wojny cały, obwieszony orderami i tyle razy wymieniony w rozkazach, że w jednym znumerów „V.A.&E". pół strony niemal w całości poświęconej jego czynom ledwie pomieściło ich wykaz. Po demobilizacji Eliott wylądował na Ellis Island 13 stycznia 1919 roku, w dzień swoich dwudziestych szóstych urodzin. I tak samo jak jego ojciec trzydzieści sześć lat wcześniej został wciągnięty w rejestr, odwszawiony, wykąpany... Jednakże przyjęcie ze strony urzędników było zgoła odmienne: Eliott E. Emerson był bohaterem. Pod jego

nieobecność „Various Advertisements&Events" postarały się upowszechnić jego legendę...

Nasz bohater odziany w piękny mundur obsypany wstążeczkami i rozetkami odznaczeń udał się prosto na Madison Avenue. Dom pogrążony był w żałobie: Jerry Emerson umarł, nie mogąc ujrzeć i po raz ostatni uściskać syna. Poprzedniego dnia, gdy wyszedł z wytwornego burdelu na Broadwayu, potrącił go tramwaj...

Eliott, który oglądał śmierć tylu młodych ludzi wokół siebie na pozór niewzruszenie, długo płakał i odczuwając w swym smutku odziedziczoną po przodkach potrzebę pociechy, kazał sprowadzić rabina, by zajął się pochówkiem. Po powrocie z cmentarza najpierw dowiedział się, że odziedziczył „Various Advertisemcnts&Evcnts", co go wcale nie zdziwiło. Natomiast zdumiał się drugą nowiną: oto Clermontowie prosili, by raczył zaszczycić swoją obecnością bal wydawany z okazji osiemnastych urodzin ich córki Abigail. Nie wiedział bowiem, że w wielkim świecie toczono wówczas boje o honor goszczenia na swoich przyjęciach bohatera wojennego.

Zmarły o trzy tygodnie za wcześnie nieszczęsny Jerry Emerson, nieszczęsny Menahem Abrahamowicz, nie ujrzał więc tego, o czym tak marzył, o co walczył: swego syna przyjmowanego przez potomków rodziny emigrantów przybyłych do Ameryki na „Mayflower"! Swego syna wkraczającego wśród połączonych oklasków Vanderbiltów i Astorów, swego syna sunącego po marmurowej posadzce przy dźwięku cygańskich skrzypiec, które między jednym walcem a drugim grały hymn narodowy! Swego syna proszącego do tańca piękną młodą dziedziczkę, która natychmiast wpisała jego nazwisko do karnetu.

— Eliott Emerson. Czy pan jest z Emersonów z Bostonu?

— Nie.

— Więc z Emersonów z Atlanty?

— Nie.

— W takim razie z Emersonów z Blacksburg w Virginii.

— Także nie.

— To mo^c z Emersonów z...

— Proszę nie zgadywać: jestem Emerson z Ferry-boats.

— Ach! pański ojciec...

— Nie. Mój ojciec nie ma floty. Proszę przestać marzyć, Abigail Clermont. Mój ojciec nazywał się Menahem Abrahamowicz.

— Ha! jest pan pierwszym, którego w takiej sytuacji stać na szczerość i który niczego nie próbuje się wypierać: pan mi się podoba, panie Emerson. Między tymi snobami tutaj, śmiertelnie nudnymi, jest pan jak powiew świeżego powietrza. Szkoda, że nie możemy dłużej pogawędzić, ale jestem winna tego walca synowi Pierponta Morgana Juniora.

— Dlaczego nie wpisze pani do karnetu mojego nazwiska dziesięć razy pod rząd? Ja też mam pani tyle rzeczy do powiedzenia! No właśnie: Emerson, Emerson, Emerson, Emerson...

— Dlaczego powiedział pan „z ferry-boats"?

— Później pani opowiem.

— Bardzo pan tajemniczy.

— Pani piękne oczy również.

— Ciii! Niechże pan takich rzeczy nie mówi!

W drugim dniu lutego roku 1921 Abigail Clermont poślubiła Eliotta E. Emersona.

Byłoby przesadą mówić, że małżeństwo to było w smak pani Clermont. Ale aermontowie doznali w ostatnim czasie niepowodzeń, Events zaś, po mistrzowsku kierowany przez młodego szefa, świetnie prosperował. Eliott E. Emerson był teraz człowiekiem na świeczniku i należało się z nim liczyć: czyż nie przyjmowano go w najbardziej zamkniętych kręgach Waszyngtonu, tam, gdzie tworzy się i obala politykę Stanów Zjednoczonych? Czyż nie gościł na obiedzie w Białym Domu? Jego tygodnik, wydawany w milionie egzemplarzy, sprawiał, że drżeli wielcy tego świata. A sukces się nie pomniejszał, wręcz przeciwnie: zanosił się na coraz piękniejszy, ponieważ „Trzy E" — jak już wtedy złośliwie go nazywano — wyczuł ducha czasu. Pojął, że rewolucja obyczajowa i w sposobie myślenia wzburzy *roaring twenties,* grzmiące lata dwudzieste, które zaczynały dopiero kwilić.

A poza tym Abigail i Eliott kochali się. Miłością szaloną —z której dziesięć lat wspólnego życia nie zdołało ich w pełni

wyleczyć. Obydwoje byli piękni, młodzi, bogaci, szczęśliwi i niewiarygodnie romantyczni: przypominali bohaterów książki Fitzgeralda. Fitzgerald zresztą wzorował się na nich budując postacie do swojej słynnej noweli *Herbatka w raju.* Byli uosobieniem powodzenia...

W roku 1924 Abigail urodziła syna. Dano mu na imię Abel: przypominało matkę, ale czciło również pamięć przodków, którzy tyle przeszli w rodzinnym getcie. Przy kołysce dziecka zeszły się wszystkie wróżki. I choć chłopiec nie odebrał edukacji tak ekstrawaganckiej jak jego ojciec, dzieciństwo miał niczym mały książę.

W dworku w Sag Harbor, wybudowanym przez Eliotta, dni upływały szybko i przyjemnie. Wydawano bale, kolacje, herbatki tańcujące, grano w tenisa, jeżdżono konno, organizowano regaty w zatoce Long Island. Odnotowano oczywiście smutny dzień 24 października 1929 roku, kiedy to przyszła wiadomość, że z okien przy Wall Street sypie się deszcz zrujnowanych miliarderów, ale krach w „czarny czwartek" nieznacznie tylko dotknął Eventsa, a jeszcze mniej Emersonów. Po prostu przez jakiś czas — i to bardziej w trosce o konwenanse niż z obawy o jutro — wiedli życie odrobinę skromniejsze i rzadziej urządzali w dworku huczne przyjęcia. „To jedyne ustępstwo na rzecz ducha depresji, na jakie sobie pozwalamy", z humorem zauważył Eliott E. Emerson. Los nadal się do nich uśmiechał, *Events* wysilał się na optymizm, aby pozwolić czytelnikowi zapomnieć, iż żyje w niepewnych czasach; no i zawsze przecież można było zorganizować jakieś regaty w niewielkim gronie i jeździć konno.

W rozległych stajniach w Sag Harbor Bucentaur i Bucefał stały zawsze gotowe, dobrze utrzymane przez masztalerza i chłopca stajennego. Aż parskały z niecierpliwości. Co rano przed śniadaniem Abigail odbywała konną przejażdżkę w towarzystwie syna. Eliott był w Nowym Jorku: wracał do Sag Harbor w piątek wczesnym popołudniem i wyjeżdżał we wtorek z rana, w dzień wydania „Eventsa". Abigail na jednym z pełnokrwistych wierzchowców jechała wtedy obok duesenberga męża do samej bramy parku. Przez opuszczoną szybę limuzyny wymieniali przekomarzanki zakochanych i posyłali sobie całusy. A kiedy samochód wyjeżdżał na drogę,

Abigail zawracała konia i pędziła do dworku, pomachawszy raz jeszcze Eliottowi.

Co się dokładnie wydarzyło tamtego wtorkowego poranka, tego już nikt się nie dowie. Oto bowiem Bucentaur naraz, jakby oszalały, rzucił się pod koła duesenberga, gdy samochód wyjeżdżał na drogę. Rozległ się przeraźliwy krzyk i głośne rżenie: wyrzucona z siodła Abigail leżała na jezdni. Nieżywa — zmarła na oczach jedynego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek kochała, mężczyzny, który ją jedną w życiu kochał.

On także chciał umrzeć. Rozpacz wtargnęła w jego życie w chwili największego zwycięstwa. Próbował popełnić samobójstwo, całymi dniami jak szalony błądził po ogromnym dworze, gdzie każdy zakątek w świetle i cieniu przypomina! mu pogrzebane szczęście, pogrążył się w pracy i w ciągu kilku miesięcy założył pięć nowych tytułów... Na koniec zgodził się żyć. Lecz nie dla siebie: dla syna, który został mu po niej, tak bardzo do niej był podobny i nosił prawie takie samo jak ona imię — Abel.

Jakie jeszcze nieszczęście mogło nań spaść teraz, gdy stracił Abigail? Czasami zastanawiał się nad tym i odczuwa! jakby posępne zadowolenie, że nic *gorszego* nie może sobie wyobrazić. Temu, kto sięgnął dna rozpaczy, często wydaje się, że teraz cieszy się czymś na kształt nadprzyrodzonej pieczy: już nic nie może mu się przytrafić, myśli, i w pewien sposób staje się silniejszy i pogodniejszy niż inni śmiertelnicy.

Eliott nie wiedział, że dziesięć lat później, niemal co dc dnia, znowu dosięgnie go tragiczne wydarzenie. I rok potem raz jeszcze — i jeszcze okrutniej sze.

Nie wiedział, że jest przeklęty.

Jego przekleństwo nazywało się Kay. Kay Mc Kay.

Kay Mc Kay przetańczyła cały sezon w „Primaverze" w interesującej rewii zatytułowanej *Ja i mój banan:* w refrenie najbardziej znanej piosenki tej rewii znajdowały się takie otc słowa noszące wyraźne znamię dobrego smaku i subtelności:

Zamiast rano zjadać kaszkę
Ssałam wielkiego banana
Polubiłam tę igraszkę Jak na
ośle kołysana!

Taka wulgarność jednak przypadła do gustu miliarderowi od konserw wołowych, który wpadł tam kiedyś i przysiadł przy barze. Kay została panią Hancock, zanim' zdążono pozmieniać afisze „Primavery". A jeszcze szybciej — lecz to osobna historia — została wdową Hancock.

Kay była piękną rudowłosą kobietą o posągowych kształtach, bladozielonych oczach i aroganckim śmiechu: czy da się kiedykolwiek odkryć inne przyczyny, dla których nieutulony w żalu Eliott E. Emerson tak nagle zakochał się w niej do szaleństwa? Stanowiła bowiem dokładne przeciwieństwo Abigail. Abigail była łagodna, Kay władcza. Abigail była subtelna, Kay pretensjonalna. Abigail była kobietą inteligentną i wykształconą, Kay głupią ignorantką. Abigail była wspaniałomyślna i czuła, Kay małostkowa i oschła. Abigail uwielbiała Eliotta i małego Abla, Kay gardziła mężem i nie znosiła pasierba...

Eliott jednak kochał ją. Abel zaś, chociaż powtórne małżeństwo ojca sprawiło mu przykrość, starał sieją szanować.

Większość dawnych przyjaciół Emersonów, niegdyś tak chętnie zjeżdżających na przyjęcia w Sag Harbor, zaczęła ich teraz unikać. Powoli zastąpili ich znajomi z kręgu Kay — nuworysze i karierowicze, zafascynowani renomą Emersona, jego wpływami, bogactwem i ogładą. Jednym z pierwszych był Leonard Howard, adwokat Kay podczas do chodzenia w sprawie śmierci Hancocka. Howard był ambitny. W znajomości z tak szanowanym człowiekiem widział siebie w przyszłości na czele biura prawnego „Eventsa", który, jak każde pismo tej rangi, musiał dysponować w każdej chwili całym sztabem adwokatów; w dodatku miał pełne poparcie Kay. Dlaczego Eliott E. Emerson nigdy nie uległ temu kaprysowi Kay? Z jakiego sobie tylko znanego powodu zawsze się nieufnie odnosił do człowieka, będącego w końcu doradcą jego żony w sprawach majątkowych i całkiem dobrze nimi kierującego? Tego na razie nie wiadomo. Howard pozostał jednak „przyjacielem rodziny", tym, który życzliwie składa wizytę żonie osamotnionej, gdy mąż pracuje w mieście; który służy radami kulinarnymi czy pomysłami dekoratorskimi, gdy szykuje się przyjęcie; który zawsze zgadza się być czternastym przy stole, kiedy ktoś z gości

w ostatniej chwili zrezygnował; który sprawia uciechę dzieciom gospodarzy, z wdziękiem podporządkowując się regułom najbardziej zwariowanych zabaw, i nigdy nie zapomina o niczyich urodzinach. Mały Abel przepadał za Howardem, namiętnym automobilistą i wybitnym kierowcą rajdowym, który często zabierał go na wyścigi w swoim sportowym torpedzie.

Mały Jeremy również za nim przepadał.

Drugi syn Eliotta Emersona urodził się w roku 1934. Nazwano go „przybranym" imieniem dziadka, lecz Kay nie lubiła zdrobnienia, uważając je za nieeleganckie dla Emersona, toteż wołano nań Jeremy. Dziecko na jakiś czas zbliżyło do siebie rodziców. Przy jego kołysce Eliott i Kay zapomnieli o kłótniach, które od kilku miesięcy coraz częściej wybuchały. A dziesięcioletni wówczas Abel poczuł się jeszcze bardziej niż dotąd odtrącony przez Kay. Musiał być cicho, bo Jeremy spał. Musiał pożyczać Jeremy'emu swojego kuca, ponieważ Jeremy, choć miał swoich trzy, chciał jeździć właśnie na tym. Musiał dawać swoje książki Jeremy'emu, gdyż Jeremy, „złotko kochane", lubił je targać. Ustępował bez większego oporu, ale to nie wystarczało: Kay zawsze znalazła jakiś powód, żeby go zbeształ. Toteż całkiem naturalne, że chłopiec szukał u babci Oermontowej i ojca uczucia, którego mu brakowało. Nabrał zwyczaju odwiedzać go w Nowym Jorku, kiedy Kay sądziła, że jest w szkole. Te króciutkie odwiedziny młodego Emersona w surowych biurach przy Madison Avenue były naprawdę przemiłymi chwilami. Raptem na dyrektorskim piętrze korytarze ożywały: każda sekretarka chciała uszczypnąć w policzek, poczęstować cukierkiem czy nawet pocałować następcę tronu—taki milutki, taki zabawny, taki serdeczny był „ten wisus" i „bardzo rozwinięty intelektualnie jak na swoje czternaście lat"! Abel istotnie był nad wiek rozwinięty. Przejawiał takie same jak jego ojciec w dzieciństwie predyspozycje do dziennikarstwa. Interesował się już funkcjonowaniem Eventsa, a jego naiwne, ale sensowne pytania wszystkich radowały. Sam Robert G. Kelly, taki zawsze zasadniczy, tracił przy nim na chwilę powagę i dla zabawy sadzał go w swoim wielkim fotelu obciągniętym

czarną skórą. Nikt nie miał wątpliwości, że Abel będzie godnym następcą Eliotta, tak jak Eliott stał się godnym następcą Jerry'ego! Nie wygaśnie dynastia magnatów prasowych...

Abel wykazywał też takie same uzdolnienia w nauce: nie miał jeszcze siedemnastu lat, kiedy przyjęto go do Princeton.

— Co byś ode mnie chciał, żeby to uczcić? — spytał ojciec, bardzo z niego dumny.

— Alfę romeo, taką jak Leonarda — odparł chłopiec. — Przedwczoraj zdałem egzamin na prawo jazdy...

— Świetnie, pomyślę.

Eliott uciekł się do pomocy Howarda: czy mógłby się zająć kupnem modelu wybranego przez Abla i załatwić w swoim warsztacie, żeby samochód jak najszybciej przygotowano i dostarczono do Sag Harbor? Abel chciał czerwony. Jeśli takiego koloru nie będzie, to należy przemalować: pieniądze nie stanowią problemu. Liczy się tylko szybkość wykonania polecenia.

Z zasady zresztą pieniądze nie były problemem w kontaktach z Eliottem E. Emersonem, szło tylko o tempo, coraz większe tempo spełniania jego żądań — czyż nie był posiadaczem siódmej w Stanach prywatnej fortuny? Brakowało mu tylko czasu, by wymyślić jeszcze więcej. I stać się jeszcze bogatszym...

Szkarłatne cudo o pojemności 4200 cm sześciennych, z podwójnym wałem rozrządu i silnikiem wysokoprężnym, zostało dostarczone w następnym tygodniu po rozmowie Howarda z Emersonem, po dyskretnym szantażu zastosowanym przez pismo „Le Mans" z koncernu Events wobec importera alfa romeo mającego wyłączność na Amerykę. Ogromna kryta plandeką ciężarówka wjechała do parku w Sag Harbor i zatrzymała się przed wejściem do dworu. Kierowca i pracownik składu spuścili klapę i oczom oczarowanych Abla i małego Jeremy'ego ukazał się wóz sportowy, ozdobiony ogromną różową kokardą, jakby to było pudełko czekoladek. Pracownicy warsztatu alfy romeo ostrożnie zepchnęli samochód na podjazd. Jeremy klaskał, Abel zaś z dziecięcą uciechą zerwał szeroką wstążkę. Rozpromieniona Kay zawołała:

— Jaki piękny!

A Howard, który wydawał się osobliwie wzruszony, choć przecież tyle samochodów widział i prowadził, rzekł półgłosem:

— Jest twój.

— Masz być ostrożny, synu —powiedział Eliott z uśmiechem. — Ufam ci. Możesz go zaraz wypróbować, jeśli chcesz. Widzę, że umierasz z ochoty.

— Ja też chcę jechać! Ja też chcę jechać! — rozkrzyczał się Jeremy. — Ja też chcę jechać...

Ku jego zdumieniu jednak Kay, która zawsze ulegała najdrobniejszym zachciankom syna, złapała chłopca i mocno objęła, mówiąc z jakąś szczególną zapalczywością:

— Nie, nie, nie pojedziesz... To samochód Abla... Tylko Abla... Kiedyś później, jeśli będziesz chciał... i jeżeli on zechce... Ale teraz daj mu spokój! To jego samochód, rozumiesz?

Krzyki, łzy, tupanie—nic nie pomogło. I Abel sam usiadł za kierownicą kabrioletu. Chociaż raz coś było naprawdę jego! Howard podszedł jeszcze, żeby mu pokazać, jak się zmienia biegi. Ręce mu drżały i Abel ze śmiechem zauważył, że niezbyt mu idzie manipulowanie drążkiem: on lepiej sobie z tym radzi. Mógł już ruszyć...

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wcisnął gaz, wrzucił pierwszy bieg, drugi...

Kilka razy okrążył podjazd, po czym wyjechał na drogę ku morzu.

Samochód pędził w stronę falezy — pędził.

Cóż ten Abel wyrabia?

Nie wyprostował po zakręcie nad samym oceanem i zdawał się teraz płynąć...

Cóż ten Abel wyrabia?

Na oczach zdjętego przerażeniem Eliotta E. Emersona samochód jechał dalej prosto ku morzu...

Krzyk — alfa romeo runął na falochrony i stanął w ogniu. Za jego kierownicą Abel E. Emerson zginął na tydzień przed siedemnastymi urodzinami.

Na kpiny zakrawało dochodzenie, które doprowadziło do stwierdzenia, że prawdopodobnie był to błąd w montażu układu hamulcowego. Na kpiny zakrawała kwota pół milio-

na dolarów wypłacona przez producenta jako odszkodowanie po długotrwałych ekspertyzach. Na kpiny zakrawała kwota równa tamtej, którą bez wiedzy Emersona otrzymał pewien współpracownik „Le Mans", by nie rozdmuchiwać sprawy. Na kpiny zakrawał portret w czarnych ramkach w jednym z numerów „Eventsa", gdzie znajdowały się też pierwsze zdjęcia ofensywy niemieckiej na froncie rosyjskim. Na kpiny zakrawał bukiet białych lilii rzucony na prostą płytę nagrobną z szarego granitu. Na kpiny zakrawały kondolencje przysyłane ze wszystkich stron, od wszystkich wielkich tego świata. Na kpiny zakrawało to wszystko wobec rozpaczy Eliotta E. Emersona: jego syn, syn Abigail, odszedł w dziesięć lat po matce...

Nie próbował się zabić. Szukał ukojenia przy Kay — na próżno: Kay od wypadku traktowała go jeszcze bardziej szorstko i zimno. Szukał ukojenia w pracy — na próżno: „Events" dzięki wojnie jeszcze zwiększył nakład o dwa i pół miliona egzemplarzy, czegóż więcej zatem mógł się spodziewać? Szukał ukojenia przenosząc całe uczucie na drugiego syna — na próżno: Jeremy sprawił mu zawód, był dzieckiem fałszywym, kapryśnym i mało serdecznym. Rozpaczliwie szukał ukojenia...

Aż wreszcie znalazł je. Nazywało się Lauren. Lauren Young.

Lauren Young była młodą sekretarką, od niedawna przeniesioną do dyrekcji. Miała dwadzieścia lat, była subtelna i ładna. W kroku i sposobie modulacji głosu przypominała nieco Abigail. Można nie wywodzić się od Germonta z „Mayflower" i mieć klasę. Lauren ją miała... Niczego od Eliotta nie żądała, nigdy nie eksponowała swojej osoby, nie próbowała go* nawet uwieść, co czyniły wszystkie inne. Kiedyś późnym wieczorem kończyła coś dla Kelly'ego, coś, od czego inne sekretarki się wymówiły: było już po godzinach... Szef wychodzący z biura ostatni zauważył w pomieszczeniu obok zapalone światło i wszedł.

— Young, nie ma pani przypadkiem aspiryny? — spytał zbolałym głosem. — Strasznie mnie boli głowa...

— Nie, proszę pana. Ale chyba mam chusteczkę i mogę ją panu pożyczyć: domyślam się, że pan płakał.

— Czy mężczyźni nie mają prawa płakać?

— Tego nie powiedziałam. Ale czy kobiety, które współczują mężczyznom, którzy płakali, nie mają prawa im tego powiedzieć?

— Współczują?

Uśmiechnął się blado, wytarł nos w jedwabną chusteczkę, i zwolnił kierowcę na wieczór — wróci pieszo do garsoniery w hotelu Pierre. Potem zmienił zdanie. I po raz pierwszy w życiu zaprosił na kolację jedną ze swoich sekretarek.

— „Sardi" pani odpowiada?

Dziewczyna jednak nie chciała pokazywać się z nim w tak modnym miejscu i skromnie odparła:

— Nie, chodźmy raczej do mnie do domu. Mama zrobi spaghetti. Strapiony mężczyzna nie powinien zabierać kobiety do „Sardiego".

Taki totalny brak ambicji towarzyskich ogromnie mu się spodobał: dotychczas znał tylko kobiety gotowe okryć się hańbą, byle ujrzano je, jak wchodzą z nim pod rękę do „Morocco". Lauren była inna.

Pokochali się gorąco. Jak dwie istoty doświadczone przez życie. Ją kilka miesięcy wcześniej rzucił narzeczony, on stracił pierworodnego syna — rozumieli się w pół słowa. A ich związek był tak dyskretny, że nikt, oprócz szofera Harry'ego, nigdy się o nim nie dowiedział. W tygodniu, kiedy Eliott przebywał w Nowym Jorku, odwiedzał ją co wieczór w małym mieszkanku, będącym jedynym kosztownym podarunkiem, jaki od niego przyjęła. A podczas wlokących się weekendów w Sag Harbor często znajdował pretekst, by wrócić do miasta: przez tę „cholerną wojnę" zawsze przecież zdarzyło się coś, co wymagało jego obecności w zecerni, podjęcia natychmiastowej decyzji.

Lauren oznajmiła mu to w dniu, kiedy przyszła wieść, że Japończycy zaatakowali flotę amerykańską w Pearl Harbor.

— El, spodziewam się twojego dziecka.

On zaś rzekł na to z prostotą:

— Cieszę się, Lauren.

W tamtej chwili Lauren mogła była zażądać, by rozwiódj się z Kay i z nią zaczął życie od nowa — w znużonyof

spojrzeniu Eliotta było wówczas coś na kształt wdzięczności. Wiedziała jednak, że kiedy jest się prezesem „£ventsa", pisma prawomyślnego i purytańskiego, to rozwód nie wchodzi w rachubę. A poza tym takie spokojne życie, życie w cieniu zadowalało Lauren. Jej dziecko nie będzie miało ojca, ale ona ojca swojego dziecka nadal będzie co dzień widywać i będzie się z nim kochała: było to więcej, niż Kay Mc Kay obecnie mogła się odeń domagać. A co się tyczy uszczypliwych komentarzy koleżanek w biurze, to nie będzie musiała ich znosić: zanim jeszcze ciąża stała się widoczna, szef zaproponował jej długi urlop zdrowotny. Lauren bardzo go zresztą potrzebowała. Ciąża zapowiadała się na trudną.

— Ale w dzisiejszych czasach nie umiera się przy poro dzie...

„W dzisiejszych czasach nie umiera się przy porodzie. Nie umiera się przy porodzie..." uparcie powtarzał sobie Eliott w czerwcowy poranek roku 1942, niecierpliwie czekając, aż z kliniki zadzwonią na zastrzeżoną linię prywatną, której numer podał przełożonej pielęgniarek, kiedy się dowiedział, że niewątpliwie bez komplikacji się nie obejdzie.

„Nie umiera się przy porodzie..."

Naraz, nie mogąc dłużej tego znieść, zostawił Kelly'ego, rozważającego jakąś ważną kwestię, wypadł z gabinetu i lekceważąc windy, zbyt wolne jak na jego gust, zbiegł po schodach — czego nigdy, jak daleko pamięć pracowników „Eventsa" sięgała, nie widziano.

„Nie umiera się przy porodzie..."

Kazał zatrzymać limuzynę dwa bloki od kliniki. („Nie umiera się...") Pobiegł do budynku szpitala. („Nie umiera się...") Jak burza wpadł do holu porodówki...

— Nie, proszę pana! Nie! — krzyknęła pielęgniarka, zastępując mu drogę. — Proszę nie wchodzić!

Od razu wiedział. Wiedział, a jednak odtrącił ją i wszedł — rzekłbyś, szaleniec.

Konająca Lauren leżała w poprzek łóżka, a zakrwawiony, kwilący noworodek spoczywał na jej brzuchu.

— Umarła! — ryknął Eliott. — Umarła!

W porywie rozpaczy chwycił w ręce syna, jeszcze żywego, i zawołał śmiejąc się donośnie: — Abel! Abel! Po czym zwalił się z nóg.

Eliott był „wyjątkowy". Zawsze był „wyjątkowy", przewyższał innych — wiedział o tym. I być może te nieszczęścia były ceną, jaką musiał za tę wyższość płacić — czasem tak myślał; okupem z łez i krwi za tę nadludzką energię, jaką posiadał. Energię, która pozwoliła mu raz jeszcze pokonać rozpacz i nie ulec szaleństwu. „Jesteś przeklęty, bo twój ojciec wyrzekł się swoich korzeni!" powiedział mu kiedyś stary Aron, brat rabina z rodzinnej wsi Menahema, gdy zwierzył mu się w strapieniu. „Kłamiesz!" — odpowiedział mu wtedy hardo Eliott. — „Kłamiesz! A jeżeli mówisz prawdę, to godzę się na przekleństwo: uczyniło ze mnie człowieka wielkiego i silnego."

Z jakąż w rzeczy samej siłą charakteru, z jakąż zręcznością natychmiast rozwiązał wszelkie problemy, jakie nastręczały tragiczne narodziny dziecka! Zdołał stłumić tlący się już w klinice skandal. Zdołał bezzwłocznie uznać syna za swojego i od razu przy współudziale swego adwokata Barretta postarał się uczynić go swoim spadkobiercą na równi z Jeremym. Potem musiał znaleźć kogoś, kto by w tajemnicy wychował Abla — tak bowiem dał na imię bastardowi, powołując się na wolę matki. Dwoje służących, którym w pełni ufał, Livio i Madeleine, powiadomiło go właśnie, że pragną się pobrać i odejść ze służby, by wziąć w dzierżawę zajazd w Kalifornii. Nie mieli dość pieniędzy na kupno. Eliott dał im potrzebną sumę, stawiając jeden warunek: Madeleine, słodka Madeleine będzie wychowywać Abla jak własnego syna. I Madeleine, nie mogąca mieć własnych dzieci, zgodziła się z największą radością. Livio nie wyraził sprzeciwu. Dwanaście dni po śmierci Lauren Eliott E. Emerson odprowadził ich z przygarniętym niemowlęciem do pociągu, sypiąc zaleceniami: choć Abel będzie żył skromnie, nigdy niczego nie może mu brakować, a koszta jego nauki on pokryje w pełni. Być może Eliott był przeklęty za swoje bogactwo: lepiej zatem, żeby Abel nie znał zamożności, w jakiej żył pierwszy Abel. Musi jednak zdobyć wykształ-

cenie, i to naprawdę doskonałe: on, „bastard", także będzie kiedyś Emersonem...

Nawet jeśli nazywa się Abel Young.

O tym wszystkim Kay nigdy się nie dowiedziała. Kay...

* *

Kay?... Ka-ay?... Ka-a-ay?

Wreszcie zza drzwi doszła go odpowiedź, głucha, stłumiona, niepokojąca:

— Wief, we mowef wejść. Ty waffe mowef wejść...

Leonard Howard nie wydawał się wcale zdziwiony. Domyślił się, że Kay Mc Kay ma na twarzy jedną z tych strasznych masek, którymi z samozaparciem ściskała się co rano i cierpiała w niej przez cztery, pięć godzin trwania pielęgnacji jej ciała. Pchnął drzwi tego sanktuarium piękności, bardziej przypominającego średniowieczną komorę tortur niż miejsce odprężenia i odpoczynku — wiedział, że istotnie jest jedyną z bliskich Kay osób mogącą tam wejść nawet bez telefonicznego uprzedzenia. Byli w takiej zażyłości, że Kay niczego już przed nim nie musiała ukrywać...

Prywatny salon piękności Kay zajmował w jednym ze skrzydeł dworu wielką rotundę wyłożoną płytkami ceramicznymi, zielonymi w kolorze toni, skąd prowadziły drzwi do pomieszczeń z wyposażeniem uzupełniającym i sauny, przez którą wchodziło się do tego okrywanego tajemnicą zakątka. W samym centrum rotundy, pod kopułą lamp ultrafioletowych, zainstalowany był stół do masaży otoczony metalowymi wózkami, gdzie leżała cała aparatura osobistej kosmetyczki Kay: depilator, wibrator, urządzenie do złuszczania naskórka, do usuwania złogów, pilniki, elektryczna szlifierka, maszynka do okładów parafinowych, nadymane botki do leczenia zapalenia tkanki łącznej, dreny do wlewów i tace, na których zgromadzono, niczym narzędzia chirurgiczne gotowe do użycia, dziesiątki szczypczyków, pilników i nożyczek wszystkich rozmiarów, a także rolki bandaży: całość przypominała blok operacyjny. Dookoła znajdowało się kilkoro szjdanych drzwi, prowadzą-

cych do innych pomieszczeń: do rozległej sali gimnastycznej, wyposażonej w całkowicie zmechanizowane przyrządy, łagodnie połyskujące chromem w strumieniach niebieskawego światła; do sali hydroterapii, zaopatrzonej w basen z wirami, kąpiel błotną i sześć różnych pryszniców: ze strumieniem wody nitkowatym, wibrującym, lodowatym, gorącym, zmiennym i rotacyjnym; do kabiny relaksacyjnej z dyfuzorem — do wyboru — ozonu, pary eukaliptusowej lub tlenu. Na wprost znajdowała się kabina, przez którą się tutaj wchodziło, z królującą pośrodku stalową komorą do parówek.

Leonard Howard wszedł, ręką rozpędzając sprzed oczu gęstą parę wiszącą w ciężkim powietrzu. Zamknięta w tym ciasnym tabernakulum z niklowanego metalu, skąd wystawała jej tylko głowa z maską na twarzy i dłonie w rękawiczkach, zakneblowana kauczukowym kagańcem łączonym nitami, z oczami przysłoniętymi przepaską dla odpoczynku, włosami ukrytymi pod płóciennym kaskiem, Kay ukazała mu się pośród kadzidlanych oparów niczym jakieś straszne bóstwo z barbarzyńskich wierzeń.

I obsługiwano ją na podobieństwo budzącej strach wielkiej kapłanki. Strzeliła palcami i kosmetyczka podeszła do swej pani. Była to Eurazjatka, na pozór niema: bez słowa rzuciła okiem na wskaźniki komory i przesunęła dźwignię o ćwierć obrotu. Drugie strzelenie palcami było znakiem, że pani każe się uwolnić z maski piękności, by móc swobodniej rozmawiać z Howardem. Kosmetyczka zdjęła zatem kaga-l nieć i odwiązała opaskę podtrzymującą podbródek. Na trzecie strzelenie palcami zniknęła, równie cicho i ulegle jak] przyszła. *

Howard, który dusił się tu i obficie pocił, rozluźnił krawat, a zdjętą właśnie marynarkę zawiesił na manometrze komory.

— Samolot będzie na pierwszą — powiedział. — Nje zapomniałaś?

— Nie. Będę musiała skrócić dzisiaj zabiegi. Chociaż mam tu taki wyprysk i chciałam, żeby May mi go wypaliła. Ale nie wystarczy mi czasu. Śmigłowiec już przyleciał?

— Właśnie wylądował na trawniku koło kortów.

— Nie słyszałam, jak przelatywał nad domem, imałam stopery w uszach. A i tak przy całym hałasie, jaki robią te piekielne maszyny tutaj!...

— Co z Faye?

— Myślę, że się szykuje. Prosiłam, żeby była gotowa przed południem. O ile nie packa jeszcze tych swoich strasznych bohomazów... Wiesz, nie chciałam, żeby jechała z nami do Saint-Jean-Cap-Ferrat: to dziecko jest takie wrażliwe! Ale Eliott się uparł. Wczoraj znowu telefonował do niej, żeby jeszcze raz jej powiedzieć, że chce ją także zobaczyć... Głupia, beczała i beczała! A ten drań powtarzał: „Chcę, żebyś przyjechała, Faye, słyszysz? Gębie też chcę zobaczyć przed śmiercią. Zwłaszcza ciebie..." Słuchaj, Leonardzie, muszę przyznać, że bardzo mnie to „zwłaszcza" niepokoi. Zastanawiam cię, co ten drań mógł wykombinować. Jeszcze tylko brakowało, żeby się wycofał z tamtej decyzji, przywrócił jej i prawa, i całą resztę, i to tuż przed śmiercią. Nic tylko żeby nas wpieprzyć.

W Kay narastała głucha złość, fala tłumionych urazów, przemożnie ją opanowując. Poczerwieniała, lśniąca od potu, z twarzą noszącą jeszcze odciśnięte ślady kauczukowego kagańca i wykrzywioną z bólu, jaki zadawała jej ciału gorąca para pod ciśnieniem, ze zwartymi mocno ustami, budziła swoim widokiem strach. Howard spoważniał, stał się uleglej-szy.

— Och!—westchnął—w każdym razie nie ma co przed sobą taić, że rozgrywka będzie ciężka, Kay. I to do samego końca. Barrett nie jest facetem, na którego można wywrzeć presję. A boję się, że Eliott chce nam wywinąć ostami numer na swoją modłę. To by było całkiem do niego podobne: rozumiesz, dowcip w stylu Emersona.

— Nędznik! — syknęła Kay przez zęby. — Nędznik!

Wobec takiej zapalczywościU Howard, w obawie, że jeszcze ją rozjątrzy, gdy się przyzna, iż zna pewne szczegóły z tego, co się dzieje obecnie w Saint-Jean-Cap-Ferrat, wahał się, czy mówić dalej. Z zakłopotaniem powiedział:

— Kay... Musisz... musisz wiedzieć... Nie chciałem cię tym niepokoić, ale...

— Do licha! Howard, przestańże owijać w bawełnę. Mów...

— Otóż mam wrażenie, że będzie was więcej do podziału spadku, niż przewidziano. Albo to jego ostatnia przed śmiercią fantazja, albo Bóg wie co jest przyczyną, w każdym razie faktem jest, że Eliott kazał odszukać kilka osób... z jego dawnej służby... Jak tylko ma się ciut lepiej, bez przerwy wisi na telefonie... Pamiętasz Madeleine?

— Madeleine... Madeleine... A, tak! Ale to strasznie stara historia! Nie powiesz chyba, że wszyscy służący, którzy się przewinęli przez Sag Harbor, coś dostaną!

— O tym nic nie wiem...

— Madeleine! Odeszła od nas... To było chyba w 42 albo w 43 roku, w każdym razie w czasie wojny. Dogadali się z naszym majordomusem... jakże on się nazywał? Giulio? Nie, Giulio to potem... Faye już była na świecie. No, nieważne. Ale trudno mi uwierzyć, że...

— Jeremy wyciągnął to od tego starego wariata Geoffreya. Tylko jemu zresztą udaje się go zmusić do gadania. Geoffrey mu powiedział, że z Barrettem pracuje teraz dodatkowo trzech młodych adwokatów. Poza tym jednego wieczoru Eliott płakał po rozmowie z tą Madeleine...

— To uwiąd starczy i tyle! Słuchaj, Leonard, nie sądzę, żeby trzeba przez taki drobiazg wpadać w panikę. To na pewno tylko kaprys umierającego starca. Widać chce jej podarować swoje dzieła wszystkie z dedykacją i zegarek czy jakąś inną pamiątkę. Niewykluczone przecież, że ten stary pryk z nią sypiał! Dość podniecająca była ta Madeleine, o ile dobrze pamiętam. Francuzeczka...

— Ja też mam nadzieję, że idzie tylko o to.

— Leonardzie, uważam, że martwisz się błahostką. Mnie bardziej interesuje, dlaczego tak bardzo namawiał swoją kochaną Faye, dlaczego tak bardzo mu zależy, żeby po raz ostatni uścisnąć swoją małą Faye. Tak, to mi mocno bruździ... A ta Madeleine... Nie, wierz mi! Trochę za szybko wpadasz w panikę.

— Ja nie wpadam w panikę. Po prostu cię informuję.

— Zauważam jednak, Leonardzie, że ostatnio chodzisz bardzo podenerwowany...

— Och, nie zaczynaj znowu!

— Paskudnie wyglądasz, jeśli chcesz wiedzieć.

— Kay, proszę!...

— A chcesz, żebym ci powiedziała, czemu tak paskudnie teraz wyglądasz? Chcesz?

Howard z westchnieniem wzruszył ramionami.

— Bo źle sypiam, dlatego.

— A chcesz, żebym ci powiedziała, dlaczego źle sypiasz? Chcesz? — z pogardą w głosie nastawała Kay. — Źle sypiasz jak zawsze, kiedy w tym domu coś się dzieje, kiedy zachodzi coś nowego, jakaś zmiana... Wtedy wraca obsesja sprzed lat, koszmary, bezsenność. Nie sypiasz, bo się boisz, żeby przypadkiem przy okazji otwarcia testamentu nie wznowiono dochodzenia — doprawdy zastanawiam się, z jakiego niby powodu? Ale to twój wymysł. I nie chcesz ustąpić: kiedyś trzeba będzie zapłacić... Leonardzie, nie sypiasz, bo w gruncie rzeczy będąc żałosną postacią, nie możesz się wyzbyć lekkiego poczucia winy, które zawsze będziesz za sobą wlókł jak kulę u nogi. A to skutek twojego żydowskiego pochodzenia!

Głos się podnosił i zaczynał już graniczyć z histerią. Kay z rozdętymi nozdrzami, ustami wykrzywionymi i potwornym grymasem w kącikach, wydawała się jeszcze bardziej przerażająca przez to, że unieruchomiona w stalowej komorze, nie mogła wyrazić wściekłości gwałtowną gestykulacją i tupaniem, jak zwykle czyniła. Lecz Howard nie spuścił wzroku. Był przyzwyczajony do takich scen i zniósł afront bez mrugnięcia wiedząc, że ostatecznie i tak on będzie górą.

— Nie sypiasz, bo nie możesz zapomnieć! —wrzeszczała teraz Kay. — Nie możesz zapomnieć!

— A tobie udało się zapomnieć? — spytał półgłosem.

Wybuchnęła urągliwym śmiechem, chrapliwym i prze nikliwym jak krzyk.

— Mnie? A dlaczegóż to miałabym o tym myśleć?

Howard mówił dalej, teraz jednak jakby do siebie, a nie do Kay:

— Tyś nigdy w koszmarnym śnie nie widziała, jak alfa romeo wpada na ciebie, przewraca cię, miażdży! Nigdyś nie widziała Abla, jak wymachuje ci przed nosem dźwignią biegowi grozi, że cię zabije, śmiejąc się, śmiejąc!... Nigdyś nie poczuła, jak potrząsa cię za ramię i budzi w środku nocy, żeby powiedzieć: „Nie umarłem! Nie umarłem! Wrócę!"

Władczo, wyniośle, zawołała:

— To było dwadzieścia pięć lat temu, Leo! Dwadzieścia pięć latl

— Czy czas cokolwiek zmienia?

— Och, Leonardzie! Jaki żałosny, jaki tchórzliwy potrafisz czasem być! Zastanawiam się, co jeszcze może mi się w tobie podobać...

Umilkła. Przez chwilę panowała przesiąknięta nienawiścią cisza. I naraz Howard, pochyliwszy się nad komorą, tak że wilgotnym czołem niemal dotykał zroszonego potem czoła KLay, ze zjadliwą ironią zawołał:

— Chcesz się może dowiedzieć? Chcesz? Widzisz, Kay, zawsze podobało ci się we mnie to, że gdyby nie ja, nie uniknęłabyś krzesła elektrycznego... Tak samo jak biedny Hancock nie uniknął elektrycznej suszarki!

— Ty draniu! Ty draniu! — plunęła mu w twarz.

Nie mogła dłużej znieść zamknięcia w tym narzędziu tortur. Szybko odryglowała komorę od wewnątrz i wyszła naga i posągowa niczym marmurowa rzeźba, błyszcząca od potu. Howard cofnął się, z lekka przerażony. Rzuciła się na niego z pięściami. Uchylił się, po czym skoczył do niej i unieruchomił ją chwytem stosowanym w walce, jak w kleszczach ściskając jej przeguby.

Stękała z bólu, ale już się nie stawiała. Wtedy akcentując każde słowo, wymawiając je wyraźnie z jakimś namaszczeniem, Howard powiedział:

— Kochasz mnie, Kay. Kochasz mnie, bo nasze losy związane są na zawsze, czy tego chcesz, czy nie. Kochasz mnie z powodu tego dawnego porozumienia. Kochasz mnie, bo cię zaspokajam fizycznie. I kochasz mnie dlatego, że ja cię kocham. Że zawsze cię kochałem. I ty o tym wiesz.

Nie odpowiedziała. Była poskromiona. Zwolnił uścisk...

Spojrzała mu głęboko w oczy, zagryzła wargi. Zdawała się rozpaczliwie szukać jakiegoś słowa, którym mogłaby go zranić, zniewagi, którą mogłaby mu rzucić w twarz—ale nic jej nie przychodziło do głowy. Wreszcie spuściła wzrok pokonana.

— Musisz się przygotować — rzekł Howard spokojnie.

I Kay, jakby nic między nimi nie zaszło, nonszalanckim krokiem skierowała się do łazienki, wołając May. Otworzyła

szklane drzwi, a na progu odwróciła się, by posłać kochankowi uśmiech i powiedzieć:

— Mógłbyś zadzwonić do Saint-Jean-Cap-Ferrat, żeby ich uprzedzić i kazać Marcelowi wyjechać po nas na lotnisko w Nicei? Trzeba by też złapać Jeremy'ego i powiedzieć mu, że o wpół do pierwszej ma być na lotnisku Kennedy'ego. Jeżeli nadal jest z tą swoją dziwką, kochany chłopiec, to gotów zaspać!

Jeremy z taką samą jak jego matka próżnością troszczył się o swoje ciało. Odziedziczył po niej urodę, ale też owo szczególne szaleństwo. A nie poświęcał tyle co Kay czasu i pieniędzy na zabiegi pielęgnacyjne tylko dlatego, że nie wszedł jeszcze w wiek, kiedy trzeba naprawiać nieodwracalne ślady czasu. Z maniackim uporem kulturysty pracował za to nad rozwojem mięśni, uczęszczał do męskiego salonu piękności, jak gdyby był aktorem czy modelem, spędzał u fryzjera tyle samo godzin co kobieta światowa, która nie ma lepszego zajęcia, by zapełnić dzień, i nigdy nie zapominał o podtrzymaniu swej opalenizny instruktora narciarskiego, codziennie na kilka godzin kładąc się pod kopułą lamp kwarcowych. Ubierał się w sposób niezwykle wyszukany i z powodzeniem mógłby figurować w poświęconej modzie części *Tuxedo,* miesięcznika, który chciał z dużym szumem wylansować, by propagować w nim swoją koncepcję stylu życia.

— Antyczny młody bógl — z podziwem zawołał, widząc go, jak skacze do basenu w posiadłości w Sag Harbor, pewien francuski powieściopisarz, były dyplomata i powszechnie znany pederasta, zaproszony wraz z setką innych pisarzy na garden party wydawane przez „Literary Events". Na co Faye, nieodrodna duchowa córka „Trzech E", posiadająca w stu procentach jego zmysł ciętej riposty, wypaliła:

— Antyczny młody bóg? On? Owszem, ale tandetny!

Nie były to puste słowa: prawdę powiedziawszy wyczuwało się coś tandetnego w urodzie i elegancji Jeremy'ego; wyczuwało się coś fałszywego, banalnego i nijakiego. Było w nim, jak twierdziła zabawnie Faye, coś z tworzywa sztucznego. I dodawała, zawsze bardzo cierpka, kiedy ją

wpuścić w ten temat: „To tak jak te mięśnie klatki piersiowej i nóg rozdęte przez hormony: wydają się jak u wołu, ale wszystko to jest takie oszukane, takie jarmarczne!"

„Jarmarczne" było najcelniejszym określeniem. Wszystko w życiu Jeremy'ego sprawiało wrażenie trochę „Jarmarcznego". Poczynając od apartamentu, w którym mieszkał. Mieścił się przy Piątej Alei, na wprost Central Parku, i przypominał dekorację do filmu o Jamesie Bondzie: zwracający uwagę krzykliwy modernizm, skóry zaścielające podłogę, całe ściany ze szkła akwariowego, zielonkawosine oświetlenie, oszołamiające nagromadzenie drobiazgów równie ekstrawaganckich co bezużytecznych, kolekcja ciężkich, podzwaniających bibelotów z polerowanej stali, łusek i miedzi, wielkie okrągłe łoże z kotarami z czarno-srebrnego atłasu, fotele z przezroczystego tworzywa wymodelowane na kształt foteli w kabinie Apolla, sprzęt stereofoniczny godny największych studiów muzycznych w Nasławille, ale dzień i noc odtwarzający ckliwe melodyjki, jakie słyszy się nie słuchając w windach dużych hoteli i w supermarketach. Wszędzie widać było agresywny brak gustu, budzący w gościu wątpliwości, czy Jeremy faktycznie jest synem Eliotta E. Emersona, wytrawnego kolekcjonera dzieł sztuki.

Kiedy rozległ się dwutonowy sygnał telefonu, Jeremy w kimonie z czarnego atłasu leżał na białej wykładzinie w salonie z głową wspartą na plecach młodej blondynki, która naga drzemała pośród lśniących makiet okładki do „Tuxeda". Chociaż Jeremy aparat miał na brzuchu, odczekał, aż sygnał zabrzęczał siedem razy, i dopiero wtedy odebrał.

— Tak?... — ziewnął grubiańsko do słuchawki.

— Mówi Leonard — przedstawił się Howard. I takim samym gburowatym tonem spytał: — Jest coś nowego z Saint-Jean?

— Nie — odparł Jeremy. — Ale wpieprzyło mnie, że stary zadzwonił do Faye, specjalnie do niej. Ten, kto odbierał telefon, mógł przecież powiedzieć, że wyszła, nie?

— To chyba Andy. Nie licz, że...

— Leo, tak między nami, naprawdę myślisz, że stary, zanim wykorkuje, wycofa się z tej historii z pozbawieniem praw?

— Cudnie się wyrażasz o swoim biednym ojcu — ironicznie zauważył Howard. I kpiąco dodał: — Świetność i upadek Emerson ów!...

— Przestań, nie będziesz mi chyba prawa morałów. Zupełnie jakbym słyszał Faye!

— Cóż, gdyby na tym podłym świecie istniała sprawiedliwość, to Faye, mimo tego swojego wariactwa, powinna by odziedziczyć wszystko.

— I dzwoniłeś specjalnie po to, żeby mi to powiedzieć, drogi, kochany Leo?

— Nie, żeby ci przypomnieć, że najpóźniej kwadrans po dwunastej masz być przy terminalu PanAm-u.

— W porządku, Leo, nie zapomniałem. Nic zapomniałem, że mam się pożegnać na zawsze z papciem...

Ostatnie słowa powiedział dziecięcym tonem i sam roześmiał się z tego, co widać uważał za finezyjny żart. Położył później słuchawkę, odsunął od siebie aparat i zanim wstał, klepnął w nagie pośladki dziewczynę, która podskoczyła i jęknęła:

— Aj! idiota!

— Kobieto! — rzekł z udawanym namaszczeniem, w jego mniemaniu zabawnym. — Kobieto! przygotuj mi teraz kąpiel!

— Faye! Faye! — zaskrzeczała Kay przez opuszczoną do połowy szybę rolls-royce'a.

Chociaż pawilon, gdzie Faye urządziła sobie pracownię, znajdował się ledwie sto metrów od dworu, Kay kazała się tam zawieźć.

— Niech Hans zatrąbi! —poleciła szoferowi. —Pewnie jeszcze słucha Beatlesów albo Bóg wie czego!

Hans na długą chwilę nacisnął klakson. Ale Faye nadal nie odpowiadała. I zamroczona ze złości Kay wysiadła z czarnego phantoma mocno trzaskając drzwiczkami.

— Faye, do diabła! — wrzasnęła, wpadając do pawilonu.

— Już schodzę — odparła lakonicznie dziewczyna. Siedziała na rozstawionej drabinie i poprawiała ogromne płótno, na którym widniało drobne pęknięcie werniksu w prawym górnym rogu. Faye była perfekcjonistką, zawsze

niezadowoloną ze swojej pracy. Kiedy ustawiła na środku pracowni trzy wielkie walizy przygotowane przez pokojówkę i już miała iść do matki, podniosła jeszcze wzrok na obraz i zauważyła, że w jednym miejscu atłasowopołyskliwa powierzchnia jest matowa. Nie zadając sobie trudu z wkładaniem fartucha, wspięła się zaraz na drabinę z kubełkiem z olejem i cieniutkim pędzelkiem. Płótno przedstawiało kobietę zakutą w łańcuchy i wbitą na pal z błyszczącej stali. Twarz miała ukrytą pod czarną atłasową maską. Jej brzuch wyglądał jak jedna wielka otwarta rana, z której wylewały się trzewia, zielonkawo-krwiste, namalowane dokładnie jak na planszy anatomicznej.

— Żadnej poprawy, moja ty biedulko! — syknęła Kay przez zęby. — Co za paskudztwo! Niewiarygodne paskudztwo!

— Chciałabyś pewnie, żebym malowała kwiatki, co? — spytała łagodnie Faye, nie tracąc pozornego spokoju. — Mogłabyś je wieszać w swoim salonie i pokazywać przyjaciółkom, kiedy przychodzą na drinka. „To moja córeczka namalowała. Ładne, prawda? — Wprost cu-do-owne! Jaki ona ma talent, moja dro-oga! — Powinnaś być dumna, Kay! To istny Monet! — Piękne! Po prostu piękne!"

— Przestań! — krzyknęła Kay. — Znowu zaczynasz się podniecać. Wiesz, że to ci nic nie daje. Za chwilę będziesz płakać. Zażyłaś przynajmniej środki uspokajające?

— Tak, mamo — westchnęła Faye ulegle. — IMAO też, i tetracykliny, i środki przedwiekowe, i neuroleptyki...

— To dobrze. Wiesz, że źle znosisz podróże.

— Tak, mamo, źle znoszę podróże — powtórzyła za matką, jakby musiała samą siebie przekonać. — Źle znoszę podróże. Źle znoszę...

— ...życie!

— Wiem, mamo. To też mi już mówiłaś. Doktor Zimmerman także mi mówił. I doktor Werner. I doktor Benson. Skoro tak uważają, to widać mają podstawy.

Mówiła nie podnosząc nigdy głosu, jednym tonem, jak gdyby wypowiadała rzeczy oczywiste, banały. Zbudowała sobie w ten sposób system obrony. Agresywność Kay natrafiała na jej pozorną uległość. Faye pogodnie stawiała czoło wiecznym reprymendom i upokorzeniom, które bez

ustanku musiała znosić. Wydawało się, że w ogóle nie stawia i nawet nie chce stawiać oporu.

Co rano jednak wrzucała do muszli wszystkie przepisane leki do zażycia w ciągu dnia, zostawiając sobie tylko w rezerwie nieco środków uspokajających na wypadek, gdyby lęk, który bez ustanku odczuwała, stał się nagle zbyt dokuczliwy i chciał ją opanować bez reszty.

Zeszła z drabiny, raz jeszcze rzuciwszy okiem na poprawkę.

— Jestem gotowa — powiedziała. — Powiedz Hansowi, proszę, żeby zabrał moje bagaże.

— Ależ ty jesteś ubrana na biało!

— A dlaczego nie? Przecież jest lato. W Saint-Jean-Cap-Ferrat też.

— Chcę, żebyś się ubrała na czarno.

— Dobrze, mamo.

I bez słowa sprzeciwu Faye natychmiast wykonała polecenie: otworzyła walizkę, wyjęła aksamitny kostium i przebrała się szybko.

— Nie masz do tego butów? — spytała Kay.

— Mam — powiedziała Faye głosem ciągle tak samo potulnym. I włożyła czółenka z czarnej skórki.

Kay, przeglądając pobieżnie zawartość walizek, zapytała:

— Zabrałaś wystarczająco dużo rzeczy?

— Nie wiem. Lucy się wszystkim zajęła.

— Bo to może potrwać.

— Och, mamo!—nie wytrzymała Faye, oburzona takim nie skrywanym cynizmem. — Mamo, przecież mówisz o tatusiu!

— Coś takiego, ty smarkulo! — rzuciła Kay, dotknięta do żywego. I aby dokuczyć córce, przedrzeźniając jej nieśmiały sposób wyrażania się, lecz z podkreśleniem dziecięcej intonacji, powtórzyła: — „Mówisz o tatusiu! Mówisz o tatusiu!" — Po czym wykrzyknęła: — A tak, mówię o twoim ojcu! I mówię, że byłby dobrze zrobił, gdyby wrócił do Sag Harbor, kiedy się dowiedział, że nie ma nadziei. Osiem, dziesięć dni temu można go było jeszcze przewieźć. Jak pomyślę, że na pojutrze byłam zaproszona do Jackie i musiałam zrezygnować!...

— Och, mamo! mamo!... — powtarzała tylko wstrząśnięta Faye. — Mamo! — mówiła błagalnie, połykając napływające do oczu łzy.

I nagle, nie mogąc się dłużej pohamować, padła na stary, zapadnięty tapczan, na którym od czasu do czasu odpoczywała, kiedy malowała przez całą noc, i dała upust smutkowi.

Kay nie wykonała żadnego współczującego gestu. Stwierdziła tylko głośno, nie kierując swoich słów do nikogo:

— A nie mówiłam, że to dziecko jest zbyt nerwowe, żeby je zabierać w taką długą podróż? Przecież to szaleństwo: wybierać się do umierającego człowieka w takim stanie!

Były to słowa pechowe, przepełniły miarę. I sprawiły, że Faye zebrała się w sobie i hardo postawiła. Jeszcze wstrząsana szlochem, poderwała się na nogi i nie spuszczając wzroku pod wściekłym spojrzeniem matki, odważyła się powiedzieć najbardziej stanowczo, jak umiała:

— Mimo wszystko pojadę. Chociażby z obowiązku. Pojadę zobaczyć go ostatni raz. Chcę go uścisnąć. I powiedzieć mu, że zawsze go kochałam.

— W takim razie masz natychmiast przestać beczeć, słyszysz? — rozkazała Kay.

Faye z gwałtownością, która ją samą zdumiała, odrzekła:

— No to zobacz! Nie płaczę!

I rzeczywiście nie płakała...

Zapadło długie, ciężkie milczenie. W tej właśnie chwili wszedł Hans.

— Proszę pani — zwrócił się do Kay — pilot śmigłowca chciałby wiedzieć...

i

— Tak, już idziemy! — przerwała mu Kay. I zamknięta w swej nienawiści, rzuciła z pięknych, wzgardliwie wydętych ust: — Hans, proszę wziąć bagaż panienki.

Szofer załadował walizki do bagażnika rolls-royce'a, już w trzech czwartych zapełnionego rzeczami Kay, która nigdy nie ruszała się bez swej pokaźnej garderoby. Otworzył potem paniom drzwiczki, kłaniając się z szacunkiem, siadł za kierownicą i powoli ruszył. Phantom niespiesznie przejechał aż do kortów tenisowych, położonych o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od pawilonu Faye.

Silnik śmigłowca ryknął i płaty wirnika, coraz szybciej tnąc powietrze, rozwiały ścięte kwiaty i liście, które zasłały trawnik... ;

Część trzecia

GODZINA SZCZURA

— Helikopter! Helikopter! — rozległ się jeden krzyk, w którym strach mieszał się z nadzieją.

Colette Servoz i Johanna Jones, przytulone do siebie, objęły się jeszcze mocniej, w uścisku szukając odwagi i pociechy. Czy Abel i Jacąues są w śmigłowcu? Wpatrywały się w kokpit, błyszczący w słońcu wysoko na niebie. Lecz śmigłowiec miał jeszcze rozmiary dużego owada, a migotanie szkła nie pozwalało nic dojrzeć we wnętrzu kabiny.

Później ryk wirnika nasilił się, stał się ogłuszający. I wśród niedużej grupki przyjaciół Servoza przybyłych zasięgnąć wieści, dziennikarzy z lokalnej prasy i gapiów, zebranych na lądowisku helikopterów górskiego pogotowia ratunkowego, ktoś nagle zawołał:

— Są! Widzę ich!

Czy jednak żyli? A jeśli żyli, to czy byli cali i zdrowi?

W regularnych odstępach czasu migacz na dachu ambulansu omiatał niepokojącą sinawą poświatą twarze dwóch kobiet, wymęczone bezsennymi nocami strachu. Oślepiało je ostre światło fleszów błyskających wokół bez ustanku. Były rozdarte między nieodpartą potrzebą zobaczenia, dowiedzenia się wreszcie, a pragnieniem ucieczki daleko od tego tumultu — czy ci dziennikarze nie mają ani krzty litości?

— Dosyć! Przestańcie! — rozkrzyczała się Johanna.

A Colette ukryła twarz w dłoniach. Kilku znajdujących się tam przewodników, przyjaciół Jacques'a, próbowało bronić je przed tą nachalnością. Jeden wyrwał aparat fotograficzny z rąk młodego reportera i odrzucił daleko.

Wszczęło się zamieszanie, skakanie sobie z pięściami do oczu przy niewzruszonych żandarmach ściągniętych tu, by torować drogę ambulansowi. Lecz gwałtowne podmuchy wywołane przez nadlatujący śmigłowiec położyły kres przepychankom. I oto nagle wszyscy rzucili się do lądującej alouette. Colette i Johanna, już zapomniane przez dziennikarzy, również biegły, ryzykując, że ludzie je stratują...

— Żyją! Żyją!

Ujrzały ich równocześnie na noszach: Jacques usiłował skinąć ręką na znak, że istotnie żyją, Abel zaś nagle jął krzyczeć jak obłąkany:

— Johanna! Johanna!

Czy to przywidzenie? Czy jeszcze śni? Czy już przekroczył próg świata umarłych, gdzie w tym poruszonym tłumie odnalazł ją właśnie?

Jego błędne spojrzenie szukało odpowiedzi, a Johanna tylko powtarzała:

— Tak, jestem! Jestem, kochany! To ja, Johanna! Och, najdroższy... Abel, *Abelito miol* Jestem! Jestem tu, i ty też jesteś! Jesteś...

Równocześnie szarpała się z pielęgniarzem, który nie chciał jej dopuścić do uratowanego. Z przemożną siłą, jaką daje czasem człowiekowi gwałtowne wzruszenie, zdołała mu się wyrwać i zamroczona długo wstrzymywanym szlochem, rzuciła się do noszy z Ablem.

— Och, kochany! — wyszeptała. — Mój kochany!

Tuliła go, ściskała omal nie dusząc, obsypywała pocałunkami, moczyła łzami. Trzeba było połączonych sił lekarza, żandarma i jednego z przewodników, by ją pohamować i pozwolić dwóm ratownikom zabrać nosze.

— No, no, szanowna pani!... No, spokojnie, bo go pani w końcu zabije! Widzi pani chyba, że to przeszkadza! Proszę się odsunąć... Proszę się odsunąć...

— Ona nic nie rozumie!

— Człowieku, widzisz chyba, że to Amerykanka.

— I co z tego? Przecież nikt jej nie ukradnie chłopaka.

— Johanna, kochana, chodź!

Colette podtrzymała Johannę, gdy ta się potknęła, i ustrzegła przed stratowaniem. Pielęgniarze z noszami zaczęli torować sobie drogę wśród tłumu i trzaskania fleszy

żandarmi zaś wreszcie wzięli się do zaprowadzenia porządku. Johanna, popychana ze wszystkich stron, poniewierana, potrącana, robiąc łokciami przedostała się znowu do noszy i chwyciła omdlałego tymczasem Abla za rękę. Szła równo z ratownikami i pochylona nad nim, uporczywie powtarzała:

— Kochany, kochany...

Znowu trzeba ją było odrywać, gdy przyszło wsiadać do karetki. Colette pociągnęła ją wtedy do furgonetki swego brata, zaparkowanej tuż obok ambulansu. Johanna była teraz na skraju ataku nerwowego i w szale krzyczała:

— Abel! Abel!

Przenikliwe wycie syren rozdarło powietrze.

— Abel, nigdy więcej nie będziesz się wspinał!

Siedziała na poduszce jego łóżka szpitalnego, on zaś wtulił głowę w zagłębienie jej ud, przy samym łonie. Szeroko otwartymi oczami patrzył na nią z dołu: delikatnie gładziła go po policzkach i mówiła cichym głosem, by nie obudzić Servoza drzemiącego na sąsiednim łóżku, mówiła do niego jak do dziecka.

— Wystarczy, żebym się odwróciła, a zaraz robisz głupstwa...

— Stało się tak dlatego, że cię tu nie było! — odparł żartobliwie. — W przeciwnym razie nic takiego by mi się nie przydarzyło. Wiesz dobrze, Johanna, że przynosisz mi szczęście. Dlaczego mnie zostawiłaś? I dlaczego tu jesteś? Dlaczego?... Wiesz, czasem mówię sobie, że jeszcze śnię, że zaraz się obudzę, i tak bardzo się wtedy boję! Ale nie! To na pewno ty, moja staruszka Jones! Jesteś tu, wróciłaś...

— Jestem.

— Ale skąd ci to przyszło do głowy?

— Kiedyś wieczorem opadła mnie straszna chandra. I ogromna chęć, żeby z tobą pomówić, usłyszeć twój głos. Tylko tobie mogłam to powiedzieć, tylko ty mogłeś mnie pocieszyć... I być może miałam coś na kształt przeczucia: od dwóch dni nie czułam się dobrze, dręczyły mnie jakieś lęki. Widać podświadomie wyczułam, że jesteś w kłopotach—nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Niewykluczone, że teraz tak myślę... W każdym razie faktem jest, że ko-nie-cznie musiałam ci powiedzieć, jak bardzo mi cię brak i że nadal cię

kocham, i w ogóle. Musiałam, rozumiesz? I nagle stało się to silniejsze ode mnie. Zdecydowałam się zadzwonić do Servozów. Na wszelki wypadek. Mogłeś akurat u nich być... Nie pomyślałam nawet, że we Francji jest trzecia nad ranem, a telefonistka też mi o tym nie przypomniała. Och, straszne to musiało być dla Colette, kiedy zadzwonił telefon. Przecież trzecią noc już nie spała, tylko czekała, czekała, czekała... Od razu zrozumiałam, że dzieje się coś poważnego. Od razu to zrozumiałam: Colette płakała i nic nie mówiła. Zaraz pomyślałam: „Wielki Boże, Jacques się zabił!"... Nie miało to żadnego sensu, ale nie byłam w stanie powiedzieć sobie, że tobie też coś się stało. Abel nie żyje — taka myśl ani mi w głowie postała. Nie mogłeś być w tej chwili z Servozem: miałeś się świetnie i już... Wreszcie Colette się uspokoiła i jakoś dogadałyśmy się, ja z moją marną francuszczyzną, one ze swoją angielszczyzną. Jak tylko zrozumiałam, co wam się przytrafiło, powiedziałam jej: „Przyjeżdżam!" Zupełnie jakby Mont Blanc był na przedmieściach Sausalito. Odłożyłam słuchawkę i jak wariatka poleciałam do taty do biura. Powiedziałam mu: „Muszę być jutro w Chamonix, zrób coś!..." Wiesz, był wspaniały!

— Drogi pan Jones. Adwokat wzniosłych spraw...

— Powiedziałam mu, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie, że umrzesz, jeżeli do ciebie nie przyjadę, plotłam jak najęta!

— A on pewnie pomyślał: gdybyż to była prawda!

— Nie bądź głupi! Wiesz, że tato nie jest taki, nawet jeśli za tobą nie przepada. Zapewniam cię, że ani chwili się nie wahał. Zaraz zadzwonił do TWA i poprosił, żeby mu natychmiast podali połączenia San Francisco-Nowy Jork, Nowy Jork-Londyn i Londyn-Genewa. W dziesięć minut wszystko było załatwione. Zawiózł mnie na lotnisko i dał mi całą gotówkę, jaką miał przy sobie. Nie zabrałam żadnego bagażu, nic. Całe szczęście, że miałam przy sobie paszport!... Myślałam tylko o tobie na tej skale. Byłam kompletnie roztrzęsiona. Tato kupił mi butelkę whisky w sklepiku w strefie bezcłowej i powiedział: „Masz, córeczko, upij się, to ci dobrze zrobi". I wiesz, co jeszcze powiedział? „Zobaczysz, córeczko, Abel wywinie się z tego. Wyszedł z tego strasznego samobójstwa w dzieciństwie. Zawsze miał Boga

po swojej stronie: tak przecież twierdziłaś kiedyś przy kolacji, jak rozmawialiśmy o nim. Nie płacz, Jo, zobaczysz go na pewno..."

— Aaa, to wy rozmawiacie o mnie czasem?

— A co, myślisz może, że o tobie zapomniałam? Myślisz, że mama nie zauważyła, jak ostatnio stale popłakuję? Myślisz, że tata zrobiłby tyle dla mnie, gdyby nie wiedział, ile znaczysz w życiu jego kochanej córeczki?... Byłam u niego w biurze o szóstej, a o wpół do dziewiątej leciałam już do Europy!

Uścisnęli się i zamilkli — zbyt poruszeni, aby więcej mówić. Ich miłosna przygoda znowu się zaczynała, dokładnie w tym momencie. Nie potrafiąc nawzajem sobie tego powiedzieć, byli świadomi natężenia przeżywanej właśnie chwili. Mieli uczucie, że oto przyszła dla nich jedna z niewielu godzin szczęścia, którego wspomnienie zachowuje się na zawsze w najdalszych głębiach swego jestestwa, jak wewnętrzną szramę, tajemne ukłucie w sercu, rozkoszny ból, w późniejszym czasie budzony najlżejszym napadem melancholii. Abel żył i to wystarczało Johannie do zadowolenia. Johanna była przy nim *i* to wystarczało Ablowi. Ciepła jasność nadchodzącego zmierzchu, która padała ukośnie przez uchylony lufcik nad łóżkiem, otaczała jej głowę nieziemską poświatą —jakże piękna była w tym cieniu jego madonna o jasnoszarych oczach i długich, czarnych jak u Cyganki włosach, spływających jej na policzki niby łzy! Gdyby nie obawa, że obudzi Servoza, Abel zaśpiewałby jej ulubioną przez obydwoje piosenkę Boba Dylana: *Absolutely Sweet Marie.* Przyciągnął ją więc tylko do siebie i pocałował w usta. W jego twarzy, wynędzniałej z głodu i cierpień, jakie przeszedł w czasie długich dni, długich nocy na tej piekielnej przewieszce, Johanna odkrywała coś nowego, bardziej męskiego, co wzruszało ją do głębi: miał w sobie coś ze starożytnego herosa. *Temporary like Achilles* — pomyślała o tej piosence Boba Dylana i zaczęła nucić jasnym głosem jej refren.

— Ciii! — przerwał jej, muskając palcem usta. — Obudzisz biednego Jacques'a!

— Myślisz, że śpi czy udaje? — spytała. — Zobacz, uśmiecha się.

— Pewnie przypomina sobie we śnie, że uratował swojego przyjaciela Abla, a to dość, żeby go uszczęśliwić... Chciałem się rzucić w przepaść, wiesz? Oszalałem. Recytowałem wiersz Rimbauda... A jemu po raz kolejny udało się mnie zatrzymać i wyciągnąć stamtąd. I dokładnie w tej samej chwili ze śmigłowca udało się zrzucić linę z rzemieniami na końcu. Jacques przywiązał mnie najlepiej jak zdołał — a potem już nic nie pamiętam. Widać straciłem przytomność, kiedy mnie wciągali. A ja zawsze chciałem się dowiedzieć, jakie to uczucie, tak się unosić w powietrzu! Jak pech, to pech! Następnym razem się dowiem! — zakończył Abel błaznując.

— Następnym razem? — żywo podchwyciła Johanna.

— No tak, następnym razem, jak się znajdę w opałach i trzeba będzie przylatywać po mnie helikopterem... Ale wtedy będę przytomniutki — żartował. — To musi być oszołamiające!

— Masz zamiar jeszcze się wspinać? Po tym, co przeżyłeś?

W jej głosie przebijał niepokój. Ucieszyło go to i radośnie zawołał:

— A jak!

— Och, te góry! Góry! — wybuchnęła i zaczęła go poszturchiwać z lekka pięściami w boki. — Góry! Te cholerne góry!

— Aj! No co ty? Jestem ciężko chory — obruszył się zaśmiewając i chwycił jej ręce w przegubach. Zaczął jęczeć i charczeć jak konający.

— Nie wygłupiaj się! Doktor Chćroux powiedział, że będziecie mogli wyjść za trzy, cztery dni.

— Wiem. Nic mi nie jest. Daremnie szukali. Mam twardą skorupę. „Ten mały Young jest tylko mocno wycieńczony", powiedział Chćroux. To geniusz, nie?... Ja chciałem wyjść już dzisiaj. Wpieprza mnie to. Jacques'a też. Ale chcą nas potrzymać do piątku. Siostra Proust uwielbia dawać mi zastrzyki. Śliczna dupeńka *madę in USA:* to jej przypomina wojnę, kiedy kłuła naszych wojaków w Etretat. Prawda, siostro Proust? — zapytał pielęgniarkę, akurat przechodzącą przez salę i wołającą zgryźliwie:

— Odwiedziny nie dłużej jak dwadzieścia minut!

Pogardliwie wzruszyła ramionami na zaczepkę i poszła dalej.

— Dlaczego nazywasz ją siostrą Proust? — spytała Johanna.

— Bo to jej nazwisko. I w życiu byś nie uwierzyła, gdybym ci powiedział, że na imię ma Marcelle! A tymczasem to prawda!

— N-n-nie?!

— Słowo! — odrzekł Abel, podnosząc rękę jak do przysięgi.

Johanna roześmiała się, po czym na powrót poważna, zadumana nawet, cicho spytała:

— Abel, co zrobimy, jak stąd wyjdziesz?

— Hal nie wiem, co my zrobimy — rzekł. — Ale ja przede wszystkim dokończę...

— Co? Co ty wygadujesz? — zawołała. Ogarnął ją strach, że za dobrze zrozumiała. — Co dokończysz?

— No, Aiguille du Fou! Dobrze wiesz, że nie lubię rezygnować z tego, co zacząłem.

Wyprostowała się, ogarnięta mglistym, lecz coraz wyraźniejszym strachem, zastanawiała się jednak ciągle, czy on żartuje, czy nie.

— Aiguille du Fou? Góra Szaleńca? Ty jesteś szaleńcem, idioto! — zaprotestowała w końcu. — Abel, to nieprawda... Powiedz, że to nieprawda...

Patrzyła na jego usta, czekając zaprzeczenia, które jednak z nich nie wychodziło. Przeciwnie, uśmiechał się do niej z nutką wyzwania na twarzy, co ją irytowało w najwyższym stopniu. Zawołała:

— Ale chyba nie myślisz, że pozwolę Servozowi...

— Och, ale Servoz... — odezwał się Jacques, którego ich sprzeczka wyrwała ze snu i zdążył się mniej więcej zorientować, w czym rzecz. — Ale Servoz też właśnie zamierzał do tego wrócić. Nie dokończona wspinaczka... tak się nie robi: to nieeleganckie. No więc wracamy... powiedzmy: we wtorek o ósmej, jeśli pogoda dopisze. Co, Abel?

W odpowiedzi Abel pomachał tylko złożonymi rękami na znak zwycięstwa.

— Nienawidzę cię! Nienawidzę! — odezwała się Johanna gwałtownie do przewodnika. — Colette ma rację: górale

to zupełnie inni ludzie. Jak marynarze! Ale ostatecznie to twoja sprawa: jesteś tutejszy. Za to Abel urodził się w New York City, w New York City, USA. I nie ma co szukać z takim wariatem jak ty! Nienawidzę cię, nienawidzę!

— Miło, nie ma co! — powiedział z ironią Jacąues niby to do siebie. —To ja jej sprowadzam Abla żywego, a ona tak mi dziękuje.

— Przepraszam! — rzekła Johanna żałośnie, posyłając mu tak rzewny uśmiech, że nawet gdyby Jacąues szczerze się gniewał, na pewno by jej wybaczył.

Abel zaś tymczasem usiłował podkradać jej pocałunki w szyję, lecz wyrwała mu się.

— Ciebie nienawidzę, Abel! Ciebie! — powiedziała. — Nie możesz zostawić Sabaudczykom tych parszywych gór?

A on śmiał się w najlepsze.

— No dobra — odezwał się Jacąues tonem niby to gderliwym. — Dość już tego harmideru, chciałbym jeszcze pospać.

Objęci ramionami i wpatrzeni wzajem w swoje oczy, zakochani przez długą chwilę siedzieli bez ruchu, wsłuchując się tylko w bicie swoich serc.

Potem nagle Abel zapytał czule Johannę:

— A ty, staruszko, jakie głupstwo popełniłaś, gdy mnie nie było?

Zagryzła wargi do krwi, spuściła oczy. Zapadło skrępowane milczenie i Abel niemal miał do siebie żal, że zadał to na pozór niewinne pytanie: co chciała przed nim ukryć? Bał się zgadywać. Podniósłszy znów na niego wzrok, wreszcie wyznała:

— Zadurzyłam się w takim jednym facecie... To znaczy nie wiem, czemu mówię „w takim jednym", znasz go: to Alec.

— Alec Philips?

Skinęła twierdząco głową. Nie skomentował tego, wzruszył tylko nieznacznie ramionami, uśmiechając się do niej z lekko fatalistyczną miną, która mówiła: „to się musiało stać" i jednocześnie „dobrze mi tak!".

Udawał przegrywającego z honorem, co zupełnie stropiło Johannę. Chciała się tłumaczyć, ale słowa przychodziły jej z trudem:

— Posłuchaj... Nie będziesz chyba... Słuchaj, Abel... Nie będziesz mi...

Nie, nie czynił jej żadnych wyrzutów. Cały czas patrzył na nią z rozbawioną obojętnością, nawet jeśli ta obojętność była pozorna. W końcu zlitował się nad nią i pomógł, zadając proste pytanie:

— Dlaczego?

— Dlaczego... Dlaczego... A czy ja wiem? Ty wiesz, dlaczego zakochałeś sie we mnie pewnego dnia w 64 na drodze we Francji? Bo tak, i już. Tego nie da się wytłumaczyć.

— Nie o to pytałem, tylko dlaczego właśnie w nim? Dlaczego w Alecu?

— Bo jest do ciebie podobny. Bo w gruncie rzeczy ma dużo z ciebie i jeszcze dlatego... dlatego, że cię podziwia.

„Punkt dla niej!" pomyślał Abel. Przez chwilę smakował zręczną odpowiedź. Ciąg dalszy zepsuł mu jednak całą przyjemność.

— Tyle że on się nie wspina! — dodała Johanna.

W namiętnym porywie przyciągnął ją wtedy do swej piersi, uścisnął czule w ramionach i spokojnie powiedział:

— Sama widzisz, że nie jest do mnie podobny. Tak właśnie myślałem.

„Punkt dla mnie!" stwierdził w duchu. I jak dzieciak pokazał jej język.

— Och, Abel, *Abelito midi* — wyszeptała, również obejmując go. — Jesteś tylko ty, Abel. Zawsze będziesz tylko ty...

Uchylił pościel i Johanna przytuliła się do niego. Parsknął śmiechem i delikatnie gryząc ją w ucho, szepnął:

— Wiesz, na co mam ochotę?

Zamruczała zgodnie:

— Mmmmm... Wiem. Ja też...

— No to już!

— Zwariowałeś? Nie myślisz poważnie!

— Patrz, wystarczy rozstawić parawan, którego tu używają rano do mycia.

— Och, Abel!

Chciała się jeszcze opierać, lecz i ją powoli ogarniała spokojna pewność siebie i beztroska radość Abla.

— Servoz... — przypomniała jeszcze, ale z mniejszym przekonaniem.

W tej chwili Jacques, który udawał tylko, że drzemie i słyszał całą ich naradę, odwrócił się gwałtownie do ściany, jak niekiedy człowiek śpiący czyni pod wpływem koszmaru. Kochankowie zamienili porozumiewawcze rozbawione spojrzenia. Wzruszała ich dyskrecja młodego przewodnika. Wszystko teraz sprzyjało ich miłości.

Johanna wstała, rozstawiła parawan i rozpinając bluzkę, położyła się obok Abla.

Kiedy Marcelle Proust się rozkrzyczała, cały szpital sądził, że to jakiś wariat próbuje ją udusić.

— Odwiedziny skończone — zawołała i wtedy ze zgrozą odkryła, jaką to szczególną wizytę złożyła choremu ta Amerykanka. Wołanie przemieniło się w krzyk, chrapliwy i przejmujący, pielęgniarka zaś cofała się, przerażona, jakby ujrzała zamordowanego: na jej dyżurze uprawiano miłość! Coś takiego nigdy się jej nie zdarzyło. A Jacques Servoz —wszak przewodnik! — Jacques Servoz, zaśmiewając się do rozpuku, kpił sobie z niej, ironicznym głosem powtarzając diagnozę doktora Cheroux:

— Ten mały Young jest tylko mocno wyczerpany.

Zaskoczeni Abel i Johanna przerwali swoje figle.

— Jasna cholera! — potrafili tylko westchnąć, żeby sobie dodać odrobinę kontenansu.

— To tak nie przejdzie! — groziła sroga pielęgniarka, otrząsnąwszy się nieco ze zdumienia. — Zobaczycie, łobuzy! Już ja wam dam się kochać...

— Kopać? — zrozumiała Johanna.

I Abel natychmiast zaintonował na całe gardło słowa *RainyDay Women,* hymnu amerykańskich campusów skomponowanego przez Boba Dylana na chwałę „kopa".

W ciągu trzydziestu lat wykonywania swojego zawodu siostra Proust nigdy nie widziała takiego rozgardiaszu w szpitalu. Jacques Servoz powtarzał za Ablem słowa, które ten mu wyraźnie wymawiając podrzucał, i śpiewał je w kanonie zaciągając z sabaudzka, przez co całość była jeszcze zabawniejsza. A Johanna, mająca bardzo ładny wysoki głos

i świetnie potrafiąca naśladować sposób śpiewania Joan Baez, włączała się przy refrenie:

Everybody must get stoned!

— Panie doktorze! Panie doktorze! — wrzeszczała pielęgniarka uciekając. — Panie doktorze!

Co tak poskutkowało, że niegroźne szaleństwo w sali osiągnęło szczyt, a inni pacjenci rozweselili się: rozległy się radosne pokrzykiwania, oklaski, śmiechy—rzekłbyś, wszyscy zapomnieli, że są chorzy...

Ci wariaci zdobyli w końcu straszną południową ścianę szczytu! Przypuścili jeden wyjątkowo zgrabny szturm, który zajął im raptem dwa dni od szczeliny brzeżnej lodowca do wierzchołka i którego elegancja wprawiła w podziw całą dolinę. Po powrocie przyjaciele zeszli się zatem, by im powinszować sukcesu i odwetu na losie, przynosząc jedni butelki wina, inni jabłeczniki bądź drożdżówki upieczone na tę okazję przez babcie z Praż. Przed uroczym domkiem Servozów, błyskającym niebieskimi okiennicami, ustawiono bufet na kozłach wypożyczonych z pobliskiego tartaku. Obrusem było prześcieradło, na drzewach zawieszono kilka papierowych lampionów pozostałych ze święta 14 lipca i podarowanych przez merostwo, chłopak Charletów przyniósł akordeon, a Devouassoux „z dołu" flet, gruby Pierre, który niegdyś kelnerował w „Savoyu" w Chamonix, ustawił piramidę musztardówek: to wystarczyło, by zaimprowizowane spotkanie nabrało charakteru zabawy. Goście tańczyli na łące. Grali w piłkę i w kręgle. Śpiewali. Śmiali się. Naokoło wybuchały petardy rzucane przez dzieci. Colette Servoz częstowała ciastami, Jacques dolewał wina, a mały David chował się pod stołem. Abel i Johanna wygłupiali się tańcząc cudaczne tango: on udawał latynoamerykańskiego lowelasa z lat trzydziestych, ona rozpasaną Cygankę z najpodlejszego kabaretu. W takt melodii *Cumparsity* wyginali się i zabawnie rzucali biodrami, przy każdym zwrocie

strzelając palcami i pokrzykując: ole! Goście otoczyli ich kołem wybijając dłońmi rytm, a niebawem zawiązał się taneczny krąg. Po czym nagle chłopak Charletów zagrał *Kalinkę* i Abel w przysiadzie jął naśladować rosyjskiego tancerza. Coraz szybciej wyrzucał nogi w górę, aż w końcu przewrócił się w trawę i potoczył w objęciach Johanny, która się nań rzuciła.

— Kochana!

— Och, ty! Ty...

Śmiejąc się do utraty tchu sturlali się po lekko nachylonej łące i wstali dopiero przy ogrodzeniu.

— Dobrze jest żyć — rzekł Abel, czochrając Johannie włosy z wplątanymi źdźbłami trawy i całując ją w usta.

Wyswobodziła się z jego ramion i powiedziała:

— Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś nie doprowadzał mnie do bladego strachu tymi swoimi cholernymi górami!

— Nie byłoby lepiej. Bo gdybym się nie wspinał, to jakbym żył na pół gwizdka, dobrze wiesz, kochana! Wiesz, jaka była ze mnie ofiara, zanim poznałem Thomasa Haynesa, Yosemite i całą resztę. Gdybyś mnie wtedy widziała!

— Wiem, Abel, ale Thomas był tylko okazją, jedną z wielu, żeby uczynić ten krok do przodu, który i tak postanowiłeś uczynić. Kiedy go poznałeś w Berkeley, już miałeś w sobie pragnienie, żeby z tego wyjść, żeby więcej nie cierpieć. Tak, chciałeś wziąć się w garść, wyrzucić z pamięci to, co przeżyłeś: nieudane samobójstwo, szereg chorób dręczących cię potem, ogromne kompleksy, które robiły z ciebie ofiarę. To wszystko prawda. Pewnego pięknego poranka powiedziałeś sobie: „Basta! Teraz chcę być szczęśliwy. I będę!" — często mi o tym opowiadałeś.

— Tak. Pamiętam nawet, że sobie powiedziałem: „Znalazłeś swojego bohatera. Od dzisiaj będziesz nim ty sam." Ale potrzebowałem jeszcze gór. Równie dobrze mógł to być windsurfing, motocykl albo Bóg wie co. Tak się złożyło, że były góry i nic na to nie poradzę. Sądzisz, że mógłbym zrezygnować z czegoś, co sprawia teraz, że kiedy przeglądam się w lustrze, nie odwracam zaraz wzroku, ale przeciwnie, bywa, że pomyślę: „No, no, niezły facet"? Głupio zresztą, że porównuję alpinizm z windsurfingiem czy motocyklem. Jest

w górach coś, co ma też morze i pustynia: jak już zaczniesz, to nie ma mowy, żeby się cofnąć albo zawołać: „Zamawiam! Już nie mogę." Trzeba iść do końca. Do końca wspinaczki, do kresu swojej wytrzymałości. I takie w moim pojęciu powinno być samo życie. Nie może być w nim miejsca na kompromis, rezygnację, ustępstwo... Kochana, nie wymagaj ode mnie, żebym wybrał przeciętność: ty też byś tego nie zniosła, jeżeli naprawdę mnie kochasz.

— Och, Abel, wiesz, że cię kocham! Ale bardzo trudno jest kochać kogoś tak silnego i pewnego siebie jak ty — przerwała mu Johanna, całującgo.

— Ja silny? — zawołał. — Pewny siebie? Chyba kpisz, staruszko! Coś ty, ja tylko udaję, może ciut lepiej niż inni, ale ja też udaję. Nie jest się mężczyzną tylko dlatego, że robi się na przekór zabawiając się wśród sporych kamyków i języczków lodu. Na pewno trzeba jeszcze coś—a ja ciągle nie wiem co! To znaczy nie, wiem! Trzeba jeszcze mieć w sobie to, co sprawiło, że Jacques sam wykaraskałby się z opałów, a ja bym zginął, gdyby jego tam nie było. Jestem taki słaby, Johanna. Taki nieodporny. Pewnie, że mam dwadzieścia cztery lata i jestem zakochany i inteligentny, i wykształcony, i tryskający zdrowiem, i w ogóle. A ponieważ dwa razy uszedłem już śmierci, mówię sobie, że i trzeci raz ujdę. Że widać w pewnym sensie jestem wybrańcem. Tak, czuję się strasznie szczęśliwy. Ale, cholera! równocześnie umieram ze strachu! Jestem zupełnie jak ty, Johanna: umieram ze strachu. I w gruncie rzeczy ciągle jestem chłopczykiem, który potrzebuje swojej Ma...

Johanna z macierzyńską czułością pogładziła go po policzku i szepnęła:

— No właśnie, Abel: powinieneś zadzwonić do Ma. Powiedzieć jej, że wszystko w porządku. I w ogóle.

— Akurat o tym pomyślałem — odparł Abel. I ze śmiechem dodał: — Chcę, żeby się dowiedziała, że może być dumna ze swojego chłopczyka.

Trzymając się za ręce wspięli się łąką do samego domu. Po drodze wciągnięto ich w farandolę, lecz wywinęli się i poszli dalej w stronę bufetu, gdzie Jacques lał strumieniem szampana do piramidy szklanek.

— Jest nasz bohaterl — zawołał wesoło, ujrzawszy nadchodzącego Abla.

Przewodnicy, którzy wznosili za nich toast, poklepywali serdecznie młodego Amerykanina po karku, a kobiety chciały mu się wieszać na szyi, jak championowi na podium dla zwycięzców. Błaznując z wdziękiem, Abel wypiął pierś i jął przybierać pozy chełpliwego triumfatora. Później wziął Servoza za łokieć i na stronie spytał, czy może zatelefonować do Stanów.

— Jasne, stary! — odparł Jacques. — Ile to już czasu, jak nie miałeś wieści od matki?

Abel podziękował i pchnął drzwi domu. Wszedł do przestronnej, starodawnej kuchni, w której wielki stół jadalny zastawiony był brudnymi talerzami i kieliszkami. Wprost z kranu napił się łyk wody, po czym usiadł na taborecie w cieniu stojącego obok kredensu, gdzie na ścianie wisiał telefon. Wykręcił numer międzynarodowej i poprosił o połączenie z Kalifornią; telefonistka uprzedziła, że będzie musiał czekać około czterdzistu minut do godziny.

No cóż, zaczeka. Nie można powiedzieć, żeby był z tego niezadowolony — przeciwnie: czuł niewytłumaczalne szczęście, że przez czterdzieści minut czy godzinę będzie z dala od ludzi, sam z sobą w chłodnej kuchni pachnącej brzoskwiniami i melonem. Sympatyczną wiejską zabawę mógł śledzić przez otwarte okienko nad spiżarnią: pod liśćmi drzew, niebieskimi w przejrzystym świetle letniego zmierzchu, widok młodych walcujących przy dźwiękach akordeonu, starszych posilających się na trawie, dzieci bawiących się w ganianego przypominał flamandzkie malowidło z okresu złotego wieku. W ich uciechach była jakaś nieco zwariowana wesołość, która przez kontrast wprawiała go w nastrój miłej, czarownej melancholii. Znajdował się tutaj wsłuchany w melodię *Nad pięknym modrym Dunajem,* ale równocześnie był w Modesto i słuchał, jak Ma śpiewa mu *Panie Janie,* by złagodzić jego udrękę, gdy leżał unieruchomiony gipsem w swoim wąskim łóżeczku. Te nostalgiczne myśli sprawiły, że tłumnie jęły mu napływać do głowy przemożne wspomnienia. Ujrzał siebie zakopanego wśród książek, będących mu jedyną pociechą w tamtych czasach nieszczęścia. W powieściach, które całymi dniami gorączkowo czytał po kilka razy,

dzieci w pierwszych rozdziałach ubogie, chorowite i porzucone przez rodziców, w toku akcji stawały się wspaniałymi awanturnikami, a na ostatnich stronicach opowieści przeobrażały się w osoby bogate, kochane, budzące obawę i szacunek. Abel mówił sobie, że tak właśnie potoczą się jego losy sieroty i bękarta: samą siłą swej woli pokona długo nękające go przeciwności. Ale nigdy nie będzie nikomu nic zawdzięczał.

Nie był to zwykły dziecięcy kaprys. Kiedy tydzień po jego nieudanym samobójstwie Eliott E. Emerson odwiedził chłopca w szpitalu, Abel nie chciał go widzieć. Ojciec wtargnął jednak do pokoju obładowany prezentami jeszcze liczniejszymi i wspanialszymi niż zazwyczaj. Dopóki Emerson był przy nim, Abel ostentacyjnie udawał, że jest pogrążony w głębokim śnie. Eliott odszedł wzburzony, zostawiając w nogach łóżka przewiązane wstążkami pudełka. Sądził, że ciekawość weźmie górę nad stanowczym uporem. Ostatecznie jego syn miał ledwie dziesięć lat. Ale źle go znał, jeżeli myślał, że kiedyś ulegnie. Na próżno Madeleine prosiła go i błagała: Abel oświadczył, że nigdy więcej nie chce widzieć pana z cadillakiem, „Świętego Mikołaja", którego bajeczne odwiedziny rozjaśniały jego dzieciństwo. Dlaczego tak podle zostawił go po urodzeniu? Dlaczego nigdy nie było go stać na to, żeby opowiedzieć mu o jego matce, prawdziwej matce, o Lauren? Dlaczego jeszcze teraz ciągle przychodził? Czy sądził, że Abel mu wybaczy ten podły postępek, niegodziwość w zamian za parę zabawek — w większości zresztą dla „dzieci bogaczy", zbyt wymyślnych, żeby można się było nimi naprawdę bawić, w dodatku teraz, gdy zaczynał rozumować po dorosłemu, wydających mu się zniewagą w porównaniu ze skromnym życiem, jakie wiedli z Mfe — za parę kosztownych cacek trzy razy w roku? Nie filantropii Abel potrzebował, lecz miłości.

Czy nie rozumień' tego psychologowie i pediatrzy, którzy badali jego kartę choroby i uczenie oświadczali, że „przypadek Abla Younga jest beznadziejny"? Odsyłali go ze szpitala do szpitala, wtrącali w samotność i duchową udrękę. Odkrywali w nim wszelkiego rodzaju zaburzenia psychiczne, jakich w ogóle nie miał, i z pychą ignorowali choroby wyimaginowane, a zarazem bardzo rzeczywiste, za których

pośrednictwem dziecko rozpaczliwie wyrażało swoje frustracje i budzące w nim strach poczucie odmienności. „Jest zbyt uczuciowy! Jest zbyt otyły! Jest zbyt wrażliwy! Jest zbyt skryty! Jest zbyt rozpieszczony!"—krytykowali bez ustanku naukowcy, a ich uwagi zbijały dobrą Madeleine z tropu i napełniały wyrzutami sumienia. Jej tymczasem, kobiecie prostej, wydawało się, że Abel potrzebuje więcej uczucia niż chłopcy w jego wieku. I bywało, że się buntowała, kiedy wymawiano jej przesadną czułość wobec „bękarta". „Może jestem głupia, ale znam go lepiej niż wy! Wiem, czego mu trzeba", protestowała, gdy przedstawiano jej uczone racje na temat sposobów wychowywania dzieci.

Kto miał słuszność, kto się mylił?

I kto, prócz osób kompletnie wyzutych z ludzkich uczuć, mógł nie litować się nad osiemnastoletnim tłuściochem, niezdarnym, zasapanym i spoconym, o nieprzeciętnej inteligencji, której jednak chorobliwa nieśmiałość nie pozwalała w pełni wykorzystać, kiedy w roku 1960 wstąpił na uniwersytet w Berkeley?

Sześćlat później Abel raz jeszcze w wyobraźni przeżywał w zdumiewającym skrócie następne lata, lata wyzwolenia, lata terminowania, gdy niczym motyl z larwy, z udręczonego gołowąsa wyrósł mężczyzna wolny i szczęśliwy, że żyje. Szczęśliwy tak bardzo, że z jednaką rozkoszą smakował każdą chwilę życia, nawet jeśli musiał czekać na połączenie telefoniczne ze Stanami.

W osiągnięciu tego pomogła mu muzyka Boba Dylana, Beatlesów i Beach Boysów, pomogła mu poezja Rimbauda. Pomogła mu miłość Johanny i marihuana. Pomogło mu wrzenie nowych idei w campusie, ruch *tum on, tune in, drop out* — „otwórz ae, dostrój się, wymknij się" — i pomógł mu Thomas Haynes, który pewnego dnia wszedł do jego pokoju bez pukania i oświadczył: „Podobno mam być twoim współspaczem w tej parszywej chacie".

Thomas uginał się pod ciężarem jakiegoś żelastwa i Abla natychmiast zastanowiło, do czego ten kram może służyć. „Jasny gwint! do wspinaczki!" odparł Thomas, wrzucając pod łóżko karabińczyki, haki, kliny i młotki.

Potem chwytał za dno po kolei trzy wypchane plecaki i na podłogę wysypała się cała biblioteka francuskich poetów.

— Victor Hugo, Lamartine, Ronsard, Baudelaire, Verlaine, Cocteau — wymieniał nazwiska, jakby robił reklamę. — Wybór jest, jak widzisz!... Na imię mi Thomas. Tobie zdaje się Abel?

— Abel Young.

— Thomas Haynes. Odnotuj, że zależy mi na „Thomas". Jakiś „Tommy" czy „Tom" odpada, nie znoszę.

— Będę ci mówił Thomas.

Thomas Haynes był posiadaczem mikrobusu marki volkswagen i dysponował pięciuset dolarami kieszonkowego miesięcznie. Thomas Haynes zabierał dziewczyny na kolacje do Fisherman's Wharf albo do Chinatown i kochał się z nimi w pokoju w Fairmont, który zdarzało mu się wynajmować na noc. Thomas Haynes wspinał się na Sentinel Rock i Capitana zupełnie nowymi trasami, a jego portret zdobił okładkę książki *Jak poznać góry* opublikowanej przez wydawnictwo Events. Thomas Haynes przebiegał setkę w 11,2 sekund, a mógłby mieć jeszcze lepszy czas, gdyby mu się chciało trenować. Thomas Haynes potrafił deklamować jednym ciągiem pierwsze tysiąc wierszy *Legendy wieków* Wiktora Hugo i zagrać na saksofonie *Blue Moon* oraz *Moonlight Serenade*. Thomas Haynes palił grube hawańskie cygara i popijał z butelki japoński koniak — „tak, tak! japoński". Thomas Haynes odziewał się w stare wystrzępione dżinsy i koszulę do smokingu, z błyszczącym kołnierzykiem i koronkowym żabotem, na wierzch zaś wkładał traperską kamizelkę z bawolej skóry. Thomas Haynes prowadził godzinne rozmowy telefoniczne z gwiazdą Hollywoodu, o której mówił „cioteczka", traktując ją zarazem z poufałością, jaką się zwykle darzy swoją dziewczynę. Thomas Haynes wstąpił do Berkeley poprzedzany pochlebną legendą „ulubieńca college'ów" — w pełni zasłużył na przezwisko Thomas Wspaniały.

I tenże Thomas Wspaniały był pierwszym, który sympatycznie się odniósł do tej ofiary Abla Younga, pierwszym, który nie kpił z jego chorobliwego wyglądu ani ociężałego chodu, pierwszym, który nie miał go za *sissy,* ofermę. Całkiem zwyczajnie klepnął go w ramię i powiedział:

— Chcieć, to móc. Wystarczy, że człowiek polubi siebie takiego, jaki jest, a może stać się taki, jaki chciałby być. Jedź ze mną, stary, nauczę cię wspinaczki. Jak będziesz zawieszony na kawałku skały nad przepaścią, nie będziesz miał czasu, żeby myśleć o swojej brzydocie. Wtedy będziesz zresztą piękny, zobaczysz...

Miał słuszność Thomas! I Ma też, że nigdy nie straciła nadziei. Czyż Abel nie był dzisiaj uosobieniem radości życia?

Telefon zadźwięczał wreszcie, wyrywając go z zadumy. Gorączkowo chwycił w dłoń słuchawkę. Szelesty na liniach przypominały szum oceanu — ogromnego oceanu znajdującego się między nimi. Wyobrażał ją sobie opartą o oszklone drzwi kabiny telefonicznej w zajeździe, jakby się bała, że ze wzruszenia upadnie. Widział jej ładną twarz zniszczoną zmartwieniami, ale uśmiechniętą, jeszcze młodą; jej oczy wypełnione łzami: „Jak dobrze usłyszeć swojego Abla", powie, Abel był tego pewien. W myślach delikatnie, delikatnie zbierał palcem ukradkową łzę spływającą wzdłuż nosa, której nie starała się wytrzeć rąbkiem fartucha.

— O, Abel! To ty — powiedziała bezbarwnym głosem. — Dostałeś telegram?

— Nie. Jaki telegram?

— Więc nic nie wiesz?

— Ma, o czym ty mówisz? Nic nie rozumiem.

— Chodzi o twojego ojca.

— Ja nie mam ojca.

— Abel, posłuchaj! Abel! Nie bądź uparty!

— Czemu to tak nagle zaczynasz mówić o moim ojcu?

— Abel, proszę! Posłuchaj, kochany, musisz mnie wysłuchać.

— Ale co się dzieje, Ma? Dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

— Abel! Emerson... twój ojciec... on umiera. We Francji, niedaleko od ciebie! W Saint-Jean-Cap-Ferrat na Lazurowym Wybrzeżu...

— No i?...

— Abel, on chce cię zobaczyć.

— Co?

— Nie przesłyszałeś się.

— Mam się z nim zobaczyć?

— Tak. Ostatni raz, Abel. On chce cię uścisnąć ostatni raz. Nie możesz mu tego odmówić.

— Nie pojadę!

— Abel!

— Nie ma mowy!

— Och, Abel, nie rób mu takiej przykrości, błagam. Od tygodnia co wieczór do mnie wydzwania albo każe komuś dzwonić, jeśli jest za słaby. Abel, gdybyś go słyszał, zlitowałbyś się nad nim, wierz mi.

— Ma, nie chcę znów wracać do przeszłości. Raz na zawsze oddzieliłem to kreską. I nie mam ochoty dzisiaj sobie tego przypominać. Dzisiaj jestem szczęśliwy. Świętuję zdobycie Aiguille du Fou, świętuję moją miłość do Johanny, świętuję moje dwadzieścia cztery lata. Nie proś więc, żebym...

— Mimo wszystko proszę, synku. Choćby z poczucia obowiązku wobec umierającego. Gdyby ci ktoś obcy powiedział: „Zrób tę przysługę mojemu ojcu", wahałbyś się? A przecież tu idzie o twojego ojca, Abel! O twojego ojca!

— Ojca!

— O tego, który łoży na twoje studia i wypłaca ci pensję...

— Och, nie, Ma! Tylko nie to, proszę. Zdaje mi się, że to najmniejsza rzecz, jaką mógł zrobić, nie? Zrobił to zresztą w takiej samej mierze dla siebie, jak i dla mnie. Chciał, żebym był... Emersonem, przecież wiesz!

— Skarbie...

— Nie pojadę, Ma. Na darmo mnie przekonujesz.

— Skarbie, okaż się wielkoduszny. Pokaż, że jesteś na miarę tego Abla Younga, jakim się stałeś, człowieka odważnego... Ludzie naprawdę wielcy, ludzie naprawdę szczęśliwi to ci, którzy umieją zapomnieć urazy...

— Och, Ma, to takie trudne.

— Nie płacz, Abel. Ja rozumiem. Doskonale rozumiem, co czujesz. Ale musisz być silny, skarbie. Musisz. Dla siebie samego. I dla swojej Ma...

Na próżno Madeleine prosiła: nie wiedząc dlaczego, Abel istotnie płakał. Nagle jednak wzburzyło go tyle gorzkich

myśli, wróciło tyle bolesnych wspomnień. I tak bardzo kontrastowała z nimi radość w śmiechu i śpiewach tych ludzi z Praż, tańczących ciągle na łące przed domem, podczas gdy okienko spiżarni wypełnił skrawek zmierzchającego nieba, pełen owadów bzyczących w przejrzystym, wyzłoconym powietrzu...

Dlaczego tę chwilę harmonii i lekkiego oszołomienia musiał zepsuć nieoczekiwany powrót przeszłości, która budziła w nim grozę, a nazywała się Emerson?

Abel zamilkł, Madeleine zaś nie chciała pierwsza wracać do trudnej rozmowy. Słyszeli swoje oddechy, zarazem bliskie i odległe. Było to jakby szeptanie zakochanych, tylko dla nich mające sens: nic nie mówili, lecz rozumieli się w pełni. Abel niebawem ustąpi i Madeleine puści go samego na tę drogę: wystarczająco dobrze znała swojego Abla, by wiedzieć, że w końcu powie „tak".

Pojedzie do ojca.

— Czego on ode mnie chce, Ma? — zapytał wreszcie, opanowawszy się nieco. — Boję się, Ma. Boję się, że...

— Czego się boisz, synku? Chce cię uścisnąć na łożu śmierci, tak powiedział. To tylko jego ostatnie życzenie. No i przecież ostatecznie to twój ojciec. Bóg jeden wie, jak bardzo kochał twoją matkę. Opowiadał mi o tym Harry Rienzo, ten jego szofer. Pamiętasz Harry'ego?

— Tak.

— Tyle mi mówił o biednej Lauren. O ich wielkiej miłości.

— Ma, nie chcę tego słuchać.

— Wybacz, kochanie.

— Ma, właśnie to mnie przeraża: Emerson będzie chciał mówić o mamie. Nie jestem pewien, czy potrafię to znieść.

— Co też sobie wyobrażasz? Ojciec chce cię zobaczyć, bo ma wyrzuty, czuje żal, to wszystko. Czego się boisz?

— Nie wiem. Ale wszystko, co z bliska albo z dala zatrąca o tę historię...

— A czy nie widzisz, że ta historia, jak powiadasz, w ten sposób wreszcie się zakończy? Chodzi tylko o wyjazd na pięć, sześć dni na Lazurowe Wybrzeże. Potem Emerson zniknie

z twojego życia na zawsze. Będziesz mógł wreszcie zapomnieć o przeszłości. Nie rozumiesz tego, Abel? Kiedy zobaczysz ojca, kiedy go uściskasz, kiedy mu wybaczysz, bo o to chce cię prosić, zacznie się dla ciebie nowe życie, skarbie. Poczujesz się wyzwolony: jakbyś wszystko jednym pociągnięciem wymazał. Żeby się odrodzić...

Abel nie od razu odpowiedział.

Starannie wydmuchał nos, przetarł obolałe oczy, ugryzł małą renetę, która leżała na kratce, spojrzał na lufcik: Johanna z głową wsuniętą między pomalowane futryny uśmiechała się do niego.

— A, byłaś tu?

Podał jej resztę ugryzionego jabłka.

— Wszystko w porządku? — zapytała czule.

Przytaknął zmrużeniem powiek i posłał jej ręką całusa.

— Abel? Abel? — zaniepokoiła się Madeleine, nie słysząc jego urywanego oddechu.

Idealnie spokojny, niemal triumfujący oświadczył wreszcie:

— Masz słuszność, Ma.

I odrobinę uroczyście dodał:

— Pojadę. Jeszcze dziś w nocy.

* *
•

W pół drogi między Niceą a Monte Carlo, w miejscu, gdzie Lazurowe Wybrzeże zaczyna nabierać charakteru Riwiery, leży półwysep Ferrat, przypominający wielkie awizo osadzone na mieliźnie pomiędzy jachtami, które przepływają we wszystkich kierunkach zatokę Villefranche. Naniesiona przez wody czerwona ziemia i półtropikalna roślinność z wolna jakby zakrywały jego powierzchnię, pozostały tylko drżące cienie i kolory głębokiej zieleni, srebrnoszare, pastelowe fiolety. Na poły przysłonięte sosnami nadmorskimi, aloesami, oleandrami, palmami i bujnymi bugenvillami widać białe, brunatnożółte lub różowe fasady pysznych willi pałacowych, wzniesionych na szczytach tarasowych ogrodów; gdzieniegdzie błyśnie przelotnie, niby lustro, basen skrzący się w słońcu...

Droga La Corniche biegnie dalej swym kapryśnym szlakiem ku Włochom, pozostawiając tu najpiękniejsze na Lazurowym Wybrzeżu posiadłości, jak gdyby nie mogła ich dalej unieść. Chyba nigdzie w Europie nie zgromadzono na tak małym obszarze tyle luksusu, świetności, ekstrawagancji i piękna. Nigdzie się nie zobaczy w tak krótkich alejach tylu sunących z cichym szumem rolls-royce'ów i ryczących ferrari. Nigdzie bogactwo zarazem nie kryje się i afiszuje z tak wielką subtelnością. Jeśli istnieje raj miliarderów, to Bóg, straciwszy w migoczące wody kęs skały barwy krwi, tutaj właśnie go umieścił...

Ale podobnie jak piekło, tak i ten raj ma swoje kręgi i rezydentów. Ponieważ majątek, choćby największy, też ma swoją hierarchię. A pośród wybrańców są lepsi i gorsi. Chcąc być uznanym za świętego pośród świętych, nie wystarczy posiadać willę w Saint-Jean-Cap-Ferrat, trzeba jeszcze, by willa ta miała bezpośredni dostęp do morza i by na końcu na rx>ły przegniłej kładki tańczyła na falach niedbale przycumowana riva. W sześciu czy siedmiu miejscach droga straży granicznej, biegnąca brzegiem półwyspu, dyskretnie wchodzi głębiej w ląd, by sześciu czy siedmiu posiadłościom zostawić bezcenny przywilej dostępu do morza. Należy do nich angielski park i włoskie ogrody willi pałacowej Emersonów...

„Gioconda" jest pałacem w stylu palladiańskim, wzniesionym na przełomie wieków według projektu angielskiego architekta. Mury obrzucone wyblakłym różem, rozległa kolumnada z marmuru z Paros otwierająca się półkoliście na tarasy, które wiszą nad zatoką Viuefranche, oranżerie i szklarnie z kutego żelaza i kolorowego szkła *modern style,* ogromny basen zbudowany podług modelu basenu z Villi Hadriana i jak tamten otoczony kopiami starożytnych posągów, labirynty przystrzyżonych bukszpanów i cisów, będące repliką z ViUa Medicis, rozaria, gdzie hoduje się płomienną *Kay Emerson* oraz herbacianą *Triumf Emersona,* szkółki sosnowe i palmowe, korty tenisowe kryte i pod gołym niebem, sala do gry w piłkę ręczną i w krykieta, pawilon muzyczny przeniesiony kamień po kamieniu z osiemnastowiecznej wiedeńskiej posiadłości rozrywkowej, pagoda podarowana przez Bao Daia, lądowisko dla śmigłowców i wreszcie słynna grota nadmorska, wykuta w falezie i pełnią-

ca rolę przystani dla łodzi i motorówek: czyż trzeba więcej dodawać do opisu posiadłości tak znanej, że jej fotografia widnieje na okładce książki *Sto najpiękniejszych posesji świata* opublikowanej przez wydawnictwo Evcnts?

Kiedy nacisnąwszy guzik, umieszczony w pysku brązowego lwa, Abel zadzwonił do wielkiej żelaznej bramy z ozdobnej kraty, odniósł natychmiast niemiłe wrażenie, że jest obserwowany. Spojrzał na drzewo oliwne, wychylające ponad murem srebrzystą koronę, i jego wzrok przyciągnął błysk: ukryta w gałęziach kamera filmowała go bez jego wiedzy. Kiedy to odkrył, odruchowo przeczesał pospiesznie włosy i przywołał na usta pokorny uśmiech. Po czym roześmiał się w głos: przecież nie podda się tak całkiem dobrowolnie temu przykremu badaniu! Musi pokazać Emersonom, że ta demonstracja potęgi wcale go nie onieśmiela. Za kogóż oni się mają, te gbury? Czy mają w ogóle prawo tak filmować ludzi bez ich wiedzy? To obyczaje mafijnych sutenerów, osądził. A ponieważ sława elegancji Emersonów z góry wydawała mu się przesadzona, zdumiał się, że odczuwa z tego powodu coś na kształt rozczarowania, choć jadąc tutaj obiecał sobie, iż będzie okazywał obojętność wobec wszystkiego, co zobaczy w „Giocondzie".

I obojętnie też, przynajmniej na pozór, przyjmie uczucia, jakie może w nim obudzić po przeszło dziesięciu latach widok tego, który zawsze był jego ojcem i nigdy nim nie był...

Ostentacyjnie odwrócił się plecami do obiektywu i czekał, aż ktoś raczy odpowiedzieć na dzwonek. Nie wiedział, że druga kamera, dokładniej ukryta, filmuje go z przodu w pełnym świetle.

Wreszcie za siatką domofonu, trzymanego w łapach przez brązowego lwa, zachrypiał jakiś głos o akcencie niewątpliwie angielskim, niewiarygodnie zniewieściałej intonacji, tonie szorstkim i aroganckim.

— Wejście służbowe jest trochę dalej — usłyszał Abel w doskonałej francuszczyźnie. — A jeżeli przychodzisz z agencji „Gens de la Maison", chłopcze, to się spóźniłeś. Dzisiaj rano „Societe Legrand" przysłała nam ogrodnika, któregośmy potrzebowali.

I w pałacu z trzaskiem odłożono słuchawkę.

Gsza — tylko świerszcze grały w upalnym, wonnym powietrzu. Rozbawiony Abel odczekał kilka chwil, po czym znowu zadzwonił. Z góry cieszył się na gniew, jaki swoim dobijaniem się wywoła w szacownym słudze, który tak opryskliwie mu odpowiedział. Odwróciwszy się w stronę kamery zamocowanej na drzewie oliwnym, odpiął rozporek wyblakłych dżinsów i załatwił się pod bramą, raz jeszcze naciskając guzik domofonu.

— Zmykaj stąd, gnojku!... I to już! Albo poszczuję psami.

Głos, przedtem tak dystyngowany i pogardliwy, stał się teraz ordynarny.

— Proszę mi jednak otworzyć — spokojnie rzekł Abel w odpowiedzi. A słysząc w domofonie warczenie owczarka niemieckiego, dodał ze szczyptą kpiny w głosie:—Albo każę poprosić mojego ojca, pana Emersona.

— Pan jest... Och, mój Boże! Pan Young? Pan Young, prawda?

W pałacu stary Geoffrey krztusił się ze zdumienia i zgrozy: pierwsza gafa w ciągu czterdziestu lat nienagannej, wiernej służby!

— O mój Boże! Proszę pana... Boże, proszę pana... — powtarzał tylko, teraz już niedorzecznie. A pogardliwa ordynarność ustąpiła miejsca uniżonej służalczości.

— Och, proszę pana... proszę pana...

Abla ta scena dość ubawiła: a więc to jest sztuczny świat konwenansów i dobrego wychowania, a więc to jest słynna uprzejmość wysokich sfer! Ogarnęła go chęć, by trochę sobie poironizować.

— Abel Young do usług — przedstawił się ze śmiechem.

Ale oto już skrzydła bramy, której elektroniczny zamek uruchamiany był w pałacu, równomiernie, bezszelestnie rozwierały się na dobrze naoliwionych osiach.

Zarzuciwszy na ramię płócienną torbę podróżną pożyczoną od Servoza, Abel ruszył paradną aleją. Różowy żwir chrzęścił z wyrzutem pod gumowymi podeszwami tenisówek, czystych, lecz podniszczonych: bez wątpienia po raz pierwszy ciężka, czarno-złota brata z kutego żelaza otworzyła się, by przepuścić człowieka idącego pieszo. Goście zawsze przybywali do „Giocondy" w limuzynach. Albo

w motorówkach, jeśli przypływali morzem. Albo w śmigłowcach, jeżeli, wybrani spośród błogosławionych śmiertelnych i zaszczyceni zaproszeniem Emersonów, ładowali z przestworzy...

Szofer, który irchą polerował świeżo umytą karoserię bentleya z odsuwanym dachem, przerwał zaintrygowany zajęcie, by przyjrzeć mu się, gdy przechodził. Dwaj ogrodnicy podnieśli nosy znad kupek ziemi, sypanych do kamiennych donic, i popatrzyli na siebie zdziwieni. Bez słów obaj uznali, że ten chłopak, nie ogolony, długowłosy i z tym swoim impertynenckim uśmiechem, nie zagrzeje długo miejsca w „Oiocondzie"! GeofTrey raz dwa każe go wyrzucić Murph/emu, zarządcy pałacu...

Jakież było ich zdumienie, kiedy ujrzeli, że kamerdyner Eliotta E. Emersona wybiega we własnej osobie na podjazd i rzuca się do nieznajomego, kłaniając się i próbując odebrać mu skromny bagaż!

— Och, proszę pana! proszę pana! — bełkotał stary sługa czerwony ze zmieszania, *z* czołem zlanym potem.—Co mam zrobić, żeby mi pan wybaczył? Jestem zhańbiony na zawsze!

— W porządku, stary! — rzekł Abel, przytrzymując ręką torbę na ramieniu. — Mogę sam to ponieść.

— Proszę pana, błagam! Proszę pozwolić przynajmniej... — molestował sługa, próbując ukradkiem złapać ucha torby.

Abel opierał się jednak. I żartobliwie oświadczył:

— Daję słowo, że ojciec o niczym się nie dowie.

Stary homoseksualista wydawał się, prawdę powiedziawszy, na równi wzburzony popełnioną gafą, jak i odkryciem teraz męskiej urody syna swego pana: wyprzedziwszy go pod perystylem w antycznym stylu, by otworzyć przed nim dwuskrzydłowe drzwi pałacu, potknął się na stopniu. Abel podtrzymał go, a GeofTrey, spuściwszy oczy, podziękował mu z wylewnością pomieszaną ze strachem.

— Och, proszę pana, proszę pana... Mój Boże! I to ja... Mój Boże, proszę pana, to okropne! Ja tego nie przeżyję...

Młody przybysz coraz lepiej się bawił, niczego jednak po sobie nie pokazując.

Ale mimo pewnego rozczarowania, jakiego doznał w głębi ducha, poczuł się nagle onieśmielony wkroczywszy do imponującego westybulu „Giocondy". Podniósł wzrok na ogromny żyrandol z rżniętego kryształu i nimfy tańczące na kredowo-błękitnawym niebie plafonu. Powoli zsunął torbę z ramienia na rękę i posadzkę. Wtedy Geoffrey z westchnieniem zadowolenia zręcznie schwycił nieforemny pakunek i oddał go w ręce pokojówki, która równie szybko jak przyszła, zniknęła za ukrytymi drzwiami.

— Pan pozwoli za mną — rzekł. — Pański ojciec prosił, żeby wprowadzić pana, jak tylko przyjedzie.

Ablowi serce mocniej zabiło w piersi. Na próżno chciał przybrać minę wyrażającą znużoną obojętność i dystans: zmęczenie drogą przebytą nocą autostopem i silne wzruszenie, jakie dokładnie w tej chwili odczuwał, były silniejsze. „Idiota!" pomyślał. Przecież mimo wszystko to powinno być łatwiejsze niż Aiguille du Fou czy Couloir Gervasutti w czasie burzy. Wciągnął głęboko powietrze, na moment wstrzymał oddech, i częściowo uspokojony poszedł za Geoffreyem, który powiódł go przez imponujące galerie wykładane różowym i białym marmurem. „Na trudnych odcinkach, w terenie nierównym albo pociętym rozpadlinami, musisz się zachowywać jak kot" — czy to z powodu lśnienia posadzek ułożonych w szachownicę, starannie nawoskowanych i bardzo śliskich, przypomniał sobie niespodzianie radę, którą usłyszał kiedyś od swego przewodnika na lodowcu Brenva?

„Na trudnych odcinkach..." — instynktownie zaczął iść miękkim, posuwistym krokiem kota. Już zaczynał opanowywać lęk. „Stawaj, Emerson!" — sformułował w duchu wyzwanie, gdy pokojowiec koniuszkami palców w rękawiczkach delikatnie pchnął lustrzane drzwi, które otworzyły się bezszelestnie.

Abel ujrzał odbicie swej dobrze zbudowanej postaci, twarzy przystojnej, ogorzałej, męskiej twarzy poszukiwacza przygód, sunące w sinawy półmrok sypialni...

Sypialnia.

W jej mroku, rozjaśnianym bladymi, widmowymi przebłyskami sączącymi się spomiędzy podwójnych zasłon

z ciemnego aksamitu, ledwie widział sprzęty w stylu Ludwijka XV ze złoconego drewna, gerydony i zabytkowe kredensy pełne starych bibelotów; i jeszcze, niby zjawy dręczące w koszmarach bohaterów dramatu szekspirowskiego, trzy odziane na czarno postaci o trupiobladych twarzach, stojące w nogach łóżka, na którym konał jego ojciec.

Jeremy, pomyślał. Mój... no tak, mój brat! I b*z wątpienia moja siostra. Zapomniałem jej imię, o ile w ogóle kiedykolwiek je słyszałem —jest młodsza ode mnie.

A tam ich matka: Kay Mc Kay. Tak ją nazywała Madeleine, gdy już zdarzyło się jej mówić o pani Emerson.

Abel zbliżył się, dyskretnym skinieniem głowy witając straszną asystę. Czuł jakieś zażenowanie w obecności tych osób o bezkrwistych obliczach; nawet lęk — choć nie miał pojęcia dlaczego. Przez chwilę, gdy zobaczył, że wszyscy troje są w żałobie, przestraszył się, iż przybył za późno i ojciec zmarł zawiedziony, nie doczekawszy się go. Wówczas jego także ogarnęło coś na kształt zawodu, czym się zdumiał: cóż dla niego znaczyło, czy Emerson żyje, czy nie?

Jednak nie! Nie mógł się wyzbyć uczucia litości, jakie się w nim z wolna budziło. I ucieszył się, kiedy dosłyszał nieregularny szelest oddechu w masce tlenowej. Podszedł bliżej...

I jeszcze bliżej.

Oburzony Jeremy drgnął i wykonał gest, jakby go chciał zatrzymać. Kay zaś obrzuciła go pogardliwym wzrokiem, z niemym wyrzutem spoglądając na Geoffreya: czy pokojowiec oszalał? Wpuszczać tu tego intruza, tego mizeraka! Co to w ogóle za jeden? Pewnie nowy ogrodnik, którego potrzebował Joseph, albo chłopiec kuchenny. Ale dlaczego przychodzi tu naprzykrzać się konającemu? W dodatku tak niedbale odziany! Jak on w ogóle śmiał? Jak śmiał?

Kay przeszyła Abla strasznym spojrzeniem, jednym z tych spojrzeń, pod którymi Leonard Howard chciał się zapaść pod ziemię, a Eliott jeszcze niedawno spuszczał wzrok. Na próżno! Ani trochę nie zbity z tropu Abel szedł równym krokiem ku wezgłowiu chorego. Uśmiechając się do Faye. A Faye, Faye, ta wariatka, też się do niego uśmiechała, jakby mu dodając odwagi! I może chcąc ją zdenerwować, tak samo jak ten obdartus ją denerwował, ją, Kay Mc Kay, panią

Emerson we własnej osobie! I ta jego demonstracyjna pewność siebie, to kpiące zachowanie! Och, przecież to nie do zniesienia!

Czuła, że lada chwila zacznie krzyczeć...

I wtedy ze zgrozą ujrzała, że przybysz ujmuje dłoń konającego!

I wtedy usłyszała, jak z prostotą wypowiada zwyczajne słowa:

— Widzisz? jestem!

Eliott E. Emerson zaś otworzył oczy i odepchnąwszy znad swej twarzy maskę, najdonośniej jak mógł swym słabym już głosem zawołał:

— Abel! Synu!

* *

Gdyby grom padł u jej stóp, nie wywołałby w niej większego szoku. Cofnęła się o krok, jakby ogarnięta przerażeniem na widok czegoś strasznego. Czuła,, że kolana się pod nią uginają, ziemia kołysze. Wydawało jej się, że postradała zmysły: była nie w tym mrocznym pokoju, lecz w parku w Sag Harbor dwadzieścia pięć lat temu. Widziała rozhukany ocean u stóp falezy, widziała Abla siadającego za kierownicą czerwonego alfa-romeo, widziała skinienie dłonią, jakie im przesłał nie odwracając się, nim wrzucił trzeci bieg, widziała, jak sportowy kabriolet nabiera prędkości i nagle stacza się w przepaść...

— Abel! — usłyszała. — Abel! Synu!

Osunęła się na fotel. Wszystko się jej w głowie mieszało, wszystko dokoła wirowało: Jeremy ruszył z pomocą, a Faye w milczeniu patrzyła na całą tę scenę, jak gdyby nic z tego, co się dzieje, jej nie dotyczyło. Eliott E. Emerson przy pomocy nieznajomego zdołał się dźwignąć i siedział teraz wsparty na poduszkach z uśmiechem, który wydał się jej wyzywający.

— Abel — wyszeptała.

Opanowała się w końcu i uwolniła z ramion Jeremy'ego, zaniepokojonego jej nagłym zasłabnięciem.

— To przez te zapachy i upał! — przekonywał ją. — Chcesz, żebym otworzył okno, mamo?

— Nie, dziękuję. Już dobrze. To przez to imię... Nie wiem, co... Głupia jestem!

— Tak miał na imię mój starszy brat.

— Nie wiem, co... — powtórzyła, nie mogąc jednak dokończyć myśli.

Ogarnięta nieokreślonym lękiem, czekała jakiegoś wyjaśnienia ze strony Eliotta: co oznacza ten ponury żart? Syn! Syn...

Czyżby Eliott E. Emerson miał jeszcze innego syna prócz tego, którego ona mu dała? Prócz Jeremy'ego?

— Chce pan, żebym teraz poszedł? — spytał Abel ojca.

Przeczuwał bliskość wyjaśnień i bardzo się stropił zro zumiawszy, że Kay dotąd nie miała pojęcia o jego istnieniu.

Potrząśnięciem głowy Eliott dał mu znak, by został, i chwycił go za rękę, jakby szukając oparcia, a może w bliskim kontakcie odwagi, której mu brakowało, by przemówić. Faye podeszła do łóżka i uczyniła to, czego od przyjazdu do Saint-Jean-Cap-Ferrat dotąd nie śmiała zrobić pod władczym spojrzeniem matki: złożyła pocałunek na suchym czole ojca. Jeremy i Kay także się zbliżyli, nienawistnie patrząc na tego, którego Eliott — niewątpliwie w zamroczeniu umysłu dowodzącym, że koniec już bliski — nazwał Ablem.

Starzec bezgłośnie płakał ze wzrokiem utkwionym w energicznej twarzy młodego mężczyzny, odnajdując w niej nie zmienione wdzięczne rysy dziecka, które niegdyś kochał, bez wątpienia na swój sposób tak niezręcznie, tak niewystarczająco, ale jednak kochał... Odnajdując także teraz ze wzruszeniem delikatne rysy kobieiy, którą niegdyś kochał, bez wątpienia na swój sposób, nie dość mocno, tak nieudolnie, ale jednak kochał...

Lauren!

Jakże by była dumna z dorosłego syna tchnącego inteligencją, szlachetnością, zdrowiem, wesołością, prostotą, w jakiej by siebie odnalazła, zwyczajną radością życia. Naturalny sposób podejścia do łóżka miał w sobie takt, z jakim matka Abla odrzuciła pierwsze, bardzo schlebiające

zaproszenie na obiad — i Eliotta wzruszyło to do głębi. Ludzie najbardziej władczy, najbardziej wyniośli, najbardziej zaborczy zawsze się przed nim uginali, ale te dwie istoty, tak wrażliwe, tak mało w życiu mające, tak na pozór słabe, w odstępie ćwierci wieku dawały mu taką samą lekcję pokory. Będącą zarazem lekcją życia. Patrzył na odzyskanego nieprawego syna, czepiał sięjego nagiej ręki, subtelnie umięśnionych ramion odzianych w zwykłą białą bawełnianą koszulkę: z tego ciała emanowała pewność siebie i siła, która jemu dawała teraz siłę potrzebną, by przemówić.

— Kay — zaczął—będziesz musiała wysłuchać mnie do końca. Będę wobec ciebie okrutny i z góry proszę o wybacze nie. Wybacz mi całą krzywdę, jaką ci wyrządzę po raz pierwszy w życiu — ale i po raz ostatni.

Zamilkł na chwilę, aby ciąg dalszy nabrał bardziej uroczystego charakteru. Głos miał przytłumiony wyczerpaniem i cierpieniem, lecz wyraźny i stanowczy.

— Kay... — podjął.

Obawiając się, że pojęła, co powie, przerwała mu:

— Sądzisz, że Jeremy i biedna Faye mogą słuchać tego, co będziesz mi mówił?

— Sądzę, że tak. Powiem nawet, że mi na tym zależy. W chwili kiedy doskonale wiem, że umrę, kiedy zostało mi najwyżej kilka dni, może kilka godzin... teraz więc, czy to z podświadomego strachu, że wkrótce będę musiał zdać rachunek Bogu, czy w trosce o to, żeby znaleźć w sobie prawdę, nim zostanę osądzony, w każdym razie zauważam, że się przynajmniej pod jednym względem zmieniłem: dzisiaj już nie chcę, żeby dzieci zapamiętały mnie jako nadczłowieka, bohatera, ani nawet kogoś, kto był po prostu sprawiedliwy i uczciwy. Przeciwnie: życzę sobie, żeby wiedziały, że „Trzy E", „magnat prasowy", jak mnie jeszcze wczoraj nazywano, był człowiekiem zwyczajnym, podobnym do innych, w takim samym stopniu jak inni niegodziwym, słabym, podłym...

— Och, nie rób sobie złudzeń, mój drogi! — syknęła Kay przez zaciśnięte zęby. — Jeremy nigdy cię nie miał za nadczłowieka ani bohatera. Może Faye... Ale ona, biedne dziecko...

— Mamo! — zaprotestowała Faye, oburzona tak jas nym, zimnym cynizmem. Czyż jej matki nie stać ani na krztę poważania jeśli już nie wobec męża, to przynajmniej wobec starego umierającego człowieka, który tyle wycierpiał?

Eliott powiedział tylko ze znużeniem i rozczarowaniem na twarzy:

— Jakaś ty zła, Kay! Jakaś ty zimna!

Po czym dodał tonem naznaczonym ironią typową dla „Trzech E":

— Ale w gruncie rzeczy powinienem być ci wdzięczny! Bo teraz mam mniej skrupułów, że powiem ci prosto w oczy o paru faktach upokarzających dla twojego poczu cia dumy, o paru raniących prawdach. Już się nie cofam przed przykrym mi wyznaniem.

Zaskoczona Kay usiadła. Drżała z hamowanego gniewu. A on, niewzruszony, oświadczył teraz:

— Kay, kochałem pewną kobietę. Kochałem tak mocno jak moją biedną Abigail... Możne nawet bardziej, jeśli to możliwe. Bo z Abigail dzieliliśmy zawsze szczęście. A związek z Lauren — bo na imię miała Lauren — był związkiem dwóch istot bardzo zranionych przez życie. Miłość nieszczęśliwych jest, jak mi się zdaje, głębsza... Kay, kochałem ją bardziej niż ciebie, dzisiaj to wyznaję. To było na początku wojny, Abel niedawno zginął, a ja byłem w rozpaczy. Nie znalazłem wtedy przy tobie uczucia, jakiego tak bardzo potrzebowałem: wydawałaś mi się taka chłodna, taka daleka! Jak gdyby tragedia, którąśmy przeżyli, ciebie nie dotyczyła... Teraz z zadowoleniem myślę, że właśnie dlatego zakochałem się w Lauren Young: ona mnie rozumiała, współczuła mi, potrafiła znaleźć właściwe słowa, słowa pociechy — o ile można w ogóle zaznać pociechy po stracie syna... Ale w głębi ducha wiem, że mówiąc tak, okłamuję samego siebie: w naszej miłości było też coś innego prócz współczucia. Była to po prostu miłość, ot co. Wielka miłość. Czy to wiadomo, dlaczego się kocha? Pokochałem Lauren Young, jedną z moich sekretarek: cóż więcej dodać? I jak wyjaśnić takie uczucie? Och, zdaję sobie sprawę, że uważasz to za potwornie wulgarne, prawda, Kay? Słowem: wodewil! Pokochać sekretarkę...

— To po prostu żałosne! — wybuchnęła.

Usta miała wykrzywione z niesmakiem. Pod wpływem rosnącej wściekłości, której nie mogła uzewnętrznić, wachlowała się nerwowo egzemplarzem okazowym europejskiego wydania najnowszego numeru „Eventsa", dostarczonego szefowi ekspresem. Na okładce tygodnika widniało przykre dla oka zdjęcie wietnamskiego bonzy, który dokonał samospalenia: zwęglona, jakby pomniejszona przez ogień twarz przypominała mumię...

— Pokochać sekretarkę! Biedny Eliott... — westchnęła Kay.

Odpowiedź smagnęła ją na odlew:

— Ożeniłem się przecież z tancerką kabaretową!

Oniemiała i jakby opanowana mdłościami Kay wcisnęła się głębiej w fotel, którego poręcze drapała polakierowanymi paznokciami: wiszący w powietrzu konflikt wreszcie wybuchł. Faye uczyniła ruch w kierunku drzwi; Jeremy, jej ojciec i matka popatrywali po sobie nienawistnie i pogardliwie, ona zaś bała się tej ledwie hamowanej gwałtowności. Jej wzrok skrzyżował się jednak ze spojrzeniem Abla: Abel się uśmiechał. Zapragnęła zostać. Co za dziwna istota! pomyślała. Wyglądał, jakby odczuwał skrywaną radość z tego, że Emersonowie tak się z sobą szarpią. Bo też istotnie przyglądał się tej scenie, jak gdyby siedział w pierwszym rzędzie w teatrze: jako widz. Z rozbawieniem i objętnością oceniał intrygę — rzekłbyś, że jego to w ogóle nie dotyczy...

Ale równocześnie uważał, że w pięcioro grają we współczesnych kostiumach mierną parodię sztuk biblijnych, jakie przedstawiali w ubiegłym wieku aktorzy w czasie objazdów ewangelizacyjnych. Były wszystkie klasyczne postaci: umierający mądry starzec, zła kobieta, syn marnotrawny wracający do domu po wybaczenie, starszy syn...

Starszy syn, który pozwolił sobie powiedzieć do ojca:

— Tato, proszę, żebyś nie obrażał mojej matki!

Eliott rzekł z cicha:

— Jaką obrazą może być przypomnienie jej, że nie zawsze była żoną Juliusa Hancocka, króla wołowiny konserwowej, albo „Trzy E", magnata prasowego?

Po czym z hamowaną zapalczywością dodał:

— Kimże my w końcu jesteśmy, żeby do tego stopnia wyzbyć się wszelkiej pokory? Kim jesteśmy, żeby osądzać

ludzi według miejsca zajmowanego w społeczeństwie, a nie według ich wartości? Bogami? Władcami? Nie! Emersonami... Tylko Emersonami. Marne dwa i pół pokolenia Emersonów — zaledwie! Niecałe sto lat temu byliśmy jeszcze Abrahamowiczami z jakiegoś zapadłego kąta w środku Europy. Za kogo się bierzemy, my, potomkowie ubogich Żydów, dzieci nędznego emigranta, którego śmiesznego nazwiska urzędnik na Ellis Island nie umiał zapisać? Kto nam daje prawo do pogardzania innymi?

Głos podnosił się coraz bardziej. Eliott walczył ze zmęczeniem i bólem, wytężając ostatki woli podkopanej przez chorobę. Poczuł niedawno w żyłach ożywczy przypływ sił: coś potężniejszego niż śmierć. Niewątpliwie to nagłe spotęgowanie energii zawdzięczał radości, jaką sprawiło mu wybaczenie Abla, ale wiedział też, że potrwa ono krótko: śmierć, śmierć czaiła się bez ustanku. I teraz walczył z czasem: chciał powiedzieć wszystko, zanim umrze.

— Popatrzcie! Popatrzcie na niego! — rzekł, drżącym palcem wskazując na Abla. — Popatrzcie na tego chłopca tak skromnego z wyglądu: to mój syn! Syn, którego Lauren mi dała. Biedaczka, umarła...

— Umarła? Och...

Faye zdusiła dłonią cisnący się jej na usta jęk.

— Umarła wydając go na świat.

— Och, to straszne! Tak mi przykro, Abel.

— Faye! — krzyknęła Kay. —Wyjdź stąd natychmiast! Nie powinnaś wysłuchiwać takich okropności. W twoim stanie...

— W moim stanie? Ja nie jestem w ciąży, mamo!

Ją samą zdumiało, że sprzeciwia się matce. I to inteligentnie. Ta zaś, pobladła ze złości, powtórzyła:

— Faye!...

Bez skutku: Abel zdawał się wspierać Faye spojrzeniem, a i Eliott wziął jej stronę.

— Nie — powiedział — niech zostanie! Faye, musisz wiedzieć. I ty także, Jeremy... Ten chłopiec jest waszym bratem, słyszycie? Waszym bratem. Otóż wasz brat pewnego dnia, kiedy miał dziesięć lat, chciał się zabić, bo nie umiałem dać mu uczucia, jakiego miał prawo ode mnie oczekiwać.

Abel dawał rozpaczliwe znaki prosząc, by ojciec zamilkł: nie chciał wywlekania tej historii, która ostatecznie była jego tajemnicą wobec tych obcych ludzi. Bo Emersonowie, choćby w Eliocie budziło to urazę, zawsze byli dlań obcy. Jego wstydliwość czekała jednak ciężka próba: starzec mówił dalej, nie zważając na niego i jego ogromną wrażliwość:

— Tak, Abel usiłował popełnić samobójstwo, ponieważ te potwory Emersonowie zawsze umieli tylko wykorzys tywać swoją wszechmoc i łamać ludzi bogactwem!... Kay, kryjąc się przed tobą, trzy razy w roku dawałem temu dziecku w prezencie zabawki coraz to droższe, coraz to wspanialsze: niewątpliwie to był taki mój sposób... prośby 0 wybaczenie! Jakiż ze mnie był straszny głupiec! On gwizdał na moje zabawki! Oczekiwał, że po prostu będę jego ojcem. Oczekiwał odrobiny uczucia...

Ogarnięty słabością Eliott E. Emerson przerwał swój osobliwy akt skruchy. Obok niego Faye, która usiadła na łóżku, płakała z policzkiem przytulonym do futrzanej narzuty. Jeremy zaś sądził, że dodaje sobie kontenansu, kartkując od niechcenia otrzymany od matki numer „Eventsa". Ona tymczasem, na skraju wstrzymywanego ataku nerwowego, szarpała zębami chusteczkę zgniecioną w dłoni, wijąc się w fotelu. Abel wzrokiem prosił ojca, by teraz odpoczął. On jednak po raz kolejny wziął się w garść i dodał:

— Posłuchajcie wszyscy jeszcze chwilę. Potem wyjdzie cie: nie czuję się zbyt dobrze. Wezwiecie miss Madox, żeby mi zrobiła zastrzyk, i Lamberta... Posłuchajcie: uznałem Abla za syna zaraz po urodzeniu. Nosi wprawdzie nazwisko matki, niemniej jest Emersonem. Tak, Abel jest Emersonem. 1 z pewnością najgodniejszym tego nazwiska. Abel będzie moim spadkobiercą na równi z wami, Faye i Jeremy. Otrzyma legitymę i część przypadającą z podziału reszty. Za długo by wam to tłumaczyć, kochani, ale dziś po południu spotkacie się z Barrettem. On potrafi wam lepiej niż ja powiedzieć, co zawiera mój testament.

— Tatku! Och, tatku!

— Faye, bardzo proszę, bądź dzielna. Nie płacz. Przecież wiesz, że niedługo umrę. Pogódź się z tą myślą, serce moje. I ty też bądź dzielny, Jeremy. Bo musisz się pogodzić z inną myślą: postanowiłem mianowicie, i to jest moja ostatnia

wola... postanowiłem, że będziesz dzielił z Ablem prezesurę w Eventsie. Wszystkie dyspozycje w tej kwestii zostały już wydane.

— Ależ... — zaprotestował Abel, oszołomiony tym, co usłyszał, i do głębi zirytowany, że nikt nie pyta go o zdanie: czy chce kierować Eventsem? czy chce być naprawdę Emersonem? czy w ogóle chce dziedziczyć?

Za kogóż się go tutaj ma?

„Tylko pionek w tej ich grze" — nieoczekiwanie przypomniał sobie słowa piosenki Dylana piętnującej władzę. Był tylko pionkiem w ich grze, a ta gra była absurdalna, bezsensowna.

— Tak, wiem — rzekł Eliott, ujmując jego dłoń gestem pełnym czułości, gestem ojcowskim. — Wiem, co czujesz, Abel. Proszę, oto metody Emersonów, myślisz: żeby tak rozporządzać życiem innych! Ałe, synu, błagam: powiedz taki Powiedz, że się zgadzasz. Okaż, że mi wybaczyłeś. I że mogę umrzeć jeśli nie szczęśliwy, to przynajmniej w spokoju.

Abel czuł, że kręci mu się w głowie: to wszystko było tak nieoczekiwane, spadło nań tak nagle, tak bardzo go przerastało! Nic nie odpowiedział. Patrzył nieobecnym wzrokiem: nie był już przy łożu umierającego ojca, ale nie wiedząc dlaczego, raz jeszcze przeżywał ostatnie chwile wspinaczki na Aiguille du Fou. Tylko przez czoło przebiegał mu lekki nerwowy tik, który można było wziąć za przytaknięcie.

Tak też zrozumiał go Eliott, kończąc zgaszonym głosem:

— Czy możecie teraz wyjść?

Kay nie trzeba było tego mówić.

Zdążyła już wypaść z sypialni, z furią trzasnąwszy drzwiami. Ogarnięta nerwowym atakiem przemierzała galerie „Giocondy", śmiejąc się i łkając zarazem, to przebiegając kilka kroków, to znów się nagle zatrzymując, zawracając, wykrzywiając się do swego odbicia, gdy je dojrzała w lustrze — a na wykrzywione odbicie strach było patrzeć. Wymawiała słowa bez związku i jakieś pogróżki, to je wykrzykiwała, to znów jakby podśpiewywała, lecz stale przewijało się przez nie imię Abla. Po drodze tłukła gabloty mieszczące stare porcelany, potem zmiatała ręką cenne porcelany saskie i chińskie ustawione na lustrzanych etażerkach, w których szczął-

kach przeglądała się ukradkiem krzycząc z przerażenia, że taka jest wstrętna i postarzała: to ona, ona jest tą wariatką wymazaną krwią cieknącą z jej rąk pokaleczonych odłamkami szkła!

Nadbiegła służba, wystraszona łoskotem. Stary Geoffrey zawołał doktora Lamberta, który w salonie na piętrze radził z Barrettem i jednym z przedstawicieli handlowych Eliotta. Ledwie usłyszeli trzask tłukącego się szkła i krzyki, wybiegli na schody:

— Co się dzieje?

— Czy pan Emerson...?

— Nie, doktorze, ale musi pan przyjść: to pani...

Wszystko zostało powiedziane i zrozumiane w pół słowa.

— Lady Mc Beef już wie — wycedził Barrett przez zaciśnięte zęby, jakby mówiąc do siebie. Baxter, przedstawiciel handlowy, potakująco przymknął powieki. Doktor Lambert zaś biegł po schodach na ratunek Kay. Ale miss Madox z własnej inicjatywyjuż przygotowała strzykawkę ze środkiem uspokajającym i przy pomocy Jeremy'ego, który zdołał przytrzymać matkę za ręce, dawała jej zastrzyk.

Wzburzona Faye biegła bez celu przez ogród: było tego więcej, niż mogła znieść.

— Biedna, biedna Kay! — westchnął Eliott, który odgadł, co się dzieje.

Abel pocałował go w czoło i powiedział:

— Pójdę teraz. Powiem pielęgniarce i doktorowi Lam bertowi, żeby tu przyszli.

Chory na znak podziękowania przymknął powieki. I ledwie słyszalnie z jakimś charkotem zdołał jeszcze wyszeptać:

— Później, kiedy poczuję się lepiej... jeśli poczuję się lepiej... zawołam cię. Chcę ci powiedzieć jeszcze parę rzeczy, o których dotąd nie mogłem mówić. I chcę, żebyś mi opowiedział o swoim życiu. Jaki jesteś, Abel. Chcę być po prostu z tobą. Tu, przy tobie. I patrzyć na ciebie... Od tak dawna czekałem na ten dzień!

Abel położył palec na ustach i uśmiechnął się: w ten sposób czule prosił, by Eliott nie męczył się mówieniem; w ten sposób dawał mu do zrozumienia, że na pewno do niego wróci — później.

Wyszedł z sypialni i cicho zamknął za sobą lustrzane drzwi.

Człowiek, którego odbicie w nich ujrzał, był zmieniony nie do poznania: przestał był urodziwym młodzieńcem, jaki przed godziną przez nie przechodził, a stał się dojrzałym mężczyzną. O przygnębionej twarzy...

Na „Giocondę" spadło milczenie.

Rozległe galerie, bogate salony, korytarze bez końca, przestronne rotundy, dwubiegowe schody znów wyglądały na spokojne. Pałac wydawał się uśpiony, lecz baczny obserwator zauważyłby, jak zwodnicze jest to wrażenie nienaturalnego poloru i dyskretnej uprzejmości. Z kilku szczegółów wywnioskowałby, że w gruncie rzeczy panuje tu ciężka, nieprzyjazna atmosfera schyłku panowania: drzwi otwierały się i zamykały, światełka telefonów zapalały się i gasły, spiesznie odkładano słuchawki, chwytano za podsłuchiwacze... Odbywało się szpiegowanie. Obserwowanie. Schodzenie sobie z drogi. A jeśli już ktoś z kimś się spotkał, to żeby poszeptać w niszy okiennej lub umówić się na rozmowę w jakimś saloniku albo w pawilonie w parku.

Kay, odzyskawszy nieco równowagi, natychmiast zatelefonowała do Leonarda Howarda, przebywającego w dwudniowej podróży w Los Angeles. Dzwonek zadźwięczał siedem razy w apartamencie, który prawnik zajmował w hotelu „Beverly"—Kay nie pomyślała, że w Kalifornii jest dopiero piąta rano.

Zniecierpliwiona do granic, krzyknęła w słuchawkę, gdy wreszcie odebrał:

— Abel!... Leonard, Abel!

— Nie umarł. Żyje, prawda?

Wyrwany ze snu Howard odpowiedział jeszcze zaspany i otępiały. Potem się opanował.

— Kay? Wybacz — powiedział. — Mów, co się dzieje. Czy Eliott...

— Nie, nie. On nie umarł. Posłuchaj...
— Kto?... Kto nie umarł?
— Mówię o Ablu.
— Nic nie rozumiem z tego, co mówisz, Kayl
— Jest drugi Abel.
— Jak to drugi?... Ty bredzisz.
— Jest drugi Abel. Drugi syn. Drugi spadkobierca.
— Kay, uspokój się! Przyśnił ci się jakiś koszmar.
— Koszmar! Phhhhh! To nie koszmar, Leo! To coś znacznie gorszego. Naprawdę jest drugi Abel, zrozumże!
— Kay... Kay, pozwól mi zebrać myśli. Tutaj jeszcze noc. Zadzwonię do ciebie, Kay.
— Leo! On ma na imię Abel!
— Dosyć, Kay, przestań! Nie chcę więcej słyszeć tego imienia. Nigdy więcej. Zamilcz!
— Mimo to usłyszysz je. Będziesz je stale słyszał, jeśli chcesz wiedzieć! Faworyzowany spadkobierca Eliotta E. Emersona ma na imię Abel, mój drogi, prezes Eventsa ma na imię Abel! Tak, nazywa się Abel Young!
— A wiec to był tylko zły sen — westchnął Howard, padając z powrotem na łóżko do głębi przejęty.

Gdzieś w parku zabrzmiał wystrzał — Abel znieruchomiał, czujnie nasłuchując. Od kilku minut błąkał się bezczynnie pośród klombów kwiatowych, cedrów i stuletnich sosen, czekając, aż Geoffrey powiadomi go, że ma wolną jedną z pięciu linii telefonicznych i może dzwonić do Johanny do Chamonix — najwyraźniej mieszkańcy willi prowadzili liczne i długie rozmowy z resztą świata. Nie miał cienia wątpliwości, że ich głównym tematem jest jego osoba. Adwokaci o nim mówili, Barrett o nim mówił, Baxter o nim mówił, Kay o nim mówiła, i służba też, pewnie aż paląc się do niedyskrecji...

Znowu rozległy się strzały. Abel miał dziwne uczucie, że mimo woli stał się bohaterem kryminału. Podszedł bliżej budowli, skąd dobiegały detonacje. Pawilon, gdzie zainstalowano szatnie, prysznice i salę gimnastyczną, był nieco tylko pomniejszoną kopią Petit Trianon. Wszystkie drzwi balkonowe od frontu były pozamykane. Toteż Abel ruszył wokół pawilonu, od czasu do czasu podskakując obunóż,

żeby przez przezroczyste szyby w górze drzwi zobaczyć, co się dzieje w środku. Niebawem się dowiedział: Jeremy w nausznikach tłumiących, zamknięty w niewielkiej strzelnicy, strzelał do pomalowanych na ciemnoszaro tarcz ze sklejki, przyciętych w kształt ludzkiej sylwetki naturalnej wielkości. Każda miała obwiedziony kolorem czerwonym mózg i serce. Z precyzją strzelca wyborowego Jeremy, nadal odziany na czarno i w starannie zawiązanym krawacie — co sprawiało, że podglądanie go robiło tym większe wrażenie — celował do kółek i dziurawił je ołowiem.

Ha! rzekł sobie w duchu Abel ironicznie, wiem teraz, co mnie czeka!

I oddalił się w kierunku basenu.

Faye, wyciągnięta na desce skoczni, czytała powieść Scotta Fitzgeralda w wydaniu kieszonkowym. Trzymała książkę w górze, odsuniętą trochę od oczu, i osłaniała nią twarz przed stojącym wysoko słońcem. Usłyszawszy kroki na marmurowym obmurowaniu, zapuściła spojrzenie pod książką, której kartki z marnego papieru strzępiły się pod jej palcami.

— O, to ty!

Wstała i uśmiechnęła się do niego z zakłopotaniem. Abel kiwnął głową. On również poczuł się nagle skrępowany i nienaturalny. Nie wiedział, jak jej okazać rodzące sięwnim uczucie sympatii. Bał się, że ją urazi — wydawała się taka wrażliwa. Nerwy niemal na wierzchu!

Przez długą chwilę jedno patrzyło na drugie i ani jedno, ani drugie nie śmiało zacząć rozmowy. Lecz w tym milczeniu zawierało się jakieś cudowne porozumienie: razem słyszeli świerszcze grające w gorącym powietrzu i lekki plusk wody. Strzały ucichły, utrzymywała się tylko harmonia chwili ulotnego szczęścia, które niebawem zniknie pozostawiając po sobie tęsknotę. Równie dobrze mogli już sobie w ogóle nic nie powiedzieć: każde zachowa wspomnienie o tym króciutkim spotkaniu.

Abel podszedł w końcu do basenu i dla dodania sobie kontenansu niedbale usiadł okrakiem na poręczy chromowanej drabinki. Ten zwykły gest przywrócił mu swobodę bycia, która tak spodobała się Faye.

— *Czuła jest noc* — przeczytał na głos tytuł z okładki książki.

— Tak: *Czuła jest noc.*

Znowu zapadło milczenie. Po czym Abel stwierdził, lecz jakby do siebie kierując refleksję:

— Piękna książka.

— Piękna — przyznała Faye.

Roześmiali się obydwoje, uświadomiwszy sobie śmieszność sytuacji. Rzecz zadziwiająca, ale Faye pierwsza odważyła się powiedzieć coś innego niż banał.

— Paskudna bajkowa historia ci się przytrafiła! — rzekła. — Lądujesz w tym domu wariatów i pierwsze, co się dowiadujesz, to że jesteś miliarderem!... Och! — zreflektowała się żartobliwie — nie powinnam tak mówić o tym domu. To wcale nie jest dom wariatów. W końcu jedyną wariatką jestem tu ja...

— Jak to?—spytał, na równi rozbawiony i zaintrygowany.

— Nie wiesz, że jestem wariatką? Nikt ci o tym nie powiedział? — Tu klepnęła się dłonią w czoło.

— Jak na wariatkę wydajesz mi się całkiem... — odparł, śmiejąc się nerwowo.

— Och, nie wierz pozoroml Pięciu światowej rangi luminarzy światowej psychiatrii poświadczyło to na światową skalę — tak się to mówi?... Plus moja kochana mamusia. Plus kochany braciszek. Plus adwokat kochanej mamusi. Plus adwokat kochanego braciszka. Dziewięć osób nie może popełnić pomyłki w tym samym przypadku, prawda?... Poza tym jest jeszcze symptom, który nie kłamie: ja maluję! A gdybyś zobaczył, co to za malarstwo!... No i nie mam adwokata. Abel, a ty masz adwokata? Żaden Emerson nigdzie się nie rusza bez swojego rzecznika praw. Nawet idąc do ubikacji: wyobraź sobie, że trzeba na przykład pozwać przed sąd producenta papieru toaletowego... Abel, teraz jesteś Emersonem, musisz mieć adwokata!

Podobała mu się jej osobliwa umysłowość, szamocząca się pomiędzy poczuciem absurdu a udręką, pomiędzy obłędem a pełną przytomnością. Wyczuwał, że Faye jest wewnętrznie rozdarta, ajej wyjątkowa wrażliwość, kłócąca się ze spokojną pogodą regularnych rysów twarzy, przejmowała

go do głębi. W szyderczym tonie, jaki afiszowała, zabawnym i tragicznym zarazem, odnajdywał cechę swojego charakteru z czasów, kiedy psychicznie cierpiał. Pod powierzchownością dobrze wychowanej pięknej dziewczyny skrywała się najbardziej chyba zrozpaczona istota, jaką kiedykolwiek spotkał po epoce, gdy sam żył w rozpaczy. I na przegubach miała okropne blizny, świadczące o niezbyt odległych w czasie nieudanych próbach samobójstwa.

Abel z braterską czułością w głosie odpowiedział:

— Jeśli jesteś wariatką, Faye, to sympatyczniejszej, ładniejszej i śmieszniejszej bardzo dawno nie spotkałem. Ale słuchaj: nie jestem... nigdy nie będę Emersonem.-Nazywam się Abel Young.

— Życzę ci, żebyś nigdy nie był Emersoneml Tylko że mimo wszystko odziedziczysz...

— Och, przykro mi, że... ja nie chciałem...

— Źle mnie zrozumiałeś: gwiżdżę na to, że dziedziczysz z nami! Przeciwnie, nawet mnie to cieszy. Choćby dlatego, że wkurza moją podłą matkę i tego debila Jeremy'ego. A poza tym i tak jesteśmy tacy bogaci!...

— To ty mnie ile zrozumiałaś. *Domyśliłem się przecież,* że nic ci to nie robi. Zdążyłem już poznać twój takt i szlachetność. Ale chciałem ci powiedzieć...

— Abel, ani ty, ani ja nie mamy ochoty mówić o tej w gruncie rzeczy ohydnej historii.

— No właśnie to chciałem ci powiedzieć. Mnie ta sprawa w ogóle nie obchodzi. Nawet jeśli zostałem w nią bezpośrednio włączony. Prawdę powiedziawszy to, że mam być miliarderem, nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

— Świetnie: dla mnie też nie... I w przeciwieństwie do ciebie nawet nie czuję się w to wszystko włączona. Bo musisz wiedzieć, że zostałam ubezwłasnowolniona...

— To znaczy?

— No, uznano mnie za niepoczytalną. Jestem pod kuratelą, jeśli wolisz. Nie mam prawa dysponować swoją forsą tak, jak bym chciała. Nie mam nawet głosu w radzie nadzorczej Eventsa. Ale i tak na nic mi ta forsa! Tak samo jak ten szmatławiec „Events"...

Po tych słowach, odrzuciwszy książkę daleko w trawę, z wdziękiem zsunęła się ze skoczni do wody.

— Mogę cię nazywać siostrą? — spytał Abel rozbierając się, by z nią popływać.

— Jasne! — zawołała z dziecięcą radością, parskając pośrodku basenu.

Abel skoczył do wody i przepłynął pięć długości basenu bez zaczerpnięcia oddechu. Faye biła mu brawo i zagrzewała do wysiłku, pokrzykując jak dziewczyny w college'ach kibicujące swojej drużynie:

— O-e! o-e! o-e!

Nastała chwila beztroskiej wesołości skradziona przykrym godzinom tego smutnego, twardego dnia: zapomniawszy o wszystkim, poczuli się raptem po prostu szczęśliwi, że korzystają ze słońca i przejrzystej chłodnej wody, i z sinego cienia wielkich sosen, pod którymi wyciągnęli się potem na jednym ręczniku kąpielowym opatrzonym monogramem „E".

Nie zauważyli nawet, że Jcremy z podestu pawilonu, a Kay z balkonu „Giocondy" obserwowali ich z taką samą nienawiścią w oczach.

Później, kiedy wrócili do pałacu, żeby się przebrać *do* obiadu, podzielili się podobnym wrażeniem: wydawało im się, że zawsze żyli razem, że zawsze byli bratem i siostrą.

Abel zresztą niewiele się jeszcze o Faye dowiedział, tylko że wszystkie cierpienia duchowe, jakie musi znieść, przenosi na płótno, i że malarstwo jest całym jej życiem. Malować nauczył ją pewien człowiek, jedyny, którego podziwiała oprócz swego ojca: Blitsky, wzięty grafik, zmarły przed rokiem śmiercią samobójczą, kiedy się dowiedział, że ma raka. „Jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochałam..."

Faye o Ablu także niewiele się dowiedziała: że studiuje w Berkeley, że kończy pracę na temat Rimbauda i mitu wiecznego powrotu, że studia opłaca ich ojciec, ale na własne wydatki zarabia sam współpracując z różnymi pismami alpinistycznymi, że uchodzi za jednego z najlepszych alpinistów swojego pokolenia — tego się domyśliła, na jej pytanie bowiem skromnie odparł: „No cóż, można powiedzieć, że jestem nie najgorszy..." — zenie wie jednak, co chce zrobić ze swoim życiem, szuka swojego miejsca. Że jak wszyscy mężczyźni w jego wieku obawia się niebawem powołania pod

sztandary i wyjazdu na wojnę wietnamską i że w takim wypadku jego życie ulegnie radykalnej zmianie, ponieważ postanowił, iż zdezerteruje i albo wyjedzie z kraju, albo pójdzie siedzieć.

No i że kocha dziewczynę, Johannę — o tym jednak, przez coś na kształt wstydKwości, ledwie napomknął...

Nie było to wiele. Lecz przy okazji znaleźli tyle wspólnych upodobań: oczywiście Dylan i Beatlesi, i Beach Boysi, angielska literatura romantyczna, architektura Franka Lloyda Wrighta, malarstwo Bacona. I komedie muzyczne — „ale tylko kompletnie głupie!" I Cassius Clay—„o! przepraszam, Mohammad Ali". „Bo nie zgadza się walczyć w Wietnamie? Tak!" I Lauren Bacall i Humphrey Bogart: „rozkłada mnie, jak prosi go o ogień w *Mieć i nie mieć!"* i *Wielki Gatsby* — „pamiętasz? w pewnej chwili Daisy mówi: «Co robimy dziś po południu? I jutro, i przez najbliższe trzydzieści lat?» O rany, ile razy to czytam, zawsze wpadam w chandrę!"

A do tego jeszcze: Rolling Stonesi, „trawka" — „Blitsky zawsze coś miał przy sobie, dawał mi popalić" — i Clarksi, i koszulki *Fruit ofthe Loom,* i spaghetti...

— Mmmmm, tak, spaghetti to coś pysznego! Blitsky mi często gotował w swojej pracowni w Village. Ale już przeszło rok...

— Spaghetti polane keczupem?

— No, i dużo keczupu. Ostrego.

— Ostrego.

— Cóż, mój drogi, tutaj nie będziesz mógł się podelektować czymś takim. Nawet jeśli złożysz zamówienie u szefa kuchni. Spaghetti z keczupem to nie w stylu Emersonów...

Spaghetti istotnie nie było „w stylu Emersonów", nie było w stylu wystawnych obiadów w „Giocondzie" — obojętne, z keczupem czy bez! Abel stwierdził to wszedłszy do rzęsiście oświetlonej sali jadalnej do przyjęć w małym gronie, gdzie nakryto dla ośmiu osób: pani domu, jej córki, syna, Johna Baxtera, Eda Barretta, jego młodego wspólnika, doktora Lamberta — znajdował się akurat przy chorym i poprosił, żeby zacząć bez niego — oraz dla niego, Abla.

Na obrusie z weneckiej koronki, między wielkimi barokowymi świecznikami z pozłacanego srebra, przed każdym

z gości ustawiono: podstawkę pod talerz z litego złota, talerz ze starej porcelany zdobny herbem, mnóstwo srebrnych i kryształowych naczyniek, zapalniczkę, popielniczkę, miseczkę do płukania palców, maleńki bukiecik kwiatków i co najmniej pięć różnych kieliszków, które kazały się Ablowi zastanowić, do jakich też win mogą być przeznaczone. Jeszcze wystawniej niż w rodzinie Guermantes, pomyślał z rozbawieniem, wspomniawszy opisy ich przyjęć. Tyle razy czytał Prousta, że wydawało mu się, iż wielokrotnie gościł na obiadach u arystokracji i może teraz porównywać przepych różnych stołów. Przeciwnie do tego, co Lady Mc Beef złośliwie sobie wyobrażała zapraszając go na to skromne przyjęcie, wcale się nie martwił wrażeniem, jakie wywoła wchodząc; bał się tylko, że wynudzi się śmiertelnie i że nie posmakuje mu kuchnia wystawna, lecz mdła, którą zwie się „wielką".

Niedbałym krokiem podszedł do krzesła wskazanego przez majordomusa. Z drugiej strony stołu, ponad kompotierkami i koszykami z kompozycjami kwiatowymi, Faye niepostrzeżenie dla wszystkich mrugnęła doń porozumiewawczo. Włożył wprawdzie koszulkę starannie wyprasowaną przez pokojówkę i zmienił na tę okoliczność dżinsy, ale nie miał marynarki ani krawata. Faye ogromnie bawiło, że w ten sposób stwarza skandaliczny precedens na sztywnych obiadach, jakie wydawała jej matka, rzadko w nich uczestnicząc pod pretekstesm, że źle się czuje albo jest zbyt nerwowa, aby znieść siedzenie za stołem przez dwie godziny z rzędu.

Jeremy wszedł do jadalni ostatni: skrzypiał czarnymi lakierkami na śliskim marmurze i ukradkiem poprawiał węzeł krawata ściskającego mu szyję. Zanim usiadł na swoim miejscu, okrążył stół, mierząc wszystkich spojrzeniem, które on uważał za poważne i głębokie, w rzeczywistości zaś było zimne i próżne. Delfinowi wydawało się, że zachowuje się jak król — którym zostanie jutro. Każdego łaskawie obdarzył przychylnym uśmiechem, a spuścił oczy wtedy dopiero, gdy napotkał wzrok matki, jeszcze bardziej władczy niż jego. Ujrzał potem niedbały strój Abla i od razu wiedział, czyim kosztem odbędzie się jego pierwsza demonstracja władzy w Cap-Ferrat: w prostacki sposób głośno, wyniośle skarcił go przy wszystkich.

— Abel! — zawołał. — Mogłeś się zwrócić do Leonella, żeby ci pożyczył krawat! Kiedy jest się Emersonem, należy do obiadu wkładać krawat...

Ubliżające słowa padły pośród całkowitej ciszy. Barrett, Barter i młody prawnik najwyraźniej ogromnie się zainteresowali herbem zdobiącym talerze. Faye wbiła nóż do ryb w obrus, nie mogąc go zanurzyć w sercu starszego brata. Kay, triumfująca, zadzwoniła sygnetem o kieliszek xeresu, który podnosiła do wzgardliwie wydętych ust, i popatrzyła na „bękarta" z odrazą, jak gdyby Leonello przez nieuwagę postawił przed nią kosz na śmieci zamiast srebrnej wazy zawierającej potrawkę z żółwia z Wysp w galarecie królewskiej. Czy upokorzony Abel wstanie i pójdzie do swego pokoju? Albo może jeszcze bardziej się upokorzy prosząc majordomusa o marynarkę i krawat? Uznała, że zarówno jedno, jak i drugie będzie jednakowo ciekawe, choć wolałaby osobiście, żeby wybrał drugie rozwiązanie. Zawsze zabawniej jest zobaczyć, jak ludzie znieważeni po raz drugi się upokarzają — prawda? Tym widokiem Kay nigdy się nie zdołała nasycić. A ponieważ wszyscy stale ulegali woli Emersonów...!

Cóż, Kay nie przyszło do głowy, że Abel może znaleźć swoje wyjście z sytuacji, w jakiej go postawiono.

Odpowiedział mianowicie bratu niezwykle spokojnie i bez cienia ironii ani krzty wyzwania, równym tonem człowieka stwierdzającego fakt:

— Ja nie jestem Emersonem. Jestem Abel Young.

*

Potrawka z żółwia z Wysp w galarecie królewskiej, suflet z soli w musie z rukwi wodnej, kasoletki z gęsich wątróbek faszerowane truflami: na stół wjeżdżały kolejno potrawy o wymyślnych nazwach, ceremonialnie podawane z kłanianiem się w pas i wykwintnymi ruchami dłoni przez trzech lokajów spełniających milczące polecenia Leonella. Widok cichego i precyzyjnie ułożonego baletu, jaki wykonywali dokoła stołu, fascynował Abla. Uznał, że jest to o wiele ciekawsze i godniejsze uwagi aniżeli rwąca się rozmowa

biesiadników, w której poruszano tylko kwestie inwestycji, zysków, obligacji, kredytów, akcji... I z której w dodatku został wykluczony przez Kay: Kay za każdym razem, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, odwracała wzrok...

Wniesiono akurat kruche wołowe frykando płonące starym armaniakiem, kiedy do jadalni wpadł doktor Lambert. Przejawiał oznaki najwyższego niepokoju i nie zważając na konwenanse, przerwał Kay w pół słowa, wołając:

— Panie Young! proszę szybko ze mną. Ojciec pana wzywa. Jest bardzo źle...

A ponieważ troje Emersonów podnosiło się od stołu, odważył się dodać:

— Nie! Chce widzieć Abla. Powiedział mi: tylko on.

Abel wiedział. Już wiedział: jego ojciec kona. Doznał nieprawdopodobnego uczucia, jakie bywa czasem udziałem człowieka i sprawia, że przeżywa się chwilę silnego wzruszenia, zanim ono faktycznie nastąpi...

Z bijącym sercem, spotniałym czołem wszedł do sypialni, gdzie miss Madox i Geoffrey krzątali się wokół chorego.

W ciągu kilku godzin śmierć dokonała swego nieodwracalnego dzieła. Widniała teraz w wysokim, wyschłym ciele, woskowej twarzy o wynędzniałych rysach, wzroku prawie nieruchomym, wpadniętych, podkrążonych bladoniebieskich oczach, przyspieszonym, nierównym oddechu, strasznie wyglądających dłoniach jak u szkieletu, drżących, gdy wyciągnęły się do drzwi, przez które wszedł Abel.

— Abel! — westchnął Eliott z tłumionym rzężeniem.

Syn podszedł bliżej. Nigdy nie widział, jak ktoś umiera. Nigdy nie wyobrażał sobie, że to takie okropne. Przez moment zdało mu się, że jest przy własnej śmierci: przy śmierci dziecka, którym dotąd był...

Aby nie upaść, ukradkiem wsparł się ręką o oparcie fotela. Odetchnął głęboko. I przemógł się, by jeszcze bliżej podejść, pochylić się nad czołem konającego i dotknąć go ustami; po czym nastawił ucha na ledwie już słyszalne i zrozumiałe mamrotanie:

— Tak bym chciał... o twojej matce... i o mnie... Mówić o tobie... Och! Abel, Abigail... nie chcę... Czy alfa... Twoja matka, synu... A czy Abel...

I naraz zaczął krzyczeć z przerażeniem:

— Nie! nie) nie chcę!... On się zabije... Och, nie! Tam... tam... zakręt!... urwisko... Nie, nie, niel Abel...

Abel, oszołomiony ze strachu, chwycił go w ramiona i przytulił do piersi, mocno objął rękami. Starzec czepiał się jego ramion, szyi, jakby chciał mu odebrać młode życie płynące jego żyłami.

Aż przedśmiertne konwulsje ogarnęły osłabłe ciało.

— Nie, nie — jęczał żałośnie.

Powoli wrócił spokój. Serce jednak waliło jak oszalałe, głucho dudniąc. Ramiona rozluźniły uścisk...

Abel, wstrząsany suchym szlochem, patrzył w mętniejące oczy.

Odzyskawszy jednak na koniec nieco przytomności, Eliott E. Emerson zdołał wyszeptać zrozumiale:

— Abel, kochany synu! Abel... strzeż się Kay... i Jeremy'ego... i Ho...

Krew chlusnęła mu z ust — osunął się na poduszki.

— Tato! — krzyknął Abel. — Tato!

Później pomyślał, że po raz pierwszy w życiu powiedział do kogoś „tato".

I że było to również po raz ostatni.

* *
*

Biegł w bladym złotawym świetle dnia wstającego nad morzem i skałami. Biegł drugim, równym krokiem samym środkiem pustych alei Cap-Ferrat, pomiędzy plamami światła i sinego cienia rzucanego na jezdnię przez wielkie sosny i tamaryszki. Biegł oszołomiony upojnym zapachem egzotycznych roślin, wydzielanym przez ogrody o tak wczesnej porze. Biegł oddychając miarowo, w rytm refrenu, który nucił w duchu, opanowując gwałtowne bicie serca w rozpalonej piersi, przełykając drogocenną strużkę śliny o smaku krwi. Biegł i zawzięcie odganiał od siebie wspomnienia i myśli...

Pragnął smakować tylko upojenie wysiłkiem, rozkosz, jaką się czuje poddając próbie własne ciało. Jakie dzisiaj miał

dlań znaczenie jego los? Czy w ogóle mógł się nad nim zastanawiać, skoro przybrał bieg tak nowy, że jeszcze zdawało mu się to niewiarygodne? Czy wiedział, dokąd zmierza — pomijając chwilę obecną, gdy biegł na koniec cienistej alei wiodącej na przylądek Saint-Hospice, w blask słońca rozpalającego horyzont? Czy nie wolałby nigdy tego nie wiedzieć i zawsze żyć nie myśląc o jutrze, w taki sposób, w jaki teraz intensywnie przeżywał tę chwilę ogromnego szczęścia?

Zwiększył tempo, ostatnie metry przebiegł ostrym sprintem aż do wyimaginowanej mety, którą ustalił sobie przy następnej studzience odpływowej widocznej w asfalcie, minąwszy ją, zaczął zwalniać i przeszedł do marszu, kiedy znalazł się na ścieżce straży granicznej wśród skał przylądka Saint-Hospice, gdzie osunął się bezwładnie na ziemię, by odetchnąć. Zrzucił biały moltonowy dres wilgotny od potu, cisnął go w załom skał i nagi skoczył do morza. Pływał długo, niespiesznie, z rozkoszą próżnował.

Potem wyciągnął się w słońcu, zamknął oczy i kołysany monotonnym pluskiem fal, rozmarzył się o Johannie...

Kiedy otworzył oczy wyrwany ze snu rykiem motorówki, która przepływała opodal skał, słońce stało już wysoko na niebie.

— O cholera! — zawołał, spojrzawszy na zegarek.

Pogrzeb był o dziewiątej. Nie miał już czasu wrócić do „Giocondy", by przebrać się na ceremonię. Szybko wciągnął dres wysuszony na słońcu i potruchtał w kierunku cmentarza na przylądku Saint-Hospice.

Kay od trzech dni, odkąd poznała ostatnie życzenia zmarłego, nie przestawała się wściekać. Zniesławił ją po wsze czasy ściągając skądś w dniu swej śmierci „bękarta", który wyskoczył jak diabeł z pudełka; zniweczył jej ogromne nadzieje, jakie żywiła dla Jeremy'ego, s w o j e g o syna, tego syna, za którego sprawą stała się po raz drugi morderczynią; a teraz jeszcze zawiódł jej oczekiwania co do okazałego pogrzebu, jaki sobie wymarzyła. Sława tej miary co Eliott E. Emerson, bohater wielkiej wojny, założyciel największego na świecie imperium prasowego, bliski znajomy tylu przywódców państw i głów koronowanych mógł rościć sobie

pretensje do pochówku na cmentarzu Arlington w obecności wielkich tego świata, osobistości z kręgów artystycznych, literackich, politycznych, dyplomatycznych, a nawet samego prezydenta Johnsona, oraz do transmisji uroczystości przez wszystkie stacje telewizyjne w kraju. Przyszła wdowa zamówiła w domach Chanel i Balmain kilka żałobnych kostiumów, a u Cartiera wyszukała rzadko spotykaną czarną perłę, którą zamierzała na tę okoliczność zawiesić na szyi. W wyobraźni wielokrotnie powtarzała sobie przebieg okazałego pogrzebu, rozkoszując się na zapas wrażeniem, jakie miały wywrzeć na tłumie surowy przepych jej stroju i dostojeństwo. Obmyśliła wszystko w najdrobniejszych szczegółach: porfirowe mauzoleum, urna w stylu antycznym, brązowy posąg, wiązanki z samych róż herbacianych *Triumf Emersona,* przemówienie znanego pisarza, kondolencje prezydenta, przemarsz tysięcy pracowników koncernu przed bramą grobowca. A orkiestra Koła Filharmonijnego przy Eventsie miała odegrać marsz pogrzebowy. Kay zaczęła się ćwiczyć w odgrywaniu rozpaczy, pragnąc, by była prosta i wzniosła zarazem: rozpacz wielkiej damy.

Niestety, nazajutrz po zgonie Barrett przeczytał kilka lakonicznych i lekko ironicznych zdań, napisanych w początkach choroby ręką zmarłego — był to ostatni paskudny kawał dowcipnego „Trzy E", jego ostatnia złośliwość albo, jak to się mówi w świecie dziennikarskim, jego ostatni „numer":

Pogrzeb na cmentarzu na przylądku Saint-Hospice, będącym ślicznym miejscem na grób. Wszystko ma się odbyć w tajemnicy. W gronie osób najbliższych. Jak najciszej: nie będzie żadnej prasy na pogrzebie magnata prasowego. A przede wszystkim żadnych wieńców. Nic pogrzebowego. Zwykła trumna świerkowa. Płyta nagrobna z jednego kamienia, tylko ociosana, z wyrytym nazwiskiem i datami mojej bytności na tym padole. Podkreślam: prosta płyta.

I prosta modlitwa do jakiegokolwiek Boga, byle odmówiona nie przez pastora, księdza czy rabina, ale przez moje dzieci, w które wierzyłem i chcę nadal wierzyć.

Wszystko tym samym zostanie powiedziane.

E. E. E.

Jaki w rzeczy samej śliczny jest cmentarz marynarski na przylądku Saint-Hospice! Położony na wzniesieniu, jawi się zwiedzającemu jako skromny księży ogródek opanowany przez chwasty i ciernie, które rosną pośród skromnych nagrobków rybaków z Saint-Jean. Nie uświadczysz tu żadnego przepychu, żadnego zbytku, jest tylko wspaniały widok, czarowny i kojący jak *Magnificat* w mszy Żałobnej . W pogodne dni wzrok skierowany na wschód sięga aż do Włoch; skierowany na zachód — do krańca Zatoki Aniołów; na południe — biegnie w nieskończoność...

Morze, bezustanne cykanie świerszczy, lekka bryza szeptająca pośród sosen i drzew oliwnych, ciężki zapach zwiędłych kwiatów — jeśli raj istnieje, to ten spłachetek złotowłosów, bobu, wiciokrzewów i maków usłany grobami jest dywanikiem rzuconym przed jego bramą...

Zamknąwszy za sobą skrzypiącą, przeżartą rdzą bramkę, zadyszany Abel szedł ocierając zlane potem czoło w rękaw białego dresu. W ręku trzymał kamelię zerwaną przez pręty ogrodzenia jakiejś willi.

Podszedł na brzeg grobu, gdzie grabarze umieścili właśnie spuszczoną na sznurach trumnę z białego drewna, i rzucił na nią czerwony kwiat.

Naprzeciw niego, po drugiej stronie dołu, do którego zaczynały spadać łopaty ziemi, odziani na czarno Kay i Jeremy stali sztywno jak na baczność i obrzucali go nienawistnymi spojrzeniami. Trzy kroki za nimi Faye cicho płakała—już niesiono granitową płytę z wyrytym napisem:

ELIOTT ERNEST EMERSON 1893
— 1966

Abel podniósł wtedy wzrok ku drżącej koronie sosny nadmorskiej, gdzie śpiewał jakiś ptak-szyderca. Jakie to piękne! pomyślał, wzruszony do łez.

Bezmiar nieba, hałaśliwy wzlot mewy, drżenie cienia na żwirze, wysokie, przenikliwe cykanie świerszczy, głuchy, nieustający szum fal rozbijających się o brzeg w oddali, rozkołysane migotanie plamek światła tańczącego na wodzie, powolne znikanie bruzdy spienionej za rufą żaglowca

mknącego pod wiatr, olśnienie horyzontem, kiedy jest tylko krechą oślepiającego światła pociągniętą śród mgieł upału, dźwięk podzwonnego...

Wspomniał potem ostatnie życzenie ojca: modlitwa, jakakolwiek, byle odmówiona przez jego dzieci.

Odchrząknął i z prostotą zaczaj: recytować jedyną modlitwę, jaką znał, te oto kilka wierszy Rimbauda:

Już odnaleziona. Co? —
Wieczność. To ona. Morze
odchodzące Pospołu ze
słońcem.

Część czwarta

GODZINA SOWY

— Co się działo? Opowiadaj szybko.

— Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie tego, Faye. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie tego skandalu. Już sam sposób, w jaki Abel się zaprezentował! Siedzieliśmy wokół tego wielkiego owalnego stołu, najważniejsi dziennikarze i współpracownicy gazety, wszyscy jak przystało w nienagannych garniturach koloru antracytu i w krawatach w tym samym odcieniu — słynny styl Eventsa, nie? — trochę spięci i niespokojni: mieliśmy wreszcie poznać spadkobiercę z ostatniej chwili! Czy okaże się równie zarozumiały jak twój brat, równie... „dostojny" jak twoja matka? Czego powinniśmy się po nim spodziewać?... I wtedy wszedł Abel. I tu potężna sensacja! Był w dżinsach, czerwonej płóciennej kurtce, koszulce z rozpiętym kołnierzykiem. Twoja matka zbladła jak ściana.

— Och, wyobrażam sobie: to musiało być jednorazowe!

— Tak, zwłaszcza że Kelly zrazu pomyślał, że to goniec, który przynosi mu jakieś pismo. I spytał: „Kto cię tu wpuścił, chłopcze?" Szybko się jednak połapał, że popełnił gafę, toteż zaraz się zreflektował i uprzejmie go przywitał. Posadził go przy stole, kolejno nas przedstawił. Potem zaczął mu wyliczać wszystkie przywileje, z jakich będzie korzystał zgodnie z ostatnią wolą Eliotta.

— Czyli?...

— To imponujące! Oprócz rocznej pensji w wysokości 180 000 dolarów dostaje gabinet Jeremy'ego, ponieważ twój brat przeniósł się właśnie do biur ojca. Kelly wyraźnie

zaznaczył, że Abel będzie miał do dyspozycji salon, prywatną jadalnię, łazienkę, barek i ogród na tarasie od strony zachodniej. Potem go powiadomił, że przydzielono mu także majordomusa, żeby się tym wszystkim zajmował, i trzy sekretarki podległe tylko jemu. Limuzynę z szoferem. Człowieka do ochrony. Jak wszyscy członkowie rodziny będzie miał pierwszeństwo w korzystaniu ze śmigłowca koncernu i Bóg wie co jeszcze! Było tego pięć gęsto zapisanych stron.

— A jaka była reakcja Abla?

— To nas kompletnie zbiło z tropu! W miarę jak ta lista się wydłużała, ogarniał go obłąkany śmiech. Ale to naprawdę obłąkany! Patrzyliśmy wszyscy na niego z rozdziawionymi ustami. Potem ten i ów też zaczął się śmiać. Najpierw cicho. A potem coraz głośniej: to było zaraźliwe... I głowę daję, że w ciągu ćwierćwiecza narad czegoś takiego nie widziano i nigdy już się nie zobaczy. Twoja matka szalała z wściekłości, Jeremy przebierał nogami, a Kelly był taki skonsternowany, że w końcu przerwał czytanie. I to był szczyt: Abel podniósł dwa palce jak dzieciak w szkole i zapytał: „Chciałbym wiedzieć, czy będę mógł też dostawać dwa jajka na miękko na śniadanie?"

Jeremy się niecierpliwił.

Jego przycięte w owal, starannie wypolerowane paznokcie bębniły nerwowo w brzeg ogromnego biurka w kształcie półksiężyca, na którym pośród kosztownych gadżetów znajdowało się mnóstwo jego zdjęć, pokazujących go w pozach kulturysty napinającego wypukłe mięśnie, a także kilka portretów Kay Mc Kay z czasów jej świetności. Do szału go doprowadzał ogłuszający hałas na niebie — dlaczego te dwa śmigłowce od blisko kwadransa bez przerwy okrążają wieżo* wiec?

Podniósł się z głębokiego fotela w stylu „Kennedy" i ruszył ku zasuwanym szklanym ścianom, by je zamknąć. Jednakże w chwili, gdy już miał nacisnąć przełącznik powodujący automatyczne przesuwanie szyb na szynach, zmienił zamiar: intrygowało go uporczywe kreślenie przez helikop-

tery koncentrycznych kręgów wokół Events Tower. Wyszedł aa taras, zbliżył się do balustrady. Opanowując lekki zawrót głowy, jaki ogarniał go, ilekroć przyszło mu z tak wysoka popatrzeć w dół, dojrzał na placu przed budynkiem zgromadzony tłumek, podobny rojącemu się mrowisku. Ludzie zdawali się wskazywać wyciągniętymi rękami jakiś punkt na murze wieżowca, Jeremy jednak nie mógł go zobaczyć, przeszkadzało mu bowiem nieznaczne nachylenie barierki.

Zaniepokoił się: czyżby jakiś nieborak urzędnik gotował się do samobójczego skoku z okna drapacza chmur? Nie żeby go aż do tego stopnia obchodziło życie bądź śmierć takiego głupca. Myślał po prostu o katastrofalnym skutku, jaki mogłoby to wywrzeć na wysokiej rangi wizerunek Eventsa... Później uzmysłowił sobie, że okna pięter niższych nie otwierają się od wewnątrz. Jedynie oszklone ściany piętra prezesowskiego, tego piętra, które od dzisiaj miał dzielić z „bękartem", dawały się odmykać, ponieważ wychodziły na taras. A zatem nie szło o próbę samobójstwa.

Może więc wybuchł pożar? Dlaczego w takim razie nikt go dotąd nie uprzedził, dlaczego nie przedsięwzięto ewakuacji wieży?

Jeremy'ego zaczynała ogarniać panika. Wrócił do gabinetu i jak zawsze w podobnej sytuacji, rzucił się do telefonu, by zażądać od Kelly'ego pomocy, wyjaśnień, porady, ratunku, a nawet pociechy. Czyż nie miał go tu nadal po to, żeby się każdą rzeczą zajmował? Czyż Kelly nie był człowiekiem do wszystkiego, kozłem ofiarnym, osobą, na której wiecznie skrupiały się jego napady złości i zdenerwowanie?

— Emerson! — warknął w słuchawkę zbudowaną z przezroczystego tworzywa, zainstalowaną poprzedniego dnia i stanowiącą przedmiot jego dumy.

Miss Hepplewhite we własnej osobie, groźna miss Hepplewhite, nie pytając nawet, z kim życzy sobie rozmawiać, pokornie wymamrotała:

— Łączę z panem Kellym.

— Robert?

— Tak, Jeremy, wiem! Właśnie miałem do ciebie dzwonić...

— Co wiesz?

— Jakże? To ty... Nikt ci nie dał mać? Jeremy, włącz zaraz telewizor! CBS albo NBC. Szybko! Jesteśmy bezpośrednio na wizji...

— Kto?

— My!

— Jak to: my?

— Włączże telewizor! Bardzo się zdziwisz...

Jeremy rzucił się do odbiornika, kuli z pleksiglasu zwieńczonej antenami o dziwacznych kształtach, jaką można czasem ujrzeć w dekoracjach do filmu z gatunku science--flction.

Czyjś gwizd, zgiełk tłumu, okrzyki, nazwisko rytmicznie skandowane:

— A-bel Young! A-bel Young! A-bel Young!

Jest wreszcie obraz...

Niewiarygodny! Najpierw tłum gapiów wpatrzonych w fasadę Events Tower. I zaraz potem coś jeszcze bardziej niewiarygodnego, sfilmowanego z najazdu kamery, w zbliżeniu: Abel! Abel, który wspinał się na budynek po południowo-wschodniej krawędzi!

— Och, nie! Nie! — oburzył się Jeremy, rzucając się do innego telefonu, obscenicznego przedmiotu o obłych kształ tach z cukierkoworóżowej masy plastycznej.

— Phoebe! Połącz mnie z matką. Natychmiast.

Pobladły ze złości cisnął słuchawkę na widełki i ponownie skierował wzrok na ekran. Był jakby ogłupiały, przytłoczony tym, co oglądał.

Obraz przekazywany ze śmigłowca CBS tańczył, ale od czasu do czasu, kiedy kamerzyście udawało się go w miarę wykadrować, można było dojrzeć w bardzo dużym zbliżeniu wszelkie manipulacje młodego alpinisty. Zręcznym ruchem ujmował karabińczyk zawieszony na rzemieniu uprzęży, otwierał go jednym precyzyjnym naciśnięciem kciuka i wsuwał w nacięcie stalowego kątownika, na którym pierścień się zamykał. Uczepiał doń wówczas linę, by się zabezpieczyć na wypadek odpadnięcia, po czym raptownym zrywem, jednym potężnym pchnięciem nóg, wystrzelał w górę aż do następnego dźwigara, wspierał się o niego z ukosa palcem u nogi i po nader widowiskowym balansowaniu dla złapania rów-

nowagi, przytraczał się do następnego piętra, a następnie odpinał poprzednie ubezpieczenie. Wspinaczka, wykonywana w sposób tak elegancki i prosty, wydawała się dziecinną igraszką.

W pewnej chwili zresztą ujęcie prawie nieruchome pokazało na kilka sekund twarz Abla, odbijającą się w lustrzanej szybie siedemnastego piętra: istotnie wyglądał, jakby się bawił...

Rozległ się dyskretny dwutonowy sygnał telefonu zaprojektowanego przez SaNadora Dali. Po omacku, nie odrywając zafascynowanego wzroku od niebezpiecznego pełznięcia Abla w górę szklanej ściany, Jeremy podniósł słuchawkę w kształcie fallusa.

— Łączę z panią Emerson — powiadomiła go sekretarka. Phoebe Williams wydawała się przerażona żądzą zemsty przebijającą z głosu Kay, gdy ta jej odpowiedziała.

— Tak, wiem! — zawołała bez wstępów. — Wiem! Wiem!

Istotnie, w słuchawce rozbrzmiewał kąśliwy, żywiołowy komentarz reportera z NBC:

— Przyznać trzeba, że młody „dziedzic z ostatniej chwili" słynnego „Trzy E" nie przestaje nas zadziwiać i bawić. Wynalazł właśnie zaskakujący, ale jakże śmiały i dowcipny sposób wkroczenia do królestwa prasy. Czy potrafi wspólnie ze swym przyrodnim bratem, Jeremym Emersonem, pokierować pismem równie bezbłędnie, jak teraz wspina się po dźwigarach budynku? Czy potrafi tak samo nieustraszenie i pewnie jak teraz podejmować decyzje w świecie dziennikarskim, którego właściwie nie zna? Czy potrafi podnieść nakład publikacji koncernu w tempie tak samo zadziwiającym jak to, w jakim teraz się pnie z piętra na piętro szklanej wieży?... Ale oto, proszę państwa, stoją przy mnie dwaj jego przyjaciele: Garry Hemming i Thomas Haynes, którego poproszę jako specjalistę o wyrażenie opinii. Tom, może pas powiedzieć, skąd...

— Na imię mi Thomas.

— Thomas, może pan powiedzieć, skąd pomysł tej wspinaczki?

— Cóż, w pierwszym rzędzie jest to wielka premiera. Po drugie: stanowi świetne ćwiczenie czystej wirtuozerii, a z nas trzech Abel Young jest najbardziej, że tak powiem, „bezinteresowny". Mam na myśli, że jeszcze bardziej niż ja i Oarry doskonali swój styl...

— Słuchając pana, ma się wrażenie, że mówimy o skrzypku czy pianiście...

— Bo to dokładnie to samo. Abel pracuje nad stylem dla samej przyjemności posiadania własnego stylu...

— Drodzy państwo, coś takiego przechodzi i wasze, i moje pojęcie, prawda? Ale widzę, że chce pan coś dodać, Tom?

— Thomas!... Tak. Chciałem na koniec powiedzieć, że był jeszcze jeden bardzo prosty powód zdobycia południowowschodniej krawędzi Events Tower. Otóż nigdy nie dostajemy zezwolenia na taką wspinaczkę. A w tym wypadku, do licha! część tego wszystkiego należy do Abla, więc może sobie użyć! 259 metrów wysokości w stu procentach na własny rachunek! Marzenie!...

— Dziękuję Tomowi Haynesowi...

— Thomasowi, do diabła!

— Dziękuję, Thomas. Dla sieci NBC mówił Walt Heath z Plaża Eliott E. Emerson. Oddaję głos kolegom w studiu.

— Słyszałeś go? Słyszałeś? — warczała do słuchawki Kay.

Jeremy zmienił kanał na program CBS i ściszył dźwięk.

— Słyszałem, mamo — odparł zgnębionym głosem.

— Słyszałeś? „Część tego wszystkiego należy do Abla"! O nie, nie i jeszcze raz nie! Nie zniosę tego, nie jestem w stanie dłużej tego znosić! Chyba w końcu przez niego oszaleję. Najpierw ta idiotyczna scena na kolegium, potem okropna konferencja prasowa, potem znowu zdjęcie we wszystkich pismach prócz naszych... A teraz na ukoronowanie wszystkiego takie dziwactwo! I do tego dumy komentarz tego drania Heatha! Jak pomyślę, że ten pedzio zaczynał u nas!... Nie, nie! Tego już za wiele! Nie mogę czegoś takiego dłużej znosić. Słyszysz mnie, Remy, kochanie?

— Słyszę, mamo! Wyobraź sobie, że ja też kompletnie fiksuję. Jak ja w tym wszystkim wyglądam?

— A co mówr Kelly?

— Nic. Nawet nie raczył mnie uprzedzić, co się dzieje...

— Myślisz, że...

— Och, nie mam pojęcia. Ale na pewno on też nas olewa. Sama wiesz! Widziałaś, co wyczyniał na tym cholernym kolegium. A kadził do obrzydzenia! Panie Young i panie Young! I przymilał się, i uśmiechał od ucha do ucha!... A jak ten skurwysyn nie wymyślił nic lepszego, jak podnieść rękę i spytać się, czy będzie mógł też dostać na śniadanie jajka na miękko, hę?... widziałaś? widziałaś? Przecież Kelly zaśmiewał się z innymi.

— Przy czym ja nie widzę w tym nic śmiesznego.

— Nieważne! A ten bałwan Whyatt powiedział potem: „Mój drogi, on ma dowcip kubek w kubek podobny do Trzech E!"

— Do Trzech E? Pieprzenie! To parszywy bitnik, wredny vietnik! Czytałeś w „Timie" jego oświadczenie? Ach, pięknie to załatwia opinię firmy!

— Co za oświadczenie?

— Jak to? Nie wiesz o jego ostatnim numerze, Jeremy? Kelly nie miał widać odwagi pokazać ci tego artykułu...

— Mamo, nie myślisz chyba, że mam czas czytać konkurencję. Tyle mam roboty z „Tuxedem"!

— No to posłuchaj, kochanie. Strona 59: „Abel Young: «Jeżeli będę musiał iść na wojnę z Wietnamem, to zdezerteruję. My, Amerykanie, nie mamy nic wspólnego z tą parszywą wojną!»"

— No nie! Niemożliwe...

— Remy, kochanie!

— Mamo, słuchaj... mamo...

— Uspokój się, Jeremy. Nie wolno nam tracić zimnej krwi.

— Nie, słuchaj: to już nie do zniesienia. Sama tak powiedziałaś. Muszę uziemić tego gnojka! Muszę go uziemić...

— Jeremy!

— Uziemię tego gnojka, który nas ośmiesza. Najpierw dowiem się od Howarda, czy...

— Od Howarda! Dziecino, na niego nie licz. Obawiam się, że zostaliśmy sami! Sami, słyszysz? Ten pies Leo chyba ode mnie odchodzi. Widać liczył, że się ożeni ze mną albo na

Bóg wie co... W każdym razie, jak wiesz, pożarliśmy się wczoraj wieczór. Sprawy przybrały zły obrót i rozstaliśmy się bardziej niż pogniewani. Wygląda na to, że wejście Abla na scenę na niego wpływa jeszcze gorzej, jeśli chcesz wiedzieć wszystko. Czasami tak o nim mówi!... Jak wariat... furiat!... Zaczynam się bać tego durnia!

— Mamo... ale co ja pocznę, jeśli to wszystko ma...

— A ja? Pomyślałeś o mnie, Remy? Przecież w całej tej cholernej historii najbardziej będą się wyśmiewali ze mnie. Ze mnie!...

— Słuchaj, mamo, przyjadę dzisiaj na kolację do Sag Harbor. Musimy o tym wszystkim pogadać.

— Czekam więc, kochanie. Tym chętniej, że będziemy tylko we dwoje, jak zakochani. Ta wiedźma Faye całe wieczory spędza w pawilonie na malowaniu tych swoich świństw. Nawet na posiłki tu nie przychodzi...

Jeremy odłożył słuchawkę, przesławszy przez nią matce całusa. Zsunął się z kanapy na dywan, jakby go przytłoczyły odczuwane lęki, i skulił się w pozycji embrionalnej. Pozostał tak bez ruchu dobry kwadrans — pewien rzekomy guru tybetański, który w apartamencie w Hiltonie udzielał lekcji mądrości i spokoju wewnętrznego po trzysta dolarów za dziesięć minut, nauczył go tej domniemanej techniki relaksacji.

Otworzywszy potem oczy, opanował się jakoś i w końcu podniósł. Długo obmacywał swe ciało, ugniatał w palcach, gładził się pod koszulą. Kiedy jego dłoń sunęła ku brzuchowi, widocznie coś nowego znów go zaniepokoiło, na czole bowiem wystąpiła mu zmarszczka. Udał się do łazienki, rozpiął spodnie, przyjrzał się liniom mięśni skośnych i prostych. Z czegoś nie był w pełni zadowolony. Toteż włączył pas elektrycznego aparatu do masażu wibracyjnego i przystawił go do brzucha...

— Co za facet!

— Milutko wygląda z tymi blond włosami!

— Gość z jajem, nie?

— Zabawny ten nasz szefunio!

— Ja to bym chyba wykitował ze strachu. Dość, że wejdę na taboret...

— Ma śliczną buźkę, całkiem jak dzieciak.

— Taka odmiana w porównaniu z Jeremym i Kellyml

— Lady Mc Beef pewno klnie na czym świat stoi, jeśli to ogląda!

Ledwie pojawiał się za oknem narożnego biura na piętrze, do którego dotarł, urzędnicy, uprzedzeni telefonicznie przez kolegów z dołu, biegli tłumnie do tego pokoju, by popatrzeć, jak Abel zakłada karabińczyki, przywiązuje się do nich i podrzutem ciała wspina piętro wyżej.

Sypały się komentarze, zewsząd rozbrzmiewały żarty, dowody sympatii dla tego postrzeleńca, który jak się zdawało, zamierzał wprowadzić wesołość i fantazję w sztywny, surowy świat koncernu Events.

Oklaskiwano go, zagrzewano okrzykami, wiwatowano.

On zaś, balansując niczym linoskoczek na linie, macając dłonią wzdłuż dźwigara, lecz gwiżdżąc na zawroty głowy i niebezpieczeństwo, miał jeszcze odwagę skinąć im przyjaźnie puściwszy się to jedną, to drugą ręką, a nawet przesłać całusa.

Choć tak uciążliwa, niebezpieczna i długa, była to najzabawniejsza wspinaczka, jaką kiedykolwiek odbył: czysto szkolne ćwiczenie. Ale z wyższej szkoły jazdy.

Nie do wiary! Uległszy powszechnemu poruszeniu, które opanowało od parteru po sam szczyt Events Tower, miss Hepplewhite we własnej osobie wyszła ze swego biura, by zobaczyć Abla „udającego szympansa", jak to określił na poły rozbawiony, na poły zmartwiony Kelly, kiedy go ujrzał na wysokości sześćdziesiątego czwartego piętra.

Ablowi pozostał do wykonania jeszcze jeden przechwyt i znajdzie się na szczycie wieży. Lecz ostatni odcinek, jak to często bywa w górach, wymagał największej znajomości rzeczy: była nim gładka przewieszka, jaką stanowiła barierka otaczająca taras. Tyle że, jako wytrawny wspinacz, Abel przewidział tę komplikację i zabrał ze sobą odpowiednie przyrządy do wymuszonej eskalady oraz chwytak. W pięciu precyzyjnych ruchach, w pięciu chwytach dosięgnął wreszcie barierki. Teraz pozostało mu już tylko podciągnąć się na rękach...

Kelly uprzedził go telefonicznie i Jeremy znajdował się na tarasie, czekając, aż zjawi się tam jego przyrodni brat. Ustawił się dumnie w starannie wystudiowanej, wyniosłej i wzgardliwej pozycji. Półprzymknięte oczy wyrażały, jak mu się zdawało, całą niechęć, jaką budził w nim ten nędzny bękart...

Najpierw wychynęła głowa o zmierzwionych jasnych włosach, potem tors ujęty w uprzęż, obwiązany linkami i podzwaniającymi hakami i karabińczykami — Abel złapał równowagę, po czym zeskoczył. Przed samym Jeremym, który mierzył go z wyzywającą miną...

— Cześć, braciszku! — zawołał Abel, śmiejąc się do-rozpuku. — Mogę skorzystać z twojej łazienki? Mam ręce całe we krwi...

» *
*

Cóż to była za niezapomiana radość!

Dwa długie miesiące śmiechu, szaleństw, przyjemności, kaprysów: „Sezon w raju", powiedział Abel na cześć Rimbauda. Wszystko było odtąd możliwe, wszystko było dozwolone, wszystko stawało się łatwe — taka jest siła bogactwa. A bogactwo, które Abel miał niebawem odziedziczyć, było ogromne.

Tak ogromne, że nie miało dlań żadnego określonego znaczenia. Rzucano mu liczby, podawano sumy z dokładnością do czterech, pięciu milionów dolarów, lecz one nie robiły na nim żadnego wrażenia. Istnieje cała edukacja w duchu pieniądza, ale na zdobycie tej wiedzy trzeba czasu i praktyki. Abel zaś z góry postanowił, że jej nabywał nie będzie: chciał po prostu cieszyć się ułatwieniami, jakie dają pieniądze, i wydawać je wedle swego widzimisię i zachcianek Johanny. W głębi ducha to wszystko nieco go przerażało: bał się, że zepsuje mu to stosunki z innymi i z samym sobą. Bał się, że straci smak szczęścia, a nawet swoje poczucie tożsamości. Przeczuwał zasadzki, ukryte niebezpieczeństwa...

— Nie chcę, żeby mnie to w czymkolwiek dosięgło. Życie musi pozostać grą — rzekł Johannie przez telefon, kiedy wieczorem w dniu śmierci ojca powiedział jej, że stał się miliarderem, i długo rozprawiali o tym, co teraz zrobi.

— Wiesz, że się nie zmienię. Będę starał się dalej być tym samym Ablem, którego parę osób lubi.

Nazajutrz po pogrzebie, uciekając od zabójczej atmosfery „Giocondy", wrzucił do pożyczonego od Servoza plecaka te swoje parę łachów i pożegnawszy się z Geoffreyem, opuścił willę, pozostawiając jedynie na do widzenia dla Faye nagryzmolone na kartce wyrwanej z notesu kilka bardzo ciepłych słów, które miano jej doręczyć, kiedy się obudzi:

Mc *płącz, siostrzyczko.*
Szczęście jest w tobie, tak samo jak było we mnie. I tak samo jak ja w końcu je znajdziesz.
Abel.

Ocenił, że w ciągu jednego dnia jazdy autostopem dotrze do Chamonix, gdzie czekała nań Johanna.

Ledwie się ustawił na moście Saint-Jean na drodze La Comiche i podniósł kciuk, zatrzymał się przy nim bentley z odsuwanym dachem.

Za jego kierownicą siedział Ed Barrett. Jak tylko pokojowiec przyniósł mu wieść o pospiesznym wyjeździe Abla, wskoczył do kabrioletu z nadzieją, że złapie w drodze młodego spadkobiercę.

— No wie pan! — zawołał, podczas gdy przyciemniona szyba, która zasłaniała go przed niedyskretnymi spojrzeniami z zewnątrz, miarowo sunąc znikała w obudowie drzwiczek. — No wie pan! Chyba pan nie zrobi czegoś takiego!

— Dzień dobry, panie Barrett.

— Można przecież znaleźć dla pana jakąś limuzynę albo odwieźć motorówką na lotnisko w Nicei i tam wynająć samolot...

Za całą odpowiedź Abel wywrócił kieszenie dżinsów. Wypadł z nich zwitek banknotów dziesięciofrankowych, ze dwa, trzy pomięte skromne czeki podróżne i kilka monet amerykańskich i francuskich.

— Niechże pan nie żartuje! — zawołał Barrett, którego taka naiwność zarazem bawiła i rozczulała. — Nawet jeżeli

spadek nie jest otwarty, pierwszy z brzegu bank z chęcią uruchomi dla pana kredyt za samą obietnicę, że wkrótce założy pan w nim konto. I to kredyt bezprocentowy! Jest pan bogaty, Abel! Niewiarygodnie bogaty!... Pozwoli pan, że będę mu mówił Abel?

Abel skinął potakująco głową.

— I proszę do mnie mówić Ed — rzekł adwokat, serdecznie mu ściskając rękę przez otwartą szybę bentleya.

Ed Barrett, który przez całe życie był blisko związany z Eliottem E. Emersonem, lecz jego starszego syna uważał za ograniczonego półgłówka, od pierwszej chwili poczuł żywą sympatię do „bękarta". Był wprawdzie wielkim konserwatystą, człowiekiem ogromnie purytańskim, wyniosłym i sztywnym, słowem — bardzo w stylu Eventsa, jednakże urok, nonszalancja, a zwłaszcza inteligencja, jakie emanowały od Abla, natychmiast go oczarowały. A przy tym osierocony chłopak wydawał się tak bezbronny wobec życia! Barrett poczuwał się do pewnych obowiązków wobec niego. Ostatecznie on jeden z całego otoczenia Eliotta znał sekret jego narodzin i potrafił zachować milczenie; on zajmował się uznaniem go przez ojca i oceną konsekwencji tego czynu; on przez całe lata poświęcał się potem sprawom spadkowym, żeby Abel nie został wydziedziczony czy choćby pozbawiony części tego, co miało mu przypaść po śmierci „Trzech E". Ażeby pracę dużej części jego życia uwieńczył sukces, ażeby jej zakończenie mógł uważać za najlepsze dzieło w swej błyskotliwej karierze prawniczej, musiał mu jeszcze pomagać, doradzać, musiał ochraniać młodego miliardera, który łapał okazję na moście Saint-Jean. Musiał dlań być tym, czym niewątpliwie byłby Eliott, gdyby pożył kilka tygodni dłużej.

Zwłaszcza że można się było teraz obawiać kontrataku Kay prowadzonego przez Leonarda Howarda, wytrawnego i przebiegłego adwokata znającego się doskonale na kruczkach prawnych...

Ed Barrett zaproponował:

— Abel, jeśli pan chce, pojedziemy do Monte Carlo, gdzie załatwię panu od ręki konto w banku pańskiego ojca. Wypłacą panu kwotę zaliczkową.

— Skoro pan myśli, że to możliwe...

— No to wsiadaj, chłopcze! Nauczę cię żyć.

— A co? To życie na tym polega? — zdziwił się drwiąco Abel.

Udali się więc do Credit du Rocher, banku na pozór bardzo skromnego, za którego anonimową fasadą skrywała się jednak potężna instytucja finansowa o wielkiej renomie w międzynarodowym świecie interesów, przyjmująca w depozyt tylko kilka największych fortun. Zarządzała europejskimi majętnościami Emersonów, ale przede wszystkim zajmowała się transferem kapitałów dokonywanym przez koncern Events między Stanami Zjednoczonymi, Szwajcarią i innymi „fiskalnymi rajami". W surowym salonie wyłożonym ciemnym mahoniem i obitym pikowaną czarną skórą tłumiącą dźwięki, Abel wziął pierwszą „lekcję pieniądza". Po raz pierwszy uzmysłowił sobie tam, jaką władzę daje mu bogactwo. Lecz całkowicie niechcący. Kiedy dyrektor, przybyły osobiście, by omówić jego przypadek, zapytał:

— Ile by pan potrzebował, panie Young?

Abel żartobliwie odparł z udawaną obojętnością:

— Oooooch... powiedzmy: 250000...

— Franków? — spytał prokurent.

Ani on, ani dyrektor nawet nie mrugnęli słysząc wymienioną taką kwotę, która nawet we frankach wydawała się Ablowi niewiarygodnie wielka. Toteż licząc, że wreszcie stracą tę swoją niewzruszoną bankierską powagę, rzekł ze śmiechem:

— Nie. 250 000 dolarów oczywiście!

Ku jego zdumieniu jednak dyrektor odpowiedział:

— Nie ma sprawy. W ciągu godziny będzie miał pan otwarty kredyt. Gwarancja pana Barretta w zupełności nam wystarczy. A jeżeli chce pan zaraz kilka czeków podróżnych, możemy je wystawić od ręki.

Oszołomiony, lecz rozzuchwalony porozumiewawczym spojrzeniem Barretta, zachęcającym do stawiania żądań, Abel poprosił o piętnaście tysięcy dolarów, które zaraz otrzymał.

I jakąż niezapomnianą radością był powrót do Johanny! I do Servozów! I do przyjaciół z doliny Chamonix...

Wszystko było zwariowane! Wystarczyło spytać tych, których się lubiło: „Co chcesz?" i spełnić życzenie — jak w bajce.

Pewnego wieczoru, gdy on, Jacques, Colette i Johanna naprawiali świat przy karafce likieru goryczkowego, nieoczekiwanie przewodnik zaczął mówić o tym, co sobie wymarzyli przed laty z paroma kolegami z Houches i Praż: o zorganizowaniu wyprawy w Himalaje. Ale, rzecz jasna, mówił, długo jeszcze będzie to tylko marzenie...

I wtedy Abel, dyskretnie wyjąwszy książeczkę czekową z nadrukiem Credit du Rocher, zapytał niby to obojętnie:

— De twoim zdaniem trzeba by było na podroż, ekwipunek i całą resztę?

— Och, nie! — zaprotestował Jacąues, zaskoczony i szczerze zakłopotany. — Na głowę upadłeś? Przestań, Abel... Nie mówiłem o tym po to, żebyś... O rany! gdybym wiedział... nie puściłbym pary z ust.

— Nie, Jacąues, posłuchaj! Czegoś takiego między sami nie będzie, przecież to głupota! Powiedz mi, ile byście potrzebowali, i już. Rozumiem twoje skrępowanie, ale... no, w pewnym sensie sprawiasz mi przykrość. Myślałem, że między tobą i mną istnieje coś na śmierć i życie. Dwa lata temu, jak byłem kompletnie spłukany, ile razy nie wziąłeś ani centa za długie wyprawy?... I na Aiguille du Fou ta tabliczka czekolady, którąśmy się podzielili, jedyne, co nam zostałopo stracie plecaków... Jacques, ten kawałek czekolady był czymś, za co nigdy nie zdołam ci zapłacić. Nawet mając dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów kredytu w Rocher. Co to dla mnie teraz koszt wyprawy w Himalaje? Wiesz, gdybym chciał, gdybym był taki jak oni, gdybym miał poprzestawiane we łbie, to mógłbym załatwić, że wszystko by sfinansował Events: jeszcze by tak to sobie ustawili, żeby zarobić, na całym świecie sprzedając zdjęcia i wydając potem książkę... Ale ja chcę, żebyś mógł zorganizować pierwszą wyprawę w Himalaje, na której nigdy, przenigdy nie będzie mowy o szmalu!

— Abel, wspaniale, tylko...

— Tylko co? Nie, Jacąues, nie! Proszę, powiedz ile, jeśli już się zastanowiłeś. Albo nie, masz!... — zmienił zdanie Abel. Wyrwał z książeczki czek i podpisał. — Sam

wpiszesz kwotę, jak będziesz miał choćby blade pojęcie o tym, co...

— Nie, Abel, nie mogę.

— Słuchaj, Jacąues, nie chcę, żeby ta pieprzona forsa w czymkolwiek zmieniła moje stosunki z ludźmi, których lubię. Dochodzę do wniosku, że forsa to coś, czym jest strasznie trudno się posługiwać, coś bardzo delikatnego. Forsa deprawuje, forsa upokarza, forsa wszystko umie zepsuć... Wierz mi, przeżywam bardzo trudny okres. To wszystko trochę mnie przerasta. Więc błagam, nie utrudniaj mi jeszcze swoją odmową. Jedyny sposób, żeby jakoś wybrnąć z problemu pieniędzy, jedyny sposób, żeby człowieka nie zniszczyły, to traktować je lekko: są, to fajnie, trzeba z nich korzystać! Nie ma, trudno, nie trzeba z tego robić tragedii! Nie chcę trzymać forsy w sejfie, nie chcę spekulować, nie chcę nikogo wykorzystywać. Można sądzić, że jestem stuknięty—i co z tego? Ja się bawię, i tyle. A na resztę gwiżdżę... Jak się spłukam... ha! to pójdę śpiewać na podwórkach, a Johanna będzie zbierała datki!

— Niel — sprostowała Johanna. — Ja będę śpiewała, a ty będziesz zbierał datki. Nie mam ochoty, żeby mnie obrzucono pomidorami!

— Czy tak, czy siak — rzekł Abel — zanim wszystko wydamy, zdaje mi się, że minie parę lat. A do tej pory nauczę się śpiewać.

— I czy tak, czy siak — wtrąciła znów Johanna równie kpiąco — jak już wszystko przepuścisz, zawsze zostanie ci jeszcze sześciocyfrowa pensja prezesa-dyrektora generalnego Eventsa!

Pompatycznie zaakcentowała tytuły i wszyscy czworo, Colette, Jacąues, ona i Abel, wybuchnęli zgodnym śmiechem.

— No co ty? Kpisz sobie ze mnie? — zawołał Abel. — Nie myślisz chyba, że będę pełnił tę funkcję?...

— A dlaczego nie?

— O rany, przecież w ogóle się na tym nie znam! Nawet nie rozumiem, po co miałbym zasiadać w kolegium redakcyjnym. To, że współpracowałem z dwoma czy trzema pismami zajmującymi się alpinizmem czy poezją, wcale nie znaczy, że jestem w stanie pokierować takim burdelem. Nawet na spółkę z nadzwyczajnym Jeremym Emersonem.

— Ale twój ojciec przecież tego chciał.

— No dobra, zgoda! Ale najpierw muszę nauczyć się fachu. Takiej funkcji nie przyjmuje się z dnia na dzień, bez przygotowania...

— Zgadzam się z tobą!—przerwał mu Jacąues. —Zgadzam się w stu procentach, Abel. Wiesz?... Strasznie się cieszę, ze to wszystko, co cię spotkało, nie uderzyło ci do głowy. Ze się nie zmieniłeś:Jesteś i zawsze będziesz takim Ablem, jakiego kochamy. Ze zachowałeś... no... powiem słowo, które dzisiaj wydaje się trochę śmieszne, ale trudno!... Że zachowałeś prawość.

— Będę się starał, żeby dalej tak było — odparł Abel, szturchając serdecznie przyjaciela. — Ale ty też będziesz musiał mi pomóc, staruszku! Będziesz musiał coś z siebie dać. Być bogatym i pozostać porządnym facetem nastręcza całkiem inne trudności niż wspinaczka na Górę Szaleńca!

— Sam jesteś szaleńcem!

Jacąues Servoz poczuł się nagle bardzo wzruszony. Nalał sobie likieru do kieliszka, umoczył w nim usta — tak pić nie miał zwyczaju. I w końcu rzekł z zakłopotaniem, w którym poprzez szorstkie słowa przebijała cała subtelność jego duszy:

— Posłuchaj, głupieluchu! Zdaje mi się, że co do twojej forsy... chyba powiem tak. Może i zgodzę się na... pożyczkę.

— Co to to nie! — zaprotestował Abel żartobliwie. — Ja nie pożyczam. Nie jestem Credit du Rocher. Ja daję. Powiedzmy, że to mecenat, jeśli chcesz. Ten cholerny nabab Young finansuje pierwszą wyprawę w Himalaje!... Choć raz nie będziecie musieli chodzić na żebry do jakichś zasranych producentów, którzy by wam kazali nosić kalesony z puchu jakiegoś tam i podwiązki do skarpet lodowcowych z czegoś tam!

Abel ofiarowywał więc wszystkim odrobinę szczęścia.

A w związku z tym samemu sobie: ten tydzień spędzony we Francji z Johanną, nim wrócili do Stanów, był tygodniem śmiechu, szaleństw, przyjemności, zachcianek.

W Paryżu spędzili dwa burzliwe dni, wiodąc próżniacze życie bogatych „Amerykanów w Paryżu" w stylu szalonych lat międzywojennych. Luksus, bohema, romantyzm i frywol-

na beztroska, wszystko było jak w powieści Fitzgeralda lub Hemingwaya: Ritz, Closerie des Lilas, ludowe zabawy, wyszukane kolacje, taksówki, wałęsanie się o świcie po nabrzeżach Sekwany, przesadnie wysokie napiwki, róże i szampan na śniadanie — wielkie życie!

*

A potem powrót do Stanów.

Radość trwała dalej! „Funduję ci pierwszą klasę: kawior, pasztet z gęsich wątróbek, stary szampan! Jesteśmy nuworyszami, staruszko! Wulgarnymi nuworyszami. I musimy wziąć na siebie ciężar trudnego życia."

Triumf! Na lotnisko w San Francisco przybyli wszyscy przyjaciele z Berkeley. Thomas Haynes dla zabawy zorganizował na poczekaniu przyjęcie, jakie się gotuje gwiazdom filmowym i słynnym piosenkarzom. A dzięki drobnym niedyskrecjom pofatygowali się tam również dziennikarze i reporterzy. W holu dworca podróżni zastanawiali się:

— Kto to jest?

— Pewnie jakiś piosenkarz rockowy. Widać po ubraniu...

— Nie kojarzę tej twarzy z żadnym nazwiskiem.

Studenci mieli przednią zabawę. Koleżanki Johanny, gdy tylko w błyskach fleszów ujrzały ich w oszklonych drzwiach hali przyjazdów, zaczęły przeraźliwie piszczeć niczym wielbicielki gwiazdy, które po długim oczekiwaniu wreszcie widzą swoją idolkę. Thomas zaś wymachiwał transparentem, na którym uszczypliwie wypisał:

Abel for President...
...ofEvents!

Jeden Alec Philips nie podzielał ogólnej radości. Będąc graczem honorowym, chciał mimo wszystko powitać Johannę, która go tak beztrosko porzuciła, i uścisnąć tego, którego musiał uważać za swojego rywala, choć nadal darzył go przyjaźnią. Ujrzawszy jednak ciągle kochaną dziewczynę, poczuł naraz, że ogarnia go melancholia, prawdziwy miłosny

zawód, i nie próbował nawet z nim walczyć. Trzymał się zatem, milczący, na uboczu wesołej grupki.

Rodzice Johanny także przyjechali na lotnisko. Jakie życie jest dziwne! zdawali się mówić, idąc na spotkanie „naszych dzieci", jak ich już nazywali: miesiąc wcześniej pan Jones w pośpiechu przywiózł tu córkę, przerażoną dziewczynę u progu histerii, bo ten mały bitnik, w którym się podkochiwała, udawał chojraka na jakiejś górce w Alpach. Dzisiaj zaś wśród oklasków i wiwatów wracała u boku młodego, uwodzicielskiego miliardera, współprezesa i współwłaściciela największego na świecie koncernu prasowego i wydawniczego, księcia z bajki, w którym odkrywali naraz całe mnóstwo nieoczekiwanych zalet. Chociaż zawsze — prawda? — mieli dla niego dużo estymy.

— Widziałaś? — szepnął Abel Johannie na ucho. — Papa Jones już nie widzi, że mam długie włosy i wytarte dżinsy.

— A wiesz, po co mama wzięła mnie na stronę przedtem, jak dyskutowałeś z gościem od bagaży o tych skrzynkach bordeaux? — rzekła mu również na ucho.

— No mów!

Parsknęła śmiechem:

— Po to, żeby mnie zapytać, kiedy się pobierzemy. Zwróć uwagę, że nie pytała czy się pobierzemy, tylko kiedy! Musiało ci zresztą solidnie dzwonić w uszach. Nie masz pojęcia, co mi o tobie mówiła: że jesteś taki miły, taki dobrze wychowany i w ogóle. Zawsze wydawałeś jej się jedynym poważnym chłopakiem z naszej paczki. Podczas gdy Alec...

— Co za świnia!

— Abel, proszę!

— Fajnie by było, gdyby tak Alec odziedziczył fortunę Rockefellerów. Chciałbym wtedy widzieć minę twojej matki!

— Biedny Alec... Wiesz, żal mi go.

— Mnie też. Ale mamuśka Jones...

Takie płaszczenie się, brak godności większości ludzi wobec pieniędzy nie przestawały Abla zdumiewać, a często i ranić. Tak bardzo by chciał, żeby inni byli równie jak on obojętni na władzę wynikającą z bogactwa; żeby się w ten

sposób nie poniżali. Wtedy, tak, wtedy w pełni by się cieszył szczęściem, jakie mógł teraz dokoła rozdawać. Coś jednak było skalane — wiedział o tym. I cierpiał z tego powodu.

Szli w stronę wielkiego luksusowego samochodu, który dla żartu Thomas Haynes wynajął na ten dzień, kiedy Abel ją ujrzał, zagubioną w tłumie, małą, kruchą, powściągliwą, onieśmieloną i jakby przerażoną, że znalazła się w takim zgiełku.

— Ma! — zawołał.

Zostawił wózek na bagaże z całym stosem prezentów przywiezionych z Francji dla przyjaciół i rzucił się do niej pędem.

— Och, Mai Moja Ma!

Płakała ze szczęścia. Chwycił ją w ramiona, podniósł i kręcił się z nią, kręcił w kółko. Rozkoszna chwila zawrotu głowy, rozkoszny powolny walc, podczas gdy fotografowie trzaskali aparatami, rozkoszne spotkanie. Obracali się, obracali, obracali...

— Ma, kochana! Już nigdy więcej nie będziesz pracować. I nigdy nie będziesz miała żadnych trosk. Nigdy już żaden kierowca ciężarówki nie będzie cię nachodził. Ma! będziesz miała śliczny domek tylko dla siebie. Z dala od wszystkich dróg. Z wielkim ogrodem pełnym róż. I auto, żebyś mogła jechać do miasta pogapić się na wystawy albo do koleżanki na herbatę. I jakąś miłą panią, żeby się tym wszystkim zajmowała... Ma, w zimie będziesz jeździła na wczasy na Bahamy, a w lecie do rodziny do Francji. Będziesz ciocią z Ameryki. Wrócisz do swojej wioski. Olśnisz wszystkich cadillakiem, zobaczysz! Będziesz wszystkim wkoło rozdawała forsę. Na rynku w Bois-Chambures postawią pomnik swojej dobrodziejki: Dla Madeleine Langlois, wdzięczni mieszkańcy Bois-Chambures. Coś strasznie kiczowatego, w strasznie złym guście...

— Uspokój się, Abel! Uspokój się, synku! I puść, bo mnie w końcu udusisz.

— Jesteśmy bogaci, Ma! Bogaci...

— Och, to nie ma znaczenia, synku. Ważne, że znów cif widzę. Tak się cieszę!

W ciągu następnych dni, szybko podejmując decyzje, na co mu pozwalała jego nowa sytuacja, Abel nabył piękną willę położoną na wyniesieniu w Sausalito i podarował ją przybranej matce. To, co miało miejsce w Monte Carlo, powtarzało się wszędzie: wystarczało, by wyraził życzenie, a natychmiast było spełniane. Banki przyznawały mu kredyty na sam dźwięk jego nazwiska i poręczenie Barretta, nader zaszczycone, iż do swych klientów będą niebawem mogły zaliczyć przyszłego szefa Eventsa i spadkobiercę Eliotta E. Emer-sona. Wszystko odbywało się niczym we śnie: zabiegano o to, by mu się przysłużyć, a trudności czynione zwykłym śmiertelnikom jemu były oszczędzone. Bawiło go to i zarazem denerwowało. Bał się, że w tym wszystki zatraci swoje silne poczucie rzeczywistości, przytomność, wesołość, a nawet spokój ducha. „Ludzie, którym inni są posłuszni, rzadko bywają weseli" — zauważył kiedyś, gdy rozmawiał o tym z Thomasem. — „Stary, jeśli kiedykolwiek zrobi się ze mnie zarozumiały gnojek, masz mi zaraz powiedzieć."

Jednak nie. Nie groziło mu, że stanie się zarozumiałym gnojkiem.

Górę zawsze będzie w nim brało jego drwiące poczucie humoru. Za wiele wycierpiał z powodu lekceważącego stosunku ojca — lekceważącego stosunku ludzi bogatych, którzy są przekonani, że wszystko można kupić, wszystko sprzedać, a pieniądze zawsze przyniosą pociechę. On będzie nadal drwił z każego tabu i wywoływał skandale, choć nie zamierzał robić tego umyślnie: w tym celu wystarczy, że będzie żył wedle swojej fantazji.

Johanna, która znowu ugrzęzła po uszy w działalności politycznej, oznajmiła mu pewnego ranka, że bierze udział w rozdawaniu ulotek w ubogich dzielnicach.

— Mam lepszy pomysł) — powiedział ze śmiechem. — Fajnie się zabawimy, zobaczysz!

Zażądał w swoim banku, aby mu przygotowano w kilku walizkach sto tysięcy dolarów w banknotach dziesięciodolarowych. Urzędnik, choć zaintrygowany, wypełnił polecenie o nic nie pytając: miliarder ma prawo do wszystkiego.

— Czy to nie wygląda trochę lepiej niż te twoje cholerne ulotki? — spytał Abel Johanny, pokazując jej pliki nowiut-

kich banknotów w papierowych opaskach, starannie poukładane w walizkach.

— Co chcesz z tym zrobić?

— A staniemy na rogu i będziemy rozdawać.

— Co? Przecież to działalność dobroczynna!

— Nie. Skuteczność polityczna — odparł śmiejąc się. — Pieniądze to świętość, prawda? To nie jest coś, co się wyrzuca. No więc słuchaj, staruszko: na banknotach wypiszemy od szablonu wasze hasło i będziemy je rozdawać jako ulotki. Daję głowę, że choć raz przechodnie nie będą ich mięli i wrzucali do kosza nie przeczytawszy!

Łatwo sobie w rzeczy samej wyobrazić, jaki sukces odniosła taka demonstracja. W ciągu kilku minut ulica była zapchana ludźmi. Bili się, żeby zdobyć tak cenny manifest, i niebawem w tłumie pojawiły się zwiastuny zamieszek... Kiedy jednak zjawiła się policja, było za późno: sto tysięcy dolarów już rozdano.

— Szybkość, skuteczność, czystość ulic: oto nowoczesna działalność polityczna! — ironizował Abel. — Pierwszy raz chyba upłynniacie dziesięć tysięcy ulotek w dziesięć minut, nie?

Po czym wsiadł do dżipa kupionego za gotówkę tego samego dnia z rana i ruszył dokładnie w chwili, gdy na końcu ulicy rozległo się wycie syren policyjnych.

Jego żarty zaczynały budzić ciekawość. Rodziły się coraz fantastyczniejsze plotki, prasa chciała go poznać. Lecz Abel nie zgadzał się na wywiad: uważał, że nie musi z niczego się tłumaczyć. Żył tak samo jak dotąd — tyle że z paroma dolarami więcej.

A w Nowym Jorku Jeremy tupał, Kay dusiła w sobie niecierpliwość, Leonard Howard zaś padał ofiarą ich rosnącego zdenerwowania, sam będąc w głębokiej depresji. Jedna Faye zrywała boki ze śmiechu czytając w prasie undergroundu opowieści o najnowszych wyczynach swego przyrodniego brata.

Co się tyczy Kelly'ego, to niewzruszenie czekał: zgodnie z instrukcjami zmarłego szefa przedstawienie Abla na kolegium redakcyjnym „Eventsa" miało się odbyć w miesiąc po śmierci Eliotta, czyli 14 września.

Potem zostanie otwarty spadek.

Z początkiem września Abel i Johanna przenieśli się z Kalifornii do Nowego Jorku.

Do ogromnego cadillaca kabrioletu-limuzyny, modelu już przestarzałego, poskładali książki, płyty, rośliny w doniczkach i koty. Bez pośpiechu będą jechać przez Stany na „podbój Wschodu", jak żartobliwie mówił Abel.

Żegnaj, sutereno w Haight Ashbury, gdzie byli tacy szczęśliwi i gdzie mimo to tyle razy nawzajem się ranili! Żegnaj, zardzewiała balio z podwórka, gdzie rośliny krzewiły się jak w dżungli, lecz marihuana od Thomasa nigdy nie chciała się przyjąć! Żegnajcie, oślepiające ściany pomalowane miką skradzioną z budowy, żegnaj, rozstrojone pianino, na którym Abel trzema palcami niewprawnie wygrywał melodie Scotta Joplina! Żegnajcie, wzgórza San Francisco przemierzane przez tramwaje, żegnaj, zatoko skąpana we mgłach, żegnajcie, wspaniałe Złote Wrota, żegnajcie, płomienne zachody słońca nad Pacyfikieml Żegnaj, blasku słońca na błękitnym kalifornijskim niebie!

Będą jechali świtem przez szerokie równiny zasnute mgłą; będą jechali o przejrzystym zmierzchu przez mroczne kaniony; będą jechali prostymi autostradami pod palącym słońcem południa naprzeciw zwodniczym mirażom; słuchając z samochodowego radia stereofonicznego melancholijnej ballady Boba Dylana, będą patrzyli, jak cień rzucany przez auto rośnie i rośnie; będą mijali uśpione miasta; będą się posuwali w samo serce nocy, mijając się z innymi ludźmi, którym przeznaczona była samotność i którzy będą ich pozdrawiali mruganiem świateł w ciemności.

I pewnego ranka wjadą na Manhattan, na całe gardło wyśpiewując *Highway 61 Revisited*\

Zaczynało się nowe życic. Ale w zasadzie niewiele rzeczy się zmieni, tak sobie obiecali.

I istotnie, wróciło takie samo życie cyganerii, gdy tylko się urządzili w Greenwich Village. Tyle że teraz była to cyganeria luksusowa. Dom wynajęty przy St Luke's Place był przestronnym, ładnym dworkiem z podjazdem z tych, jakie wznoszono w ubiegłym wieku. Zamiast pianina—kon-

certowy Steinway. Farba na ścianach nie pochodziła z budowy, a trzy wspaniałe płótna Faye Emerson, które Abel w tajemnicy przed Kay i Jeremym kupił od przyrodniej siostry, zdobiły bibliotekę w stylu Adama, gdzie na starodawnych półkach poustawiali swoje książki w wydaniach kieszonkowych. Podobnie jak w San Francisco panowało u nich niemal klasztorne ubóstwo sprzętów: raptem ze dwa, trzy ładne meble, kupione bez zastanowienia. Poza tym mieli rośliny w doniczkach, koty, a w kuchni, przytulnej jak wiejska, stół nakryty dla wszystkich zjawiających się przyjaciół.

No i oczywiście wieczne przekomarzania, boczenie się, gniewy, krzyki, łzy, kilkugodzinne „zerwania na zawsze", ucieczki w środku nocy, niespokojne oczekiwanie na dworze w deszczu...

I telegramy z dwustu słów... lub z jednego: „Wróć".

I powroty o świcie, „zgody na zawsze", kwiaty, kradzione pocałunki, opętany śmiech...

— Enty rozdział *Wojny i pokojul* — ironizował Abel.

— *Poskromienie zlośnicy*\ — żartowała Johanna wskazując na siebie, nim go pocałowała.

— *Idiotal* — odpowiadał wykonując identyczny gest, nim ją przytulił.

Events i rola, jaką Abel powinien odgrywać w koncernie, stanowiły jeden z ich ulubionych tematów dyskusji.

— Paskudny szmatławiec!

— I co z tego? Mówisz tak i zdaje ci się, że wszystko powiedziałaś... A gdyby tak spróbować trochę to zmienić?

— Co? Z Jeremym i Kellym na czele tego piśmidła? Marzenia!

— Jakie tam marzenia... A raczej nie: faktycznie, marzcn nia. Marzenia sprawiają, że można coś. zmienić. Z czasem.

— Z czasem, z czasem...

— Och, wiem, co sobie myślisz! Ty byś zawsze chciała wszystko albo nic. „Z czasem", to nie ma sensu twoim zdaniem... A ja uważam inaczej: że da się zmienić mentalność właśnie z czasem, powoli, podstępnie, jakby nigdy nic. Z uśmiechem. Nie idzie o to, żeby odnieść spektakularny sukces, nie idzie o to, żeby mówić ludziom: „Jesteście

wszyscy durniami, ale my wam będziemy głosić prawdę". Ludzie muszą zapragnąć czegoś innego, toteż niczego im nie narzucając, niczego nie wmawiając, nie starając się nawet dawać przykładu, my w nich powoli to pragnienie obudzimy. Bo uświadomią sobie, że jesteśmy szczęśliwsi od nich, weselsi, nie tak spięci...

— Ach, tak! I myślisz, że mógłbyś wywołać odprężenie w tym kretynie Jeremym?

— No ale kimże jest Jeremy? Nikim. To żałosny Mister America nabrzmiały dzięki proteinom. Nadmuchany grubas! Wbijesz mu szpilkę w tyłek i pflt Tl

— A Kelly?

— Nic wielkiego, cień „Trzech E". Dwóch szefów to jeszcze nie pismo. „Events" to także ci, którzy je robią. A wśród nich są nie tylko durnie i gnojki.

— Nie rozśmieszaj mnie! Raczej śmierdzące gnojki. Żeby pracować w takim szmatławcu, nie można być wybrednym.

— No właśnie! To i śmieciarze są śmierdzącymi gnojkami: żeby przez cały boży dzień opróżniać kubły! I górnicy dołowi, i kanalarze...

— Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

— Owszem, to dokładnie to samo. Do licha, Johanna, kto ci pozwolił w ten sposób osądzać innych? Za kogo ty się masz? Czy dziennikarze z „Eventsa" wiedzą przynajmniej, po co tam są i co robią?

— Czy chcą, czy nie, są wspólnikami władzy.

— Ano właśnie! Dawno mi nie machałaś przed nosem jedną z tych swoich teoryjek. Aleja to znam: „wszyscy mają ręce powalane krwią", prawda? Wszyscy oprócz Johanny Jones...

— Bo twoim zdaniem Bergman, Whyatt i reszta?...

— Cholera! Nie wmawiaj mi tego, czego nie powiedziałem!

— To wszystko podłe świnie!

— A Richie Garrymore?

— Kto taki?

— No wiesz, ten chłopak, który kiedyś przyszedł do mnie pogadać...

— Mały okularnik?

— Mały okularnik. I widzisz, odkryłem kogoś wcale niegłupiego. A przy tym miłego i zabawnego... Siedzieliśmy dość długo i było bardzo fajnie.

— Oj, ty, ty! Ależ z ciebie naiwniak! Na twoim miejscu bym uważała: to sami obłudnicy, kapusie i spółka.

— Może byś już dała sobie spokój, co?

— No ale po cóż innego by miał tu przychodzić, jeśli nie po to, żeby ci się podlizać i w ogóle?

— Słuchaj, naprawdę jesteś dzisiaj niemożliwa...

— Albo żeby cię szpiegować dla tej zdziry Lady Mc Beef!

— Johanna!

Ton podnosił się wciąż bardziej i bardziej. Abel, pobladły z gniewu, próbował jeszcze dyskutować, lecz Johanna, zacięta w uporze, pogardliwie rzucała mu w twarz to, co uważała za pewniki:

— To są bzdury, Abel! Wierutne bzdury! W rzeczywistości dajesz się z powrotem przeciągnąć na ich stronę. Pozwalasz, żeby cię te skurwysyny przerabiały na swoje kopyto i nawet tego nie zauważasz!

— A to dobre! Spotykam sympatycznego dziennikarza, siadamy w domu, żeby się napić i wypalić szczyptę trawki, cały wieczór gadamy o wszystkim i o niczym, wspominając mojego ojca, a dla ciebie to oznacza, że daję się przeciągnąć! Ja chyba śnię. Kompletnie odbiła ci szajba, staruszko!

— Dokładnie tak: dajesz się przeciągnąć! A tymczasem jedyna rewolucyjna rzecz, jaką mógłbyś zrobić...

— O! brawo za rewolucyjną rzecz...

— Jedyna rzecz... i to pewna jestem, że w Eventsie bez mrugnięcia by się na to zgodzili, bo przynajmniej zajmując się tym, nie wtykałbyś im nosa w resztę... no więc jedyną rzeczą byłoby założenie w ramach koncernu pisma dla ludu, które by broniło naszych tez, tego, co my...

— Kto: my? Trzy sztuki na krzyż z tego twojego durnego ruchu? I to ma być twoim zdaniem lud? Dla tego ludu Events-International Inc., Media Departament miałoby sprzedawać jakiegoś brukowca wydanego w trzech egzemplarzach?

— Dobra, dobra! To wymyśl coś lepszego! Walcz, do diabła! Przejmij władzę w koncernie i narzuć swoje poglądy!

— No i proszę! Mamy zaraz silę, przemoc, gardzenie innymi, nietolerancję. Wiesz, co to jest? Powiedzieć ci? To po prostu faszyzm!

— Faszyzm!

— A tak! Stuprocentowy. „Events" to ustalone poglądy i przesądy milczącej większości, prawicowy konformizm —wiadomo, tego nie trzeba tłumaczyć. Ale w rękach twoich i twoich kolegów byłyby to ustalone poglądy i przesądy rozwrzeszczanej mniejszości, lewicowy konformizm! Gdybym zrobił, jak mówisz, stałbym się lewicowym Jeremym Emersonem i znalazłbym lewicowego Kelly'ego, żeby nad tym wszystkim zaprowadził lewicowy terror. Stalin zamiast Hitlera — piękna sprawa! Nic nie zrozumiałaś, staruszko! Nic! Ja nie wierzę w idee. Wierzę tylko w ludzi. I wiem, że ludzie mogą się zmienić...

— Marzenia!

— Owszem, staruszko, marzenia. Dobrze jest marzyć. Te smutasy rewolucjoniści, kretyńscy i tacy malutcy, nigdy nie marzyli. I dlatego mają popsutą cerę, staruszko!

— Och, przede wszystkim przestań tak do mnie mówić!

— Jak? Staruszko?

— Przestań!

— Wybacz, staruszko. Obiecuję, staruszko, że więcej nie będę, staruszko!

Gdyby tego wieczoru przechodzień idący przez St Luke's Place nastawił ucha, usłyszałby brzęk tłuczonych naczyń przy ogłuszających dźwiękach rock' n'rolla — ten harmider dochodził z szacownego patrycjuszowskiego domostwa, w którym wszystkie okna były szeroko otwarte i jasno oświetlone.

Gdyby stanął naprzeciw podjazdu, ujrzałby około pierwszej w nocy młodą kobietę o długich ciemnych włosach z wypchanym workiem marynarskim w ręku, która wyszła z domu i trzasnąwszy drzwiami, zniknęła w ciemności.

A gdyby w tę chłodną październikową noc miał cierpliwość poczekać do świtu, ujrzałby w obramowaniu jednego z okien sylwetkę mężczyzny płaczącego z twarzą ukrytą w zgięciu ramienia.

Jeszcze później zaś usłyszałby, jak niczym obłąkany krzyczy w domu najwyraźniej pustym:

— Johanna!

Johanna odeszła — powiedziała, że na zawsze.

Po raz pierwszy w życiu Abel zląkł się, że to prawda.

— Nie przeszkadzam?

— O! Pan Young.

Spojrzawszy znad przeglądanych papierów, Robert O. Kelly poderwał się z fotela zelektryzowany. Był stropiony: Abel, zgodnie ze zwyczajem narzuconym przez redaktora naczelnego, zastał drzwi otwarte i nie zapowiedziany cicho wszedł do jego gabinetu.

— Czuję się doprawdy zakłopotany.

— Ależ, panie Kelly, bardzo proszę, niechże pan usiądzie! To wszystko jest bezsensowne.

— Panie Young, powinien pan był mnie wezwać.

— Pan chyba żartuje?

Mimo nalegającego zaproszenia młodego gościa Kelly nadal stał przed biurkiem. Abel, zmieszany, że tamtego wprawił w takie zmieszanie, w końcu wskazał bez słowa na kanapę, na której mogli porozmawiać nie tak oficjalnie.

— Byłbym przyszedł do pana gabinetu.

— A to dlaczego? Dlaczego pan miałby...

— No... nie wiem, ale... Jeremy, kiedy chce się ze mną widzieć...

— Dzwoni po pana! Po człowieka, któremu winien jesl szacunek chociażby z racji wieku? Zawsze byłem zdania, że mój brat to gbur!

— Panie Young!

— I przede wszystkim bardzo proszę przestać mi „panować", przecież to śmieszne.

Kelly rozluźnił się nieco; usiadł na poduszkach z płowej skóry w przeciwym niż jego rozmówca rogu kanapy. On, tali czuły na punkcie savoir-vivre'u, był wzruszony uważaniem, jakie miał dla niego Abel. Pomyślał o czymś nader ciekawym: z dwóch synów Eliotta E. Emersona ten, który uchodził za wiejskiego prostaka, okazywał się chodzącą uprzejmością — i to autentyczną uprzejmością, bo płynącą z serca

A tymczasem playboy z Piątej Aid, mający pretensje do dobrych manier, przy każdej okazji dowodził całkowitego braku wychowania i rzadkiego chamstwa. Jest w tym, myślał Kelly, coś jakby ostatnia złośliwość przeznaczenia zamierzona przez „Trzy E", coś jakby jego figiel z zaświatów: duch tego mężczyzny tak wytwornego, ugrzecznionego, dystyngowanego, ale zarazem bardzo sztywnego i dbałego o nienaganny strój, wdelił się w bastarda o nonszalanckim sposobie byda w stylu cyganerii, odzianego byle jak. Odzianego byle jak, to prawda, lecz zawsze schludnego, odnotował w duchu Kelly, przywiązujący wielką wagę do schludnośd: wydawała mu się bowiem odbidem jakiejś wewnętrznej klarowność, moralnej czystośd. W grunde rzeczy, myślał dalej, jakie znaczenie ma sposób ubierania się tak daleki od mody Eventsa, sposób ubierania się w studenckim stylu z Berkeley? Jakie znaczenie ma wygląd zewnętrzny? Czyż tym, co powinno się liczyć, nie jest autentyczność uczuć, szlachetność serca? I czyż Abel nie dał mu właśnie porządnej nauczki wtrącając w rozmowie to okrutne stwierdzenie: „Dzwoni po pana"? Nie miał przy tym najmniejszego zamiaru dokuczyć mu — Kelly doskonale to wyczuł. Ta poufałość wskazywała raczej na swego rodzaju szczere zainteresowanie, może nawet jakąś serdeczność: bez denia okrudeństwa chłopak po prostu zwracał uwagę starszemu mężczyźnie, że dał się Jeremy'emu całkowide podporządkować. I w rzeczy samej, był do tego stopnia jego niewolnikiem, że nawet przestało go szokować, iż musi latać na zawołanie człowieka młodszego od siebie o dwadzieśda osiem latl

Zdecydowanie Robert G. Kelly odkrywał w sobie coraz większą życzliwość dla tego postrzeleńca spadłego z innej planety w niebezpieczny świat Eventsa, w samo serce dżungli o zatrutej atmosferze, gdzie królowała przemoc, która choć wytłumiona, nie była przez to mniej zajadła. Wydawało się, że w tym miejscu trwa zawiązany wieczny spisek i w niedalekiej przyszłości Abd stanie się jak znalazł jego ofiarą...

A tymczasem redaktor naczelny — pełniący zarazem funkcję dyrektora wydawnictwa—dosyć cynicznie uznał, że wkroczenie na scenę „bękarta" posłuży mu w umocnieniu władzy. Kay i Jeremy, przeniósłszy swą kretyńską nienawiść na człowieka zwanego „spadkobiercą-niespodzianką", zo-

stawią mu, jak sądził, nieco większą swobodę działania w zarządzaniu Eventsem. Abel stanie się więc kozłem ofiarnym, a jemu matka i syn nie będą tak siedzieli na karku. W razie czego on też zrzuci wszelkie grzeszki na bękarta, by wzmocnić swój wpływ na tych dwoje psychopatów...

Bardzo szybko jednak Kelly jął sobie wyrzucać, że obmyślił taki makiaweliczny plan. Teraz przerażało go to, co słyszał — nieoczekiwane napaści Kay i Jeremy'ego na „bękarta", dwuznaczne wypowiedzi, jakie im się czasem wyrywały, nagłe wybuchy nienawiści. Zastał ich raz, gdy rozmawiali o Ablu jako o „człowieku do odstrzału". I poczuł naraz, że ma obowiązek chronić tego chłopca, do którego żywił skrywaną sympatię: widział, jak Lady Mc Beef i jej kochanek Leonard Howard prowadzili knowania, by ubezwłasnowolnić Faye, będącą przecież z Emersonów; mógł się zatem obawiać najgorszego dla młodego Younga.

Czuł, że to pośmiertne przesłanie „Trzech E": odtąd musi strzec Abla, choćby przez szacunek dla pamięci szefa. I jak Ed Barrett był wskazanym w testamencie wykonawcą ostatniej woli Eliotta E. Emersona, tak Robert G. Kelly uważał się za faktycznego wykonawcę jego testamentu duchowego...

Jakże trudno jednak było pomagać Ablowi! Ten chłopak tak potrafił zbijać z tropu, był tak nieobliczalny. Odrzucał wszystko — albo prawie. Odrzucał zaszczyty i odrzucał władzę. Odrzucał ją łącznie zjej zewnętrznymi oznakami: nie zgodził się na ochronę ani na prywatną limuzynę, ani na szofera, ani na trzy sekretarki, ani na pierwszeństwo w korzystaniu ze śmigłowca. „Co może być tak pilnego do zrobienia, żeby potrzebny był śmigłowiec?" zauważył.

Nie chciał też rozległych apartamentów dyrektorskich, które za życia „Trzech E" należały do jego brata. „Ależ to straszne bezguście! — zawołał, gdy mu je pokazano. — Jeśli już koniecznie muszę mieć gabinet, to dajcie mi pokoik na parterze koło kafeterii. Wystarczy mi stół, krzesło, telefon i wieszak na ścianie, żebym miał gdzie umieścić liny i uprząż. To na wypadek, gdyby mi się zachciało wspiąć na wieżę po południowo-wschodniej krawędzi, która wydaje mi się diablo ciekawa!"

Obecni roześmiali się sądząc, że to dowcip: kto byłby na tyle stuknięty, żeby wspinać się na Events Tower jak na szczyt górski?

Abel Young jest zdecydowanie człowiekiem zaskakującym, pomyślał wtedy poruszony Kelly.

Istotnie był zaskakujący. Czyż nie przyjął pensji w wysokości 180 000 dolarów, choć na wszystko mówił „nie"?

Ale oto nowy powód do popłochu, nowy skandal: natychmiast po wyrażeniu zgody Abel oświadczył, że połowa owej pensji ma być w całości przekazywana na rzecz Koła Filharmonicznego Eventsa, które odtąd co niedzielę będzie dawało bezpłatne koncerty przed budynkiem, na placu niedawno ochrzczonym imieniem Eliotta E. Emersona, a także wykorzystywana na inne imprezy kulturalne organizowane przez stowarzyszenie pracownicze: taneczne, teatralne itp.

Takie oto zdumiewające pomysły miał Abel.

Toteż od ponad miesiąca wszyscy żyli w niespokojnym wyczekiwaniu: jaką rolę będzie odgrywał? do czego dąży? czego chce dokonać w łonie koncernu? Miała miejsce wspinaczka na wieżę, która okazała się wspaniałą, choć przypadkową reklamą dla Eventsa. Odbyła się konferencja prasowa, na którą w końcu się zgodził: przez dwie godziny zwariowanymi odpowiedziami i dowcipami otwarcie wykpiwał swoje śmieszne obowiązki prezesa. No i były te zaiste niestosowne oświadczenia dla pism konkurencyjnych dla „Eventsa", oraz, co gorsza, dla gazet kontrkultury, takich jak „Evergreen" czy „Ramparts", których sympatię sobie pozyskał. Kiedy się skończą te fanaberie?

Kelly chętnie by doradził Ablowi, pokierował nim i ustawił rzeczy tak, by jego władza równoważyła władzę Jeremy'ego. Potrzebny był ktoś, kto by sprzeciwił się obłąkanym planom, jak na przykład „Tuxedo", kto by położył kres chaosowi i podtrzymał w całym koncernie ducha, który stanowił o sukcesie wydawnictw Eventsa; słowem, potrzebny był ktoś, kto by kontynuował dzieło „Trzy E". W czasach gdy „Trzy E" kierował Eventsem, zawsze przeciwstawiał się wszelkim pomysłom (jeśli w ogóle można to nazwać pomysłami!) rzucanym przez syna. KeUy miał świado-

mość, że utrzymuje kurs nadany przez Eliotta, lecz, niestety! nie posiada jego autorytetu. Abel mógłby narzucać swoje poglądy i służyć mu niejako za tarczę w tej niepewnej walce, w której powoli tracił siły, energię, a ostatnio nawet sen. Dwie osoby to wcale nie zanadto, by stawić czoło obłąkanej ambicji Kay i zarozumiałemu w swej niekompetencji Jere-my'emu...

Lecz nie! Abel nie chciał ofiarowywanej mu władzy. Abel, jak się wydawało, w ogóle nic nie chciał. I Kelly męczył się w oczekiwaniu.

Wracała mu jednak mglista nadzieja. Abel każdemu, kto chciał go słuchać, opowiadał, że chce się nauczyć fachu. I w rzeczy samej, coraz częściej w ostatnim czasie widywano go, jak plącze się po piętrach Events Tower, ogląda, wypytuje, spotyka się z różnymi ludźmi, rozmawia z nimi, uważnie ich słucha, każe sobie wyjaśniać pożytek z rozmaitych działów i ich funkcjonowanie. Jeremy'emu, władcy z prawa boskiego, nigdy nie przyszło to do głowy...

Jcremy zresztą, kiedy się dowiedział, dopatrzył się w tym natychmiast zamachu na swoją władzę i prestiż. Ponieważ był człowiekiem obłudnym i zepsutym, zaraz opadły go szalone obawy: czy „bękart" nie zawiązuje właśnie spisku w niego wymierzonego? Czy „bękart" nie szuka poparcia i przyjaciół w celu dokonania przewrotu pałacowego? Chyba że chce go po prostu chyłkiem ośmieszyć i w ten sposób poderwać jego autorytet. Bo czyż nie widziano, jak „bękart" rozprawiał z dziennikarzami, żartował w towarzystwie związkowców, śmiał się z kawałów zwykłego gońca? Czyż nie mówiono, że zdarza mu się pić kawę przy kontuarze kafeterii dla personelu i korzystać czasem nie z toalet dyrektorskich, lecz przeznaczonych dla pracowników? Było coś jeszcze gorszego, jak opowiadano: otóż pewnego ranka zawoła] czyściciela szyb, gdy ten pojawił się za oknem gabinetu przydzielonego Ablowi na ostatnim piętrze. Chciał mu pokazać pewniejszy sposób zamocowania uprzęży do liny asekuracyjnej platformy. Jeremy był tym oburzony: żeby Emerson zniżył się do rozmowy ze zwykłym czyścicielem szyb! Po czym zalęgły się w nim podejrzenia: czy Abel nic opłaca tego czyściciela, żeby go szpiegował?

Kelly musiał zastosować cały swój wyostrzony zmysł dyplomacji, by przekonać starszego syna nieżyjącego szefa, że „bękart" jest za tępy, by wymyślić coś takiego. Jednakże wśród pracowników Eventsa popularność „bękarta" wciąż rosła, czym Jeremy czuł się głęboko dotknięty.

— Chciałeś się ze mną widzieć, Abel?

— Tak.

Wahał się chwilę, po czym odważył się powiedzieć:

— Widzisz, Robert, zupełnie nic nas nie łączy. Nie jesteśmy z tego samego obozu, nie mamy takich samych poglądów. Wiem, że reprezentuję to wszystko, czego ty nie cierpisz: popalam sobie...

— Och, ja też to robię.

— Tak, aleja trawkę, Robercie. I słucham rock' n'rolla. I lubię Beatlesów. I moja garderoba składa się z trzech par dżinsów i pięciu, sześciu bawełnianych koszulek. I jestem za wycofaniem się z wojny w Wietnamie... Ale mimo tego, co pewnie myślisz o mnie, tak się składa, że mam dla ciebie szacunek. Na swój sposób. Chcę przez to powiedzieć, że w ogóle nie wiem, dlaczego cię szanuję, ale tak już jest... Toteż przyszedłem do ciebie niejako szef, którym zresztą nie jestem, tylko w pewnym sensie jako jeden z twoich współpracowników, który widząc twoje drzwi otwarte, pozwolił sobie wejść i poprosić o radę. W końcu chyba dlatego zawsze pilnowałeś, żeby tych drzwi nie zamykać...

— Istotnie.

— Wiesz, Robert, chciałem z tobą pogadać o... no, o całej tej absurdalnej sytuacji, jaką stwarza moja obecność tutaj. Chciałem pogadać o tym ciągłym napięciu, które dla mnie jest nie do zniesienia. Robert, na pewno masz świadomość, że to nie może dłużej trwać. Powoli coraz bardziej grzęźniemy... Ja w tej firmie jestem obcy. I doskonale wiem, że zawsze tu będę takim „nawisem". Jak podłogi...

— Jak podłogi?

— Tak, dowiedziałem się o tym z prospektu, który hostessy rozdają zwiedzającym przy wejściu. Nigdy go nie czytałeś? Powinieneś! Wiem teraz na przykład, że podłogi w Events Tower zostały zbudowane metodą nawisów. Pasjonujące, nie?

— Zabawny z ciebie chłopiec, Young! — mruknął Kelly.

Rozluźniał się z wolna i wygodniej rozsiadał na miękkiej kanapie.

Abel, nabrawszy zaufania, podjął:

— Przyznaj, Robert, ale szczerze: ty też uważasz, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu! Ja się nadaję mniej więcej tak samo na prezesa Eventsa jak miss Hepplewhite na kandydatkę do tytułu Miss Świata 1967!

— Taka była wola twojego ojca.

— Ale cóż on wiedział o mnie, kiedy przyszła mu do głowy ta zachcianka?

— Pozwól, Abel, że coś powiem: twój ojciec nigdy się nie pomylił w ocenie wartości człowieka...

— Wiem: na przykład ożenił się z Kay Mc Kay! — przerwał mu drwiąco Abel.

— To było coś innego — rzekł Kelly, zakłopotany uwagą. — Abel, przeszło trzydzieści lat z nim pracowałem, bez wątpienia byłem jego najbardziej zaufanym człowiekiem i chyba mogę twierdzić, że spośród tych, którzy z nim obcowali, ja najlepiej go znałem... I nigdy nie wątpiłem w słuszność jego decyzji. To nie była... zachcianka, wbrew temu, co utrzymujesz. Obarczając cię tą funkcją, Eliott Emerson wiedział, co robi. Posłuchaj, Abel: o twoim istnieniu dowiedziałem się równocześnie z panią Emerson, twoim bratem i... resztą świata. Byłeś tą „wielką niespodzianką", o której w zawoalowanych słowach napomykał Barrett, „wielką niespodzianką", do której twój ojciec czynił do mnie aluzje w czasie jednej z ostatnich z nim rozmów telefonicznych. I rzeczywiście, jak na niespodziankę...! Wierz mi jednak: jeśli byłem zdziwiony (a kto by nie był na moim miejscu?), jeśli nawet ciut za mocno okazywałem zdziwienie (czego teraz żałuję), to nigdy, słyszysz? nigdy nie pomyślałem, że... „Trzy E" popełnił omyłkę. Ufałem jego wyborowi od samego początku, odkąd zobaczyłem cię wchodzącego na kolegium. Wiedziałem, że się nie pomylił... I wbrew temu, co zdajesz się sądzić, Abel, wcale mnie nie rozczarowałeś: jesteś młodzieńcem inteligentnym, wykształconym, uczciwym i prawym... Co zresztą budzi we mnie największe obawy. Bo, wiesz? trochę się o ciebie boję...

— Pochlebiasz mi, Robercie, i zobowiązujesz. Ale nawet przyjmując, że masz słuszność i że mój ojciec też miał słuszność, równie dobrze jak ja wiesz, że inteligencja, wykształcenie, uczciwość, prawość... to nie dość, żeby kierować koncernem takim jak £vents. Ja nic nie umiem, Robert! Nic. Wydawało mi się, bo to często słyszałem, że „Trzy E" nade wszystko nie znosił tego, co nazywał „niekompetencją"... Ja jestem niekompetentny, Robercie, i tyle. I chcę się nauczyć. Być może uznam się za godnego kierowania £ventsem, kiedy wszystkiego spróbuję, o wszystko się otrę, popracuję we wszystkich zawodach związanych z prasą. Wtedy kto wie? Jeśli na to zasłużę, a przede wszystkim jeśli nie będę do tego wszystkiego czuł wstrętu, jeśli będzie to jeszcze miało dla mnie jakiś sens, zostanę prezesem koncernu, czemu nie?

— Takie poczucie odpowiedzialności przynosi ci zaszczyt, Abel, ale co dokładnie zamierzasz robić?

— Otóż najpierw chciałbym wyjechać na reportaż. I to daleko...

— Daleko? — zawołał skonsternowany Kelly. Nie miał najmniejszej ochoty na to, żeby Abel wyjechał i znowu zostawił go samego z Jeremym.

— No i widzisz! — ironicznie stwierdził Abel, który źle pojął znaczenie okrzyku Kelly'ego. — Od razu się wygodnie ustawiam. Mówię, że jestem gotów robić wszystko, a zaczynam od tego, że chcę zostać zagranicznym reporterem. Co w końcu jest czymś. Zwłaszcza w piśmie tak prestiżowym jak „Events"... Robert, chciałbym, żeby mnie wysłano do Wietnamu.

Kelly drgnął.

— Do Wietnamu? Ależ... Ależ, Abel, to bez sensu! Przecież składałeś oświadczenie... zdaje się, że w „Timie"... że gdybyś miał być wysłany do Wietnamu, tobyś zdezerterował, tak?

— Gdyby mnie wysłano na wojnę, to tak. Ale jeżeli pojadę, to w tym wypadku wcale nie po to, żeby się bić. Przeciwnie, chciałbym spróbować... Ech, wybacz, jeśli wydam ci się okropnie pretensjonalny: chciałbym się dowiedzieć, co tam się dzieje, i zdać sprawozdanie naocznego świadka z tego, co zobaczę. Jeżeli nawet w skromnym zakresie może to być mój wkład w służbie pokoju... Och,

wiem! Uważasz, że to idealizm. Idiotyczny pomysł, pomysł studenta z Berkeley!

— Wcale nie. Ale jestem przerażony: Wietnam! Dla dziennikarza to nie wesołe przyjątko, wiesz o tym?

— Tego się nie boję. Bo nie boję się śmierci, odkąd przeżyłem pewną przygodę w Alpach. Robert, bez przesady z mojej strony mogę chyba powiedzieć, że lepiej będę się czuł w tym kraju w ogniu i krwi niż tutaj, w tych biurach, gdzie panuje atmosfera... zimnej wojny. Tak samo jak lepiej się czuję na lodowcu, niż kiedy byłem na przyjęciu wydanym przez „Lady Chic" z okazji dwieście pięćdziesiątego numeru.

— Czy dobrze to sobie przemyślałeś, Abel? Przepraszam, ale to wszystko trochę przypomina wariacki pomysł romantycznego nastolatka, pomysł, jakiego potem latami się żałuje. Wiesz, o czym myślę, Abel? O tych durnych filmach przedwojennych, gdzie młodzieniec z dobrej rodziny, którego czekała najwspanialsza przyszłość, przeżywszy miłosny zawód zaciąga się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

— Nawet nie wiesz, jak celnie trafiłeś — szepnął Abel enigmatycznym tonem, nie dopuszczającym odpowiedzi ani pytania o wyjaśnienie.

Zaintrygowany Kelly przyglądał mu się z sympatią. Czas jakiś trwało pełne zakłopotania milczenie, które w końcu przerwał Abel.

— Jesteś redaktorem naczelnym „Eventsa", Robert — rzekł ze stanowczością na twarzy. — Mianuj mnie asystentem redaktora albo stażystą, albo czym tylko chcesz, nie znam się na tytułach... i wyślij mnie z misją do Wietnamu. Chcę opuścić Nowy Jork w ciągu dwóch tygodni.

— Jestem zmuszony ustąpić — odparł Kelly. — Ostatecznie ty tutaj rządzisz. Ale pozwól sobie jeszcze powiedzieć, że bardzo mnie to smuci. Po raz ostatni spytam więc: czy jesteś pewien, że to nie jest pochopna decyzja, szaleństwo?... fantazja w stylu wspinaczki na wieżę?... Bo pamiętaj, że tego pomysłu, tej fantazji możesz żałować!

— Wszystko przemyślałem, Robercie. Wiem, że wprawiam cię w zakłopotanie, bo opinie, których może przyjdzie mi bronić, niekoniecznie będą opiniami „Eventsa", a ty będziesz czuł się w obowiązku opublikować je, ponieważ wyjdą ode mnie, jednego z dwóch głównych właścicieli gazety. Po-

staram się jednak w miarę możliwości niczego nie stwierdzać, nie dokonywać żadnych osądów. Jak powiedziałem, chcę być po prostu świadkiem.

— AbeU zgadzam się bez zastrzeżeń—rzekł Kelly, nagle jakiś uroczysty.—Mianuję cię głównym reporterem i zlecam wyjazd do Sajgonu.

Na co Abel dowcipnie odparł:

— Głównym reporterem? Szanowny panie redaktorze naczelny i dyrektorze, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się podporządkować.

I ci dwaj mężczyźni, których przecież tyle dzieliło, ze zdumieniem spostrzegli naraz, że śmieją się niczym kumple z wojska. Kelly zaś, gdy Abel podnosił się z kanapy, rzekł jeszcze do swego młodziutkiego szefa:

— Ty się nigdy nie zmienisz, chłopcze! Ale bardzo cię lubię...

Tego wieczoru Kelly gościł na kolacji w Sag Harbor. Kiedy oznajmił wielką nowinę, w jadalni przeznaczonej dla wąskiego grona biesiadników wybuchła radość.

— Wyjeżdżał Wyjeżdża!—zagulgotał Jeremy, klaszcząc w ręce jak dziecko.

A Kay z cynizmem, który wzburzył redaktora naczelnego, syknęła przez zęby zimno i obojętnie:

— Chce jechać do Wietnamu? Świetnie. Tam jest coraz bardziej niebezpiecznie. Odłamek pocisku, zamach, strzał przeznaczony dla kogo innego, zabłąkana kula... Nie trzeba wiele. Być może drogi Abel Young nie wróci stamtąd?

I wybuchnąwszy hałaśliwym śmiechem dodała:

— Być może zabłąkana kula nie tak całkiem się za błąka...

— Proszę państwa, wylądowaliśmy na lotnisku Tan Son Nhut. Jest godzina 16 czasu lokalnego, temperatura na zewnątrz wynosi 31 stopni Celsjusza. Linie lotnicze Pan Am życzą państwu miłego pobytu w Wietnamie. Dziękujemy za skorzystanie z naszych usług i liczymy, że niebawem znów

będziemy mieli przyjemność widzieć państwa na naszych trasach międzynarodowych.

Odór wdzierał się wszędzie, gdy tylko otwarto właz samolotu. Odór nieokreślony, lecz przenikliwy: obrzydliwy odór zgnilizny, stęchlizny, zepsucia. Odór śmierci. Odór odchodów i rozkładających się trupów. Odór Dalekiego Wschodu...

Na każdym większym lotnisku zawsze unosi się fetor nafty i palonej gumy. Lotnisko w Sajgonie było wówczas najbardziej Uczącym się w świecie lotniskiem handlowym: od początku „eskalacji" przewyższało, i to bardzo, dzienną liczbą przylotów i odlotów lotnisko najruchliwsze, którym był port w Chicago. Tam jednak nie dominował smród paliwa czy opon, rozgrzanych do białości przy spektakularnym krótkim hamowaniu lądującego samolotu wojskowego — w Sajgonie nad wszystko wybijał się odór.

Wisiał nawet na pasach, gdzie ogłuszająco ryczały silniki odrzutowe startujących F-104...

Abel zatrzymał się chwilę przy iluminatorze, by popatrzeć na liczną i różnorodną flotyllę latających maszyn poddawanych przeglądowi technicznemu lub gotowych do startu. Były tam mastodonty cywilnych towarzystw lotniczych, takich jak Japan Air Linę, Air France czy TWA, skromniejsze maszyny Air America, towarzystwa należącego do CIA, mrowie śmigłowców wszelkiego rodzaju i rozmiarów, a nieco na uboczu znajdowały się samoloty wojskowe: potężne K.C-135 Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych sąsiadowały z niepozornymi stalowymi owadami o smukłym żądle, do których podobne były widziane z daleka samoloty typu F-5 Skośni Tigers Wietnamskich Sił Powietrznych, najnowszy dar ludu amerykańskiego dla generała Ky.

Otworzono drzwi samolotu PanAm-u, przybyłego do Sajgonu z Los Angeles przez Tokio i Hongkong — i odór, straszny odór wtargnął falami do kabiny. A wraz z nim skwar. I odrętwienie... Abel rozpiął pasy i wmieszał się w falę pasażerów sunącą z wolna po schodkach trapu, jakby uśpioną przez narkotycznie wilgotne powietrze...

— Panie Young! Panie Youngl

U dołu trapu niewysoki człowieczek, łysy, gruby i rumiany, podskakiwał i dreptał w miejscu ciężko dysząc, niczym morski ssak wyrzucony na ląd. Wymachiwał do niego oszołamiającym kowbojskim kapeluszem typu stetson, ozdobionym złotą podkową i trójkolorową opaską w barwach amerykańskich. Miał na sobie rzucającą się w oczy marynarkę z madrasu, mokrą od potu na plecach i pod pachami, pstrokatą koszulkę hawajską, mieniący się krawat w psychedeliczny wzór z dominującą jaskrawą zielenią i krzykliwym pomarańczem, spodnie w szachownicę w stylu op-art, które sięgały mu do połowy łydek i odsłaniały wąski pasek różowej skóry nad czerwoną cholewką butów z wydłużonymi noskami, podwyższonymi ukośnie ściętymi obcasami i białymi frędzlami, jakie w cyrkach noszą stajenni na fantazyjnych rodeo.

Wielki Boże! pomyślał Abel. Czego ode mnie chce ten pajac? I niby dlaczego zna moje nazwisko? Czemu je tak wywrzaskuje? Potem przypomniał sobie, co powiedział Carson, w Nowym Jorku szef działu biur zagranicznych Evcntsa, kiedy przed wyjazdem dawał mu ostatnie zalecenia:

— Tam od chwili opuszczenia samolotu zajmie się panem Sweety Monroe. Zobaczy pan: jest trochę... oryginalny. Niewiarygodnie wulgarny. W ogóle nie „w stylu Event-sa", jak by powiedział pański ojciec. Bez przerwy terkocze jak najęty, zjadając połowę słów. Istna katarynka, panie Young! Nic pan nie wtrąci, bo jak tylko rozpuści język...! A na dodatek klnie jak woźnica... No i jeszcze to potężne brzuszysko i niesłychany ubiór: operetkowego kowboja! Wstyd się z nim gdziekolwiek pokazać. Zwłaszcza że przez cały czas opowiada o swoim życiu erotycznym. To strasznie zepsuty facet, który wyczynia paskudne rzeczy z dziwkami, rzeczy nienormalne... I który się tym chełpi!... No i bez przerwy się dotyka. To naprawdę zabawne indywiduum, zobaczy pan...

— Urocze rzeczy pan opowiada, Carson — ironicznie rzekł Abel. — Czuję, że świetnie się dogadam z tą nader interesującą osobą, zwłaszcza że lubię ludzi powściągliwych i małomównych, jak na przykład Sabaudczycy! Ale niech mi pan powie, dlaczego mam go mieć na karku?

— Ponieważ jest pan głównym reporterem, panie Young. A Sweety Monroe to mąż opatrznościowy wszystkich reporterów Eventsa. Może nieznośny, może trudny w obejściu... ale niezastąpiony. Nie znam nikogo, kto by sobie lepiej radził niż on. Załatwi panu wszystko, czego pan sobie zażyczy: dżipa, helikopter, samolot zwiadowczy... czy ja wiem zresztą, co? Czołg, bombowiec, rakietę, satelitę: wystarczy zadzwonić do niego z rana i powiedzieć, gdzie i o której. Będzie załatwione! Może panu znaleźć studio, laboratorium, teleks w każdej chwili, w każdych okolicznościach: wyniuchałby panu drukarnię albo kamerę w Hiroszimie, żeby pomóc „złapać" bombę. Jest, że tak powiem, czymś w rodzaju pałacowego odźwiernego, lecz na usługach korespondentów wojennych. W skali całego globu. Wie wszystko, zna wszystkich, jest za pan brat z całym światem, zawsze może zorganizować spotkanie, z kim tylko pan zechce. Nie dam głowy, czy gdyby pan poprosił o rozmowę w cztery oczy przy filiżance herbaty z Ho Szi Minem, nie odpowiedziałby: „Już moja w tym głowa!" Zadzwoniłby do dwóch, trzech swoich znajomych i powiedziałby panu: „Jest pan umówiony jutro o piątej. Proszę być punktualnie, bo wuj Ho nie lubi czekać..." Taki właśnie jest Sweety. Dokonywał naprawdę niesamowitych rzeczy na całym świecie. Kiedyśmy na przykład podsunęli mu w „Eventsie" tę aferę z biskupem Las Vegas, który zmówił się z mafią... z monsignorem Plahertym, pamięta pan może tę historię? No więc właśnie Sweety załatwił nam spotkanie z jego świątobliwością we własnej osobie, żeby o tym pogadać. Sweety to naprawdę król kombinatorów. Zawsześmy zresztą podejrzewali, że bliżej lub luźniej, ale raczej bliżej jest związany z CIA. Tylko nie staraliśmy się nigdy za dużo wiedzieć: z ludźmi tego pokroju nigdy nic nie wiadomo. Najlepsze wyjście to przymknąć oczy: dopóki tak dobrze się spisuje!... Sweety to żyła złota dla chłopców, których tam posyłamy. Wszyscy za nim przepadają: przygotowuje im wyprawy, dostarcza informacji. Im pozostaje tylko zredagowanie materiałów. Zobaczy pan, bardzo szybko nie będzie pan mógł się bez niego obejść.

— Skąd to przezwisko?

— Marvey raz go tak nazwał i przylgnęło. Chyb a to było w czasie afery sueskiej: z kilkoma dziennikarzami znalazł się

w oblężonym cfleście i jakby nigdy nic objadał się wschodnimi słodyczami, podczas gdy artyleria waliła aż grzmiało, a ludzie wokół padali jak muchy... A może to było na Cyprze, sam już nie pamiętam. W każdym razie Marvey, który robił zdjęcia, powiedział: „Hej, Sweetyl może byś przesunął to swoje miącho, żebym mógł obstrzelać trochę z tamtej strony. Właśnie pracuję na Pulitzera, Sweetyl..." Sweety: to do niego pasuje. Ten wieprz obżera się tylko słodyczami. Może zjeść tysiąc kostek rachatłukum na śniadanie.

— A jak mu na imię?

— Przyznam się, że zapomniałem. Wszyscy tak przywykli mówić do niego Sweetyl... Sam zresztą tak się przedstawia: Sweety Monroe...

I w rzeczy samej tak właśnie przedstawił się totumfacki korespondentów Eventsa oddelegowanych do Sajgonu. Wyciągnął tłustą, miękką i wilgotną dłoń, którą Abel uścisnął, powstrzymując grymas odrazy. W drugiej ręce trzymał numer „Life'a" otwarty na stronie, gdzie fotografia jego młodego pracodawcy ilustrowała opublikowany niedawno artykuł poświęcony „Edmundowi Hillary'emu drapaczy chmur".

— Sweety Monroe—rzekł, plując śliną Ablowi w twarz. —Dzięki temu poznałem pana, szefie. Konkurencja! Śmiesz ne, co? Świetny artykuł zresztą. Nadzwyczajny. Precyzyjny. Udokumentowany. Pozwolił ździebko pana poznać. Za szczyt pana witać. Bardzo lubiłem pana ojca. Naprawdę. To był ktoś, hę? Geniusz! „Trzy E" to geniusz! Ale wie pan, śmieszny pomysł: przyjeżdżać do tego cuchnącego kraju. Gdzie wszystko śmierdzi gównem. No, nie moja sprawa. Pan wybaczy, szefie. Mam panu robić za niańkę, a nie wypyty wać, nie? Już ja się panem zajmę. Zobaczy pan. Sztab czeka w komplecie. Bar w „Caravelle". Trza powiedzieć, że zakłopotani na początek. Wszyscy. Nawet Griffith. Nawet Lachaux. Pan rozumie: przyjeżdża sam szef! I te rzeczy. Sprawa inspekcji frontu. No i zna się pana wyczyny i oświad czenia z gazety z naprzeciwka! Powiedzieliśmy sobie, za przeproszeniem: chłopak wydaje się fajny. Powinno się ułożyć. Ho ho, to ci numer: wspiąć się na tę budę! Winszuję. Niech pan nie... O! madame Phong Lan leciała z panem. Nie

wiedział pan? Ma najlepszą siatkę luksusowych dziwek w Sajgonie. I pierwszorzędny burdel dwa kroki od „Continentalu". Genialna sala tortur i cała reszta. Pewnie była w Hongkongu w interesach: Phong Lan to milionerka! Phong Lan znaczy orchidea. Madame Orchidea. Śmieszne, co?

Abel nie zdołał jeszcze wypowiedzieć ani słowa, choćby wtrąconego, w potok refleksji, pytań, uwag wyrażanych modulowanym wysokim głosem: Sweety Monroe mówił, mówił, mówił. I klął. Carson w sposób niezbyt zachęcający opisał Ablowi tego osobliwego rajfura o wyglądzie rosyjskiej wańki-wstańki i wcale nie przesadził, ale też Abel szybko ocenił, jak wielkie ten człowiek ma wpływy i znajomości. Z szacunkiem pozdrawiani przez wielu urzędników cywilnych i wojskowych portu lotniczego, minęli nawet nie zwalniając kroku wszystkie punkty kontrolne, bardzo drobiazgowe w swych obowiązkach, odkąd w Sajgonie i okolicach wzrosło zagrożenie, podczas gdy przed przenośnymi kontuarami ustawiały się długie kolejki pasażerów poddawanych rewizji.

Odebrali skromny bagaż Abla i ciężką skrzynię z książkami, nawet ich nie otwierając przed celnikami, którzy niedbale przysiadłszy pod rozkładem lotów, zajadle wykłócali się przy partyjce kości. Idący przed Ab lem Sweety Monroe odprawił trzech tubylców, którzy zastąpili mu drogę proponując niczym na licytacji — ale licytacji na opak — piastry po coraz to niższym kursie, i poprowadził go do cadillaca Eventsa. Abel zdziwił się, kiedy ujrzał, iż drzwiczki otwiera im nie wietnamski kierowca, siedzący już za kierownicą i gotowy ruszyć, lecz amerykański Murzyn, który podniósł kufer z książkami, jakby brał w rękę lekką torebkę. Był to olbrzym o brutalnej twarzy, dziobatej skórze, ale starannie odziany w trzyczęściowy popielaty garnitur i niebieską jedwabną koszulę, nieskazitelnie świeżą. Pod cienkimi, leciutko szeleszczącymi tkaninami bardzo wyraźnie rysowały się przy każdym poruszeniu torsem wypukłe mięśnie, a pod prawą pachą olstro w widoczny sposób wypychało alpagową marynarkę.

— Nasz mańkut, Lulu Davis. Opieka bezpośrednia, szefie.

Tak Swecty Monroe przedstawił szeptem człowieka z ochrony osobistej. Abel, któremu wydawało się to zbędne i wręcz niemile, chciał o coś zapytać, ale jego przewodnik nie dał mu czasu: już podjął na powrót swój zaśliniony, dyszkantowy monolog.

Wszyscy trzej zapadli się w aseptyczny chłód limuzyny zaopatrzonej w klimatyzację.

Odór na zewnątrz wydawał się jeszcze bardziej przesiąknięty zgnilizną niż na lotnisku.

* *

Kong Ly. Wzdłuż drogi łączącej Tan Son Nhut z sercem Sajgonu przesuwały się za przyciemnionymi szybami cadillaca bogate wille kolonialne, wzniesione w czasach, gdy Wietnam na mapach pisał się „Indochiny". Ablowi przypominało to francuską willegiaturę tkwiącą nadal w okresie międzywojni^: Vichy, Evian bądź Niceę, gdyby nie roślinność: tropikalne bujne palmy i bambusy przemieszane *z* kwitnącymi czcrwc&o btczylkami. A zwłaszcza gdyby nic natężenie ruchu ulicznego: na jezdni przez gęsty tłum pieszych z trudem torowały sobie drogę rowery, ryksze, skutery, wózki ręczne, taksówki renault 4 CV, a jeszcze gorzej miały duże samochody amerykańskie i ciężarówki wojskowe — w tym rojnym tłumie panował pośpiech i zapobiegliwość, charakterystyczne dla krajów Dalekiego Wschodu.

— Do wynajęcia, jeśli pan chce. Do wynajęcia. Do wynajęcia...—powtarzał Sweety Monroe, co rusz wskazując na bramy lub werandy zasłonięte kwiatami. — Kawałek chleba. Wszystko wliczone łącznie z pięcioma, sześcioma żółtkami do woskowania parkietów...

— Z pięcioma, sześcioma czym?

— Żółtkami. No, wie pan, co chcę powiedzieć, szefie.

— Nie. Wydawało mi się, że ludzie w tym kraju nazywają się Wietnamczycy. I bardzo proszę nie mówić do innie „szefie".

— Jak pan chce. No więc mówiłem: Wietnamce...

— ...namczycy.

— Taaa: namczycy. Wietnamczycy...

Kiedy Sweety bezmyślnie dalej plótł, co mu ślina na język przyniosła, Abel wspomniał refleksję, jaką poczynił Jacques Servoz, gdy opowiadał o wojnie algierskiej: „Odmówiłem torturowania Kabylów z dopiero co „oczyszczonej" wioski — tak parszywie nazywano wtedy tego typu operacje: oczyścić, jakby szło o śmiecie, a nie ludzi..."

A w Afryce Północnej Francuzi i „bougnoules" przynajmniej umieli współżyć. Niewątpliwie w braku wzajemnego zrozumienia, w nienawiści, ale współżyli. Amerykanie zaś byli kompletnie obcy temu krajowi. Byli, niczym w komiksie fantastyczno-naukowym, Ziemianami z jakiejś cywilizacji przyszłości, którzy lądują na innej planecie — tyle że nie zielonych, a żółtych ludzików. Lądują wraz z kompletem ziemskich przesądów, z pełnią poczucia wyższości, z wrogimi uprzedzeniami.

Wśród niepotrzebnych klamotów reportera wojennego, w jakie zaopatrzono Abla przed wyjazdem, znalazł rozmówki angielsko-wietnamskie *Easy Vietnamese,* rozdawane w armii oficerom. Zrazu, kiedy je przeglądał, ogarnął go szalony śmiech. Były tam same lękliwe wezwania, skargi, okrzyki strachu, lamenty i pogróżki: Na pomoc! Przepadłeml Jestem ranny. Pić. Stać! Nie ruszać się! Nie strzelać! Wykonać albo strzelam! Abel zapamiętał, że to ostatnie po wietnamsku brzmi tak: *Tuan knh khong toi ban*

Nade wszystko jednak zachwyciło go zakrawające na kpiny *Dirng co gio troi,* czyli: Nie próbuj mnie wykiwać!

Potem zaś uznał, że jest to żałosne, zasługuje na pogardę. I rozbawioną ciekawość zastąpiła odraza: autor rozmówek, Nguyen Dinh Hoa, profesor z Illinois, nie wydawał się dopuszczać do siebie myśli, że między jego rodakami i Amerykaninem mogą istnieć stosunki inne niż oparte na lęku i wrogości.

Niestrudzony Sweety Monroe ciągle zasypywał Abla potokiem słów:

— Pan patrzy, szefie. Tam, z tyłu. Polecam u niego wymieniać. Żaden tam Indus czy Chińczyk. Wietnamiec...

— ...namczyk — jednakowo niewzruszenie poprawiał Abel.

W końcu Sweety dla żartu postanowił mówić już nie „Wietnamiec", lecz „Namczyk".

— Niesamowity Namczyk. Z nim wszyscy chłopcy z Eventsa załatwiają, co im trzeba. Duc Nhat. Ja im wyniuchałem tego Namczyka...

Aż doprowadzony do rozpaczy Abel zawołał:

— Wiet-nam-czyka!

Po czym żartobliwie zagroził:

— Sweety, *tuan lenn khong toi bani*

Sweety Monroe, zaskoczony zupełnie nieoczekiwaną irytacją i autorytatywnością, wreszcie zamilkł na kilka chwil.

Limuzyna przejechała ulicą Gia Long, potem między ruchomymi zasiekami i zaporami przed pałacem prezydenckim i sądem, wolniutko przebyła rojny rynek Cho Ben Thanh, po czym pomknęła w kierunku nabrzeża Bach Dang. Abel, czatujący na wszystko, wykręcał sobie szyję, wiercił się na siedzeniu, podczas gdy Sweety, którego milczenie nigdy długo nie trwało, służył mu teraz za przewodnika:

— Sampany cumują przy tym tam cyplu, a tu restauracja My Canh. Po lewej złodziejski targ. Dalej targ kwiatowy. A zaraz skręcimy w ulicę Tu Do. Wie pan, to dawna ulica Catinat. W Sajgonie to miejsce, gdzie rozgrywają się wszystkie sprawy.

— Wszystkie? — udało się wtrącić Ablowi.

— Tak. Bo tu jest „Caravelle", „Continental", salon herbaciany w „Givralu", „Bar de la Pagode", „Bougnat", agencje: UPI, Reuter, no i najpiękniejsze w świecie dziwki.

— I to ma być wszystko?

Stropiony Sweety nie odpowiedział, lecz mówił dalej:

— Tam, na rogu „Majestica"...

— Hej! „Majestic" to mój hotel! — zawołał Abel.

— Jak to? Przecież wszyscy mieszkamy w „Caravelle"!

Abel nie odważył się przyznać, że z tego właśnie powodu postanowił zatrzymać się w „Majesticu", nieco staromodnym luksusowym hotelu w stylu kolonialnym, w którym okna apartamentów wychodzą na port. Spróbował zatem inaczej wyjaśnić, dlaczego chce być na osobności:

— Nie chciałem was krępować. Moglibyście być nieza dowoleni z mojej obecności...

Sweety Monroe był jednak zbyt wulgarny, by właściwie odebrać tego rodzaju subtelność.

— Co też pan! Gdzie by nam pan przeszkadzał! — ob ruszył się. — Przeciwnie! A na dodatek, szefie, „Caravelle" to nowocześniejszy hotel. Podobny do „Hiltona". Nie to co te stare chałupy Francuzów.

Abel nie odważył się przyznać również do tego, że to był drugi powód, dla którego wybrał „Majestica".

— No i w „Caravelle"—kontynuował Sweety —mamy taras na ostatnim piętrze: coś cudownego do oglądania bombardowań...

— Co?

— No tak. Nazywamy to „fajerwerki". Teraz są prawie co noc. To się nazywa pacyfikacja. Chodzimy więc sobie na taras, darmowe widowisko. Kapitalne. Ja najbardziej lubię napalm. Jakie kolory!

♦ *

Abel przekręcił klucz w zamku, łokciem pchnął drzwi swojego apartamentu, rzucił na dywan plik papierów, dossier prasowych i rozkładówek, które wręczył mu attache biura prasowego armii, i machinalnie położył palec na kontakcie. Pohamował się jednak: przypomniał sobie, że żarówki w przedpokoju nie mają kloszy, więc światło oślepia — a czuł się taki zmęczony!

Po omacku ruszył zatem przez sinawą ciemność salonu, zręcznie omijając śliczny mebelek z laki i bambusa, i dalej, do sypialni. Mrok był tam nie tak gęsty. Reflektory samochodów i skuterów, ze strzelaniem silników przejeżdżających po nabrzeżu Bach Dang, bez ustanku rzucały na sufit wielkie snopy światła w regularne pasy, ześlizgujące się potem wzdłuż ściany.

Przykląkł z zamiarem odpięcia klamerek u spadochroniarskich butów, ale na to także czuł się zbytnio zmęczony, toteż kompletnie ubrany wyciągnął się na łóżku na białej sznurkowej narzucie. Z zewnątrz dochodził niezmienny, dręczący gwar portu, dochodził smród. Głośno pracujący wentylator powoli rozgarniał gęste, duszne powietrze. Szero-

ko otwartymi oczami, o niczym nie myśląc, przez chwilę patrzył na ruch jego piór, które składały i rozkładały wachlarz światła wokół żyrandola. Potem na chwilę przysnął.

Znajdował się w stanie odrętwienia nie będącego ani czuwaniem, ani snem. Jak w ciężkim pijackim śnie bez ustanku opadały go krótkie wspomnienia z pierwszego dnia reportażu, ulotne obrazy. Był odurzony faktami, czynami, daremnym niepokojem...

Zaopatrzony w legitymację MACV, magiczny klucz dziennikarzy na placówce w Sajgonie, cenną niebieską przepustkę uprawniającą do bezpłatnych przejazdów wszystkimi środkami lokomocji armii amerykańskiej i do wstępu na codzienne odprawy w Press Information Office, z samego rana udał się do Bień Hoa w towarzystwie Marveya i Sutto-na, dwóch czołowych reporterów Eventsa, którzy mieli go wtajemniczyć w arkana nowego zawodu, pokazać, jak się dostawać do miejsc operacji wojennych, jak zdobywać informacje. Praca w sumie nie taka trudna, ponieważ w dużym stopniu ułatwiana przez chętne do współpracy armijne biuro prasowe. Abel zorientował się niemal od razu, jak wielkie możliwości i prestiż mają korespondenci wojenni.

W samolotach pierwszeństwo mieli ranni, potem mężowie stanu, a po nich dziennikarze: w tej hierarchii znajdowali się przed niższymi oficerami, a nawet przed żołnierzami udającymi się z misją. Mieli wstęp wszędzie, a najbardziej się liczącym przysługiwała ranga generała brygady. Jeżeli w chwili startu w chinooku lub chactowie było wolne miejsce czy dwa, przyznawano je dziennikarzom na ich życzenie. „Można zaglądać pod łóżka i grzebać w szufladach, US Army nie ma nic do ukrycia", żartobliwie zauważył Marvey. I w rzeczy samej, jakby dając lekcję demokracji żywej i stosowanej na co dzień, wojsko zezwalało prowadzić dochodzenie w każdej sprawie, dowiadywać się o wszystkim, wszystko oglądać. Zgadzało się nawet na ostrą krytykę. Abel był zaskoczony stwierdziwszy to w czasie pierwszej odprawy wMACV.

Dziennikarze dla kawału przezwali owe odprawy *five o'clock follles* i w istocie sesje informacyjne, przez swoją

atmosferę łagodnego szaleństwa, miały w sobie coś zarówno z broadwayowskiego showu, jak i z herbatki ludzi światowych. Codziennie o siedemnastej dwaj, trzej oficerowie z PIO przedstawiali przebieg operacji, określali postępy jednostek wojskowych, powiadamiali o zamierzeniach i planach na dzień następny lub cały przyszły tydzień. Pokazywali rysunki, tabele, wykresy, diapozytywy i każdy — całkiem jak przedstawiciel jakiejś marki pojazdów lub sprzętu gospodarstwa domowego w salonie wystawowym — wręczał luksusowe wielobarwne rozkładówki swojego korpusu, sławiące ostatnie żołnierskie czyny łub dokonania użytych nowych rodzajów broni. A potem zaczynał się ostrzał: żądanie wyjaśnień, kłopotliwe pytania, ostre dementi. Wszystko, co zostało wcześniej powiedziane, przepuszczano przez sito. Haas albo Arnett z Associated Press, albo Simon-Pietri pozwalali sobie na wprawiającą w zakłopotanie zuchwałość, krzyczeli, grzmieli, zbijali punkt po punkcie argumenty, które nieśmiało wysuwali rzecznicy PIO. Sypały się zniewagi, inwektywy, ironiczne repliki, polemiki, liczby, dowody, fakty...

— Jak w końcu jest z Attelboro? Co się wydarzyło wczoraj w Long Binh? Pan powiedział, że zniszczono dwa działa stopiątki, a kolega, że pięć. Który z was kłamie? Czy rzeczywiście wyeliminowano trzystu Vietcongów w czasie tej operacji? Mówicie, że ile razy obracały B-52? Dlaczego oddział wrócił na An Khe? Dlaczego?... Ależ te wasze *body cotmt* to czysta kpina: liczycie nawet zabite dzieci, zakonnice i bawoły! Niedługo zaczniecie liczyć muchy! Ale 0'Brien twierdzi, że ten granatnik M-79 nie jest skończony: ma za duży odrzut, zdarzają się wypadki! Przecież 101. eskadra lotnicza służy tylko do testowania sprzętu! Przecież słynny skład paliw w Pei Jirin został już raz spalony w ubiegłym tygodniu, wymyślcie coś innego!

I tak dalej.

Fakty, dowody, liczby, polemiki, ironiczne repliki, inwektywy, zniewagi — absurdalna, nierealna komedia. Gra. Zwykła gra, która zrazu przyciągnęła uwagę Abla, ale go bardzo szybko znużyła. Iluzoryczna wydała mu się swoboda dowiadywania się o wszystko. Podając w ten sposób informacje, starannie przygotowane dokumenty prasowe,

prospekty podsumowujące zalety operacji Attelboro, wojsko niejako uprzedzało dziennikarzy. Wykorzystywało naturalną skłonność umysłów do intelektualnego lenistwa, by sparaliżować w każdym chęć zbadania, co się naprawdę dzieje, dogłębnego poznania ukrytego znaczenia wydarzeń. Zgadzając się na godzinną co wieczór ostrą krytykę w czasie owych *flve o'clock follies,* odwracało uwagę od powtarzających się porażek operacji Attelboro, nie pozwalało, by na forum publicznym poddano w wątpliwość zasadność jego działania. „Sprzedawało" prasie wojnę.

I złudna była swoboda oglądania wszystkiego: to, co przerażające, stawało się banalne, człowiek obojętniał na nieszczęście...

Abel jednak nie należał do ludzi, którzy mogą przywyknąć do rzeczy przerażających i nieszczęścia.

Przez cały dzień najpierw samolotem, potem śmigłowcem latał z Marveyem i Suttonem nad polami ryżowymi zniszczonymi napalmem, widział spalone wioski, zwęglone lasy, leje po bombach i pnie drzew, wyciągające; ku niebu kikuty okaleczonych gałęzi w jakby błagalnym geście. Chinookiem, później dżipem zawieziono go do jeszcze dymiących zgliszczy Ben Dinh. Tam w chmurze komarów i much zobaczył dziesiątki trupów wrzuconych do niegaszonego wapna; tam zobaczył ciała z odciętymi głowami w pobliżu stawu czerwonego od krwi; tam zobaczył bawołu rozciągniętego we własnych wnętrznościach; tam zobaczył wychudłego jak szkielet psa, jedyne w wiosce pozostałe przy życiu zwierzę domowe, wyjącego na śmierć; tam zobaczył półnagiego chłopczyka z rozerwanym brzuchem, leżącego pośród zeszytów i książek szkolnych; tam zobaczył zawiązanego w przezroczystym worku foliowym okaleczonego noworodka.

I zwymiotował do hełmu, który pożyczył mu jeden z amerykańskich żołnierzy — i który trzymał przez całą drogę w ręku, w ten odważny sposób zaznaczając, że on żołnierzem nie jest.

I zapłakał...

Nieszczęście, potworności...

Co tu było do zrozumienia? Czego tu miał się dowiadywać?

Abel przebywał w Wietnamie od trzydziestu zaledwie godzin, lecz miał już przeczucie, że z pewnością nie w barze w „Caravelle" przy szklaneczce Toma Collinsa, ani nie w „Dolce Vita" przy porcji łazanek, ani nie u „Bougnata" przy lampce beaujolais, ani nawet nie na odprawach w MACV zdoła kiedykolwiek coś pojąć—jeśli w ogóle z potworności można coś pojąć.

I również nie jako obserwator operacji wojskowych, choćby nie wiadomo jak ryzykował, czegokolwiek by miał się dowiedzieć —jeśli w ogóle o nieszczęściu można się czegokolwiek dowiadywać.

Kino „Eden", gdzie powtarzano słynne filmy francuskie, w tym czasie, w listopadzie roku 1966, wywiesiło afisz:

Wielkie złudzenia

Można było się dopatrywać w tym tytule czegoś więcej niż zwykłego przypadku w ustalaniu programu: boleśnie ironicznej aluzji do sytuacji.

Ale wojna nie była taką nieco sztuczną grą, sceną, po której poruszają się marionetki i pajace. Abel chciał się dowiedzieć — dogłębniej. Chciał zobaczyć — lecz inaczej. Musiał się zanurzyć w tę mroczną rzeczywistość ludzi, musiał głębiej się pogrążyć w człowieczej nędzy, brudzie, strachu, oszołomieniu, rozpaczy. I zaznawać czasem z nimi rzadkich chwil szczęścia, ulotnej radości...

Powinien żyć życiem piechurów w dżungli; powinien żyć życiem mieszkańców miast i ubogich wieśniaków, i handlarzy, i kurew, i dzieci...

Podniósł się ociężale z łóżka, na którym podrzemał z godzinkę, i zrzucając odzienie poszedł chwiejnym krokiem do łazienki.

Zapalona rampa świetlna pokazała mu w lustrze odbicie twarzy bladej, o ściągniętych rysach, zmrużonych z bólu oczach.

Odkręcił do połowy zimną wodę w prysznicu i z zapartym tchem wszedł pod cienki strumyk. A kiedy puścił wodę do oporu, wydał głośny okrzyk, w którym brzmiała rozkosz, ale i cierpienie.

Później, odziany w prostą koszulę, płócienne spodnie i sandały, wyszedł z „Majestica". Z rękami w kieszeniach zagłębił się w noc. Ciepłą, przesiąkniętą woniami noc...

Udzielono mu mnóstwa przestróg: żeby nie chodził tu czy tam, żeby zawsze miał się na baczności, żeby uważał w tłumie, żeby nigdy nie wchodził do dzielnicy Ban Co, żeby nie pił wody, żeby nie jadł owoców, jeżeli chce się ustrzec dyzenterii. Jeśli wierzyć temu, co mówił Sweety Monroe, ulice Sajgonu były bardziej niebezpieczne niż dziewicza puszcza na 17. równoleżniku. Jednakże Abel, podobnie jak poprzedniego dnia, jął chodzić, gdzie mu się podobało:..

Odoru nie czuł już —jakby zawsze mieszkał na Dalekim Wschodzie. Ciekaw wszystkiego, łaził beztrosko ulicami ubogich dzielnic, pośród tłumnego ludku, pracowitego i uśmiechniętego. I odkrywał rozliczne uprawiane przezeń profesje. Od wędrownego sprzedawcy, niosącego w wielkich koszach dzbany pełne gorącej zupy, kupował miseczkę *pho* lub *mień;* od staruszki skulonej w kącie kramu — nieco *tre,* czegoś podobnego do galaretki, słodkawej, mdłej, która obudziła w nim skojarzenie z zapomnianym smakiem z dzieciństwa. Mijał wyrwizęba z makabrycznymi trofeami zawieszonymi na szyi; człowieka, który mu proponował uszycie na miarę w dwadzieścia cztery godziny jedwabnego garnituru za niecałe osiem dolarów; inny, spotkany kiedyś nocą, oferował mu dwóch dwunastoletnich chłopców, „bardzo, bardzo miłych, panie generale, i bardzo zdrowych". To znów ktoś chciał zamienić jego zegarek na dwa identyczne, tyle że z mechanizmem *madę in Hong Kong.* Bez przerwy zaczepiały go prostytutki, brały go za rękę, wieszały się na szyi, całowały w policzki. Odnosił wrażenie, że tutaj wszystko można sprzedać albo kupić; że wszystko można ukraść. Ale ze swego rodzaju pogodną poczciwością.

Zaczepiano go w łamanym, bardzo śpiewnym angielskim. Odpowiadał nieskazitelną francuszczyzną i to ściągało nań coś na kształt rozweselonego poważania. Wahano się co do jego narodowości. Widywano go spacerującego ulicami, gdzie niewielu Amerykanów odważało się zapuścić, ale że był wysokim, dobrze zbudowanym blondynem, bardziej przypominał żołnierza rodem z Kalifornii niż europejskiego dziennikarza ciut lekkomyślnego.

Jakże polubił już ten kraj! Jakże lubił pozbawioną służalczości uprzejmość jego mieszkańców! Elegancję kobiet, subtelny gest, jakim przytrzymywały połę jedwabnej *ao dat,* gdy podwiewał ją wiatr. Wirtuozerię małych łobuziaków, którzy przeciskali się przez tłum na błyszczących rowerach. Ostry śmiech dzieci grających w kostki wprost na jezdni...

Z niejakim żalem wrócił do eleganckich dzielnic centrum. Zatrzymał się na trochę przed witrynami przy ulicy Nguyen He, przy której sklepy wydawały się tandetną repliką luksusowych butików Londynu, Mediolanu, Nowego Jorku czy Paryża. Wstąpił na chwilę do „CSgale", gdzie produkował się piosenkarz, który śpiewał po wietnamsku lekko orientalizującą adaptację *West Suk Story.* Zafundował sobie lody waniliowe u „Givrala". Już miał wracać do „Majestica", kiedy poczuł, że mimo skrajnego zmęczenia, nie zdoła tej nocy zasnąć: zbyt wiele rzeczy go intrygowało, podniecało, wabiło. Przywołał więc rykszę i kazał się zawieźć do Cholon.

Na końcu alei Le Van Duyet otwierał się świat jeszcze bardziej przesiąknięty zapachami, jeszcze bardziej hałaśliwy, jeszcze bardziej lepki, jeszcze bardziej tajemniczy: miasto chińskie, miasto nocy.

Bary, dancingi, domy schadzek, sale gry, restauracje, palarnie opium. I enigmatyczne neonowe ideogramy, i dwuznaczne świetlne reklamy, i krzykliwa muzyka ulicznej orkiestry, w której mieszały się dźwięki akordeonu z pradawnymi dzwonkami i gongami...

Abel nie czuł się jednak obco w tym osobliwym świecie. Zaczynało się weń wkradać oszołamiające, choć mgliste uczucie, że już tu żył w poprzednim wcieleniu.

— Przeznaczenie, panie! Twoje przeznaczenie!

Wróżbita pobiegł za rykszą, która zręcznie torowała sobie drogę na rojnej ulicy Dong Kfcanh.

Abel kazał stanąć. Mężczyzna podszedł do niego. Był to stary Chińczyk, wychudzony i bezzębny, o wesołych oczach i złośliwym uśmiechu. W ręku trzymał wiklinową klatkę, w której trzepotał się kanarek.

— Panie, twoja przyszłość za sto piastrów.

Rozbawiony Abel skinął głową i podał mu garść monet.

Wróżbita rozłożył na stopniu rykszy tuzin kartoników zadrukowanych dziwnymi znakami, nie chińskimi i niepodobnymi do niczego znanego. Potem otworzył klatkę i zagwizdał cichutko, gładząc po szyi kanarka. Ptak poskakał chwilę z miejsca na miejsce, wreszcie staną! na jednym z kartoników. Starzec odwrócił go i przeczytał po francusku, niezbyt płynnie, lecz z przesiąkniętą powagą podniosłością:

Oto co rzecze sowa: Kto płacze, co dzień
się odradza, Kto umiera, odrodzi się
kiedyś. Umrzesz, lecz po to, by się
odrodzić. Zapomną cię, lecz kiedyś znów
ujrzą. Bo wycierpisz wiele,
wiele lez wylejesz...

Część piąta

GODZINA MAŁPY

Mamy rok 4603 i trwa wojna.

W bezmiarze przestrzeni kosmicznej krążą w milczeniu satelity. Wokół tej planety szybują po niebie Phantomy RF-4C zbrojne w radary, kamery podczerwone, detektory ciepła, wzmacniacze jasności, elektroniczne czujniki.

Gdy wychwycą strefę dżungli na obrzeżach Tonkinu, rozmiękczona ziemia, potężne drzewa zamieniają się na ekranach w świetliste punkty i z prędkością dźwięku przekształcają się w dane liczbowe. Ta nowa rzeczywistość, niematerialna, jest przekazywana satelitom, satelity zaś posyłają ją dalej — na inny kontynent.

Tam, w fortecy w kształcie pentagonu, znajduje się mózg wojny. W rozległych salach, gdzie bez ustanku szumią komputery, w strumieniach fluoryzowanego światła uczeni przy konsoli sterowniczej dekodują i analizują dane. W gąszczu obwodów migoczą tysiące czerwonych, żółtych, zielonych i niebieskich lampek sygnalizacyjnych, na terminalach wydłużają się wykazy liczb pisanych komputerową czcionką. Operacja nosi tytuł:

Ścigać i niszczyć.

W bazie Guam piloci, wygodnie rozłożeni w głębokich fotelach klubowych w sali, gdzie czekają na rozkaz lotu, oglądają na dużym ekranie walkę Marsjan. Ci ludzie są z rasy wyższej. Nie piją miejscowej wody, lecz czystszą, ze stalowych pojemników przybyłych tu z innego kontynentu. Ich

pożywienie również przybywa z nieba, zrzucane przez pojazdy śmigłowe. Pieniądz, którego używają — CRIB —nigdzie indziej nie jest w obiegu, tylko tam, gdzie oni się znajdują i bez ustanku łykają tabletki, pastylki i kapsułki, mające, jak się mówi, uchronić ich przed śmiercią. Co się tyczy ich odzienia, to stanowi ono jakby drugą skórę, elastyczną i zieloną, ciasno opiętą i pokrytą osobliwymi trzewiami z kauczuku i nylonu, które nadymają się podczas przyspieszania na dużych wysokościach, uciskając żyły i tętnice. W słuchawkach gra im słodka muzyka — żyją w świecie onirycznym, gdzie czasem tylko zabrzmi rozkaz, wyświetlany równocześnie na ekranie kinowym.

Podnoszą się wtedy i nie przejawiając ani krzty podniecenia, mechanicznym krokiem kierują się do samolotów...

„Zatrzymany obraz świata" — tak w sztuce Dalekiego Wschodu nazywają się jedwabne zwoje, na których kilkoma pociągnięciami pędzelka, muśnięciem piórka z tuszem wymalowany jest pejzaż spowity bladą mgłą. Taki jak Dinh Tinh...

O świcie smugi mgieł wiszą w wyzłoconym mroku nad drogocenną mozaiką zwierciadeł ryżowisk. Cień rzucany przez samolot sunie wzdłuż zakola Wonnej Rzeki, która kręto płynie przez las palm wachlarzowych. Na horyzoncie łagodnie sfalowane wzgórza zlewają się ze skłębionymi chmurami. A na niebie, gdzie rozwijają się tory lotu pocisków niczym ogony komet, błyszczy jeszcze Gwiazda Poranna.

Migotliwa tęcza na kokpicie, oślepiający błysk — za kilka chwil ten zatrzymany obraz świata rozkołysze się. Powietrze wypełnia się przenikliwym, trwającym bez końca dźwiękiem. Ogłuszający huk: mrowisko z gliny i słomy rozsypuje się, przemieszane z odrobiną czerwonego pyłu w rogu pogodnego obrazu — Dinh Tinh zostało zniszczone.

Znajdowała się tam studnia, wokół której świnie i gęsi brodziły w błocie. Bonza w szafranowej szacie z jedwabiu, usadowiony w progu pagody, wachlował się i dłonią odganiał jakąś *ma* trzepoczącą się w lepkim, mdłym powietrzu, jakiegoś niewidocznego a groźnego ducha. Lekka bryza

śpiewała w nawoskowanych papierowych skrzydłach wiat* raczka. Kobiety o czystym śmiechu, odziane w *ao baba* z wyświeconej brązowej bawełny i szerokie kapelusze ze słomy ryżowej, prały bieliznę w zbiorniku z wodą. W pobliskim stawie prychał bawół, białe czaple puszyły się w słońcu. Jakiś starzec odcyfrowywał ulotkę, na której widniał rosyjski czołg o gąsienicach w postaci szponiastych smoków, z zakrwawioną ręką zamiast wieżyczki, miażdżącą przerażone dzieci. Niedaleko, na skraju lasu, mężczyzna oparł rower o arekę i padłszy na ziemię poczołgał się do wzgórka, skąd mógł łatwiej wszystko obserwować: tam, pośrodku ścieżki, żołnierze frontowi kopali rów i w jego dno wbijali zaostrzone bambusy, po czym przysłaniali go splotami gałęzi; bliżej jakaś dziewczynka, przysiadłszy na murku, z roztargnieniem pilnowała pasących się gęsi i z oczami pełnymi łez czytała opowieść o księżniczce Kieu:

Huczy ocean, gdzie morwy się zieleniły
Tego świata widok za serce cię ściska I
po cóż się dziwić?

Dinh Tinh. Dzisiaj to już tylko poczerniałe zgliszcza i wzdęte trupy, które się rozkładają pod miłym deszczykiem padającym z niskiego, chmurnego nieba. Jedna tylko ściana wznosi się nietknięta pośród ruin. Na kamiennym zlewie miska zupy, drewniana łyżka i napęczniałe wilgocią karty koronkowego kalendarza z papieru ryżowego, kalendarza wietnamskiego — mamy rok księżycowy 4603.

Richie Garrymore z podziwem potrząsnął głową i podniósł pytający wzrok na Kelly'ego. Artykuł, który dyrektor dał mu do przeczytania, nie był podpisany, i Richie nie bardzo umiał odgadnąć, kto jest jego autorem. Bał się popełnić gafę: wręczając mu trzy kartki maszynopisu, Kelly pilnował się, by nie okazać swoich odczuć. Czy cenił ten typ dziennikarstwa „impresjonistycznego", na które on, Richie, był wrażliwy, czy też przeciwnie, szukał potwierdzenia opinii negatywnej?

— Chciałem usłyszeć pana zdanie — odezwał się Kelly. — Jest pan wśród nas najmłodszy, Richie, i pomyślałem, że

człowiek młody lepiej potrafi ocenić ten artykuł niż ktoś starszy, jak ja. Chciałbym wiedzieć, czy się pomyliłem...

Garrymore, zakłopotany dwuznacznością prośby, zaczął bąkać nic nie mówiące frazy:

— No cóż... to znaczy... nie uważam się... nie mam prawa... — Lecz entuzjazm był silniejszy i nagle zdecydował się wyrazić swoje wrażenie: — No więc... to po prostu genialne! Ten facet więcej mówi na trzech stronach niż... niż inni na dziesięciu. Nie chcę wymieniać nazwisk. No i ten styl! Jakie oryginalne pomysły!... Tego nie pisał reporter, to napisał poeta... Tak właśnie, poeta! Ten facet wynalazł dziennikarstwo poetyckie.

— Jego styl, sposób pisania przypominają pańskie, Richie. I prawdę powiedziawszy, właśnie dlatego pana wezwałem.

— Pan mi pochlebia — skromnie rzekł Garrymore, w pełni uspokojony szerokim uśmiechem na twarzy naczelnego.

— Nie, nie — odparł Kelly. — Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć... Ale sądzę, że tak on, jak i pan wymyślacie właśnie nowy typ reportażu. I rad jestem, że źródłem tego stał się nasz „Events". Ta nowa prasa, prasa undergroundu, którą nas zamęczają...! Próbowałem się w tym zagłębić. Samo ględzenie i bylejakość. Gdy tymczasem w panu i w nim jest coś nowego. Nie tyle cyfry się liczą, ile obrazy, a nawet wizje. I nie narzucacie żadnej opinii: opinia rodzi się sama z siebie. To coś na kształt elegancji, uprzejmości wobec czytelnika... To doprawdy zadziwiające! Niech pan weźmie na przykład ten artykuł: po tych kilkunastu wierszach człowiek odczuwa o wiele większą zgrozę, niż jak się naogląda w telewizji bezpośrednich relacji. Zauważył pan, jak bardzo można przywyknąć?

Kelly spoważniał i umilkł. Wysunął szufladę w biurku i ku zdumieniu młodego dziennikarza, z westchnieniem niedbale wrzucił do niej maszynopis, po czym zatrzasnął ją z niezwykłą u niego gwałtownością.

— No i tak — podjął — doskonałe to to jest, ale nigdy nie będzie opublikowane. Jeremy, któremu nieopatrznie pokazałem ten tekst, kategorycznie się sprzeciwił. A nazywa jąc rzeczy po imieniu: wścieka się do szaleństwa...

— Ale... ale dlaczego? — zdumiał się Richie.
— Nie domyśla się pan?
— To jest...
— Tak. To pierwszy artykuł, który nam składa...
— ...jego brat.
— Niczego nie da się przed panem ukryć, Richie. I oczywiście „Trzy Zera"...

Kelly ugryzł się w język: wymknęło mu się uwłaczające przezwisko, jakim ktoś ochrzcił następcę „Trzech E", zaczynające krążyć po korytarzach i pokojach redakcyjnych Events Tower. Buńczucznie jednak kontynuował:

— „Trzy Zera" uważa to za osobistą zniewagę. Jak śmiem po tym wszystkim, co już było z... z „bękartem", jeszcze doszukiwać się w nim talentu!... Nie przestaje się wściekać. Dostał przy mnie w swoim gabinecie jakiegoś napadu obłąkanej zazdrości. Czasami się go boję.

Richie Garrymore rozkoszował się wychodzącym z ust Roberta G. Kelly'ego potwierdzeniem tego, co po części już wiedział. Nie zdołał pohamować uśmiechu. Co ujrzawszy, Kelly rzekł:

— Nie powinienem był chyba opowiadać panu tego, Richie. I w związku z tym muszę jeszcze coś powiedzieć: Bergmanowi niezbyt się podoba, że w taki sposób prowadzi pan dochodzenie na temat prywatnego życia Emersonów...
— Ale...
— Nie tłumacz się, chłopcze: doskonale wiemy, jak to z tym jest. Whyatt i Mc Lure też coś napomykali. Jajko nigdy nie jest mądrzejsze od kury. A pan może nie był dość dyskretny.
— Zapewniam, że...
— Zna pan karę? — zawołał kpiąco Kelly, by uciąć protesty swego pupila. — Wietnam!
— Nic by mi nie sprawiło większej przyjemności — podchwycił Richie równie żartobliwie. — Łatwiej zarobić Pulitzera pod 17. równoleżnikiem niż tutaj. Tylko że... konkurencja może być teraz diablo silna: z Ablem Youngiem...
— Niepokoimy się o niego. Wyprowadził się z „Majestica" nie zostawiając adresu i przez cały tydzień nie pokazywał się na odprawach MACV. Mam nadzieję, że nie robi głupstw. Trochę postrzelony chłopak z tego Abla...

— Przepraszam, ale nie zgadzam się, panie Kelly.

— Tak? Ale proszę do mnie mówić Robert.

— Otóż, Robert, nie wydaje mi się, żeby był postrzelony. Wiesz, nie mogę powiedzieć, żebym go naprawdę znał: widzieliśmy się raptem trzy razy. Ale chyba go nieźle zrozumiałem. W przeciwieństwie do większości ludzi w firmie odnoszę wrażenie, że o Youngu można mówić wszystko, ale nie że jest wariatem. On doskonale wie, co robi...

— Nawet kiedy wspina się na wieżowiec?

— Nawet kiedy wspina się na wieżowiec. To ryzyko, ale ryzyko skalkulowane. Opanowane... Young nie jest stuknięty. To człowiek, który idzie do kresu. Do kresu swoich pragnień, do kresu strachu, do kresu woli, do kresu idei, do kresu samego siebie. I to właśnie nas dziwi: jest inny. Przeżywa wszystko w pełni. Ale robi to dla siebie. Dla własnej przyjemności. Niczego nie chce udowadniać, nie stara się na innych wywrzeć wrażenia. Ani mu w głowie, żeby go uważano za bohatera. Z tego zresztą powodu uważam go za niezdolnego do bezużytecznego bohaterstwa.

— Iz tego także powodu nasi... firmowi bojówkarze nie mogą go znieść. Czy to Marvey, czy 0'Saussneghey, czy Sutton. Nie cackają się z nim. A już Sweety MonroeL.

— Nie znam go osobiście, ale po tym, co słyszałem, wyobrażam sobie.

— Sweety też w ostatnich dniach zniknął z Sajgonu. Zapowiedział w sztabie, że wyjeżdża na pięć dni. Bez wątpienia R and R, jak każdy szeregowiec na przepustce. *Repose and Relaxation,* odpoczynek i odprężenie. Ale nie raczył się przyznać, dokąd jedzie. Nasi chłopcy pewnie czują się tam zagubieni. Pozbawieni Sweety'ego!... Może miał jakieś drobiazgi do załatwienia w Langley.

Richie Garrymore dwuznacznie wydął usta, jak ktoś, kto o czymś wie, lecz chce dać do zrozumienia, iż waha się, czy może o tym mówić. Zaintrygowany Kelly rzekł nalegająco:

— Coś przede mną ukrywasz, Richie...

— Hmm, jeśli ci to powiem, to będę musiał też powiedzieć, że robię coś bardzo brzydkiego, bardzo niestosownego —wyznał Garrymore ze zmieszaniem na twarzy.—Szpieguję... no i żeby mieć czyste sumienie, teraz zdaję się na ciebie.

— Mów, ani słowo nie wyjdzie poza ten gabinet.

— Sweety Monroe jest tutaj. W Nowym Jorku.

— Co?

Robert O. Kelly wzdrygnął się. Richie Garrymore, ośmielony niebywałą swobodą panującą w gabinecie redaktora naczelnego od śmierci Eliotta E. Emersona, odważył się upewnić:

— Sweety Monroe to taki niewysoki grubas, łysy i ubrany w sposób bardzo zwracający uwagę, prawda?

— Tak. Opis by się zgadzał...

Z rozmyślnie podkreślaną ironią Richie ciągnął:

— Otóż widziano, jak niewysoki grubas, łysy i ubrany w sposób bardzo zwracający uwagę, wszedł we wtorek 6 grudnia do budynku stojącego przy Piątej Alei, którego jednym z lokatorów jest pan Jeremy Emerson...

— O do diabła!

— Inny informator, którego nazwiska nie wyjawię, ale który jest przypadkiem zatrudniony w pewnym dworku w Sag Harbor, widział tegoż niewysokiego grubasa, łysego i ubranego w sposób zwracający uwagę, we środę 7 grudnia na kolacji w rzeczonym dworku w towarzystwie pani Kay Emerson i jej syna Jeremy'ego. Gość podał majordomusowi nazwisko Humphrey.

— Humphrey... Humphrey...

Kelly podniósł słuchawkę telefonu, zajrzał do wykazu numerów wewnętrznych i końcem długopisu wykręcił 320.

— Carson? Mówi Kelly. Niech mi pan powie, czy Sweety Monroe nie ma przypadkiem na imię Humphrey?

— Tak. Humphrey Monroe, rzeczywiście. Zastanawiałem się nad tym kiedyś. Już nie wiem, z kim rozmawiałem o nim i nie mogłem sobie przypomnieć... A, tak! Z panem Youngiem. Ale pozwoli pan, że spytam, dlaczego...?

— Tak sobie.

— *Ong* Abel? *Ong* Abel?

— Nam Hoa? Wejdź, proszę.

— Przyszłam dać ci lekcję — powiedziała dziewczynka, chichocząc i zasłaniając usta dłonią.

Nam Hoa śmiała się bez przerwy, z byle czego. Z wdziękiem unosząc poły swej *ao dai* z haftowanego białego atłasu, wbiegła lekko po drewnianych schodach pawilonu. Abel,

— Bo był o niego zazdrosny, dlatego że Bóg bardziej go lubił.

— A Bóg bardziej lubił Abla, bo nie był przywiązany do dóbr materialnych. Nie miał pola i wędrował ze swoim stadem...

— Od czego dzisiaj zaczniemy, *ong* Abel? Najpierw ty mnie będziesz uczył angielskiego czy ja ciebie wietnamskiego?

— Jak wolisz. Ale przestań do mnie mówić *„ong".* Ja nie jestem taki „ważny".

— To mogę cię nazywać *„anh"l*

— Co znaczy *„anh"l*

— Starszy brat.

— Będzie mi ogromnie przyjemnie. Ale Hung jest twoim starszym bratem. Co on sobie pomyśli?

— Nie obchodzi mnie to! — rzekła wzruszając ramionami, raptem naburmuszona. — Hung to *number ten*

— Nam Hoa, już ci mówiłem, żebyś tego nie używała. To bardzo brzydkie wyrażenie żołnierzy i... i żołnierskich dziewek.

— Co to są żołnierskie dziewki?

— Hmmm... wytłumaczę ci, jak będziesz większa.

Abla przeraziło odkrycie, w jak wielkim stopniu żołnierski żargon skaził język mieszkańców tego kraju, odkąd okupowała go armia amerykańska. Nawet dzieci się przed tym nie uchroniły. Wyrażenia *„number ten"* używano na określenie podchmielonego żołnierza, który był albo za ubogi, albo zbyt zmęczony, albo za mocno podchmielony, żeby pójść z zaczepiającą go prostytutką: od jakiegoś czasu ta najbardziej obelżywa zniewaga rzucana przez *taxi-girls* pojawiała się we wszystkich rozmowach, rozprzestrzeniała się we wszystkich warstwach społeczeństwa. Bardzo dobrze wychowana dziewczynka ze środowiska ludzi pobożnych i wykształconych także nie ustrzegła się zarażenia obscenami. Abel uważał to za równie okropne jak zepsucie i korupcja wprowadzone tu w ciągu długiego stulecia panowania kolonialnego. Zdecydowanie wojna niszczyła wszystko...

Jednakże Nam Hoa była uosobieniem subtelności. Na przeprosiny ujęła go za rękę i rzekła serdecznie:

— To nic nie szkodzi, bo ty jesteś mój *number one.*

— Ha, widzę, że znasz już wszystkie liczby po angielsku! Wymień! — ze śmiechem odparł Abel.

Nam Hoa bez pomyłki policzyła od jeden do pięćdziesięciu, podając od razu liczby po francusku, w języku, którym obydwoje biegle władali.

Weszli w cienisty chłód pawilonu, a Thin, małpka dziewczynki, przeskakując z jednej kolumienki w balustradzie na drugą, przyłączył się do nich w salonie, gdzie swoim zwyczajem próbował rozrywać poduszki, zanim go nie wypędzili na dwór.

Abel poznał Hoanga Van Hunga i zaprzyjaźnił się z nim, kiedy prowadził poszukiwania w studenckim piśmie, które popierało tezę „trzeciej siły". Jak wielu Wietnamczyków z klasy średniej młody redaktor naczelny mówił po francusku jak Francuz i ucieszył się, że wreszcie spotkał Amerykanina znającego ten język prawie tak samo dobrze.

I w dodatku słuchającego, co on ma do powiedzenia. Słuchającego z żarem...

Hoang sam był pełen żaru. Chociaż pochodził z Północy, posiadał potoczystość mowy, ruchliwość rysów ludzi z Południa, ich smukłość, bystrość i inteligencję. Inna rzecz, że Północ opuścił bardzo młodo, w roku 1954, gdy miał ledwie dwanaście lat. Ten szczegół również wpłynął na zbliżenie studenta wietnamskiego z amerykańskim: obaj byli z 42 roku.

Hoangowie mieli bogate plantacje herbaty w Tonkinie. Zpobudek oportunistycznych dziadek Hunga w początkach wieku przeszedł na katolicyzm, a więc w czasie, gdy Francja dokonywała u siebie rozdziału władzy kościelnej i państwowej. Czy jednak dla „Annamity" — jak wówczas ogólnie nazywano mieszkańców Indochin — nie był to sposób na udowodnienie swej lojalności wobec społeczności europejskiej żyjącej w Hanoi?

Rzecz zadziwiająca, ale syn Hoanga, Ho, wychowany w wierze wybranej przez ojca bez wewnętrznej potrzeby, okazał się w przeciwieństwie do niego od najmłodszych lat bardzo pobożny. I kiedy w kabaretach na wzgórzu Montparnasse śpiewano nieśmiertelny refren:

on był jednym z pierwszych przybyszów z Indochin, którzy kształcili się w Paryskim Uniwersytecie Katolickim przy rue d'Assas. Odbył tam porządne studia, dyplomował się z literatury i prawa. Później, po powrocie do kraju w roku 1928, przyjął posadę w administracji kolonialnej i zrobił błyskotliwą karierę, nadal razem z bratem prowadząc plantacje i suszarnie herbaty „Hoang & Hoang".

Życie płynęło spokojnie. Hoang Yan Trong ożenił się, w roku 1938 urodził mu się jeden syn, imieniem Dong i Jean dla Kościoła, w roku 1942 drugi: Hung Paul. Lecz wojna światowa szalała i nic mogła oszczędzić Indochin. Północny Tonkin okupowali Japończycy, Amerykanie bombardowań' kraj, Ho Szi Min ogłosił mobilizację. Wietnam proklamował niepodległość 2 września 1945 roku, Francja uznała ją 6 marca 1946 roku, ale z wieloma zastrzeżeniami i ograniczeniami. A później, 16 grudnia tego samego roku, w Hanoi wybuchło powstanie Vietminhu. I nastąpiło siedem lat krwawej wojny. I Dien Bień Phu. 121 lipca 1954 podpisanie traktatu w Genewie.

Jak wielu katolików uciekających przed wprowadzanym reżimem komunistycznym, Hoangowie, mający teraz pięcioro dzieci, wycofali się z setkami tysięcy uciekinierów na Południe i osiedli w Sajgonie.

Zamieszkali w pięknym domu kolonialnym położonym ,'j w samym sercu miasta — w oazie spokoju pośród zawrotnego ruchu przyległych ulic. Przechodziło się przez hałaśliwe targowisko Ben Tanh, między straganami pełnymi owoców *{* drzew flaszowyćh, liczi, papai, gujaw, kaki, kapusty palmowej, papryki zielonej i czerwonej, mango, mangostanów. Po dalszych dziesięciu krokach w pulsującym ruchu ulicznym śródmieścia, przez jakiegoś dziennikarza nazwanego żartobliwie „Hondaville", otwierało się bramę z kutego żelaza i wchodziło się do ogrodów willi „Eden". Do skrawka raju zagubionego wśród miejskiego piekła. Tam rzeczywiście można było zapomnieć, że trzy ulice dalej demonstrują uczniowie, studenci oraz ich nauczyciele. Tam można było nie wiedzieć, że strajk dokerów sparaliżował port w Sajgonie; ; że na koszary spadają pociski, że bomby wybuchają przed

konsulatami obcych państw, że na placach bonzowie składają swoje życie w ofierze całopalenia...

Dom tonął w roślinności jak z początku świata: wszędzie rosły hibiskusy, gojawy, palmy zwykłe i wachlarzowe, żakarandy, kwitnące czerwono brezylki, aloesy, areki, drzewa mangowe, bugenwille, kamelie, różowe lilie i storczyki. Trzeba było przejść w fiołkoworóżowym cieniu glicynii, by ujrzeć werandę i podniszczone galeryjki z malowanego drewna, żaluzje i ażurowe okiennice, bambusowe kolumienki, dach wygięty na rogach jak u pagody, przestronną wolierę z plecionej trzciny, wiklinową altankę, gdzie jadano śniadanie. W głębi ogrodów znajdował się od dawna nie używany kort tenisowy, którego różowa nawierzchnia popękała pod naporem wystających korzeni potężnego baobabu. Ogrodzenie obrosło z czasem bujną zielenią, tworzącą teraz istny mur roślinności. Był tam też basen, ongiś, gdy w willi mieszkali francuscy koloniści i ich dzieci się w nim kąpały, wyłożony niebiesko-złotymi płytkami, którego dno zniknęło pod gęstym czarniawym błotem, gdzie zalegały liany pośród żółtych lilii wodnych i kwiatów lotosu. A przed dawnym basenem stał pawilon wzniesiony na palach, niegdyś przeznaczony do gry i wypoczynku.

Ojciec Hunga odnowił go ostatnio i wyposażył we wszelkie wygody, jakimi dysponowała willa, z zamiarem wynajęcia obcokrajowcowi. Podobnie jak wszyscy ci, którzy potrafili zachować godność własną i surowe obyczaje pośród powszechnej korupcji i szalejącego spekulanctwa wywołanego wojną, Hoangowie, choć nie cierpieli nędzy, musieli się liczyć z wciąż malejącymi rezerwami finansowymi. Toteż dodatkowy dochód był mile widziany.

Abel miał być pierwszym lokatorem pawilonu.

I ostatnim...

Marvey, 0'Saussneghey i Sutton często mu to powtarzali: z „Wietnamcem" można mieć kontakty zawodowe, ale właściwie niepodobna się z nim zaprzyjaźnić. A już nie do pomyślenia jest otrzymać zaproszenie do jego domu.

— Kolacja u Namczyka? — zawołał zdjęty zgrozą Sweety Monroe, kiedy Abel zwierzył mu się z tego marzenia. — Pan chyba nie myśli poważnie, szefie? Ci ludzie nigdy nie

zapraszają cudzoziemca. No, może do restauracji, kabaretu, ale nie do siebie... A i to! Naprawdę, lepiej nie. Pan se wyobraża, że trza pić tę ich nie filtrowaną wodę: sraczka pewna! Abel jednak, jakby chcąc udowodnić im coś wręcz przeciwnego, zaprzyjaźnił się z młodym... „Wietnamcem", a był w Sajgonie ledwie od dziesięciu dni. W następnym tygodniu zaś, gdy młody „Wietnamiec" z respektem zapytał ojca, czy zgodzi się gościć przy swoim stole Amerykanina doskonale mówiącego po francusku i znającego poezje Victora Hugo, a stary humanista, wielki admirator Hugo, spełnił jego prośbę, Abel został zaproszony na „skromny i bardzo prosty" posiłek do rodziny... „Namczyków".

Abel w absolutnym oczarowaniu przeżył wtedy chwile niebywale upojne na zakończenie bardzo ciężkiego dnia.

Wracał z „Press Club" w Da Nang, odwiedziwszy bazę i marinerów w Dong Ha i obóz J. J. Caroll. Owinięty w pelerynę z gumowanego płótna, wypożyczoną z MACV, drżący z zimna w ulewnym deszczu, przez całe przedpołudnie brodził w lepkim czerwonym błocie po wybojach „artyleryjskiej sceny", gdzie towarzyszący mu PIO koniecznie chciał pokazać cały arsenał, jakim dysponowali marinerzy na obrzeżach strefy zdemilitaryzowanej: od sześciolufowych bezodrzutowych ontosów kaliber 106 po najnowsze modele samobieżnych stosiedemdziesiątekpiątek. Rozmawiał z młodymi poborowymi spotkanymi na drodze, którzy rozpaczliwie błagali o odesłanie „do cywila". Czcić chrzest bojowy i przeszła dopiero poprzedniego dnia. Inni widzieli, jak najbliżsi koledzy padali, by więcej się nie podnieść. Inni znów, ogłupiali, oszołomieni zmęczeniem po pięciu dniach zażartych walk, leżeli na deszczu oparci o uszkodzone półciężarówki. W większości zdawali się zapytywać, co oni tu w ogóle *1* robią.

'

— Powiedz im, powiedz tym skurwysynom, że gardłem nam wyłazi ta gówniana wojna. Napisz to w swoim pieprzonym szmatławcu, jeśli go masz, stary. Do dupy z taką pierdoloną wojną. Oni tam nie mają o niczym pojęcia. Nie wiedzą...

Nikt z odwiedzających „Press Club" w Da Nang najwyraźniej również nie wiedział. Abel zauważył to, gdy się tam

zatrzymał w drodze powrotnej przed odlotem do Sajgonu. Obrzydzenie wzbudziło w nim to, co usłyszał od większości znajdujących się tam dziennikarzy. Z wyjątkiem Bernarda Falla i reportera nowozelandzkiego, z którymi się polubił, byli tam sami domorośli stratedzy, panowie zaczynający każdą wypowiedź od „trzeba tylko...", salonowi dyskutanci oceniający wszystko, wyrażający swoje zdanie na każdy temat. Potraktowali go jako „pedzia", kiedy pozwolił sobie zwrócić uwagę na załamanie, jakiemu poddało się mnóstwo poborowych. „Poborowi? To też same pedziel" oświadczył pośród śmiechów i wiwatów pewien korespondent Agence France Presse, któremu spod drelichu, artystycznie poplamionego krwią i po męsku rozpiętego po pępek, widać było tatuaże przywiezione z Algierii.

O zmierzchu Abel, znużony, rozgoryczony, z mdłościami i podwyższoną temperaturą, wrócił do Tan Son Nhut samolotem C-123. Lot nim również stanowił ciężkie doświadczenie, bo warkot silników ogłusza aż do bólu, w kabinie hulają przeciągi, a jedynym skutkiem funkcjonowania systemu wentylacyjnego jest mieszanie czegoś na kształt oparów jak w łaźni tureckiej. Pasażerowie zaś w smrodzie wymiocin i przemoczonej odzieży siedzą plecy w plecy ściśnięci na metalowej ławie wyposażonej w oparcie ze zwykłej siatki...

W „Mąjesticu" Abel szybko wziął prysznic, przebrał się, odziewając na tyle starannie, na ile pozwalała jego garderoba. Hung przyszedł po niego do hotelu. W zaciszu jadalni Hoangów w kilka chwil, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zniknęła gdzieś gorączka, zmęczenie, rozgoryczenie, smutek...

„Prosty i skromny posiłek" okazał się pyszną kolacją z dwunastu dań, dobranych z najwyższym wyszukaniem smakami i kolejnością podawania ich na stół. Rozmowa, bardzo ożywiona, obracała się wokół najróżniejszych tematów, ale dominowała literatura. Hoang Van Trong był niezmiernie ucieszony, że może wymienić poglądy z Amerykaninem znającym tak świetnie poezję francuską. Wspominał młode lata spędzone w Paryżu, szedł do biblioteki po jakąś książkę opatrzoną swoimi notatkami i pokazywał ją

gościowi. Potem popadał nagle w rozmarzenie i zaczynał mówić o swej ojczyźnie, której zapewne nigdy już nie ujrzy. Po kolacji trzem młodszym synom i dwóm córeczkom Hoangów pozwolono pożegnać się z cudzoziemcem. Piątka dzieci uczyniła to w sposób nader wdzięczny, prawiąc mu po francusku uprzejmości. Między członkami tej rodziny wyraźnie panowała pełna harmonia i tkliwość, które wzruszyły Abla bardziej, niżby potrafił wyrazić. Znalazł dom...

Hoangowie mieli zbyt wiele taktu, żeby mu wspominać o pawilonie do wynajęcia. A przy tym nie wiedzieli, czy budyneczek będzie dość luksusowy i wygodny dla Amerykanina.

Abel pierwszy zwierzył się Hungowi, że chciałby opuścić nudny hotel, gdzie się zatrzymał, a wynająć dom w mieście. Każdy z oferowanych domów był jednak dla niego za duży. Wtedy niezwykle uprzejmie i kwieciście, bardzo się sumitując, pokazano mu w końcu pawilon na palach ukryty w głębi ogrodu.

Wszystko wydało mu się wyborne: sprzęty z bambusa i lakierowanych liści palmy wachlarzowej, haftowane serwetki, jedwabne poduszki, a nawet religijne malowidła przywiezione z pielgrzymki do Lourdes, które uznałby za koszmarne na innych ścianach, u każdego prócz tych ludzi tak szlachetnych.

— Pan tu nie może mieszkać — oświadczył pan Hoang. — Będzie się pan brzydził. Proszę spojrzeć, nawet pod prysznicem są jaszczurki. Myśmy do nich przywykli. Ale pan...

W odpowiedzi Abel złapał jaszczurkę wylegującą się u stóp alabastrowej madonny i potrzymał chwilę w ręku, gładząc wierzchem palca wskazującego łuski lepkiego, zimnego ciałka.

Mała Nam Hoa wybuchnęła śmiechem. Chłopcy jej zawtórowali. A małpka Thin pozwoliła sobie na parę figli, które Ablowi wydały się małpim sposobem powitania go.

Cudzoziemiec został uznany za swojego.

Nazajutrz wczesnym rankiem przybył z tragarzem, który na trzykółkę załadował jego skrzynię z książkami i nowiutką

maszynę do pisania, kupioną za piętnaście dolarów na złodziejskim targu.

Hung poradził mu, zęby wziął sobie chłopca do posług, i Abel zrozumiał, że faktycznie powinien tak zrobić, nawet jeśli nie w smak mu było korzystanie z czyichś usług. Być może przyjaźń Amerykanina z „Wietnamcem" nie była czymś zupełnie zdrożnym, za to dla Wietnamczyka rzeczą absolutnie nie do pomyślenia było, żeby zamożny „Amerykaniec" mógł się obejść bez służącego. „Poza tym — rzekł Hung uprzejmie, lecz stanowczo — trzeba dać ludziom zarobić. Tyle tu nędzy..."

Bojem Abla został młody mężczyzna z prowincji, zamknięty w sobie i prawie niemy, imieniem Doah.

Nam Hoa powiedziała Ablowi, że przed pół rokiem stracił żonę i troje małych dzieci w bombardowaniu fosforem i że od tego dnia przestał mówić, odzywając się wtedy tylko, gdy było to absolutnie niezbędne w pracy.

Między Hungiem i Ablem przyjaźń się zacieśniła. Stali się nierozłączni.

Hung wprowadzał Abla w subtelności zagmatwanej sytuacji politycznej, w jakiej znalazł się jego kraj. Opowiadał mu historię Wietnamu, a znał ją doskonale, ponieważ przeprowadził dogłębne studia mając w planach doktoryzowanie się we Francji, kiedy skończy się wojna, mówił, jego zawiedziony uśmiech zaś zdawał się dodawać: czyli nigdy. Wyjaśniał mu rolę partii, ruchów, frontów, sekt, tysięcy tajnych stowarzyszeń, które się zwalczały i konspirowały w obrębie zamkniętej przestrzeni, jaką stanowił Wietnam. Uzmysłowił mu, że ci, których nazywa się Vietcongami, stanowią jednorodną całość wyłącznie w wyobraźni Amerykanów i propagandy rządowej. Podobnie katolicy, buddyści, konfucjaniści czy osobliwa „masoneria" Cao Dai, której nader wymyślną ideologię próbował mu w skrócie przedstawić.

— Mieli objawienie Trójcy Świętej złożonej z Jezusa, Buddy i... Yictora Hugo.

— Co?
— Naprawdę!
— Hung, a ty gdzie należysz?...

Hung należał do tych, co jednakowo żarliwie odrzucali komunizm i skorumpowany reżim Thieu i generała Ky, wielkiego admiratora Hitlera: elitarni piloci z otaczającej go „gwardii pretoriańskiej" chętnie obnosili swastykę na hełmach lub kombinezonach antygrawitacyjnych. Lecz Hung wyzbył się nadziei. Wiedział, iż jego walka jest z góry przegrana: „trzecia siła" zostanie zdmuchnięta wichrem wojny. Wojna zawsze zmiata tych, co potrafili zachować rozsądek i miarę, tych, co nie poddali się fanatyzmowi niezależnie od barw, pod jakimi by występował. Wojna nie lubi umiarkowanych. Nadeszły czasy skrajności. Czasy przemocy, czasy okropności...

U schyłku roku 1966 fala masowych dezercji, często grupowych, spadła na wojska Wietnamu Południowego. Wielu rekrutów obcinało sobie palec wskazujący, by uniknąć wysłania na front, woląc proces i obóz koncentracyjny od groźby zabicia lub pojmania przez wroga. Wśród *oficerów różnych oddń&łów armii toczyły się* bezpardonowe walki o władzę, mordercze zmagania ambicji, krwawe porachunki. Istniało coś na kształt powszechnego zepsucia...

Ale o tych rzeczych nie można się było dowiedzieć na odprawach MACV. Niewiele było przecieków na temat dezorganizacji dowództwa wojskowego rzekomo „wspieranego" przez Stany Zjednoczone. I codziennie o piątej po południu na./ive *o'clock follies* przy drzwiach zamkniętych nadal niewzruszenie odgrywano tę samą komedię przed doborową publicznością korespondentów agencyjnych i wielkich reporterów.

Hung pokazywał Ablowi obraz bliższy rzeczywistości od tego, który przedstawiali oficerowie z PIO. Dawał mu inną prawdę, prawdziwą — jeżeli coś takiego w ogóle istnieje. I Abel, dowiadując się z jego ust tego, czego się dowiadywali zaczynał już mgliście rozumieć, że wkrótce nie tylko kino „Eden" rozplakatuje *Wielkie złudzenia.* Stany Zjednoczone wplątywały się w konflikt, którego szczegóły wymykały się najbłyskotiiwszym nawet ekspertom CIA.

W zamian Abeł służył Hungowi cennym wsparciem. Sajgońskie gazety, zwłaszcza opozycyjne wobec reżimu Thieu, poddawane były przez sojuszniczą Press Information Office ograniczeniom w dostępie do informacji, stanowiącym coś w rodzaju wstępnej cenzury. Abel starał się zatem uzyskiwać zezwolenia dla przyjaciela. Jeśli było trzeba, podrabiał przepustki otrzymane dla Eventsa i dawał mu: Hoang Van Hung był wówczas akredytowanym dziennikarzem nie istniejącego pisma. Jednakże najlepszym sposobem złamania zakazów było zabieranie Hunga ze sobą na objazdy terenów działań wojennych. Abel twierdził, że wietnamski *bao shi*—dziennikarz — służy mu jako tłumacz. Zazwyczaj oficerowie PIO nie zadawali zbyt wielu pytań. A jeśli się dopytywali, Abel zuchowato odpowiadał, przybierając twardy, męski sposób mówienia wojaka, który niejedno widział:

— Do cholery, nie wkurzaj mnie! Mówię ci, że ten Wietnamiec jest ze mną. I kurwa mać, jeśli ten gnojek chce widzieć i wiedzieć, to ma w końcu prawo: ostatecznie chodzi o jego pierdolony kraj! A jak mnie będziesz dalej wpieprzał, stary, to już ja cię urządzę w Eventsie. Abel Young ci to mówi!

Events: magiczne słowo, klucz otwierający wszystkie drzwi, tytuł, przed którym skłaniały głowy i zawsze kapitulowały władze wojskowe. Wydawał się skuteczniejszy nawet niż „CBS News", „Time", „Life" czy NBC. Oficerowie z PIO bali się, że trafią do kroniki *They Say* albo, co gorsza, że się ich przyczepi Ron Molloy, najbardziej zjadliwy felietonista. Abel używał zresztą Eventsa jako argumentu w ostateczności. Uważał, że godnym pogardy jest wykorzystywanie metody zastraszania i demonstracji siły w stosunkach z bliźnimi. Nawet jeśli bliźnim był ograniczony wojskowy, który nigdy nie omieszkał, gdy tylko mógł, zastraszać i okazywać swojej przewagi. Abel był zdania, że jest to kwestia troski o moralną elegancję, którą wbrew wszystkiemu chciał zachować. Wojna jest czymś prostackim, lecz nie wydawało mu się to dostatecznym powodem, by wyrzekać się wszelkiej szlachetności uczuć. Wręcz przeciwnie. Czyż można ujawniać barbarzyństwo i samemu postępować po piracku? Część jego kolegów poddawała się prawdziwe-

mu szantażowi ze strony biura prasowego armii: w zamian za obietnicę „bomby" przemilczali pewne niekorzystne informacje, uzyskiwane z innych źródeł. Marvey, Sutton, 0'Saussneghey uważani byli za mistrzów w tego typu targach, przez Abla w pełni potępianych. Czterej czołowi dziennikarze Eventsa często się na ten temat ostro spierali w światłach „Caravellc", zakłócając na chwilę klimatyzowany spokój, umilany cichą muzyką z baru.

Abel miał jednak—bo któż jej nie ma?—pewną słabość. Na drelichu, nad białą naszywką ze swoim nazwiskiem i adnotacją o zawodzie, wypisał flamastrem „Events". Co mu zresztą po wielokroć pozwoliło stwierdzić, jakim prestiżem cieszy się pismo, którego jest właścicielem. Teraz uważał, że zrobił głupio, że jemu się tak nie godzi; wyrzucał sobie ten śmieszny gest świadczący o próżności i niestety, nieodwracalny. Ale równocześnie na próżno się przed tym bronił: odczuwał swego rodzaju dumę, jeśli ktoś nieznajomy, spojrzawszy na jego pierś, życzliwie kiwał głową i mruczał:

— Ach, Events!

Abel nie mógł jednak wziąć z sobą Hunga, kiedy w przeddzień Wigilii zabrał się z Da Nang na kotę 875 w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej. I sam, bez Suttona, bez 0'Saussnegheya ani Marveya, którzy planowali „Wigi4 lic, jakiej świat nie widział w kabarecie w Hongkongu", zbierał materiały na temat życia w szpitalu polowym.

Co przywiezie z kolejnej wyprawy w okolice frontu?

Jeszcze trochę odrazy, jeszcze trochę rozpaczy, kilka przerażających widoków, parę zakrawających na kpiny słów.

Na przykład to, co powiedział pewien poborowy rodem z Oregonu:

— Do diabła! Ta cholerna cisza, odkąd zawarli ten skurwysyński rozejm! Człowiek nie może spać bez huku dział...

A także skargi, jęki, krzyki:

— On zwariował, majaczy. Widział, jak jego kumpla zżarły pijawki. Słowo! Jakżeśmy wrócili po Jima z noszami, te france już zdążyły wyssać z niego całą krew. Istne wampiry! Słowo! Nie Wietnamce go zabiły, tylko pijawki.

Wykrwawił się jak zaszlachtowany wieprz. Mówię ci, istna rzeźnia. Te france włażą po nodze pod portki, nie ma nic gorszego. Przyssają się do pisiora i wlezą nawet do pęcherza. Słowol Znam chłopaków, co taką złapali, można odpięć! Teraz na patrolach każą nam nosić kondomy. Słowo! Ale najgorsze to chyba Khe San...

Kilka obrazów:

Przycupnięty pod strugami deszczu deknącymi po brezende polowego bloku operacyjnego młody chirurg, jeszcze w masce, rękawicach, pochlapany krwią. Pielęgniarz potrząsa nim za ramię i powtarza niespokojnie:

— Doktorze! Doktorze! Nie można nas zostawiać!

Ablowi zaś, gdy go zapytał, odpowiedział:

— Biedaczysko, jest wypompowany, nie da się ukryć. Operował piędu facetów pod rząd, i to żadna tam łatwizna: siedemnaście godzin harówki bez chwili wytchnienia. A jesz cze ten diabelny generator wysiadł...

Gdzie indziej czarny drągal przystrojony w czerwony płaszcz Świętego Mikołaja, wyszperany w miejscu tylko jemu wiadomym, i w długą białą brodę. Krążył między namiotami i potrząsając dzwonkiem, wyśpiewywał wniebogłosy:

Dzień narodzin Pana naszego
Oczekiwanego Króla
żydowskiego! Pieprzone
Wietnamce, Narodził się
Pan!

Tłuste, lepkie błoto po kostki. Żałosny ogonek przed latryną nakrytą plandeką, na której jakiś żartowniś poprzyczepiał błyszczące girlandy, złote bombki i wstęgę z napisem „Wesołych zasranych świąt wszystkim zdechlakom". Wśród czekających na swoją kolej Abel widział młodego żołnierza, który szlochał:

— Nie mogę, chłopie, dłużej nie mogę! Już trzy razy dziś puściłem wszystko, zanim doszedłem do kibla. Trzy razy zesrałem się w gacie i musiałem się przebierać. Chcą mi wetknąć plastykowe pieluchy jak niemowlakowi. Kurwa! załatwiłem trzech Wietnamców w zasadzce, ja sam jeden, a oni chcą mi wtykać pieluchy...

Czy ten żałosny wywiad zamieści w swoim reportażu? A może taką oto scenkę: lekko podpity sierżant, z papierosem z trawki przyklejonym w kąciku ust, łaził po obozie. Na brzuchu opierał mu się zawieszony na pasku mały magnetofon kasetowy, z którego na cały regulator rozchodziła się melodia najnowszego szlagieru Beatlesów „Help!":

Kiedy byłem młody
Dużo młodszy niż dzisiaj
Nie potrzebowałem pomocy
Od nikogo i niczego
Ale te piękne dni minęły
Nie jestem już tak pewny siebie
Pomóż! Pomóż mi!

A może taką, jakby wyjętą z obrazu Hieronima Boscha: na skraju lądowiska dla śmigłowców trzej ciężko ranni czekali na ewakuację na tyły. Stali na deszczu, chroniąc się przed nim jako tako przezroczystą plandeką winylową, którą narzucił na nich pielęgniarz, podtrzymywali się nawzajem, by nie upaść. Pierwszy miał rękę na temblaku, drugi prawą nogę ujętą w ogromne szyny, trzeci zabandażowane oczy.

Abel skorzystał, że chactow miał jedno miejsce wolne, i poleciał do Dang Ha, by z nimi porozmawiać. Byli w jego wieku, wszyscy trzej pochodzili z Kalifornii. Wszyscy trzej wierzyli razem z Bobem Dylanem, że „czasy się zmienią", wszyscy trzej śpiewali, że „trzeba złapać haj", wszyscy trzej podzielali jego nadzieje i radości. Bill, basista zespołu Outrageous, miał teraz niewładną dłoń. Tim, jeden z najlepszych pływaków surfingowych z Malibu, zastanawiał się, czy będzie mógł „choćby utrzymać się na stojąco na desce z tą sztuczną girą, jaką mu przysposobią". Mikę już nigdy nie ujrzy wielkich bladozielonych oczu Sharon...

Czy można było jednak o tym mówić? Czy można było o tym pisać? Czy ktokolwiek miał do tego prawo?

Abel, przygnębiony, przełykając łzy napływające mu do oczu, wiedział już, że za sprawą czarnego humoru — będącego grzecznością rozpaczy — poprzestanie na wysmażeniu krótkiego, zabawnego felietoniku o żargonie żołnierskim.

Zatytułuje go z pewnością „Szurnąć mi tu tych Charliech!", tak bowiem wrzasnął kiedyś przy nim pewien porucznik marines. I dołączy do artykułu ucieszny słowniczek.

Będzie to taki jego sposób zagrania na nosie wszystkiemu, co przeraża...

Przepojony goryczą, śmiertelnie zmordowany, wrócił do Sajgonu wieczorem 24 grudnia ostatnim lotem Wietnamskich Linii Lotniczych. Pierwszą klasą. Dwie ładne stewardessy podały mu kawior i szampana: były przecież święta, nie?

W kantynie US Air Force w Da Nang kupił po niższej cenie prezenty dla dzieci Hoangów. Tranzystory, adaptery, japońskie magnetofony kasetowe, miniaturowe aparaty fotograficzne, polaroidy i nowości amerykańskiej bądź angielskiej muzyki pop, przede wszystkim album *Help* Beatlesów, o którym tak marzyła Nam Hoa — były przecież święta, nie?

W hau' przylotów na lotnisku Tan Son Nhut Abel, smutny, aż chciało mu się płakać, nucił:

Kiedy byłem młodszy Dużo
młodszy niż teraz...

I nagle pomyślał o Johannie. Jak spędzi święta? Gdzie? Z kim?

Czy tam już jest Boże Narodzenie, czy będzie dopiero jutro? W którą stronę liczy się różnicę czasu? Nawet tego nie potrafił sobie przypomnieć, tak bardzo był zmęczony.

Jakże to było miłe i uprzejme — Nam Hoa i jej siostra Kim zrobiły mu niespodziankę, pod jego nieobecność ozdabiając pawilon lampionami, anielskimi włosami i gwiazdami betlejemskimi wyciętymi ze sreberka. Wielobarwne żaróweczki na choince migotały w ciemnościach. Wszedłszy do środka Abel nie zapalił światła, nie zrzucił butów; miał tylko siłę rzucić na ziemię chlebak, po czym padł na trzcinowy fotel bujany. Był zlany potem. Nad jego głową wentylator bezskutecznie zagarniał lepkie, słodkawe powietrze — a jednak musiał uwierzyć: to święta Bożego Narodzenia.

Ody się tak wolno bujał, ogarnęło go coś na kształt otępienia. Jak we śnie wpatrywał się w starą mapę Indochin,

która tańczyła na ścianie. Jej pożółkłe karty, porozrywane na zgięciach, znalazł w bardzo starej francuskiej księgarni w Hue. Bardzo mu się spodobała. Rzeźba powierzchni, linia brzegowa lądu, drogi były miejscami przykryte rysuneczkami: trzy palmy kokosowe, sampan, pagoda, japoński ogród, bonza pod parasolem, tygrys w skoku, tęcza. Nieco powyżej 17. równoleżnika, tam, gdzie ląd jest wąskim paskiem wciśniętym między Laos i morze, w strefie nazywanej teraz „zdemilitaryzowaną", młoda Annamitka w *ao dat* i stożkowym kapeluszu kołysała się na huśtawce. A kota 875, skąd właśnie wrócił, była ogrodem, w którym rosły palmy, lilie i storczyki.

Co trzy sekundy w blasku czerwonych, niebieskich, zielonych i żółtych światełek girland wynurzała się z ciemności fantazyjnie ozdobiona topografia. Abel pomyślał, że gdyby miał dość cierpliwości i talentu, to może by skopiował na kalce technicznej kontury mapy, a nad śmiesznymi obrazeczkami umieściłby symbole bardziej odpowiadające rzeczywistości okolic, nad którymi przelatywał. Narysowałby działa, spalone wioski, bombowce B-52 zrzucające ładunek, trupy gnijące w kanale, a na huśtawce szkielet...

Powieki zaczynały mu opadać i z wolna ogarniał go półsen, kiedy z odrętwienia wyrwał go piskliwy śmiech małej Nam Hoi.

— *Anh* Abell *Anh* Abell Hung nam bez przerwy doku cza. Obroń nas, Kim i mnie!

Podniósł się i chwiejnym krokiem wyszedł na balkon. W ciemnościach niewyraźnie widział poruszające się cienie postaci.

— Pójdziesz z nami na pasterkę? — spytał Hung, gdy Abel przechylił się przez balustradę tłumiąc ziewnięcie. — Już wychodzimy...

Z grymasem niesmaku gniotąc kołnierzyk śmierdzącej, sztywnej z brudu bluzy drelichu, której dotąd nie miał siły zrzucić, Abel odparł:

— Naprawdę nie jestem ubrany na...

— To nie ma znaczenia — zapewnił Hung.

Abel zrozumiał, że sprawiłby Hoangom przykrość, gdyby z nimi nie poszedł. Zsunął się zatem po poręczy

drewnianych schodów, wołając na tyle rześko, na ile było go stać:

— W takim razie idę!

Incydent miał miejsce przed katedrą, gdy przy dźwiękach dzwonu wierni rozchodzili się do domów zarazem poważni i radośni.

Z ulicy Tu Do wypadł rozpędzony dżip, wykonał nagły skręt i wjechał na chodnik oraz pierwsze stopnie dziedzińca, w krzyczący z przerażenia tłum.

Zderzaki lekko potrąciły i przewróciły Hunga, który wrzasnął do Abla:

— Uważaj!

I Abel zdążył skoczyć na maskę, żeby nie zmiażdżyły go koła.

Dżip cofnął, przyspieszył.

Abel stoczył się ciężko na jezdnię.

Ludzie rzucili mu się z pomocą, ale już się pozbierał, lekko tylko potłuczony.

— To istny cud! — zawołał pan Hoang, kiedy Abla uspokajano.

A mała Nam Hoa zawtórowała mu:

— Wigilijny cud, *anh* Abel!

Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zanotować numery rejestracyjne dżipa. Jeden ze świadków utrzymywał, że w ogóle nie miał tablic. Inny twierdził, że był to samochód wietnamskich komandosów. Jeszcze inny mówił, że za kierownicą siedział Murzyn z marincs.

Zastanawiano się, czy był to kiepski kierowca, który już zaczął świętować. A może to zamach? podsunął ktoś.

Abel wzruszył ramionami:

— Zamach? Dlaczego zamach?

* *

O Dongu, starszym bracie Hunga, mówiono w domu Hoangów niezmiernie rzadko i w zawoalowanych słowach, z tajemniczymi minami. Abel wkrótce domyślił się, że Dong

walczy w szeregach Narodowego Frontu Wyzwolenia i prawdopodobnie zajmuje w nim dość wysokie stanowisko. Pewnego wieczoru, gdy zażywając świeżego powietrza na balkonie pawilonu, przyjaciele gawędzili o tym i owym serdecznie jak dwaj bracia, rozmowa niepostrzeżenie przerodziła się w zwierzenia i Hung wyjawił w końcu Ablowi, że słusznie odgadł Dodał też, że takie środki ostrożności w stosunku do osoby jego brata biorą się stąd, że Dongowi grozi znacznie większe niebezpieczeństwo niż większości spośród tych, którzy mieli odwagę rzucić wszystko i stanąć po stronie Frontu. Bo podobnie jak było z republikanami w Hiszpanii podczas wojny domowej, walka o kierunek czy choćby orientację polityczną ruchu powodowała gwałtowne starcia między różnymi frakcjami i tendencjami, prowadziła do porachunków. A niekomuniści jak Dong, ci, którzy chcieli wierzyć w możliwość zaprowadzenia w Wietnamie ustroju demokratycznego, byli teraz politycznie eliminowani przez zwolenników marksizmu-leninizmu. Politycznie, ale też, niestety! fizycznie. Zwłaszcza gdy byli przywódcami cieszącymi się poparciem—a tak właśnie rzecz się miała z Hoangiem Van Dongiem. Wkrótce Front ze zrzeszenia rozmaitych sił przeobrazi się w wielką monolityczną partię.

— Cóż chcesz! To stara stalinowska metoda wprowadzania wtyczek i manipulowania ruchami oporu w celu wykorzystania ich dla polityki Kremla — westchnął Hung z rozgoryczeniem. — Zawsze to samo. I zawsze ludzie tacy jak mój brat, idealiści, ponoszą wszystkie koszty...

Niesłychanie groźne to położenie, gdy człowiek widzi cenę nałożoną na swoją głowę nie tylko przez wrogów, ale też przez przeciwników wrogów, czyli przez tych, którzy powinni być jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej sojusznikami. Dong i kilku jego kolegów wiedzieli, że wcześniej czy później, jeśli nie wpadną w ręce „białej myszy" — policji sajgońskiej — albo wojsk rządowych, to nie ominie ich doraźna egzekucja w ciemnej uliczce w dzielnicy Cholon albo spisek podczas zasadzki w wiejskiej okolicy. Polegną, lecz od kul zabójcy wynajętego przez Partię... W pewnym sensie bardziej się zresztą obawiali dawnych sojuszników niż

wroga. Z rąk tamtych czekała ich pewna śmierć; od wroga mogli spodziewać się tortur albo zesłania do „tygrysich klatek" na wyspach Kondor, czyli mieć jeszcze cień nadziei, że jakoś z tego wyjdą.

Bojownicy o przegraną sprawę wiedli życie zaszczutych zwierząt. Musieli się kryć bez ustanku, w mieście wiecznie zmieniać miejsce pobytu, stale mieć się na baczności, nie ufać nawet towarzyszowi trudnych dni, nawet dziecku wyciągającemu ręce, nawet ukochanej dziewczynie widywanej z rzadka. Musieli zważać na zachowanie gospodyni, u której na jedną noc stanęli, w ulicznym zgiełku rozpoznać podejrzany dźwięk kroków, nie odwracać się, gdy usłyszeli swe imię, odróżnić wybuchy broni od strzelania źle wyregulowanego tłumika; musieli wsłuchiwać się w ciszę, wpatrywać w ciemność. W ciemność, z której kiedyś wychynie śmierć, śmierć ciągle dokoła krążąca...

Dong i jego przyjaciele na ile mogli wykorzystywali do przenoszenia wiadomości osoby spoza ruchu, ludzi, którzy często nie wiedzieli nawet, dla kogo pracują: za odpowiednią zapłatę na Południu zawsze można było znaleźć kogoś, kto oddawał przysługę nie zadając pytań. Ale teraz, gdy sieć wokół nich coraz bardziej się zacieśniała, musieli się wystrzegać również przypadkowych najemników. Uznali, że rozwiązaniem najbardziej zuchwałym, ale też najpewniejszym będzie zwerbowanie posłańców spośród osób nie dość, że spoza ruchu, to jeszcze cudzoziemców, a najlepiej swoich białych sympatyków.

I pewnego wieczoru Hung, mówiąc ogródkami i nader kwieciście, zapytał w końcu Abla, czy podjąłby się zanieść wiadomość... komuś".

„Kimś" był nie kto inny jak Dong — Abel domyślił się tego natychmiast po poważnym, pełnym przejęcia sposobie mówienia Hunga.

Nic nie mogło sprawić Ablowi większej przyjemności. Tak bardzo chciał dowieść Hoangom swojej wdzięczności. Stać się łącznikiem między tą rodziną a jej synem, który musiał ją opuścić i którego nie mogli nawet uścisnąć w obawie o jego bezpieczeństwo, bo może sami, nie wiedząc o tym, byli śledzeni — czyż nie był to najbardziej wyszukany sposób podziękowania im za uprzejmość?

Poza tym było jeszcze coś innego: Abel z wolna, wciągając się w zasady gry w nowym zawodzie, nabywał odruchów profesjonalisty. W każdej niespodziewanej sytuacji, w jakiej się znalazł, zaczynał niczym stary wyga węszyć „bombę". W nim jednak nie było, jak w wielu dziennikarzach, gorączkowej potrzeby wyolbrzymiania wszystkiego, by uczynić z tego „wydarzenie". Przeciwnie, miał w sobie pragnienie zgłębienia, poznania, zrozumienia, pójścia — jak zawsze —dalej...

Miał nadzieję, choć nie całkiem w to wierzył, że od Hoanga Yan Donga otrzyma nie oszołamiające rewelacje —Abel nie był poszukiwaczem sensacji — lecz wyjaśnienia, wytłumaczenie. Może nawet w tym, co usłyszy, znajdzie materiał na niewielkie studium na temat NFW, o którym czytywał dotąd tylko bardzo powierzchowne notatki i eseje.

Tylko czy Dong będzie chciał mówić?

Czy będzie chciał mówić?

Abel zastanawiał się nad tym, idąc w górę ulicy Tu Do i powtarzając sobie w duchu tekst, który miał powiedzieć, kiedy stanie przed Dongiem. Był to wiersz Baudelaire'a i niechybnie pewne słowa zawierały tajną wiadomość dla adresata, zrozumiałą po rozszyfrowaniu. Chyba że informacja kryła się pod miejscem wiersza w *Kwiatach zła:* pod numerem sześćdziesiątym dziewiątym.

Zadziwiający zbieg okoliczności sprawił, że był to wiersz *Abel* i *Kain:*

Plemię Ablowe, pij i szalej, Bóg
ci uśmiecha się życzliwie.

Plemię Kaina, w jarzmie dalej
Męcz się i konaj rozpaczliwie.

Czy rzeczywiście był to zbieg okoliczności? Hung tak utrzymywał, dodając, że on także jest pośrednikiem w tej sprawie. Ten, kto przekazał mu wiadomość, nie mógł znać imienia posłańca. On zaś widzi w tym znak przeznaczenia: Bóg wybrał Abla, żeby przekazał... „komuś" hasło. Tym „kimś", ustąpił wreszcie Hung, będzie może jego brat.

Ale pewności nie miał.

Plemię Kaina, twoja kara Czy
będzie miała kiedy finał?

Plemię Ablowe, w obfitości
Zbóż i trzód wschodzi siew twój płodny.

Abel niewątpliwie nigdy się nie dowie, co przekazywał: rozkaz przystąpienia do operacji? sprawozdanie z walki? osobistą wiadomość?

Był jednak świadom, że powinien mieć się na baczności. Sajgoński tłum, w który tak lubił się wmieszać, w którym tak lubił się gubić i razem z nim się błąkać, ten tłumu musiał przynajmniej przez czas swej misji uważać za nieprzyjazny, a nawet wrogi. Bo może skrywał śledzącego go szpiega, gorliwego tajniaka, zabójcę...

A tymczasem widział te same dziwki przesadnie wymalowane na zachodnią modłę, potrącali go ci sami podchmieleni marynarze na przepustce, ci sami uliczni fotografowie mimo protestów nękali go błyskającymi fleszami, ci sami wędrowni handlarze tranzystorów z przemytu łapali go za rękę, ci sami uchodźcy czepiali się jego ramion pokazując rany i żebrząc o parę piastrów, ci sami kieszonkowcy mijali go na hondach...

Lecz tego wieczoru jadący na tylnym siodełku hondy może celowali do niego z rewolweru. Tego wieczoru zaczepiający go uchodźca nie był może ociemniały, a marynarz na przepustce pijany. Może wciskany w rękę tranzystor był pułapką, a polaroid ulicznego fotografa podrobiony. A czy handlarz walutą nie ma w rękawie długiej zatrutej igły? Czy pocałunek wieszającej się na jego szyi prostytutki nie będzie śmiertelny?

Hung zalecił Ablowi, by nie grał bohatera, by zawrócił, jeśli nie będzie czuł się na siłach wypełnić misję, by zrezygnował, jeżeli obudzi się w nim najmniejsze choćby podejrzenie. Abla nawet to odrobinę zaintrygowało: czy tym razem ruch nie poddaje go przypadkiem próbie bez jego wiedzy? Czy nie chcą najpierw ocenić jego spostrzegawczości w miej-' skiej dżungli, jego opanowania?

W takim razie wiersz Baudelaire'a byłby wybrany z rozmysłem...

Nie, nie! odrzucił zaraz te myśli: Hung nie jest zdolny wobec niego do podstępu. Hung ciągle jeszcze martwił się tym niewyjaśnionym wypadkiem, który miał miejsce przed tygodniem na dziedzińcu katedralnym i o którym Abel zdążył już zapomnieć.

— A jeżeli był to nieudany zamach?

Zamach? Abel naprawdę nie mógł w to uwierzyć. Kto mógł dybać na jego życie? I z jakiego powodu? Ustąpił jednak częściowo:

— No dobra, niech będzie, że to zamach. Ale pomylili się co do osoby...

I nie potrafił także czuć nieufności wobec tego tłumu ani uważać go za wrogi. Wręcz przeciwnie, wydawał mu się wesoły, beztroski, bardziej niż zwykle rozluźniony. Był przecież wieczór sylwestrowy: za niecałe pięć godzin rozlegnie się dwanaście uderzeń zegara, za niecałe pięć godzin dla ludzi Zachodu zacznie się nowy rok. Sajgonczycy swój Nowy Rok będą obchodzili dopiero 9 lutego, ale uczczą zarówno ten, jak i swój Tet — ostatecznie to święto! Okazja, by zapomnieć, że wojna staje u bram miasta. A przy tym czyż generał Westmoreland nie przepowiedział, że rok 1967 przyniesie zakończenie... „konfliktu"?

W ożywieniu panującym na ulicach wyczuwało się radosne podniecenie, które ogarnia ludzi przed czekającymi ich przyjemnościami. W kawiarniach panował tłok, wszyscy cisnęli się do barów po pierwszą tego wieczoru szklaneczkę albo w poszukiwaniu zaproszenia do wspólnego świętowania, przed kasami kin rosły kolejki.

Na tarasie „Continentalu" piętnastu reporterów i korespondentów zasiadło przy kilku gerydonach ustawionych w krąg i popijało szampana. Zawołali wesoło do Abla:

— Hej, chodź do nas na kielicha!

— Co ty znów wyczyniasz? Chyba nie spędzisz Sylwestra solo...

— Może na kocie 861: sylwestrowy wieczór bohaterów!

— Bez żartów, nie będziesz się bawił u „Broddarda"? Ma być Laura, Poupette, Collins i ten Anglik, którego nie

znam, a któremu podobno udało się przeprowadzić wywiad z Giapem.

— Young, nie słuchaj ich! Ja polecam pierwszorzędny hasz u Griffitha. I muzyczkę, jakiej świat nie widział...

— Patrzcie, patrzcie! To szef Eventsa nie jest w Hongkongu ze swoimi wzorowymi pracownikami?

— Ani z Cabotem Lodge'em na szczycie Cervino?

— Czemu z Cabotem Lodge'em?

— Nie pamiętasz? W lecie wspiął się na Cervino. Z tymi alpinistami naprawdę wszystko jest możliwe!

Abel nie chciał się na dłużej przysiąść, wychylił tylko w pośpiechu lampkę szampana przepraszając, że nie może dłużej zostać. Przeszedł ulicę Tu Do, zręcznie uskakując przed skuterem, którego kierowca chciał mu wyrwać marynarkę przewieszoną niedbale przez ramię. Po drugiej stronie ulicy, przed „Givralem", włożył ją i poprawił węzeł krawata...

Pierwszego krawata, jaki kiedykolwiek nosił! Należy jednak w Rzymie czynić jak Rzymianie, a w Sajgonie taki ubiór pozwalał nie zwracać na siebie uwagi. Pozwalał również na okazanie szacunku Hoangom, jak większość zamożnych rodzin z Północy dbającym pośród wojennego zamieszania i powszechnego zaniedbania o utrzymanie pewnych zasad formalnych. A przede wszystkim pozwalał na chwilę zapomnieć o sztywnym drelichu, szorstkim od zaschniętej gliny, o mundurze polowym; pozwalał zapomnieć o kwaśnym zapachu potu, krwi i wymiocin, o smrodzie bagiennych wyziewów, błota i stojącej wody, o smrodzie latryn, niespokojnym śnie i czuwaniu na czatach — o smrodzie, strasznym smrodzie wojny. O smrodzie strachu.

Strój, który Abel miał na sobie tego wieczoru, nazwał kpiąco swoim „Mikołajkiem". Był to świetnie skrojony trzyczęściowy garnitur, uszyty na miarę w dwadzieścia cztery godziny z delikatnego jasnobeżowego surah. Przy okazji kazał sobie uszyć pięć jedwabnych koszul, perłowoszarych i piaskowych, a na złodziejskim targu kupił mokasyny *madę in Taiwan* ze skóry jaszczurki („To buciki *bao shinumber one,* proszę pana!") oraz całe naręcze krawatów („Autentyczny Christian Dior z Singapuru, proszę pana!").

Abel, nim zadzwonił, raz jeszcze się obejrzał. Znikające cienie, ulotny ruch sylwetki w tłumie, jakieś drgnienie — ale czego?

Czy nie opanowała go bezprzedmiotowa obsesja? Przywidzenia?

Zdecydowanie nacisnął dzwonek. Zza lustra bez podlewu ktoś go obserwował. Szybka ocena: drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Lustra, aluminium, laka, przydymione szkło — był wszędzie, odbijał się w nieskończoność, zniekształcony, pokawałkowany, rozproszony jak w kalejdoskopie. Dziesięciu, stu, tysiąc fragmentarycznych Ablów unoszących się w sinawym, zamglonym świetle skierowało się do baru. Psy* chodeliczne kształty, kolorowe larwy i ameby, ześlizgiwały się po butelkach ustawionych na półkach. Abel nie lubił bourbona, ale musiał zamówić szklaneczkę „Jacka Daniel* sa". I powiedzieć barmanowi w czerwonym spencerze:

— Tylko bez lodu. Założę się, że jest z wody z kanału!

Hasło.

Barman zaś, udając oburzenie, dotknięty takim oskarżeniem, lecz wzdychając w stylu rasowego kelnera, miał odrzec ze znaczącym spojrzeniem:

— Och, proszę pana! Nie u nas.

Wszystko przebiegło, jak powiedział Hung — Abel miał uczucie, że robi coś, co już kiedyś zrobił we śnie.

Rozejrzał się dokoła.

Przy barze znajdowało się tylko pięciu klientów, w sali ani na parkiecie nie było nikogo. Widowisko zaczynało się dopiero o dziesiątej trzydzieści, a eleganccy państwo przybywali około północy, wyjaśnił mu barman. Zawsze jednak miło jest „wypić szklaneczkę w atmosferze *iri"*.

W atmosferze *irit* Na scenie gwiazda widowiska powtarzała swój numer. *Ao dai* z lureksu przetykanego złotem rozcięta powyżej kolana, oczy zaokrąglone operacyjnie jak u Europejki, platynowa peruka przybrana strasem, rozdęta jak dobrze wyrośnięta babka drożdżowa, botki na wysokich obcasach z tygrysiej skóry, mankiety amerykańskiej majoretki ozdobione flagą Stanów... Przeraźliwie wysokim głosem zawodziła po angielsku z akcentem, który czynił prawie niezrozumiałym refren idiotycznej piosenki:

Ajja ju! Ajja ju!
To ja congai z Szanghaju
Ujjuju! Ujjujui
Annamiteczka
Jak bombeczka...

Smutne, aż żałość brała. To jest, pomyślał Abel, który miał humor „indygo" jak kolorystyka tego miejsca, bardziej niemoralne niż bombardowania napalmem, bardziej niemoralne niż używanie broni chemicznej, bardziej niemoralne niż przenoszenie ludności całych wsi i deportacja. Mogło' to sprowokować człowieka do znienawidzenia i zanegowania w całości zachodniej cywilizacji, od Homera do Einsteina, poprzez Szekspira, Michała Anioła i Mozarta. Bo piękna była niegdyś ta mała skośnooka *congai;* bo jej głos niegdyś z pewnością ładnie modulował przyśpiewkę przewoźniczki na sampanie...

I choć Abel miał wielką ochotę uciec od tego widowiska zupełnie w stylu Felliniego, musiał zostać. Nie przyszedł tu, żeby rozważać degradację kultury i ludu, miał do wypełnienia misję. Przypomniał sobie, że opróżniwszy pierwszą szklaneczkę burbona, powinien iść do toalety. Dopiero wtedy Lyn ostatecznie go zidentyfikuje, przysiadzie się do niego i nawiąże rozmowę...

To się stało dokładnie w chwili, gdy puścił za sobą skrzydło wahadłowych drzwiczek.

W uchylonych drzwiach jednej z trzech toalet ujrzał lśnienie tłumika rewolweru.

Czasami, w chwilach krytycznych, kiedy życie zależy od szybkości decyzji, jakaś podświadoma siła wpływa na ludzką wolę i działa prędzej, niżby człowiek zdołał uczynić z rozmysłem. To rodzaj stanu zaburzenia świadomości, stanu łaski — ekstaza, lecz absolutnie materialna. Nie ty unikasz wtedy niebezpieczństwa: ktoś jest na twoim miejscu, kto reaguje stosownie i ratuje ci życie. I tym kimś jesteś ty. Ale to człowiek rozumie później, kiedy zagrożenie już zostanie zażegnane.

Dokładnie tak wszystko się potoczyło: rozległ się głuchy odgłos strzału, lecz Abel, nie znający przecież rozkładu

miejsca, instynktownie rzucił się w okienko z matowego szkła, wybił je ramieniem...

I spadł na ciemne podwórko zarzucone gruzem i odpad* kami...

I poderwał się na nogi, i pobiegł ku światłu i zgiełkowi ulicy...

Długo biegł przez tłum, potrącając przechodniów, dysząc jak miech — podobny początkującemu złodziejaszkowi, który właśnie wykonał pierwszą robotę.

Ani się spostrzegłszy, przebiegł prawię całą ulicę Le Thanh Ton. Zwolnił wreszcie kroku, wciągnął głęboko powietrze i wypuścił, aż poczuł ból w płucach. Otarł zlane potem czoło...

I nagle ujrzał rozpędzony skuter — siedzący za kierowcą człowiek mierzył do niego z obrzynka. Abel padł na ziemię. Huknął strzał, kula odbiła się od chodnika między jego nogami. Skuter już zniknął...

— Jasna cholera! — krzyknął Abel z furią. — Co jest, do cholery!

To była jego jedyna reakcja.

Policjant, który kierował ruchem — a raczej udawał, że nim kieruje — nic nie zauważył. Roześmiał się, kiedy Abel opowiedział, co mu się przydarzyło.

— Szczęśliwego Nowego Roku, panie *bao shi*\ Szczęś liwego Nowego Roku!

Strzały w Sajgonie, zranienia nożem, wybuchy, nieudane zamachy — gdyby za każdym razem trzeba było spisywać protokół...! Tylko Amerykanin może mieć takie pomysły...

Abel wzruszył ramionami i wolnym krokiem poszedł w noc.

Ale nocy teraz się bał, wiedział już bowiem: zaczęło się w wigilię Bożego Narodzenia przed katedrą. Ktoś chciał go zabić.

Kto?

Rozpacz i strach, zgroza! Ale błazeński wojak z *five o'clockfollies,* ale pajacowaty żołdak z JUSPAO nazywali to pacyfikacją. Operacja „Cedar Falls" miała się rozpocząć. Chodziło o „zlikwidowanie oporu wewnątrz Żelaznego Trójkąta". Eufemizm, cyniczny eufemizm, znaczący: zniszczyć! zniszczyć! i jeszcze raz zniszczyć! Unicestwić...

Widok, powtarzający się ciągle widok masowych aresztowań, wywożenia do obozów koncentracyjnych, ucieczek ludności, deportacji. Obrazy przerażenia i upokorzeń, obrazy ludzkiego nieszczęścia, w których dojrzało całe jedno pokolenie, nieznośne obrazy, do których banału w końcu przywykło. Żydzi czy Palestyńczycy, Algierczycy czy Wietnamczycy: zawsze to samo dorosłe spojrzenie wystraszonych dzieci, które zbyt szybko dojrzały pod groźbą tych samych karabinów maszynowych, zawsze te same łzy matek tulących do wyschniętej piersi niemowlęta, zawsze te same wyciągnięte ręce starców błagających, by pozwolono im zabrać ubożuchny węzełek: trzy chleby, dwie pożółkłe fotografie — skarb! Ta sama rozpacz...

I na to wszystko trzeba było patrzeć, trzeba było to wytrzymać, trzeba było znosić aż do obrzydzenia, trzeba było się zmuszać do połykania łez i hamowania daremnego gniewu, trzeba było wykonywać swój zawód: być reporterem. To znaczy rzeczywiście składać raport...

I mówić w raporcie, że ludzie z monstrualnymi ryjami, ze świńskmi głowami z zielonkawego kauczuku zagazowywali podziemne korytarze, gdzie kryli się inni ludzie. Mówić, że oprawcy ciasno obwiązywali chustami twarze swoich ofiar, a potem puszczali na nie wodę i lali, lali, aż zaczynały się dusić, aż się udusiły na śmierć. Mówić, że młodzi żołnierze, poczciwi chłopcy z Arkansas czy z Minnesoty, którzy modlili się do Boga i dwa razy w tygodniu słali listy rodzicom i narzeczonym, dla zabawy rozpruwali kopiąc buciorami trzy nędzne woreczki ryżu, które miały zapewnić chłopskiej rodzinie przeżycie aż do święta Tet. Mówić, że gdzie indziej, na bambusowym mostku, kazano biegać dzieciom i że „strzelano do nich jak na strzelnicy w lunaparku. Och, ten karton!". Co takiego zrobiły te dzieci? Nosiły czarne spodnie i bluzy, jak bojownicy Vietcongu — tak należało powiedzieć w raporcie.

I jeszcze należało powiedzieć, że wioska Ben Sue za kilka dni, po wysiedleniu jej mieszkańców, zostanie wykreślona z mapy. I że to właśnie jest p a c y f i k a cj a.

Dlaczego Abel chciał znowu wyjechać? I nadal pisać reportaże, nadal być świadkiem — aż do rozpaczy, do szaleństwa?... Jakie skrywane współczucie wiązało go z tymi ofiarami, w których nie był w stanie widzieć żądnych krwi „Charliech", czyli wietnamskich komunistów, a po prostu dzielnych ludzi, ludzi takich jak Hoangowie? Jaka ogromna litość łączyła go z tymi oprawcami? Z chłopcami w jego wieku, z chłopcami, którzy lubili te same płyty, którzy jak on palili „trawkę", którzy zaczynali nosić długie włosy, śpiewali *Yellow Submarine* idąc do boju i na ochraniaczach hełmów wypisywali flamastrem: *Like a rollin'stone*\ albo „Rzućcie to i kochajcie się!" albo też — Abel widział to u jednego marinera obnoszącego jak naszyjnik uszy obcięte żołnierzowi Vietcongu — *Visions of Johanna*.

Czy wiedział, co go tak pcha? Jak miał wytłumaczyć nieodpartą potrzebę powrócenia na front? Przeczytał kiedyś u Prousta zdumiewający fragment: podczas pierwszej wojny światowej pewien człowiek, elegancki Saint-Loup przybyły do Paryża na przepustkę, wyjaśnia narratorowi, że lepiej się czuje teraz w cuchnącym zimnym błocie okopów niż w ciepłych, ukwieconych salonach artystokracji, wśród niegdysiejszych przyjaciół. I to dość było podobne do tego, co on odczuwał. „Wojna, napisał do Roberta O. Kelly'ego na marginesie posłanego mu artykułu, wojna jest rodzajem mocnego narkotyku, do którego się przywyka. Cierpieniem, które wydaje się łatwiejsze do zniesienia niż obojętność wobec niego większości ludzi..."

Tak, wkroczył w *Piekło* Dantego i jak poeta musiał bez wytchnienia przemierzać wszystkie jego kręgi, odbyć nie kończącą się podróż do kresu tego, co nieludzkie, dotrzeć aż do brzegów śmierci. Toteż w noworoczny poranek „wybrał się tam z powrotem na tydzień", jak z kpiną i rozczarowaniem w głosie powiedział Hungowi, niepokojącemu się tym, co przyjaciel przeżył poprzedniego wieczora.

— To będzie mniej niebezpieczne niż ulice Sajgonu — dodał żartem Abel. — Właśnie dzwoniłem do okrooneso

Sweety Monroe'a, żeby mu opowiedzieć swoją przygodę. Mówi, że też się o mnie bardzo martwi. Ale że wczoraj w tym pasażu nie mogłem widzieć Lulu Davisa, a to dlatego, że Lulu teraz jest w Nowym Jorku.

— Co nie zmienia faktu, Abel, że ktoś chciał cię zabić.

— I że niechcący naraziłem może na niebezpieczeństwo... „kogoś".

— Tego dowiem się jutro. Ale nie możesz siebie oskarżać: nie ma w tym żadnej twojej winy.

— Sądzę mimo wszystko, że będę musiał się z wami rozstać i wyprowadzić się z tego miłego pawilonu. Bo jak widzę, moja obecność może wam napytać biedy. Patrz, Hung, jak wojna wszystko niszczy. Na nic nie pozwala, a zwłaszcza na przyjaźń między „Jankesem" i... „Wietnam-cem".

— Nie ma mowy, żebyś się wyprowadził. Jesteś teraz swój człowiek. Nam Hoa nazywa cię *anh,* gdy tymczasem ja i Kim jesteśmy dla mej *number ten*

Abel uśmiechnął się z wdzięcznością i umilkł. Cóż miał na to rzec? Czy mógł dłużej skrywać uczucia? Miał oczywiście Ma kochającą go jak matka; mógł oczywiście powiedzieć „tato" do umierającego ojca — ale po raz pierwszy w życiu miał dom.

— Dobra, zostanę — rzekł w końcu z cicha. — Ale teraz pojadę na jakieś pięć, sześć dni zebrać materiały na temat tego, co się dzieje w Żelaznym Trójkącie.

Przywdział na powrót drelich i buty wojskowe, wziął w rękę hełm, zapiął lekki plecak, połknął tabletki przeciwko malarii i dyzenterii. Spędzenie kilku dni poza Sajgonem wydało mu się naraz bezwzględną koniecznością. Miał „głód" wojny, tak jak opiumista może mieć głód narkotyczny albo jak sam już doświadczył w Berkeley, w samym środku zimy, „głodu" Grandes Jorasses czy lodowca Brenva. Wojna podstępnie go opanowała niby utajona choroba, rozrosła się w nim sama z siebie na kształt nowej odmiany raka. Nie było to jednak podglądactwo ani chorobliwe delektowanie się widokiem okropności: była to próba współczucia i litości. Było to sprawdzanie, jak daleko może się posunąć w swej dyletanckiej pasji.

O niecałą godzinę jazdy dżipem od tarasu „Continentalu" zapłakane drobne staruszki i drżące ze strachu dzieci zapędzano do ciężarówek mających je zawieźć do obozu koncentracyjnego. A tymi, którzy je tak bezwzględnie zaganiali, byli młodzi chłopcy podobni do niego...

Zobaczył i wrócił — trochę bardziej przybity, jak tamci trochę bardziej „unicestwiony".

Pośród tych potworności trafiła mu się jednak kilkugodzinna przerwa: wyjazd do Hue, dawnej stolicy cesarskiej. I tak samo jak za pierwszym razem, gdy tam był, znowu wydało mu się, że może uwierzyć w szczęście. Podobnie jak willa Hoangów była oazą ciszy i spokoju w miejskim piekle Sajgonu, tak Hue i okoliczne pola sprawiały wrażenie, że wojna o tym zakątku zapomniała. Minąć Przełęcz Chmur, wyciągnąć się w cieniu sosen przy mauzoleum Gia Longa, powłóczyć się po brzegach Wonnej Rzeki, gdy wcześniej; oglądało się deportację w Phu Loi, było to tak, jakby po przejściu szeregu sal muzealnych, gdzie wystawiono same obrazy ukrzyżowania i męczeństwa, nagle za zakrętem galerii ujrzało się salkę z bajkowymi szkicami i miłymi akwarelkami. Odbicie tęczy w zwierciadle pola ryżowego, odlot czapli pośród drzew o zachodzie, dziecko jadące na bawole, sampan sunący z wiatrem w złotawej mgle poranka, bonza medytujący przy stawie, na którym kołysze się jedna lilia wodna...

Co z tego zostanie za miesiąc, za rok? Eskadra B-52 albo F-105 rozerwie odwieczny dywan chmur zasłaniający przełęcz, między wonnymi brzegami rzeki wybuchnie kanonada i wszystko będzie skończone. Wojna nie oszczędzi „Miasta Niebiańskiej Harmonii".

W drodze powrotnej z Tan Son Nhut Abel, przepełniony melancholią, jak dziecko, które potrzebuje pociechy w strapieniu, kazał taksówce stanąć przed „Oivralem" i kupił francuskie rogaliki i bagietkę. Tęsknota za Chamonix i tamtejszymi przyjaciółmi, tęsknota za zapachem jabłecznika unoszącym się zawsze w kuchni domku o niebieskich okiennicach, tęsknota za kapustą ze śmietaną jedzoną wspólnie z Johanną — było to tego dnia, gdy mieli jechać autostopem i ustawili się na krzyżówce w Praż,

na drodze do Szwajcarii: miał „głód" odrobiny czułości i radości życia.

Brał prysznic, gdy Nam Hoa zawołała go z balkonu.

Stojąc pod gorącą wodą, mydlił się długo, starannie, z maniacką pedanterią obłąkanych, którzy wydają się sobie zawsze brudni, zawsze winni i napawa ich to wstrętem. Miał wrażenie, że smród wojny, którym nasiąkł jego drelich, a nawet skóra, przenika go całego. Czuł zapach wojny...

— *Anh* Abel! *Anh* Abel!

Najpierw nie usłyszał.

— *Anh* Abel! — powtórzyła głośniej Nam Hoa. Wtedy dotarł do niego cienki, wesoły głosik, którego ślicznie modulowanej francuszczyzny tak lubił słuchać, i przykręcił lejącą się z hałasem wodę.

— Tak?

— *Anh* Abel, jest dla ciebie paczka!

— Co?

— Paczka, mała, przed chwilą przynieśli. Ma amerykańskie znaczki.

— Coś takiego! Kto mógł...?

— Na pewno prezent noworoczny. Tu jest napisane: exp. Johanna Jones. 5245 North Pacific Drive, San Francisco, Cal.

— Johanna!

Johanna! Jak się dowiedziała, że tu mieszka? Pewnie poprosiła o adres Ma. Albo Servozów. Albo Thomasa Haynesa. Tylko oni go znali. Events przesyłał mu pocztę do biura przy ulicy Le Loi albo do „Caravelle"...

— Johanna! — powtórzył wzburzony.

Johanna do niego napisała. Johanna przysłała mu prezent. Ucieszony do szaleństwa na nowo odkręcił kurek do oporu i zawołał:

— Już idę, Nam Hoa, już idę...

— Pospiesz się, Abel! Szybko! Bo... Nie, Thin! Thin, niedobry, oddaj to!... Małpka mi... Thin! porwała paczkę... Nie! Thin... Szybko, Abel, szybko) Nie mogę mu odebrać. Pomóż! On wszystko potarga! Thin! Thi-i-i-i-i...

Wybuch usłyszano pośród ulicznego zgiełku w promieniu pięciuset metrów.

Tutaj, w willi „Eden", dymiły pozostałości tego, co jeszcze chwilę przedtem było pawilonem zabaw; w błocie basenu pływały, niby kawałki celuloidowej lalki stłuczonej przez dziecko, porozrzucane szczątki ciała tego, co jeszcze chwilę przedtem było dziewczynką; do pnia czerwonokwiatowej brezylki przykleił się krwawy kłębek sierści niczym przedwcześnie otwarty pąk; na ogrodzeniu kortów tenisowych wisiało nabite ciało mężczyzny, nagie i śliskie od mydła, mężczyzny, z którego ust dobywał się nieludzki krzyk...

* *

Śpiew ptaków w oddali, nad głową lazur, kawałek niebieskiego przymglonego nieba, poplamionego tu i ówdzie, a na tym prześlizgujący się cień ramion cichego wentylatora. Czy to ten padół, czy zaświaty?

Czuł otępienie i błogość i wydawało mu się, że się unosi z duszą oddzieloną od ciała. Nie był jednak martwy: nagły przejmujący ból przywrócił mu poczucie życia i ciężaru.

Czy wydał z siebie jęk, czy nadal milczał?

W świetlistej otoce szedł ku niemu anioł i położywszy mu palec na ustach, szepnął:

— Ciiii!

Nie cierpiał tak naprawdę. Kilka mglistych obrazów, może wspomnień, lecz ulotnych, niejasnych, nękało jego pamięć: zapadanie się w agonię, słodką, miękką; oślepienie lampą jasną niczym słońce; przebudzenie na kilka chwil i sufit, który wirował, wirował...

Znowu omdlenie, głęboki sen...

A potem naraz — czy nie było to przedtem? — ściana pokryta białymi płytkami, ociekająca wodą, i dobiegający z zewnątrz krzyk:

— Thi-i-i-i...

A potem nie widział, co było. Przedtem, potem? Był spokojny: tamto musiało się przydarzyć komuś innemu.

Tamto? Komu innemu?

— Nam Hoa! — krzyknął rozpaczliwie. — Nam Hoa!

I pojął wtedy, że rzeczywiście krzyczał, rzeczywiście wymówił imię dziecka.

Jakiego dziecka?

Piękna twarz, ujęta w owal kornetu, pochyliła się nad nim.

— No, no... już dobrze, panie Young...

Zrozumiał: leżał na szpitalnym łóżku, pod sufitem pomalowanym na kolor bladoniebieski, bez wątpienia znajdował się w szpitalu Grał. Zakonnica ocierała mu czoło zroszone potem i uśmiechała się do niego ze szczerym współczuciem. Wydawała się obawiać z jego strony kolejnego napadu rozpaczy, kolejnego krzyku — to również zrozumiał. Ale nie zawoła więcej Nam Hoi, nigdy więcej jej nie zawoła. I nigdy więcej nie usłyszy śmiechu srebrzystego i cieniutkiego, przypominającego dreszcz.

Odzyskując pełnię świadomości, z prostotą rzekł:

— Ona nie żyje, prawda? Dziewczynka nie żyje...

— No...

— Och, niech siostra nie próbuje mnie zwodzić: została zabita. A ja żyję.

Zakonnica z powagą skinęła przytakująco głową, po czym szepnęła:

— Żyje pan, panie Young. Bóg okazał panu miłosierdzie.

— Bóg był niesprawiedliwy—zaprotestował Abel z całą gwałtownością, na jaką było go stać. — Bombę przeznaczono dla mnie. Bo ta paczka była pułapką, prawda?

— Niech się pan uspokoi, panie Young, bardzo proszę, niech się pan uspokoi. Doktor Arnaud zaraz do pana przyjdzie. On wie dużo więcej niż ja.

— Proszę mi powiedzieć, siostro: czy jestem... cały?

— Och, co do tego może pan być zupełnie spokojny!

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A co mi jest w oko?

— To tylko powieka. Oko nie zostało uszkodzone. Za dwa, trzy dni zresztą będzie można zdjąć opatrunek.

— A w jakim jestem stanie?

— Ależ... w jak najlepszym! Po tym, co się panu przydarzyło. Oprócz zranionej powieki miał pan uszkodzenia wewnętrzne, ale wątroba jest nienaruszona. Żelazny pręt przebił panu szyję, ale ominął arterię. Prawą nogę ma pan posiekaną odłamkami porcelany, ale wszystkie udało się wyjąć. Przeszedł pan pięć operacji, ale serce dobrze to zniosło. Uratował się pan niejako cudem! Za miesiąc stanie pan na nogi. Tylko trzeba wypoczywać i niczym się nie zadręczać...

— Nie zadręczać się! Ależ ja muszę mówić. Chcę się dowiedzieć, chcę zrozumieć...

— No, no, proszę być rozsądnym!

— Siostro Tereso?

— Nasz ranny właśnie się obudził — cichym głosem powiedziała zakonnica do lekarza, który wszedł do pokoju.

— A, to dobrze! Bardzo dobrze. I jak się miewa? Mówił coś? — spytał szeptem.

— Niech pan sam zobaczy, doktórze.

Doktor Arnaud podszedł do łóżka i serdecznym gestem położył dłoń na ramieniu Abla. Najwyraźniej dopiero co wyszedł z bloku operacyjnego. Na nogach miał jeszcze buty z zielonego płótna, a na szyi wisiała mu maska aseptyczna. Spod furażerki wystawały przydługie włosy. Miał dziecinną twarz, najwyżej trzydzieści lat i w niewielkim stopniu odpowiadał wyobrażeniom o ordynatorze. Był jednym z młodych lekarzy francuskich, przysłanych w ramach współpracy do Grala, największego szpitala w Sajgonie.

Grał podlegał wówczas ambasadzie francuskiej i z tego tytułu cieszył się przywilejem eksterytorialności. Będąc szpitalem cywilnym pod zarządem wojskowym, stanowił dość pewne miejsce schronienia dla wszystkich ofiar konfliktu, które przyjmowano bez względu na przynależność polityczną czy wyznaniową i pomimo często ponawianych przez policję prób nadzorowania i kontroli dokumentów. Do tej pory wojna ciągle pozostawała poza ogrodzeniem otaczającym bujnie zarośnięte zielenią ogrody, gdzie przycupnęły drewniane budynki w stylu chińskich domów rozrywki z początku wieku. Szpital wyposażony był jak najnowocześ-

niejsza klinika zachodnia, w kilku niedużych pawilonach znajdowały się tam wszystkie oddziały współczesnej medycyny, lecz zdołano utrzymać jego staromodny, urokliwy charakter kolonialnego lazaretu. Maleńka kapliczka, kępy hibiskusów i palm arekowych, ławki, gdzie siadywali zakochani i rekonwalescenci, werandy i balkony obsypane kwieciem, w których cieniu zakonnice i pielęgniarze wypoczywali w porze południowej — odnosiło się wrażenie, że jest to miejsce skupienia otwarte dla wszystkich rytów, wszystkich modlitw. Było czymś więcej niż szpitalem, było miejscem pokoju. Jakiegokolwiek boga by tam przyzywano, Chrystusa czy Buddę, w jakakolwiek mądrość by wierzono, Pisma Świętego czy Tao, wydawało się, że prośby o wyzdrowienie zostaną wysłuchane...

Wyjącym syreną ambulansem przywieziono tam konającego Abla. Został natychmiast poddany operacji, przez dziesięć dni i nocy obawiano się o jego życie. A gdy tylko jego stan się nieco poprawił, przeprowadzono dalsze zabiegi, konieczne w jego przypadku.

Miał żyć...

— No, stary, można powiedzieć, że wraca pan z daleka. Śmierć ostrzyła sobie na pana zęby, ale w końcu dała sobie spokój. Twardy z pana facet! — rzekł ciepło doktor Arnaud. — Za miesiąc nie będzie nawet widać, że był pan taki poharatany. Malutka blizna na brzuchu, nowiutkie jelito, a niedługo przejdzie pan na normalną dietę... Mój kolega, doktor Lamblin, artysta w swoim fachu, pięknie pocerował panu powiekę. Ma prywatną klinikę, gdzie robi słynne „zachodnie oko" wszystkim luksusowym panienkom z „Caravelle" czy „Continentalu": może mu pan zaufać, powieka nie będzie pomarszczona!... Nogę też połataliśmy. A gardło to pestka... Za to całkiem niepojęte jest to, że wytrzymał pan wszystko przy takim upływie krwi i z takim poziomem mocznika w tej resztce, która panu została: 2,7! Nie będę opowiadał szczegółów, ale kiedy zdjęli pana z ogrodzenia, był pan wykrwawiony jak zaszlachtowany wieprz...

Mówił dziwną angielszczyzną, w której mieszały się francuskie wyrażenia przetłumaczone w bardzo szkolny sposób i paskudny żargon rzekomo amerykański, z uporem

używany przez sajgończyków. Toteż Abel odpowiedział mu po francusku, chcąc, aby i on przeszedł na ten język.

— Sam nie wiem, co powiedzieć ani jak panu dziękować, doktorze...

— Arnaud. Jean-Paul Arnaud... Świetnie pan mówi po francusku. To naprawdę zadziwiające, że mimo tego wszystkiego, czym paśliśmy pana przez ostatnie dni, żeby organizm zniósł szok, ledwie pan oprzytomniał, od razu mówi w języku obcym. To znak, że ma pan bardzo dobre reakcje i że nie ma obrażeń mózgu. A powłoka zewnętrzna... Wie pan, w zasadzie nie ma mi co dziękować: tylko sobie zawdzięcza pan życie. Ja zrobiłem jedynie, co do mnie należało. Ale muszę przyznać, że nie widziałem tak mocnego serca ani takiej wytrzymałości! Nigdy czegoś takiego nie widziałem! Dziesięć razy powinien pan był przenieść się na tamten świat — a jednak nie! Pana wielką szansą jest atletyczna budowa.

— W dzieciństwie, jako dziesięciolatek, też miałem... nazwijmy to: wypadek. Bardzo ciężki. Całe miesiące w szpitalu. Ale wyszedłem z tego.

— Przezwaliśmy pana z Lamblinem „Ołżyśmiercią". I tym razem, proszę mi wierzyć, nie spędzi pan miesięcy w szpitalach. Najwyżej trzy, cztery tygodnie. I miesięczna rekonwalescencja w Stanach...

— Dlaczego w Stanach? Może zostanę tutaj. Lubię ten kraj. A tam...

— Powiedziałem tak, bo jest pan Amerykaninem, a Wietnam w tej chwili... Chyba że pojedzie pan nabrać sił w Alpy. Dowiedziałem się, że jest pan znanym alpinistą. Policjanci, którzy przyszli mi zadać parę pytań...

— Ach, więc...

— Tak. Faceci z „białej myszy" prowadzą dochodzenie. Na pewno wie pan, że to był zamach.

— Tak, Wcześniej były dwie próby... a właściwie nawet trzy.

— Amerykanie też mnie wypytywali. Zupełny idiotyzm! Jakbym cokolwiek o panu wiedział!

— CIA oczywiście. Widzę, że stałem się szalenie interesującym przypadkiem! I to nie tylko dla lekarzy...

— Ale... proszę wybaczyć ciekawość... czy nie ma pan żadnych podejrzeń?

— Nie. Ciągle nie rozumiem, kto... ani dlaczego... Za to wiem teraz, że te trzy... cztery razy rzeczywiście na mnie dybano: paczka z bombą była adresowana na mnie, a jako nadawcę podali nazwisko mojej... przyjaciółki. Gnojki!

— A... ci ludzie, u których pan mieszkał?... Hoangowie...

— Niech mi pan powie, doktorze... Pytałem chyba o to siostrę Teresę przed chwilą, ale nie jestem pewien: co z małą Nam Hoą?

— Musi pan być silny, panie Young...

Popatrzyli sobie z natężeniem w oczy, Abel potrząsnął głową: już wiedział.

Czy był to skutek środków znieczulających, skutek spokoju i obojętności, jakie sprowadza świadomość, że o włos uniknęło się śmierci? Choć mocno wzruszony, Abel nie był w stanie przejąć się do głębi okrutną śmiercią dziecka, które tak bardzo lubił. Nie był jeszcze w pełni sobą zdumiewał się, że nie potrafi płakać ani nawet nie czuje żalu.

Świadom jego obojętności, lecz nie zdziwiony nią, ponieważ widział już tego rodzaju krótkotrwałe reakcje u ciężko rannych, których po przebudzeniu powiadamiano o śmierci w wypadku bliskiej osoby, lekarz usiadł przy łóżku Abla i mówił dalej tym samym ciepłym i poważnym głosem:

— Jest jeszcze coś, co muszę panu powiedzieć. I myślę, że jest pan zdolny wysłuchać mnie teraz. Mówiono mi, że był pan bardzo blisko ze starszym bratem tej dziewczynki...

— Dong? Co z nim?

— Nie, Hung, tak mówił policjant.

— Tak, tak, Hung.

— No więc został zatrzymany w dniu zamachu. A dwa dni później cała rodzina Hoangów, ich służba i pana boy...

— Doah.

— No właśnie. Kanalie, nie pozwolili im nawet iść na cmentarz pochować małą. Zgarnęli ich wszystkich po wyjściu z kościoła. Odtąd nie ma o nich wieści.

Abel zdruzgotany wpatrzył się w lazurową ścianę przed sobą i dopiero wtedy z oczu trysnęły mu łzy. Tak, na pewno żyje, teraz to odczuł do głębi. Wiedział każdym skrawkiem ciała, każdym zakamarkiem duszy...

Skończył się sen na jawie — ileż będzie musiał teraz wycierpieć!

— Och, dlaczego?! — krzyknął, wstrząsany konwulsyjnie szlochem. — Dlaczego?... Dlaczego?... — powtórzył ciszej, po czym opadł na poduszki, zgnębiony tym ciosem...

— Niech pan popatrzy! — rzekł doktor Arnaud, kiedy Abel przyszedł do siebie.

Wskazał na drugie łóżko stojące w błękitnym pokoju. Abel spojrzał. Leżał tam człowiek, a raczej coś przypominające z kształtu człowieka, cały tak spowity w bandaże łącznie z częścią głowy, że przypominał mumię. Twarz miał białego, i to o odcieniu skóry wskazującym na blondyna typu nordyckiego. Tak obandażowany, pomyślał Abel, przywodzi na myśl niewiarygodnie poranionych bohaterów burlesek albo postaci z humorystyczny rysunków Chassa Adamsa.

— Wygląda na paskudnie pokiereszowanego.

— Ten biedak już się nie wykaraska... Dla pana, przyjacielu, liczy się, że pan żyje. Słyszy pan? że żyje! I to porządnie... Za dwa miesiące będzie pan mógł biegać, tańczyć, wspinać się i w ogóle. Śmiać się!

— Lubiłem małą Nam Hoę. I lubiłem Hoangów. To ja ściągnąłem na nich nieszczęście: co mam więcej powiedzieć? Co mam powiedzieć?...

— Podzielam pana ból, Abel, ale... pan też mógł się obudzić sparaliżowany, stracić pamięć, mógł pan postradać zmysły... Ten nieszczęśnik tutaj, nawet jeśli zdołamy go przez jakiś czas utrzymać przy życiu, nawet jeśli cudem jakimś uda nam się go uratować, będzie tylko wegetował. Mózg ma tak bardzo uszkodzony...

— Kto to? Co mu się przydarzyło?

— Kompletnie nic o nim nie wiemy. Znaleziono go w delcie Mekongu i przywieziono tutaj. Wyleciał na minie. Bóg wie, co robił w tych stronach, bo nie jest żołnierzem amerykańskim, miał ubranie cywilne... Najciekawsze zaś, to że odkąd tu jest, od osiemnastu dni, nikt się o niego nie upomniał. Nazywamy go X. Historia całkiem jak z brukowej powieści... Być może umrze, a my się niczego nie dowiemy. Nieznany cywil...

— Czy mnie ktoś odwiedzał? — spytał Abel, sprawiając teraz wrażenie spokojnego, ale zarazem napiętego, przybitego.

Doktor Arnaud spojrzał pytająco na siostrę Teresę, która właśnie weszła. I ona to odpowiedziała Ablowi:

— Tak, codziennie przynajmniej jeden, dwóch reporterów Eventsa dowiadywało się o pana. Kilka razy też mieliśmy telefony z Nowego Jorku od niejakiego pana Kelly'ego. Zawsze był informowany o pana stanie. A przedwczoraj zjawił się też pan Barrymore...

— Barrymore?... Ach! Garrymore, tak? Richie Garrymore, chciała siostra powiedzieć?

— O właśnie: Richie Garrymore.

— Garrymore jest w Sajgonie?

— To znaczy wyjechał na kilka dni do Da Nang, ale powiedział, że wróci pod koniec tygodnia, żeby z panem pomówić, jeśli będzie mógł go pan wtedy przyjąć. Zostawił mi też dla pana list, przy czym podkreślał, żebym go panu oddała do rąk własnych i wtedy dopiero, kiedy będzie pan w stanie przeczytać go sam. Już po niego biegnę. Ma pan prócz tego trochę poczty...

— Niech pan się nie zdziwi, że listy są otwarte — rzekł doktor Arnaud. I z kpiącym uśmieszkiem dodał: — „Biała mysz"! Twierdzą oczywiście, że to w ramach pana ochrony. W razie gdyby listy były pułapkami jak paczka. Ale rozcinają je nożem nie przedsiębiorąc żadnych środków ostrożności!

— Mimo wszystko doceniam ich uroczą atencję — powiedział Abel tak samo żartobliwie. — Niech mi pan powie: nie zainteresował ich przypadek tajemniczego nieznajomego z sąsiedniego łóżka?

— Najwyraźniej nie. Chociaż znaleźliśmy przy nim coś bardzo dziwnego. Co mogłoby dla policji być wskazówką. W czasie operacji doktor Aron znalazł skrawek podeszwy buta wbity w jego prawą nogę... to znaczy w to, co z prawej nogi zostało. Mieliśmy to wyrzucić z całą resztą, ale aneste-zjolożka zwróciła uwagę, że na gumie jest ślad marki. I że nazwa marki napisana jest po rosyjsku...

Abel, przyjacielu,

Pozwól, że tak się będę do ciebie zwracał na pamiątkę owego wieczoru sprzed trzech miesięcy, który spędziliśmy razem w twoim domu przy St Luke's Place, paląc trawkę, naprawiając świat, śmiejąc się jak stuknięci z byle czego, słuchając *Blond on Blonde, Highway 61 Reyisited,* a także, 0 ile dobrze pamiętam, 9. Symfonii Maniera. „Ach! gdzież są minione piękne dni?"

Abel, niewiele o mnie wiesz, ja prawie tyle samo o tobie. Może uznasz mnie za wariata, ale błagam: uwierz mi. Dla dobra naszej tak krótkiej przyjaźni uwierz w to, co ci tutaj wyjawię. Początkowo ja też nie chciałem uwierzyć — rzecz była zbyt potworna! Musiałem jednak ulec wobec faktów.

Abel, wiem, kto próbował cię zamordować, mam dowody. To twój brat Jeremy. Bez wątpienia za namową matki. *I*

Nie! nie targaj tego listu wzruszywszy ramionami. Proszę, przeczytaj go do końca. Zapewniam, że wahałem się, czy do ciebie napisać...

Abel, pamiętasz ten październikowy wieczór? Wyznałem ci wtedy, że zbieram materiały na temat twojej nowej „rodziny" i dziejów Emersonów. Niewiele wówczas powiedziałem. Pewne fakty zaczynałem dopiero odkrywać, innych się domyślałem. Lecz już wtedy byłem przerażony. Sprawa wciągała mnie jednak i niebawem doszło do tego, że poświęcałem jej większość czasu.

Abel, w Sag Harbor jest ktoś, kto znał cię w dzieciństwie. Być może i ty go pamiętasz: był wtedy szoferem twojego ojca. To stary Harry Rienzo. Zajmuje teraz budyneczek przy j wejściu do parku — zapewniono mu spokojną starość, ale chcą go jej pozbawić.

Harry napatrzył się niemało, był kierowcą Emersonów już w roku 1937.1 o wielu rzeczach wiedział. W niektórych wydarzeniach nawet brał udział.

O tym jednak wolę ci powiedzieć bezpośrednio. Na razie wystarczy, że się dowiesz, że Abel I — jeśli pozwolisz tak nazwać Abla Emersona, syna twojego ojca z pierwszego małżeństwa — nie zginął w wypadku. To było morderstwo, Abel, morderstwo upozorowane na wypadek.

Stary Harry stał się wspólnikiem niejako mimowolnym. 1 kupiono jego milczenie. Był, i nadal zresztą jest, trzymany

w garści z powodu sprawy, o której szczegółowo później ci opowiem.

Kto go trzymał w garści? zapytasz. To także chcę ci powiedzieć osobiście. Wiedz tylko na razie, że kochankiem pani Emerson był adwokat, który ją bronił i zdołał doprowadzić do umorzenia śledztwa w sprawie pierwszej zbrodni popełnionej przez jego klientkę...

Nie wierzysz, Abel, prawda? To wszystko, myślisz sobie, za bardzo przypomina intrygę podłego kryminału. A jednak to prawda. Dysponuję zeznaniem na piśmie tego adwokata. „Pękł" dowiedziawszy się o twoim istnieniu: wpadł w coś na kształt depresji nerwowej graniczącej z obsesją. Szekspirowskie, biblijne wyrzuty sumienia! Wyrzuty sumienia jak w antycznej tragedii! Jego list jest naprawdę patetyczny, trochę mi teraz wstyd, że go niejako na nim wydębiłem.

A ponieważ w dodatku biedak czuje się również winny wobec Faye, którą przy jego wydatnym udziale ubezwłasnowolniono, i na dokładkę Kay Mc Kay rzuciła go, choć wcześniej właściwie obiecała za niego wyjść po śmierci twojego ojca, facet jest zupełnie nie do życia. Obawiam się, że niedługo trzeba go będzie zamknąć w szpitalu.

A w takim wypadku jego świadectwo niewielką będzie miało wartość.

Abel, brakowało mi jeszcze kilku elementów, które by razem stanowiły bezdyskusyjny powód otwarcia śledztwa. I oto dowiaduję się, że jesteś ofiarą kolejnych knowań tej rodziny szaleńców i zbrodniarzy! Muszę ci w związku z tym opowiedzieć coś o Sweetym Monroe... Zrobię to, gdy tylko będziesz w stanie mnie wysłuchać i podjąć pewną decyzję, bo mam chyba wystarczająco dużo dowodów, aby go oskarżyć.

Abel, przyjacielu, los chciał, że ty, który niczego od nikogo nie żądałeś, pragnąc tylko żyć w spokoju, stałeś się spadkobiercą Eliotta E. Emersona. Dziedzicząc, nic nie odbierasz Jeremy'emu, ponieważ to, co na ciebie przypada, jest rozporządzalną częścią spadku, a nie zastrzeżoną (Bar-rett ci to wytłumaczy, tak samo jak mnie wytłumaczył). Tego jednak było za wiele dla Lady Mc Beef. A myśli, że poza tym masz dzielić władzę z Jeremym, nie była już w stanie znieść. Już raz dla syna zabiła. I znowu zabije —jeżeli przedtem nie doprowadzimy do jej aresztowania...

Abel, boję się o ciebie. Cudem wyszedłeś z tego zamachu. Niewątpliwie w Gralu przez jakiś czas będziesz bezpieczny, lecz teraz trzeba się spieszyć, bardzo spieszyć. Przyjaciele Sweety'ego Monroe mają długie ramię, a ja jestem tylko nic nie znaczącym „kapusiem". A Kay Mc Kay i Jeremy na pewno jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa.

Wybacz, Abel, że zaraz po oprzytomnieniu zadałem ci taki cios bez ogródek wyjawiając tę straszną prawdę, ale musiałem.

Z największymi serdecznościami

Oddany ci Richie.

P.S. Ufam siostrze Zuzannie, ale mimo wszystko zniszcz ten list zaraz po przeczytaniu. Ja także jestem w niebezpieczeństwie. Wyjeżdżam teraz do Da Nang zebrać trochę materiałów z frontu. Po powrocie, jeśli będziesz chciał, dla ubawu opowiem ci, jak w końcu załatwiłem, że mnie tu przysłano!

A więc to tak!

Tragiczne fatum, które od urodzenia wlokło się za nim niczym zbyt ciężkie brzemię, zawsze już będzie go ciemiężyć. Przeznaczenie, które jak mu się wydawało, zgubił kiedyś gdzieś za zakrętem w parku Yosemite, gdy znalazł się tam z Thomasem Haynesem, los, który jak sądził, zaklął krzycząc z nagła: „Hej, chcę o wszystkim zapomnieć! Sierota, bękart —i cóż? Chcę być odtąd szczęśliwy. I będę..." — ten los po wsze czasy będzie go prześladował, jak w mitologii furie po wsze czasy prześladowały zbrodniarzy. Jakąż zbrodnię jednak popełnił, że musi teraz ponosić karę? Dlaczego ma nigdy nie zaznać spokoju? Czyż nie dość jeszcze wycierpiał? Czyż nie dość wylał łez?

Och, pamiętał oczywiście tę chwilę rzadkiego szczęścia. Padał ze zmęczenia, był do cna wyczerpany, ale stał w zachodzącym słońcu na szczycie Capitana i chociaż tak utrudzony, skakał niczym faun, wykrzykiwał swoją radość, że wiatr pieści jego spocone ciało, to ciało, które tak długo było chorowite i wątłe. Och, czuł się wtedy jak bóg w wieczornym świetle, był bogiem!

I tak samo był bogiem, kiedy raz o świcie wykąpał się we wzburzonym Pacyfiku. Był bogiem owej nocy, gdy czuwał u boku Johanny śpiącej pod rozgwieżdżonym niebem. Był bogiem, kiedy o świcie zdrzemnął się w końcu na jej ramieniu. I na prowizorycznym biwaku ponad chmurami na Inomminacie; i na skałach w Cap Ferrat, gdy stał twarzą do wschodu. I czymś na kształt boga był dla małej Nam Hoi, której opowiadał swoje życie niby bajkę...

Ale Nam Hoa już nie żyje. I Johanna go opuściła. I nie patrzy ze skalistego wierzchołka, jak u jego stóp rozrywają się chmury, nie leży też na plaży, mrużąc oczy przed słońcem wysoko na niebie: znajduje się w pokoju szpitala Orał, zagrożony śmiercią. I boi się. Jest skazany — nieodwołalnie.

Taki był jego karman.

Karman. To pojęcie znalazł i poznał, a potem nim z wolna przesiąknął, czytając książkę na temat wpływów hinduizmu w Wietnamie, którą pożyczył mu Hung. Teraz już wiedział: ma złego karmana. Mandala, koło przeznaczenia dość podobne do lunaparkowego diabelskiego koła, wyniosło go na szczyt, a teraz strąciło na sam dół...

W gorączce i stanie lekkiej hipnozy, w jakiej znajdował się Abel, do głowy przychodziły mu obłąkane myśli, szalone teorie, które jego samego przerażały. Jest potępiony, dumał, ponieważ w jego żyłach płynie krew Emersonów, krew Abrahamowiczów, plemienia wyklętego, gdyż zaparło się swych korzeni. Albo może dlatego musi cierpieć, że w jego ciele uwięziona jest dusza człowieka nie pogrzebanego, błądząca dusza Abla I, jak Richie Oarrymore nazwał syna Eliotta i Abigail. Tak że w sumie on nie ma własnego życia: jest reinkarnacją innego człowieka.

Po takich napadach mistycznej egzaltacji i lęku następowało ogromne przygnębienie. I nawrót bardziej zdroworozsądkowego, realistycznego rozumowania. Nie! myślał wtedy, wcale nie jest potępiony. I wcale nie płaci za winy innego. Wcale nie ma duszy zmarłego w swoim żywym ciele... Zwyczajnie i prozaicznie ktoś chce go zabić, jego, Abla Younga, nieślubnego syna Eliotta E. Emersona, magnata prasowego, a powód jest jasny: pieniądze, władza, ambicja.

Czyż pieniądze, władza, ambicja nie są motywem większości zbrodni?

Nie ma żadnego w tym wszystkim boskiego przekleństwa, nie ma prześladowania sił wyższych ani związku z nieszczęściami w dzieciństwie czy odejściem Johanny. Abel nie powinien się poddawać rozpaczy ani szaleństwu, powinien zachować zimną krew i oczywiście potraktować tę sytuację jako doświadczenie, jeszcze jedno doświadczenie, anie jako diabelski spisek przeciwko całemu jego życiu. Padł ofiarą wstrętnego nieudanego zamachu, i tyle. Musi teraz walczyć, choć tak bardzo pragnął spokoju; ciągle jeszcze musi prowadzić zmagania. Zbyt dużo już walczył, by nadać wartość swemu życiu, zbyt wiele się zmagał, by ze swego mizernego żywota uczynić żywot triumfalny — i teraz nie zamierza *ńę* poddać.

I przygnębienie ustępowało zimnej, przemyślanej złości, pragnieniu zemsty.

Tak! chciał pomścić Nam Hoę i Hoangów, chciał pomścić Abla Emersona, chciał pomścić Faye, chciał odwetu za siebie. I zemści się!

Właściwą mu kpiącą nonszalancję, uśmiechniętą tolerancję, elegancję zniszczyła groza wojennych obrazów. Teraz pragnął wykrzyczeć swój gniew, pełnym głosem obwieścić swój wstręt do tego świata, który pożądanie pieniędzy i władzy zatruło do cna. W rozgorączkowanej wyobraźni w jedną wizję zlewał mu się B-52 zrzucający bomby napal* mowę na wioskę w okolicach Hue i wzgardliwy śmiech Kay Mc May przy kolacji, którą wydała w „Oiocondzie" w dniu śmierci Eliotta E. Emersona.

Z nienawiści, jaką mu okazywał Jeremy, przedtem tylko by sobie obojętnie zakpił: czyż on, Abel, nie mający nic, a tchnący radością życia, nie był żywym dowodem na to, że władza ani pieniądze szczęścia nie dają? Lecz nienawiść przyniosła śmierć. I teraz Abel na gwałt będzie odpowiadał gwałtem. Nigdy więcej nie nadstawi drugiego policzka.

Może w ten sposób zażegna w sobie strach, uczucie dlań całkowicie nowe...

Bo strach czaił się dokoła, strach sączył się przez otwory w okiennicach, strach poruszał falującą moskitierą, strach wyzierał z ciemności korytarza, strach skrzypiał w zawiasach

uchylanych drzwi, strach wydłużał jego cień rzucany na próg pokoju. Nie był to strach przed nieznanym, jakiego mógł doświadczyć idąc przez sajgoński tłum na spotkanie w „Mood Indigo", strach, który by potrafił opanować w taki sam sposób, jak wtedy opanował bezładne bicie serca; nie był to już strach, na który człowiek się godzi, mogący czasem wywołać nerwowe podniecenie. Był to posępny strach kogoś, kto wie, że jest skazany, i bezsilny leży przykuty do łóżka.

Abel jednak, choć tak rozgoryczony na swój los, tak przeciw niemu zbuntowany, miał jeszcze dość poczucia humoru i ironii, by z tego żartować, jak uczyniłby Jacąues Servoz, gdyby się znalazł w tarapatach na skale albo w korytarzu lodowcowym. Wspomniał zresztą całkiem nieoczekiwanie owe nieco enigmatyczne pocieszające słowa przewodnika, gdy na Aiguille du Fou zaczynała ogarniać go rozpacz: „Wyjdziemy z tego, jeśli nie będziesz się bał umrzeć".

Tak, musi zachować przytomność umysłu i gardzić śmiercią, jeśli chce jeszcze żyć. Musi być silny i nadal się śmiać.

Abel poskładał wielokrotnie, a później podarł przeczytany kilka razy list Garrymore'a i wrzucił do basenu stojącego pod szafką nocną. Odwrócił się potem do tego, którego w myśli nazywał „mumią". Z nieszczęsnego ciała, okaleczonego i poranionego, dobywało się coś jakby ledwie uchwytny szmer. Przymrużył nie zabandażowane oko i rzekł na głos, jak gdyby ciężko ranny mógł go usłyszeć:

— Stary, nieźle nas obu uziemili. Ale zważywszy wszystko, cieszę się, że nie jestem na twoim miejscu. Mi mo Jeremy'ego, mimo Sweety'ego, mimo strasznej Lady Mc Beefl

Siostra Zuzanna rzuciła nań spojrzenie zaintrygowane, lecz pełne słodyczy. Uśmiechnął się lekko.

— Powinien się pan przespać — zwróciła mu uwagę. — Nie trzeba się tak forsować...

Sądziła, że majaczy, co wcale jej nie dziwiło po wstrząsie, jaki przeżył. Szybko jednak się zorientowała, że nie, że odzyskał w pełni przytomność umysłu, całą bujną żywotność. Ze stanowczością w głosie poprosił:

— Siostro Zuzanno, niech siostra będzie łaskawa pójść po doktora Arnaud. Potem obiecuję, że będę wypoczywał. Ale najpierw chcę z nim pomówić.

— Myśli pan, że to takie rozsądne?

— Rozsądne nie jest, ale za to nieodzowne! Nadal jestem mocno zagrożony. Tylko on może mi pomóc. I siostra Teresa. I siostra... I tak jestem za bardzo niespokojny, żeby zasnąć, jak siostra radzi. Dopóki z nim nie porozmawiam...

Zakonnica uległa, wyszła i po chwili wródła z młodym chirurgiem.

— Wie pan, kogo właśnie odprawiłem z kwitkiem? — spytał wesoło lekarz podchodząc do łóżka Abla. — Gliniarza z „białej myszy", który chdał pana przesłuchać. Jeszcze jeden! Powiedziałem, że jest pan na razie za słaby na to, żeby odpowiadać.

— Dziękuję, doktorze, dobrze pan zrobił. Chciałbym, żeby pan na razie nikogo do mnie nie wpuszczał. Chyba że pojawi się Richie Garrymore.

— Richie Garrymore. Siostro Zuzanno, zapamięta siostra?

— Tak, panie doktorze — odparła zakonnica.

— Dziękuję siostrze — rzekł do niej Abel, po czym znów zwrócił się do lekarza: — Wiem, niestety, że jeszcze nie skończyłem z draniami, którzy dybią na mnie. Muszę ich zaskoczyć. I tymczasem nie będę bezpieczny ani tu, ani nigdzie na ziemi. A dopóki Richie Garrymore nie wróri z Da Nang...

— Ależ to straszne! Dlaczego nie zawiadomi pan ambasady albo konsulatu, jeśli pan coś wie? Dlaczego nie zwród się pan do... no nie wiem, do kogo, ale zdaje się, że w Sajgonie roi się od agentów CIA, prawda? A przecież reporter Eventsa, co więcej, szef!...

— No właśnie, wlazłbym prosto w paszczę wilka.

— Słuchaj, Abel—pozwól, że będę d mówił po imieniu, bo dę polubiłem i jesteśmy prawie w jednym wieku; ja jestem Jean-Paul—posłuchaj! Nic nie rozumiem z całej tej demnej historii i nic nie chcę wiedzieć. Ale zapewniam dę, że póki tu będziesz, nie musisz się za bardzo obawiać. Grał jest czymś na kształt miejsca azylu politycznego, które deszy się przywilejem eksterytorialnośd. Nigdy nie został zaatakowa-

ny przez Vietcong, nawet w czasie ostatniej ofensywy. I nigdy też Amerykanie nie próbowali wścibiać nosa w nasze sprawy. Za bardzo się boją zwady z Francją w tej kwestii. Dość już, że nie najlepiej układają się sprawy między de Gaulle'em a Stanami...

— Ale to nie był zamach na tle politycznym, Jean-Paul.

— No to tym bardziej powinieneś się zwrócić do swojego konsulatu! Rozumiem, że w ograniczonym stopniu ufasz tym kretynom z „białej myszy", ale...

— Rzecz w tym, że te gnojki próbują ukryć swoją zbrodnię pod pozorem porachunków na tle politycznymi A człowiek, który zorganizował zamach, jest na pewno w CIA albo w czymś tego rodzaju. Wierz mi, Jean-Paul, wszystko się wyjaśni za kilka dni, po powrocie Garrymorc'a, który jest reporterem „Eventsa" i bardzo zręcznym wywiadowcą. Ale mnie grozi niebezpieczeństwo i proszę cię, żebyś mi pomógł w ochronie, dopóki nie będę mógł się odwołać do wymiaru sprawiedliwości i władz mojego kraju.

— Nie wolisz, żeby cię przewieziono do Stanów samolotem sanitarnym? Można cię transportować bez szkody dla zdrowia.

— Nie, na razie nie. Muszę zostać w Wietnamie dopóty, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy z moim przyjacielem. W Nowym Jorku zresztą wcale nie byłbym bezpieczniejszy. Wręcz przeciwnie...

— Abel, zrobię co tylko w mojej mocy. Sam widzisz: leżysz w pokoju tylko z tym biedakiem Iksem, z tej strony nie masz się więc czego obawiać. Wydam absolutny zakaz odwiedzania cię, a prawo wstępu będą tu miały tylko siostry Teresa i Zuzanna, które się wami zajmą. Nikt nie dostanie mojej zgody na wejście do tej części pawilonu i każę mówić, że jesteś w bardzo złym stanie. To będzie najlepsza ochrona. Zwłaszcza że dzisiaj mamy 7 lutego. Za dwa dni przypada to cholerne święto Tet. A wtedy nawet tu, w Gralu, następuje totalne rozprzężenie. Niemal cały personel wietnamski przestaje wtedy pracować na blisko tydzień. Co roku Tet powoduje tu istne urwanie głowy! Prawdziwy koszmar!... No, ale zobaczymy.

— Bardzo dziękuję, Jean-Paul, z całego serca dziękuję.

— Nie masz za co dziękować. Obowiązkiem lekarza jest być przy pacjencie w każdych okolicznościach — odparł chirurg z ironiczną powagą, mrugając znacząco. Po czym dodał tym samym tonem: — Moim obowiązkiem również jest zwrócić ci uwagę, że powinieneś przestać tak się męczyć, jeśli chcesz szybko wyzdrowieć. Do licha! Abel, ależ ty masz energię i żywotność! Nikt by nie uwierzył, że ledwie tydzień temu byłeś w stanie śpiączki! Chyba w całej swojej karierze czegoś takiego nie widziałem. Pewnie w końcu napiszę raport do Akademii na temat twojego przypadku. „O alpinizmie i chirurgii", coś w tym rodzaju. Jeśli nie wysilę się na artykuł do .....Eventsa"!

Obaj zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Nieco później, połknąwszy środki uspokajające, które mu podała siostra Teresa, Abel zasnął głęboko jak dziecko.

Zakonnica, zanim od niego odeszła, zwróciła siostrze Zuzannie uwagę, że młody pacjent uśmiecha się przez sen...

* *
*

Tak bardzo wzywa się Tet we wszystkich życzeniach, że w końcu przychodzi.

Nowy rok, rok Kozy, rok Stłumionego Ognia, rok *Dinh Muc,* cztery tysiące sześćset czwarty rok księżycowy rozpoczynał się 9 lutego roku pańskiego 1967 u ludzi Zachodu.

Ludziom Zachodu jednak trudno sobie wyobrazić, co może znaczyć Tet dla ludu wietnamskiego. Boże Narodzenie jest niczym dla chrześcijan w porównaniu z radością, jaką przynosi Tet. To święto religijne, ale także narodowe i ludowe; to wielkie święto wywodzące się z tradycji przodków.

Niezmiennie co roku w czasie trzydniowego święta przestrzegany jest cichy rozejm, nawet miedzy stronami wojującymi. To coś na kształt zawieszenia broni zarazem cywilnego i wojskowego, doniosły moment pokoju, zgody, religijnej żarliwości. Ale także wesołości, podniecenia i sza* leństwa. Bo na te trzy świąteczne dni wszyscy zaprzestają jakiejkolwiek działalności: sklepy są pozamykane, urzędnicy i służba mają urlopy, szkoły, uczelnie i urzędy stoją puste,

w koszarach ledwie wystarcza wartowników do pełnienia straży na posterunkach przy wejściu.

Te trzy dni oznaczają również odpoczynek dla kobiet: nie ma bowiem mowy, żeby zaczynać rok od gotowania czy prania. Wszystko jest przygotowane wcześniej, posiłki będą zimne, a jedyną pracą, na jaką można sobie pozwolić, jest ozdobienie domu kwiatami. Na rynku kwiatowym przy bulwarze Nguyen Hue w Sajgonie nakupiono chryzantem, forsycji, gałęzi śliwy wiśniowej i osobliwych kwiatów *thuy tien,* „wodnych czarodziejek", białych, oszołamiająco pachnących narcyzów, które kwiaciarz przyjdzie umiejętnie przyciąć, tak żeby rozwinęły się o północy, w chwili wróżebnej, od której zależy cały następny rok, w chwili przez Wietnamczyków zwanej *giao thua.*

— Przychodzimy świętować *giao thua* w towarzystwie naszego ocalałego w zamachu pacjenta i tego biedaka Iksa! — zawołał wesoło doktor Arnaud wchodząc do pokoju, gdzie drzemał Abel.

Za nim kroczyły siostry Zuzanna i Teresa, niosąc jedna butelkę szampana w kubełku z lodem, druga koszyk z tradycyjnymi „bawimordkami", które chrupie się w noc Tet, a wiec *heo quay, gio, chia, la suong,* no i oczywiście słynny *banh tet,* czyli kwadratowy placek, rękojmię powodzenia, będący symbolem wietnamskiego nowego roku, jak indyk i pudding są dla Anglików symbolami Bożego Narodzenia.

— Cholerny dusichrześcijanin! — zażartował chirurg, potrząsając ciastem zawiniętym w serwetkę.—Smalec i soja! Ale rok byłby niepomyślny, gdybyśmy tego nie zjedli! Nie kuśmy więc wietnamskiego diabła!

Abel uśmiechnął się blado, z przymusem. Miał świadomość, że Jean-Paul otacza go taką serdeczną troskliwością, ponieważ obawia się, żeby pacjent nie wpadł w depresję, ostry atak nerwicy, który mógł powiększyć szok pooperacyjny. Niemal zmartwychwstanie rannego wydało się wcześniej chirurgowi cudem, teraz zaś czuł niepokój: po ekscytacji sprzed dwu dni wystąpiło bowiem u Abla posępne przygnębienie, obojętność na wszystko, apatia. Ogarnięty najczarniejszą rozpaczą, sprawiał teraz wrażenie, jakby odechciało mu się żyć.

A ostatnie miesiące jego życia były nieprzerwaną serią wypadków, nad którymi nie miał czasu się zatrzymać w bezustannym wirze zdarzeń, wrażeń, nowych odczuć, gdzie szczęście przeplatało się z nieszczęściem. Nieszczęście: niemiła przygoda w górach na Aiguille du Fou; szczęście: nadejście ratunku i powrót Johanny. Nieszczęście: śmierć ojca odzyskanego na tak krótko i straconego na zawsze; szczęście: och! biegać, biegać na przylądku Ferrat w świetle wstającego dnia. Nieszczęście: wytrzymać okropne kolegium redakcyjne „Eventsa"; szczęście, szalone szczęście, triumfujące: wspiąć się na szklaną wieżę. I znowu nieszczęścia: zerwanie z Johanną, wojna... I szczęścia: zachód słońca nad Hue, śmiech małej Nam Hoi. Nieszczęścia, szczęścia, nieszczęścia...

Nie starczało mu czasu, by z tego wszystkiego dobyć jakąś mądrość ani pomyśleć o sensie, jaki wtedy nadawał swojemu życiu. Po prostu żył. Brał życie takim, jakie było, z jego radościami i smutkami. I nic nie było skalkulowane, nic nie było wyrachowane, w żadnej chwili się nie oszczędzał. W hojności swego jestestwa całą swą młodą duszą zaznał eksplozji aktywności i wrażeń, przeżył nowe doświadczenia, dokonał mimowolnych odkryć... Lecz teraz, gdy nieudany zamach unieruchomił go w szpitalu, w wąskim łóżku, obok tej mumii, człowieka skazanego na śmierć, którego enigmatyczna postać bardzo na Abla działała, choć nie śmiał tego wyznać — teraz przeżywał nagłe załamanie woli, nawet osobowości. Okazało się oto, że jest sam na świecie, bez rodziny. Bez swojej Ma, do której pisał same banały i ukrył, że padł ofiarą zamachu, aby jej nie przerazić. Bez Johanny, bez Thomasa Haynesa, bez Hoangów, bez uroczej Nam Hoi i daleko, bardzo daleko od Servozów. Daleko od Alp, daleko od San Francisco, daleko od Nowego Jorku, daleko od zgiełku sajgońskich ulic, tak przecież bliskich.

Zamknięty w Gr&lu z wywołującym zniechęcenie uczuciem, że jego życie jest absurdalne, pozbawione sensu, niepotrzebne — tragicznie niepotrzebne.

Do Ucha, Abel! zdarzało mu się jeszcze wymyślać samemu sobie, kiedy strach stawał się zbyt wielki albo w przypływie poczucia godności. Do licha! znowu ci wraca ta stara przypadłość! No chyba nie zamierzasz...

Popełnić samobójstwa? Nie. To wiedział: nigdy więcej nie będzie usiłował skończyć z sobą. Dlatego, że zbyt wiele wycierpiał po pierwszej takiej próbie w wieku dziesięciu lat. Nigdy więcej nie będzie próbował się zabić. Ale niemal pragnął ponieść śmierć w kolejnym zamachu.

Och, pogrążyć się w zapomnieniu, w ciszy... Powoli się unicestwić...

Och! umrzeć! Umrzeć w wieku dwudziestu czterech lat, w sile wieku, wiedząc, że wyczerpane już zostały wszystkie rozkosze i wszystkie racje każące walczyć...

Potrafił się jednak opanować, kiedy do pokoju wchodził Jean-Paul. Jean-Paul, który wraz z upływem godzin spędzonych na rozmowach o wszystkim i o niczym, stawał się przyjacielem. Abel oszukiwał i na twarz przywoływał stosowną minę. Udawał, że bardziej niż w rzeczywistości wzrusza go troskliwość i serdeczność młodego chirurga.

— To miłe! Bardzo miłe! — powtarzał, podczas gdy lekarz przesuwał stolik nocny mówiąc:

— To będzie nasz ołtarz przodków. *Ong* Tao, duch domu, wyruszy, by zdać doroczne sprawozdanie Niebiańskiemu Cesarzowi. To chwila, gdy należy się skupić.

Zakonnice, które widać ten pogański obrządek nieco szokował, zarumienione popatrywały na siebie ukradkiem. Potrafiły jednak pojąć, że to po prostu zabawa dwóch młodych ludzi, i miały dość wyrozumiałości, by się do niej przyłączyć. Siostra Zuzanna nakryła stolik serwetką pełniącą rolę obrusu liturgicznego. Siostra Teresa zapaliła kilka trociczek. A ponieważ zaimprowizowany rytuał był rozmyślnie zeuropeizowany, Jean-Paul odkorkował butelkę szampana.

— Za chwilę — powiedział, gdy korek uderzył w sufit — usłyszysz całkiem inne wystrzały, kiedy wybije godzina *giao thua.* Jeśli tego nie przeżyłeś, Abel, nie możesz sobie wyobrazić. Człowiek się czuje jak na strzelnicy! Słychać wybuchy ze wszystkich stron całymi seriami!

Nalał wina do lampek, będących zresztą ordynarnymi menzurkami farmaceutycznymi.

— Napiją się siostry z nami? — spytał zakonnic.

— Uprzejmie służę, markowy szampan z piwnicy „Broddarda"!

Nieśmiało przystały na propozycję, gestem prosząc, żeby im nalał tylko „na palec".

Trącili się grubym szkłem z wybitym na nim kaduceuszem.

— Och, przecież ty piszesz, więc powinieneś zrobić *khai but* — zawołał Jean-Paul zwracając się do Abla, który zaczynał się rozluźniać i odczuwał niejaką wesołość, dotąd przez delikatność udawaną.

— *Khai but?*

Jean-Paul wyjął długopis przypięty skuwką do kieszonki fartucha.

— Masz, jest nowiutki. *Khai but* polega na tym, że masz wziąć nowe pióro, żeby zacząć nowy rok, i bez zastanawiania się zapisać pierwszą myśl, jaka ci przyjdzie do głowy. To wróżba na cały ten rok. Ale musisz zaczekać, aż wybije *giao thua*.

— Ho ho ho! to piekielna odpowiedzialność! — zażartował Abel. — Ale skąd ty to wszystko wiesz, Jean-Paul? Skąd znasz te rytuały, tradycje?

— Kocham ten kraj, kocham ten naród. Zainteresowałem się nim od samego początku. Przyjechałem tu w lutym 64 roku. Patrz, dopiero teraz sobie uświadomiłem, że to było dziesiątego. Dokładnie trzy lata temu. Miałem pracować w Gralu pół roku i... jak widzisz, zostałem. W zeszłym roku ożeniłem się z Wietnamką, ma na imię Suan. Jest teraz we Francji z dzieckiem. Uznałem, że tutaj to zbyt niebezpieczne dla niej i dla malca. Jej brat jest w... No, rozumiesz. Ja też wrócę do Francji, na Wielkanoc. Ale wiem, że kiedy już tam się znajdę, będę zadowolony z powrotu, a zarazem strasznie smutny, że opuszczam Wietnam, być może na zawsze...

— Ja też kocham tych ludzi, ten kraj.

— Trzeba go szybko kochać, Abel. Za dwa, trzy lata nie zostanie tu nic. Nic! Same zgliszcza. A jeśli cokolwiek przetrwa, to będzie jednym wielkim obozem koncentracyjnym!

— No tak... — melancholijnie westchnął zawiedziony Abel. — Widzę, że jeszcze czarniej to widzisz niż ja, czarniej niż Hoang Van Hung...

— Nie, nie! — żywo zaprzeczył chirurg siląc się na wesołość. — Dzisiaj żadnych ponurych myśli! Zapomnijmy

o tym, co smutne. Wypijmy! Wypijmy za zdrowie tego biedaka Iksa... a raczej — poprawił się spoważniawszy — życzmy mu, żeby zgasł spokojnie...

Na chwilę spojrzenia wszystkich skierowały się na rannego. Potem Jean-Paul powiedział:

— Wypijmy zwłaszcza za ciebie, Abel, żebyś jak najszybciej zapomniał o tym koszmarze! I wypijmy za tego, kto pierwszy przekroczy próg tego pokoju. Szczęśliwego *xong Dat!*

— *Xong Dat?*

— Tak. To inny zwyczaj święta Tet. Idzie o to, że kto pierwszy przekroczy próg domu w godzinie *giao thua,* tego znak i duch będą miały wpływ na życie osób tam się znajdujących przez cały rok. Życzmy sobie, żeby to był przyjaciel.

— Ale przecież zabroniłeś wszelkich wizyt...

— Ach, prawda! Ha, w takim razie umówmy się, że zależnie od tego, czy pierwsza tu wejdzie siostra Zuzanna albo Teresa...

Obydwie zakonnice uśmiechnęły się życzliwie. Nagle huknęła seria strzałów. Abel się poderwał, a Jean--Paul wybuchnął śmiechem.

— Pierwsze petardy! — powiedział. — Zaczęła się noc szaleństwa. — Podniósł szklankę: — Szczęśliwego *Dinh Mui!*

— Szczęśliwego *Dinh Mui!* — uroczyście powtórzył za nim Abel.

Kanonada przybrała na sile.

— Nawet wewnątrz szpitala? — zapytał zdziwiony.

— Nie żartuj, przecież to noc Tet! Szpital, nie szpital, wszyscy świętują. A to, co teraz słyszysz, to dopiero początek!

Istotnie był to dopiero początek: dokoła pawilonu petardy strzelały teraz ze wszystkich stron ogłuszającymi salwami. Nie dało się w tym huku rozmawiać. Toteż nie mogąc złożyć sobie życzeń, trącili się szkłem. Siostry Zuzanna i Teresa również nie pozostały w tyle...

— O! szczęśliwy *xongDat:* patrz, Abel, gość!... — zawołał zdumiony Jean-Paul...

...I naraz krzyk zgrozy!

Gość nie jest sam: do pokoju jak burza wpadło pięciu mężczyzn. Pięciu mężczyzn rasy żółtej przebranych za chirurgów, w aseptycznych maskach zasłaniających twarz po oczy, w furażerkach nasuniętych po same brwi, w przezroczystych gumowych rękawicach. Pięciu mężczyzn, każdy zbrojny w rewolwer...

Dwóch rzuca się na doktora Arnaud, którego obezwładniają chwytem karate i przystawiają mu lufę pythona do skroni. Zakonnice cofają się przerażone. Struchlały Abel otwiera usta do krzyku. Ale nawet gdyby z zaciśniętego gardła wyszedł jakiś dźwięk, i tak nikt by go nie usłyszał, nikt z zewnątrz nie przyszedłby mu z pomocą: petardy i race nadal strzelają w powietrzu zasmrodzonym kordytem.

Jeden z ludzi przebranych za chirurgów łapie siostrę Teresę i po francusku wrzeszczy do niej:

— Który to Iks, który Young?

Siostra Teresa nie odpowiada. Jean-Paul, blady, zlany potem, nadaremnie szamocze się w rękach napastników. Jeden z nich przypadł również do siostry Zuzanny i powtarza jej to samo pytanie:

— Który to Iks, który Young? Szybko! Albo...

Ukradkowa wymiana spojrzeń między doktorem Arnaud a siostrą Zuzanną, która pojmuje w lot. Abel również pojmuje: Iks, mumia, zostanie poświęcony.

I faktycznie, bliska utraty przytomności, ze ściśniętym gardłem siostra Zuzanna bełkocze w końcu, pokazując Iksa palcem:

— Abel Young. Tamten to Abel Young.

Kłamstwo z pobożnych pobudek, szczęśliwe dla Abla kłamstwo: piąty napastnik podbiega do umierającego nieszczęśnika i przystawia rewolwer do zasłoniętej bandażami skroni, upewniając się jeszcze:

— Abel Young, Amerykanin?

— Tak! Tak! — krzyczy siostra Zuzanna. Druga zakonnica kiwa twierdząco głową. Wystrzelony z bliska pocisk rozrywa czaszkę rannego.

Krew tryska aż na Abla, który dopiero teraz krzyczy. Krzyczy jak obłąkany...

Krzyczy, ponieważ wie, jakiego losu uniknął, ale teraz krzyczy też dlatego, że zabójcy jeszcze nie skończyli!

Rozlega się drugi strzał: Jean-Paul Arnaud pada na ziemię.

I trzeci, i czwarty. Za każdym razem celem jest głowa, za każdym razem ta sama precyzja, tak samo trzaska kość i rozpryskuje się mózg. Obydwie zakonnice giną jedna po drugiej.

Gało siostry Zuzanny pada na łóżko Abla i plami krwią pościel. Abel musi cofnąć nogi spomiędzy ramion trupa, które jakby go obejmowały. Skulił się na poduszce i już nie krzyczy.

Nie jest w stanie niczego wyrazić, nawet przerażenia...

Bo dopadają go dwaj napastnicy, przykładają mu do twarzy tampon z chloroformem, wywlekają z pościeli i wynoszą, trzymając pod ramiona i za nogi, jak Chrystusa zdjętego z krzyża.

Tego jednak Abel już nie wie: pogrążył się w nicość...

Układają go na noszach, podczas gdy dwaj inni napastnicy wyrywają rurki i przewody, które wlewały życie w żyły „mumii", i rzucają zwłoki na puste łóżko Abla. Ostatni z grupki opuszczającej pokój, nim zamknie jego drzwi, wylewa z kanistra benzynę i rozbija butelki z alkoholem i eterem. Później podkłada ogień.

Pośród płomieni, huku petard i rakiet, ambulans z wyjącą syreną i włączonym migaczem rusza jak burza, nabiera szybkości w głównej alejce terenów szpitalnych, pełnym gazem wpada na szlaban przy bramie, po czym mika w ciemnościach...

* *

SAJGON SZPITAL GRAŁ. WIELKI POŻAR. CZTERY OSOBY ZAMORDOWANE. IDENTYFIKACJA UTRUDNIONA Z POWODU ZWĘGLONYCH ZWŁOK. PIERWSZE WYNIKI: DWIE ZAKONNICE. FRANCUSKI LEKARZ. AMERYKAŃSKI DZIENNIKARZ. INNI PACJENCI EWAKUOWANI.

SAJGON SZPITAL GRAŁ. PODPALENIE. CZTERY OFIARY, W TYM ABEL YOUNG, REPORTER EVENTSA, NIEDAWNO RANNY W ZAMACHU. ZNIKNIĘCIE JEDYNEGO ŚWIADKA.

DWUDZIESTOCZTEROLETNI ABEL YOUNG, PREZES EVENTSA, ALPINISTA ŚWIATOWEJ SŁAWY, GINIE W ZAMACHU W SZPITALU GRAŁ W SAJ-GONIE. POWTÓRNA PRÓBA. NIE ZIDENTYFIKOWANY WAŻNY ŚWIADEK ZNIKA. TRZEJ INNI ZAMORDOWANI.

Różnie zredagowana i niezbyt zrozumiała nowina trafiła w następnych godzinach na dalekopisy całego świata. Nieco później redakcje wielkich dzienników, stacje radiowe i telewizyjne poznały inne szczegóły i otrzymały wyjaśnienia od swoich korespondentów w Wietnamie.

I tak Marvey powiadomił Roberta G. Kelly'cgo we własnej osobie, że ze zgliszczy pawilonu wydobyto spalone ciała czterech osób. Innych pacjentów zdążyła ewakuować straż pożarna, której całą resztę nocy zajęło opanowanie ognia. Ofiary, a zwłaszcza Abla Younga, zdołano zidentyfikować jedynie na podstawie rejestru przyjęć, tak mocno zwłoki były zwęglone. Leżący w pokoju Abla tajemniczy pacjent, zapisany jako X w księdze kosztów utrzymania, znikł jak kamień w wodę i nadal nie umiano go zidentyfi- j kować. Sajgońska policja doszła do wniosku, że to morder- / stwo, odnaleziono bowiem ślady kul w potrzaskanych czaszkach ofiar. Mówiono o grupie czterech bądź pięciu zabójców przebranych za chirurgów. Oskarżano oczywiście Vietcong. Zapanowało wielkie wzburzenie w Sajgonie, obchodzącym przecież święto Tet. Ambasada Francji, której podlegał szpital, oraz ambasada Stanów Zjednoczonych zażądały na ′ najwyższym szczeblu natychmiastowego wszczęcia dochodzenia. Aferę obdarzono już mianem „Nocy Tet".

Kelly, otępiały z bólu, ciężko usiadł w fotelu i z czołem wspartym na biurku płakał.

Przez kilka ostatnich godzin zdołał jednak panować nad swoim wzburzeniem: przez czas potrzebny profesjonaliście

bez zarzutu, jakim był, na zwołanie kolegium redakcyjnego w pełnym składzie, z dyrektorem artystycznym, kierownikiem biura dokumentacji oraz szefem produkcji, i na wstrzymanie druku okładki najbliższego numeru „Eventsa". Szło o to, by zastąpić portret Laury Signorelli fotografią Abla lub przynajmniej zdjęciem, które uczciłoby pamięć zmarłego. Kelly nie chciał rozmawiać telefonicznie z Jere-mym wcześniej, aż będzie mógł go postawić przed faktem dokonanym i nieodwracalnym. Zamachowi, którego wcześniej Abel omal nie przypłacił życiem, „Events" jako jedyny tygodnik informacyjny poświęcił zaledwie trzy piąte kolumny, i to na stronie kroniki wydarzeń nie mających większego znaczenia. Część osób mogła to pobłażliwie i z rozbawieniem uznać za nadmiar taktu ze strony redakcji. Wszystkich by jednak zastanowiło, gdyby „Nocy Tet", figurującej na pierwszych stronach dzienników, nie przedstawiono w reportażu w najbliższym numerze pisma wraz z krótką a tragiczną biografią jednego z dwóch prezesów Eventsa. A Kelly wystarczająco dobrze znał Jeremy'ego, żeby się nie obawiać kolejnego ocenzurowania. Nawet na ten temat. Zwłaszcza na ten temat...

Jeremy przebywał jednak na Bahamach, gdzie wypoczywał w towarzystwie Laury Signorelli i leczył bardzo lekką depresję, będącą niewątpliwie skutkiem głośnej porażki pierwszego numeru „Tuxeda", które się wreszcie ukazało. Kelly potrafi sprytnie wykorzystać jego oddalenie.

Istotnie, błyskawicznie rozdzielono zadania między kilku dziennikarzy mających opracować tragiczne wydarzenie. Pozostawało jeszcze wybrać zdjęcie na okładkę, będącą przedmiotem trzeciej tego dnia narady.

W dyrektorskich gabinetach panowała konsternacja i coś na kształt milczącego skupienia. Słabo znano Abla, lecz jego urok osobisty, uprzejmość, poczucie humoru, śmiałość, brawura, a później bezsporny talent pisarski wymusiły powszechną sympatię. Choćby dla kontrastu z równie powszechną antypatią, jaką budziły arogancja i pretensjonalna głupota „tego kretyna Jeremy'ego"... Oczekiwano właśnie na decyzję naczelnego redaktora, wyraźnie najbardziej ze wszystkich wzburzonego, wynikającą z poczynionych mu

sugestii. Na jego biurku leżało kilka zdjęć Abla znalezionych w archiwum fotograficznym. W sumie bardzo niewiele. A to, na które padł w końcu wybór Kdly'ego, nie było nawet własnością Eventsa, lecz zwykłym dokumentem agencyjnym. Widniał na niej Abel, sfotografowany w zbliżeniu z helikoptera, podczas wspinaczki na Events Tower.

Kelly długo przesuwał po powiększeniu plastikową makietę, opatrzoną tytułem pisma i sformatowaną tak, aby można było wypróbować różne układy stron. Dyrektor artystyczny niecierpliwił się, kierownicy produkcji dyskretnie zerkali na zegarki. Szef jednak, na oczach zakłopotanej ekipy zgromadzonej wokół niego, w zamyśleniu przyglądał się twarzy człowieka, którego uznał za swojego pupila i jedynego godnego następcę Eliotta E. Emersona. Abel miał twarz ściągniętą, naznaczoną wysiłkiem, a mimo to młodzieńczy wdzięk bił od całej jego postaci. Zaciskał zęby, uśmiechając się zarazem, promienny, ze wzrokiem skierowanym ku niebu. A blask zachodzącego słońca złocił jego blond włosy. Była w nim jeszcze anielskość dziecka.

— Był piękny! — wyszeptał Kelly bliski łez. — Nigdy sobie nie zdawałem sprawy, jaki był piękny. Głupio to teraz mówić... ale pamiętam, że kiedy ze mną rozmawiał, obsesyj nie wpatrywałem się w jego ząb z przodu, o tu, ukraszony... Tylko to widziałem! I zastanawiałem się, czy podpowiedzieć: mu kiedyś, żeby sobie założył koronkę. Taka myśl jest; całkiem w stylu redaktora naczelnego „Eventsa", nie? A w gruncie rzeczy ten ułamany ząb dodawał mu uroku:' zupełnie jak dzieciak, który paskudnie się przewrócił jeżdżąc na wrotkach...

Coraz bardziej zdumieni i zażenowani nieoczekiwanym napadem sentymentalizmu, współpracownicy Kelly'ego nie wiedzieli, jak się zachować, i popatrywali na siebie ukradkiem. Niektórzy poczuli nawet, że muszą zakaszleć lub odchrząknąć, jakby mieli zaraz zabrać głos; nikt jednak nie śmiał mu przerwać i przypomnieć, że czas ucieka.

A Kelly, obojętny na wszystko, mówił dalej pochłonięty własnymi myślami:

— Był piękny, naprawdę piękny... I odważny. I utalen towany. „Ach, cóż powiedzieć o księciu, który umiera w kwiecie wieku? Cóż więcej powiedzieć ponad to, że był

księciem..." Czyje to słowa? „Ach, cóż powiedzieć o księciu..."

Niechcący przesunął dłonią fotografię i odsłonił jedno z pierwszych zdjęć agencyjnych z pożaru Grala nadesłane z Sajgonu. Dotąd podświadomie unikał spojrzenia na nie, lecz teraz jego wzrok spoczął na fotografii i wbrew sobie ujrzał pomiędzy nadpalonymi, zwalonymi belkami żelazne łóżko, na którym spoczywały zwęglone zwłoki.

I rozpłakał się...

— Kelly?

W odruchu strachu, niemal przerażenia, jakie ogarnęło zebranych, zerwali się z miejsc, jakby stając z szacunku na baczność: Jeremy, Jeremy Emerson we własnej osobie wkroczył do dyrektorskiego gabinetu!

Kelly podniósł załzawione oczy i wzdrygnął się zaskoczony.

— Tak, to ja! — rzekł Jeremy zarozumiale. — Wskoczy łem w samolot, jak tylko się dowiedziałem. I oto jestem)

Ujrzawszy materiały rozrzucone na biurku dodał, najwyraźniej zdumiony:

— Ale co wy chcecie zrobić? Nową okładkę? Poszaleliście czy co?

— Termin będzie dotrzymany, proszę pana — wtrącił szef produkcji.

— Termin! Termin! Akurat idzie o termin... — wybuchł Jeremy.

Ogromnie mu zależało na opublikowaniu w tym tygodniu portretu Laury Signorelli, rzymskiej gwiazdki, którą odkrył na przyjęciu w Beverly Hills i z której upierał się zrobić — wbrew opiniom największych producentów Hollywoodu — nową Sophię Loren. I oto ledwie się odwrócił plecami, a już zmieniało się jego wielkie plany! Już przestawano się liczyć z jego decyzjami! Już pozwalano sobie na...

Sypnął się naraz grad wyrzutów i inwektyw. Uzewnętrznił się wybuchem zbyt długo hamowany gniew rozpieszczonego dziecka, demonstracyjnie ujawniła się wreszcie autorytatywność. Jednym ruchem dłoni Jeremy zmiótł z biurka na grubą wykładzinę fotografie, które Kelly przeglądał i badał.

Zapadło milczenie, wymiana długich nienawistnych spojrzeń. Na oczach współpracowników naczelnego dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, nie tając dłużej skrywanych w głębi duszy uczuć.

Lecz Jercmy, uważając, że przełożony, który chce być wielkoduszny, powinien się uspokoić okazawszy słuszny gniew, opadł na jeden z foteli przeznaczonych dla gości i przywołał na twarz uśmiech, w jego mniemaniu życzliwy.

A w rzeczywistości pyszałkowaty...

Tę właśnie chwilę Robert G. Kelly wybrał na to, by się podnieść z miejsca.

I powściągliwie oznajmił:

— Jeremy, składam dymisję. Począwszy od dzisiaj przestaję pełnić jakąkolwiek funkcję w koncernie. Żegnajcie, przyjaciele — dodał pod adresem reszty zebranych.

Pośród nabożnego milczenia podszedł do ściany na wprost drzwi i zdjął duży portret Eliotta E. Emersona, który zawiesił tam nazajutrz po jego śmierci. Wziął ciężką oszkloną ramę pod pachę jak plastyk teczkę z rysunkami, po czym schylił się i spośród rozsypanych po podłodze fotografii podniósł zdjęcie Abla wspinającego się na Events Tower. Wsunął je z tyłu portretu i nie odwróciwszy głowy wyszedł z gabinetu.

W sekretariacie — siła nawyku! — machinalnie pozdrowił sekretarkę swobodnym „Dobranoc, pani Hepplewhite!".

Jakby nigdy nic. Jakby nazajutrz rano miał ją zobaczyć.

Ale nie zobaczy jej więcej, przynajmniej w gabinecie: opuszczał właśnie na zawsze Eventsa i Emersonów, którym oddał ponad trzydzieści lat swojego życia.

Nieco później, ku wielkiemu zdumieniu pracowników, widziano go pijącego piwo przy kontuarze „Cafe La Croisette" na parterze wieży. Rozwiązał krawat, którego końce zwisały po obu stronach rozchylonego kołnierzyka, i rozpiął kamizelkę. Inni jeszcze bardziej się zdziwili, kiedy zobaczyli, że nie zjeżdża dyrektorską windą do podziemia, gdzie czekała nań limuzyna z szoferem, co wieczór odwożącym go do domu przy Park Avenue, lecz pieszo idzie przez plac i znika w tłumie rojącym się przy Pięćdziesiątej Ulicy.

Tego wieczoru anonimowo i swobodnie, z jedną ręką w kieszeni spodni, w drugiej trzymając duży portret Eliotta E. Emersona, w którego szkle odbijały się światła miasta i zaczynający prószyć śnieg, Robert O. Kelly postanowił trochę powłóczyć się po Manhattanie, nie uprzedziwszy nawet żony, że spóźni się na kolację wydawaną sam już nie wiedział dla kogo: dla jakiegoś tancerza z moskiewskiego Teatru Wielkiego? dla węgierskiego pianisty? dla czeskiego tenora?

Co tam! Tego wieczoru szedł, gdzie go oczy niosły, nie znanymi ulicami. Nie było mu zimno, chociaż przemókł do suchej nitki. Czuł, że opanowało go jakieś oszołomienie, rozkoszna euforia. Nie był pijariy, ale przebiegał miedzy samochodami na jezdni. Albo na złączonych nogach przeskakiwał parujące płyty studzienek kanalizacyjnych, kopał nie istniejącą piłkę, zatrzymywał się na chwilę przed witryną i stroił miny do swego migotliwego odbicia — jak dzieciak. Wydawało mu się, że ma dziesięć lat i jest na wagarach.

— Jestem wolny! — nucił sobie w duchu. — Jestem wolny!

W tej samej chwili nieskończenie ostrożnie, z nieskończoną czułością Alec Philips sadzał w swoim starym, powyginanym chevrolecie Johannę — Johannę, która dostała ataku histerii, kiedy włączywszy przypadkiem telewizor, dowiedziała się o śmierci Abla. Odwoził ją do pobliskiej kliniki, należącej do jego przyjaciela, i jechał jak najwolniej, żeby jej nie przestraszyć. Ona jednak, na poły oszalała, szlochała i zanosiła się od płaczu, przez cały czas gładząc się po brzuchu:

— Nie chcę] Nie chcę, żeby umarło!

— Nie umrze! — szeptał w odpowiedzi Alec. — Nie umrze, najdroższa!

— Nie, nie! Nie chcę! — powtarzała z uporem. — Nie chcę, żeby dziecko umarło. Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę, żeby umarło! Och! Abel, Abel, Abelito...

W tej samej chwili Jacques Servoz, przytłoczony smutkiem, niepostrzeżenie zapadł w sen i zsunął się z krzesła na zimną podłogę drewnianej szopy przy swoim domu. Spędził

tam w bezruchu kilka godzin, płacząc z czołem wspartym o belkę, na której Abel zwykł wieszać swój sprzęt wspinaczkowy. Jego kask, uprząż z odciśniętym jeszcze lekko kształtem jego ciała, czekan o trzonku trochę wytartym w miejscu, gdzie trzymały go palce zesztywniałe z zimna. I jego starannie zwinięte liny, jego karabińczyki, jego haki.

— Och! Abel, Abel, chłopcze kochany...

W tej samej chwili Faye Emerson targała płótno, które skończyła poprzedniego wieczora. Pod ciosami szpachli obraz rozrywał się i opadał w strzępach. Przedstawiał coś na kształt współczesnego męczeństwa świętego Sebastiana. Mężczyznę o twarzy ujętej w skórzany kaganiec, z zawiązanymi oczami i ciałem przykutym do stalowej prasy przeszywały cienkie promienie laserowe.

— Och! Abel! —jęczała cicho Faye jak ranne zwierzęt ko, nie przestając znęcać się nad wielkim malowidłem. — Abel, Abel...

W tej samej chwili Thomas Haynes, pijany na umór, zaatakował barmana z „Club 111", który zagroził mu, że wezwie policję. Okładał go pięściami, a potem padł u jego stóp i wymiotował, wymiotował, wymiotował. I wył:

— Abel! Abel! Abel!

W tej samej chwili Madeleine Langlois chwyciła się ręką za serce i upadła koło wanny w łazience swej ładnej willi w Sausalito — martwa.

— Abel! — powiedziała, usłyszawszy z ust spikera radiowego nazwisko „swojego małego mężczyzny", „swojego narzeczonego".

— Abel!

Jedyną osobą, która w tej samej chwili zachowała zimną krew, była Kay Mc Kay.

Swojemu niebotycznie podnieconemu synowi, opowiadającemu przez telefon, w jakich okolicznościach Robert G. Kelly złożył dymisję, odrzekła sucho:

— Cóż, mój skarbie, zrobiłeś kapitalne głupstwo, jeśli chcesz wiedzieć! Nie chodzi o Kelly'ego: zawsze się znajdzie kogoś na jego miejsce. Idzie o okładkę. Trzeba było się

zgodzić na wszystko, synu! Zaproponować nawet więcej. Wybrać sobie piękną rolę. Grać niepocieszonego. Smucić się.

— Ależ, mamo...

— Udawać, że ogromnie żałujesz brata. Ostentacyjnie mówić o nim „mój brat", „mój kochany braciszek", póki tam byłeś. Płakać nawet. Jak trzeba, człowiek zawsze wyciśnie łezkę!

— Ależ, mamo...

— No i godnie by się wszystko załatwiło. Gdyby było trzeba, sprowadziłoby się zwłoki i zrobiło pogrzeb z wielką pompą. Widać by było wielkość Emersonów! Wielkoduszność Emersonówl Klasę i w ogóle!

— Ależ, mamo...

— I potem już nigdy byśmy nie usłyszeli o bękarcie! Nigdy więcej! A przez to, że tak się do tego zabrałeś, zobaczysz, że ten gnojek niedługo będzie uchodził w firmie za bohatera i męczennika!

— Ależ, mamo...

— Nie, naprawdę! Głupiec z ciebie! Przecież niewiele by cię to kosztowało. Co ci szkodziło, skoro on wykorkował?

— Ależ, mamo...

— No co: mamo? Kiedy pierwszy Abel zginął, to znaczy twój starszy brat, Abel Emerson... pamiętasz go?

— Ależ, mamo! Byłem nawet przy wypadku.

— Jak to? Widziałeś?

— Ależ tak, mamo! Zapomniałaś? Nie pozwoliłaś mi jechać z nim.

— O Boże! faktycznie. Widziałeś ten straszny wypadek, moje biedne kochanie. Takie dziecko! I pomyśleć, że gdybyś...

— Ależ, mamo...

— No, chciałam przez to powiedzieć, że byłeś z pewnością za mały, aby dzisiaj pamiętać, że potrafiłam wtedy przez trzy dni nie wychodzić z pokoju. Że byłam pogrążona w rozpaczy. Że w całym dworze słyszano, jak płakałam...

— Ależ, mamo! To było co innego: Abel żył z nami. Należał do rodziny. To był naprawdę mój brat...

— „Naprawdę mój brat"! To właśnie ludzie powinni słyszeć.

— Ależ, mamo...

— „Naprawdę mój brat"! Moje biedne kochanie! Dowiesz się kiedyś. Dowiesz się, skarbie...

— Ależ, mamo...

— Już nic, Remy, już nic. Ja nic nie powiedziałam. Wybacz mi i przyjdź dzisiaj na kolację. Brakuje mi ciebie, wiesz? Bardzo się stęskniłam...

— Ależ, mamo...

— Och, nic nie mów, teraz już nic nie mów! Skarbie, nigdy mnie nie pytaj. A ja nigdy ciebie nie zapytam o...

— Ależ, mamo...

—- Każdy ma swój sekret, tak?

— Ależ, mamo...

— Każdy ma swój sekret.

Część szósta

GODZINA PAJĄKA

Przez zaparowane, mokre szyby przegrzanej taksówki ledwie można było we mgle rozróżnić maszty żaglówek na kotwicowisku, efektowny strumień wielkiej fontanny, a na przeciwległym brzegu ponure fasady domów przy quai Gustave-Ador. Pod niskim, brudnobiałym niebem, zasnutym żółtymi oparami, spały nieruchome zielonkawe wody Jeziora Genewskiego. Była godzina ósma czterdzieści rano i ruch uliczny w Genewie, ślimaczy jak zwykle, był jeszcze wolniejszy z powodu deszczu z topniejącym śniegiem, który zamarzał na jezdni, przez co asfalt stawał się śliski. Po quai du Mont-Blanc pojazdy sunęły metr za metrem, z zapalonymi w większości światłami pozycyjnymi. Sylwetki zziębniętych przechodniów falowały miękko za przydymionymi szybami mercedesa jak w akwarium. Wycieraczki zmiatały z przedniej szyby śnieżne krupy urywanymi, powtarzającymi się bez końca smagnięciami. Na moment widok za szybą zastygał w bezruchu, czysty, wymyty. Potem kontury przedmiotów znów się zlewały ze światłami i wszystko niknęło w barwnych poświatach, na powrót zasnute deszczem, na powrót niewyraźne...

Był to jeden z melancholijnych kwietniowych poranków, kiedy to wydaje się, że dzień nigdy całkiem nie wstanie. Jeden z ponurych wczesnowiosennych dni, kiedy trudno jest wierzyć w wiosnę...

Na zakręcie z quai du Mont-Blanc w me des Alpes zapaliło się czerwone światło, potem zielone, pomarań-

czowe, znów czerwone. I jeszcze raz zielone, zanim taksówka mogła ruszyć dalej.

— Mam nadzieję, że nie za bardzo się pan spieszy — odezwał się kierowca, mówiący ze szczególnie rozwlekłym akcentem mieszkańca kantonu Yalais.

Pasażer odpowiedział mu bardzo łagodnie, również po francusku, lecz wymawiając słowa w sposób trudny do określenia:

— Nie. Mam dużo czasu. Dużo czasu... Ale bardzo proszę, panie Darbellet, czy mógłby pan jeszcze podkręcić ogrzewa nie? Podkręcić ogrzewanie, jeśli pan może. Tak mi zimno...

Darbellet — takie bowiem nazwisko widniało na miedzianej tabliczce przymocowanej do schowka przy przednim siedzeniu — zerknął w lusterko wsteczne. Pasażer, którego zabrał z lotniska, intrygował go od samego początku. Zamienił z nim kilka banalnych słów, lecz nie był w stanie go rozgryźć, odgadnąć, co to za jeden, a nie śmiał zadawać pytań bardziej osobistych. Ten człowiek mówił jak starzec, głosem drżącym i ochrypłym, nieśmiałym. I jak starzec często dwa razy to samo powtarzał, jakby się obawiał, że nie będzie zrozumiany. Nie był jednak starcem, co to, to nie. Nie był nawet mężczyzną w średnim wieku. Ale też nie był młody. Nie miał wieku...

I wydawał się taki biedny, że nawet obserwując go j ukradkiem w lusterku, człowieka ogarniała litość. Nie żeby i wyglądał na nędzarza. Był odziany w piękny płaszcz z granatowego kaszmiru, spod niego wystawał skrawek kamizelki i marynarki eleganckiego popielatego garnituru. W ręku trzymał walizeczkę ze skóry pekari, a na ręku miał drogi zegarek. Darbellet zauważył to wszystko, a także nalepkę *flrst class cabin* przyklejoną do dyplomatki, mówiącą, że podróżny przybył z Hongkongu lotem Swissair z godziny 7.50.1 choć nie miał innych bagaży, taksówkarz wcale nie ; wysnuł z tego wniosku, że jego klient cierpi niedostatek. Wręcz przeciwnie: znał się wystarczająco na ludziach, by podejrzewać, że ma do czynienia z kimś naprawdę ważnym. Kto z tego właśnie względu nie zawraca sobie głowy walizkami.

Jednakże tym, co go nad wyraz zdumiało i niemal przeraziło, tak że zrazu chciał nawet odmówić, gdy ujrzał

nieznajomego z kolejki na postoju podchodzącego do mercedesa, było jego potworne wychudzenie. Wyglądał zupełnie jak szkielet, miejscami okryty jeszcze odrobiną ciała, ale o skórze tak przezroczystej, że widać było kości, jak na zdjęciu radiologicznym. Palce, długie i cienkie, o spękanych paznokciach, przypominały ptasie szpony: dłoń, która ujęła klamkę u drzwiczek, była dłonią trupa.

Nade wszystko zaś przerażała twarz. Spojenia czaszki widoczne pod pergaminową skórą niemal zupełnie wygolonej głowy, całkiem wpadnięte policzki, bezzębne usta, wargi obwisłe w kącikach, wystające kości policzkowe pod głęboko zapadniętymi oczodołami i oczy, straszne bladoniebieskie oczy, ogromne, obwiedzione sinawą obwódką, oczy, które spoglądały nieruchomym wzrokiem wyrażającym coś na kształt bolesnego zdumienia, oczy pełne rozpaczy, oczy konającego...

Uwagę zwracał również — i chyba to oglądało się z największą przykrością u tego niewątpliwie młodego jeszcze mężczyzny — chód. Niepewny, chwiejny — chód somnambulika. Bo naturalnie po wyjściu z samolotu pasażerowie przybywający z daleka, zmęczeni podróżą i oszołomieni różnicą czasu, często mają taki senny wygląd, niepewne ruchy — lecz ten pasażer, pomyślał Darbellet, nie jest tylko zmęczony i rozespany. To niewątpliwie człowiek odbywający rekonwalescencję po bardzo ciężkiej chorobie.

Choć, prawdę powiedziawszy, przypominał mu raczej ocalałych więźniów Oświęcimia, fotografowanych przez Amerykanów w chwili wyzwalania obozu...

Toteż z troskliwością, jaką ma się wobec osób starszych, wobec osób chorych, pomógł klientowi usadowić się wygodnie na tylnym siedzeniu mercedesa. A klient posłał mu długie, przepełnione wdzięcznością spojrzenie.

W jego wzroku jednak — i to także zdumiało Darbelleta — było coś jeszcze prócz wdzięczności: strach osaczonego zwierzęcia, patos, uległość i jednocześnie bunt — było to spojrzenie starca u schyłku życia, który wie, że umiera, a jeśli przyjrzeć mu się uważnie, widniała w nim jeszcze odrobina dziecięcej żywości i niewinności...

Jaka tajemnica ciążyła na życiu tego cudzoziemca?

— To tutaj, proszę pana—rzekł taksówkarz, zatrzymu jąc samochód przed budynkiem przy quai des Bergues. I wskazując na marmurową tablicę umieszczoną na ciężkich drzwiach wejściowych z kutego żelaza, dodał: — Sam pan widzi: Strauss, Strauss & Strauss. To jak walc!

Pasażer, spojrzawszy na surową fasadę budowli, przeczytał trzy wyryte w kamieniu nazwiska i uśmiechnął się blado, jak gdyby uwaga Darbelleta przywiodła mu na myśl jakieś wspomnienie. Ale uśmiech na twarzy tak okrutnie wychudzonej przypominał raczej grymas cierpienia.

— Ach, otwierają dopiero o dziesiątej — westchnął. — O dziesiątej. No cóż, proszę mnie zatem zawieźć... Sam nic wiem. Może tu obok. To hotel, prawda? Hotel?

— Tak, proszę pana. „Grand Hotel des Bergues".

— „Grand Hotel des Bergues". Doskonale. Doskonale.

Mercedes podjechał około pięćdziesięciu metrów i stanął przed obrotowym wejściem do luksusowego hotelu. Boj w liberii już biegł do samochodu z parasolem w ręku, by otworzyć drzwiczki i powitać przybysza. Ten zaś zapłacił taksówkarzowi, poprosił o jego wizytówkę na wypadek, gdyby potrzebował jeszcze jego usług, ponieważ, wyjaśnił, ma do niego zaufanie, „całkowite zaufanie", i podziękował mu za uprzejmość z wylewnością niewspółmierną do konwencjonalnej, wyrachowanej grzeczności, z jaką obchodził się z nim Darbellet.

— Ogromnie panu dziękuję. Dziękuję za wszystko, Dziękuję... — powtarzał jeszcze, gdy boj pomagał mu wysiąść z samochodu.

Boj cofnął się instynktownie ujrzawszy go: człowiek o starczym głosie, którego podtrzymywał pod ramię, jakby miał do czynienia z bywalcem hotelu, musiał mieć najwyżej trzydzieści pięć lat.

..Wygląda zupełnie jak trup!" — pomyślał.

— Czy mógłbym tu zjeść śniadanie?

Maftre dTiótel był równie jak boj zaintrygowany zachowaniem tak wcześnie przybyłego gościa: mężczyzna zadawał pytanie z czymś na kształt strachliwej pokory. Rzekłbyś, że lęka się, iż zostanie wyrzucony, a nawet znieważony czy zbity.

A także okradziony: kiedy boj wyciągnął ręce, by odebrać odeń płaszcz, mężczyzna skulił się, podnosząc kołnierz.

— Ależ naturalnie, proszę pana. Pan pozwoli za mną.

Mattre d'hótel starał się mówić tonem jak najbardziej uspokajającym i życzliwym, prowadząc go do stolika.

— Tutaj? A może życzy sobie pan przy tamtym?

— Wolałbym... jeśli nie sprawi to panu kłopotu... wolałbym przy kaloryferze. Przy kaloryferze.

— Najmniejszego, szanowny panie. Proszę bardzo.

— I... jeśli to nie zbytek wymagań...

— Och, proszę pana!

— Chciałbym prosić o pled, jakieś przykrycie. No, coś w tym rodzaju...

— Służę uprzejmie. Pozwolę sobie jednak zwrócić pana uwagę, że tutaj jest bardzo ciepło. Przyszedł pan z dworu, a mamy paskudną zimową pogodę, ale czy nie obawia się pan...?

— Wiem, wiem. Mnie jest zawsze zimno.

Istotnie w sali restauracyjnej hotelu atmosfera panowała zgoła cieplarniana. I ta grobowa cisza, wytłumione wszelkie dźwięki, właściwe wszystkim luksusowym hotelom, wytworna cisza podkreślana z rzadka brzękiem szkła lub ciężkich sztućców ze srebra, dyskretnym pomrukiem rozmowy, przejściem kelnera bez pośpiechu kroczącego po grubym dywanie.

O dziewiątej rano jedynymi klientami restauracji byli dwaj niemieccy biznesmeni, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami wymieniając egzemplarze umowy, i po przeciwnej stronie samotna kobieta, mocno posunięta w latach i przesadnie umalowana, której szyja uginała się pod ciężarem naszyjnika z pereł, a głowa poruszała się w starczym tiku, podobnym do wyniosłego i dumnego, lecz powtarzanego bez końca skinienia.

Nieznajomy, nadal równie onieśmielony i powściągliwy, ale wyraźnie mniej spięty, mniej wystraszony, zaczął zamawiać tonem człowieka poczuwającego się do winy:

— Prosiłbym o kilka grzanek, rogaliki, jajka na miękko, biały ser i jogurt, jeśli można. I o herbatę. A przede wszystkim o dużą butelkę mineralnej. Niegazowanej.

— Evian, vittel?

— Obojętne. Ale... — rzekł prosząco — raczy pan wybaczyć, że jeszcze o coś poproszę... Może wydam się panu zbyt wymagający...

— Och, nie, proszę pana. To całkiem normalne.

— Chciałbym dostać kubek.

— Kubek?

— Tak, kubek do picia. Wolę go od szklanki. Bo szklanki rozbijam. Odwykłem...

Maftre d'hótel spojrzał nań uprzejmie, acz pytająco, nadaremno jednak: nie otrzymał wyjaśnienia. Przyniesiono zatem pled, butelkę wody i kubek.

Mężczyzna wlał nieco wody do kubka i ująwszy go obiema dłońmi, drżąc podniósł do ust. Pił małymi łykami, powoli, bardzo powoli, jakby smakował cenny, wydzielany napój. Kiedy opróżnił całą butelkę, nalał do kubka trochę gorącej herbaty i wypił ją z taką samą powściągliwością w gestach, z taką samą wzruszającą niezręcznością. Bezczynni kelnerzy obserwowali go ukradkiem z ogromnym uczuciem niepokoju i litości. Zgodnie z obyczajem panującym wśród pracowników dużych hoteli, nie znając nazwiska nowego klienta ochrzcili go już miedzy sobą: „Upiór". I zastanawiali się, na co może chorować, gdy widzieli, jak marnotrawi podane mu pożywienie. Długo żuł kawałek skórki z rogalika, długo chrupał maleńki kawałeczek grzanki z masłem, podniósł do ust łyżeczkę żółtka, po czym odsunął wszystko, wzdychając z jakimś grymasem niesmaku czy raczej zniechęcenia. Zaczął się potem rozglądać dokoła. Wydawało się, że niemieccy biznesmeni obudzili w nim raptem zaciekawienie. Ujrzawszy kelnera, który go obsługiwał, przywołał go i spytał:

— Proszę mi powiedzieć: co to za maszynka, której używają tamci dwaj panowie?

— Ależ... to elektroniczny minikalkulator, proszę pana.

— Co?

— Elektroniczny minikalkulator. Jakby kieszonkowy komputer.

— Ach, więc to to. Widziałem takie w Hongkongu, ale nie wiedziałem, do czego służą.

Kelner zastanowił się, czy przypadkiem ten straszny z wyglądu, lecz wytworny i młody klient nie kpi sobie z niego: żeby nie wiedzieć, do czego służy minikalkulator! Koledzy, którzy dowcipkowali sobie z niego, mieli rację: najwyraźniej obsługuje upiora. Może zresztą dlatego ten gość prawie nie je: przybysze z zaświatów nie jedzą, o tym każdy wie...

— To na pewno bardzo drogie? — ciągnął „Upiór".

— Och, nie, proszę pana! W hotelowym sklepiku z upominkami dostanie pan takie za jakieś sto franków. Podarowałem podobny mojemu siostrzeńcowi na urodziny. Chłopak marzył o czymś takim, żeby szybciej odrabiać zadania.

— Ach, tak, bardzo dobrze. Dziękuję panu. Niezwykle pan miły.

Uregulował rachunek, zostawiając na spodku spory napiwek. Później spytał:

— Czy mógłbym tu jeszcze trochę zostać?

— Jeśli pan sobie życzy, oczywiście. Ale pozwolę sobie zauważyć: wygodniej panu będzie w salonie przy kominku.

— Ach, tak. Bardzo dobrze. W salonie. Bardzo dobrze. Przy kominku. Czy mogę zabrać pled?

— Oczywiście, jeśli pan sobie życzy.

— Dziękuję. Naprawdę niezwykle pan miły.

Skulony pod pledem, który narzucił na siebie jak pelerynę, mężczyzna usiadł w salonie na fotelu przysuniętym do samego paleniska. Rzucił okiem na pisma rozrzucone na niskim stoliku. „Time", „Events", „Paris-Match", „Epo-ca", „Stern": wszystkie przejrzał w samolocie. Wszystkie publikowały zdjęcia z upadku Da Nang i z ewakuacji. Wspomnienie tak bliskie i tak już odległe: przebywać tutaj, w cieple, ciszy, luksusie, było czymś więcej niż być gdzie indziej, było jakby pogrążeniem się w sen i zapomnienie.

Czy jednak odzyska kiedykolwiek sen? Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć tamtą potworność?

Znowu poczuł pragnienie i zamówił drugą butelkę wody, zaraz przyniesioną. Z kubkiem. Nalał sobie raz, potem drugi i nagle, gdy niósł porcelanowy kubek do ust, naczynie pękło mu w rękach.

— Och, jakże mi przykro!—tłumaczył się żałośnie przed kelnerem, który pospieszył mu z pomocą. — Naprawdę bardzo mi przykro. Niewybaczalna niezdarność.

— To nic wielkiego, proszę pana — uspokajał go kelner, zbierając okruchy szkła. —Proszę się nie martwić. Każdemu może się zdarzyć. Nie skaleczył się pan przypadkiem?

— Nie. Ale sam nie wiem, co powiedzieć na przeprosiny. Czy mógłbym... czy mógłbym dostać drugi kubek?

— Naturalnie, proszę pana. Już przynoszę.

— A, to bardzo dobrze, bardzo dobrze! Naprawdę niezwykle pan miły...

W tej chwili zegar ścienny wybił godzinę dziesiątą.

Nieznajomy zapłacił za mineralną i podniósł się z miejsca, z żalem jakby zostawiając pled na fotelu. Przeszedł przez sale i hotelowy hol, na wszystkie strony szafując nieśmiałymi podziękowaniami, i z gołą głową wyszedł na ciągle padający zmarznięty deszcz.

Miał jednak do przejścia ledwie parę kroków do banku Strauss, Strauss & Strauss, toteż boj zaofiarował się towarzyszyć mu ze swoim wielkim parasolem.

— Och, dziękuję. Dziękuję. Bardzo to uprzejme z pana strony. Bardzo uprzejme.

Jaka tajemnica ciążyła na życiu tego cudzoziemca, tajemnica jego nieszczęścia? I czego tak się bał?

„Będziesz pamiętał? Pomyślisz o wiedeńskich walcach. Ale one są w Genewie. Przy Quai des Bergues. Blisko wielkiego hotelu, naprzeciwko wyspy Jeana-Jacques'a Rousseau."

Tak, pamiętał słowa Mina. I numer kodu też. I całą procedurę. Nic z tego nie zapomniał. Tylko czy Min mówił prawdę? Czy skarbnik rzeczywiście zdeponował w bankowych sejfach majątek ruchu dzisiaj już nie istniejącego?

Ach, jakie to wszystko było odległe. A przecież takie zarazem bliskie...

Bank Strauss, Strauss & Strauss przypomniał mu Crédit du Rocher. Taka sama dyskrecja na zewnątrz i taki sam surowy, w dobrym guście zbytek w holu, do którego wszedł,

kiedy hostessa kończyła przygotowania do pracy za wytwornym biurkiem w stylu regencji. „Będziesz pamiętał? Poprosisz o rozmowę, najlepiej z Klausem Straussem." Zbliżył się do niej, źle skrywając dławiące go wzruszenie.

— Chciałbym mówić z panem Klausem Straussem — rzekł cichym głosem.

— Naturalnie. Czy był pan umówiony?

— Nie.

— Mam przyjemność z panem...?

— Dśh.

— De, a, en?

— De, a z daszkiem i akcentem w lewo, en.

Dziwne nazwisko jak na człowieka z Zachodu, pomyślała dziewczyna, niczego jednak po sobie nie okazując. I dziwny gość: taki chudy! Stał przed nią, przygarbiony, zalękniony, drżący niczym ubogi uchodźca w biurze imigracyjnym, z dłonią na oparciu krzesła, jakby się bał, że upadnie. Nie zdołałby wzbudzić podejrzeń nawet w podejrzliwym strażniku o wojowniczym wyglądzie, w skórzanym kaszkiecie i kurtce, który z założonymi rękami stał za drzwiami wejściowymi i onieśmielał samą swoją milczącą obecnością: wydawał się taki kruchy, taki wystraszony...

— Zechce pan usiąść — zaprosiła hostessa, pełna troski.

— Dziękuję pani — odparł.

A kiedy wciskała klawisze telefonu, dodał:

— Będzie pani uprzejma dodać, że przychodzę... z pełnomocnictwa, tak to się chyba nazywa... że przychodzę z pełnomocnictwa nieżyjącego pana Nguyena Van Trina, skarbnika Min Tu.

— Nguyen...?

— Van Trin. Z Min Tu... Proszę mi powiedzieć, wszędzie widzę teraz takie telefony...

Dziewczyna nie zareagowała na osobliwą uwagę gościa. Zamieniła kilka słów z sekretarką, która z kolei pomówiła z panem Straussem, ten zaś kilka chwil później zjawił się osobiście w holu, uprzejmy i usłużny.

— Dzień dobry, panie...

— Dfin.

Wymówiwszy własne nazwisko, wydał się tym nagle ogromnie poruszony.

— Pozwoli pan ze mną? — spytał bankier, otwierając oszklone drzwi windy. Skrywał najlepiej jak potrafił zdziwienie nieporadnością gościa.

— A zatem, panie DSh, czym mogę służyć?

Strauss wskazał nieznajomemu fotel, wprowadziwszy go do gabinetu, i mówił bardzo łagodnie, jak do ciężko chorego.

— Chciałbym — oświadczył DSn bez długich wstępów — wycofać kapitały, które w 1967 roku powierzył panu Nguyen Van Trin.

Bankier powściągnął przelotny grymas niezadowolenia, który przerodził *się* w uśmiech, kiedy usłyszał ciąg dalszy:

— I zdeponować je w pańskim banku na inne nazwisko. Ale na rachunku bieżącym...

— Na rachunku bieżącym?

— Tak. Oczywiście jeśli to możliwe.

— Och, przy takiej kwocie...

— Rzecz jasna, tymczasowo... (Kolejne nieuchwytne skrzywienie bankiera.) A może na stałe. (Kolejny, równie nieuchwytny uśmieszek.)

Strauss odchrząknął i rzekł z niejakim zakłopotaniem;

— Drogi panie, chodzi tu o konto zwane „tajnym", jak panu z pewnością wiadomo. Jeżeli jest pan w posiadaniu numerów, które pozwolą nam zidentyfikować pana jako pełnomocnika, i jeśli ma pan żądany podpis... Taką procedurę przyjęliśmy w odniesieniu do wspólnego majątku sekt; religijnych bądź ruchów oporu, którymi zarządzamy. I proszę wybaczyć, że będziemy musieli jej w całości dopełnić. Ale sam pan rozumie...

— Naturalnie. Sądzę jednak, że mam wszystko, co trzeba — zdecydowanie oznajmił *D&a*.

Taka pewność siebie u człowieka wykazującego tak wielką rezerwę i jakby zalęknioną „dzikość" zadziwiła Klausa, który uprzejmie odpowiedział:

— Nie wątpiłem w to ani przez sekundę, drogi panie...

Po czym wstał i wyszedł z gabinetu na kilka chwil.

Wrócił w towarzystwie sekretarki, w ręku trzymając trzy zapieczętowane koperty. Usiadł i otworzył pierwszą.

— 4, E, 6, C, 8 — wyrecytował DSh, zanim jeszcze Strauss go o to poprosił.

Bankier skinął potakująco głową i otworzył drugą kopertę.

— 4, E, 6, C, 8 — powtórzył niewzruszenie Dah.

Strauss znowu milcząco potwierdził. I nim zdążył otwo rzyć trzecią kopertę, gość po raz trzeci wyliczył:

— 4, E, 6, C, 8.

Bankier, zachwiany w swej nieufności idealnym spokojem enigmatycznego gościa, podał mu czystą kartkę papieru z nagłówkiem banku.

— Wie pan, że...

— Mam złożyć podpis? Tak.

Dfin otworzył dyplomatkę ze skóry pekari, wyjął buteleczkę chińskiego atramentu i cieniutki pędzelek z bambusowym trzonkiem, zamknął teczkę i położył na kolanach jako pulpit.

Nagle wydało się, że traci opanowanie. Strauss i sekretarka bez słowa przyglądali mu się z niepokojem i ciekawością. Wziął się jednak w garść: odetchnął głęboko, koncentrował się przez chwilę z ręką w powietrzu...

Potem płynnymi ruchami namalował na papierze kilka maków tworzących staranny ideogranr.

— Hu, tygrys po chińsku — wyszeptał, odzyskując oddech. — *D8a* po wietnamsku...

Strauss wziął arkusik i przyłożył go do kartki wyjętej z trzeciej koperty, zawierającej numer kodu konta i wzór podpisu.

Ideogram był dokładnie taki sam!

Wyraził wtedy coś na kształt milczącego podziwu, kiwając głową i uśmiechając się do nieznajomego, nie kłamane podniecenie, które sprawiło, że na chwilę znikła jego z rozmysłem zachowywana bankierska niewzruszoność.

Kimże więc był ten człowiek o budzącym litość wyglądzie, który kreśląc słowo „hu" przywłaszczał sobie dobra

jednej z najbogatszych i najbardziej hermetycznych sekt jakimi on, Strauss, kiedykolwiek zarządzał, i przenosił je ns swoje nazwisko na rachunek bieżący?

Bez wątpienia na zawsze zachowa to w tajemnicy. Klaui Strauss wiedział, że naruszyłby swoją znaną w świecił biznesu reputację człowieka dyskretnego, gdyby zadał pyta' nie, do którego aż się palił. Jedynym odstępstwem od zasać etyki zawodowej, na jakie sobie pozwolił, było wyjawieni< z własnej inicjatywy w porywie entuzjazmu nowemu klien towi banku Strauss, Strauss & Strauss:

— Obecnie kapitały, którymi pan dysponuje, sięgaj; sumy około trzydziestu milionów franków szwajcarskich.

— Ach, tak? Nie miałem o tym pojęcia — bez mrugnięcia odparł Dan.

Jakby ta ogromna kwota nie zrobiła na nim najmniej' szego wrażenia!

Po czym dodał — co jeszcze przychylniej nastawiłc Klausa Straussa, choć i tym bardziej go zaintrygowało:

— Miałem niegdyś konto w Credit du Roćher, ale ni< wiem, co się z nim stało. Tak więc u pana czy kogo innego.. Zgadza się pan...?

— Ależ oczywiście, proszę pana. Jesteśmy zaszczyceni To jedynie kwestia paru formalności papierkowych — zapewnił bankier.

Z niejakim zakłopotaniem przyszło mu jednak zastrzec:

— Tylko że będziemy musieli prosić, żeby w jakiś sposób dowiódł pan swojej tożsamości.

— Ależ to zupełnie naturalne — odparł Din, podając mu paszport amerykański. — Proszę sprawdzić: w rzeczywistości nie nazywam się Din...

Paszport był zupełnie nowy i widniała w nim jedna tylkc pieczęć wskazująca, że mężczyzna przybywa z Hongkongu gdzie dokument został wystawiony.

Klaus Strauss miał wśród swoich klientów osoby o dość wątpliwej przeszłości—byłych nazistów, zdetronizowanych królów, obalonych cesarzy, przywódców religijnych ns uchodźstwie, wysoko postawionych w hierarchii mafiosów, dymisjonowanych prezesów spółek międzynarodowycl — i nie roztrząsał takich szczegółów, lecz ten klient niepodobny był do nikogo.

— Przykro mi, ale musimy sprawdzić w pańskim kon sulacie w Genewie.

Mężczyzna ani trochę się nie zmieszał. W duchu stwierdził tylko, że dobrze zrobił idąc za radą Richiego Gar-rymore'a i prosząc konsulat amerykański w Hongkongu o wysłanie noty informacyjnej do konsulatu w Genewie. Dopóki jego sytuacja nie wyjaśni się w pełni...

Klaus Strauss znowu wyszedł, przesadnie się usprawiedliwiając. Wrócił dziesięć minut później z wypisanym na twarzy zadowoleniem. I do sekretarki, która została w gabinecie czekając na polecenia, rzekł:

— Lucienne, proszę wynotować z paszportu pana nie zbędne informacje i przekazać je Heidi, żebyśmy mogli otworzyć konto. Już wydałem dyspozycje.

Podał jej paszport otwarty na pierwszej stronie. Sekretarka zapisała w notatniku:

Nazwisko: Young
Imię: Abel
Data urodzenia: 19 VI1942
Miejsce urodzenia: New York, N. Y. USA
Narodowość: U. S.
Adres zamieszkania: brak.

*

Kiedy około wpół do trzeciej Darbellet przyjechał do restauracji „Le Gentilhomme" po klienta, którego wiózł rano z lotniska, odniósł wrażenie, że nie wygląda już tak przerażająco.

Po wyjściu z banku Strauss, Strauss & Strauss Abel wszedł do luksusowego magazynu z odzieżą sportową. Nabył obszerny golf z grubej wełny, długą kurtkę podbitą baranim futrem, sztruksowe spodnie i ocieplane buty z cholewką. Wełniana czapka, szalik z wigonii oraz pikowane rękawice uzupełniały jego nowy strój. Czuł się w nim swobodniej, a przede wszystkim niejako bardziej pewnie siebie niż w miejskim odzieniu. Toteż ku zdumieniu ekspe-

dientki, przymierzywszy go, postanowił w nim już zostać. Niedbale zwinął kaszmirowy płaszcz i trzyczęściowy garnitur, po czym razem z półbutami wcisnął wszystko do płóciennego worka, kupionego przy okazji. Kiedy lekką ręką wydał kilka tysięcy franków, wyszedł ze sklepu i ruszył nabrzeżami, wciąż tak samo niepewnym, powłóczącym krokiem, spoglądając na wszystko, co go otaczało, wystraszonymi, rozgorączkowanymi oczami, przysiadając na każdej spotkanej ławce.

Później wstąpił do „Richmondu" i poprosił o pokój, by wypocząć przed obiadem. Leżał przez blisko godzinę wpatrzony w sufit, ani na chwilę nie zamykając oczu, jakby się lękał ciemności, a może snu. I chociaż zamknął okiennice, lampkę nocną zostawił zapaloną. Po jakimś czasie zszedł do restauracji hotelowej i z pewnym trudem pozjadał preparaty białkowe, wapniowe, potasowe, magnezowe i różne witaminy, otrzymane od lekarza, który leczył go w Queen Mary Hospital w Hongkongu, potem zaś zamówił pożywny obiad. Ku swemu wielkiemu zadowoleniu, jedząc bardzo powoli, zdołał w siebie wmusić filet z soli, maleńką porcję steku, kawałek ementalera i pół ciastka z jagodami. Wypił nawet z kubka porządną lampkę doskonałego chiteau--margaux z roku, w którym się urodził, resztę butelki zaś podarował młodej parze zakochanych przy sąsiednim stoliku, by wypili za jego zdrowie. Powiedział to z gorzką ironią, czuł się jednak teraz nieco rozgrzany i lekko wstawiony. Zdjął nawet w końcu swój drogi skafander i rozwiązał szalik.

Niebawem podszedł do niego kelner informując, że zamówiona taksówka czeka. Abel wstał i uregulował rachunek za posiłek i pokój, rozdając dokoła szczodre napiwki, nawet tym, którzy go nie obsługiwali. Na dworze topniejący śnieg przestał padać. Niebo nadal wisiało nisko, lecz w okolicy masywu Mont Blanc wąskie pęknięcie pośród szarości chmur pozwalało sądzić, że tam niewątpliwie jest piękna pogoda. Ablowi niemal przywróciło to siły.

— Dziękuję, że zgodził się pan zawieźć mnie do Chamonix — powiedział do Darbelleta, który wziął jego worek i dyplomatkę. — Zwłaszcza że pojedziemy nie do samego Chamonk, tylko jeszcze dalej: do Praż. Sądzi pan, że drogi będzie zasypana?

— Nie, wszystko jest odśnieżone aż do Argentićre, a chyba nawet dalej, do samej granicy.

— Ile czasu może nam to zabrać?

— Jakieś półtorej godziny.

— Tak mało?

— Och, wie pan, autostradą!...

— A, to teraz jest tu autostrada?

— Na dobrej połowie trasy. A dalej, od Houches do Chamonix, droga czteropasmowa.

— Niczego tu nie poznam. Prawie dziewięć lat nie byłem w tej okolicy. Tak dziewięć lat: od lata 1966, a teraz mamy kwiecień 75...

— Ha, to zobaczy pan, jak się wszystko pozmieniało: wszędzie nawyrastało prywatnych rezydencji jak grzybów. I dużych bloków. I mechanicznych wyciągów. I moteli jak w Ameryce. Ale Mont Blanc dalej stoi na swoim miejscu — zażartował taksówkarz, który czuł się dziwnie uszczęśliwiony widząc, że jego osobliwy klient jakby rozluźnia się powoli, przestaje się zachowywać jak zaszczute zwierzę, odżywa.

A nawet podejmuje żart:

— Prawdę powiedziawszy — rzekł bowiem ironicznie —liczyłem trochę na to, że go jeszcze nie wyrównali, aby coś w tym miejscu zbudować. Chociaż z inwestorami budowla nymi nigdy nic nie wiadomol Na pewno o tym myśleli. Ale przez cały ten czas, kiedy byłem... nieobecny, stale sobie powtarzałem: nie ośmielą się...

Nie był to w jego ustach czczy żart, lecz coś głębszego, coś prawdziwszego: przez długie lata męki jedną z niewielu rzeczy, w jakie Abel nigdy nie zwątpił, były góry. Jedną z niewielu rzeczy, co do których był w pełni przekonany, kiedy wiara w zwykłe istnienie wszechświata zaczynała się w nim chwiać pospołu z władzami umysłowymi, jedną z niewielu rzeczy, co do których zawsze i mimo wszystko miał pewność, było to, że gdzieś na ziemi wieczne śniegi będą wiecznie migotały w słońcu.

I nagle za zakrętem, między skalistymi ścianami obejmującymi wody Arve, wyłonił się... och! wznosił się tam, triumfujący w przymglonym, pastelowym świetle śnieżystego nieba. Tak, Mont Blanc stał na swoim miejscu,

piękniejszy niż w najpiękniejszych wspomnieniach, stał na swoim miejscu!

I Abel, z czołem przylepionym do przedniej szyby mercedesa, wpatrywał się w jego znajomą sylwetę w otępieniu bliskim błogostanu: jakby nie dowierzał własnym oczom.

Potem kolejny zakręt przysłonił na kilka chwil szczyt i wjechali w cień niskiego lasu.

„Może włączyć jakąś muzykę?" zapytał taksówkarz, kiedy wyjeżdżali z przedmieść Genewy. „Bardzo proszę" odparł wtedy Abel. I od granicy szwajcarskiej jechali przy dźwiękach programu rozrywkowego nadawanego bez przerwy. A teraz, gdy szczyt ukazywał się niby objawienie, rozbrzmiewały pierwsze akordy preludium, którego dostojeństwo za sprawą jakiegoś tajemnego czaru współgrało ze spokojnym, a przecież wywierającym wrażenie pięknem krajobrazu. Abel nigdy przedtem nie słyszał tej piosenki. Wydawało mu się, że rozpoznaje głos Johna Lennona, muzyka jednak w ogóle nie przypominała kompozycji Beatlesów. Nie był to rock ani radosne fanfary charakterystyczne dla ich stylu, lecz wolna, melancholijna melodia grana na fortepianie z towarzyszeniem smyczków, nieco podobna do romantycznego nokturnu. Być może Beatlesi tak bardzo się zmienili. Albo może John Lenn on, jeśli to oczywiście on, śpiewa teraz sam.

Tak, to był on. Nadawano *Imagine*. I dobrze było słuchać kogoś, kto z prostotą śpiewał o tym, w co wierzyło się lata temu, w czasach wojującej nienawiści i pogardy; dobrze było słuchać słów przepojonych ideą humanizmu, rzucanych spokojnie, bez pompatyczności, jako prawdy oczywiste; dobrze było dowiadywać się z ust Johna Lennona, że już „nie marzy się samemu".

„Wyobraź sobie, że nie ma raju... Nie ma piekła pod nogami... Tylko niebo nad głową... Wyobraź sobie ludzi żyjących teraźniejszością...

„Wyobraź sobie, że nie ma krajów... Żadnych powodów, żeby się zabijać lub ginąć... I nie ma religii... Wyobraź sobie ludzi żyjących w pokoju...

Wyobraź sobie, zenie ma własności... Nie ma chciwości... Nie ma głodu... Że między ludźmi panuje tylko braterstwo..."

W miarę jak dojeżdżali do Chamonix, Abla chwytało za gardło coraz większe wzruszenie, aż obawiał się, że nie zdoła tego znieść.

Oczywiście widział wiele nie znanych mu budowli, w większości psujących krajobraz. Oczywiście nowa droga w okolicach Bossons otwierała paskudną przesiekę w świerkowym lesie — lecz lodowiec, lodowiec, który jeśli wierzyć geologom, cofa się od przeszło tysiąclecia i w końcu kiedyś zniknie, lodowiec ciągle był na swoim miejscu, nieregularne skupisko wielkich niebieskawych bloków, migoczące w przedwieczornym świetle. I domek Servozów także się nie zmienił — takie przeczucie miał Abel. Niebieskie okiennice, kraciaste zasłonki, kwiatki w oknach... Nie! kwiatków nie będzie. Tutaj panowała jeszcze zima. Wszystko było przysypane śniegiem, we Flegere ludzie jeździli na nartach: łąka przed domem będzie śniegowym polem, jakiego Abel nigdy nie widział. Ale co tam: otworzy drzwi wejściowe i poczuje kuchenne wonie — zapach nawoskowanego drewna, zapach wypranej bielizny, zapach placka z jabłkami.

A wzruszeni Servozowie podadzą mu ręce...

Jęły się w nim lęgnąć jednak przemożne obawy. Przemożna i zarazem niewytłumaczalna potrzeba opóźnienia niewiarygodnej niespodzianki, jaką zamierzał im zrobić pojawiając się żywy. Poczuł też przypływ strachu: czy go poznają? Czy go przynajmniej poznają, skoro sam się przeraził swoim wyglądem, patrząc na swój nagi tors w pokoju w „Richmondzie"? Czy rozpoznają w tym odrażającym kościotrupie promiennego, atletycznie zbudowanego mężczyznę, tryskającego zdrowiem i radością, jakiego niegdyś kochali? Czy zechcą uściskać człowieka stojącego nad grobem? I czy stojący nad grobem człowiek ma prawo, jak zamierzył, zakłócić im spokój? Cóż innego może im ofiarować prócz swego strapienia, duchowej nędzy, czarnej rozpaczy?

Kiedy taksówka wjechała do Chamonix, gdzie wesołe grupy narciarzy plątały się po jezdni, Abel postanowił, że zabawi tu chwilę, nie od razu pojedzie do Praż. Ponieważ było bardzo zimno, kazał się zawieźć do „Snella", gdzie chciał kupić odzież jeszcze cieplejszą niż ta, którą miał na sobie. Jeżeli taka w ogóle istnieje! Może kurtka puchowa,

pomyślał ze smutkiem, kurtka wysokogórska! Wspaniała na biwak w górach!

„Snell" oczywiście istniał nadal. Dostawca sprzętu dla wielkich alpinistów rozrósł się nawet od ostatniej jego bytności przed dziewięcioma laty.

Abel przez długą chwilę kręcił się między półkami, wszystkiemu się przyglądając, wszystkiego dotykając, ukradkiem ważąc w dłoni karabinki i haki: sprzęt wspinaczkowy znacznie się zmienił w ciągu tych dziewięciu lat. Stał się lżejszy i doskonalszy. Abel odkrywał nowe przyrządy, wynalazki, pomysłowe przedmioty, o których niegdyś on i Jacąues marzyli, nie potrafiąc ich skonkretyzować. Jakże prosto i na łatwe w użyciu wyglądały te kliny, kołki, gwoździe!

Ale nie, nie należy marzyć: już nigdy, nigdy więcej nie będzie się wspinał! Zbytnio był wyniszczony fizycznie. I psychicznie bez wątpienia także...

Straciwszy ze czterdzieści minut na takie wałęsanie Abel wrócił w końcu do taksówki odziany w grubą i leciuteńką kurtkę puchową, pokrytą niebieskim nylonem. Była mu jak kokon, w którym mógł się skulić ze swoim smutkiem, goryczą, żalami za życiem skończonym w wieku trzydziestu trzech lat.

I z ogromnym znużeniem i rozczarowaniem na twarzy westchnął:

— No to do Praż.

Domek o niebieskich okiennicach znajdował się na swoim miejscu. Tak — wcale się nie zmienił.

Nad śniegowym półkiem górowały jego ściany z surowych okrąglaków, kraciaste zasłonki przepuszczały światło, a kłęby białego dymu uciekały z komina niczym puszki waty — rzekłbyś, że to kukułcza budka, domek lalki, zabawka, z której wyszłyby dźwięki muzycznego refrenu, gdyby można podnieść jej dach.

Och! zapomniane i naraz odnalezione uczucie ostrożnego deptania po śniegu. Och! żałosne skrzypnięcie drewnianej barierki, którą trzeba pchnąć na odśnieżonej drodze. Och! jasny, piskliwy śmiech dziecka, po swojemu witającego przybysza... Och! spokój, wreszcie spokój.

Umrzeć, umrzeć tutaj. Dotrzeć do zawsze otwartych drzwi, bez słowa wejść do środka, usiąść przy piecu albo lec na łóżku. I zapaść się nareszcie w błogosławioną nicość, w szczęśliwe zapomnienie...

Abel szedł drżący, w myślach przeżywając już chwile, które go dopiero czekały.

Odważny chłopczyk, położywszy się na sankach, sunął całym pędem po zboczu, zanosząc się śmiechem. Zatrzymał się dopiero przed Ablem, który musiał się usunąć, by na niego nie wpadł. Dziecko śmiało się teraz jak najęte. Mogło mieć cztery, najwyżej pięć lat. Opatulone w pikowany jaskrawoczerwony kombinezon nylonowy, w czerwonej czapce z pomponem naciągniętej po same oczy, z pucołowatymi rumianymi policzkami o delikatnej karnacji blondyna przywodziło na myśl chochlika z nordyckiej baśni, złośliwego trolla. Być może było duszkiem tego miejsca.

Chłopiec poturlał się po śniegu, zerwał jednym skokiem na nogi i cisnął w Abla śnieżką, prowokując go do zabawy.

— Jak się nazywasz? — spytał Abel, zasłaniając twarz dłońmi i udając, że jest strasznie przerażony groźbą uderze nia nową kulą.

Malec wzruszył ramionami i westchnął. Jakby ten pan nie znał jego nazwiska! zdawał się mówić. Jakby nie było to całkiem, ale to całkiem oczywiste! Dorośli zawsze chcą zmuszać człowieka do mówienia tego, o czym świetnie wiedzą, i udawać głupszych, niż są.

Ale ten pan obstawał przy swoim i nawet przykucnął, żeby się znaleźć na jego wysokości.

— No powiedz, jak się nazywasz?

Chłopiec postanowił zatem odpowiedzieć, niezwykle dumny ze swej niewielkiej osóbki i seplenienia, które, jak wiedział, wszystkich rozczulało:

— Nazywam się Abel. Abel Selvoz. I mam ctely i pół loku.

Ablowi ścisnęło się serce. Czyż był piękniejszy sposób powiedzenia, że nie został zapomniany?

Popatrzył uważnie na chłopczyka, który przestraszywszy się wynędzniałego wyglądu nieznajomego, odwrócił się i ciągnąc sanki za sznurek, pobiegł na szczyt zbocza. Abel wyprostował się z trudem, ogarnięty lekkim zawrotem

głowy. Światła domu tańczyły mu przed oczami, wibrowały w mroźnym powietrzu, skupiały się w promienne plamy i zaraz się rozpraszały, to bliskie, to znów odległe. Wydawało mu się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść do drzwi domku, które znajdowały się już ledwie o dziesięć kroków. I właśnie się otworzyły...

— Abel!

Był to głos Jacques'a. W tej chwili jednak Abel nie wiedział, czy mu się przyśnił, czy umiera i umierając odnajduje wspomnienie z przeszłości, czy też nadal żyje...

— Abel!

Wołanie stało się bardziej naglące. Abel nie rozróżniał jednak rysów twarzy człowieka stojącego na tle oświetlonych drzwi, nie wiedział też, czy rzeczywiście istnieje, czy też należy do świata snów...

— Abel! — powtórzył przewodnik, postępując kilka kroków: szukał wzrokiem syna...

I naraz, ujrzawszy obcego na ścieżce, zupełnie innym tonem zawołał:

— Abe-e-e-el!

Jak obłąkany.

Lecz zaraz się opanował i wybełkotał:

— Och, przepraszam pana... Nie wiem, co... Przypo mniał mi pan... Miałem chyba przywidzę...

Urwał w pół słowa przepraszanie i krzyknął:

— Abel!

— Tak, to ja, Jacąues! To ja.

I Abel zataczając się ruszył ku niemu. A Jacąues szedł mu naprzeciw chwiejnym krokiem... Dotknęli się, zaczęli poklepywać, ściskać, obejmować, i padli na ziemię, i turlali się w śniegu.

— Nie umarłem, Jacąues! Nie! To ja, naprawdę ja!

— Och! Abel, Abel, Abel...

Duża kuchnia pachniała oczywiście jabłecznikiem, świeżo wyprasowaną bielizną, pastowanym drewnem. Na kominku trzaskał oczywiście wielki ogień, a blaski płomieni tańczyły na ścianach, podobne do farandoli chochlików. I było oczywiście tak, jak Abel sobie wymarzył. Teraz mógł umrzeć: odzyskał przyjaciół.

Colette najpierw zemdlała ze wzruszenia, a teraz przy zlewie piła szklankami zimną wodę. Jacąues płakał jak bóbr wnosząc dymiący dzbanek herbaty i kubki. Mały David poskładał rozrzucone na stole zeszyty i podręczniki i z powagą dziesięciolatka przyglądał się tej scenie z rozdziawionymi ustami: Abel Young, którego zdjęcie zdobiło kredens, Abel Young, o którym ojciec tyle razy mu opowiadał, że był jednym z najlepszych alpinistów swojej epoki, Abel Young, który, jak mu powiedziano, zginął w dalekim Wietnamie — ten Abel Young żył! Jeżeli naturalnie można było nazwać żywym tego przerażającego kościotrupa, siedzącego sztywno i bez słowa na jedynym w pomieszczeniu fotelu.

Jego młodszy brat zaś zapytał babci Colette, czyli swojej prababci, „dlaczego ten taki stary i brzydki pan nazywa się Abel tak samo jak on". A dziewięćdziesięcioletnia staruszka, która nie dysponowała już pełnią władz umysłowych i całymi godzinami przerabiała i pruła trzy rządki na drutach, odparła gwarą:

— Nie wiem, złotko. Ale kamizelka będzie dla niego. Biedny chłopiec, wygląda na takiego zmarzniętego!

Abel długo tak siedział, milczący i nieruchomy, ze wzrokiem zagubionym w dali. Jacąues, przysiadłszy na poręczy skórzanego fotela, trzymał go za ręce i z tkliwością szeptał:

— Nie mów nic, mały. Nie mów nic, jeśli nie masz chęci. Twoje spojrzenie mówi za ciebie... Później. Kiedy będziesz miał na to odwagę. Opowiesz nam. Później, Abel. A teraz odpoczywaj. Zobaczysz, jak Colette i ja zajmiemy się tobą. Tutaj odzyskasz zdrowie i siły. Będziesz spał, będziesz pił dobre mleko od krów mojego brata, no i będziesz miał zdrowe powietrze, całkiem jak w sanatorium... a nawet lepiej. Zobaczysz, Abel, zapomnisz o wszystkim, co wycier piałeś. I za jakiś czas, słowo Servoza! pójdziesz ze mną w góry, Abel. Obiecuję.

I na nowo wybuchnął płaczem.

— Och, Abel, Abel... Czułem to. Zawsze czułem, że nie umarłeś. Miałem takie sny, ale nie chciałem w to wierzyć. Czasem w środku nocy — możesz zapytać Colette — zrywa łem się ze snu opętany nadzieją. Wołałem: „On nie umarł!

Żyje gdzieś, żyje..." A później docierało do mnie, że to sen, wyzywałem się od głupców i zasypiałem. Bywało też, że aa wspinaczce miewałem jakby przywidzenia, tak samo jak myślałem, że to przywidzenie, kiedy cię zobaczyłem przed drzwiami: raptem czułem, że jesteś koło mnie. I to ty mi mówiłeś: „Nie, Jacques, idź lepiej tamtędy! Tutaj skała jest zwietrzała. Weź trochę na lewo. Wyżej masz występ..." Takie rzeczy! O, a wiesz, co mi się ostatnio zdarzyło? U stóp Aiguille du Fou, na pierwszym biwaku. Chciałem się na nią wspiąć z takim jednym młodym, bardzo dobrym gościem, którego lubię: z Alainem Paccardem. Ale rano, jak wystawiłem głowę spod namiotu, nagle ujrzałem ciebie! Tak, to byłeś ty. Stałeś tam. Trwało to moment, ale naprawdę tam byłeś, Abel, z krwi i kości. Wtedy pojąłem, że powinienem zrezygnować. I tak też zrobiłem. A że Alain to facet w porządku, więc zrozumiał. Jak ci to powiedzieć? Miałem wrażenie, że zdradzę cię, jeśli wejdę na ten cholerny szczyt, na którym tyleśmy razem przeszli... że będzie to z mojej strony zamach na twoją pamięć. Och, Abel! moje sny mówiły absolutną prawdę... I nie zdarzyło mi się, żebym idąc drogą, którąśmy kiedyś razem przebyli, nie myślał o tobie. Przez... ile to już czasu? Tak: przez ponad osiem lat. Przez ponad osiem lat zawsze byłeś ze mną. I po trosze było to tak, jakbyś teraz ty czuwał nade mną, nad człowiekiem, który przedtem niekiedy czuwał nad tobą. Czułem w głębi ducha, że nie umarłeś.

Oprócz Abla wszyscy płakali. Dzieci dlatego, że widziały tak poruszonych rodziców, staruszka zaś z powodu łez prawnuków. Colette, spojrzawszy na zdjęcie, na którym Abel pozował w całej krasie dwudziestu pięciu lat, przez delikatność ukradkiem szybko je schowała — niepostrzeżenie, jak sądziła. Nie na tyle prędko jednak, by Abel nie zauważył, że wkłada fotografię do szuflady. Chociaż bowiem wydawał się tak obojętny, wszystko rejestrował wewnętrznie. Ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć: tkwił poza granicami nieszczęścia i szczęścia, w świecie bliskim szaleństwa, gdzie człowiek raz jeszcze przeżywa swe życie i gdzie jego los nabiera raptem cech przeznaczenia dopełnionego.

Jakżeby miał znaleźć słowa na wyrażenie tego, co odczuwał?

Później, w odróżnieniu od zwykłych posiłków u Scrvozów, zawsze wesołych i ożywianych figlami chłopców, zasiedli do kolacji, w czasie której zamieniali same banalne słowa: prośbę o podanie soli, masła, chleba. Dzieci niejasno przeczuły, że nie powinny zakłócać melancholijnego spokoju gościa. Abel nadal milczał i jadł bez apetytu, lecz ze swego rodzaju zaciętą pilnością. Wyglądało, jakby się bał, że obrazi gospodarzy, jeśli zostawi nie ruszony talerz. Colette jednak mówiła mu serdecznie:

— Nie zmuszaj się. Apetyt sam wróci, złotko.

Potrząsał głową, uśmiechał się blado. Wydawał się zamknięty we wspomnieniach, nieobecny.

Po kolacji znów usiadł w fotelu i wreszcie zgodził się zdjąć puchową kurtkę. Jacąues poszedł na górę ułożyć dzieci do snu, Colette tymczasem sprzątała ze stołu.

— Ten pan zostanie u nas? — spytał mały Abel.

— Tak, będzie z nami mieszkał — odpowiedział mu ojciec. — Ale musisz być przy nim bardzo, bardzo grzeczny, bo jest strasznie zmęczony, wiesz?

— Mogę mu pozycyć sanki, zęby się pobawił.

— O, no świetnie! Jutro mu pożyczysz.

— Czy on był żołnierzem w Wietnamie? — zapytał David, którego bardzo poruszyły widziane w wiadomościach telewizyjnych zdjęcia z upadku Wietnamu Południowego.

— Nie, nie był żołnierzem. Był reporterem.

— To nie walczył na wojnie, tak?

— Walczył, ale inaczej.

— Miał strzelbę?

— Nie.

— I karabinu maszynowego też nie? Ani granatów?

— Nie miał.

— To nikogo nie zabił?

— Nie, nikogo nie zabił.

— Tato, a ty zabijałeś ludzi?

— Nie, nigdy. Chyba nie.

— Generałowi musiało się to nie podobać. Pewnie był na ciebie, zły, co?

— A jak! Jasne, że mu się nie podobało! Kazał mnie wsadzić do wiezienia.

— Czemu? Przecież normalnie do więzienia wsadza się ludzi, którzy zabijają innych ludzi, nie?

— To zależy. Niekiedy do więzienia idą tacy, którzy nie chcą zabijać innych. W czasie wojny.

— W takim razie wojna to takie życie na opak, nie?

— Tak, to... życie na opak, jak mówisz.

— A myślisz, że Abel był w wiezieniu, bo nie chciał zabijać?

— Nie mam pojęcia, skarbie. Ale na pewno był w więzieniu.

Jacąucs, otuliwszy synów w łóżkach, pocałował każdego w czoło. Już zamykał za sobą drzwi pokoju, kiedy mały Abel jeszcze go zawołał:

— Ten duży Abel może sobie jeździć na moich sankach, jak będę w psedskolu, ale potem musi mi je oddać.

— Obiecuję, że ci odda — zaśmiał się przewodnik. — Wiesz? duży Abel to bardzo fajny gość.

Zszedł na dół. Zobaczył Abla, nadal tak samo przybitego. I nieskończenie ostrożnie wziął go na ręce, jakby był jego trzecim synem, najmniejszym, najdelikatniejszym, najwątlej-szym. Bez trudu dźwignął tę skórę i kości, ciało ważące dzisiaj najwyżej trzydzieści kilogramów, i zaniósł Abla na piętro, do pokoju gościnnego, który Colette właśnie przygotowała.

Abel usiadł na łóżku. Nadal nic nie mówił. Lecz powoli jego spojrzenie zaczęło się ożywiać. I nagle, kiedy Jacąues pomagał mu się rozebrać, z jego oczu trysnęły i potoczyły się po policzkach łzy, których nie starał się otrzeć.

Jacąues miał przeczucie, że Abel teraz zacznie mówić. Usiadł obok niego i pełnym serdeczności gestem położył mu rękę na ramieniu, jakby mu dodając odwagi.

— Jacąues... — wyszeptał Abel. — Jacąucs...

— Tak?

— Jacąues, dzisiaj płaczę pierwszy raz. Pierwszy raz od... Sam już nie wiem odkąd. Od miesięcy... Od lat...

— Płacz, Abel, płacz! To ci dobrze robi.

— Przypomniałem sobie, co mi przepowiedział pewien wróżbita. Stary Chińczyk w Cholon. Niedługo po moim przyjeździe do Sąjgonu... Przypominam sobie jego słowa: „Kto płacze, co dzień się odradza, kto umiera, odrodzi się

kiedyś". Przypomniałem sobie to teraz... I widzisz, Jacąues, on się nie mylił: przeżyłem. Ale to dzięki tobie, Jacąues, jestem tutaj. Żywy. Ochl mówiłeś przedtem, że to ja nad tobą czuwałem. A ja wytrzymałem tylko dlatego, że zawsze byłeś ze mną, u mojego boku. Nawet w najgorszych chwilach. Kiedy wydawało mi się, że już wszystko przepadło. Jacąues, pewnej nocy... pewnej nocy w karcerze... pewnej nocy w karcerze, gdzie mnie zamknęli...

— Abel, jesteś pewien, że masz siłę, aby mi teraz to opowiedzieć?

— Tak. Muszę o tym mówić. A mogę tylko tobie i chcę tego.

— W takim razie słucham.

— Pewnej nocy, kiedy myślałem, że oszaleję — byłem wtedy w wybetonowanym dole bez światła, sam już nie wiedziałem, jak długo... I nagle przypomniałem sobie, co mi powiedziałeś na Aiguille du Fou: „Wyjdziemy z tego, jeżeli nie będziesz bał się umrzeć". I dopiero wtedy w pełni zrozumiałem, co znaczyły te słowa. Wiesz, Jacąues? doszedłem do granic strachu. A nawet przekroczyłem te granice. Jak ci to wytłumaczyć?...

— Rozumiem, Abel. Nie musisz mi tłumaczyć. Doskonale rozumiem.

— No więc teraz już wiem: umiera się ze strachu. Z powodu strachu, jaki tkwi w ludziach, zabijają się nawzajem, bo się boją samych siebie. Strach i nienawiść to jedno i to samo: tego nauczyło mnie więzienie. Zaznałem głodu, chłodu, brudu, samotności, choroby. Zaznałem najgorszych upokorzeń, okrucieństwa... ale przynajmniej tego się nauczyłem. I wiesz? chciałem się zemścić. Przez całe lata myślałem tylko o tym, żeby się zemścić! zemścić! zemścić! Omal nie zwariowałem — również z tego powodu. Ale dzisiaj, kiedy wszystko minęło, nie myślę już o zemście, bo nie mam nawet ochoty nienawidzić. Chcę tylko powiedzieć prawdę, chcę ją napisać, Jacąues. Ponieważ przez to także umieramy: przez kłamstwa, przez oszustwa... Nie, nie zemszczę się tak, jak chciałem. Nie będę zabijał. Ale powiem, co mi się przydarzyło, rozpowszechnię to...

— Masz słuszność, Abel. Musisz się posługiwać swoją bronią, czyli piórem i papierem. Kogo byś zresztą zabił, na

kim miałbyś się mścić? Nic nie wiem o twoich przeżyciach, ale...

— Jacques, ja wiem, kto chciał mnie zamordować.

— Jak to?

— No tak, wiem, kto załatwił zorganizowanie zamachu, w którym zginęła mała Nam Hoa, córka przemiłych ludzi, moich sajgońskich gospodarzy.

— W gazetach twierdzili wtedy, że na pewno pracowałeś dla Vietcongu. Że to były porachunki na tle politycznym. Pamiętam, że czytałem to w „Event8ie"...

— W „Eventsie"! — ironicznie westchnął Abel. — Tak pisali, ale to nieprawda.

— W takim razie kto? Kto by mógł?... I dlaczego?...

— Jacques, wiesz, kto był zabójcą biblijnego Abla...

— No...

Jacques, niepomiernie zdumiony, aż się cofnął i umilkł. Spojrzał Ablowi głęboko w oczy, jakby *w* głębi jego duszy chciał odczytać utajony sekret. I powiedział wolno, na poły pytająco, na poły twierdząco:

— Twój brat? Jeremy Emerson?

Abel potakująco skinął głową.

— Okropność! — szepnął Jacques jakby do siebie. I zdumiony powtórzył niedowierzająco:

— Twój brat.

Wierzył jednak w to, co mówił Abel: był zdania, że przeszedłszy męczarnie, jakie on przeszedł, człowiek nie rzuca bezpodstawnie takich oskarżeń. Jednakże tyle miał w sobie poczciwości człowieka prostego i dobrego, że podobna zbrodnia w głowie mu się nie mogła pomieścić...

Zapadło długie, pełne zadumy milczenie.

Potem Jacques, nie ponaglając Abla, który zaczynał dawać oznaki nerwowego podniecenia i wyczerpania, zapytał i

— A później, w szpitalu? To znaczy po szpitalu?...

— To długa, bardzo długa historia, Jacques. Tyle czasu mi zajęło rozwikłanie jej! Oddział partyzantów Vietcongu zjawił się po nieznanego pacjenta, który leżał ze mną w pokoju. Nikt nie wiedział, kim jest ten człowiek, ale oni tak. Tyle że go nie znali: rozkazano im sprowadzić go na Północ, to wszystko. Dużo później pojąłem, że musiało chodzić o pewnego Rosjanina, który pracował w Hanoi

w ramach pomocy medycznej czy czegoś w tym rodzaju. I że próbował przedostać się na Zachód, to znaczy w wypadku Wietnamu: na Południe... Co dokładnie zrobił? Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Wiem za to, że nazywał się Worosz. I że Worosz... to byłem ja.

— Ty?

— Tak. Padłem ofiarą fantastycznego nieporozumienia. Otóż kiedy oddział wpadł do pokoju, zakonnica, która mnie pielęgnowała, pomyślała, że przychodzą mnie zabić albo porwać. Ponieważ już trzy razy podejmowano próbę zamachu... Ja zresztą tak samo wtedy pomyślałem... Napastnicy zapytali zakonnicę, który z nas dwóch jest Ablem Youngiem. Chcieli po prostu wyeliminować wszystkich świadków. Chodziło im tylko o Worosza, i to żywego. Tyle że go nie znali i musieli zidentyfikować. Ten biedak był taki pokiereszowany, że za przyzwoleniem lekarza poczciwa siostrzyczka, chcąc mi uratować życie, poświęciła go podając za mnie... Bo sądziła, że tamci dybią na mnie. Rozumiesz? I naprawdę to mnie uratowało. Zanim mnie zabrali, z zimną krwią wykończyli wszystkich obecnych w pokoju. Rozumiesz?

— Nie za bardzo. Ale nie powinieneś się tak męczyć, Abel. Nie wolisz opowiedzieć mi to jutro, kiedy odpoczmesz?

— Nie, nie. Wiesz, dobrze mi robi, że mogę o tym trochę pomówić. Bo ty mi wierzysz. Tak samo jak Richie Garrymore mi wierzy. Tutaj ludzie mi wierzą... Jacąues, najgorszą chyba niesprawiedliwością jest, kiedy mówisz prawdę, a nikt ci nie wierzy. To najstraszliwsza męka. A oni nigdy, nigdy nie chcieli mi wierzyć...

— Ten oddział zabrał cię na Północ?

— Tak.

— I na Północy nie spostrzegli, że?...

— Spostrzegli, ale dopiero po miesiącu, mniej więcej po miesiącu.

— Przecież to bez sensu: nie znasz ani słowa po rosyjsku)

— Tak, ale Worosz znał angielski. I ci obłąkańcy, kierujący się logiką szaleńców, musieli uznać, że symuluję albo że zapomniałem ojczysty język na skutek przeżytego szoku, co podobno może się zdarzyć. Nie bardzo wiem, Jacąues, to wszystko było takie niedorzeczne, takie absurdalne...

— No i jak w końcu zrozumieli, że nie jesteś Woroszem?

— Po wizycie dwóch adwokatów sowieckich. Przedefilowało przede mną z piętnasde osób i nikt nie rozpoznał Worosza. Wtedy dopiero uznali, że nie jestem Woroszem.

— Ale dlaczego dę trzymali, skoro nastąpiła pomyłka co do osoby? Dlaczego dę trzymali... osiem lat, nie?... tak, osiem lat?

— Siedem. Potem udało mi się uciec z takim jednym Amerykaninem. Złapali mnie żołnierze południowowietnamscy i przesiedziałem jeszcze rok w obozie koncentracyjnym...

— Ale dlaczego dę tyle czasu trzymali? Dlaczego?

— W ich pojęciu skoro tam już byłem, to nie bez powodu, i tyle. Sądzę też, że z ich strony był to sposób na udowodnienie Rosjanom swojej dobrej woli, sposób na udzielenie gwarancji: miałem służyć jako przykład dla tych wszystkich, którym by się zachriało zrobić jak Worosz. Biurokracja stalinowska nie zawraca sobie głowy rozważaniem tożsamośd czy prawdziwośdą faktów w oskarżeniu. Nigdy zresztą oficjalnie nie zostałem obwiniony. Bytem po prostu kimś, kto nie chdał wyznać swoich kontrrewolucyjnych zbrodni i poddać się naprawie przez pracę. A poza tym trzeba wiedzieć o jednej rzeczy. Takiej, że nawet Kafka jej nie wymyślił. O czymś, co kiedyś pewien urzędnik znający francuski mi powiedział: w tym systemie zostajesz ukarany nie dlatego, że jesteś winny, ale jesteś winny dlatego, że zostałeś ukarany. A ponieważ nigdy nie chdeli uwierzyć, że jestem Abel Young, bo zachodnia prasa uznała mnie za zmarłego, ponieważ nigdy nie chdeli uwierzyć w to, co mówiłem...

Abel zamilkł wstrząsany suchym szlochem, zbyt wzburzony, by dągnąć swą opowieść. Wydawało się, że jakieś okropne wspomnienie, mocno tkwiące w jego pamięd, nagle opanowało go bez reszty.

Położył się na łóżku. Jacąues zawinął mu pod materac pościel i otulił go, jak co wieczór otulał swoich dwóch synów.

— Posiedzę przy tobie, chcesz? Dopóki nie uśniesz. Colette przyniosła dwie duże butelki wody, jak prosiłeś. I kubek. Masz je tu, na stoliku...

Abel podziękował bez słów, samym spojrzeniem pełnym łez. To, ze znowu mógł płakać, niosło mu ukojenie.

Przez kilka chwil trwał pogrążony w zamyśleniu, po czym rzekł:

— Chtiałbym też, żebyś zostawił zapaloną lampkę nocną. Boję się demnośd. Tak samo jak kiedy miałem dziesięć lat po... po tym, co nazywano moim „wypadkiem". Głupie, nie?

— Nie, Abel, całkiem normalne. Ja po powrode z Algierii przez jakiś czas ssałem palec, jak w dziedństwie. I zdarzało mi się zmoczyć w łóżku.

— Wiesz co, Jacąues?...

— No? Powiedz...

— Nie chcę umrzeć. Teraz już nie chcę...

— Idiota! Kto mówi o umieraniu? Wyjdziesz z tego...

— Tak, jeśli nie będę się już bał.

— Jeśli nie będziesz się bał.

— No, to samo, tyle że po swojemu, mówił mi Min.

— Min?

— Pewien stary mędrzec, którego poznałem w więzieniu. Ostatni żyjący członek sekty zwanej Min Tu, której spadkobiercą uczynił mnie. Przekazał mi odrobinę swojej mądrośd, wtajemniczył, a potem ofiarował mi swoje żyde. Poświęcił się dla mnie... Jemu i tobie, Jacąues, wam dwóm zawdzięczam, że jestem tutaj.

— Moja zasługa w tym żadna. Ty sam...

— Nieprawda. Ty mi dałeś siłę. On mi dał mądrość. A dokładniej: ty nauczyłeś mnie mądrośd siły, on mnie nauczył siły mądrośd. Kiedy poddałem się zwątpieniu, powiedział mi to samo co ty na Aiguille du Fou, tyle że w swoim obrazowym języku: „Umierasz ze strachu, Abel. Ale nauczysz się nad nim panować. I uratujesz się kiedyś. Będzie to o świtaniu, gdy wybije godzina Tygrysa. I wtedy staniesz się tygrysem. Będziesz miał duszę tygrysa z dżungli, będziesz miał jego urodę. I na sam twój ryk ludzie źli będą drżeć..."

Abel uśmiechnął się. Równocześnie z ogarniającym go nieprzepartym snem, odżywał. Śnił. I sen nie był z pewnośdą koszmarny: powoli zatracał przerażający wygląd człowieka umęczonego. Twarz miał teraz spokojną, niemal pogodną.

Jacques w jego stopniowo rozluźniających się rysach odnajdywał coś z owego młodzieńczego wdzięku, którym tchnął dziesięć lat wcześniej.

Długo przyglądał się rozczulony Ablowi zapadającemu w dziecięcy sen...

*

— Ella! To chyba Richie?

Usłyszawszy turkot ciężkiej landary na podjeździe z drewnianych bali, który wiódł przez las do samego domu, Robert O. Kelly wyprostował się, jedną ręką trzymając się za krzyż, wbił siekierkę w pniak, otarł ręce w stare, poprzecierane sztruksowe spodnie i wyszedł naprzeciw gościa. W drzwiach domku stanęła młoda kobieta, Richie Garrymore zaś parkował tymczasem wynajętego cherokee, kierując się gestykulacją Roberta.

— No, przestałem już wierzyć, że kiedykolwiek się tu zjawisz — powiedział do wysiadającego z samochodu Garrymore'a. — Tak dawno obiecywałeś!

— Wiesz, jak to jest! — westchnął Richie z żałosną miną skarconego dziecka. — Prowadzę takie za przeproszeniem popieprzone życie) Naprawdę popieprzone! Zawsze obiecuję i nigdy nie mam czasu. Dochodzi do tego, że wszyscy znajomi się na mnie obrażają. Ale wiesz? miałeś rację: taki tu spokój! O, dzień dobry, Ella!

— Witaj, Richie. Nie miałeś kłopotu ze znalezieniem nas?

— Nie, noszę przecież w portfelu plan, który Robert narysował mi na wizytówce, kiedyśmy się ostatnio widzieli w Nowym Jorku. Na tym party, pamiętasz? U Jaya Heetleta...

— A, rzeczywiście! Kiedy to było?... Trzy, cztery lata temu?

— Sto, tysiąc lat temu... Nie śmiem już nawet liczyć. Umieram ze wstydu.

— Mimo wszystko cholernie się cieszę — rzekł Kelly serdecznym tonem. — Zwłaszcza że dopiero co wróciłaś z Wietnamu, jeśli dobrze zrozumiałem z tego, co opowiadałeś przez telefon?

— Ściśle mówiąc, z Hongkongu, gdzie spędziłem kilka dni przed powrotem. Przyleciałem we wtorek.

— We wtorek? Przedwczoraj?

— Tak. I zaraz do was zadzwoniłem.

— I pierwszą wizytę składasz nam! W takim razie wszystko ci wybaczamy, Richie. To naprawdę bardzo miłe — zawołała Ella Kelly.

— Prawdę powiedziawszy, Ella... — odparł Richie z lekkim zakłopotaniem. — Powinienem być szczery, więc żeby niczego nie skrywać, muszę wyznać, że przyjechałem nie tylko z myślą o skosztowaniu twoich konfitur. Chcę też omówić coś z Robertem...

— Ha hal przyznaje się, gałgan jeden — zażartował Kelly. — Dobrze wiem, że nie przypływ miłości do naszej wiochy mógł skłonić wielkiego Garrymorc'a do przejechania dwustu mil...

— Och, nie kpij, szefie...

— Nie, nie! Jako dziennikarska bomba „Kelly na wsi" to mało ciekawy temat. Mówiłem ci, Ella — zawołał przekornie.

I nadal żartując, powiedział z udawanym zniechęceniem:

— No ale trudno. Skoro już tu jesteś, wejdź do środka. Chciałbym jednak poznać sedno sprawy. Chciałbym się dowiedzieć, czemu zawdzięczamy przyjemność oglądania cię tu wreszcie. Do licha, Richie! Przedwczoraj, kiedyśmy rozmawiali przez telefon, wydałeś mi się dość wzburzony.

— Kiedy ci powiem dlaczego, ty też będziesz wzburzony.

Nader zaintrygowany były redaktor naczelny „Eventsa" zaprosił młodego dziennikarza do domu i w drzwiach szturchnął go serdecznie, po kumpelsku.

Były redaktor naczelny „Eventsa"l

Czy komukolwiek, kto znał go w czasach, gdy kierował pismem, kto zawsze widział go sztywnego, eleganckiego, nudnego, a zwłaszcza tak bardzo nowojorskiego, przyszłoby kiedykolwiek do głowy, że stanie się człowiekiem, jakim był teraz? Sześćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną o siwych włosach sięgających karku, dłoniach spękanych i poczerniałych od pracy na roli, szorstkim, prostym sposobie bycia drwala, w znoszonym, połatanym przyodziewku niczym

pionier z ubiegłego wieku. Ze śliczną drogą żoną, młodszą odeń o trzydzieści siedem lat, żył w odosobnieniu w lesie w Connecticut, piętnaście mil od najbliższego miasta, dwanaście od najbliższego sklepu. Karczowali las i smażyli konfitury, hodowali kilka kur i dwa konie pod wierzch, których co rano dosiadali, nie mieli elektryczności, pozbawieni byli zatem także telewizji i dobrego sprzętu radiowego, a dom oświetlali gazem.

Wraz z porzuceniem „Eventsa" Robert G. Kelly porzucił nie tylko kierowanie pismem. Przede wszystkim rozstał się z żoną, znaną, bardzo snobistyczną Patty Kelly, na której kolacje cisnął się „cały Manhattan"; zostawił dwupoziomowe mieszkanie przy Park Avenue; apartament w Hiltonit wynajęty na cały rok, gdzie od czasu do czasu po południu przychodził przespać się kilka godzin, gdy przez całą noc czuwał nad składem; cadillaca z szoferem i człowiekiem do ochrony; austriackiego psychoanalityka i filipińskiego masażystę; a nawet szafę pełną garniturów i koszul szytych na miarę w Savile Row, prywatny zapas cygar w podziemiach magazynu Davidoffa w Genewie, osobistą piwnicę, gdzie starzały się wina bordoskie... Wiódł teraz życie proste i spokojne, niemal surowe, i bez pośpiechu spisywał wspomnienia, nie wiedząc, czy naprawdę ma ochotę je opublikować, obojętny na oferty składane przez wydawców, nieczuły na sławę i zaszczyty.

Zdarzało mu się jeszcze wybrać do Nowego Jorku, ale nie zostawał tam nigdy dłużej niż dwa dni. Ledwie go wtedy poznawano na koktajlach czy przyjęciach, gdzie się na krótko pojawiał. Właśnie przy okazji proszonych kolacji bądź wręczania nagród Richie Garrymore spotkał go ze cztery, pięć razy, odkąd tak nieoczekiwanie w lutym 67 roku złożył dymisję Jeremy'emu Emersonowi. Sympatia między' nimi nigdy nie zmalała, a nawet z biegiem lat wzrosła. Regularnie do siebie pisywali, obaj uważali bowiem kontakty listowne za dające większą satysfakcję i głębsze niż banalne używanie od czasu do czasu telefonu. Kiedy Garrymore postanowił odejść z „Eventsa" niedługo po Kellym, ten pochwalił jego decyzję. „Nie ma co szukać w tym burdelu za panowania jaśnie oświeconego Jeremy'ego", powiedział mu były naczelny pisma. I potem śledził jego zawrotną karierę

i fetował sukcesy jak ojciec fetuje szkolne osiągnięcia syna. W głębi ducha, choć tak bardzo teraz oddalony od ruchliwego świata prasy i jego problemów, dumny był z potwierdzenia, że miał wyjątkowego nosa zaufawszy tak młodemu dziennikarzowi. Nagroda Pulitzera, dwa bestsellery jeden po drugim: Richie naprawdę go nie zawiódł...

Richie Garrymore w wieku dwudziestu dziewięciu lat został istotnie uhonorowany najwyższą nagrodą, jaka może być przyznana dziennikarzowi: nagrodą Pulitzera. Jego druga książka, wydana w kilka zaledwie miesięcy po nagrodzonym eseju na temat wojny wietnamskiej, była powieścią o świecie dziennikarskim, gdzie zręcznie z fikcją łączyły się fakty autentyczne i dokumenty, i odniosła jeszcze większy sukces niż poprzednia. Kilka wielkich studiów hollywoodzkich wadziło się o prawa do adaptacji filmowej, aż pewna stacja telewizyjna sprzątnęła im książkę sprzed nosa, kupując ją za blisko milion dolarów. Richie Oarrymore był jednym z pierwszych i najmłodszym dziennikarzem cieszącym się pozycją prawdziwego gwiazdora.

Bo też wzniósł się z prędkością iście kosmiczną. W lutym 67 roku po odejściu z „£ventsa" odrzucił ofertę pisma konkurencyjnego, został „wolnym strzelcem" i w kilka lat szeroko zasłynął. Kilka jego reportaży z Wietnamu zadziwiło wszystkich bardzo antykonformistycznym sposobem przedstawiania wydarzeń i wyciągania z nich wniosków. Nie poprzestał wszakże na wykorzystywaniu tej jednej strony swego talentu. Próbował wszystkiego, pisał na wszelkie tematy, od najpoważniejszych po najlżejsze. Jego podpis widniał pod sprawozdaniem z walk ulicznych w Bejrucie, przy których był przed dziesięcioma dniami, i w tym samym tygodniu, w innym piśmie, pod zabawnym, spontanicznie napisanym artykułem o ostatnim pokazie mody Yves'a Saint-Laurenta. Jego polot, styl dosadny i błyskotliwy, bezczelność wobec osobistości uznawanych za nietykalne, ale też mądrość poglądów i ich oryginalność ciągle zaskakiwały. A ponieważ był niezmordowany, ponieważ w czterdzieści minut pisał artykuł na trzy kolumny, który innemu zająłby dwa dni, ponieważ zawsze bez wahania potrafił wskoczyć w samolot lecący do kraju, gdzie toczyły

się walki, ponieważ zawsze nadzwyczaj punktualnie składał maszynopisy, a jego informacjom nie można było niczego zarzucić, stał się mężem opatrznościowym dla redaktorów naczelnych, przebijających się wysokością honorariów. Jak mu się udawało tyle pisać? Jak to się działo, że nie wyczerpywał się w pomysłach, że nie powtarzał się, sam siebie nie cytował i jeszcze znajdował czas, by napisać długi na pięćset stron esej i równie grubą powieść, a jednocześnie w tym samym tygodniu brał udział w debacie w angielskiej telewizji, wygłaszał wykład w Yale przed dwutysięcznym audytorium i przeprowadzał wywiad z izraelskim premierem?

Budziło to nieustające zdziwienie, a nawet zabobonny przestrach.

Tak, trzydziestoletni Richie Garrymore był niewątpliwie kimś. Nikt nie rozumiał, co zmusza do ciągłej gonitwy bez wytchnienia tego wiecznego uczniaka, który skrywał chorobliwą nieśmiałość za małymi okularkami intelektualisty, a równocześnie należał do czołowych postaci śmietanki towarzyskiej. Zastanawiano się nad osobliwym melanżem niezaprzeczalnej odwagi, jakiej dowodził zbierając materiały do reportaży, i niewiarygodnej pustoty, jaką przejawiał w upodobaniu do bezsensownych uciech światowego życia. Zaciągał się w szeregi zbuntowanego plemienia, zagubionego w afrykańskim buszu, by ułatwić sobie zbadanie, co ten ruch oznacza na polu polityki, a w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie wydawał dekadenckie przyjęcia, gdzie tłoczyli się wszyscy, których nazwiska z takiego czy innego powodu znał cały świat. Cokolwiek robił, jego czyny cechowała jakaś rozpaczliwa zapamiętałość. Wydawało się, że stale ucieka przed sobą, nad niczym nie chce się zatrzymać, boi się ustatkowania, choćby na krótko, i sporządzenia bilansu swego burzliwego życia. Nie znano innych jego związków poza przelotnymi, niosącymi rozczarowanie romansami z gwiazdami kina, modelkami, aktorkami. Nie miał mieszkania w mieście ani domu na wsi, żadnego miejsca na ziemi, gdzie mógłby od czasu do czasu wypocząć i zebrać myśli. Zależnie od celu podróży mieszkał w hotelu albo wpraszał się do kogoś, najczęściej do sław światowej prasy. Niczego nie posiadał, nie liczył się z pieniędzmi, trawił czas na pospieszne regulowanie niedoborów na koncie bankowym. Toteż dob-

rowolnie oddał się pod kuratelę swego agenta, który wydzielał mu jego własne pieniądze w miarę potrzeb. Siał wszędzie nieliczne rzeczy osobiste, przez roztargnienie zostawiał walizki na większości wielkich dworców lotniczych świata, u przyjaciół, w luksusowych hotelach. A jeśli ktoś chciał go o tym powiadomić, musiał pisać na poste restante! Jedynym dobrem, które miał na własność, był jego zawód. Dziennikarz do szpiku kości, wydawał się bezustannie szukać zapomnienia. O czym?

Niewątpliwie o sobie samym.

Ale dlaczego?

Dlaczego on, niczego już nie muszący udowadniać, otrzymujący stale propozycje nieprawdopodobnych umów na absolutnie pewne reportaże, na telewizyjne pogawędki, dlaczego postanowił raz jeszcze wrócić do Wietnamu i na miejscu przeżyć ostateczny upadek Południa, który od przeszło trzech lat przepowiadał we wszystkich swoich artykułach?

Teraz, siedząc u Kellych przy ogniu, w miłym ciepełku drewnianej chaty zagubionej wśród lasów Connecticut, Richie sam sobie zadawał pytania na temat tego, co tak niedawno oglądał, a co wydawało mu się tak bardzo już odległe. Zaczynał powątpiewać w prawdziwość scen przerażenia i paniki, jakie rozegrały się na jego niewzruszonych i znużonych oczach zawodowego obserwatora. Z biegiem lat wraz z powtarzającymi się doświadczeniami korespondenta wojennego zanikła w nim umiejętność wzruszania się: w pewnym sensie „przywykł". Wszystko w ludzkim okrucieństwie i szaleństwie wydawało mu się banalne — tyle przecież widział! I to pod wszystkimi szerokościami geograficznymi! We wszystkich klimatach! Na patrolu w rejonie „Rue sans joie" z ostatnimi stawiającymi opór batalionami wojska południowowietnamskiego obojętnie patrzył, jak obok niego padali ludzie podziurawieni kulami; jak inni, ze strachu przed represjami porzuciwszy nawet mundury, uciekali nadzy i drżący, przerażeni niepowstrzymanym pochodem żołnierzy Północy; jak jeszcze inni, straciwszy umiejętność jasnego myślenia, ogłupieni propagandą antykomunistyczną, popadali w coś na kształt obłędu, gdy usłyszeli w dali jakby coraz bliższe echo kanonady stopiątek.

Okropne, apokaliptyczne widoki exodusu na nielicznych w miarę przejezdnych drogach! Ban Me Thuot padło 15 marca, Quang Tri dwudziestego — ludzie uciekali w kierunku Da Nang i mało prawdopodobnego ratunku. Uciekali uczepieni błotników ciężarówek grzęznących w lejach po pociskach na podziurawionych drogach; w pożałowania godnych grupkach posuwających się forsownym marszem w ulewnym deszczu, przygięci pod ciężarem węzełków zawierających cały chudy dobytek; a najwięksi szczęściarze jechali ściśnięci w wojskowych samochodach, którymi na własny użytek zawładnęli oficerowie-dezerterzy — wszyscy zdążali na Południe, „głosując, jak napisał pewien dziennikarz, nogami przeciw komunistom"...

Najbardziej absurdalne wieści, najstraszliwsze plotki rozprzestrzeniały się szybciej, niż maszerowały oddziały Ludowej Armii Wyzwoleńczej. „Gwałcą wszystkie kobiety, a potem podrzynają im gardła i zjadają serca", płakała jedna bliska histerii. Pewien człowiek rozpaczliwie uwiesił się drelichu Richiego sądząc, że w tym Amerykaninie znalazł może protektora, który przyjdzie mu z pomocą w załatwieniu wizy emigracyjnej do Stanów, i chociaż wyglądał na zamożnego i wykształconego, bo posługiwał się doskonałą angielszczyzną, powiedział: „Pan wie, jak wygląda komunista? Ja jeszcze żadnego nie widziałem. Czy to prawda, że mają kopyta, a ich spojrzenie zabija?" Uchodźcy mówili o „zielonych ludzikach" jak o nieznanych stworach, które runęły na kraj niby niszczycielska chmara szarańczy. Wszyscy szturmowali na Da Nang i każdy żywił absurdalną nadzieję, że dostanie się na pokład ostatnich statków, ostatnich samolotów do Sajgonu. Bo Sajgonu cudem jakimś klęska widoczna wszędzie indziej jakby jeszcze nie dosięgła. Panowała tam oczywiście atmosfera bladego strachu: krwawe demonstracje były odpowiedzią na masowe aresztowania opozycji i dezerterów, szeptano również, że delta Mekongu i okoliczne pola przeszły praktycznie w ręce Frontu, ale wiedziano także za pośrednictwem radia, że w kabaretach i wielkich hotelach przy ulicy Tu Do szampan ciągle się leje strumieniami, wiedziano, że poprzedniego dnia klacz Kwiat Wiśni zdobyła Grand Prix de la Liberte.

Da Nang, największa baza wojskowa Wietnamu, musiało upaść, jak Quang Tri, jak Ban Me Thuot: była to już tylko kwestia dni albo godzin...

Jakże by można było poznać dawną Tourane, śliczne, rozkosznie prowincjonalne miasteczko kolonialne w tym zdewastowanym, brudnym mieście, ku któremu ze wszystkich stron ciągnęły tłumy przerażonych uchodźców?

Nad obłąkanym ruchem ulicznym już żaden policjant nie próbował zapanować, wszędzie walały się stosy odpadków, dopalały się samochody, do reszty zatruwając i tak mocno zanieczyszczone powietrze. Bez chwili przerwy warczały silniki śmigłowców latających tuż nad dachami domów, w oddali rozlegały się coraz bliższe strzały pocisków rakietowych. Witryny splądrowanych sklepów świeciły pustką, w słońcu gniły trupy ofiar jakichś krwawych porachunków. „Koniec świata! Koniec świata!" jęczała z cicha staruszka, po brukowanym nabrzeżu wzdłuż torów tramwajowych ciągnąca zwłoki wnuczki owinięte w przezroczysty worek foliowy.

Richie Garrymore, wyczerpany do cna fizycznym i psychicznym zmęczeniem, oparł się o wrak ciężarówki, by zapalić papierosa. Pustym wzrokiem patrzył, jak odchodzi ta zapłakana kobieta, której dał kilka piastrów. Czuł się wewnętrznie pusty, wstrętny, stary, wyniszczony, rozpaczliwie zbędny. I czemuż to syci się tym odrażającym widokiem rozkładu niczym sęp resztkami plugawej padliny? Jakiej prawdy jeszcze szuka? Jakiego sensu w tym, co sensu flie miało i nigdy mieć nie będzie? Po cóż z takim uporem chce dawać świadectwo morderczego szaleństwa ludzi? zapytywał się. Czy to wszystko, co od lat wypisuje, przyczyniło się kiedykolwiek do oszczędzenia choćby jednego, jedynego ludzkiego żywota? Czy cały ten zadrukowany papier zdołał kiedykolwiek otrzeć najmniejszą choćby kropelkę krwi? Po co próbować zrozumieć ten durny, okrutny świat, w którym po wsze czasy Kain bez powodu będzie zabijał Abla?

Abel...

Abel Young. I znowu będzie myślał o Ablu Youngu, był tego pewien. Jak zawsze, kiedy czuł się smutny, przygnębiony, zawiedziony. Raz jeszcze bolesne wspomnienie przemoż-

nie go opanuje. I wyrzuty sumienia, i żal, że okazał się takim tchórzem. Że nie wyjawił zbrodni, o której on jeden wiedział...

Ach, czy kiedykolwiek zapomni?

I oto naraz pojawiło się coś, co było więcej niż wspomnieniem, czymś gorszym niż koszmar wywodzący się z poczucia winy: halucynacja, przerażająca halucynacja rozgorączkowanego umysłu. W śmierdzącym tumanie dymu z płonącego stosu opon na nabrzeżu przed budynkiem towarzystwa Shell ukazał się jego szeroko otwartym oczom duch — i szedł ku niemu...

Zjawa w postaci kościotrupa, wychudła, odrażająca,, która szła chwiejnym krokiem, podchodziła bliżej, coraz bliżej...

Trup, który cichym, łagodnym głosem mówił:

— Richie Garrymorę? Richie Garrymore, prawda? Nie poznajesz mnie?

— Abel Young! — wrzasnął Richie Garrymore znienacka i zupełnie tak samo jak wtedy, gdy wykrzyknął to i nazwisko zrozumiawszy, że ma przed sobą istotę z krwi j i kości, żywego człowieka, który do niego mówił: Abla | Younga we własnej osobie.

— Abel Young?

1 Kelly, niepewny, czy rzeczywiście to usłyszał, powtórzył: ;

— Abel Young? Dlaczego o nim mówisz, Richie?

— Robert, on wcale nie umarł.

— Co?

— On żyje, Robercie, żyje. Rozstaliśmy się... zaraz, w niedzielę w Kai Tak, na lotnisku w Hongkongu.

— Co ty wygadujesz?

Robert G. Kelly, drżący z emocji, ale jeszcze nie dowie* rzając, w niespokojnym milczeniu wpatrywał się badawczo *i* w oczy Garrymore'a, jakby szukał w nich oznak rodzącego | się szaleństwa. Ale nie: Richie wyglądał na zmęczonego, co wcale nie dziwiło, lecz nie na wariata — przynajmniej na pozór. Mówił w sposób opanowany, choć z niemal gorącz-1 kowym entuzjazmem.

— Słuchaj tylko — zaczął—to najbardziej wstrząsająca 1 rzecz, jaką przeżyłem... Słuchaj, byłem w Da Nang, jak |

wiesz, w samym środku powszechnej histerii, która ogarnęła ludność wraz z zaczynającą się ewakuacją... Było to coś strasznego: nieopisany tłum, a w okolicach słychać było działa. Zastanawiałem się właśnie, czego do diabła babram się w takim gnoju... i wtedy nagle zobaczyłem go...

— Ależ, Richie... to...

— Zgadzam się, to szaleństwo. I przez chwilę naprawdę sądziłem, że oszalałem: z braku snu, z wyczerpania nerwowego... Mówiłem sobie: uspokój się, to zaraz zniknie, to przez hasz, który wypaliłeś wieczorem... Ale nie! To był on! Naprawdę on: Abel Young! Cudem wyszedł cało z masakry więźniów w obozie koncentracyjnym położonym w pobliżu i biedak pętał się po drogach razem z tysiącami uchodźców. Nie wiedział nawet, w jakim mieście się znalazł.

— Co za historia! Co za historia!

— Myśleliśmy wszyscy, że Abel nie żyje, ale wtedy w szpitalu zabito człowieka na sąsiednim łóżku.

— Och! Więc zniknie tego tajemniczego świadka, tego Iksa, o którym stale wspominano w dochodzeniu...

— No właśnie!

— Co za historia!

Robert O. Kelly, opanowany rosnącym wzburzeniem, podniósł się i wymachując rękami chodził po pokoju. Do głowy cisnęły mu się tysiące pytań. Chciał się dowiedzieć wszystkiego naraz, zrozumieć najbardziej nieprawdopodobne wydarzenie, z jakim zetknął się w całym swoim życiu człowieka prasy.

— Odzie on jest?—zapytał z podnieceniem.—Gdzie on teraz jest?

— We Francji, w Alpach. Wiesz, strach na niego patrzeć: wygląda, jakby wyszedł z hitlerowskiego obozu. Wtedy gdy mnie zaczepił, zasłabł i osunął mi się w ramiona: w pierwszej chwili myślałem, że umarł. Nie wyobrażasz sobie, w jakim jest stanie wyczerpania fizycznego! Udało mi się zaraz wsiąść z nim w samolot do Hongkongu. To był ostatni regularny lot: zaraz po starcie lotnisko zostało zamknięte do końca dnia! A na pokładzie znajdowało się sześćdziesięciu pasażerów ponad normę. Kapitan musiał kazać opróżnić luki bagażowe!... W Hongkongu umieściłem Abla na obserwacji w szpitalu. Leżał pięć dni. Lekarze zapewnili mnie, że wyjdzie

z tego: ma wyjątkową odporność fizyczną i psychiczną. On sam zresztą prosił, żeby go wypisać. Chciał jechać do swoich sabaudzkich przyjaciół i ukochanych gór. Uważa, że tam najlepiej odzyska zdrowie, zanim wróci do Stanów. W gruncie rzeczy jedyne bliskie mu osoby to ci właśnie ludzie... Chciałem z nim jechać, ale powiedział, że nie. Że mam coś ważniejszego do zrobienia w Nowym Jorku w związku z planem, o którym powiem za chwilę. No wiec ubrałem go, kupiłem mu bilet lotniczy do Genewy, dałem pieniądze. Ale to nie wszystko, trzeba było mu jeszcze wyrobić dokumenty. W tym zamieszaniu w Da Nang udało nam się przejść przez kontrole, ale teraz...! Bo wyobraź sobie, Robert: ten biedak oficjalnie już nie istnieje. W oczach prawa już go nie ma. Rozmawiałem na ten temat z kancelarią Barretta. Wiesz, tego...

— Tak, prowadzili sprawy Eliotta. Bardzo dobrze znam Eda.

— No więc potwierdzili, że Abel sam musi dostarczyć dowód, że on to on! Że nie umarł! Wyjaśnili, że to dość długa procedura i w dodatku trzeba za to płacić, a to już szczyt wszystkiego!

— Nie wiem dlaczego, ale ten szczegół wydaje mi się najokrutniejszy w całej tej historii — wtrąciła Ella Kelly.

— Mnie też — rzekł Richie, aż drżący z oburzenia. — Zabrano mu osiem lat życia, gnił w więzieniu i obozie z powodu pomyłki, przeszedł piekło, a teraz musi znowu udowadniać swoją tożsamość i wykazać, że nie jest oszustem!... No, ale na szczęście dobrze się znam z sekretarzem generalnym amerykańskiego konsulatu w Hongkongu. Załatwiłem, że wystawili Ablowi paszport tymczasowy, i poprosiłem, żeby przy okazji zawiadomili konsulat w Genewie. W razie gdyby bank, gdzie Abel miał odebrać pieniądze, robił jakieś trudności...

— Bank? Nie rozumiem. Przecież ten biedak chyba nic nie ma, prawda? To zresztą napełniło mnie największą odrazą: kiedy się dowiedziałem, kto dziedziczy po jego... „śmierci"! Procedura otwarcia postępowania spadkowego po Emersonie dopiero co się rozpoczęła. Jeszcze nie dokonano podziału. I wtedy Abel umiera... To znaczy uznaje się go

za zmarłego. Nie zostawił oczywiście testamentu i Jeremy na spółkę z Faye odzyskali część, którą Barrett na podstawie prawa i ostatniej woli Eliotta mógł przeznaczyć dla Abla. Uznanie nieślubnego dziecka zadziałało w przeciwnym kierunku! Ale jest jeszcze coś gorszego: ta kobieta, która wychowała Abla, no wiesz?...

— Tak, Madeleine Langlois. Umarła na atak serca dowiedziawszy się o jego śmierci... Musiałem mu to powiedzieć.

— No właśnie, umarła zaraz następnego dnia. Ale nie wiesz pewnie, że zostawiła testament. Na korzyść Abla. Który kupił jej dom, samochód i parę drobiazgów. A ponieważ nie ujawnił się żaden Young, Jeremy, nie to jedno świństwo mający na sumieniu, polecił swoim adwokatom, by wszczęli w tej sytuacji postępowanie o przyznanie w spadku jemu i jego siostrze domu i samochodu, przeznaczonych rzekomo na spłacenie długów zaciągniętych przez przyrodniego brata. I wygrał z rodziną Langlois, ubogimi ludźmi żyjącymi we Francji!

— Niemożliwe!

— Tak, tak, niczego tu nie zmyślam. Emersonowie otrzymali w końcu spadek po kobiecie, która niegdyś była u nich pokojówką. Co za podła ironia losu!

— Tego nie wiedziałem, ale coś takiego wcale mnie nie dziwi. Po Jeremym wszystkiego się można spodziewać... Ale coś ci powiem: możliwe, że Abel jest bardzo bogaty.

— Jakim sposobem, do diabła?

— To znowu nieprawdopodobna historia, w którą z trudem mogę uwierzyć. Mimo wszystko jednak nie sądzę, żeby Abel zwariował albo zmyślał. Po co by to zresztą miał robić? Zawsze przecież gwizdał na forsę... Posłuchaj, Robert, wyobraź sobie, że poznał w więzieniu dziwnego człowieka imieniem Min, starego mędrca, przywódcę i ostatniego żyjącego członka jednego z tajnych stowarzyszeń, od jakich roiło się w Wietnamie: stowarzyszenia Min Tu, Synów Światła. Wyznawców zaratustrianizmu, z tego co zrozumiałem... Abel niewiele na ten temat mówił. Wygląda na to, że Min go wtajemniczył, przekazał mu swoją mądrość i w końcu, zanim popełnił samobójstwo, oddał mu w spadku skarbiec sekty. Skarbiec, który, jak często bywa w przypad-

ku stowarzyszeń ti|o typu, był zwykłyin kontem numerowym w szwajcarskim banku.

— Nadzwyczajne.

— Abel ma zadzwonić do mnie na twój numer. Żeby powiedzieć, jak się ma. Dowiemy się wiec, czy to prawda...

— Co za historia, co za niewiarygodna historia!—mruknął Kelly u szczytu podniecenia.

Naraz oczy napełniły mu się łzami.

— Abel — rzekł uroczyście — Abel żyje!

W jego słowach był jakby religijny żar, który udzielił się Elłi Kelly i Richiemu. A przecież Ella nie znała Abla i niewiele o nim słyszała. Wszyscy troje przeżywali jednak wspólnie coś na kształt laickiego objawienia i Ella przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej mąż wspomniawszy tego człowieka uważanego za bezpowrotnie straconego: „To był anioł".

Richie tonem przepełnionym jakąś nową powagą zwierzył się naraz półgłosem:

— Dla mnie to koniec koszmaru. Prawdziwe odrodzenie... Dokładnie w chwili, gdy w Da Nang objąłem Abla, moje życie diametralnie się zmieniło. Jednym ruchem wymazałem osiem lat życia. Wyzwoliłem się...

— Co ty wygadujesz, Richie?

— Posłuchaj, Robercie, muszę ci to wyznać: ja wiedziałem! Znałem nazwisko mordercy Abla. I wiedziałem, z czyjego polecenia zabił. I wiesz? przez osiem lat żyłem nie wyjawiając nikomu tej strasznej tajemnicy...

— Kto to był? Richie, kto?

— Pamiętasz ten dzień, Robercie, kiedy wezwałeś mnie, żeby... no właśnie, żebym przeczytał pierwszy artykuł Abla? Pamiętasz?

— Jak najbardziej.

— Rozmawialiśmy wtedy o nim. Ale też o...

— Sweetym Monroe... Sam nie wiem, czemu to sobie nagle przypomniałem.

— Bo podświadomie ty też musiałeś go podejrzewać, kiedy się dowiedziałeś, że Abel padł ofiarą zamachu.

— Więc ten gnojek miałby...?

— Nie. Ale pośredniczył. Zamach, ten z bombą w paczce, zorganizował najemny morderca, niejaki Lulu Davis,

rzekomy goryl, którego Sweety chciał narzucić Ablowi. Ta historia zresztą obudziła we mnie podejrzenia.

— Jak to odkryłeś?

— Lulu sam do mnie przyszedł: szantażował Sweety'ego, który szantażował... krotko mówiąc, znasz chyba mój talent, nie?—zawołał wesoło Richie.—Mimo wszystko było to łatwiejsze niż dochodzenie Woodwarda i Bernsteina w aferze Watergate! Tym bardziej że w pewien sposób jedno przypominało drugie.

Po chwili milczenia dodał:

— Na pewno się domyślasz, na czyje konto pracowała ta doborowa grupka, co?

Zamilkł i niemal oskarżycielsko patrzył na Kclly'cgo. Ten zaś, choć dotąd pozwalał się co chwila wprawiać w zdumienie, teraz posapywał i powątpiewająco potrząsał głową.

— Domyślasz się? — powtórzył Richie, bardziej twierdząco niż pytająco. — Robert, wiem nawet, że zawsze mgliście to podejrzewałeś. Od samego początku, ja to wiem! Od pierwszej próby zabójstwa: od zamachu przed katedrą w Sąjgonie w WigUic...

— Tak — ustąpił w końcu Kelly, mówiąc bezbarwnym głosem. — Kiedy Abel mi wyznał, że strzelano do niego w wieczór sylwestrowy, jeśli dobrze pamiętam. Wtedy też opowiedział, że była już jedna próba. A ja, dokładnie w chwili, kiedy mówił, że nie ma pojęcia kto ani dlaczego... dokładnie w tej chwili pomyślałem...

— Ze to Jeremy Emerson.

— Tak, że to Jeremy Emerson.

— I to był on.

— Co za rodzina! Wielki Boże, co to za rodzina! — zawołał Kelly, krzywiąc się, jakby go ogarnęły mdłości.

A Richie bezlitośnie ciągnął:

— Mówisz, Robert: „co za rodzina", bo zawsze wiedziałeś — i z nikim prócz mnie o tym nie mówiłeś — bo zawsze wiedziałeś, że Kay Mc Kay nie bez powodu przezwano Lady Mc Beef, prawda? Domyślałeś się, że to zbrodniarka.

— To prawda. Zawsze w głębi ducha byłem tego pewien. Ale dlaczego mówisz do mnie takim tonem, Richie?

— Wybacz, Robercie, bardzo przepraszam! W gruncie rzeczy oskarżam siebie. Oskarżam się o tchórzostwo. Oskarżam się, że nie wyjawiłem prawdy o dwóch morderstwach popełnionych przez Kay Mc Kay. Być może zdołałbym uratować Abla i zapobiec śmierci wietnamskiej dziewczynki, która zginęła w zamachu, gdybym miał wcześniej odwagę działać.

— Dwa morderstwa, mówisz?

— Tak. Bo o jeszcze jednym nie wiesz, Robercie, a ja to w końcu odkryłem: Kay Mc Kay dwa razy zabiła.

— Co takiego?

— Abel... to znaczy Abel Emerson, pierwszy Abel. Ten, po którym mały Young otrzymał imię... Otóż Abel Emerson wcale nie zginął w wypadku.

— No co ty, RichieL.

— Owszem, to był wypadek, ale przygotowany. Diablo zręcznie: po wrzuceniu trzeciego biegu blokował się układ kierowniczy. Drobna przeróbka dla majsterkowicza, ale trzeba to było wymyślić: ma się pewność, że ofiara zabije się na pełnym gazie, a samochód będzie tak potrzaskany, że właściwie nie da się nic znaleźć. A że w tym wypadku alfa romeo rozbiła się na falezie!...

— Co za potworność!

— I widzisz, Robert, ja to wiedziałem. Wszystko wiedziałem. Miałem nawet kompletne zeznanie Leonarda Howarda, spowiedź spisaną i podpisaną, którą wymusiłem na nim, kiedy był w silnej depresji... Ale zniszczyłem ją! Tak zrobiłem, Robercie! A razem z nią wszystkie dokumenty, wszystkie dowody, wszystko!

— Richie...

— Słuchaj, Robert, i postaraj się mnie zrozumieć. Po nocy Tet, po tej okropnej rzezi, przestraszyłem się. Przestraszyłem się ich okrucieństwa — tak, przestraszyłem się. Powiedziałem sobie, że skoro nie zawahali się na zimno zastrzelić cztery inne osoby, żeby wykończyć Abla, to w końcu i mnie to spotka. Nie wiedziałem oczywiście, że to nie była ich sprawka. Nie mogłem wiedzieć, że ci napastnicy nie po Abla przyszli. Sądziłem, że to część bandy Lulu Davisa. Żyłem naprawdę w strachu przez kilka dni po powrocie do Sajgonu. Lulu niedwuznacznie mi zagroził,

a potem zniknął z obiegu. Sweety Monroe też. W każdej chwili spodziewałem się, że mnie wykończą gdzieś na rogu ulicy. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić konsulat o ochronę, ale przypomniałem sobie, że Sweety ma tam kupę przyjaciół, mocniej lub słabiej związanych z CIA. I doszedłem do wniosku, że tym pewniej wszedłbym prosto w paszczę wilka. Byłem kompletnie zbity z tropu, chory ze strachu —istna paranoja! Czułem się osaczony. No i pierwszą myślą było zniszczenie wszystkich dokumentów, które zgromadziłem i zamierzałem po powrocie z Da Nang oddać Ablowi, żeby załatwił wszczęcie dochodzenia.

— Nie musisz sobie nic wyrzucać, Richie. Każdy by niewątpliwie tak samo postąpił w podobnej sytuacji...

— Nie, nie, Robercie, nie sądzę.

— Ależ tak.

— I słuchaj, odtąd żyłem co dzień powtarzając sobie, że jestem tchórzliwym łajdakiem. Bo to było po trosze tak, jakbym i ja przyłożył rękę do zamordowania Abla. Milcząc, nie ujawniając zbrodniarzy, zabijałem go po raz drugi. Różni dziennikarze wypisywali w tych swoich szmatławcach, że Abel z pewnością padł ofiarą jakichś porachunków między opozycyjnymi odłamami Frontu, do którego widać należał, a ja, ja, znający prawdę, pozwoliłem, żeby wydrukowali te nikczemne kłamstwa. Nic nie zrobiłem. Nic... Odszedłem tylko z „Eventsa". A potem szukałem zapomnienia ogłupiając się pracą i ryzykując życiem, gdzie tylko było niebezpiecznie na świecie. W pewnym sensie można powiedzieć, że tej żałosnej historii zawdzięczam sukcesy, całą swoją karierę.

— Nie sądzisz, Richie, że trochę przesadzasz? W końcu mimo wszystko masz przecież talent!

— Być może. Ale z pewnością nie zrobiłbym tego wszystkiego, co zrobiłem. Robert, możesz sobie wyobrazić, co to znaczy żyć stale z poczuciem winy, z nieczystym sumieniem, które nie daje ci chwili wytchnienia? Możesz sobie wyobrazić, co to znaczy musieć znosić samego siebie, kiedy człowiek tak sobą gardzi jak ja gardziłem?... Sweety Monroe został wykończony w tajemniczych okolicznościach, jak wiesz, prawdopodobnie załatwił go Lulu Davis. Lulu zniknął—myślę teraz, że on też musiał się przestraszyć, kiedy się dowiedział, jak okrutnie poczynali sobie zabójcy

w noc Tet. Pewnie przestał cokolwiek rozumieć i poczuł się zagrożony... Ale Jeremy Emerson ciągle żył — i nadał żyje! I krwawa Lady Mc Beef... Nie chciałem nawet wiedzieć, że w ogóle istnieją. Tylko jak ich uniknąć? Wystarczyć włączyć telewizor, żeby zobaczyć, jak ten skurwysyn puszy się w czasie debaty albo wywiadu z tą swoją mordą zadowolonego z siebie ograniczonego matoła! Wystarczy otworzyć jakiekolwiek pismo, gazetę lubujące się w skandalach towarzyskich! Zwłaszcza odkąd się ożenił z tąlafiryndą Brendą Welles! I jeszcze kandydował w wyborach!... Tak, wiecznie był w pobliżu i naigrawał się ze mnie, a ja wiedziałem. Ja jeden wiedziałem i nie puszczałem pary z ust... Och, czy możesz sobie wyobrazić, co to znaczy? I rozumiesz teraz, dlaczego od ośmiu lat prowadziłem takie kretyńskie życie?

— No cóż, lepiej teraz rozumiem powody tej twojej gorączkowej ruchliwości, nadmiaru energii, Richie. Ale twoje życie wcale nie było kretyńskie. Po prostu wypełnione po brzegi, ot co. Nie masz co sobie wyrzucać.

— Jedyne, co mi sprawiło przyjemność, to kiedy doszła mnie wieść, że ta biedula Faye odzyskała swoje prawa. Ed Barrett też musiał się czuć po trosze winny, że pozwolił Kay i jej adwokatom tak wszystko ukartować. Dowiedziałem się, że wszczął rewizję procesu na prośbę samego Howarda.

— Co się z nim stało?

— Z Howardem? No cóż, wiesz pewnie, że próbował popełnić samobójstwo kilka dni po śmierci Abla... to znaczy po rzekomej śmierci! Zauważyłeś, że nie przywykliśmy jeszcze mówić o Ablu inaczej, niż jakby rzeczywiście został zabity w noc Tet?

— Tak. Ale zacząłeś mówić...

— Howarda prawdopodobnie załamało niespodziane pojawienie się Abla Younga, o którego istnieniu tak samo jak wszyscy nie miał pojęcia. Dla mego Abel Young był. niejako reinkarnacją Abla Emersona. Żywym wyrzutem sumienia... No i wtedy zaczął w sobie pielęgnować obłąkane poczucie winy. Kiedy go pierwszy raz odwiedziłem, mówił zupełnie od rzeczy. Muszę przyznać, że prawie się wstydziłem takiej łatwości w wyciąganiu go na zwierzenia: kompletnie się rozsypywał. Ale równocześnie pisząc, jakby się trochę

uwalniał od wyrzutów sumienia. W końcu powiedział mi, że czeka na otwarcie swojego procesu ze spokojem i pogodą jak na wyzwolenie. Że będzie się mógł pogodzić z sobą, że będzie mógł wreszcie spać. Wcale nie miałem ochoty rozczulać się nad jego losem, ale to naprawdę było patetyczne. Wiesz, jako świetny adwokat, znalazł coś w rodzaju wytłumaczenia swojego czynu, jakiś zaczątek usprawiedliwienia—tyle że to było kompletnie wariackie, obłąkane! Znasz jego prawdziwe nazwisko?

— Prawdziwe? Wydawało mi się, że zawsze nazywał się Howard.

— Nie. W rzeczywistości nazywa się Kahn. I mówił mi: „Niech mnie pan zrozumie, Garrymore, Kahn, Kain!... Inna pisownia tego samego imienia! Ja się nazywam Kain! A przecież Kain zabił Ablal To było moje przeznaczenie!" Gadanie szaleńca... Poza tym wymyślił sobie, że właśnie z tego powodu został zbrodniarzem: bo zaparł się żydowskiego pochodzenia! Że niejako był skazany, że taką karę zesłał na niego Bóg!... Wierz mi, Robert, trudno było tego słuchać.

— Taka sama myśl dręczyła „Trzy E", kiedy Abigail zginęła. A potem Abel...

— Abel... Zdajesz sobie sprawę, jakie fatum ciążyło od samego początku na losie tego biedaka Abla? Mam na myśli Abla Younga. Zdajesz sobie sprawę? Zaraz po urodzeniu ojciec daje mu imię zamordowanego najstarszego syna. Matka umiera wydając go na świat. Dziecko rośnie nie wiedząc, kim naprawdę jest. Dowiedziawszy się, próbuje popełnić samobójstwo. Unika śmierci i na nowo uczy się żyć. Wtedy jego umierający ojciec, jakby prosząc o wybaczenie, czyni go swoim spadkobiercą. I tym samym niejako rzuca na żer rodzinie zbrodniarzy, którzy usiłują go zabić...

— Tak. Zupełnie jak w antycznej tragedii. Niewinny heros bez powodu prześladowany przez bogów...

— I wiecznie niepewny swojej tożsamości. Bo dlatego, że przez pomyłkę wzięto go za innego, biedak siedział przez siedem lat w więzieniach Wietnamu Północnego.

— A więc to tak było?

— Tak. Oddział Vietcongu porwał go, wziąwszy za kogo innego, za Rosjanina, który próbował przejść na Zachód

— tego przynajmniej Abel w końcu się domyślił. Siedem lat był zamknięty, z tego pięć w odosobnieniu. Płacił za innego...

— A potem?

— Potem wysłali go do obozu pracy, do odbudowy zniszczonego lotniska. Na 17. równoleżniku, jak mu się wydaje. Stamtąd dzięki pomocy starego Mma J|ołał uciec z innym amerykańskim więźniem. Tamten jWopak był pilotem, udało im się porwać samolot. SamoWt zestrzelili nad Wietnamem Południowym w chwili, gdy próbował awaryjnego lądowania. Abel i Fierce Fist Joe — to przezwisko pilota — zostali wsadzeni do obozu koncentracyjnego: bo uważano ich za szpiegów komunistycznych! Biedny Abel , spędził tam rok. A potem na początku marca zaczęło się ■ wszystko walić. Zamiast ewakuować obóz, władze kazały | rozstrzelać więźniów. Abel cudem to przeżył: upadł, zanim] dosięgły go kule. Strażnicy nie byli bardzo skrupulatni, | w głowie mieli jedno: zwiać stamtąd jak najszybciej, znaleźć cywilne łachy i wmieszać się w tłum uchodźców. Abel całą noc przeleżał pod stosem trupów, na poły uduszony. Potem | zdołał się wyswobodzić. I szedł, szedł, szedł... ;

— Niesamowita historia! — zawołał Kelly. — Myślisz, | że zechce to opowiedzieć? Napisać książkę?

i

— On chce zrobić coś bardziej zadziwiającego!—odparł • Richie. I uroczyście dodał: — Chce założyć pismo.

I

— Co? *i*

— Cóż chcesz? Nie na darmo jest synem Eliotta Ernesta| Emersona. |

— I wnukiem Jerry'ego Emersona, z domu Menahema AbrahamowiczaL. Ale poważnie mówisz, Richie? 1

— Jak najpoważniej. Dlatego właśnie przysłał mnie tutaj na zwiady. Zęby ci o tym powiedzieć. Mam cię zresztąj zawiadomić, że od tej chwil

— Ależ... — zapotestował oniemiały Robert. — Ależ...: to nie wchodzi w grę. w stanie...

— Tra ta ta ta!

— Nie, naprawdę!

j

— Tylko tak mówisz, a myślisz co innego. Na próżno się wzbraniasz, jestem pewien, że w głębi ducha tęsknisz niekiedy za czasami, gdy kierowałeś „Eventsem". Nie mówię o tym, co zaszło wciągu ostatniego roku z „Trzema Zerami", tylko o tym, co było przedtem...

— Szczerze mówiąc, to prawda, że czasem męczy mnie lekka chandra. Wiesz, piszę teraz wspomnienia i dzieje się coś dziwnego: w miarę jak posuwam się w pracy, wracają mi na pamięć rzeczy, o których jak mi się zdawało, na zawsze zapomniałem. Czasem to drobne szczegóły. Nic nie znaczące anegdoty. I jak stary ramol, którym w końcu jestem, powiadam sobie: „Ech, to były dobre czasy!" I opowiadam Elli...

Kelly umilkł i zadumał się na chwilę. Jego żona wolała nie uczestniczyć w rozmowie mężczyzn, kiedy zeszła na te tematy. Krzątała się teraz dyskretnie, przygotowując ciasto z jabłkami.

Richie podjął tonem łagodnym, acz pełnym przekonania:

— A poza tym nie sądzisz, Robercie, że wszyscy jesteśmy winni Ablowi takie... odszkodowanie? Ja przynajmniej uważam, że nie mam prawa mu odmówić. Pomysł jest zresztą diablo podniecający.

— Co on chce drukować? Jakiego rodzaju ma być to pismo?

— Ha! widzisz? Sam o tym mówisz! Sprawa już cię wciąga.

Kelly, rozweselony przycinkiem Richiego, zawołał najwyraźniej nieszczerze:

— Ależ nie! Wcale nie! To zwykła ciekawość starego wygi.

Richie zaś ciągnął tak samo żartobliwie:

— No więc, to będzie, że tak powiem, anty-„Events": Abel chce mówić prawdę! Chce ją drukować w tygodniku! W gruncie rzeczy to naprawdę coś nowego, nie uważasz? Rewolucja prasowa! Na przykład postanowił nie wszczynać procesu przeciwko przyrodniemu bratu i jego matce. Po prostu opublikuje wszystkie fakty, które ja jeden znałem. Niezłe, co? Zaczynać gazetę takim potężnym skandalem.

— Ale ryzykujemy proces o zniesławienie. I to zaraz od pierwszego numeru!

— Ha! cieszy mnie ogromnie to „my"!... Ale m y będziemy działać ostrożnie. I przynajmniej na początku nazwiska nie będą podane. Same fakty. Nigdy nie będziemy instytucją publicznej denuncjacji. Będziemy się starali czymś takim nie być, Ablowi bardzo na tym zależy. To nadzwyczajne: mimo tego wszystkiego, co wycierpiał, nie ma w sobie ducha zemsty. Daleko mu do tego.

— Taki był zawsze. Więzienie go nie zmieniło.

— Tak. I to najbardziej w nim podziwiam. Ten brak zainteresowania, spokój i pogodę ducha. Bo ja tam gotów jestem zaryzykować proces. Odyby miał być! Muszę ci powiedzieć, że już się skontaktowałem z Howardem.

— To wiesz, co się z nim dzieje?

— Tak, zrobił się z niego żałosny wrak. Ale jest przy zdrowych zmysłach. I gotów mówić.

— O zamordowaniu Abla Emersona. Ale co z trzema zamachami na Abla Younga?

— Cierpliwości, cierpliwości... W końcu prawda wyjdzie na jaw.

— Powiedz no, Richie: wygląda na to, że ugrzązłeś już po uszy w tej historii, co?

— No tak. Zostawiam wszystko i rzucam się w to na oślep. Masz przed sobą, drogi dyrektorze generalny, redaktora naczelnego rzeczonego pisma!

— Dyrektorze... dyrektorze... Nie tak szybko, chłopcze, jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa.

— Daj spokój, Robert, nie możesz tego odmówić synowi „Trzech E". Co masz zresztą do stracenia?

— To wszystko! — odparł Kelly, pokazując Richiemu dłonią dom i otaczające go lasy.

Pomyślał, że znalazł dodatkowy argument, by nieco utemperować nadmierny entuzjazm młodego dziennika rza:

j

— Przede wszystkim powiedz, z jakim kapitałem chcecie we dwóch to zmontować? Trzeba dużo, bardzo dużo pieniędzy, żeby wylansować dzisiaj pismo! Trzeba być przygotowanym na utopienie w nim ogromnych sum na początek! Sam talent nie wystarczy...

— No to słuchaj: po pierwsze jest osobisty majątek Abla. Ten, który dostał w spadku po sekcie Min Tu...

i

)

— Jeśli istnieje)

— Oczywiście, jeśli istnieje. Ale nawet bez tego Abel niedługo będzie bardzo, bardzo bogaty. Bo jak tylko zażąda, kancelaria Barretta zajmie się przywróceniem mu jego części spadku po Emersonie. Co więcej: w międzyczasie prawo się zmieniło i obecnie dzieci ze związków pozamałżeńskich dziedziczą z tego samego tytułu co ślubne. Abott, mój adwokat, któremu opowiedziałem o tym nie wspominając, o kogo chodzi, twierdzi, że można by się domagać zastosowania mocy wstecznej prawa w tym wypadku, ponieważ dopiero teraz Abd wejdzie w posiadanie swoich praw spadkowych. Abel odziedziczy więc swoją część zachowku i całą rozporządzalną część spadku, którego był legatariuszem z woli swojego ojca. Co oznacza, że z trojga dzieci Emersona jemu dostanie się największa porcja ciastka. Sprawiedliwy odwet na losie, co?

— Wspaniały.

— Wiem wprawdzie, że Events robi bokami, wiem, że koncern nie jest już tym, czym był, i że nawet według „Finance" fortuna Emersonów spadła gdzieś w okolice dwudziestego piątego miejsca i plasuje się między fortuną Kennedych a De Wittów i Reader's Digest, ale mimo wszystko to jeszcze kupa forsyl A do tego możesz dodać jakieś półtora miliona dolarów, które każdy w miarę świadomy wydawca zapłaci Ablowi jako zaliczkę za jego wspomnienia!

— Świetnie, tylko że to wszystko nie są pieniądze, które możemy... możecie mieć zaraz.

— My, Robercie, my!... Nie, to prawda. Zwłaszcza że mamy zachować tajemnicę, Abd tak chce. Zamierza się nie ujawniać jeszcze przez kilka miesięcy: ani Jeremy, ani Kay nie powinni się dowiedzieć, że żyje, dopóki nie postanowi odsłonić twarzy... Toteż nie od razu będzie mógł dysponować kapitałem. Ale Ed Barrett junior gotowy jest przyznać mu zaliczki. Dla niego powrót Abla to też piekielnie podniecająca sprawa. A że jeszcze chce się okazać synem godnym swogo ojca!... A w ostateczności jesteś ty, Robertie, i ja. Mam absolutną pewność, że twoje i moje nazwisko podziała na bankierów. A jeśli o mnie chodzi, to gdyby było trzeba, zainwestuję całe swoje oszczędności.

— Ty masz oszczędnośri, Richie? Ty? To coś nowego!

— A mam. Malcolm, mój agent, powiedział mi, że jeszcze ani centa nie tknąłem z honorarium za adapatację *Bom to Die*\

— Jak to?

— No cóż, mam tyle forsy, że nie jestem w stanie wydać tego, co zarabiam. A jednak zdaje mi się, że stale proszę Malcolma o pieniądze. Na gumę do żucia.

— Ach, ty zawsze będziesz dużym chłopcem, Richie!

— Nie. Postanowiłem wydorośleć. Byłby już czas: za miesiąc skończę trzydzieści jeden lat.

— A ja będę miał niedługo siedemdziesiąt. Pomyślałeś o tym?

— Robert, ile lat miał „Trzy E", kiedy dokonał otwarcia Events Tower?

— Siedemdziesiąt. To było w jego urodziny.

Kelly pokiwał głową w zadumie, uległszy niepokonanej zręczności argumentowania Richiego.

— Ella — zwrócił się do żony, która nakrywała do przygotowanej tymczasem kolacji. — Słyszałaś, kochanie?

— Słyszałam — odparła. I tonem zarazem ironicznie fatalistycznym i obłudnie uległym dodała: — Co mam ci powiedzieć? Przecież już zdecydowałeś, nie?

Kelly milcząco przytaknął. Po

chwili spytał Richiego:

— Na kiedy przewidujecie... przewidujemy pierwszy numer?

— Proponuję 15 września. Czyli za sześć miesięcy. Te sześć miesięcy Abel wykorzysta, mam nadzieję, żeby stanąć na nogi...

— I wrócić jeszcze piękniejszy, jeszcze bardziej triumfujący niż wtedy, we wrześniu 66 roku, kiedyśmy go oglądali, jak się wspinał na wieżę... Wiesz? to był jeden z najcudowniejszych dni w moim życiu. Udawałem, że się wściekam na tego narwańca, ale w głębi duchu ogromnie się cieszyłem. Pamiętam, jakby to było wczoraj: cieszyłem się na samą myśl o minie, jaką będzie miał ten kretyn Jeremy, kiedy włączy telewizor i zobaczy, co się dzieje.

— A kiedy teraz zobaczy swojego brata, to dopiero będzie! Na przykład na okładce naszego pisma. Zdajesz sobie sprawę, Robert? A przygoda dopiero się zaczyna. W świecie

prasy przez najbliższe pół roku będzie gadanie tylko o jednym: o twoim powrocie do zawodu po ośmiu latach emerytury...

— Richie Garrymore, redaktor naczelny!

— A jak się ujawni nazwisko prezesa założyciela!...

— I kiedy wszyscy się dowiedzą, że Abel żyje!... Siedzieli jeszcze przy stole, ale posiłek już skończyli i pili kawę, kiedy zadzwonił telefon.

Mógł to być oczywiście ktokolwiek. Kelly jednak, podnosząc słuchawkę, wiedział.

— Abel! Abel! — krzyknął. — Abel?

Zrazu nie mógł nic innego powiedzieć: gardło miał ściśnięte, do oczu napływały mu łzy.

— To ja, Robercie, to ja — odparł Abel cichym głosem z drugiej strony oceanu. — To ja.

Wtedy Kelly wybuchł płaczem i na kilka sekund zapadło skupione milczenie. Później opanował się na tyle, by zadać banalne pytanie:

— Jak się masz? Jak się czujesz po tym wszystkim, co-

— Dobrze dzisiaj spałem — powiedział Abel. — Nie miałem koszmarnych snów.

— Och, jak dobrze cię słyszeć! Wybacz, że płaczę, ale taki jestem szczęśliwy! Jeszcze nie mogę uwierzyć...

— Ja też nie. Ale chyba chce mi się teraz żyć. Wczoraj nie byłem tego taki pewien. Miałem chwilę zniechęcenia.

— Ty m u si sz żyć, Abel! Tak trzeba.

— Tak. Wystarczy mi silnej woli. Wiesz, jestem trockę jak Anteusz, ten mitologiczny gigant, któremu dotknięcie Ziemi dodawało sił. Dla mnie czymś takim są góry.

— Masz w sobie tyle siły życiowej, że nawet we mnie, starego piernika, jej tchnąłeś. Wciągasz mnie w taką zwariowaną awanturę!

— A więc zgodziłeś się?

— Czy mogłem odmówić pracowania dla ciebie?

— Robert, pamiętasz? Powiedziałem ci, kiedyśmy się ostatnio widzieli: jak będę godzien kierowania pismem, być może to zrobię. Wydaje mi się, że właśnie nadeszła pora. Wydaje mi się, że mam parę świeżych pomysłów... Przede wszystkim dlatego, że przez osiem lat żyłem z dala od wszystkiego, poza nawiasem niejako. Nie miałem bladego

pojęcia o modach, ideach, wydarzeniach, które wstrząsały światem. Wyobraź sobie, że dopiero w zeszłym roku dowiedziałem się, że w 69 roku człowiek spacerował po Księżycu! Nie wiedziałem też, że obyczaje tak bardzo się zmieniły: trochę mi mówił o tym pewien Amerykanin, którego poznałem wzeszłym roku w obozie. Ale nie byłem wewnątrz tego wszystkiego. Nie żyłem tym. Mam swego rodzaju naiwność, dziewiczość... Jestem trochę jak OuUwer w kraju Houyhnhnmów, tych koni stojących wyżej niż człowiek. Kompletny ignorant!... A przy tym w nic już nie wierzę prócz dwóch, trzech prawd, których mnie nauczono! O, a propos, Robert, powiedz Richiemu, że skarb Mina rzeczywiście istniał i teraz należy do mnie. On zrozumie.

— Ja też rozumiem.

— A, to świetnie, Richie już ci powiedział?

— Tak.

— Choć zupełnie się na tych sprawach nie znam, myślę, że to aż nadto wystarczy na sfinansowanie „Imagine".

— „Imagjnc"?

— Tak. Taki tytuł wybrałem dla naszego pisma. Jechałem taksówką do Chamonix i usłyszałem śliczną piosenkę... To było dokładnie w chwili, kiedy pojawił się przede mną Mont Blanc... Richie na pewno wie, o co chodzi. Słowa brzmią tak mniej więcej: „Wyobraź sobie, że nie ma raju... nie ma piekła pod naszymi stopami... Tylko niebo w górze... Wyobraź sobie ludzi żyjących dla teraźniejszości..."

Nie! Nie!

Zerwał się ze snu i krzyczał w ciemnościach.

Czołgał się na łokciach i kolanach, nie wiedząc ku czemu ni dokąd.

Teraz jednak zdawało mu się, że w mroku błyszczy jakieś światełko. Poblask na suficie. Od wysoko umieszczonego okienka celi, którego krat jednak nie mógł dojrzeć — i nie wiedział dlaczego.

Stanął na nogi i chwiejnym krokiem po omacku ruszył naprzód. Ruszył naprzód zdumiony, że nie natyka się na

znajome przeszkody, niespokojny, że nie czuje pod palcami muru ociekającego wilgocią. Czyż nie znajdował się w celi bez wyjścia, na dnie studni, do której go wrzucono, sam już nie pamiętał kiedy?

Czymże był ten niby świt, granatowy i połyskliwy? Te gwiazdy migoczące nocą? Te góry?

Czyżby już nieodwołalnie stracił rozum? Czy też tylko majaczy? A może śni?

Już umarł czy jeszcze żyje?

Ogarnął go taki strach, że znowu zaczął krzyczeć, i słyszał, że krzyczy, nie rozumiejąc, że krzyczy:

— Nie! Nie!

Oślepiające światło chlusnęło na wyłożone drewnem ściany, odeskowany sufit, staromodne meble sypialne...

— Abel! To ja! — powiedział Jacąues, który przybiegł Ablowi z pomocą. — To tylko koszmar. Musiałeś od ruchowo zgasić lampkę i obudziłeś się w ciemności.

Lecz Abel patrzył nań ponurym, pustym, niemal wrogim wzrokiem. Nie poznawał przyjaciela. Cofnął się nawet, raptem wystraszony. Jak gdyby widział w Servozie kogoś, kto przyszedł go ukarać.

— To ja, Abel — powtórzył Jacąues bardzo łagodnie, starając się przyciągnąć jego uwagę. — Poznajesz mnie?

I stwierdził, że musi go spoliczkować. Abel, przywrócony do kojąco spokojnej rzeczywistości, uśmiechnął się boleśnie i westchnął:

— Nie. Już kilka nocy próbuję spać bez światła. Nigdy mi się to nie uda.

Jego podświadomość zarejestrowała słowa, choć na nie wcześniej nie reagował. Przyszedłszy całkiem do siebie, usiadł na łóżku z miną zniechęconą, przybitą.

— Ty głuptasie! — powiedział tkliwie Jacąues, ściskając go za ramiona. — Po co się zmuszasz do takich rzeczy? Jeżeli musisz zostawiać zapalone światło, to w końcu nic wielkiego.

— Nie? Chcę się z powrotem przyzwyczaić do życia takiego jak przedtem... Jacąues, widzisz mnie, kiedy znów będę spał z kobietą? Widzisz, jak proszę ją, żeby zostawić światło? Na kogo ja wyjdę?

Przewodnik zaśmiał się.

— No wiesz! Na człowieka, który się boi spać po demku, i tyle. Nie ma się co wstydzić. Mnóstwo ludzi nie może znieść demnośd. A jeżeli będzie dę kochała, to co za znaczenie? Po diabła masz się dręczyć takim drobiazgiem?

Teraz Abd się roześmiał i powiedział:

— Nie wiem. To rzeczywiście głupie. Ale czasem zastanawiam się, czy znów będę kochał. Czy jakaś kobieta mnie zechce. Czy Johanna...

— Johanna? — spytał zaskoczony Jacąues. — Dlaczego mówisz: Johanna?

— Powiedziałem: Johanna?

— Tak.

— Ach!

Trochę zdenerwowany, że tak się dał przydybać na jednej z najintymniejszych, najtajniejszych myśli, Abd zagryzł usta. Po czym z lekkim uśmiechem, na poły porozumiewawczym, na poły skruszonym, wyznał:

— Nigdy jej nie zapomniałem. Była moją jedyną miłością. I będzie jedyną. Och! pewnie wydaję d się potwornie romantyczny, kiedy to mówię!

— Nie. Cudownie romantyczny. Ale wiesz, Abd, nie mieliśmy od niej żadnych wiadomośd, odkąd ty... zniknąłeś. Oprócz listu, który przyszedł kilka dni później. A potem nic. Pisaliśmy do niej z Colette. Nie dostaliśmy odpowiedzi.

— Cóż, chcę wierzyć, że to nie była obojętność.

— Ależ na pewno nie.

— Johanna nie była taka. Na pewno powstrzymywało ją coś na kształt wstydu. Albo strach przed derpieniem, gdy poruszy wspomnienia. I nie mam o to do niej żalu.

— My też nigdyśmy nie mieli żalu, Abd.

Spojrzeli na siebie, jednakowo wzruszeni. Siedzieli sami w środku nocy, w raszy uśpionego domu, siedzieli jak zdarza się dwóm przyjadołom, spragnionym nagle zwierzeń. Szczęśliwi, że po prostu są razem i otwierają serca, szczęśliwi owym zwyczajnym szczęściem, jakiego niegdyś zaznawali na biwakach w lodowatej samotności górskich szczytów. Obaj wiedzieli już, że będą tak pogadywali, aż świt wybieli niebo, na którym powoli znikną wszystkie gwiazdy.

— Zostanę trochę—powiedział Jacąues. — Dopóki nie uśniesz.

— Teraz już nie zasnę. A ponieważ nie chcę dłużej brać leków, będę musiał pewnie przeżyć parę bezsennych nocy. Potem będzie lepiej.

— Dalej jesteś taki uparciuch, co?

— Ech! trudno się przecież zmienić. A w końcu ty mnie nauczyłeś takim być.

— Niczego cię nie nauczyłem. Co najwyżej pomogłem ci może trochę być bardziej sobą.

— Tak samo twierdził stary Min... Widzisz, Jacques, najgorsze jest to, że ledwie zamknę oczy, znowu tam jestem.

— Powoli zapomnisz. Chcesz mi opowiedzieć, Abel? Na pewno by ci to pomogło, byłoby to takie zaklęcie demonów, które jeszcze w tobie tkwią. Całe to cierpienie...

— Jacques...

Tej nocy Abel mówił.

Mówił, aż świt pobielił niebo, z którego zniknęły wszystkie gwiazdy... *

Czy istnieją jednak słowa, by wyrazić, by zakląć rzeczy przerażające?

Czymś przerażającym było przebudzenie w ciemnościach z rękami i nogami związanymi, w ciężarówce rzucającej na wszystkie strony. Czymś przerażającym było uzmysłowić sobie, że ma się oczy zasłonięte, i nie wiedzieć, na jakie katusze i kto wiezie człowieka rozklekotaną ciężarówką.

Czymś przerażającym było poczuć, że ma się knebel w ustach i nawet nie można krzyczeć z przerażenia.

Mówiąc o tym teraz, Abel raz jeszcze przeżywał pierwsze chwile strachu, gdy ocknął się z głębokiego omdlenia, w jakie zapadł pod wpływem zarówno chloroformu zaaplikowanego przez porywaczy, jak i środków znieczulających podanych mu w szpitalu, by łatwiej zniósł szok pooperacyjny, oraz z powodu dużego osłabienia po licznych zabiegach chirurgicznych, którym został poddany. Przez kilka minut wątpił, czy jeszcze żyje. A później, wraz z poczuciem istnienia, wróciła mu pamięć i wspomnienie, precyzyjne jak zdarzenie na jawie, brutalne w swej wyrazistości, nieznośnie rzeczywiste i okrutne: przed jego wzrokiem raz jeszcze, jak na zwolnionym filmie, rozgrywała się scena zastrzelenia siostry Zuzanny, siostry Teresy, doktora Arnaud.

Znajdował się w rękach zabójców, bez nadziei, że im umknie. Gdyby jeszcze był w stanie myśleć, może by się zdziwił, że dotąd go nie zabili w taki sam sposób. Lecz tak bardzo był przerażony, że w głowie kołatała mu jedna myśl: „Umieram, umieram, umieram..." I wstrząsy samochodu na drodze zdawały się w zgrzytaniu żelastwa skandować te słowa, które ze strachem powtarzał sobie w duchu.

Ogarnęły go wtedy mdłości i zwymiotował w knebel; kiedy tak dusił się własnymi wymiocinami, poczuł czyjeś ręce obmacujące mu twarz —jak w koszmarnym śnie, z którego nigdy nie zdoła się przebudzić.

Zdjęto mu w końcu szmatę kneblującą usta. Nadal jednak oczy miał zasłonięte i nie mógł się ruszyć, z trudem oddychał. Później — ale stracił także poczucie czasu, ponieważ parę razy zemdlał, i mogło to być po kilku godzinach lub minutach, nie potrafił ocenić—później wydało mu się, że niedawno pozszywana powieka otworzyła się i krwawi. Może jednak nie był to krew: gdy tak skulony leżał w moczu oddanym mimowolnie, z twarzą umazaną wymiocinami, nie umiał już wyraźnie rozróżnić doznań fizycznych, jakie jeszcze czuł.

Tracił świadomość...

Jak długo trwała podróż? Tego
nigdy się nie dowie.

— Nigdy się tego nie dowiem — powiedział Servozowi. — Wieczność.

Dzień albo dwa. I na zawsze z niej zachowa, żywe jak podobno pamięć o uciętej kończynie, nieliczne migawkowe wspomnienia, wrażenia bezładne, niespójne, wizje ślepca: rozwiązano go na chwilę i zmuszono, by szedł na własnych nogach. Jakimś podziemnym korytarzem, tunelem, pomyślał. Jak długo szedł? Nie wiedział. A potem wsadzono go do samolotu. Albo może nie. Może wyobraził to sobie pod wpływem gorączki?

Bo trawiła go wysoka gorączka. I pragnienie. I dokuczał mu skwar. I chłód...

— Nawet nie pragnąłem już umrzeć, co się zdarza, kiedy człowiek jest w fatalnym stanie. Jak mnie się zdarzyło na Aiguille du Fou. Wtedy było gorzej: miałem uczucie, że już umarłem, że jestem w piekle. Na wieczność...

— Obudziłem się w pomieszczeniu, które przypominało salę w szpitalu opieki społecznej. Leżałem na łóżku. Nagi, owinięty szarym prześcieradłem. I na prześcieradle, też szarym, ale czystym. Ściany były szare, sprzęty szare. Przypominam sobie metalowy stolik na kółkach z jakimiś instrumentami chirurgicznymi i bandażami — ale gdzieś daleko, bardzo daleko. W ogóle mgliście pamiętam to miejsce, gdzie wszystko wydawało mi się takie odległe i dziwnie pochylone, na ukos. Dali mi pić. Chyba kobieta w wielkim białym fartuchu. Wlewała mi wodę do ust, nie mogłem się posługiwać rękami. Dopiero później spostrzegłem się, że mam założone kajdanki i że dwóch uzbrojonych strażników stoi przed stalowymi drzwiami, drzwiami więziennymi. Potem się dowiedziałem, że byłem w ambulatorium więzienia. W Wietnamie Północnym: na ścianie wisiał portret Ho Szi Mina w szerokich ramach. Pierwsza cela, w której byłem zamknięty. Tam kilka dni czekałem na mój... proces. Jeśli można procesem nazwać tę obłąkaną historię...

Zamilkł na chwilę i w zamyśleniu spojrzał na Servoza, który zachęcał go wzrokiem za każdym razem, gdy przerywał pod wpływem emocji.

Abel podjął swoją opowieść.

Obłąkana historia, powiedział.

W przestronnej sali o ścianach pomalowanych na szaro, ozdobionych tylko portretami twórców komunizmu, obowiązkowymi, odwiecznymi portretami chromolitograficzny-mi, daleko, za białym drewnianym stołem trzej oskarżyciele mówili po wietnamsku do tłumacza, który powtarzał mu ich słowa w języku będącym w jego mniemaniu rosyjskim. Prosty robotniczy przyodziewek, miny surowe i obojętne: niestrudzenie, nie podnosząc nigdy głosu, powtarzali mu, nie rozumiejącemu, co mówią, i odpowiadającemu to po francusku, to po angielsku, że ich nie rozumie, te same pozbawione sensu zdania. A przewijało się w nich bez ustanku jedno słowo, być może nazwisko: Worosz.

Abel w końcu pojął, że jego uważa się za Worosza. Ale jakże tym upartym urzędnikom dowieść, że nim nie jest?

Jeden wszakże zdawał się rozumieć francuski. Lecz okazywał taką samą jak dwaj pozostali obojętność na

protesty Abla. Nie, to na nic, żaden argument nie mógł zachwiać ich pewnością—był to proces kafkowski. Należało tylko walczyć o utrzymanie własnych prawd, nie oszaleć, zachować jasność myśli do samego końca. A nade wszystko nigdy nie ulec...

Stawiać opór. Abel szybko wyczuł, że jest to dla niego życiowa konieczność. Cóż bowiem warte byłoby jego życie, gdyby w końcu wybrnął jakoś z tego położenia, ale musiał egzystować jako człowiek nieuleczalnie chory psychicznie z powodu tego, co przeszedł w więzieniu? Za wszelką cenę zachować swoją tożsamość, czyste sumienie — oto na czym miała polegać jego walka. Mgliście od początku pojmował, że w jednakiej mierze będzie to walka z samym sobą—walka ze skłonnością, istniejącą w każdym z nas, by poddać się woli oprawców w nadziei, że zmiękną — i z organami władzy. Jaka zresztą broń mu pozostała oprócz poczucia godności, oprócz pragnienia, by żyć z podniesionym czołem albo umrzeć? Oprócz decyzji, potwornie trudnej decyzji odsuwania od siebie wszelkiej pokusy, by się upokorzyć i potem gardzić sobą?...

Kiedy po konfrontacji z sowieckimi funkcjonariuszami przestano go wreszcie uważać za Rosjanina, nie przywracając mu jednak tożsamości obywatela amerykańskiego nazwiskiem Abel Young, kiedy jako osoba jeszcze mniej ważna niż nieszczęsny Worosz, stał się bezimiennym więźniem, a niebawem stworzeniem, które trudno było nazwać człowiekiem, kiedy zaczął nawet tracić cechy istoty ludzkiej, Abel jął z wolna pojmować coś z funkcjonowania myśli w systemie totalitarnym: władze nie wymagały, żeby przyznał się do rzeczywistego wykroczenia albo faktycznie popełnionej zbrodni, lecz aby sam się oskarżył o występki wyimaginowane, które by usprawiedliwiły jego zamknięcie w więzieniu. Socjalistyczny wymiar sprawiedliwości był nieomylny, przypuszczenie o niewinności nie istniało, ponieważ zaś został uwięziony, jego zadaniem było odkryć, dlaczego do tego doszło. A że partia miała zawsze słuszność, kto byłby czelny, czy raczej na tyle szalony, by powoływać się na prawo do obrony? Czyż człowiek broni się przed tymi, którzy chcą jego dobra?

Nie szło zatem o odbycie kary za winy, lecz o pogodzenie się z reedukacją, domaganie się jej nawet w wyniku spowiedzi. Nie należało prosić sędziów o łagodny wymiar kary, lecz cieszyć się bez reszty możliwością pracy przy budowie świata doskonałego. Bo jest oczywiście coś gorszego niż pozbawienie wolności: mianowicie bezczynność. A ten, kto nie chce się przyznać, choćby był niewinny, nie zazna łaski odnowy na krzepiących ducha, podniecających przymusowych robotach! Nie, zostanie skazany bez sądu, zostanie skazany na bezterminową karę, nie otrzyma zadania, po którego wykonaniu mógłby wrócić na łono ludzkości. Promiennej ludzkości idącej z postępem...

Ażeby znowu stać się człowiekiem, trzeba się przyznać.

Ten szaleniec zaś twierdzący, że się nazywa Abel Young, z uporem odmawiał przyznania się do winy.

— Przyznaj się, że jesteś wrogiem ludu — mówił mu łagodnie, tonem sugestywnym i perswadującym, nigdy nie podnosząc głosu, sędzia, który przypadkiem znał francuski i usiłował prowadzić jego sprawę.

Abel zawsze odpowiadał „nie".

— No to spisz swoje zeznania według wzoru, któryśmy dla ciebie przygotowali, wystarczy przepisać — polecał mu z pogróżką w głosie komisarz do spraw kształcenia ideo logicznego, pokusiwszy go nadzieją resocjalizacji, jego zda niem, nadzwyczajnej: w brygadzie rozminowującej.

Abel jednak, spojrzawszy na pięć kartek maszynopisu po wietnamsku, z których nie rozumiał ani słowa, potrząsał odmownie głową.

Nigdy nie ustąpi — poprzysiągł to sobie.

Wówczas, w pierwszym okresie, przeszedł najgorsze upokorzenia moralne, jakie ten system penitencjarny wymierza opornym: seanse kolektywnej denuncjacji i reedukacji. Razem z pięcioma innymi został zamknięty w niewielkiej celi, gdzie bez ustanku więźniowie mieli się nawzajem oskarżać o swe zbrodnie i dokonywać samokrytyki z inicjatywy i pod kierunkiem jednego z nich, wybranego przez administrację ze względu na jego ducha współpracy i uległość. Człowiek ten bez oporu uznał swoją winę, szczerze chciał się poprawić, stać się „przyjacielem walczącego dzielnego ludu wietnam-

skiego" i wspomóc swych nieszczęsnych towarzyszy, by uczynili to samo. Jeżeli zdołają dokonać tego wszyscy razem, przypadnie im w udziale zaszczyt wysłania do obozu pracy i szczęście otrzymania informacji, na jak długo. Do tego czasu niepewni będą swego losu. Przynajmniej Pham—takie nosił imię „odpowiedzialny towarzysz więzień" — tak wyjaśnił to Ablowi w niepewnej, pełnej błędów francuszczyźnie. I Abel wkrótce pojął, że będzie musiał stawić czoło również szantażowi moralnemu: albowiem nie podporządkowując się, nie naginając się do zasady narzuconej przez oficjalnie wydelegowanego szpicla, przeszkadzał tym, z którymi łączyła go przymusowa współodpowiedzialność, w osiągnięciu wybawienia, zmuszał ich do przedłużonego pobytu w plugawym świecie więzienia.

Cela mierzyła około dwóch i pół metra długości i nieco mniej szerokości. Okienko bez szyby rozjaśniało ją wąską smugą blasku dnia, nie miała ogrzewania ani oświetlenia, jedynym sprzętem zaś było podwyższenie ze źle oheblowanego drewna, na którym mężczyźni spali ściśnięci w chłodzie i smrodzie, w pięciu przykrywając się jednym wytartym kocem. Pośrodku podwyższenia znajdował się zasłonięty otwór, a pod nim dołek na nieczystości wykopany w ziemi. Więźniowie mieli wygolone głowy, odziani byli w barchanowe spodnie i bluzy, obuci w kauczukowe sandały. Z przedmiotów osobistych każdy posiadał tylko kubek z blachy cynowanej i obcinacz do paznokci o stępionym ostrzu. Obcinacz przeznaczony był do zarostu: paznokcie nie wymagały obcinania, z powodu niedożywienia szybko się odwapniały i łamały. Ale co drugi dzień za pomocą tego przyrządu, tak tępego, że nie mógł być użyty jako broń, więźniowie musieli niejako się dcpilowaC. Ponieważ nie mieli także lusterka, to przykre zajęcie trwało długo i wymagało cierpliwości, ale należało je wykonać bez zarzutu—administracja czuwała, aby w dniu inspekcji sanitarnej byli idealnie wygoleni. Kubek zaś spełniał różne funkcje: napełniony wodą z kilkoma płatkami mydła służył jako miednica do mycia; napełniony czystym wywarem z ryżowych kłosów służył jako talerz ze skąpym południowym posiłkiem, napełniony zaś zupą z zielonych części jarzyn stawał się miską z obiadem.

Dwa razy dziennie więźniowie wychodzili z celi. Rano odbywało się mycie: w rozległej wycementowanej sali, jakby łaźni, grupowano wszystkich, w sumie około sześćdziesięciu mężczyzn. Wyjście wieczorne trwało godzinę i było spacerem na ciasnym kwadratowym wybiegu, otoczonym murami i nakrytym siatką z drutu kolczastego. Ludzie musieli maszerować w kółko bez zatrzymywania przy ogłuszających dźwiękach sowieckiego marsza wojskowego, zawsze tego samego, nadawanego przez głośnik. Co dziesięć minut muzykę przerywały slogany wywrzaskiwane po wietnamsku. I mimo wszystko były to chwile odprężenia po obłąkanym dniu „denuncjacji-spowiedzi"!

Całymi godzinami bowiem, od chwili, gdy celę rozjaśnił świt, aż do ciemnej nocy, czterej towarzysze Abla bez ustanku zarzucali się pytaniami, rozmaitymi oskarżeniami lub wygłaszali nie kończące się mowy autokrytycznego żalu za winy, po korytarzu zaś spacerowali nadzorujący ich strażnicy. Pham wytłumaczył Ablowi, że jeśli nawet nie rozumie wietnamskiego, to i tak powinien robić tak samo jak oni, powtarzać te same formuły — oskarżać się, oskarżać, oskarżać. I oskarżać jego, rozumiejącego francuski, o występki, słabości, zbrodnie przeciwko rewolucji.

Abel jednak odmawiał i nie dawał się przekonać, choć musiał znosić nienawiść i szykany ze strony swych godnych litości towarzyszy...

— Jacques, wtedy chyba byłem najbliższy utraty zmysłów. Pod koniec wiosny...

Pod koniec wiosny roku 1967 Abel osiągnął kres wytrzymałości psychicznej. A głód, brud, skwarne dni, zimne noce spędzane w ścisku z wrogimi mężczyznami, którzy odmawiali mu skrawka wspólnego przykrycia, wieczna ciasnota w potwornym smrodzie ekskrementów zdążyły już mocno nadszarpnąć go fizycznie. Niekiedy obmacywał ukradkiem swoje strasznie wychudłe ciało, sflaczałe pośladki, skórę zwisającą na zwiotczałych mięśniach torsu, kości policzkowe zaczynające wystawać w wynędzniałej twarzy. I ogarniał go wtedy strach — nie przed śmiercią, stała mu się bowiem obojętna, lecz że w tym stanie wycieńczenia i osłabienia nie zdoła już długo wytrzymać psychicznie: obawiał się,

że ciągłe krzyki, wrzaski, kłótnie, z których ani słowa nie rozumiał, histeryczna atmosfera donosicielstwa i masochistycznego samooskarżania się podkopią niebawem jego władze umysłowe.

I do tego Pham, Pham bez chwili przerwy powtarzający jednostajnym, głupawym tonem:

— Przyznaj się!

Pham, którego mimo wszystko darzył swego rodzaju czułością, nad którym szczerze się litował...

Abel już miał wszystko wyznać, oskarżyć się o nie popełnione zbrodnie, oświadczyć, że jest wrogiem ludu wietnamskiego, a nawet całej ludzkości, gdyby okazało się to potrzebne, miał też przyrzec poprawę, kiedy zdarzył się pewien incydent: nocą w ataku szaleństwa jeden z więźniów próbował go udusić.

Uchwyt tej odczłowieczonej istoty, wycieńczonej niedostatkiem pożywienia, był tak słaby, że Abel sobie poradził. Lecz wtedy poczuł przypływ woli. To, że dotąd nie ustąpił, dawało mu niejaką wyższość nad tymi stworzeniami ogłupiałymi, zezwierzęconymi, otępiałymi pod wpływem z własnej woli narzucanych sobie surowych seansów „denuncjacji--spowiedzi", którym co dzień się poddawali, obłąkanymi pod wpływem przeżuwania swych win, roztrząsania wzajemnej nienawiści: współczuć im, współczuć. Abel bowiem w swoim nieszczęściu nie potrafił nie litować się nad tymi ludźmi, którzy woleli żyć połowicznie niż umrzeć: wymierzanie sobie samemu kary wydawało mu się czymś o wiele gorszym niż znoszenie najstraszliwszych katuszy z ręki innego.

Nie. Należało mówić „nic", zawsze „nie". Nie rezygnować, nie teraz. I nadal upierać się przy swej niewinności, choćby miał z tego powodu bardziej cierpieć. Tylko ten strach, odrażający strach, i brud, i głód, pragnienie, skwar, chłód — powolna śmierć, powoli się sącząca w każdą chwilę nędznej egzystencji. Och! co za potworna rzecz taki upadek!

I do tego nie mieć nawet lusterka, żeby się zobaczyć na poły już martwym...

— Byłem tak wycieńczony, kiedy wreszcie po mnie przyszli, że ledwie powłóczyłem nogami. Oznajmili Phamo-

wi, że dla mnie skończyła się próba „denuncjacji-spowiedzi" i Pham przetłumaczył mi ich słowa — nie wyglądało zresztą na to, zęby mi zazdrościł. Niczego nie precyzując, dał mi do zrozumienia, że pożałuję, że nie chciałem się przyznać.

— Najwyraźniej zrozumieli w końcu, że nie zdołają cię złamać.

— Nie sądzę. Z ich punktu widzenia kara, jaka miała mnie spotkać, była czymś o wiele gorszym, bo pozbawiano mnie możliwości poprawy poprzez samokrytykę, oskarżanie moich towarzyszy i donosy. Ponieważ teraz czekało mnie zamknięcie w odosobnieniu. I Pham ze smutkiem wyjaśnił mi, że nigdy nie będę miał prawa pracować!

— I tak było?

— Tak. Przez ponad pięć lat. Ale kiedy po mnie przyszli, na chwilę zabłysła mi szalona nadzieja, że mnie uwalniają. Tak delikatnie się naraz zaczęli ze mną obchodzić! Powiedziałem sobie: no, nieporozumienie wreszcie się wyjaśniło. Albo może rząd amerykański upomniał się o mnie, wojna się skończyła. Chyba że to wymiana jeńców...

Abel raz jeszcze przeżywał te chwile, które minęły mu w jakimś zamroczeniu.

Wykąpano go i ogolono, odziano w prawie nowy czysty uniform z lustryny, płócienne pantofle. Choć raz nie wywrzaskiwano mu rozkazów, tych rozkazów, których znaczenia w końcu się nauczył, lecz zwracano się doń ze swego rodzaju nacechowaną szacunkiem uprzejmością. Potem w jadalni strażników więzienia, gdzie przeżył sto dwadzieścia dni piekła, podano mu całkiem przyzwoity posiłek: zupę i dwie miski ryżu z kawałeczkami wieprzowiny. W kraju tak biednym i nękanym wojną była to istna uczta. I jak po uczcie Abel, odzwyczajony od obfitego jedzenia, zachorował na niestrawność.

Potem dwaj uzbrojeni strażnicy wsadzili go do dużego i wygodnego ziła-limuzyny i jego nadzieja na rychłe uwolnienie zaczęła nabierać kształtów. Zwłaszcza że zdjęto mu kajdanki, gdy tylko limuzyna minęła bramę więzienia.

Przejechali przez Hanoi, uniżenie pozdrawiani przez nielicznych policjantów regulujących ruch, niewielki zresztą i niespieszny, i dających im pierwszeństwo przejazdu, gdy tylko ujrzeli oficjalny samochód na zastrzeżonym pasie.

Surowa i purytańska stolica Północy zaskakująco kontrastowała z Sajgonem, stanowiła jego przeciwieństwo: chmary cichych rowerów w miejsce hałaśliwych motocykli; niedużo samochodów, same czarne wołgi i wojskowe dżipy; nigdzie nie było plakatów reklamowych na murach, lecz wielkie hasła starannie namalowane, a na głównych skrzyżowaniach transparenty oznajmiające, że lud wietnamski jest „Quyet Thang" — zdecydowany zwyciężyć; ani jednego dziecka — wszystkie zostały poprzedniego roku ewakuowane na wieś.

Mimo jednak ogromnego, duszącego skwaru w całym mieście panowało wielkie ożywienie, spokojne ożywienie.

Abel zwrócił uwagę na mnóstwo żołnierzy na ulicach, bez wątpienia będących na przepustce. Zauważył wszechobecne portrety Ho Szi Mina. Rozbawiła go jedna scena: kobiety uzbrojone w drewniane strzelby ćwiczyły na dachu fabryki. To wszystko tchnęło jakąś poczciwością, która wydała mu się prawie nierealna: czy ci ludzie o szacownym, miłym wyglądzie, uśmiechnięci, wiedzą, co się dzieje w więzieniach?

On zaś zaczął wierzyć, że jego męka dobiega końca, kiedy jeden ze strażników poczęstował go papierosem...

Ził przejechał na drugą stronę Czerwonej Rzeki po moście Long Bień, dawnym moście Paul-Daumer, który Abel widział na fotografii w albumie Hoangów — wiedział, że opuszczają Hanoi. Nadzieja jeszcze wzrosła.

I przerodziła się w pewność, kiedy dotarli do Oia Lam, do lotniska.

Tam został przekazany w ręce dwóch innych strażników, ci zaś powiedli go do małego dwusilnikowego samolotu. Śmigła już się obracały...

Och! jakież okrutne rozczarowanie, kiedy niecałe dwie godziny później znalazł się gdzieś na Północy — nigdy nie dowie się gdzie — w izbie przyjęć innego więzienia.

Więzienia, w którym miał spędzić dwa tysiące dni i dwa tysiące nocy, zamknięty w odosobnieniu.

Teraz odziany był oczywiście nieco cieplej, obuty w pantofle; miał oczywiście tylko dla siebie koc, miednicę, kibel opróżniany co dzień poza celą, a miska, choć napełniana dwa razy dziennie pożywieniem nie lepszym ani treściwszym, była odrobinę większa od tej, którą posiadał w poprzednim

miejscu uwięzienia—być może doceniłby takie polepszenie warunków, gdyby nie był tak załamany, zdruzgotany.

Teraz jednak przebywał sam. Sam obijał się o szare mury ociekające wilgocią w celi mierzącej metr czterdzieści na dwa. Sam musiał stawić czoło samotności.

— Byłem sam, Jacąues, sam...

Tak, po próbie depersonalizacji za pomocą samokrytyki, mechanicznego wyliczania w kółko swoich przewinień, zniewolenia umysłu, uległości, której potrafił się oprzeć, przyszła kolej na próbę milczenia i samotności, jeszcze groźniejszą dla jego osobowości — dla poczucia indywidualności, dla tożsamości. Albowiem bez lustra, jakim jest spojrzenie drugiego człowieka, jakże zobaczyć swoją odrębność, jakże wiedzieć, że jest się nadal kimś innym? Kimś odmiennym?...

Czy Abel zdoła kiedykolwiek wyrazić, czym były te dwa tysiące dni? Czy znajdzie słowa, by opisać tę nie kończącą się podróż do granicy, gdzie zaczyna się szaleństwo, w strachu, że popadnie w obłęd, strachu dręczącym go bez chwili wytchnienia, nawet w nocy, we śnie pełnym koszmarów?

— Wytrzymać, wytrzymać, wytrzymać! Jak na Aiguille du Fou w czasie burzy. Ale w burzy, która miała potrwać pięć i pół roku, blisko sześć lat. Może zdołam to opisać, Jacąues. Ale jak ci o tym opowiedzieć?

Czyż bowiem każde słowo nie było daremne, śmieszne? Czy kiedykolwiek ktoś potrafił opowiedzieć przerażenie?

Naraz Abel stracił odwagę wobec ogromu zadania: wyrazić, co wtedy odczuwał. Odnosił jednak mgliste wrażenie, że nie będzie mógł zacząć życia od nowa, zaznać znów szczęścia, dopóki nie rozprawi się z ponurą przeszłością, tak jeszcze bliską; dopóki, jak to ładnie ujął Jacąues, nie wypędzi z siebie demonów. Tak samo jak musiał się na powrót przyzwyczaić do jedzenia i picia ze szklanej zastawy i spania po ciemku, i nie dygotania ze strachu za każdym razem, gdy prosił o przysługę lub coś zwyczajnego—tak samo będzie się musiał na powrót nauczyć śmiać. Bez wątpienia nigdy nie

zdoła całkiem zapomnieć, jest jednak sposób ułożenia się z pamięcią tak, żeby nie cierpieć, nawet pod wpływem najokrutniejszego wspomnienia: ten sposób to humor. Abel wyczuwał, że powinien się starać o odzyskanie wrodzonego poczucia humoru, swej eleganckiej nonszalancji, pogodnej ironii, wstydliwości, jakie cechowały go przedtem, jeżeli chce zupełnie pokonać to, co przeszedł i co omal go nie złamało. Chodziło o to, by nie został kombatantem zanudzającym wszystkich opowieściami o niewoli w Wietnamie, chełpiącym się doświadczeniem w tym co najstraszniejsze i rozprawiającym o swoich cierpieniach, jak niektórzy weterani rozprawiają o swój ej wojnie. Należało udawać, że go to śmieszy, teraz relacjonować wszystko Servozowi w tonacji żartobliwej. Uczyni to zresztą po raz pierwszy i ostatni—tak sobie obiecał. Potem będzie milczał: przecież ta histpria w gruncie rzeczy tylko jego dotyczy. A w dodatku czyż nie takie było życzenie Mina, czyż nie jego naukom w ten sposób pozostanie wierny?

— Będziesz jak tygrys — mówił stary mędrzec — bę dziesz lizał rany sam, z dala od stada, nocą, w najciemniej szym zakątku lasu. Inne drapieżniki nie muszą wiedzieć, że zostałeś zraniony. A kiedy się znowu wśród nich pojawisz, sam widok twojej lśniącej, zdrowej sierści, falującej pośród wysokich traw, widok twoich błyszczących kłów wystarczą, by iii przed tobą uciekli.

Krzepiąca obecność przyjaciela dodała Ablowi odwagi: sam zdumiał się, że zaczął mu opowiadać już, rzadkie co prawda, chwile humorystyczne przeżyte w więzieniu. Momenty, gdy absurdalność systemu nagle objawiała się w pełni i przypominała mu, że wariatami są jego dozorcy, nie on.

— Nadszedł kiedyś dzień portretów. Można było umrzeć ze śmiechu... Pewnego pięknego ranka uzmysłowili sobie, że w mojej celi nie ma świętego wizerunku Ho Szi Mina. Z pompą przybyła więc delegacja, żeby naprawić to niedopatrzenie: jeden towarzysz wbił gwóźdź, drugi towa rzysz zawiesił oszklony portret, trzeci cofnął się o krok i spytał czwartego, czy rama prosto wisi. Przez całe przed południe wuj Ho czuwał nad moim zachowaniem i roz weselał szarą ścianę na wprost legowiska. Nie wyobrażasz

sobie, Jacąues, jak wielkie znaczenie miało dla mnie to błahe i nieciekawe wydarzenie: było wydarzeniem! Od blisko trzech miesięcy zupełnie nic nie zaszło. Tylko codzienne rutynowe czynności: odwszanie i poranna toaleta, godzinny spacer na wybiegu z innymi więźniami, troszkę gimnastyki Tai Chi, na którą zezwalano wieczorem... I proszę, mnie, nie mającemu dosłownie żadnego zajęcia przez cały dzień — nie pracowałem, nie czytałem, nie miałem na czym pisać — składa się wizytę! To było coś nadzwyczajnego! Byłem strasznie rad.

— Biedaku.

— Ale czekaj!... Tego dnia miałem nie jedną wizytę, a trzy! Nie, co ja mówię... cztery. Tak, cztery wizyty. W sumie oszalały dzień. Koło południa, kiedy zaczynałem mieć już dość wpatrywania się ze wszystkich stron w twarz wuja Ho, wtargnął do mnie ten sam uzbrojony oddział. Z jeszcze jednym facetem, który wyglądał na dowódcę operacji. Z tego, co udało mi się zrozumieć, wynikało, że szef zwrócił swoim ludziom uwagę, że mogę wykorzystać gwóźdź i szkło do celów samobójczych albo, co gorsza, morderczych! No więc towarzysz zawieszający zdjął portret, towarzysz wbya-jący gwóźdź wyjął go, a towarzysz cofający się o krok, by sprawdzić, czy rama wisi prosto, wziął ją pod pachę i drzwi się za nimi zamknęły. Kwadrans potem kolejna wizyta. Oprócz dwóch strażników przyszło dwóch facetów: oddział zatykający dziury, towarzysz gipsujący i towarzysz inspektor czasu zasychania gipsu! Myślałem, że to już koniec błazeństw, a tu nie! Po południu, niedługo przed spacerem i gimnastyką, znowu przyszli. Tym razem w siedmiu.

— W siedmiu?

— Tak. Moja cela wyglądała jak kajuta na parowcu w tym filmie z Braćmi Mant *Noc w operze:* pękała w szwach, nie można się było ruszyć. Myślałem, że się uduszę! Widać przemyśleli problem dekoracji mojej celi i po naradzie znaleźli rozwiązanie: plakat przyklejony do muru. Przynajmniej nie był niebezpieczny!

— A co było na plakacie? Zdjęcie Ho Szi Mina?

— Nie. Coś o wiele lepszego. Istne dzieło sztuki... to znaczy socrealistycznej sztuki! Tyle że w tym wypadku pasowałoby to raczej nazwać świętym obrazkiem pionierów.

Plakat przedstawiał błękitne niebo bez jednej chmurki, a pośrodku nieba promienne słońce, w którym znajdowały się wizerunki Marksa, Lenina, Mao, Ho i Stalina...

— Stalina?

— No! Plakat pochodził pewnie z jakichś starych zapasów: nie znaleźli sposób u, żeby wygumować wąsiska „genialnego ojczulka wszystkich ludów"... Pod niebem, z oczami skierowanymi w stronę słońca widniał lud wietnamski maszerujący do walki i wymachujący strzelbami: mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci. Wszyscy rumiani i szeroko uśmiechnięci, w nieskazitelnych kombinezonach roboczych, bez jednej plamki czy fałdki, a mężczyźni półnadzy. O torsach kulturystów!... Paskudztwo i bezguście, że nie masz pojęcia, Jacques! Mimo to przez pięć lat żyłem z tym przed oczami. I jeszcze z hasłem wypisanym złotymi literami, które zdawało się ze mnie szydzić: *Khong gi quy hon doc-lap tu-do!* „Nie ma nic cenniejszego nad niepodległość i wolność!"

— Jak zrozumiałeś, co to znaczy?

— Później, kiedy mi dali książki, a zwłaszcza gazety dwujęzyczne, sam się nauczyłem trochę wietnamskiego. Ale jużwcześniej rozumiałem słowo *tu-do.* Tak się nazywa wielka elegancka ulica w Sajgonie: Wolności.

— Kiedy pozwolili ci dać książki i gazety?

— Chyba niedługo po święcie Tet w 68 roku. Nastał wtedy okres strasznych bombardowań. Zniesiono nam spacery i wieczorną zupę, bo klawisze musieli się kryć w schronach. Dla mnie to były jedne z najgorszych chwil: myśl, że my, więźniowie, możemy zamknięci w celach zginąć pod bombami. Jeszcze większy głód niż normalnie, łoskot wybuchów i żadnych ćwiczeń, nic. Tylko chodzenie w kółko po celi jak tygrysy w klatce... Władze uznały widać wtedy, że należy nam się coś w zamian, i kazały rozdać książki i gazety. Uprzejmie zwrócono nawet uwagę, żeby mnie dać tylko książki po angielsku i gazety dwujęzyczne, francusko-wietnamskie. W ten sposób powoli zacząłem rozgryzać wietnamski i ułożyłem niewielki słowniczek i gramatykę. Oczywiście znam o wiele więcej terminów wojskowych, politycznych i ekonomicznych niż słów używanych na co dzień, no ale!... Gdyby mi ktoś wcześniej powiedział, że czytając tam i z powrotem tę samą gazetę, nauczę się w końcu na pamięć

przemówień towarzysza Oiapa na temat zadań rewolucyjnej produkcji ryżu!... Do tego stopnia jednak byłem spragniony słowa pisanego, że wręcz znajdowałem jakiś urok w tej propagandowej literaturze, która wkurza człowieka jak diabli. Za to żadną miarą nie mogłem pojąć, dlaczego wojna ciągle trwa: Północ i Front stale osiągały „olśniewające" sukcesy, „ostateczne" zwycięstwa, podczas gdy „marionetkowy rząd" i jego amerykańscy przyjaciele doznawali „tragicznych" niepowodzeń i porażek „bez precedensu". Militarna potęga Stanów była unicestwiona, a bombardowania trwały dzień i noc!

— A powieści?

—^Powieści? To nie były powieści, Jacąues, tylko rozprawy polityczne. I wpieprzały jeszcze bardziej niż gazety! Pamiętam, w Berkeley na jakimś mitingu twierdziłem raz, że wszystko, co napisał Lenin, to wielkie gówno. Ale wtedy, muszę przyznać, chciałem mówić na przekór: nie przeczytałem z tego najmarniejszej linijki. Teraz już te dzieła znam!...

— No i co?

— To jeszcze gorsze. Bzdury, że szkoda gadać! *Materializm i empiriokrytycyzm:* przez pięć miesięcy tylko to miałem do czytania. Zabrali mi gazety i inne książki. No więc czytałem to tam i na powrót, chyba z pięćdziesiąt razy! Sto! Sam już nie wiem. W końcu wybuchałem wariackim śmiechem, takie to było idiotyczne. Widzisz, mówiłem sobie: do licha, Abel, ten facet uchodzi za jednego z największych geniuszów w całej historii ludzkości w oczach dwóch trzecich ludzkości, a ty, staruszku, wiesz, że to był pretensjonalny dureń, który chciał podskoczyć wyżej kutasa i używał wielkich słów, zupełnie nie rozumiejąc, co one znaczą. W gruncie rzeczy uważałem to za uspokajające, pocieszające nawet, nie bardzo umiem wytłumaczyć dlaczego. Chociaż tak, umiem: tym, co mi sprawiało radość, była myśl, że ci wszyscy przywódcy, którzy zrobili rewolucję, a potem stali się tyranami, wszyscy ci megalomani zawsze mieli jedną tylko ambicję, jak Neron: udowodnić, że są artystami albo filozofami... I w tym właśnie tkwi bezdyskusyjna wyższość myśli i sztuki: te zera, które trzymają w rękach całą władzę, czują, że zawsze im będzie brakowało tego, co jest silniejsze

od tej ich władzy. Czegoś potężniejszego, bliższego absolutu... Nigdy nie widziano, żeby genialni artyści czy filozofowie chcieli udowodnić, że potrafią również kierować państwem! O, na przykład pozwolono mi kiedyś zapoznać się z poezją Ho Szi Mina: z *Karnetem więziennym...*

— Bardzo subtelnie z ich strony dawać coś takiego więźniom.

— Prawda?... Nie wyobrażasz sobie co to za chała! Żałosne, wulgarne wierszyki! Pamiętam, był tam jeden taki, zatytułowany *Utrata wolności;*

Co za bieda, gdy straci się wolność! Nawet w potrzebach naturalnych jesteś ograniczany. Kiedy drzwi są otwarte, nie boli cię brzuch Kiedy boli cię brzuch, drzwi są zaryglowane.

— Wyborne, co? Cóż za wyrafinowanie, jaka podniosłość myśli!... No i wuj Ho kazał to wydrukować na luksusowym papierze z grawiurami i w ogóle. Była to moja najładniejsza książka. A ja sobie mówiłem: oto wielki człowiek, bohater, który dzielnie stawiał opór Francuzom i wyzwolił swój kraj, ktoś, kogo wyobrażamy sobie jako istotę nieskazitelnie czystą i prawą, wyzutą z pychy, a tymczasem, proszę! on także wykorzystał swoją pozycję, żeby wydać te wypociny...

— No, nie da się ukryć.

— Jak widzisz, Jacques, dobrze się bawiłem w pudle) Bywały fajne chwile.

— Zabawnie słuchać cię, jak tak mówisz. Strasznie mnie cieszy, że nie straciłeś nic ze swojej złośliwości...

— Nic, słowo! Między empiriokrytycyzmem towarzysza Lenina a kolką wuja Hol Ach, jeszcze filmy! Byłbym zapomniał o filmach!

— Filmy?

— Tak. Chadzaliśmy nawet na seanse do kina. W więzieniu był okres wielkiego rozluźnienia rygorów — to musiało być w roku 70, jeśli dobrze pamiętam. Na przykład dano mi ołówek i papier. Co prawda tylko kartkę na tydzień, ale zawsze to był papier! Wtedy poczyniłem największe postępy w nauce wietnamskiego. Nie musiałem już wszystkiego

zapamiętywać, mogłem sobie robić słowniczki, notować całe zwroty, które udało mi się zrozumieć... No i w czasie spacerów wolno było rozmawiać. Trwało to blisko miesiąc. Tyle że wśród dwunastu więźniów z mojej grupy ani jeden nie mówił po francusku albo angielsku. A mojego dukania po wietnamsku w ogóle nie chwytali. Widać źle akcentowałem. Mimo wszystko dobrze było sobie mówić różne rzeczy, nawet jeśliśmy się nie rozumieli.

— A kino?

— Otóż pewnego dnia w porze spaceru zebrano nas w takim jakby refektarzu i wyświetlono film: *Ludzie z Kam Rang*. To historia mostu, który nieprzyjaciel bez przerwy niszczy wszelkimi sposobami, a dzielny lud wietnamski odbudowuje w jedną noc, nie tracąc cierpliwości. Czego
0 widzach nie można powiedzieć...

— Faktycznie pasjonujące.

— To było takie zwariowane, że w kwadrans po czołówce wybuchnąłem obłąkańczym śmiechem: właśnie po raz dziesiąty odbudowywano ten cholerny most i nagle odniosłem wrażenie, że film nigdy się nie skończy, że zostaniemy tam po wsze czasy, skazani na wieczne oglądanie tej durnej historyjki. Obłąkańczy śmiech był nerwowy, proszę ciebie. Niektóre filmy awangardowe wywołują we mnie ten sam efekt: czujesz, jak narasta w tobie desperacja, i zaczynasz bez powodu rechotać. Ale, na Boga! to wcale nie było zabawne.
1 w życiu nie zapomnę zdumienia innych więźniów i klawiszy: jak zrozumieli, że to ja się śmieję, zaczęli na mnie patrzyć, jakby mi palma odbiła. Pewnie myśleli zresztą, że jestem idiotą! Ci więźniowie, którzy mnie nigdy nie widzieli, diablo się zdziwili odkrywając w tym gronie białego... A mnie nic nie mogło powstrzymać: miałem istny atak nerwowy! Dosłow nie płakałem ze śmiechu... I wtedy zaszło coś nadzwyczaj nego: z wolna wszystkich po kolei ogarnął śmiech. To znaczy wszystkich więźniów. Klawiszy nie. Ci durnie prawie natych miast kazali przerwać projekcję. Zaczęli wrzeszczeć i pało wać, potem zagonili nas z powrotem do cel. Cały wieczór był spaprany. A mnie nazajutrz wsadzili do „dołka".

— Do dołka?

Abel naraz umilkł — jego milczenie jednak nie wy-pływało z ogromnego znużenia, jakie odczuwał bladym

świtem. Dotąd potrafił błaznować, w elegancki sposób żartować ze swego wycieńczenia i cierpień zniesionych w więzieniu, ale wspominanie karceru z takim samym uśmiechniętym dystansem było ponad jego siły. Ogarnęło go jakby przemożne drżenie, w jego wzroku pojawiło się naraz takie przerażenie, aż strach było na niego patrzeć.

Wstawał już świt, rozjaśniając granatowy mrok nocy. Jacąues, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, skulony pod kocem, siedział przy łóżku, chociaż pojął, że Abel będzie teraz milczał, że na zawsze zachowa ukryte w głębi duszy, niczym największy sekret, wspomnienie swej męki w karcerze. Czuł jednak, że powinien przy nim zostać, nie zostawiać go na pastwę koszmarów.

W gwarze więziennej „dołkiem" — albo „kabaryną" — nazywa się karcer, lecz bez wątpienia nigdzie miejsce to nie zasługiwało bardziej na to miano jak w tym właśnie więzieniu. Karcer był bowiem cylindryczną kadzią wydrążoną w ziemi. Ukaranego więźnia dosłownie do niej wrzucano. Głęboka na około trzy metry studnia miała tak małą średnicę, że można tam było tylko stać, kucać, klęczeć albo siedzieć skulonym jak embrion. Bez wody pitnej prócz tej, która spływała strumykami po ścianach, gorzkiej i niezdrowej. Bez pożywienia prócz dużej miski jakiejś wstrętnej, nieokreślonej potrawy, która miała wystarczyć na cały okres zamknięcia. Umieściwszy tam człowieka niejako żywcem zamurowanego, zamykano podziemie pokrywą jak do ulicznej studzienki odpływowej, zaopatrzoną w otworek mający pełnić rolę wywietrznika. Na poły uduszony, trawiony głodem i pragnieniem, mogący spać jedynie w chwilach utraty przytomności, nieszczęśnik tkwił w ciemnościach, zimnie, wilgoci, własnej urynie i odchodach, w cuchnącym, rozrzedzonym powietrzu —jak długo? Tego się Abel nigdy dokładnie nie dowiedział. Za pierwszym i drugim razem, kiedy go ledwie żywego wciągarką wydobyto na sznurach, musiał zostać przyjęty do więziennego ambulatorium. Później, zestawiwszy zebrane informacje, obliczył, że zamknięcie trwało jakiś tydzień.

Tydzień strachu i przerażenia, tydzień męki w kompletnym opuszczeniu, tydzień otępienia — czy zdoła kiedykol-

wiek powiedzieć, czym były te katusze? Katusze, które zdawały się rzucać wyzwanie okrucieństwu wyobraźni Dantego, zdawały się być zapomnianym przez poetę piekielnym kręgiem...

Czy ten, kto to przeżył, może naprawdę być potem taki sam? Czy nie zostanie mu gdzieś na psychice, na umęczonej duszy rana nie do wygojenia? Czy nie zostanie na resztę życia naznaczony piętnem równie niezatartym jak numer wytatuowany na przedramieniu więźniów obozów śmierci?

Abel przeżył pierwsze zamknięcie w „dołku". Przeżył drugie. Bez wątpienia przeżył także trzecie, skoro znajdował się teraz u przyjaciół w Praż pod Chamonix, w gościnnym domku pachnącym ciastem z jabłkami i płonącymi polanami, lecz niekiedy zdawało mu się — tak mocno owe kary wstrząsnęły jego jestestwem — że to nie jego spotkało, lecz kogoś zupełnie innego — człowieka obcego, który podobny był doń jak brat. Umarł w tej studni i nowa istota zrodziła się w jego miejsce, by szukać pomsty, pomsty za niego, za Abla. Wrażenie rzadko trwało dłużej niż kilka chwil, ale idea, osobliwa i mglista, pozostawała w nim przyczajona — była jego tajemnicą. Och! wiedział oczywiście, że jest absurdalna, jeszcze miał na to dość zdrowego rozsądku. A jednak musiała zawierać szczyptę prawdy, ponieważ pomagała mu żyć, ponieważ teraz będzie pomagać mu żyć. Owszem, można umrzeć pod wpływem niedobrych wspomnień, lecz Abel pragnął żyć, żyć, żyć: pragnął myśleć teraz, że to niezupełnie on był człowiekiem, którego po raz trzeci wrzucono do „dołka", gdzie omal nie umarł, postradawszy zmysły, śmiercią samobójczą.

A jednak...

Tym razem trafił do karceru z powodu tylko odrobinę mniej błahego niż poprzednie, mające usprawiedliwić tak nieludzki rygor.

Kilka dni przedtem w rogu jego celi zaczął tkać swoją sieć pająk. Abla pozbawiono w ostatnim czasie lektury i papieru. Bezczynny i coraz mniej sprawny intelektualnie, zaprzyjaźnił się z nim niejako. Nazywał go czule „kochanym Bobem" i przemawiał doń po wietnamsku—to znaczy wypowiadał te kilka zapamiętanych słów — albo snuł długie opowieści po

angielsku. Był to równie dobry jak każdy inny sposób zabicia czasu i próby zachowania w pamięci własnej przeszłości, jedynego dobra osobistego, które mu pozostało i trzymało go jeszcze przy życiu.

Pewnego ranka spacerujący po korytarzu strażnik, zirytowany widać, że Abel mówi głośno w niezrozumiałym tamtemu języku, wkroczył do celi, by nakazać mu milczenie. Abel, pochłonięty opowiadaniem Bobowi swojej dramatycznej przygody na Aiguille du Fou, nie usłyszał jego wejścia. A kiedy go ujrzał blisko siebie... blisko jego pająka, było za późno. Nie zdążył go nawet powstrzymać: lepki, włochaty odwłok żyjątka rozprysnął się pod naciskiem palca strażnika. I wtedy w nagłym, impulsywnym napadzie gniewu Abel rzucił się na niego i wymierzył mu słabiutkie uderzenie pięścią, po czym wybuchnął płaczem.

Ten łajdak zabił mu Boba, zabił mu jedynego przyjaciela!

Niedługo czekał na karę za buntowniczy czyn: „dołek".

„Dołek", w którym odbył ostatnią karę zaledwie przed dwoma miesiącami — i poprzysiągł sobie, że jeśli tam wróci, to targnie się na swoje życie.

„Dołek", do którego czterech dozorców wiodło teraz politowania godny strzęp człowieka, ciągnąc go na pozdzieranych kolanach przez korytarze i schody. A on wył ze strachu jak skazany na śmierć, pluł krwią i błagał oprawców:

— Nie! Nie!

„Dołek", do którgo wrzucili go bezceremonialnie, jakby był kawałem mięsa.

„Dołek", który zamknęli w ogłuszającym łoskocie przesuwanego żelaza...

Po omacku w ciemnościach cuchnących, zabójczych dla zdrowia, ociekających wilgocią, Abel z trudem podniósł się na nogi, ocknąwszy się z omdlenia, w które popadł, kiedy wrzucono go do studni.

Jakieś absurdalne pragnienie, daremna brawura, poczucie ludzkiej godności, tak często mu odbieranej, a odzyskanej w chwili ostatecznej, zryw całego jestestwa popychały go do jednego: umrze stojąc. Ażeby zresztą roztrzaskać sobie głowę o betonową ścianę, potrzebny mu był zamach, a mógł go wziąć tylko na nogach. Musiało mu się udać za pierwszym

uderzeniem, mocnym i czystym, by nie przyszło mu cierpieć najkrótszej choćby agonii — ten czyn musiał zakończyć wszystko.

Długo trwał w bezruchu, wsłuchany w bicie swego serca w zapadniętej klatce piersiowej; wsłuchany w jego echo idące od ścian studni będącej pudłem rezonansowym.

Dotarł do wrót śmierci, czuł się opanowany jakimś nie znanym spokojem ducha, radością bezdenną, jak bezdenna jest wieczność.

Bicie serca wydało mu się mocniejsze, szybsze, podobnie dyszący oddech.

Zrazu nie myślał o niczym. Później z wolna wróciła mu pamięć całego życia, które znowu przeżywał jak we śnie, lecz szybko, coraz szybciej.

Ujrzał siebie, jak skacze w przepaść. Czy było to w Mode-sto u Ma? Czy na Aiguille du Fou?

W osłabłym umyśle wspomnienia się mieszały, aż utworzyły jedno, skondensowały się w jednym obrazie: Lazurowe Wybrzeże... Stał na cmentarzu... W gałęziach sosny grał świerszcz... Śpiewał ptak... W dali oślepiająco błyskała fala przyboju...

Zaczął krzyczeć, krzyczeć:

Już odnaleziona. Co?
Wieczność. To ona. Morze
odchodzące Pospołu ze
słońcem.

I kiedy już, już jego czaszka miała się otworzyć, mózg rozprysnąć na betonie, usłyszał nagle wezwanie z ciemności, słowa, które dźwięczały, bliskie i odległe, przyjazne i grobowe, nadprzyrodzone i znajome:

— Jest więc tu ktoś, kto nie zapomniał poezji?

Część siódma

GODZINA TYGRYSA

Biegł wśród wydm na silnym porannym wietrze, który smagał wydmuchrzyce i podnosił nad plażą lekkie obłoki różowoszarego pyłku. Biegł boso, równym truchtem po wybrzeżu Cape Cod, tam, gdzie zamiera fala przybojowa, szerokimi liźnięciami bezustannie mocząc piasek. Biegł, wdychając i wydychając powietrze z odzyskaną świadomością szczęścia, w najgłębszych zakamarkach ciała odczuwając wrażenia dawno zapomniane, a teraz nagle oszołamiające go, sprawiające, że miał chęć wykrzyczeć swą radość. Biegł ze swobodą i elegancją w ruchach niby młody drapieżca, gibki i piękny, chudy, ale nie chorobliwie, szczupły jak dziki kot, z mięśniami rysującymi się nieznacznie pod beżowym bawełnianym dresem. Biegł, a jasne włosy powiewały mu na karku, na czole, gdzie niczym odbarwiona smuga błyskał bielą siwy kosmyk, jedyny fizyczny znak, jaki — przez mimowolną kokieterię — na zawsze zachowa po przebytym piekle. Z jasnoniebieskimi oczami pełnymi łez biegł w świetle wstającego dnia — olśniony, niewymownie szczęśliwy, bieganiem radośnie objawiając swą wdzięczność.

Kot przeobraził się w tygrysa. Stracił resztki dziecięcej niezdatności, chłopięcą nieporadność: był teraz mężczyzną. W kwiecie wieku, wyposażonym w potęgę rozumu, w siłę i doskonałe nad nią panowanie, w energię właściwe tylko tym, którzy doświadczyli śmiertelnych przeżyć. Otrząsnął się ze wszystkiego, lecz nie był zawiedziony ani rozczarowany, miał ochotę żyć i głośno obwieszczać swoją radość w sposób, w jaki krzyczał do wzburzonego oceanu, kiedy na wid-

nokręgu wschodziło słońce. W chwili gdy mężczyzna zaczyna rezygnować z toczenia namiętnych młodzieńczych potyczek, w chwili gdy zaczyna się wyrzekać ideałów, mieć dość samego siebie, słowem, gdy zaczyna się starzeć, on czuł się gotowy do podjęcia nowych zmagań. Miał trzydzieści trzy lata, wiek Chrystusowy, jak to się mówi. Lecz swoją drogę krzyżową już odbył. Podobnie jak ziemskie zmartwychwstanie, jedyne zmartwychwstanie mające jego zdaniem sens...

Abel nie wierzył w piekło ani raj. Nie wierzył w piekło, bo nie sądził, żeby mogło być miejsce gorsze od tej ziemi, po której chodzimy, nędzne ludzkie istoty, małe, efemeryczne, w okrzykach boleści, z nienawiścią do siebie i w sobie, pełni przerażenia. Ale nie wydawało mu się także, by mogło istnieć coś lepszego niż owe ulotne chwile szczęścia, rzadkie chwile pełni wewnętrznego zadowolenia, miłości do innych i do siebie, jakie zdarza nam się niekiedy wykraść potworności świata.

Abel nie wierzył w Boga, bo nie mieściło mu się w głowie, żeby istota najwyższa zdołała wymyślić karę tak bezlitosną jak owe kilkadziesiąt lat, które spędzamy na tym padole łez: nasze życie, życie biednych stworzeń, ślepych i niemych ze strachu, posuwających się po omacku w ciemności, krwi, lodowatym błocie. I nie wierzył w Boga jeszcze dlatego, że wiedział już teraz, doświadczywszy tego sam, że tylko człowiek, wyłącznie człowiek, choć takim potworem zdarza mu się być, potrafi się ulitować nad drugim człowiekiem, pocieszyć go, pokochać — Bóg nie odpowiada nigdy.

Abel wierzył w ludzką serdeczność. Wierzył w jasny śmiech dziecka, gdy się budzi z kamiennego snu, wierzył w dodający otuchy uśmiech przyjaciela, kiedy rozpacz kąsa, wierzył w płomienne spojrzenie zakochanych, którzy spotykają się na peronie dworcowym i płaczą, że się spotkali.

Abel wierzył w braterstwo i przyjaźń. To znaczy zaprzeczał, jakoby były czymś niższym niż miłość czy cokolwiek innego. I wierzył w miłość. Wierzył w miłosny szept na ustach, we łzy szczęścia spływające po policzkach, wierzył w serce, które naraz zaczyna bić szybciej, mocniej. W kradzione pocałunki, w ręce szukające się ukradkiem, w namiętne uściski...

Abel wierzył też w piękno i harmonię, wierzył w poezję. Stworzoną zarówno przez ludzi, jak i przez żywioły. W sonatę Mozarta i głuchy ryk morza. W światło zmierzchu na obrazie Velasqueza i blask południa przytłumiony wysrebrzoną koroną bardzo starego drzewa oliwnego. W tajemnicze, rozproszone migotanie Mlecznej Drogi i wykład na temat teorii względności. W krzyk lelka, kiedy po zapadnięciu nocy odlatuje do lasu, albo na przykład w te kilka prostych słów Szekspira: „Mleko dobroci ludzkiej".

Abel w to wierzył, ponieważ zawsze wierzył, że przyszliśmy na ten świat, aby na nim żyć — zwyczajnie. Nie po to, by czekać na coś innego lub tenże świat zmieniać, ale po to, by doskonalić siebie i świat również czynić lepszym. Wiedział, że szczęście zyskuje się za taką właśnie cenę — nie zaś za wyrzeczenie się czegokolwiek w imię jakiejkolwiek religii, partii lub wielkiej idei.

Nikt z nas, choćby był najbardziej wyjątkowy, nie powinien pragnąć zbawienia bliźniego, narzucać mu swoich praw. Braterstwo nakazuje, aby każdy swobodnie kierował swoim losem — o tym Abel również był przekonany.

Zahartowany w tolerancji, każdy na tym świecie może wspiąć się wyżej, pójść dalej. Każdy, byle tylko tego pragnął, może niby atleta wykuć sobie ciało antycznego herosa, wykuć sobie duszę półboga. Śmiertelnego oczywiście, lecz nieśmiertelnego we wspomnieniu tych, którzy go kochali za to, że potrafił powiedzieć: niech każdy żyje po swojemu.

Abel nie wierzył w śmierć ani zapomnienie. Wierzył w siebie. I w wieczny powrót...

Taka była nauka, jaką otrzymał z ust Mina, wzniosła mądrość, która na zawsze pozostanie jego tajemnicą, podobnie jak tajemnicą pozostanie cały długi okres jego życia, gdy trwał zawieszony między życiem a śmiercią. Abel uznał, że jest już dość silny, by więcej nikomu o tym nie mówić. To milczenie będzie cząstką jego cienia, cienia człowieka, który chciał odnaleźć przejrzystość dzieciństwa; to będzie czyniło z dziecka, którym postara się na zawsze pozostać, także mężczyznę — mężczyznę stojącego wyżej niż inni.

Min, zamknięty w sąsiednim karcerze, Min, taki sędziwy, taki chory, potrafił przecież tchnąć w Abla odrobinę swego nędznego życia w chwili, gdy ten już miał umrzeć,

i powstrzymał go przed samobójstwem. Głos starca rozlegający się w ciemności i mówiący: „Jest więc tu ktoś, kto nie zapomniał poezji?", ten głos był niczym świeża krew wlana w jego żyły, niczym nowe uderzenie serca, które, zdało mu się, zdążyło stanąć.

Słowa nadziei, wiedza przekazana później przez starego mędrca wypełniły duchową pustkę, nie pozwalającą mu dotąd na pełnię człowieczeństwa. Kiedy Abel wyszedł z „dołka", z jakimż zdumieniem pomieszanym z szacunkiem dozorcy patrzyli, jak idzie, z trudem co prawda, lecz z wysoko podniesioną głową i niemal buńczucznie. Nie musieli go zanosić do ambulatorium jak po poprzednich pobytach w karcerze: zaprowadzili go do celi, nawet nie podpierając, nie pomagając mu żadnym gestem.

Abel na zawsze pokonał strach...

Jest więc tu ktoś, kto nie zapomniał poezji?

Czy miało jakiś sens usłyszenie tego łagodnego, śpiewnego głosu, który zagadywał doń po francusku zza ociekającego wilgocią muru studni, gdzie konał? Oczywiście, że nie, czyż jednak wszystko nie było bezsensowne w chwili ostatecznej, gdy śmierć brała górę nad życiem? Toteż Abel uwierzył, rozpaczliwie zapragnął uwierzyć w realność tego zjawiska jakby nadprzyrodzonego: ktoś do niego mówił! I wcale go nie znieważał, nie upokarzał—nie, ktoś mówił do niego jak przyjaciel, jak brat. Miał brata na tym świecie, który zamierzał właśnie opuścić, by pogrążyć się w szczęśliwą nicość. Miał jeszcze przyjaciela...

Lecz Abel zbuntował się wówczas: czy ktoś nie kpi sobie z niego? Dlaczego wybawienie — jeśli było nim wezwanie pełne współczucia idące z ciemności — dlaczego wybawienie przychodzi tak późno? Czy los raz jeszcze nie szydzi zeń? I z nieufnością w głosie, choć słaby był i konający, zdołał zawołać:

— Och, ktoś ty? Czego chcesz? Czy w ogóle istniejesz? Albo chcesz ze mnie zakpić, jeszcze bardziej mnie udręczyć?

— Nie, nie, przyjacielu! Nie! Chcę, żebyś mi pomógł przejść tę próbę...

— Ty chcesz, żebym ja tobie pomógł? Musisz być szalony: jakże miałbym to zrobić? Zwariowałeś, chyba że to ja zwariowałem.

I Abel, będący w stanie bliskim obłędu, wcale nie poczuł się spokojniejszy: czuł rosnący gniew na tego człowieka, którego nie mógł zobaczyć... na ten głos, który wydawał mu się urojeniem chorego umysłu i dźwięczał grobowo.

— Nie, nie zwariowałeś. I ja też nie. Łączy nas taki sam los: tamci chcą nas doprowadzić do szaleństwa, ale my się nie dajemy... Jeszcze się nie dajemy. I musimy przetrzymać... Posłuchaj, ja naprawdę istnieję, a nazywam się Min. Jak ty się zwiesz?

— Nie wiem. Już nie wiem — odparł Abel po angielsku.

Mówił prawdę: w tamtej chwili nie pamiętał, kim jest. W samobójczym napadzie rozpaczy zapomniał nawet swojej tożsamości.

— Jesteś Amerykaninem? — zagadnął Min serdecznym tonem, raczej stwierdzając niż pytając.

— Amerykaninem — powtórzył Abel, jakby nie rozumiał zadanego pytania.

— W każdym razie poetą. Pamiętasz przynajmniej to? że jesteś poetą?

— Tak... tak... może...

— Przed chwilą recytowałeś wiersz Rimbauda:

Juz odnaleziona.
Co? Wieczność. To ona...

— Ach, tak? Recytowałem?

— Tak.

— To na pewno było na pogrzebie mojego ojca.

— Na pogrzebie twojego ojca?

— Tak. Recytowałem ten wiersz.

— Jeżeli nie pamiętasz swojego nazwiska, to może przypomnisz sobie nazwisko ojca, przyjacielu?

— Emerson. Nazywał się Emerson. Eliott Ernest Emerson.

— A więc ty też nazywasz się Emerson.

— Nie! Niel Nie Emerson. To nie moje nazwisko! — zaprotestował Abel z gwałtownością, która zdumiała i nieco przeraziła Mina. — Ja jestem Abel Youngl Słyszysz? Abel Young!

— Świetnie, Abel — rzekł Min pojednawczym tonem, jaki się przybiera w rozmowie z furiatem w obawie, by mu się nie sprzeciwić i nie podniecić jeszcze bardziej. — Rozumiem: jesteś Abel Young...

— Słuchaj, ty, kimkolwiek jesteś, słuchaj: jestem Abel Young. I chcę umrzeć.

— Nieszczęsny! Umrzeć? Co ty mówisz? Umrzeć? Zostawiłbyś mnie, gdy tak mi jesteś potrzebny, gdy tak potrzebuję dźwięku twojego głosu?...

— Posłuchaj: nie wiem już, ile lat tu siedzę, i teraz umieram. Już nie wiem... Pozwól mi z tym skończyć.

— Nie, Abel. Proszę. Jeśli się zabijesz, to zabijesz także mnie.

— A co mi tam! Czy ja cię chociaż znam?

— Nie, pewnie, że nie. Ale jeżeli śmierć nieznajomego, moja śmierć w ogóle cię nie obchodzi, to jaką będziesz mógł wskazać różnicę między sobą a twoimi, naszymi oprawcami? W czym będziesz lepszy od nich? Pomyślałeś o tyra, Abel? I nie miałbyś ani krzty litości nade mną, starcem?

Zapadło długie milczenie. Wreszcie, pokonany osobliwą słodyczą słów starego wietnamskiego mędrca, Abel rzewnie zapłakał. A Min, uspokojony, uśmiechnął się w ciemnościach swego karceru. Po czym aby na powrót nawiązać wzruszającą rozmowę, po trzykroć z tkliwością w głosie powtórzył:

— Abel... Abel... Abel...

Zachęcając go do zwierzeń.

— Wysłuchaj mnie, wysłuchaj — poprosił w końcu Abel. — Wspinałem się na najwyższe góry i kochałem kobietę, która też mnie kochała, nawet jeśliśmy się czasem nie rozumieli, i miałem kilku przyjaciół, a jeden z nich był mi jak brat, więcej nawet niż brat, mogłem być najszczęśliwszym z ludzi—ale siedzę tu bez powodu zamknięty od nie wiem ilu lat i wreszcie mnie kiedyś pokonają w taki czy inny sposób. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem umrzeć?

— „Kto zdobywa najwyższe szczyty, drwi z tragicznej powagi życia..." — uroczyście rzekł na to Min.

— Piękne słowal — zawołał Abel ze smutną ironią. — Chyba je Nietzsche powiedział. Ale to tylko słowa...

— Faktycznie, Nietzsche. A nauczę cię innych, których chyba jeszcze nie znasz, Abel. Nauczę cię być silnym. I sprawiedliwym.

— Więc dotąd taki nie byłem?

— Byłeś, niewątpliwie. Chcę przez to powiedzieć, że uczynię cię jeszcze silniejszym i sprawiedliwszym. Tylko musisz żyć.

— Po co? Do czego mi się przyda siła i sprawiedliwość?

— Nie wpadaj nigdy w rozpacz, Abel. Dzisiaj jesteś najnieszczęśliwszym z ludzi; przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz szczęśliwy, potężny, bogaty, podziwiany i mądry. I znowu będziesz kochał, ja to wiem. Zgłębiłem wiele sekretów wszechświata i znam przyszłość. Abel, będziesz szedł przez życie niczym tygrys w dżungli, piękny, nieposkromiony...

— Och, próbujesz mnie zachęcić, wabisz fałszywą nadzieją! — szyderczo zawołał Abel. — Tylko że ja w to nie wierzę. Kłamiesz! Kłamiesz!

Min nie poczuł się dotknięty. Przeciwnie: ucieszył się, że buntowniczy duch znowu tkwi w tym zamierającym ciele, w na poły martwej duszy. Toteż powiedział zwykłym głosem, bez cienia wyrzutu wobec młodego więźnia:

— Kłamię? Ja, twój brat w niedoli? Ja, siedzący jak i ty na dnie studni w oczekiwaniu na śmierć? Dlaczego miałbym cię kłamać? Jaką odniósłbym korzyść z oszukania cię, no powiedz?

— Och, przepraszam! Bardzo przepraszam! — zawołał Abel, nagle wzburzony. — Wybacz, ale nie mogę uwierzyć, że ktoś tu jest, tuż obok, choć go nie widzę, tak blisko... Człowiek, który podałby mi rękę, gdyby nie ten dzielący nas mur...

— Który przycisnąłby cię do serca, Abel! Bo z dna swojej rozpaczy nieświadomie przywróciłeś nadzieję mnie, starcowi... Żyj, Abel, żyj! Będziesz moim synem, Synem Światła, będziesz Min Tu.

Dopiero dużo później, jesienią roku 1973, Abel i Min po raz pierwszy się zobaczyli, odkryli się nawzajem. Abel, nigdy nie dowiedziawszy się dlaczego — lecz w komunistycznym systemie więziennictwa, co na własnej skórze już dawno zrozumiał, wszystko jest arbitralne, jak arbitralny jest pod każdym względem sam system — pewnego ranka został przeniesiony do innego skrzydła budynku, gdzie więźniowie siedzieli po dwóch. Cela była nie mniej ciasna od tej, którą właśnie opuścił i w której nawiązał kolejną przyjaźń, ale sekretniejszą, z pająkiem nazwanym Mimi. Piętrowa prycza najwyraźniej niedawno została tam zainstalowana — być może masowe aresztowania i uwięzienia w kraju zmusiły do podwojenia w ten sposób liczby legowisk. Abel był jednak zbytnio umęczony, by zatrzymywać dłużej uwagę na takich kwestiach. Podobnie jak ledwo zauważył zmianę w stosunku dozorców względem siebie: kiedy w drodze do nowej celi potknął się na schodach, nie obsypali go kuksańcami, lecz przeciwnie, pomogli mu się podnieść.

Klucz w zamku przekręcono dwa razy i na blisko godzinę zostawiono go samego. Potem drzwi się znowu otwarły...

Min musiał użyć całego spokoju, jaki nabył w codziennym praktykowaniu filozofii, by przy dozorcy nie okazać rozpierającej go radości, kiedy ujrzał, iż jego towarzyszem niedoli ma być ten biały chłopak... Bez wątpienia Abel Young! Abel również rozpoznał w niewysokim, drobnym mężczyźnie o niezwykłej zabiedzonej twarzy starego bonzy, pogodnej i dobrotliwej, nie znanego nauczyciela, mistrza miłującego życie, którego dotąd tylko słyszał w karcerze, gdy przemawiał łagodnym, śpiewnym głosem. Najpierw spojrzeń' sobie w oczy, zbyt wzruszeni, żeby mówić. A kiedy zasunięto rygle w drzwiach celi, objęli się ramionami.

— A więc ty jesteś Abel.

— A ty Min! Mój przyjaciel, mój zbawca.

— Nie, nie, Abel, nie jestem twoim zbawcą. Ty sam miałeś pragnienie, tylko w sobie znalazłeś tę nadludzką siłę, która ci pozwoliła przewyższyć siebie.

— Ale bez ciebie...

— Abel, usłyszenie nagle tego wiersza Rimbauda, tych strof dosłownie boskich... to było dla mnie takie szczęście! Jak dla ciebie na pewno usłyszenie mojego głosu.

— Kim ty jesteś?
— Co tu robisz?
— A ty?
— Dlaczego cię uwięzili?

Obaj byli tak poruszeni, że zasypywali się pytaniami, większość pozostawiając bez odpowiedzi. A kiedy wreszcie nieco się uspokoili, Min rozpoczął opowieść o swoim życiu.

Min był ostatnim żyjącym członkiem Min Tu — „Dzieci Słońca", „Synów Światła".

Jak często bywało w przypadku bardzo zbiurokratyzowanych cywilizacji starożytnych, społeczeństwa wschodnie zawsze tworzyły w swoim łonie sekretne siły opozycyjne: sekty — a społeczeństwo wietnamskie czyniło to w szczególności. Sekty polityczne, sekty mistyczne, sekty fanatyków, wśród których Cao Dai ze swym osobliwym synkretyzmem religijnym są jednym z najpiękniejszych przykładów, podobnie jak Vietmin w początkach, zanim stał się partią.

Skupieni głównie w Tonkinie członkowie Min Tu tworzyli stowarzyszenie sekretne, ale różniące się od innych tym, że nie zabiegali o władzę, nie mieli żadnych osobistych ambicji, przede wszystkim zaś nie wierzyli w żadną transcendencję, a jedynie w wieczny powrót.

— Ale wieczny powrót to osobiste poznanie, a nie dogmat — zaznaczał Min. — To niejako owo wrażenie *dśjó vu,* które niekiedy nas opada, kiedy umysł próżnuje... Pojmujesz, o co mi chodzi, Abel?

— Tak, potrafię to zrozumieć. Kiedy w karcerze przypomniałem sobie ten wiersz Rimbauda...

— No właśnie.

Min Tu byli, ściśle biorąc, raczej bractwem ludzi szlachetnego ducha, rodzajem tajnego stowarzyszenia intelektualistów miłujących wolność i tolerancję. Ich ideałem było wywierać wpływ myślą i przykładem własnych zachowań, a nie siłą bądź indoktrynacją: uważali, że ich obowiązkiem nie jest nikogo pouczać, lecz żyć zgodnie ze swoimi nakazami moralnymi. W połowie lat trzydziestych w skorumpowanym społeczeństwie kolonialnym, później, po wojnie i zwycięstwie komunistów, w kraju totalitarnym chcieli podjąć próbę uchronienia bądź przywrócenia paru

cnót szlacheckich: męstwa, wspaniałomyślności, bezinteresowności, odwagi, ironii, afirmacji swojego ‚ja" ponad dobrem i złem, wiecznego osamotnienia człowieka wyższego. Owego osamotnienia jawnie pożądanego, które Japończycy streszczają w jednym słowie: *sabi.*

— Chwyciłeś, czym jest *sabi,* Abel? Uczucie transcendencji pojawiające się z nagła w najbanalniejszych sprawach codziennych, spokojna ekstaza w powszednim życiu...

— Chyba czasem coś takiego czułem w górach: raptem duch się odłączał od ciała i wykonywałem najbardziej niebezpieczne gesty, najtrudniejsze podejścia ze zdumiewającą łatwością. To tak, jakbym sobie przypominał, że już tamtędy szedłem, choć pierwszy raz wspinałem się na tę ścianę czy lodospad. Tak, miałem wrażenie, że po raz drugi przeżywam chwilę z poprzedniego życia, że powtarzam swoje gesty. I co ciekawe, wcale nie było to straszne. Przeciwnie: w moim stosunku do skały, do lodowca nie było już ani krzty gwałtowności, kochałem je. Nadzwyczajne doznanie. Później często starałem się je odnaleźć gdzie indziej, w innych okolicznościach.

— Widzisz, Abel, poruszasz tutaj coś bardzo istotnego. Nazwijmy to w braku lepszego określenia „wiecznym powrotem" . Ponieważ każdy z nas wiecznie wraca, powinien się przygotować do następnego powrotu, to znaczy doskonalić się, pielęgnować cechy właściwe człowiekowi, wyzbywać się tego, co jest w nim zwierzęcego i czynić świetniejszym to, co jest ludzkie. Żeby samą siłą swojej woli stać się potrzebnymw porządku wszechświata, a zatem dyskretnym, zwinnym i cichym jak drapieżnik w dżungli. Tak, żeby stać się w pełni człowiekiem w taki sam sposób, jak tygrys jest tygrysem...

Mistyczne zrównoważenie Min Tu nie zawierało w sobie ani cienia histerii, ani krzty próżnego bałwochwalstwa. Samą tylko spokojną pewność siebie, doskonałą pogodę ducha ludzi, którzy są dogłębnie przekonani, że nie ma co łudzić się nadzieją. Codzienne, zwyczajne bohaterstwo.

Wzajemna pomoc i poczucie braterstwa wśród wszystkich członków czyniło z organizacji Min Tu sektę. A także to, że na jedno wspólne konto złożyli swoje majątki, aby

zachować większą obojętność wobec pieniądza. Kapitał tak zgromadzony i zdeponowany najpierw w banku w Hongkongu, później zaś, dla większego bezpieczeństwa, w Szwajcarii, kiedy w roku 1967 prześladowania jeszcze się wzmogły, miał służyć nie do budowy świątyń albo kupowania wyznawców, lecz do utrzymania bibliotek i czegoś na kształt tajnych konserwatoriów, gdzie w całej pełni i na przekór wszystkiemu kultywowany byłby duch cywilizacji. Później, gdy nadejdą odpowiednie czasy—jeśli w ogóle nadejdą — zasoby finansowe miały być wykorzystane do uzbrojenia nowej generacji bojowników zahartowanych do walki z barbarzyństwem, młodych ludzi wykształconych w tajnych szkołach i klubach myśli filozoficznej, nauczonych nie ulegać indoktrynacji, a przeciwnie, samemu wyciągać wnioski i w każdych okolicznościach zachowywać poczucie krytycyzmu. Oni mieli być prawdziwymi „Dziećmi Światła", autentycznymi Min Tu...

Niestety! To, na czym zasadzała się intelektualna wielkość bractwa—bezinteresowność, tolerancja, wspaniałomyślność — w praktyce stanowiło także o jego słabości. Infiltrowane przez prowokatorów i opłacanych przez rząd szpiegów, zaczęło się rozpadać z początkiem lat 60. Niektóre sekcje zostały rozbite w czasie operacji zwykłej policji, a ujętych skazano na karę śmierci za „praktyki antyspołeczne". Sekta skupiła się wówczas w sobie. Latem roku 1967, aby położyć kres niepotrzebnym prześladowaniom, jej przywódcy postanowili zwołać zebranie plenarne, mające być ostatnim, ponieważ dla zmylenia zdrajców, w nadziei, że się wówczas zdemaskują protestując przeciwko tej decyzji, zamierzano na nim ogłosić rozwiązame się bractwa. Kiedy jednak trzydziestu ocalałych Min Tu zajmowało miejsca w podziemiach willi na przedmieściu Hanoi, gdzie odbywały się tajne rady, wybuchła strzelanina: wszyscy zginęli pod ogniem karabinów maszynowych z rąk pięciu zabójców z partyjnej policji politycznej. Jeden Min zdołał się uratować z pożaru, wywołanego przez morderców po masakrze, by zatrzeć wszelkie ślady potwornej rzezi, i cudem wylizał się z ran.

Dwa miesiące później został jednak zatrzymany i bez sądu wsadzony do więzienia jako element wywrotowy, nieodwołalnie stracony dla rewolucji.

— Przy aresztowaniu dowiedziałem się o śmierci wnuka. Torturowali go elektrycznością, żeby wyznał, gdzie się ukrywam, a kiedy biedne dziecko w końcu powiedziało, wykończyli je. Nie miał dziesięciu lat...

— Och, przyjacielu! A ja zamknięty w karcerze uważałem się za najbardziej nieszczęśliwego z ludzi! A ty mi tak łagodnie odpowiedziałeś, pamiętam: „Kto może się nazwać najbardziej nieszczęśliwym z ludzi?" Teraz rozumiem. Wybacz.

— Co mam ci wybaczyć, Abel? Byłeś naprawdę najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem w chwili, gdy to mówiłeś. Ponieważ wtedy za takiego się uważałeś. Ale ja cię nauczę jeśli nie szczęścia, to przynajmniej spokoju i pogody ducha. Spróbuję cię nauczyć...

— Nigdy się nie poddam!

— Mam nadzieję! A kto mówi o poddawaniu się?

Min — jego nazwisko brzmiało Nguyen Van Min — urodził się w początkach wieku w zamożnej rodzinie mieszczańskiej, należącej do nowo powstałej klasy kupieckiej, o którą administracja kolonialna bardzo zabiegała w celu stworzenia więzów z miejscową ludnością, gdy jej rządom zaczęto się sprzeciwiać. Wcześnie zauważono jego nieprzeciętną inteligencję i rodzice wysłali chłopca na uniwersytet w Szanghaju, potem zaś do Paryża. Po powrocie do Tonkinu został mianowany profesorem filozofii na wydziale w Hanoi. Czczony przez uczniów niby starożytny przewodnik duchowy, szybko zdobył sobie renomę geniusza oryginalnego i nonkonformistycznego. Wywierał na nich wpływ jak współczesny Sokrates czy Konfucjusz. Jego filozofia, pogodna, lecz rygorystyczna, dowcipna, lecz cechująca się wielkimi wymogami moralnymi i chętnie kontestująca, urzekała ludzi o niezależnych poglądach. Stanowiła cudowną lekcję życia i z tego też powodu Nguyen Van Min często miewał nieporozumienia z władzą. Wielu jeszcze Wietnamczyków ze wzruszeniem wspomina atmosferę wesołości i poufałości, w jakiej przebiegały jego wykłady. W społeczeństwie ciągle jeszcze patriarchalnym była to nowość wywołująca skandal. Min nie pozwalał, by otaczano go nabożną żarliwością, jaką ma się często wobec przewodnika duchowe-

go. Żartował ze swej popularności, podobnie jak dobrodusznie pokpiwał z uniwersyteckich notabli, i jego skromność była szczera. Studentom mawiał niekiedy:

— Jeśli już koniecznie chcecie kogoś podziwiać, to podziwiajcie samych siebie!

Tym jednak, co najbardziej w nim zadziwiało, była kultura encyklopedyczna, wiedza uniwersalna i swojska zarazem, dzięki której okraszał swoje wykłady filozofii przykładami żywymi i zawsze nieoczekiwanymi. Min, chociaż ze swego rodzaju kokieterii nie zgadzał się z tym, miał swoje zdanie na temat wszystkiego, co można wiedzieć, i entuzjazm prawdziwego naukowca, niezmiennie taki sam, nawet gdy wkroczył w wiek dojrzały. Kiedy Abel zapytał go, co by zrobił, gdyby go wreszcie uwolniono, odpowiedział z uroczystą powagą, zabarwioną dyskretną ironią mędrca:

— Ha, najpierw jeszcze raz bym przeczytał mojego ukochanego Marka Aureliusza. Niektórych fragmentów jego dzieła nauczyłem się na pamięć, ale nie przypominam ich sobie dokładnie. A potem, gdyby mi jeszcze sił starczyło, podjąłbym potajemną walkę o przetrwanie wielowiekowej cywilizacji Chin, której zagraża śmierć z powodu ikonoklastycznej głupoty maoistów. Zacząłbym znowu walczyć o utrzymanie w Japonii ducha wiecznej samotności i żeby nie umarła jej kultura pod wpływem przesadnej okcydentalizacji. I wreszcie tutaj, w moim kraju, sam, skoro już tak musi być, starałbym się, żeby ten biedny naród odzyskał swoje cechy: finezję, złośliwość, dowcip, inteligencję, niemal zupełnie zniszczone przez propagandę i pranie mózgów, którym jest poddawany od zwycięstwa Vietminu. Sam widzisz, przyjacielu, co za osobliwy siedzi we mnie brak skromności! Jaka dziecięca próżność, prostacki bezwstyd w takim starym jak ja małpiszonie. Którego właściwie już nie ma. Bo ja niedługo umrę...

— Och, co ty wygadujesz!

— Umrę, synu, wiem. To już kwestia kilku tygodni...

Min, wycieńczony okrutnym traktowaniem w więzieniu, jakie niewzruszenie znosił od blisko pięciu lat, istotnie wiedział, że niewiele mu już życia pozostało. Zanim poznał Abla, rozpacz budziło w nim to, że w więzieniu nie znalazł towarzysza godnego przejąć jego nauki, że musi umrzeć

niejako bez intdektualnego spadkobiercy. Lecz kiedy zza mokrej ściany karceru, gdzie go zamknięto za zgoła niewinny czyn buntowniczy — odmówił czytania na głos innym więźniom pism rzekomo „filozoficznych" Lenina—usłyszał konający głos nieznajomego, który w pierwszej chwili agonii znalazł jeszcze siłę, by wykrzyczeć wspaniały wiersz Rimbauda i opiewać wieczność, wtedy Min zrozumiał. Zrozumiał, że ten młody Amerykanin będzie jego synem duchowym, któremu przekaże swoją mądrość.

— To będziesz ty! Od razu zrozumiałem, że to będziesz ty...

I w jakąż nieopisaną wpadł radość, kiedy odkrył, że człowiekiem mającym dzielić z nim celę, do której wepchnął go dozorca, jest nie kto inny jak Abel Young! Żałosny ludzki wrak, wychudzony, zeszpecony, na poły nieżywy i wydzielający charakterystyczny smród konających—ale w rozgorączkowanym, dumnym spojrzeniu błyskała iskierka nieposkromionego tygrysa. Ten człowiek w najcięższych okowach zawsze będzie człowiekiem wolnym, pomyślał wówczas, będzie Min Tu.

— Tak, Abel, uczynię cię Synem Światła!

Abel jednak godnie zachowa dla siebie tajemnicę owej duchowej iluminacji, owego zmartwychwstania. Podobnie jak z poczucia taktu słowem odtąd nie wspomni o największym poświęceniu swojego mistrza, który dokonał samo-spalenia, by on i Fierce Fist Joe mogli uciec z obozu pracy, gdzie przeniesiono ich na wiosnę 74 roku. Podobnie jak w trosce o moralną elegancję powstrzyma się od wspominania owych czterech sezonów w piekle, jakie później przeżył w południowowietnamskim obozie koncentracyjnym, kiedy ich na nowo uwięziono, samolot bowiem, którym on i Fierce Fist Joe uciekli, został zestrzelony. I nikomu nie powie o kolejnej agonii, jaką przyszło mu doświadczyć pod stosem trupów, gdy więźniów Khuo Mai wymordowano tuż przed ewakuacją. Nikt się nie dowie, co to znaczy spędzić całą noc na martwym przyjacielu, w jego krwi.

„W mrokach duszy, w ciemności serca, nieme pozostańcie trwogi usta. Zamilknij, mój strachu, lęku mój, ucichnij, jak cichnie strapienie dziecka, gdy utulić je do snu — po

przebudzeniu nie będzie pamiętać..." — kiedy ogarniała go chęć zwierzeń, przypominał sobie te słowa poety.

Nie, Abel nic więcej nie powie. Ta historia na zawsze pozostanie jego historią. Chyba że kiedyś on także będzie miał syna, którego zechce nauczyć, jak być człowiekiem.

Jak być „Ablem", nie „Kainem"...

* *

Zobaczysz, Abel: niczym tygrys wejdziesz w życie. A kiedy wybije godzina Tygrysa, w porze, gdy drapieżcy wstają, by iść do wodopoju, a ludzie, by się mścić, ty wrócisz—jak zawsze powraca wieczność!

W wietrzny wrześniowy poranek, przejrzysty i świetlisty, biegł w mżawce rozpryskujących się fal po miękkiej piaszczystej plaży Cape Cod, rozmyślając o innym zmartwychwstaniu, bliższym w czasie, jeszcze bardziej spektakularnym: o zmartwychwstaniu swojego ciała.

Sześć miesięcy tylko upłynęło między chwilą, gdy niczym we śnie ujrzał pośród chmury gryzącego dymu na nabrzeżu w Da Nang sylwetkę Richiego Garrymore'a, i obecną, kiedy doświadczał fizycznej rozkoszy biegnąc tak, krokiem miękkim i nerwowym niby tygrys.

Kilkakrotnie Richie Garrymore jeździł tam i z powrotem ze Stanów do Francji, by odwiedzić Abla w Chamonix i na bieżąco informować go o stanie prac nad wypuszczeniem „Imagine". Za każdym razem był wstrząśnięty zmianą, jaka dokonywała się w Ablu, którego znalazł przecież wycieńczonego, niemal bez życia na ulicy w Da Nang. Co prawda lekarze w Hongkongu dali do zrozumienia, że niewątpliwie zdoła po części odzyskać siły dzięki swej zadziwiającej witalności, która pozwoliła mu przeżyć, Richie jednak nigdy by nie pomyślał, że rekonwalescencja może przebiegać tak szybko, że postępy mogą być tak nadzwyczajne. Na własne oczy oglądał coś o wiele wspanialszego i bardziej wzruszającego od zwykłego ozdrowienia: mianowicie odrodzenie.

— Widzisz—powiedział mu Abel, kiedy się pierwszy raz ponownie zobaczyli, a uparł się wtedy, że sam wyjedzie po przyjaciela na lotnisko genewskie, by mu pokazać, jaka

wróciła mu swoboda w zachowaniu, jak energicznym ki'o-kiem chodzi—widzisz, Richie? zdrowie wraca w tę cholerną powłokę. Robak nie chciał zdechnąć. Patrz! Tyję w oczach. Tyle że tu nie ma tłuszczu, możesz pomacać!

I z udawaną pyszałkowatością atlety dumnego ze swej siły napinał chude bicepsy, prężył ledwie rysujące się mięśnie torsu. To było w maju.

W czerwcu Richie przyjechał na trzy dni, przywożąc plany, makiety, kosztorysy i pierwsze umowy podpinane przez przyszłych współpracowników pisma. Kiedy wysiadł z taksówki przed domkiem Servozów, Abel grał w piłkę z chłopcami gospodarzy i ich kolegami. Prowadził rozgrywkę, poświęcał się bez reszty, skakał jak dzieciak, biegał do utraty tchu, śmiał się na całe gardło, rzucał do piłki—był tak pochłonięty zabawą, że nie zauważył przyjazdu Richicgo. Richie zaś, nim go zawołał, przez chwilę stał oparty o drewniane ogrodzenie i z przyjemnością przemieszaną z jakąś dziecięcą zazdrością patrzył, jak Abel bawi się swobodny, beztroski. A kiedy ten go wreszcie spostrzegł, wcale Ąie poniechał gry. Po prostu w akrobatycznym, pełnym wirtuozerii podaniu posłał mu piłkę wołając:

— Łap!

Och! pomyślał wtedy Richie, jaki wstrętny uśmiech starca w twarzy tak młodej, tak nieznacznie napiętnowanej cierpieniem. Po ośmioletnim niedożywieniu bowiem Ablowi zostało jedynie kilka odrażających żółtych, chwiejących się pieńków.

Lecz w lipcu Richiego powitał olśniewająco biały uśmiech.

— Och, Abel! tak się cieszę! Nie śmiałem ci o tym mówić...

— To we mnie jedyna rzecz sztuczna! — zażartował Abel. — Reszta jest moja, naprawdę moja!

Ale Richie zdziwił się, że jeden górny siekacz jest ukruszony.

— Ach, to? To taka niewinna kokieteria. Doktor Ohawa z Genewy, który podrabiał zęby największym włoskim gwiazdom, bardzo się zdumiał, gdy wszystko było skończo ne, a ja poprosiłem, żeby mi go ułamał. Musiał już za spokajać najbardziej ekstrawaganckie zachcianki: niektórzy

piosenkarze rockowi każą sobie w kieł wstawiać diament, żeby błyszczał w świetle reflektorów, pewien emir zamówił u niego kiedyś komplet protez na'wszystkie dni tygodnia we wszystkich możliwych odcieniach kości. Ale nigdy jeszcze facet nie powiedział mu: drogi doktorze, doskonale, nie może być lepiej, ale czy byłby pan teraz łaskaw ułamać mi ten siekacz? Tak, tak, nie przesłyszałeś się: ułamać!

— A to się Kelly uśmieje, kiedy mu o tym opowiem! Przecież pytanie o ten ząb dręczyło go obsesyjnie, odkąd cię poznał...

— Wiem, zauważyłem to. Drogi Robert, był strasznie na bakier z tymi kwestiami, straszny sztywniak, jak to się teraz mówi! O widzisz, to kolejne wyrażenie, które odkryłem w gazetach: nie mówiło się tak za... Do licha! miałem powiedzieć: za moich czasów!

— Gdybyś dzisiaj zobaczył Roberta, nic poznałbyś go. Z nas trzech on naprawdę najbardziej wygląda na hipisa.

— Na hipisa! Nigdy bym nie uwierzył, jeszcze studiując w Berkeley, że to się tak upowszechni. Jak piosenki Boba Dylana.

— A tak, ty znałeś tylko początki: „kochajcie się, nie walczcie", muzyka psychodeliczna, haj. I to już minęło. Dylan też włożył biały smoking i zaśpiewał *Blue Moon* jak Frank Sinatra. Niedługo trzeba będzie dać Robertowi do zrozumienia, że włosy do ramion są tak samo niemodne jak trzyczęściowe antracytowe garnitury w jasne paski!

— Nie, stary, nic mu nie mów. Niech sobie żyje, jak chce.

— Żartowałem, Abel... Ale wiesz, że miałeś rację namawiając go do kierowania gazetą? Wcale do swojej funkcji nie podszedł lekko albo jak do stanowiska czysto honorowego. Na kolegiach chyba on wnosi najwięcej pomysłów.

— Wcale mnie to nie dziwi! Biedaczysko, zdaje mi się, że mój ojciec był tyranem. I przez cały ten czas, kiedy pracowali razem, Robert musiał się czuć diablo szykanowany. A potem przyszło mu jeszcze trawić tego kretyna Jeremy'ego. Teraz Robert G. Kelly bierze odwet. Tak samo jak ja niedługo wezmę...

I Abel zrywał boki ze śmiechu, Abel chrupał jabłko, Abel turlał się w wysokiej trawie na łące, w objęciach trzymając małego Abla Servoza, który też zrywał boki ze śmiechu. Abel

obwieszczał odzyskaną radość życia z błazeńskim brakiem skromności:

— Popatrz tylko na mnie! Trzydzieści trzy lata, przystojny, bogaty, inteligentny, wykształcony, dowcipny — i w świetnym zdrowiu! I skromny, jak sam możesz stwierdzić. Musisz się trzymać, Richie, teraz na tych twoich oszołamiających party i nocnych przyjęciach wszyscy będą na mnie patrzyli! Jak tylko się zamelduję, dziewczyny padną mi do stóp. Skończyło się twoje panowanie, przyjacielu! Panie i panowie, oto nowa maskotka „całego Nowego Jorku", ja, niejaki Abel Young!

I kłaniał się oklaskującej go wyimaginowanej publiczności — triumfował!

Kiedy w sierpniu Richie przyjechał do Praż, Abla tam nie było.

— Wczoraj rano on i Jacąues poszli na rzekomo krótki spacerek i jeszcze nie wrócili—poinformowała go Colette na przywitanie. — Dzwonili ze schroniska Cosmiques, żeby mi powiedzieć, że idą dalej. Bóg wie, co tym dwóm znowu strzeliło do łbów! Dopiero teraz widzę, że zabrali śpiwory. A więc wszystko sobie wcześniej obmyślili. Wariaci!

Richie się jednak nie zaniepokoił: darzył Abla swego rodzaju naiwną wiarą. Uważał go teraz raczej za nieśmiertelnego. I wiedział, jak ogromne ma Jacąues we wszystkim poczucie odpowiedzialności. A obiecał przecież przyjacielowi: „Tak, tak, Abel, wiem, o czym myślisz, choć nigdy mi tego nie mówisz; daję ci słowo: kiedy wyczuję, że cię na to stać, zbierzemy się razem na wspinaczkę..." Oznaczało to zatem, że Abel wygrał ostatnią walkę z sobą samym.

Zeszli w dolinę pod wieczór, wyczerpani, lecz szczęśliwi i dumni, że jak dziesięć lat wcześniej z takim samym spokojnym zapamiętaniem deptali wieczne śniegi. W Ablu wypad w góry dokonał przemiany: tego wieczoru nie było w jego wzroku nieokreślonego smutku, jaki w nim zawsze widniał, nawet w chwilach najbardziej nieokiełznanej radości...

Nadal jednak zdarzało się, że w porze zmierzchania ogarniała go melancholia. Myślał wtedy o zmarnowanych najpiękniejszych latach: ukradziono mu młodość, tak samo

jak ukradziono mu dzieciństwo. Wspominał swoją Ma, zmarłą, kiedy się dowiedziała o jego śmierci. Wspominał Thomasa Haynesa. Ponieważ Abel natarczywie domagał się prawdy, Jacąues w końcu mu ją wyznał, choć z wielką ostrożnością: ten, którego nazywano „księciem Yosemite", najlepszy górołaz swojego pokolenia, został ciężko raniony w Wietnamie i teraz przykuty jest do wózka inwalidzkiego z nieodwracalnie sparaliżowanymi kończynami i mocno osłabiony na umyśle.

— Biedaczysko, nigdy z tego nie wyjdzie. Jego rodzice napisali do mnie, że czasem, w chwilach przytomności, mówi im o tobie i o mnie. Ale stracili już nadzieję, że kiedykolwiek odzyska w pełni pamięć i rozum...

— No i popatrz, jakie ja miałem szczęście! — rzekł na to Abel z prostotą. — Wojna, co za potworność!

Wspominał Hoangów, o których bez wątpienia nigdy więcej nie usłyszy, Doaha, swojego posługacza, który stracił żonę i dzieci w bombardowaniu, wspominał uroczą Nam Hoę, ich zabawy, s^niech, wspominał biedaków z wiosek w Żelaznym Trójkącie, których widział, jak wsiadali do wywożących ich ciężarówek armii amerykańskiej; wspominał masakry i tortury, których był świadkiem. Potem wspominał Mina i jego uśmiech świętego, wspominał starego mędrca i znowu go widział, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami pośrodku pasa startowego, jak oblewa się benzyną, podpala ją zapałką i bez jednego krzyku czy jęku powoli osuwa się na ziemię, a gigantyczny płomień strzela wysoko z jego wychudłego ciała, z ciała już zwęglonego. Wtedy Fierce Fist Joe i on biegli do samolotu, do wolności — tak sądzili. W rzeczywistości do kolejnego więzienia, jeszcze gorszego od piekła, jakiego Abel dotąd zaznał...

Albo też—i melancholia stawała się wtedy łagodniejsza, przyjemniejsza, a zarazem bardziej natarczywa, i łzy spływały mu wtedy po policzkach, łzy, których nie starał się otrzeć — wspominał Johanne. Swoją jedyną miłość, powiedział Servozom, swoją jedyną miłość...

Czy jednak rzeczywiście głęboko, szczerze pragnął się dowiedzieć, co się z nią dzieje? Czy szczerze i głęboko pragnął ją ujrzeć? Czasami Abel zaczynał powątpiewać w samego

siebie, we własne uczucia. Niemożliwe, żeby Johanna, jak to się mówi, „nie zaczęła życia od nowa" z innym mężczyzną: czy potrafi znieść jej widok z tamtym człowiekiem? I czy ma prawo wprowadzać zamęt w jej życie, jeśli odnalazła spokój, jeśli o nim zapomniała? Powinien zatem czekać, aż ona pierwsza się z nim skontaktuje, kiedy się dowie, że przeżył —czy jednak w takim wypadku nie ryzykuje, że będzie na nią czekał w nieskończoność, że w nieskończoność będzie się łudził nadzieją, lecz daremną? Och, jakże dwuznaczna była to sytuacja: dlaczego, dlaczego na domiar wszystkiego rozstali się w gniewie owego smutnego wieczoru w październiku 68 roku? „Johanna, dlaczego?..."

„Och! Abel, Abelito..."

Czasami też, zamknąwszy tylko oczy przed zaśnięciem, widział ją znowu, słyszał, jak miłośnie szepcze jego imię w ten sobie właściwy sposób. I wtedy jakby go przyzywała do powrotu. Nie, nigdy go nie zapomniała, mówiła mu, był jej miłością jedyną i na zawsze...

Nie, nie, dłużej nie powinien się wahać, nie powinien zwlekać. Chęć ponownego ujrzenia jej była najważniejszym powodem, być może jedynym, dla którego przez te długie lata męki pragnął żyć. Miałby tego poniechać teraz? Teraz, gdy czuł się dość mocny i zdecydowany, by stawić czoło potwornemu wzruszeniu, jakiego niechybnie dozna ujrzawszy ją?...

Nie — pojedzie. Ale nikomu słowem o tym nie wspomni. To będzie jego tajemnicą. Richie Garrymore, Robert G. Kelly i Ed Barrett, który prowadził jego sprawy, będą go oczekiwali 18 na lotnisku Kennedy'ego — tak zostało ustalone. Lecz on po cichu już 14 przyjedzie do Stanów. Poleci nie do Nowego Jorku, a do Bostonu. I zaraz ruszy do Provincetown, gdzie Johanna mieszka teraz latem.

Nie chciał się też niczego więcej o niej dowiadywać. Przedstawiając się zmyślonym nazwiskiem, zadzwonił do San Francisco do jej ojca, który nie rozpoznał go po głosie. Abel nie pytał pana Jonesa, co się dzieje z córką, czy wyszła za mąż, czy ma dzieci, czy pracuje, poprosił tylko o jej adres, powoławszy się na „starą znajomość" z Berkeley, skąd przeniósł się w roku 67 za granicę. „No a potem straciliśmy się z oczu, wie pan, jak to jest: pewnego dnia człowiek

przestaje odpisywać na listy, a potem tego żałuje!" Jones, o nic nie pytając, powiedział mu, że Johanna mieszka teraz w Nowym Jorku, ale ma też dom na przylądku Cod, gdzie zostanie do 20 września. Czy Abd chce także numer telefonu? „Nie, adres wystarczy..."

Nie chciał się bowiem nawet zapowiadać, w jakikolwiek sposób uprzedzać ją o przyjeździe: miało to być niejako mistyczne spotkanie po latach.

I symboliczne, ponieważ natychmiast potem zamierzał wyjechać. Uznał, że nie ma prawa burzyć jej życia.

Ale zobaczyć ją, och! zobaczyć ją...

Znowu usłyszeć, jak mówi:

— Abel, Abelito, kochany...

Serce biło mu szybciej, mocniej, gardło miał ściśnięte i z trudem przełykał ślinę.

Przejechał raz przed domem, lecz zabrakło mu odwagi i pojechał dalej, aż do latarni morskiej. Potem, zawróciwszy na cyplu, jadąc na pierwszym biegu znalazł się w tym samym miejscu.

Tu właśnie mieszkała Johanna — zaparkował cadillaca na piaszczystym tarasie naprzeciwko domu.

Był to uroczy drewniany budynek pomalowany na kolor jaskrawoczerwony, pokryty małymi dachówkami modnymi w tej okolicy, zaopatrzony w typowe białe okiennice i drzwi. Białą miał również drewnianą galeryjkę na fasadzie od strony zatoki Cape Cod; parkan ochraniał go przed wiatrem i odwiecznym nasuwaniem się wydm. Zamiast trawnika tu i ówdzie rosła jedynie kępka wydmuchrzycy i stało uschnięte stare drzewo o korze przeżartej solą. Cudem natury zaś w miejscu tak wystawionym na działanie wiatrów wydawały się róże pnące, które zwisały z odrapanych słupków starej pergoli. Mimo wszystko miejsce to nie sprawiało wrażenia opuszczonego — przeciwnie: miało w sobie coś powabnego, wesołego. Domek lalki, pomyślał Abd. Dwa lśniące duże rowery i jeden dziecięcy oparte o podest w kształcie półksiężyca, białe szydełkowe firanki w oknach o małych, nieskazitelnie czystych szybkach, świeżo ścięte kwiaty w wazonie ustawionym na parapecie okna wykuszowego, po drugiej stronie drzwi wejściowych, w pomieszczeniu, które

musiało być przestronną kuchnią pełniącą zarazem funkcje jadalni, błyszczące miedziane rondle, a wyżej, na strychu, otwarty lufcik i wybiegające przezeń strumienie muzyki — pieśń Schuberta.

Wydawało się, że to dom, w którym miło jest żyć.

Wysiadł z samochodu i z udawaną nonszalancją oparł się o drzwiczki. Wzruszenie go paraliżowało, daremnie starał się nabrać kontenansu na wypadek, gdyby ktoś w domu ukradkiem go obserwował zza firanki.

Nigdzie jednak nie było najmniejszego ruchu. I Abel długo tak stał w oczekiwaniu. Po pieśni Schuberta zapadła na krótko cisza, po czym rozległy się dźwięki symfonii Mahlcra.

Później przed dom wyszedł ładny niebieskooki i jasnowłosy chłopiec w kasku na głowie, w ochraniaczach na łokciach i nogach, z deskorolką pod pachą.

Kompletnie obojętny na obcego, który go obserwował z nieskrywanym zaciekawieniem, zaczął na środku asfaltowej jezdni popis na przezroczystej desce z żywicy. Abel podziwiał jego swobodę i zręczność: chłopiec z wirtuozerią wykonywał najbardziej skomplikowane figury, prostował tor i chwytał równowagę w najniebezpieczniejszych chwilach. A nie był taki duży, miał najwyżej z osiem lat.

Nagle zatrzymał się i przykucnął niedaleko cadillaca, by coś naprawić przy deskorolce narzędziem podobnym do klucza francuskiego, który przyniósł sobie z torebki przy rowerze.

— Zepsuła się? — zagadnął Abel.

Chłopiec nie od razu odpowiedział. Usiłował odkręcić śrubę i przybrał minę poważną, zaabsorbowaną — przez co wyglądał bardzo pocieszne — majsterkowicza, któremu w pracy przeszkodził natręt.

Rozbawiony Abel przykucnął przed nim i powiedział:

— Może mógłbym ci pomóc?

Lecz chłopiec lekko zniecierpliwiony odparł:

— Nie. Próbuję coś.

— Jakie coś?

— Żeby szybciej jeździć. Trzeba rozluźnić takie jedno.

— Jakie jedno?

— Och, no takie jedno.

I wzruszył ramionami — co miało pokazać, że zna stosowne terminy, tylko uznał, iż naprawdę nie warto dawać obszerniejszych wyjaśnień. Czego zresztą chciał od niego ten obcy?

Zapadło milczenie — w terminologii bokserskiej nazwano by je „rozpoznaniem".

Potem Abel znowu malca zagadnął. Ale nie przynaglając młodego rozmówcy, ten bowiem był w wieku, kiedy lubi się demonstrować kształtujący się charakter, w razie potrzeby przejawiając upór bądź zachowując się niegrzecznie. Szło więc o to, by nie za bardzo okazywać swoją dorosłość, a raczej spróbować łagodnie mu się przypodobać i przypochlebić.

— Wiesz? Fajnie sobie radzisz na deskorolce.

— Nie najgorzej. Ale Kevin £vans, taki kolega, jest jeszcze lepszy: robi potrójną ósemkę i wyrównuje.

— Ach, tak! Kevin Evans. Potrójną ósemkę i wyrównuje! Fiuuu! Ale ten Kevin jest pewnie większy od ciebie, nie?

— Nie. On ma osiem lat, a ja prawie osiem i pół.

— Prawie osiem i pół?

— Tak.

— A jak ty się właściwie nazywasz?

— A pan?

— Ja? Abel.

— Ha! ja tak samo!

— Jak to?

— No, Abel.

Oniemiały, zrazu nie dowierzając, Abel, ciągle przykucnięty przed chłopcem, musiał się podeprzeć ręką, by nie upaść.

— Abel? — powtórzył głucho.

Miał mgliste przeczucie, że oto zaraz dokona się przed nim odkrycie. Lecz jakie? Że to dziecko z pewnością jest dzieckiem Johanny. I że dała synowi takie imię przez pamięć o nim. Tak, bez wątpienia. Ale nie tylko to — więc co jeszcze? I dlaczego tak drżał, pytając:

— Abel i jak dalej?

— Abel Jones — odparło dziecko. — Abel Jones junior.

Johanna nie wyszła więc za mąż. Chyba że poślubiła jednego z mnóstwa w krajach anglosaskich ludzi noszących

takie samo nazwisko? Kiedy tak Abel przypatrywał się chłopcu, zaczęło go ogarniać rosnące wzburzenie: malec kogoś mu przypominał. Ale kogo? Nie był podobny do Johanny. Był blondynem, a ona brunetką, nie miał jak Ablowa „cyganka" oczu o nieokreślonej szarozielonej barwie, lecz porcelanowoniebieskie, bardzo jasne. Ach, kogóż on przypominał, kogo Abel znał, albo wydawało mu się, że zna? I dlaczego, dlaczego zaznaczył, że jest Junior"?

I Abel spytał natarczywie — z gwałtownością, która wywarła na dziecku wrażenie, wystraszyła je:

— Dlaczego powiedziałeś: junior? Dlaczego?

I malec odpowiedział, lecz ze zniecierpliwieniem w głosie, jak gdyby za absurd uważał mówienie czegoś tak oczywistego:

— Bo mój ojciec nazywał się Abel, ol

— Nazywał się... Czyli go... nie ma?

— Nie ma. Umarł!

— A więc rozumiesz, co znaczy słowo „umrzeć"?

— Jasne: to jak się już nie żyje i leży się na cmentarzu.

— Powiedz mi jeszcze, Abel: jak on się nazywał?

— Kto?

— Twój ojciec.

— Przecież mówiłem, że Abel.

— Ale jak miał na nazwisko...

Abel był teraz tak wzburzony, że z niejakim trudem przychodziło mu formułowanie pytań. Instynktownie pojmując jednak, że nieznajomy nie słucha go z owym nieprzyjemnym roztargnieniem, jakie zwykle cechuje dorosłych, że przeciwnie, natęża całą uwagę, chłopiec poczuł, iż spoczywa na nim swego rodzaju odpowiedzialność: musi odpowiadać spokojnie, grzecznie. Co więcej, musi zaznaczyć swe zainteresowanie, odrywając się od majstrowania przy deskorolce.

— Nie wiem — odrzekł uprzejmie i z szacunkiem. — Mama i tato mówili mi, ale zapomniałem.

— Tato? Nie rozumiem. Nie wiesz, jak się nazywa twój tato?

— Wiem: tato nazywa się Alec.AJ.ec Philips, jeśli to pana ciekawi. Ale mój ojciec...

Ablowi wydawało się, że przeżywa sen na jawie mniej zrozumiały niż najmniej zrozumiały ze snów: wszystko się w nim gmatwało. Rozumiał i nie rozumiał. Domyślał się już prawdy, lecz nie śmiał się jej w pełni domyślić.

— Ale kto był twoim ojcem? — podjął z patetycznym uporem.

Do oczu mimo woli napływały mu łzy.

Mały Abel, zaintrygowany widokiem dorosłego, w dodatku mężczyzny, płaczącego z niewiadomej przyczyny, odpowiedział z powagą nie pasującą do jego wieku:

— Nie znałem go. Umarł, zanim się urodziłem.

— Wiesz o tym? Kto ci powiedział?

— Mamai tato.

— To mama i tato opowiadają ci o nim?

— Tak. To był pan bardzo duży, bardzo ładny, bardzo dobry i bardzo silny: wspinał się na goryl Na pewno nie beczał jak pan. Ale kiedy jestem niegrzeczny, mama mi mówi, że robię przykrość mojemu ojcu...

— Twojemu ojcu...

— Tak. Temu panu, co się wspinał na góry. No i czasem mama też zaczyna płakać, jak mi o nim opowiada...

Wtedy Abel w nieopanowanym porywie uczucia chwycił w ramiona dziecko, zrazu nazbyt zaskoczone, by się wyrywać, i z całych sił uścisnął je i ucałował.

Ach, wiedział, wreszcie wiedział, kogo tak bardzo Abel Jr mu przypominał, do kogo był tak podobny: do niego, do swojego ojca...

I zobaczył siebie w swoim synu. Zobaczył chłopczyka bawiącego się na placyku przed zajazdem w Modesto. Zobaczył siebie witającego radosnymi okrzykami pana w cadillacu...

Lecz Abel Jr nie będzie próbował popełnić samobójstwa: jemu bardzo wcześnie, jeszcze w dzieciństwie, w wieku, gdy wszystko wydaje się normalne, wyjawiono tajemnicę jego pochodzenia. Za ojca miał bohatera. A do kochania tatę...

Abel natychmiast instynktownie, impulsywnie zaaprobował postępowanie Johanny. Jednakże odkrycie, że ma syna, tak mocno go poruszyło, że przez chwilę czuł się

zdeprymowany: co teraz powinien uczynić? Jak ma postąpić, by nie zdenerwować tego dziecka, by nie narazić go na utratę spokoju na zawsze?

Ale przecież ośmioletnie dziecko żyje w baśniowym świecie, gdzie pojęcia jeszcze nie są w pełni ukształtowane, gdzie ktoś może być żywy lub martwy. Tak, Abel powinien się zdecydować na poruszenie w posadach uczuciowego świata swego syna, zanim się ostatecznie uformuje. Bo to był jego syn! Jego syn! Miał przed sobą własnego syna! Swojego syna tulił do serca i obsypywał pocałunkami, pieszczotami, oblewał łzami.

— Słuchaj, Ablu Juniorze — powiedział, gdy w końcu zdołał odzyskać nieco panowania nad sobą, specjalnie dobitniej wymawiając Junior"—bądź grzecznym chłopcem i zrób coś dla mnie, dobrze? Pójdziesz do mamy i powiesz jej, że ten pan, który wspinał się na góry... no więc powiesz jej, że wrócił. Ale musisz to zrobić delikatnie, przytulić się do niej, mówić cicho, jak wtedy kiedy jest zmartwiona, a ty chcesz ją pocieszyć. Rozumiesz, Ablu Juniorze? Rozumiesz, skarbie? Jesteś już duży, potrafisz zrozumieć...

Chłopiec patrzył na ojca z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Abel zaś, otarłszy wierzchem dłoni łzy, ciągnął:

— Nie od razu jej to powiesz. Najpierw ją uściskasz, bardzo, bardzo czule przytulisz się do niej. Nie trzeba, żeby się wystraszyła, rozumiesz?

— Mam zrobić tak jak wtedy, kiedy coś przeskrobię i boję się jej powiedzieć?

— No właśnie. Dokładnie tak. No idź już, skarbie, idź już!

Abel Jr żywo wyrwał się z objęć ojca i z zatroskaną miną zauważył:

— Ale proszę pana, ten pan, co się wspinał na góry, umarł.

Abel raz jeszcze go uściskał, po czym rzekł:

— Nie, nie umarł, skarbie. Jest tutaj, przed tobą.

Tym razem Abel Junior przestał cokolwiek rozumieć. Nie oglądając się za siebie pobiegł do domu.

Upłynęło kilka nieznośnych minut śmiertelnego niepokoju, ogromnej niepewności — Abel czuł, że lada chwila zemdleje.

Potem muzyka nagle ucichła. Abel ujrzał, że firanka się poruszyła, czyjaś sylwetka mignęła w oknie na piętrze. Usłyszał tupot spiesznych kroków na schodach...

Johanna!

Drzwi się otworzyły, zeszła po trzech stopniach na podjazd i upadła — nieprzytomna.

* *
*

Ach, będzie jak przedtem! Będzie lepiej niż przedtem...

Teraz będzie kroczyła przez życie u boku tego, który ją na zawsze pokochał, który ją zawsze kochał i którego ona zawsze kochała, na zawsze pokochała. Będą wiedli egzystencję z nową pewnością, wzajemną wiarą w siebie, której nic nie zdoła zachwiać. To było coś więcej niż spotkanie po latach: ich rozłąka została wymazana.

Czymże byłaby teraz bez niego? Czym w ogóle była przez te wszystkie długie lata?

Naturalnie Alec ją pokochał, nadal kochał. A przyjaźń, jaką mu w zamian ofiarowała, z czasem, gdy przeszłość odchodziła w zapomnienie, przerodziła się w głęboke, szczere uczucie, zawierające akcenty namiętności. W oczach ludzi obcych, znajomych, nawet bliskich ona i Alec stanowili idealnie dobraną parę—zazdroszczono im: nieczęsto zdarza się, żeby studencka sympatia stała się tak długotrwałym, tak stałym, tak silnym związkiem. A że w ich zachowaniu nie było nic sprzecznego z tym wrażeniem, kto mógł przypuszczać, na czym wspierało się to wszystko? Bo w ducha, w najgłębszych zakamarkach serca Johanna żywiła miłość do innego, do tego, którego zawsze kochała.

Niel nie zdołała zapomnieć i wbrew pozorom czas niczego nie zatarł. Po prostu oszukiwała. Żeby nie cierpieć. Żeby mimo wszystko żyć. Żeby przeżyć...

Kiedy sobie to jednak przemyślała, kiedy obiektywnie się oceniła, zrozumiała, że zawsze zdradzała Aleca. I faktu tego

nie zmieniało nawet to, że z człowiekiem umarłym: zawsze go zdradzała.

Siedzieli na przykład przy kominku i gawędzili o wszystkim i o niczym, jak dwoje ludzi od dawna w sobie zakochanych. Nagle myśli jej uciekały, przestawała słyszeć Aleca: mówił do niej Abel.

Albo kiedy się kochali — a Alec był świetnym kochankiem: czułym, tkliwym, uważającym, namiętnym i delikatnym, potrafił ją zadowolić — lecz w chwili spełnienia, zaspokojenia, nadal Abel tulił ją do siebie tak gwałtownie, tak rozpaczliwie.

To znowu, obudzona w środku nocy przez koszmarny sen, wtulała się jak mała dziewczynka w ramiona Aleca, który czule ją uspokajał. Lecz po chwili zagubienia znowu ogarniał ją przemożny sen i wtedy w jej marzeniach pojawiał się Abel, obejmował ją jak Alec chwilę przedtem. Abel, Abel, Abel...

Tak, żyła jako kobieta niewierna. Jej miłość do Aleca była kłamstwem. Może i ładnym kłamstwem, płynącym z dobroci serca — ale mimo wszystko kłamstwem. Alec zresztą często musiał odczuwać, że tak właśnie jest, dziesiątki razy bowiem prosił, by za niego wyszła, i ciągle słyszał tę samą odpowiedź, wyrażaną tonem zabarwionym wszelkimi odcieniami szacunku, czułości i współczucia: „Nie, Alec, zawsze będę mówiła nie!" Pewno czuł się jak zdradzany mąż, skoro w osiem lat po zniknięciu Abla Johanna czasem nazywała go Ablem — czy to przez roztargnienie, bo była szczęśliwa i zapominała się w jego ramionach, czy też przeciwnie, gdy natarczywe wspomnienie z okresu, kiedy żyła z n i m, z Ablem, pogrążało ją w melancholii. Słowem, za każdym razem, gdy przestawała ukrywać najdroższe, najtajniejsze uczucie.

Życie biegło, niby proste i spokojne, w gruncie rzeczy jednak trudne — będące ciągiem kompromisów, pozorów. I niewątpliwie jeszcze trudniejsze było dla Aleca niż dla niej, co Johanna jasno sobie uświadamiała. Jakąż wielkodusznością musiał się Alec wykazać, kiedy zażądała, by powiedzieć o Ablu jej synowi, ich synowi — Abla i jej — jak tylko dziecko, to dziecko, któremu postanowiła dać na imię Abel Junior, urosło na tyle, by te rzeczy zrozumieć! Johanna

bowiem, choć kochająca i czuła wobec Aleca, z trudnym do zniesienia okrucieństwem przypominała mu wiecznie obecnością tego dziecka, że należy do innego mężczyzny, że zawsze będzie do niego należała.

Mimo wszystko żyli w szczęściu, jeszcze dwa dni przedtem — tak, to było ledwie dwa dni przedtem! W ciągu tych ośmiu lat razem zbudowali sobie życie wewnętrznie wzbogacające, prawdziwe życie...

Prawdziwe? Życie, które w jednej chwili powrót Abla ze świata umarłych i zapomnienia obrócił w perzynę. Ach! nie było to więc prawdziwe życie? Johanna, przytłoczona bólem, niemal bez przerwy od czterdziestu ośmiu godzin szlochała i zmagała się z udrękami wewnętrznego rozdarcia. Równocześnie spadło na nią największe szczęście i największe nieszczęście, nierozerwalnie ze sobą związane. I taki zamęt panował w jej duszy, aż bała się, że oszaleje.

Oszalała! Johanna oszalała!

Poprzedniego wieczoru Alec, wróciwszy z ustaleń w sprawie filmu edukacyjnego, który miał niebawem realizować, powziął takie przypuszczenie, kiedy spostrzegł, że zamiast czule powitać go po powrocie, co zawsze czyniła, gdy wyjeżdżał, krąży po domu monologując na głos i bez przerwy powtarzając: „Abel! Och* Abel!"

Potem — i wtedy rzucił się na taras, skąd doszły go jęki — przeraził się, że coś złego przytrafiło się ich synowi. Ale nie: Abel Junior bawił się miniaturowymi śmigłowcami jakby nigdy nic, z zamkniętymi ustami nieudolnie naśladując warkot silników. Alec wziął go zatem na spytki i powoli, w miarę dość mętnej opowieści chłopca o tym, co się wydarzyło pod jego nieobecność, niewyobrażalne w końcu doń dotarło:

— Abel nie umarł? — jął krzyczeć z obłędem w głosie.

— Nie umarł, nie umarł! — odpowiedziała mu Johanna.

Nie, nie umarł „pan, który się wspinał na góry" — dziecko potwierdziło, że go widziało, na własne oczy widziało. Lecz w tamtej chwili on, Alec, zapragnął nie żyć. Bo od razu, nim jeszcze dowiedział się czegoś więcej na temat tego cudu, pojął, iż właśnie stracił Johannę.

Johanna teraz, gdy nieco się uspokoiła, a odczuwający potrzebę samotności Alec wyszedł pochodzić na wietrze i siąpiącym deszczu, przeżywała na nowo niezapomniane chwile szczęścia, jakiego przy nim dostąpiła.

Dzielili się wszystkim: radościami, ale też niepowodzeniami, porażkami, jakich często w początkach doznają ci, co usiłują wprowadzać eksperymentalne metody w dziedzinie edukacji i psychiatrii. Lecz te niepowodzenia i porażki wcale nie zniszczyły ich związku, jak to zwykle bywa: wzbogaciły go, utwierdziły ich w przekonaniu, że mają słuszność, a nawet stworzyły między nimi więzy trwalsze, niżby uczyniło życie od początku łatwe.

W roku 1967, po celującym zdaniu egzaminu dyplomowego z psychiatrii, Alec Philips i Johanna Jones, tryskający młodzieńczym entuzjazmem, postanowili wcielić w życie odważne teorie, które głosili na wydziale, i zająć się już nie teoretycznie dziećmi „specjalnej troski". Najpierw narazili się na wrogość władz: mieli tylko niesamowicie wielkie chęci, ale żadnych środków finansowych na to, by urzeczywistnić swój na pozór utopijny plan „wolnej gminy niekochanych". Zarzucano im, że się wtrącają do opieki społecznej i psychiatrii dziecięcej, a więc do tego, co z pewnością nie leży w ich kompetencjach. Nie zniechęcili się jednak i zdecydowali się dowieść, że o wiele skuteczniej niż niektóre uznane instytucje mogą pomóc w powrocie do normalnego życia dzieciom określanym jako przypadki nieuleczalne i dotąd trzymanym po prostu w domach opieki albo, jeśli były głęboko nieprzystosowane, w dyskretnych klinikach. Musieli na to znaleźć pieniądze, przekonać hojnych donatorów, założyć fundację, zdobyć poręczenie znakomitości świata lekarskiego i zgromadzić wychowawców-ochotni-ków, przekonanych do tej metody tworzonej wtedy z dnia na dzień i niejako na poczekaniu. Na początku sporo było rzeczy pozbawiających chęci działania, zniewag, zawiedzionych nadziei. Odbył się nawet bardzo przykry proces, bo niesłusznie zostali oskarżeni o nielegalną praktykę lekarską. Jednakże wiara przenosi góry i wobec zdumiewających wyników, jakie osiągnęli w niecałe trzy lata pracy z dziećmi uważanymi za niedorozwinięte, władze się wreszcie poddały. Ich skromne przedsięwzięcie wzbudziło ciekawość wielu

pediatrów. Wydali książkę, która odbiła się szerokim echem w kręgach związanych z edukacją. Na obszarze całych Stanów, potem w Europie, Japonii, Australii otwierano szkoły Jones-Philipsa, gdzie w nauczaniu kierowano się mniej lub bardziej wiernie ich teoriami. Osiągnęli sukces, sławę. Ale także, co dla nich miało większe znaczenie, satysfakcję, że wspólnie czegoś dokonali i dali nieco uczucia dzieciom, które przez egoistyczne, tchórzliwe społeczeństwo zostały skazane na samotność i upośledzenie inteligencji. Teraz Johanna wspomniała pierwszy uśmiech Walda, siedmiolatka, który się nigdy nie uśmiechnął. Wspomniała pierwszy rysunek Evy, dziewczynki dotkniętej autyzmem, która nie wypowiadała się inaczej jak tylko pomrukiwaniem: na rysunku napisała: „dla Aleca i Johanny". Eva nauczyła się pisać niepostrzeżenie, nie wiadomo jak i kiedy — Eva, przez rodziców nazywana „idiotką"! Johanna wspomniała również postępy małego Johna, Loli, Matthew, Mary, Andrew, Mickeya i wielu innych... Teraz wszyscy uczestniczyli w cyklicznym programie telewizyjnym, który realizowała z Alekiem. I co poniedziałek przez czterdzieści minut dzieci niedawno jeszcze uważane za opóźnione w rozwoju — na końcu emisji plansza to przypominała — odgrywały zadziwiające widowisko przez siebie wymyślone. Były w nim kalambury Mickeya, surrealistyczne piosenki Mary, nadzwyczajna czołówka narysowana przez Johna, marionetki Loli, występy Andrew grającego tak dobrze na skrzypcach, że stał się ulubieńcem telewidzów, wzruszonych takim ładunkiem humoru, poezji, wyobraźni, wdzięku i naturalności...

No i czy to wszystko było niczym? Czy Johanna powinna przekreślić całą tę podniecającą przygodę pod pretekstem, że Abel wrócił żywy?

A przecież oprócz tego było jeszcze coś innego między nią a Alekiem. Co? Zaśmiewanie się do rozpuku, namiętne rozmowy, spacery w lesie, wschody słońca na brzegu oceanu, letnie noce, kolacje przy świecach we dwoje, zasłuchanie w muzykę z płyt, improwizowane zabawy z Ablem Juniorem, listy, łzy, piosenki, drobiazgi, nieważne, nic nie znaczące drobiazgi, istotnie będące niczym, lecz składające się na życie, o którym później powie się, że było życiem bardzo wypełnionym — pięknym życiem, dobrym życiem.

Czy Johanna miała prawo powiedzieć teraz Alecowi: „Odejdź!"? Czy mogła zburzyć życie temu człowiekowi, który tyle jej dał z siebie, który był tak szlachetny, tak dobry, że nigdy nie zrodziła się w nim zazdrość o niematerialnie obecnego Abla w tym jakby trzyosobowym sztucznym stadle, jakie tworzyli? tak prawy, że sam z siebie, nie proszony, rozmawiał czasem z małym Ablem o jego ojcu i opowiadał mu, jak nadzwyczajnym był człowiekiem...

Nie. Alec zawsze był tatą małego Abla i na zawsze nim pozostanie. Johanna Jones, zajmująca się edukacją obcych dzieci, z pewnością nie okaże się tak nierozumna, by własnego syna pozbawić kontaktu z tym człowiekiem, a tym samym ryzykować, że zburzy jego spokój ducha!

Nie, nie—trzeba się z tym pogodzić. I zostaćz Alekiem...

Och! ale czy będzie można nazwać życiem życie bez niego? Czy życie bez Abla teraz, gdy wiedziała, że nie umarł, będzie miało jakikolwiek sens? Będzie to „półżycie", życie rozdarte...

Och! ten uśmiech Abla! uśmiech Abla... I te dziewięć lat, które przeżyła w żalu, że nie kochała go, jak by należało, w smutku, że nie rozumiała go, kiedy powinna była rozumieć. I w dodatku z biegiem lat mgliste przeczucie przerodziło się w pewność: on jeden miał słuszność, zawsze miał słuszność...

I teraz, teraz, kiedy go zrozumiała, teraz, kiedy potrafiłaby go kochać tak, jak on ją kochał zawsze, miałaby rezygnować z takiego szczęścia?

Czy w ogóle mogła mu powiedzieć „nie"? Abel tak wiele wycierpiał, tyle czasu spędził w piekle: nawet gdyby go nie kochała, czy miałaby prawo go odtrącić? Należała do niego choćby z tego tylko powodu, że przeszedł przez ogrom nieszczęść, wobec których jej nieszczęście było niczym. A przecież go kochała, kochała!...

Abel niczego jednak nie żądał.

Abel, tak samo jak Alec, był człowiekiem szlachetnym. Tak wielkodusznym, tak prawym, że mimo nalegań Johanny nie chciał nawet wejść do domu. Stojąc na podjeździe, zapłakany, powiedział:

— Nie, nie! Nie mam prawa łamać życia Alecowi. I nie chcę, żebyś zawiodła jego zaufanie. On dał ci wszystko. Ja

żyłem tylko w twojej pamięci, tak samo jak ty w mojej, ale prawdziwe życie to całkiem co innego. I trzeba mieć więcej odwagi, żeby je pędzić z dnia na dzień, niż żeby się karmić pięknymi wspomnieniami. Może mnie sobie wyidealizowałaś, może teraz bym cię rozczarował, może za długo siedziałem w więzieniu, żeby teraz normalnie żyć, może przeszedłem za wiele tortur, żeby móc ci ofiarować szczęście...

— Och, Abel, kochany, to wszystko, co mi teraz mówisz, dowodzi, jak bardzo cię potrzebuję. Jesteś mi niezbędny jak woda, jak powietrze. Żyłam tylko dlatego, że ty żyłeś w mojej pamięci: czymże będę bez ciebie teraz, kiedy wiem, że nie umarłeś? Zabierz mnie, Abel! Chcę być z tobą. Zabierz mnie...

— Nie, Johanna. Zapominasz chyba, że nie jesteśmy sami... Małego Abla też to dotyczy. A prawdziwym ojcem Juniora jest Alec. Alec go wychowywał, Alec go kochał—nie ja. Bylibyśmy naprawdę wstrętni, gdybyśmy go tak odebrali tacie. Poza tym dla biednego dzieciaka byłby to dramat. Nie mamy prawa! Tyle wycierpiałem z powodu braku ojca, że na pewno takiego świństwa nie zrobię, dobrze wiesz! Och, Johanna, Johanna... dlaczego zapragnąłem cię zobaczyć?

— I tak bym się dowiedziała!

— Johanna...

— Abel, to wszystko beznadziejne.

— Tak, najdroższa.

— To jest... niezależne od ciebie, niezależne ode mnie.

— Tak, i zawsze tak będzie.

— Nic więcej mi nie powiesz?

— Nie. Co mam jeszcze mówić, skoro wiadomo, że się kochamy i nie mamy do tego prawa? Że musimy się już rozstać?

— Abel?...

— Tak, najdroższa?...

Lecz Johanna, zbyt wzburzona, by jeszcze coś mówić, również wybuchła płaczem.

Później, uspokojona trochę jego pieszczotami, pocałunkami, podjęła cichym głosem, szukając nowych argumentów i nalegając, by przynajmniej wszedł do domu. On jednak z uporem odpowiadał:

— Nie, Johanna. Nawet to byłoby podłością.

— Och, Alec zrozumie. Alec zawsze wszystko rozumiał. Nigdy nie okazywał najmniejszej zazdrości. On nie jest *macho*...

~~ Czym nie jest7

— A, tak, oczywiście! Przecież ty nie wiesz, co to *macho.* Nie śledziłeś rozwoju ruchu feministycznego, kiedy byłeś w... w Wietnamie. Nie znasz tych wszystkich modnych określeń. *Macho* to głupiec, który pyszni się swoją męskością, to taki Hemingway. To przeciwieństwo człowieka, jakim ty zawsze byłeś, Abel: mężczyzny czułego i prawdziwego. Tyle że ja, żałosna idiotkal wtedy cię nie rozumiałam... O, wiesz, z kim niedawno rozmawiałam? Wiesz, z kim się często widywałam, odkąd...

— Nie wiem.

— Z Faye.

— Z Faye?

— Tak. Z twoją... no, z twoją siostrą. Spotkałyśmy się kiedyś na wernisażu, poszłyśmy na drinka i potem zaczęłyśmy oczywiście rozmawiać o tobie... I w ten sposób zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami w świecie. To wspaniała dziewczyna. Nie dalej jak tydzień temu wpadła tu na jeden dzień, miała otwarcie wystawy w Bostonie...

— I jak... jak ona się miewa? Co porabia?

— Wiesz, jest naprawdę świetną malarką. Ma jedne z najwyższych notowań wśród artystów swojego pokolenia. Ale co do reszty... Nie bardzo jej się układa. Myślę, że nigdy się w pełni nie pozbiera. Jest naprawdę znerwicowana. I kompletna nimfomanka: wiecznie się włóczy z jakimiś facetami bez pojęcia, którymi gardzi... Tylko kiedy maluje, czuje się w miarę dobrze. A jak zjawia się u mnie albo ja odwiedzam ją w pracowni, twierdzi zawsze, że rozmowa o tobie też jej dobrze robi. Gdybyś nas słyszał!

— Wiesz co? chyba na razie nie bardzo mam ochotę, żebyś mi o tym wszystkim opowiadała.

— Och, wybacz mi, kochany! Wybacz! Sama już nic wiem, co robię ani co mówię. Ale tak się dręczę...

To było na dworze, ponieważ Abel nie chciał wejść do domu. To było na plaży...

Przez wiele, wiele godzin Abel i Johanna chodzili brzegiem oceanu i opowiadali o sobie, o swoim życiu, i aż zanosili się od płaczu nad swoimi tragicznymi losami. Abel Jr szedł przodem, biegając po kałużach zostawionych przez morze, gdy się cofało, zbierając muszle, wodorosty, wygładzone przez wodę kamyki, które pokazywał Ablowi, które mu ofiarowywał w prezencie. W chłopcu zrodziła się, pomieszana z odrobiną lęku, swego rodzaju czułość do tego człowieka okazującego mu takie zainteresowanie, do tego człowieka będącego, jak się okazało, „panem, który się wspinał po górach", owym legendarnym bohaterem — jego ojcem!

Ale dlaczego powrót ojca — szczęśliwe przecież wydarzenie — spowodował, że matka tak bardzo płacze? I dlaczego nie przestaje szlochać i uśmiechać się przez łzy, mówiąc „kochany" do tego ojca nie znanego, przybyłego niespodzianie, kiedy nikt nie miał nadziei jeszcze go ujrzeć? — tego stanowczo nie umiał zrozumieć. Jacy ci dorośli są skomplikowani, ile stroją ceregieli! Abel Jr wiedział, jak by należało to załatwić: „pan, który wspinał się po górach i tak strasznie został ukarany" powinien zamieszkać z nimi.

Jednakże tego dnia, zjawiwszy się u nich dwa razy, Abel również nie chciał wejść do domu.

Kiedy późnym popołudniem wyszedł z hotelu w Provincetown, nakupił dziesiątki zabawek dla małego Abla i wrzucił je do bagażnika wynajętego cadillaca. Ale naraz, w połowie drogi miedzy miastem a domem Johanny i Aleca, przeszedł go dreszcz zgrozy: wielki Boże! historia nie będzie się chyba powtarzała w nieskończoność, bezlitośnie, niczym koszmarny sen! Cóż on wyrabia? Po upływie ćwierćwiecza dokładnie oto naśladuje wypaczone zachowanie własnego ojca: prezenty niedbale ciśnicte do bagażnika cadillaca zamiast uczucia, zwykłego uczucia. Ogarnął go wstręt do samego siebie.

Zatrzymał się na poboczu i wyrzucił wszystkie zabawki. Siadł potem za kierownicą, przejechał ze sto metrów i znowu stanął: zostawi też luksusowy samochód. Pójdzie pieszo...

Będzie to zarazem kara i wyzwolenie: czyż takim postępowaniem nie zaparł się samego siebie? Teraz musi zapanować nad sobą. Musi się okazać takim, jakim zawsze

był, ze swoim ideałem życia, własną moralnością, wymaganiami absolutu: musi się okazać Ablem Youngiem.

Tak, jest Ablem Youngiem. A mały Abel jest jego synem, samo imię już tego dowodzi. Jego synem!

I on nie będzie dla swego syna taki, jak Eliott E. Emerson był dla niego — o, nie! Będzie prawdziwym ojcem, da mu swoje nazwisko. I uznane przezeń dziecko będzie się podpisywało niebawem Abel Young Jr.

Niestety! Zabrakło mu odwagi, by powiedzieć: „Johan-na, przyszedłem po ciebie. Należysz do mnie. Chodź, moja najukochańsza! Chodź... Między nami będzie jak przedtem, będzie lepiej..."

Nie mógł tak postąpić: bo zaparciem się siebie byłoby również zachowanie zgodne z mentalnością... *macho,* jak by powiedziała Johanna. Nie, Johanna wcale do niego nie należy. I tak samo zaparciem się siebie jest twierdzenie, że ojciec to właściciel swojego syna, że więzy krwi są silniejsze niż uczuciowe. Abel Junior nie jest jego własnością.

Pożegna się z nimi. Pożegna się z Johanna, pożegna się z synem. Odjedzie, samotny po wsze czasy — tak właśnie postanowił...

Wszedł po trzech stopniach na drewniany podest — piasek mu ponuro skrzypiał pod butami, nogi uginały się w kolanach: wydawało mu się, że to droga na mękę. Johanna otworzyła drzwi, zanim zdążył zadzwonić. Zaraz go powiadomiła, że oczywiście musiała wszystko powiedzieć Alecowi i że Alec wiedząc, iż Abel ma ją odwiedzić, taktownie ulotnił się właśnie tylnymi drzwiami. Nie wiedziała, dokąd poszedł. Przez całą noc kłócili się, kochali, płakali: Alec był zrozpaczony. Ją zaś zmartwienie oszpeciło: jej oczy, podpuch-nięte z niewyspania, przekrwione, nieprzytomne, ginęły w strasznie nabrzmiałej twarzy.

— Och, biedny Alec! — powiedziała najpierw.

I zaraz potem, szeroko otwierając drzwi, dodała ceremonialnie:

— Ależ wejdź! Wejdź, kochany... No chodź! Jesteś u siebie. To twój dom! Cierpiałeś głód, chłód i pragnienie. Byłeś bity, torturowany, upokarzany, okaleczony na zawsze. Nigdy dotąd nie miałeś domu rodzinnego, ale teraz już masz.

Wejdź, kochany, nie bój się! Będę się o ciebie troszczyła. Obdarzę cię czułością, której ci tak brakowało. Masz prawo do szczęścia, Abel. Masz prawo bardziej niż ktokolwiek. Nie zostawiaj mnie już nigdy więcej.

— Nie, Johanna. Nie mogę tego zrobić. Za bardzo bym sobą potem gardził. Sądzisz, że byłbym szczęśliwy za taką cenę? Na to mam za wiele dumy. Nie, nie. Tak to już jest: zawsze będę samotny, jak średniowieczny błędny rycerz...

— Tak mniej więcej Junior cię widzi: jako rycerza, bohatera. Przez cały dzień mówił o tobie. Jest strasznie poruszony. Byłeś dla niego bogiem, Abel, i oto nagle pokazałeś mu się żywy. Jest ogromnie zaintrygowany, zadaje mi setki pytań na temat śmierci i życia... On też chce, żebyś tu zamieszkał. Żebyś mu opowiedział o górach. I o Wietnamie...

— O Wietnamie?

— No tak. Widział wprawdzie reportaże w telewizji, ale dla niego to było jak „Kojak" czy „Colombo"...

— Kojak? Colombo?

— To seriale kryminalne... Widzisz, w tym wieku nie rozróżnia się jeszcze za dobrze rzeczywistości od fikcji. I nagle mały się dowiaduje, że tam byłeś. Pytał mnie, czy skakałeś już ze śmigłowca. Śmigłowce to w tej chwili jego pasja, zbiera je. Słyszał też wczoraj na plaży, jak rozmawialiśmy o więzieniu. I wywarło to na nim wielkie wrażenie. Alec musiał długo tłumaczyć mu te wszystkie rzeczy, które go przecież przerastają. A wiesz, co mi powiedział wczoraj wieczór, kiedy poszłam go otulić? „Mamo, ojciec jest jeszcze piękniejszy, niż opowiadałaś!" A dzisiaj, ledwie się obudził, znów o tym samym mówił. Wiesz, co wymyślił? „Mamo, powiedział, trzeba wytłumaczyć temu mojemu ojcu, że tutaj nikt mu nie zrobi krzywdy, że wszyscy będą dla niego mili..."

— Przestań, Jo, błagam cię, przestań!

— Musisz z nami zamieszkać, maty ma rację.

— Nie, Johanna, nie proś mnie o to. Za to ja cię o coś poproszę, tylko o jedno, najdroższa... Żebym mógł go widywać od czasu do czasu, kiedy przeniosę się do Nowego Jorku... Jak by to powiedzieć? Będę dla niego wujkiem, ojcem chrzestnym, czym zechcesz. O rany! wiem, że to głupie, ale już się czuję przywiązany do tego dzieciaka...

— Mówisz to z płaczem, Abel! Zloty mój, nie rozumiesz, jaką by to było z twojej strony ofiarą? A ja tego nie chcę. Junior jest naszym synem, twoim i moim. Nosi twoje imię, jesteś jego ojcem, Abel, jego ojcem! Chciałbyś, żebym mu powiedziała, że stchórzyłeś, że go zostawiłeś?

— Och, Johanna! jak możesz!...

— Wybacz mi, och, wybacz... Sama już nie wiem, co mówię... Och, kochany, nie wiem, co począć. W nocy myślałam nawet o samobójstwie.

— Kochana...

— Tak. Kochają mnie dwaj mężczyźni, trzej, jeśli doliczyć Juniora, a ja chciałam... Och, Abel! czym będzie teraz moje życie, skoro wiem, że jesteś tak blisko, a równocześnie stracony? Długą, powolną agonią... Znienawidzę Aleca, który na to nie zasłużył. I Junior z czasem też zacznie to odczuwać. To będzie piekło!... W każdym razie coś się skończyło, nigdy już nie będziemy razem żyli tak jak dotąd: nigdy już nie będziemy szczęśliwi.

— Wybacz, że złamałem wam życie wracając... Ale tak bardzo chciałem cię zobaczyć. Dlaczego...

— Abel, nie dlatego to mówiłam. Ale czy ty nie rozumiesz, że przeznaczone nam było spotkać się? Historia nas dwojga nie jest zwykłą, banalną historią miłości: jest czymś większym, czymś piękniejszym, czymś mocniejszym. Reszta nie istnieje. Abel, Abel, zabierz mnie teraz...

— Nie, kochana, nie mogę. Uściskaj mnie, Johanna, uściskaj mnie, staruszko. Myślę, że więcej cię nie zobaczę. Zostało zapisane, że będę zawsze sam.

— Abel!

Wstrząsana konwulsyjnym szlochem obejmowała go rozpaczliwie, ściskała. Jemu udało się jednak wyswobodzić...

I nie oglądając się odszedł w wietrzny zmierzch, postawiwszy kołnierz skafandra, z wściekłością wepchnąwszy pięści w kieszenie.

Nie płakał już. Z patetycznym poczuciem humoru, z okrutną ironią, śmiejąc się nawet jak obłąkany, pomyślał, że tysiące dni cierpiał męki, znosił najgorsze katusze — i chciał przetrwać, by ją kiedyś znowu zobaczyć. Lecz ten dzień okazał się najsmutniejszym w jego życiu...

— Johanna! Johanna!

— Abel! Abel!

Johanna, kompletnie przybita, rzuciła się na łóżko, by dać upust rozpaczy, by żałośnie szlochać i jęczeć. I wtedy ujrzała wspartą o lampkę nocną kartkę od Aleca.

Johanna, kochana moja,

Abel wrócił, więc odchodzę. Co jeszcze mogę powiedzieć? Prawie dziewięć lat żyłem z tobą — ale u twojego boku był także o n. Zawsze znajdował się między nami, upiorny i bliski zarazem duch: umarł, ale nie był martwy. Czy możemy dalej żyć, kiedy i on żyje?

Kocham cię, Johanna, zawsze cię będę kochał. W imię tych wszystkich wspólnych lat obiecaj mi tylko jedno: że będziesz mi od czasu do czasu dawała małego Abla. Może uda mi się jakoś żyć bez ciebie, ale nie będę mógł żyć nie widując tego dziecka, które mimo wszystko jest też po trosze moim synem.

Bądź szczęśliwa, kochana. Ja postaram się zapomnieć.

Alec.

Straciła Abla i Aleca, została sama.

Sama? Osłabła z bólu, niema i drżąca, stropiona, od kilku chwil błądziła po domu na oczach syna, który spoglądał na nią z rosnącym przerażeniem: wydawało się, że matka go nie poznaje.

Sama? „Och, nie!" jęknęła. I nagle, zostawiając dziecko, wypadła z domu i pobiegła plażą, wołając na wszystkie strony:

— Abel! Abel!

Jakiś człowiek spacerujący z psem brzegiem morza pomyślał, że oszalała. Szarpiąc go za poły skafandra, z rozpaczą w głosie zapytała:

— Widział go pan? Och, mów, człowieku! Widziałeś go?

I nie czekając na odpowiedź pobiegła znowu od wydmy do wydmy, przewracając się na piasek i podnosząc, by co sił w nogach, do utraty tchu biec w innym kierunku...

— Abel! Abel! Abeli-i-i-ito!

Och! zobaczyła go, zauważyła w oddali. Tak, widziała, jak idzie pod wiatr, żałosny, przybity i pokonany, zagubiony w ogromie pustego wybrzeża, gdzie jak co wieczór zrywała

się burza. Sam... Czy już zawsze będzie sam ten nieszczęsny bękart, sierota, porzucony kochanek, więzień? Czy po wsze czasy skazany jest na taki bezlitosny los? A tu nadchodziła noc, noc tak okrutna dla samotnych!

I w tym zagubieniu naraz jej myśli opanował inny obraz, wspomnienie: ujrzała go schodzącego z gór w dolinę. Piękny był w pysznym blasku kończącego się dnia, triumfujący, niczym młody bóg... A tu nadchodziła noc, noc tak słodka dla tych, co się kochają! Och, tej nocy będą razem spali...

— Abel!

Usłyszał ją, odwrócił się. I już wiedział. Domyślił się, co mu powie: że Alce odszedł. Więcej się nie rozstaną.

— Johanna!

I już biegł do niej, biegł, biegł! A ona biegła ku niemu, biegła, biegła!

Objęli się mocno, osunęli na piasek i turlali, złączeni, jak tylko można się złączyć w miłości. Turlali się jak niegdyś w trawie po powrocie z jego zwycięskiej wyprawy na Aiguille du Fou — czy Johanna pamięta?

A czy on pamięta, jak się wtedy turlali w trawie?

— Tak, i teraz będzie tak samo jak przedtem! Lepiej niż przedtem...

— I już na zawsze.

— Och, najdroższa!

— Kochany mój, kochany!

Na zmierzchającym niebie barwy indygo wzeszedł już księżyc. Ostatnie blaski dnia tańczyły na falach, ostatnie promienie światła rozpłomieniały zatokę Cape Cod na horyzoncie — „morze odchodzące pospołu ze słońcem".

Pod stosem nagich ciał czołgał się po omacku w odchodach i krwi. Ramię trupa muskało go po twarzy, bezwładna dłoń opadła mu na usta, jakby chcąc je zatkać, przeszkodzić w wołaniu o pomoc — wydawało mu się jednak, że gdzieś daleko błyska odrobina światła, toteż dławiąc się, brnął ciągle między zwłokami...

— Abel!

Kiedy tak jęczał i rzucał się w niespokojnym śnie, Johanna od kilku chwil obserwowała go i szeptała mu do ucha słowa czułe, kojące. Otworzył oczy, w jego wzroku oszołomionym przerażeniem na nowo przeżytym, co mu się jeszcze od czasu do czasu zdarzało, ujrzała koszmar, koszmar, którego niepodobna zapomnieć.

— Jo?... Och, obudziłem cię, najdroższa...

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Otoczyła go ramionami, objęła macierzyńskim gestem, zupełnie jak małego Abla, kiedy pomagała mu znieść jakieś jego dziecięce strapienie.

— Kochany! —- powiedziała, wierzchem dłoni ocierając mu spotniałe czoło. — No już, to nic takiego) Już dobrze.

— Wybacz mi... — wybełkotał na przeprosiny.

— Cicho, wiem—przerwała mu, kładąc na ustach palec, który chwycił lekko zębami. — Wiem, o czym myślisz. Dlaczego nie chcesz mi opowiedzieć? O Bu Loc, o Khuo Mai... Dlaczego tak bardzo chcesz dla siebie zatrzymać całe to cierpienie, które w sobie nosisz? Powiedz, kochany...

— Och, tak trudno jest o tym mówić! A poza tym... nie chcę twojej litości.

— Abel, rozumiem twój wstyd. Ale bohaterowie też potrzebują czułości, serdeczności. A ja to właśnie chcę ci dać. Nie litość.

— Bohaterowie! — roześmiał się. — Nie ma żadnych bohaterów. Są tylko ludzie, którzy bardziej lub mniej się boją... I którzy mniej lub bardziej wyraźnie to okazują... Tego nauczyłem się od Mina.

— Ale czego się teraz boisz?

— Już niczego się nie boję, Johanna. Nie, niczego. To... jak by ci to powiedzieć? To jakbym pokonał śmierć. No właśnie. Tyle że ktoś, kto przeżył to co ja, nie powinien już nigdy więcej spać. Albo powinien spać sam.

— Głupi! Skoro cię kocham, to chcę z tobą wszystko dzielić. Także koszmarne sny, najgorsze nawet wspomnienia.

— Ale, staruszko...

— Abelito, otwórz duszę. Powiedz...

— Nie. To był tylko zły sen...

Z wolna ich niewyraźne szepty, prawie nieartykułowane, przerywane westchnieniami i śmiechem, przemieniły się

w długi pocałunek. A potem w ciszy i mroku pokoju nasłuchiwali uderzeń swoich serc bijących w zgodnym rytmie. Johanna leżała z policzkiem na piersi Abla. W jej uchu oddech ukochanego powolniał, stawał się coraz głębszy — i to ją uspokajało. Choć tak słaby okazywał się czasem, gdy spał, zaraz po przebudzeniu zaczynała odeń emanować tak kojąca siła, taki spokój ducha, że Johanna natychmiast odzyskiwała ufność w siebie i w nowe życie, zaczynające się dla obojga: tak, mówiła sobie, będzie tak samo jak przedtem, będzie lepiej niż przedtem. Czegóż się tu lękać, skoro ma go tuż przy boku?

— Abelito... Abelito...

Czuła, że na powrót ogarnia ją sen, i uległa mu bez wyrzutów. Abel zaś wiedział, że tej nocy więcej nie zaśnie — nabrał w więzieniu pewnych przyzwyczajeń, nawykł do pewnego rytmu, którego nigdy się już nie wyzbędzie. Przesunąwszy się ostrożnie na skraj łóżka, by nie obudzić Johanny, przykrył jej nagie ramiona, po czym wstał i zatopiony w myślach, jął chodzić bez celu w sinym mroku ogromnego apartamentu, w którym nie zapalił świateł, jął krążyć niby tygrys w klatce — widział w ciemnościach i to także zawdzięczał długim latom więzienia...

Nie lubił tego mieszkania na ostatnim piętrze przeszło siedemdziesięciopiętrowego wieżowca, nie lubił jego niemal pustej przestrzeni—która z pewnością nie zapełni się w ciągu kilku tygodni, jakie zamierzał tu spędzić z Johanna i synem.

— Kiedy ma się taki widok, nie trzeba żadnych sprzętów! — uznał, gdy pierwszy raz oglądał mieszkanie: nad Manhattanem zapadała noc, lecz niebo było tak jasne, że wzrok sięgał jeszcze poza czarną czeluść Central Parku, jak z samolotu wiszącego w bezruchu nad mleczną drogą świateł miasta. Johanna, która równie jak on nieswojo czuła się na tej pustyni ze szkła i stali, zgodziła się z nim: nie zostaną tu długo, a co się tyczy zasłon, to są całkowicie zbędne, ponieważ nie ma domu naprzeciwko, tylko nieskończona, zmienna przestrzeń, raz mroczna, to znów przejrzysta, raz zasnuta mgłą, to znowu o nieogarnionej głębi, nieskończona przestrzeń, której Abel tak potrzebował po latach spędzonych w cuchnących norach bez dnia, bez horyzontu. Jedynie Abel Jr był zachwycony przeprowadzką: ogromny taras

otaczający z czterech stron mieszkanie, zaopatrzony w rampy wiodące do kominów i urządzeń zabezpieczających budynku, stanowił tor do jazdy na deskorolce uznany przez malca za „genialny".

W rzeczywistości miejsce to takie, jakie było, czyli właściwie nie urządzone, przywodziło na myśl luksusowe obozowisko berbcryjskicgo księcia. Było w sumie ostatnim biwakiem wojownika, który gotuje się do decydującej walki, do ostatniej bitwy. Po cóż by zatem miał kłopotać się sprzętami, przedmiotami?

Jak w namiocie wojownika podłogę w salonie zaścielało kilka dywanów, kilka poduszek. W rozległym gabinecie książki leżały w stosach wzdłuż nagich ścian. Pośrodku pustego salonu znajdowało się też pianino, na podłodze stały obrazy, które nigdy nie będą zawieszone, naczynia były w skrzyniach wyłożonych słomą, skąd w miarę potrzeb wyciągali talerze i szklanki, gdy zatrzymywali na kolacji Roberta G. Kelly'ego, Richiego Garrymore'a albo innego przyjaciela na tyle bliskiego, że go wtajemniczono i zapraszano tutaj. Jedno tylko dzieło sztuki zostało rozmyślnie wyeksponowane oświetleniem i ustawieniem: niezwykły drewniany posążek chiński z epoki Song, wyniuchany u an-tykwariusza w Village, przedstawiający starego mędrca. W oczach Abla był on hołdem złożonym Minowi i jego naukom, przypomnieniem jego duchowej obecności nawet po śmierci — obecności ducha opiekuńczego tego domu.

Z nagością i tymczasowym wyglądem mieszkania kontrastowało — i to także było właściwe dla księcia pustyni — tętniące wszędzie życie, mnogość kwiatów, roślin w doniczkach, kotów, psów i dzieci. Kilkorga owych dzieci „specjalnej troski", których Johanna nie chciała zostawić odchodząc od Aleca i które często po południu, po szkole albo kręceniu programu dla telewizji przychodziły napełniać dom wesołymi krzykami, zabawami, śmiechem — „dom Pana Boga", jak go już nazywano.

Abel wybrał do zamieszkania to miejsce bezosobowe i zimne, tak niepodobne do siebie, ponieważ nigdzie indziej nie zdołałby lepiej ukryć swego istnienia aż do dnia, teraz już niezbyt odległego, kiedy zdecyduje się Wreszcie wyjawić

wszystkim swój powrót do świata żywych. Apartament znajdował się przy Madison Avenue, na ostatnim piętrze wieżowca, gdzie od kilku tygodni urządzały się biura „Imagine". Tym samym Abel mógł być w ciągłym kontakcie z Kellym i Garrymore'em, nie musząc się poruszać po mieście i ryzykować, że rozpozna go ktoś z tych, co nie powinni byli przeniknąć jego tajemnicy. Wśród osób zaangażowanych ostatnio przez redaktora naczelnego „Imagine" znajdowali się byli pracownicy „Eventsa", pamiętający jeszcze „bękarta" Eliotta E. Emersona, „nieoczekiwanego spadkobiercę", wspominający nie bez pewnego wzruszenia, jako naoczni świadkowie bądź z przekazów — bo ta historia była częścią złotej legendy pisma — jego wspinaczkę po murze wysokościowca i wkroczenie z hukiem w wyciszony i dość sztywny świat tygodnika, kierowanego wówczas przez Roberta O. Kelly'ego. Robert i tak miał już sporo zachodu ze zmyleniem uzasadnionej ciekawości tych, którzy mieli z nim współpracować, co do tożsamości właściciela, toteż Abel musiał trzymać się jak najbardziej na uboczu. Odzie mógłby lepiej zachować incognito, jeśli nie w mieszkaniu nad biurami pisma?

— Pamiętasz opowiadanie Edgara Poe *Skradziony listl* — zapytał Keuyego. — Szukają w nim listu wszędzie, tylko nie tam, gdzie on leży, zręcznie ukryty przez ministra, który go ukradł, czyli na widocznym miejscu na jego biurku! No więc wpadłem na podobny pomysł. Komu przyjdzie do głowy, że szef „Imagine" mieszka tutaj, skoro nie chce, żeby przynajmniej na razie pracownicy go poznali? Coś takiego uznają wręcz za głupie!

— Poza tym — z przyjacielską ironią w głosie zauważył Richie Garrymore, będący przy rozmowie—krew to jednak nie woda: nieuchronnie syn Eliotta Ernesta Emersona musiał w końcu zacząć kierować pismem ze szczytu wieży ze szkła i stali, „drzwi w drzwi z Panem Bogiem", jak z prostotą mawiał twój drogi ojciec. Jak widzisz, nie da się wyzbyć dziedzicznych obciążeń!

— Och, odczep się ode mnie, draniu! — zawołał ze śmiechem Abel, poszturchując go pięściami. — Dobrze wiesz, że wolałbym mieszkać w ładnym domu przy placu St Luke's, który wynajęliśmy z Jo, kiedy miałem...

odziedziczyć, pamiętasz? Byłeś tam parę razy i długo rozmawialiśmy właśnie o... „Trzech E".

— Pamiętam. I jednego wieczoru uświadomiłem ci, że właściwie powinieneś się nazywać Abrahamowicz.

— Tak. Wydaje mi się, że to było wczoraj. Powiedziałem ci wtedy: cokolwiek się stanie, zawsze będę Ablem Youngiem, bękartem. I jestem dumny, że noszę to nazwisko.

Krążąc w ciemnościach po mieszkaniu, rozmyślał o tej uszczypliwej uwadze Richiego. Istotnie w jego losach była jakaś ironia: on, który gardził władzą i wszystkim, co ona ze sobą niesie, jak funkcyjne mieszkanie na ostatnim piętrze wieżowca, on, który tak jawnie zakpił sobie z tej instytucji wspinając się na mury Events Tower, teraz, w dziesięć lat później, zajmował takie samo stanowisko jak jego ojciec; jak on kierował pismem ze szczytu drapacza chmur. Gorzka to ironia: umęczony życiem, pragnął tylko spokoju i zapomnienia, marzył o drewnianym albo murowanym domu z kominkiem, paroma starymi sprzętami — o domku Servozów, pawilonie Hoangów, willi Johanny na Cape Cod — przedtem jednak musiał wydać bitwę. I tutaj, dokładnie w tej chwili, gdy stał przed oszkloną ścianą salonu, zabarwiona złotem szyba odbijała jego postać w sposób, który mógłby symbolizować władzę absolutną: nagi na tle rozgwieżdżonej nocy jakby kwitował ponad uśpionym miastem, był niczym nadprzyrodzona zjawa. Był mścicielem unoszącym się w powietrzu, władcą ziemi czuwającym nad światem — bohaterem komiksu.

Mogłoby mu to uderzyć do głowy, piękno panoramy zresztą do tego zachęcało. Lecz ten symbol nie czynił na Ablu wrażenia, przeciwnie, dostrzegał tylko jego śmieszną stronę, stronę komiksową, i szybko odwrócił odeń wzrok. Wspomniał słowa Mina:

„Kiedy zdobędziesz tę siłę ducha, którą miałeś w sobie, lecz nie byłeś jej świadom, a przynajmniej nie w takim stopniu, kiedy tym samym staniesz się niezwyciężony, wtedy równocześnie zyskasz skromność. Pozwolisz słabemu pysznić się nic nie znaczącą władzą, a jeśli będzie ci groził, poczujesz dla niego litość..."

Usiadł na taborecie przy pianinie i bezmyślnie jął się na nim obracać to w tę, to w drugą stronę, i wtedy wróciło mu na pamięć proroctwo mistrza. Błądząc myślami, odnajdywał jego dokładne słowa, wydawało mu się, że Min mówi doń, i nieodparcie kierował wzrok na posążek mędrca, którego nawoskowane drewno lekko połyskiwało w mroku.

„Abel, nie będziesz się mścił, będziesz bronią przeznaczenia. Nie będziesz zabijał, powiesz prawdę i jej pozwolisz działać. Bo jakież byłoby twoje zwycięstwo, gdybyś musiał przelewać krew jak twoi oprawcy? I czymże byłby Abel, gdyby posłany przez Boga z powrotem- na ziemię, zabił Kaina? Czy nie przyszliśmy na świat, żeby się doskonalić, a nie żeby powtarzać błędy przeszłości? Czy nie mamy tu wiecznie powracać? Widzisz, synu, kiedy wybije godzina Tygrysa, zjawisz się, by upominać, nie karać. Nie jesteś, nigdy nie będziesz Kainem, nie zabijesz swojego brata..."

Lecz o tej nocnej porze, gdy umysł, nadmiernie pobudzony i jakby wyostrzony bezsennością, odrzuca nawet niewzruszone pewniki, na których chwilę przedtem wspierał rozumowanie, Ablowi zdarzało się powątpiewać w zasadność działań, jakie miał przedsięwziąć. Naraz przestawał widzieć konieczność wykrzyczenia prawdy i wnoszenia strasznego oskarżenia przeciwko Jeremy'emu Emersonowi i Kay Mc Kay, które niebawem opublikuje „Imagine". Poco te wszystkie wysiłki? zastanawiał się. Czyż nie jest lekką pychą poruszanie tego bagna teraz? Czy sam się przez to nie poniży i czy nie powinien by raczej okazać wspaniałomyślności i zamilknąć na zawsze?

Szybko się jednak opanował. Z tego się właśnie umiera, pomyślał; z milczenia, ze strachu, ze współdziałania ze swoimi oprawcami, z obojętności. Z tego to umierają ludzie. On oczywiście jest ponad trywialnym uczuciem zemsty, odwet na losie już wziął, stając się tym, czym jest: człowiekiem wyższym, Min Tu. Ale dlatego właśnie, że jest Min Tu, jeszcze nie zakończył swego dzieła: musi także wymierzyć sprawiedliwość za Abla Emersona, nie znanego starszego brata, który mimowolnie przekazał mu swoje imię, imię przeklęte i cudowne, on zaś, tak samo mimowolnie, nie wiedząc o tym, przekazał je swemu synowi. Musi wymierzyć sprawiedliwość za Nam Hoę i jej małpkę, musi wymierzyć

sprawiedliwość za wszystkie przypadkowe ofiary nieudanego zamachu i jego tragicznych skutków, za tych, którzy by żyli, gdyby Jeremy nie podjął próby zamordowania brata: za Hoangów, za Doaha, siostrę Zuzannę i Teresę, za doktora Amaud, za Madeleine Langlois — biedną Ma, zmarłą, gdy się dowiedziała o jego śmierci.

Ale czy na tym się kończyło? Czy nie powinien również wymierzyć sprawiedliwości za wszystkich zabitych lub torturowanych na jego oczach przez bliźnich, świadczyć przeciwko potwornościom? Czy nie taką właśnie misją obarczył go Min, poświęcając swoje życie? Czyż jego dzieje nie są wzorcowe, nie mogą wszystkim poniżonym, którzy je przeczytają, przywrócić nadziei na zwycięstwo nad złym losem, nadziei na lepsze dni?

Tak, musi iść na całość. Walczyć o prawdę, o światło. Czyż nie jest „Synem Światła", czyż nie jest winien dowieść pamięci Mina, że ostatni Min Tu godzien był jego nauk? Jego odwet będzie zatem odwetem wszystkich uciśnionych, wszystkich bękartów, wszystkich osieroconych. Jego odwet będzie odwetem wszystkich, którzy mają dość wiary w ludzkość — czyli w samych siebie — dość odwagi, by zawsze mówić „nie!" i całą siłą rozumu przeciwstawiać się Kainowi, tępemu Kainowi pyszniącemu się swoją siłą, Kainowi ciągle zabijającemu, by posiąść więcej!

Nagle posłyszał lekkie skrzypnięcie w głębokiej ciszy nocy. Drgnął, ale zaraz się uśmiechnął, kiedy jego uszu dobiegł warkot silniczka elektrycznego.

— Ach! ty też nie śpisz — rzekł łagodnie, odwracając się i wpatrując w ciemność. — Biedaku, widzisz, jesteś taki jak ja: straciłeś sen. Ale i tak miałem więcej szczęścia niż ty: zabrali mi tylko kilka lat życia, trochę wolności. Tymczasem ty...

Blady w promieniu księżyca padającym ukośnie między dwoma betonowymi filarami salonu ukazał się Thomas. Sprawną ręką manewrował kierownicą fotela na kółkach. Zatrzymał się przed Ablem, który serdecznym gestem położył mu dłoń na ramieniu, jakby przepraszał za to, że jest nagi, a jeszcze bardziej za piękno swego dała, przypominającego upozowany na obrotowym taborecie model studium anatomicznego. Kaleki Thomas bez mrugnięcia wpatrywał się

w niego z natężeniem, lecz Abel pojmował każdy niuans rozpaczy, wyrażany wzrokiem dokładniej, niżby uczyniły słowa.

— Wiem — szepnął. — Wiem, Thomas. I także za ciebie... za to, co ci te sukinsyny zrobiły, chcę powiedzieć prawdę, chcę zażądać wymierzenia sprawiedliwości. Tak, chcę wystąpić przeciwko łotrom, którzy cię wysłali na wojnę: przeciwko politykom, wojskowym, handlarzom broni...

— Abel — zdołał z trudem wybełkotać Thomas. — Abel...

— Tak? Mów...— zachęcił go Abel.

Na darmo jednak. Sowa pozostały jakby zawieszone na jego wargach. O co chciał poprosić, czego nie śmiał wyrazić? Co chciał wyznać, lękając się wyznania?

Zapadło milczenie ciężkie od emocji. Potem Abel, sądząc, że zrozumiał, rzekł półgłosem odwróciwszy wzrok, jakby ze wstydu:

— Chciałbyś, żebym ci pomógł umrzeć, prawda? Cier pliwości, Thomas, cierpliwości: nadejdzie dzień, kiedy zdo będę się na odwagę...

Abel odwiedził Haynesów poprzedniego tygodnia i w młodym inwalidzie wojennym widok przyjaciela, którego uważał za zmarłego, wywołał taki szok nerwowy, że jak to bywa w podobnych przypadkach, jego stan uległ zadziwiającej poprawie. Thomas tak hałaśliwie okazywał radość, a jego matkę tak zdumiała niecodzienna łatwość, z jaką się wypowiadał, że poruszony do głębi Abel zaproponował, iż zabierze go do siebie na kilka dni lub tygodni. Wydawało mu się zresztą, że to jego obowiązek: czyż wtajemniczając go niegdyś w arkana alpinizmu Thomas nie przyczynił się do przeobrażenia nieszczęśliwego, strasznie zakompleksionego tłuściocha w przystojnego atletę cieszącego się życiem, z radością biegającego, wspinającego się po górach? Abel w zamian był teraz winien przyjacielowi odrobinę swego życia.

Pani Haynes tłumaczyła, że stan jej syna wymaga męczących starań, lecz spojrzenie Thomasa mówiło, jak gorąco pragnie zmienić otoczenie, uciec na kilka dni od rodziny i posępnej atmosfery, jaka panowała w domu w Hyannis

Port, odkąd na noszach wrócił z Wietnamu. Co się tyczy Johanny, to natychmiast zgodziła się z Ablem: Thomas na jakiś czas przeniesie się do nich. Na jak długo zechce... Nawet na zawsze, jeśli sobie zażyczy — potrafią otoczyć go opieką.

I tak oto Thomas został jakby adoptowany, niczym owe dzieci „specjalnej troski", którymi się zajmowała...

— Ja też chciałem umrzeć. Wiem, co czujesz, stary przyjacielu...

Abel miał na sobie teraz szarą bawełnianą bluzę i dżinsy. Wracał z kuchni z butelką mleka i dwiema szklankami. Nalał i podtrzymując rękę Thomasa, pomógł mu wypić.

Siadł potem na podłodze, wsparty plecami o metalowy stopień fotela inwalidzkiego.

— Tak, ileż to razy chciałem umrzeć—podjął w zamyśleniu po chwili milczenia. Mówienie do Thomasa było po trosze monologiem: zdawało mu się, że może zwierzyć przyjacielowi to wszystko, co w imię rezerwy obiecał ukrywać przed otoczeniem. Thomas był człowiekiem tak okrutnie doświadczonym przez los, że nie czuł się zobowiązany okazywać mu konwencjonalnej nieco litości ludzi nie wiedzących, co znaczy wielkie nieszczęście, zakłopotanego, odrobinę nieszczerego współczucia, które Abla, mającego wielkie poczucie godności, napawało odrazą. Wszystko zatem, czego nie chciał opowiedzieć nawet Servozowi, potrafi wyznać kalekiemu, na poły niememu przyjacielowi.

— Wybacz, Thomas, że czuję dzisiaj potrzebę pogadania o tym. Ale to są rzeczy, które ty możesz zrozumieć... Tak samo jak ja w końcu zrozumiałem, czego ode mnie chcesz... A przecież kiedy poznałem Minę, kiedy wyszedłem z karceru, wydawało mi się, że nigdy więcej nie najdzie mnie taka pokusa. Pogodziłem się jakby z losem. A nawet osiągnąłem spokój ducha. Myślałem, że nie może mi się przydarzyć nic gorszego niż to, co tam zniosłem. Chciałem żyć. Tak. Nie wiem dlaczego, ale wtedy chciałem żyć. A potem było Bu Loc...

I kiedy Abel zaczął wywlekać przykre wspomnienia, które dotąd zawsze skrywał w najgłębszych zakamarkach umęczonego ducha, kiedy tysiące drobnych wydarzeń —jak

sądził, na zawsze zapomnianych — wracały mu nagle na pamięć, wydawało mu się, że po raz pierwszy od powrotu miedzy żywych uwalnia się od tej przeszłości...

Było to nazajutrz po święcie Tet w roku 1974: pewnego ranka wszyscy więźniowie zostali zgromadzeni na rozległym dziedzińcu i oznajmiono im, że w swej wspaniałomyślności ludowy rząd rewolucyjny Wietnamu zgodził się zaszczycać ich wysłaniem do obozu pracy. Widać Północ, gotująca «e do ostatniego wojennego zrywu, potrzebowała wszystkich ramion, nawet wychudłych i słabych ramion półżywych nieszczęśników wyciągniętych z cel, mizernych zdechlaków, którzy ledwie się trzymali na nogach w palącym słońcu.

Ludzkie stado wepchnięto do starych rozklekotanych ciężarówek. Skrajnie wycieńczony Abel pomagał umierają, cemu Minowi. Podtrzymywał go w ramionach przez caiy dzień i noc i jeszcze jeden dzień — przez całą drogę. I dotąd nie czuł się na siłach powiedzieć, czym droga była ta, opisać

}%■

— To było piekło — rzekł.

J *doprawdy trzeba by geniuszu Dantego, by wyraiai* potworności tej podróży. Drabiniasta platforma ciężarówki była jakby tratwą na pełnym morzu: ściśnięci ludzie, niczym rozbitkowie pozbawieni wody, żywności i lekarstw, konali wolno w kurzu.

— Fruwały całe chmary much, pod nami roiło się od robactwa. Lepiliśmy się do siebie od ropy, potu, gówien, rzygowin. Nie wiedzieliśmy, co jest czyje, ani czy już umarliśmy, czy jeszcze żyjemy. Myślałem: to moje serce bije czy Mina? Ściskałem go w ramionach i zastanawiałem się, czy nie trzymam w objęciach trupa. Już nic nie mówił, tylko cicho rzęził...

Z więzienia wyjechało ich czterdziestu, na miejsce przybyło dwudziestu ośmiu żywych.

Zgromadzono tam wielu innych, przywiezionych z więzień rozrzuconych na Północy. Mieli pracować przy odbudowie i powiększeniu lotniska wojskowego — Mb, skłoniwszy jednego ze strażników do rozmowy, dowiedział się, że obóz leży niedaleko 17. równoleżnika i nazywa się Bu Loc.

Tak głosił cynicznie wielki transparent łopoczący na wietrze przy wejściu do obozu. Z niewielkimi różnicami coś takiego widnieje u bram wszystkich obozów koncentracyjnych w państwach o systemie totalitarnym: w Auschwitz, archipelagu Gułag, w chińskich „farmach państwowych". Więzienna organizacja w Bu Loc również wydawała się ślepym naśladownictwem nieśmiertelnych wzorów, w których objawia się prawdziwie ludzki talent we wcielaniu w życie zbiurokratyzowanego, zracjonalizowanego, planowego okrucieństwa. Tym zresztą człowiek zawsze będzie dowodził swej bezsprzecznej wyższości nad zwierzęciem: najdzikszy drapieżnik po prostu zabija, by przetrwać, człowiek zaś wyróżnia się tym, że potrafi zadawać najstraszliwsze męki bez powodu, dla samego gestu, dla wydumanej idei swojej misji cywilizacyjnej...

Ponieważ organizacja była taka sama, więc i los więźniów, ich egzystencję należałoby raz jeszcze opisać. Cóż, kiedy wiek, w którym żyjemy, przyzwyczaił nas do potworności i w książkach pełno jest identycznych opowieści, pokrywających się i snujących razem długą skargę wszystkich potępionych na ziemi, wszystkich uwięzionych: wynędzniali, obdarci, zmuszani są do nieludzkiej pracy, a zaspokaja się tylko niezbędne minimum ich potrzeb życiowych, aby byli przydatni. Życie w Bu Loc — jeśli można nazwać życiem wegetację na granicy śmierci — sprowadzało się do przenoszenia od świtu do nocy niezliczonych wiader żwiru...

— Sam nie wiem, ile tych wiader było. Nigdy mi się nie udało policzyć. Z niedożywienia człowiek tak idiocieje, że nie potrafi nawet zrobić prostego rachunku. I jeszcze dozorcy, od rana do wieczora wrzeszczący w megafony: raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... *Mot, hai, mot, hai, mot, hai...* I głośniki nadające bez przerwy obiecanki wuja Ho albo jego proroków przy dźwiękach sowieckich pieśni rewolucyjnych i akordeonu, później powrót do baraków: *mot, hai, mot, hai, mot, hai...* Wspólne wieczorne iskanie się, miska zupy z naci ryżowej, noc, którą spędzaliśmy po stu w halach z blachy falistej przewidzianych dla dwudziestu osób... Ale chłopcy padali jak muchy, toteż co dzień przybywało trochę miejsca,

żeby wygodniej się położyć na ziemi w błocie. Kładłeś się koło towarzysza niedoli, a budziłeś się koło trupa... Niczego nie słyszałeś, żadnego rzężenia ani jęku: zgasł cichutko, zbyt umęczony, żeby zawołać... I przed pójściem do pracy jeszcze były korowody z pochówkiem: w pięciu albo sześciu nieśliśmy szkielet obciągnięty skórą, wrzucało się go do wspólnego dołu, posypywało wapnem nie gaszonym i po robocie. Aż do następnej nocy. Min trzymał mnie za rękę nocą, żeby mi pomóc ją przetrwać. Chociaż opadał z sił szybciej niż ja... Ja nie chciałem już żyć. Ale umrzeć też nie chciałem. W gruncie rzeczy wszystko stało mi się obojętne. Niczego nie pragnąłem. Było oczywiste, że zdechnę tam, jeżeli nie uda mi się uciec, to była już kwestia tygodni, może nawet dni. Ale myślałem o tym tylko w rzadkich chwilach przytomności. Kiedy człowiek dojdzie do stanu, w jakim [ja się znalazłem, trwa niemal bez przerwy w jakby zamroczeniu, które w pewien sposób pozwala znieść to, co jest nie do zniesienia... Byliśmy z Minem już z dziesięć dni w Bu Loc, kiedy do obozu przyjechał nowy transport więźniów. Był wśród nich Fierce Fist Joe... Odtąd wszystko się zmieniło...

Abel zamilkł na kilka chwil. Obrócił się bokiem i popatrzył na Thomasa, który wysłuchał tego z wyraźnym zainteresowaniem, nic jednak nie mówił, tylko na twarzy miał lekki uśmiech, nieśmiały i łagodny. Potem Abel podniósł się i przeszedł kilka kroków, by rozprostować nogi. Niebo już bladło i wszystko miało jeszcze bardziej widmowy wygląd w przestronnym, pozbawionym sprzętów pomieszczeniu. Posążek nieruchomym spojrzeniem opałowych oczu patrzył przed siebie...

Abel, pocierając obolałe powieki, w wyobraźni widział, raz jeszcze przeżywał ową chwilę szczęścia, kiedy ujrzał — a zrazu sądził, że to przywidzenie chorego umysłu, halucynacja wywołana nadwerężeniem rozumu z powodu wycieńczenia — czarnego olbrzyma, z całą pewnością Amerykanina, dość zwinnie zeskakującego z tyłu ostatniej z trzech ciężarówek, w których przywieziono nowych do obozu. Było to w czasie jedynej w ciągu dnia i bardzo krótkiej przerwy, gdy rozdzielano między więźniów po misce gorzkiej wody i po garści nadpsutego ryżu. Zmyliwszy czujność dozorców, zawsze wtedy mniej bacznych, Abel zdołał wybiec

naprzeciw kolosowi, który przyjaźnie wymachiwał do niego rękami.

Och! jakim szczęściem było uścisnąć rodaka, człowieka, który nucił piosenkę Boba Dylana! Dowiedzieć się z jego ust, że Stany Zjednoczone i Wietnam ubiegłego roku podpisały pokój w Paryżu. Ale co on w takim razie tu robi? Fierce Fist Joe mógł to samo pytanie zadać Ablowi. O sobie mówił niejasno, że jest pilotem i został posłany na zwiad na Północ, gdzie go zestrzelono. Abel domyślił się, że widać był szpiegiem i z tego powodu rząd amerykański nie domagał się wypuszczenia go na wolność. Fierce Fist Joe od dwóch miesięcy siedział w obozie koncentracyjnym i czekał na przynajmniej namiastkę procesu albo zawiadomienie o wyroku skazującym.

— Ja cię pieprzę! — mruczał, z charakterystycznym dla ludzi z Harlemu zaśpiewem. — Zostawili mnie, skurwysyny! A tutaj, chłopie, robią, jakbym w ogóle nie istniał, jakbym był śmierdzącym gównem!

Osobliwą postacią był ten Fierce Fist Joe — powiedział, że tak go przezwano, kiedy boksował się amatorsko na obozie przygotowawczym pilotów w Fort Haul, i nigdy Ablowi nie udało się wydusić zeń prawdziwego nazwiska ani najdrobniejszej informacji na temat jego życia prywatnego, dzieciństwa, zawodu; musiał się zadowolić przypuszczeniami. Zagadkową był postacią, małomówną i tajemniczą, a wiezienie jeszcze nie zdążyło nadszarpnąć jego sił i zdrowia. Miał nieco ponad dwa metry wzrostu, potężne mięśnie, oblicze niepokojące, brutalne nawet, choć zawierające coś dziecięcego, poczciwe, szczere spojrzenie, rozbrajający uśmiech, w którym odsłaniał olśniewająco białe zęby o szkliwie na razie nie uszkodzonym z powodu niedożywienia. Jego herkulesowa siła, niesłychana gwałtowność, kiedy tracił panowanie, budziły strach nawet w strażnikach obozowych, i mimo że znał tylko parę podstawowych słów po wietnam-sku z podręcznika instruktażowego dla pilotów, z miejsca zyskał znaczny wpływ na innych więźniów. Wyróżniał się spośród nich również tym, że ponieważ władze nie mogły zdobyć dla niego odpowiednio dużego pasiaka, nosił oprócz skórzanych butów także lotniczy kombinezon, spodnie antygrawitacyjne, kamizelkę ratunkową i kurtkę, które miał na sobie, kiedy go pojmano.

— I tak nic nie ryzykują — stwierdzał z humorem. — Niechby nawet Fierce Fist Joe nawiał, i tak go zaraz wytropią, nie?

I przewracając oczyma jak Murzyn, który „udaje czarnucha", pokpiwając sobie z rasizmu białych, dodawał:

— Jestem trochę bardziej ciemnożółty niż te wszystkie jajcze mordy, co nie?

I wybuchał śmiechem.

Śmiech w Bu Loc był czymś tak nieoczekiwanym, że na początku spoglądano na niego z czymś na kształt strachu pomieszanego z respektem, zastanawiając się, jak długo zdoła naigrawać się z władz, jak długo wytrwa, zanim zostanie ostatecznie złamany.

Lecz filozofia życiowa, jaką wyznawał Fierce Fist Joe, streszczała się w wyznaniu wiary wykaligrafowanym flamastrem na kamizelce ratunkowej z fluorescencyjnego nylonu:

Gwiżdżę na śmierć
Gwiżdżę na wszystko.

Do tego był nadzwyczaj energiczny i szlachetny: widząc, jak wycieńczony i osłabły jest Abel; mało, że dał mu swoją kurtkę, to jeszcze zaofiarował się pomagać w noszeniu wiader żwiru i w ten sposób zaoszczędzić mu bicia, jakie czekało zawsze nieszczęśnika, który nie zdołał wykonać narzuconej zbyt wysokiej normy dziennej. Abel, niepomierne wdzięczny, nie zapomniał jednak o Minie i powiedział Joemu:

— Mój przyjaciel bardziej niż ja potrzebuje pomocy...

Na co olbrzym rzekł:

— Rozumie się. Profesorkowi też jakoś pomożemy...

Mina niewątpliwie ze względu na wiek zwolniono z noszenia żwiru, a przydzielono do służby kuchennej. Dwa razy dziennie musiał przynosić więźniom ze swojej sekcji mizerne racje nie łuskanego ryżu albo zupy z nati, a także pojemnik z wodą rzekomo pitną, w rzeczywistości zaś zalatującą zgnilizną i strasznie gorzką. I jakiegoż autorytetu musieli używać, każdy po swojemu, czarny kolos i mędrzec tak niski, stary, wątły, jeśli chcieli zapobiec dyskusjom i kłótniom przy upragnionym kanistrze!

Tym sposobem stopniowo stawali się, choć nie za zgodą strażników, a poprzez swoje czyny, jakby pośrednikami miedzy dozorcami i swoimi towarzyszami niedoli. Nie pilnowano ich tak bacznie, jednakże do kolaboracji z oprawcami się nie posuwali, tylko sprawiali takie wrażenie. Należało wykorzystać tę sytuację, należało jak najszybciej spróbować ucieczki z tego obozu śmierci. Zanim śmierć, zanim agonia ostatecznie wezmą górę nad resztkami tlącego się życia, ostatniego ubożuchnego skarbu, jaki każdy zazdrośnie skrywał w sobie, swojego jedynego dobra.

— Kurwa, chłopie! — wołał czasem Fierce Fist Joe jakby do siebie, lecz w gruncie rzeczy zwracając się w spo sób pośredni do Abla. — Kurwa, chłopie! Nie dasz chyba tym parszywym robalom i wszom zeżreć swojej murzyń skiej powłoki. Trza stąd wiać, chłopie! I to raz dwa, chło pie!

Ale jak uciec z Bu Loc? Jak przebyć zaporę z min i drutów kolczastych otaczającą tereny lotnicze? A gdyby nawet cudem jakimś udało się je przebyć, to jak przetrwać potem w dżungli?

— Samolot — powiedział Min. — To jedyne rozwiąza nie...

Co rano nieduży dwumiejscowy samolot lądował na jedynym prawie nietkniętym pasie niedawno zbombardowanej bazy. Wysiadał z niego oficer z rozkazami dla wysoko postawionego kierownika obozu, ten zaś wręczał mu napisany na maszynie raport, zdający niewątpliwie sprawę z postępu prac w porównaniu z dniem poprzednim — jeden z maniackich wymogów biurokracji wszechobecnej w krajach socjalistycznych. Pilot z równie niezwykłą regularnością korzystał z uroczystej wymiany pakietów, by pójść na stronę za potrzebą. Następnie w towarzystwie oficera wsiadał z powrotem do samolotu produkcji sowieckiej, zamykał kokpit i w dziesięć minut po wylądowaniu obaj odlatywali już na Północ.

Jakim sposobem Min zdołał zdobyć broń i benzynę, a także zapalniczkę? Abel nie wiedział, nigdy się nie dowie: widać jego przyjaciel znalazł wspólników w kuchni albo też mizerny wygląd bliskiego śmierci starca pozwolił mu od-

wrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Któryż strażnik mógłby przypuścić, że najsłabszy i najstarszy więzień zdolny jest wymyślić plan ucieczki? Zwłaszcza że od kilku dni Min tak dobrze udawał rozmiękczenie mózgu, iż omal samego Abla nie wprowadził w błąd.

Ale nie, Min wcale nie postradał rozumu: tego ranka, niosąc kosz i kanister z nędznym pożywieniem więźniów, podszedł do Abla i Joego i szepnął po angielsku:

— Szybko! W ryżu jest rewolwer, a w kanistrze benzyna zamiast wody. Żeby odwrócić ich uwagę od was, podpalę się. A wy zawładniecie samolotem. Fierce Fist Joe na pewno poradzi sobie z pilotowaniem takiego aeroplanu...

— Min!

— Nie protestuj, Abel. To postanowione. Czas zresztą nagli. Samolot wyląduje za dwie, trzy minuty. I nasi towarzysze przyjdą do mnie po picie.

— Nie, Min! Nie chcę, żebyś się poświęcał.

— Posłuchaj, Abel: to wasza jedyna szansa. Jeśli tu zostaniecie, niedługo czeka was śmierć, dobrze wiesz. Musicie więc zaryzykować. Jakie to tam zresztą ryzyko, skoro nie macie nic do stracenia. Wy jesteście młodzi, możecie przeżyć. A moje życie i tak już dobiega końca. Dzisiaj czy jutro, co dla mnie za różnica?

— Min...

— Ja tak chcę! Nie płacz, Abel, nie trwoń resztek sił: po prostu pożegnaj się ze mną. A ciebie, Joe, proszę, żebyś troszczył się o niego jak o samego siebie. Proszę jak ojciec, który by ci powierzał syna. Ale wiem, że ci się uda. I z góry dziękuję...

— Żegnaj, Min.

— Żegnaj, profesorku. Nic się nie martw: już ja się zaopiekuję tym dzieciakiem.

— Jeżeli wyjdziemy z tego cało, jeżeli kiedykolwiek odzyskam wolność...

— Tak, wiem, że nie zapomnisz mnie, Abel. Zrobiłem z ciebie Min Tu. Ostatniego wtajemniczonego... Pierwszego człowieka nowego świata, w który chcę wierzyć. Czekają cię *może inne* jeszcze doświadczenia, ale nadejdzie dzień wyzwolenia. Wtedy będziesz niczym książę renesansu: silny, bo odzyskasz zdrowie, bogaty, bo posiądziesz skarb, który

czeka na ciebie w Genewie, a wiem, że go dobrze wykorzystasz, sprawiedliwy wreszcie, bo taki zawsze byłeś...

— Uwaga, profesorku! Patrzą na nas.

— Słyszę samolot. Idźcie!

— Żegnaj, Min!

— Tumacierewolwer... Starajcie się nim nie posługiwać, jeśli nie będziecie musieli: nasi oprawcy to też ludzie.

Tak wielki był efekt zaskoczenia, że wszystko przebiegło zdumiewająco łatwo, jak w śnie na jawie.

Podczas gdy wśród krzyczących z przerażenia więźniów Min się podpalał, Fierce Fist Joe z bronią w ręku biegł do samolotu, a za nim Abel, odrywając się od potwornego widoku, tłumiąc wzruszenie, które go dławiło—tak, udawało mu się biec! udało mu się wspiąć do kabiny...

Chwila niepewności Joego za sterami samolotu znanego tylko z książek. Zamieszanie na pasie startowym. Huk pierwszego strzału... Ale samolot już jechał, odrywał się od ziemi, wzbijał ku błękitnemu niebu i kabina znalazła się poza zasięgiem strzałów: lecieli, byli wolni! wolni! wolni!

W dole, pośród maleńkich ludzi rojących się jak mrówki, dogasała olbrzymia pochodnia...

W trakcie opowieści snutej przez Abla Thomas jakby się nieco ożywił. Nie poruszył się wprawdzie, lecz błysk w oczach, ledwie dostrzegalne kołysanie głowy, czasem bełkotliwy okrzyk wydawały się czymś więcej niż elokwentnym okazaniem uczuć i emocji przez osobę zdrową. Thomas przeżywał drogę krzyżową Abla, głęboko współodczuwał szaloną radość, jakiej przyjaciel zaznał w chwili ucieczki z Bu Loc. Jakby sam się znajdował w kabinie samolotu...

Abel spoważniał jednak i po kilku chwilach milczenia podjął:

— Nasza radość krótko trwała. Mimo wszystko udało nam się przez blisko godzinę niepostrzeżenie lecieć na południe: samolot muskał niemal korony drzew... Joe stero wał, jakby nigdy nie pilotował innych maszyn. Później powiedział, że niedługo skończy się paliwo, że za wszelką cenę musimy wylądować, a ja zacząłem się rozglądać za jakąś polaną, nie zarośniętym kawałkiem pola... I wtedy naraz

rozpętała się strzelanina) Wypatrzyła nas południowowietnamska obrona przeciwlotnicza. „Złap się czegoś i zamknij oczy", wrzasnął do mnie Joe. Potem nie bardzo wiedziałem, co się z nami dzieje... Usłyszałem wybuch i skuliłem się cały... Ocknąłem się wśród stosu dymiącego żelastwa... A dwaj faceci wyciągnęli mnie za rękę, szturchali lufami karabinów, żebym szedł, popychali... Mieli mundury wojska południowo wietnamskiego. Kiedy trochę oprzytomniałem, powiedziałem sobie: „Dobra nasza, wszystko da się wyjaśnić..." Ale oni tylko w kółko powtarzali: „Komuniści! Komuniści!" Pokazywałem na swój pasiak, mówiłem: „Nie! Amerykanie. Amerykańscy więźniowie..." Joe, który szedł przodem, w ogóle się nie odzywał. Może powinienem był też milczeć. Swoim szpiegowskim nosem musiał chyba wyczuć, że lepiej się na razie zamknąć. Aleja się nie bałem: byłem pewien, że jak tylko staniemy przed jakimś oficerem, wszystko się ułoży. Ani mi przyszło do głowy, że koszmar zacznie się na nowo. Nie wiedziałem, co się wtedy działo na świecie: Stany akurat definitywnie zostawiały Południe własnemu losowi. Nawet doradcy wojskowi po kolei się stamtąd wynosili: w obliczu faktów zaczął się już odwrót. I do Amerykanów straszną urazę żywili wszyscy ci faszystowscy oficerowie, którzy przez te lata bawili się w wodzów i dzięki nam skandalicznie się wzbogacili. Czuli, że wiatr teraz z drugiej strony zawiewa i jednakową nienawiścią darzyli Jankesów i czerwonych. Mnie i Joego zaprowadzili przed takiego człowieczka obwieszonego orderami, kompletnie rozhisteryzowanego, który klął i wrzeszczał: „Ten wasz plezydent Nixon to zblod-niarz, komunista!" Dwaj Amerykanie w sowieckim samolocie! To wystarczało. I tym sposobem, po trzech dniach przesłuchań równie absurdalnych i obłąkanych jak te, przez które siedem lat wcześniej przeszedłem w Wietnamie Północnym, znaleźliśmy się w Khuo Mai...

Khuo Mai było właśnie kolejną stacją drogi krzyżowej Abla.

Jednakże dotarłszy do tego miejsca swej opowieści, poczuł nagle, iż musi odegnać od siebie potworną wizję, która go opanowała. Nie! Nie! Nie chciał wspominać „tygrysiej klatki", gdzie jeszcze rok temu gnił razem z Fierce

Fist Joem w cuchnącej ciemności, robactwie, ekskrementach i zupełnie niejadalnym zepsutym pożywieniu, jakie miedzy kratami w suficie rzucano więźniom niczym dzikim zwierzętom. Nie! Nie! Nie chciał wspominać tej kraty, bez ustanku, wiecznie dźwięczącego na niej metalicznie kroku strażnika: walczył, zmagał się ze wspomnieniami, walczył jak człowiek pragnący dopłynąć do brzegu, lecz nieuchronnie znoszony przez prąd na pełne morze.

Bo najgorsze miało dopiero nadejść: śmierć, śmierć, której zajrzał w twarz, śmierć bluzgająca z lufy karabinu maszynowego — uwolnienie czy najwyższa kara?

Od kilku dni okoliczne tereny były raz za razem bombardowane i strażnicy „tygrysich klatek" w Khuo Mai przejawiali rosnące zdenerwowanie: parcie naprzód oddziałów Północy spowodowało, że w nieopisanym zamieszaniu zaczął się odwrót w kierunku południowym. Było to wszechogarniające „ratuj się kto może". Żołnierze, z oficerami na czele, masowo dezertowali—należało ewakuować obozy koncentracyjne. Lecz uciekinierzy nie mieli zamiaru brać sobie na głowę kłopotu w postaci pięćdziesięciu wycieńczonych istot, które zapełniały jeszcze okratowane doły, przeżywszy nie wiadomo jakim cudem. Toteż pewnego poranka wywlekli ich w pośpiechu i stłoczyli na dziedzińcu...

Czy Abel kiedykolwiek to zapomni? Czy zapomni rozkaz rzucony wysokim głosem, terkotanie karabinów maszynowych głuszące krzyki przerażenia, nagłą ciszę?... Czy zapomni skwarny dzień i potworną noc spędzone pod krwawym stosem trupów, gdy na poły uduszony leżał przygnieciony potężnym ciałem Joego, który runął na niego, jak tylko padły pierwsze serie strzałów?... I czy zapomni to długie, długie, wieki trwające konanie, które raz jeszcze miał przeżyć? Nie, nie został raniony — ale to nie kończące się wyczołgiwanie spośród zwłok, ale to zmartwyćhwstawanie pomiędzy ciałami lepkimi od krwi i odchodów... I jasność, blada jasność świtu błyskająca w dali, życie... Życie znowu rozpoczęte: błądzenie bez celu pośród masowo uciekającego ludu...

Stojąc twarzą do wschodzącego dnia, twarzą do bezmiaru czerwonego nieba, pod którym migotały światła

jeszcze uśpionego miasta — a w dali widział teraz smukłą sylwetkę Events Tower — z czołem wspartym o szybę Abel jął teraz wyć jak raniony drapieżnik: czyż nie za to musi się zemścić wreszcie, skoro wybija godzina Tygrysa?

Tutaj widniały stosy trupów, z których wyciekły, cienkie strużki krwi, teraz zaschniętej i poczerniałej, tworzące jakby sieć na sinawych ciałach; dalej wykopane groby ogromnego cmentarzyska, pełne skatowanych ciał przedstawionych w agonalnych konwulsjach; jeszcze dalej studia szczegółów powiększonych do monstrualnych rozmiarów: wstrętnie wykrzywione krzyczące usta, wywrócone oczy, dłoń zdająca się rozpaczliwie chwytać innej dłoni naszkicowanej tylko węglem, palce ucięte stalową listwą ramy... Na tryptyku zajmującym praktycznie całą ścianę na wprost wejścia jednej z sal galerii widać było po lewej zakneblowanego mężczyznę powieszonego głową na dół na rzeźnickim haku; w środku trzech zamaskowanych oprawców rozszarpujących go niczym wygłodzone psy; skrzydło prawe zaś przedstawiało człowieka żywcem obdartego ze skóry rzuconego na kawał płótna i leżącego w patetycznej pozycji Chrystusa zdjętego z krzyża. Malowidło nosiło tytuł *Uroki rozmowy.* W sali naprzeciwko wisiało płótno stanowiące pendant do niego, nie mniej ironicznie zatytułowane *Pogawędka przyjaciółek:* starucha w kompletnym stroju z czarnej skóry, jaki wkładają „gospodynie" domów schadzek masochistów, przywiązywała zapłakaną, błagającą o litość dziewczynę do urządzenia do zadawania *tortur z chromowanych rurek.*

Reprodukcję tego właśnie dzięki zamieszczono na plakacie wystawy:

FAYE EMERSON
Dziesięć lat twórczości
1965-1975
Galeria Ryan & Weiss
Zurich, New York, Paris

Najbardziej znani artyści, najwięksi krytycy malarstwa, ale też całe nowojorskie „towarzystwo" i paru najznamienitszych członków kasty nazywanej ‚jet set" tłoczyli się na retrospektywnym wernisażu Faye Emerson w rozległej, luksusowej galerii przy 57. Wschodniej — jednej z najbardziej renomowanych na świecie z grupy tych, które specjalizują się w obronie awangardy i nowych tendencji w sztuce. Na ulicy wylewał się z taksówek i limuzyn na chodnik tłum zaproszonych gości. Ludzie cisnęli się na zewnątrz do okien, a w środku do bufetu pośród bezustannego trzaskania fleszów. Targowisko próżności osiągało szczyt: niczym na karnawałowej maskaradzie mijały się najbardziej ekstrawaganckie stroje, skrajnie snobistyczne postawy ścierały się w gwarze słów i śmiechu, którego nie zdołała nawet zagłuszyć grzmiąca muzyka free-jazzowa.

Muzyka, przeciwko której Faye gwałtownie protestowała:

— Nie można by tego wyłączyć? — spytała jednego z szefów galerii. — I bez niej to wszystko daje mi się znaki!

Jak zawsze, gdy się znajdowała na forum publicznym, jak na każdym ze swoich blisko dwudziestu wernisaży, które wytyczały jej szybką i błyskotliwą międzynarodową karierę, Faye przerażało, że jest pod obstrzałem wszystkich spojrzeń, że stanowi przedmiot wszystkich rozmów — i do rozpaczy doprowadzała ją ta komedia towarzyska, równie obłudna co powierzchowna. Czy cały ten tłum przychodzi tu rzeczywiście z miłości do sztuki? zastanawiała się. I z rozgoryczeniem, nie łudząc się, myślała: czy raczej nie dlatego się zbiegają, że pominąwszy jej talent i sławę, mogą obejrzeć jedną z czterech czy pięciu najpiękniejszych, najbogatszych, najbardziej towarzysko pożądanych dziedziczek w Stanach, wiedząc w dodatku, iż jest trochę zwariowana? Czy ktokolwiek raczyłby rzucić okiem na jej płótna, gdyby nie nazywała się Faye Emerson?

Również tym razem John Ryan i Egon Weiss musieli użyć wszelkich metod swej wyszukanej kurtuazji uwodzicielskich, wyrafinowanych homoseksualistów, aby ją nakłonić do pokazania się na wernisażu „przynajmniej na godzinkę, tyle, żeby zrobiono parę zdjęć", i Faye zgodziła się w końcu. Co więcej: chociaż nie śmieli już prosić, by przyszła od-

powiednio wytwornie ubrana, zaprezentowała się — po trosze dlatego, że miała w sobie ducha prowokacji, a po trosze dla kpiny—w najelegantszej sukni wieczorowej, jaką udało się jej znaleźć, z mocnym postanowieniem, że podda się wszystkiemu, czego się po niej oczekuje, a nawet że „uwiedzie" zebranych. Szybko jednak jej śmiałość zniknęła i Faye poczuła, że znowu ogarniają lęk, ten lęk, który nigdy nie słabł. Ściskanie dłoni, całowanie, uśmiechy, dziękowanie, a zwłaszcza wysłuchiwanie bez mrugnięcia tylu idiotyzmów — za wiele tego było jak na osobę tak wrażliwą. W dodatku wydawało jej się, że setki razy już słyszała te sentencjonalne banały:

— Kochanie, to ba-a-ardzo podniosłe!

— Ta-a-akie śmiałe!

— Nadzwyczajne, na-a-adzwyczajne!

— Jak to robisz? To nies-s-samowite!

I setki razy też słyszała niedorzeczności wypowiadani z zarozumiałą pewnością siebie przez snobów, którzy pragnąc się za wszelką cenę wykazać oryginalnością, wyrażali opinie przeciwne do tego, co kiedykolwiek powiedziano lub napisano na temat jej twórczości:

— To jest w gruncie rzeczy bardzo subtelne. Bardzo łagodne.

— Tak, ma pani w sobie coś z Fragonarda...

— To takie kobiece...

— Uważam, że pani sztuka działa kojąco!

Och! jakie to wszystko było męczące! Musiała kiwać głową potakująco, musiała udawać, że podoba jej się stwierdzenie, które uważała za idiotyczne, musiała się śmiać. A później niewątpliwie będzie musiała iść na kolację, tańczyć, wstąpić na ostatniego drinka do modnego lokalu albo do domu Egona i tam odmawiać po kolei mężczyznom proponującym, że ją odprowadzą. Jakie to wszystko było irytujące! A naturalnie Ryan i Weiss prześcigali się w uprzejmościach, by jak najlepiej zniosła tę próbę, zręcznie odsuwając co natrętniejsze osoby, ucinając nazbyt głupie paplanie, lecz w miarę jak czas upływał, Faye czuła się coraz bardziej w położeniu chrześcijanki rzuconej lwom na pożarcie i rozpaczliwie szukała wzrokiem w tłumie jakiejś przyjaznej twarzy, kogoś, przy kim mogłaby się schronić i na chwilę

uciszyć lęki. Mignął jej oczywiście Richie Garrymore, otoczony jak zawsze swoją świtą złożoną z pasożytów i nieproszonych gości, ale niestety! on był za dobrze ułożony: wiedząc, jak bardzo artyści pokroju Faye nie znoszą życia światowego, machnął tylko do niej z daleka ręką i udał, że wykręca w powietrzu numer na tarczy telefonu, co miało znaczyć: „Mam ci dużo do powiedzenia, ale nie chcę tego robić tutaj, w tym zamieszaniu, wiec zadzwonię jutro..."

Faye czuła się teraz jeszcze bardziej osamotniona i zdeprymowana. Ze strachem zerkała ku witrynom przy 57. Ulicy i nieznacznie, posuwistym krokiem zaczynała zmierzać w stronę wyjścia. I naraz mimowolnie cofnęła się spanikowana, krzywiąc się z irytacją: do galerii wkroczyła doktor Marion Levine. W stylu bycia dostojna niczym starożytna matrona udrapowana w peplum z czerwonego jedwabiu w wielkie gałęzie fiołkowe i żółte, podzwaniająca ciężkimi fantazyjnymi klejnotami, triumfująca jak zawsze, nieznośnie jowialna. Wydawała się nieść z sobą powietrzny wir porywający po drodze każdego, kto chciał jej słuchać... albo i nie chciał, ponieważ ona we właściwy sobie sposób przyłączała się do grupek tworzących się i rozpadających w trakcie rozmowy na koktajlu, zabierała głos, a nawet nietaktownie narzucała się parom gawędzącym na uboczu. Mówiła głośno, śmiała się hałaśliwie i na każdy temat wypowiadała swoje zdanie. A jakże, zna małą Faye Emerson! W zasadzie ona ją przecież stworzyła, umożliwiła jej odkrycie samej siebie — „ha!" Ona jej podsunęła myśl, aby zaczęła malować i tą drogą wyrażać swoje lęki — „ha!" Głębię swojego jestestwa — „ha!" Swoje konflikty z matką — „ha!" „Zbo-czo-ny" wizerunek ojca: „Wiecie państwo? znalazła sobie w marzeniach jego substytut, ha! Przyrodniego brata zmarłego przed kilku laty, którego otacza prawdziwym kultem, ha! Nazywa go «Abel»! Pomyślcie tylko! Ale przepadam za tą dziewczyną..."

Faye zmusiła się wreszcie, by podejść do psychoanalityczki i odegrać przed nią światową komedyjkę zaskoczenia:

— Ty tutaj? Miło, że przyszłaś...

— Ależ to całkiem naturalne, Faye! — z wylaniem odparła doktor Levine i ucałowała ją.—Wiesz, jak cię lubię, moja śliczna... I jak lubię twoje płótna!... Jesteś teraz

horrendalnie droga! — nie zdołała się powstrzymać, by nie dodać, albowiem jak większość ludzi wykonujących jej zawód, miała obsesję pieniędzy. — Nie jestem pewna, czy mogę sobie pozwolić na choćby skromny szkic — ciągnęła wyraźnie dwuznacznym tonem, podzwaniając bransoletkami.

Na co Faye, z łatwością domyśliwszy się, do czego doktor Levine zmierza, lecz zdecydowana nie dawać jej więcej swych obrazów, co dotąd nazbyt rozrzutnie czyniła, odparła uszczypliwie i chłodno:

— Ależ, droga Marion, nie musisz płacić gotówką. To nie seans psychoanalityczny... Tutaj udzielają kredytu.

A kiedy doktor Levine oddalała się, by znów zaczepiać ludzi, oddawać się czczej gadaninie, Faye z wyimaginowanego karabinu wystrzeliła jej serię w plecy: „Ta-ta-ta-ta!"

Rosło w niej napięcie nerwowe i nieprzeparta chęć, żeby krzyczeć, tupać, pociąć nawet swe płótna, co już jej się kiedyś zdarzyło. Och! jakże nie na miejscu wydawali się goście zaproszeni na ten koktajl pośród zawieszonych na ścianach obrazów zakrwawionych nagich ciał, zwłok torturowanych: pośród całej nieszczęsnej ludzkości, pośród wszystkich ofiar policyjnego terroru, którym pragnęła dedykować swoje dzieło! Czy nie mieli w sobie na tyle przyzwoitości, żeby przynajmniej milczeć? Nie mogli po prostu obejrzeć tego w ciszy, a potem sobie pójść?

— Alec! — zawołała naraz. — Alec!

Wypatrzyła go w ruchliwej fali twarzy, rozpoznawszy po zabawnym wisusowskim kaszkiecie, który nosił zawsze i wszędzie. Wzniósł ramiona do nieba, po czym z trudem jął torować sobie drogę przez tłum. „Odzie Johanna?" już miała spytać. Ugryzła się jednak w język spostrzegłszy, że Alec trzyma za rękę i prowadzi swoim śladem ładną dziewczynę, której nie znała. Zamienili zakłopotane spojrzenia. Po czym Alec pierwszy przerwał milczenie:

— Przedstawiam ci moją znajomą Maureen — rzekł, kładąc nacisk na „znajomą", co miało dać Faye do zro zumienia, iż dziewczyna jest dla niego czymś więcej niż znajomą.

A więc o to szło! pomyślała Faye. To dlatego Johanna była taka tajemnicza, kiedy ostatnim razem zadzwoniła do

niej na nowy numer, żeby chwilę pogadać. I równocześnie wspomniała coś, co ją teraz wprawiało w poruszenie: dziwiło ją już to, że Alec odszedł od Johanny, a nie na odwrót, lecz było jeszcze coś bardziej zastanawiającego: w czasie tej rozmowy Johanna wydała się jej niesłychanie podniecona, przepełniona radością. Czyżby w ogóle jej nie obeszło to, co wyglądało na separację? Nie, najwyraźniej nie — i Faye przypomniała sobie naraz enigmatyczne słowa Johanny, na które wówczas nie zwróciła większej uwagi: „Jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd, ale na razie nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Nastąpiła ogromna zmiana w moim życiu! Faye, ty też się spodziewaj... — Czego?" spytała wtedy. I Johanna odpowiedziała jej pospiesznie, jakby ktoś wszedł do pomieszczenia, gdzie rozmawiała, a ona nie chciała, by ją usłyszał: „Nie, Faye, naprawdę nie mogę więcej powiedzieć."

Doprawdy, nic z tego nie rozumiała...

Zwłaszcza że Alec, choć starał się to ukryć za szerokimi uśmiechami i dowcipkowaniem, najwyraźniej wyglądał na trapionego skrywanym smutkiem. Faye była zbyt wrażliwa, by nie odczuć z tego powodu zażenowania, które stało się nieznośne, kiedy w tłumie naraz zauważyła Johannę... Johannę zmierzającą wprost ku niej... ku nim...

Nie zaszło jednak nic z tego, czego się obawiała: Alec i Johanna po prostu na siebie spojrzeli i bez cienia zakłopotania pocałowali się na powitanie. Jakby byli wspólnikami, jakby wiedzieli, że się tutaj spotkają.

— Witam cię. Dobry wieczór, Maureen. Cześć, Faye...

— Cześć, Johanna... — odparła Faye. A ponieważ wzrokiem błagała o wyjaśnienia, Johanna, objąwszy ją z jakąś porywczością, szepnęła jej na ucho:

— Posłuchaj, nie mogę o tym mówić tutaj, wśród tylu ludzi. Ale musisz się dowiedzieć...

— Powiedz!

— Nie, nic! Musimy się spotkać po koktajlu... W jakimś spokojnym miejscu. Najlepiej byłoby u ciebie... To coś tak...

— Dobijasz mnie, Jo! Ale obawiam się, że będę musiała iść na kolację do Four Seasons z Johnem i Egonem. Bardzo im na tym zależy.

— No to przyjdziemy cię zabrać po kolacji...

— Przyjdziemy?

— To znaczy... j a przyjdę.

— Do licha! co się dzieje? Odkryłaś ropę w ogrodzie czy nową planetę na niebie?

— Och, to coś jeszcze wspanialszego! Dowiesz się potem, ale błagam, przygotuj się! Przygotuj się na szok...

Podjęła decyzję: pójdzie już stąd. Wydawało jej się, że dopełniła swego obowiązku wobec Ryana i Weissa pozostając tu przez trzy godziny z rzędu i ciągle uśmiechając się uprzejmie mimo połączonych ataków wulgarności i snobizmu większości zaproszonych na wernisaż. Nie mogli więcej od niej wymagać, ani żeby poszła na kolację, ani żeby wzięła udział w przyjęciu, które John Ryan planował później zaimprowizować u siebie. To przyjęcie będzie tym, czym są wszystkie przyjęcia dla człowieka zrozpaczonego: czymś wprawiającym w większą rozpacz niż najrozpaczliwszy banał dnia powszedniego. I Faye wolała zostać sama ze sobą w swoim atelier w śródmieściu. Zadzwoni do Johanny, która już wyszła z galerii, żeby spotkały się wcześniej niż umówione: nareszcie się dowie...

Czego się dowie? Najpewniej, że Johanna ma kochanka, mężczyznę, z którym żyje teraz w mieszkaniu w wieżowcu przy Madison Avenue, gdzie dotąd jej nie zaprosiła. Ech, co to ma dla niej za znaczenie? Dlaczego miałaby podzielać niesłychaną radość, jaką jej przyjaciółka obnosiła od kilku dni? Czy nie poczuje się jeszcze bardziej osamotniona, jeszcze bardziej sfrustrowana wiedząc, że Johanna jest taka szczęśliwa? Miłość, prawdziwa miłość, wielka miłość była zawsze dla innych, zdarzała się tylko innym: ona, Faye Emerson, znała jedynie przygody bez jutra z żigolakami przyciąganymi przez jej pieniądze, sławę, urodę. Z mężczyznami pustymi i pysznymi, którzy kochali ją dla zabawy, bo czymś podnoszącym prestiż było „mieć małą Emersonównę" — Faye miała dość zdrowego rozsądku, aby nie robić sobie złudzeń.

Wśród tych ludzi pijących, śmiejących się, rozprawiających głośno, odgrywających światową komedię, poczuła naraz, że przemożnie ogarnia ją wielki smutek, i kiedy wychodziła, zastanawiała się nawet, dlaczego w ogóle zgodziła się tu przyjść. Przecież wiedziała, że będzie jak zawsze. Owszem, ale też zawsze miała nadzieję, miała nadzieję... Na

co? Och, na odrobinę szczęścia: na spojrzenie zagubione w tłumie i tylko dla niej przeznaczone, na uśmiech...

Na cień uśmiechu. Wspomniała seans u Marion Levine, gdy mówiła jej o tej piosence: *The Shadow of Your Smile.* I o Ablu oczywiście. O kim innym mogłaby mówić? Kto inny liczył się w jej życiu?

Abel, Abel, Abel... Daremnie Marion Levine powtarzała jej, że to obsesja: pewnie, że obsesja! Ale czemu nie? Czy Abel nie zasługiwał, żeby stale o nim myśleć, skoro jedynie wspomnienie o nim, cień uśmiechu, pomagało jej żyć? I to na pewno o wiele bardziej niż te niosące rozczarowanie przyjęcia, wernisaże, kolacje, party, na które ją zapraszano nie bacząc na ciągłe odmowy; na pewno o wiele bardziej niż nie kończące się noce spędzane w modnych dyskotekach; na pewno o wiele bardziej niż weekendy z aktualnym kochankiem...

„Faye Emerson: dwadzieścia dziewięć lat, uroda, forsa, sława, talent — i nieszczęście." Tak się czasami przedstawiała temu, kto chciał ją poznać, jeśli potrafiła się wyzbyć wstydu. Była jednak zbyt powściągliwa, zbyt dobrze ułożona, by swoją rozpacz rzucać ludziom w twarz. W gruncie rzeczy łatwiej było grać osobę niezrównoważoną... Tę rolę zresztą tak dobrze i od tak dawna grała, że stała się jej drugą naturą: „Ha, graj, Faye, powtarzała sobie. Bądź taka, jaką cię chciała matka: bądź nieszczęsną wariatką! Wariatką, która nie ma nawet odwagi, żeby skończyć z życiem..."

Cichaczem przemknęła wśród tłumu i przez nikogo nie zauważona wyszła z galerii — powinszowała sobie sprytu. Przywołała taksówkę, ale gdy żółty samochód zatrzymał się przy chodniku, zrezygnowała. Zbyt wiele uczuć kłębiło się jej w sercu, zbyt wiele myśli w głowie. Musiała się przejść. Lubiła zresztą nocą godzinami chodzić po Nowym Jorku, nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie niosą takie przechadzki. Często je sobie urządzała, szukała... sama nie bardzo wiedziała czego. A raczej wiedziała, lecz nie śmiała się przed sobą przyznać...

Tak, teraz nie mogła już nie być tego świadomą, nabrała pewności: od kilku minut ktoś za nią szedł. Niewątpliwie

mężczyzna. Mężczyzna, który jej pożądał... Czyż nie wyglądała prowokująco w obcisłej sukni z czarnej krepy w stylu lat trzydziestych, rozciętej z boku powyżej połowy uda? podniecająco z głębokim dekoltem, na poły przysłoniętym etolą z popielatego futra niedbale przerzuconą przez ramię, i w delikatnych pantofelkach z wężowej skórki stukających obcasami o chodnik?

Ach! jakiż niesmak czuła do samej siebie, jakim ją wstrętem napawała jego żądza! Mimo to w niej także, wraz ze zbliżaniem się zagrożenia, rosło pożądanie... Było to absurdalne, poniżające —jakże gardziła mężczyzną, który ją zaraz zaczepi! Jakże by jednak chciała się odwrócić, by zobaczyć jego twarz...

Lecz przyspieszyła kroku, rozejrzała się za taksówką: uznała, że zabawa trwała już wystarczająco długo.

Mężczyzna również przyspieszył kroku. Był coraz bliżej, coraz bliżej. Faye chciała krzyczeć. Wołać o pomoc. Ze ściśniętego gardła nie wyszedł żaden dźwięk...

Odwróciła się.

Wielki Bożd Teraz jużnaptawde zwariowała. Widziała... tak, widziała Abla! Szedł za nią Abel! Uległa halucynacji, była tego świadoma, chciała się wyrwać spod jej wpływu, lecz na próżno. I milcząco trwała w strachu.

Zmarły był coraz bliżej — przerażenie! Jeszcze bliżej. Oddychał szybciej zimnym powietrzem, mówił. Teraz mówił.

— Nie bój się—powiadał bardzo łagodnie—niczego się nie bój, siostrzyczko! To ja. To naprawdę ja, Abel! Nie śnisz: ja żyję, Faye. Popatrz na mnie, dotknij mojej ręki, pogłaszcz ją... Widzisz? obejmuję cię ramionami... o, tak... jakbym cię nigdy nie opuścił... Ludzie twierdzili, że nie żyję... Ale to nie była prawda... Wszystkiego się dowiesz...

Faye była struchlała. Wszystko się wokół niej rozmywało, zacierało, jak w omdleniu. Nie śmiała jeszcze dotknąć tej istoty, która ją obejmowała, pocałować ust, które szeptały:

— Nie płacz, siostrzyczko!

Czyżby płakała?

Tak — z oczu płynęły jej łzy, słodkie, dobroczynne łzy: chciała wierzyć w realność tego, co przeżywała, chciała w to wierzyć, tak samo jak chciała wierzyć w Boga, gdy w dzieciń-

stwie matka jej dokuczała. Och! Bóg spełnił w końcu jej pragnienie: Abel żyje. I życie miało teraz sens. A zimna, budząca strach noc stała się nagle ciepła, przyjazna.

— Nie płacz, siostrzyczko! Nie drzyj tak — powtarzał Abel, czule tuląc ją w ramionach. — Nie bój się: teraz już będę przy tobie. Teraz będziesz miała opiekę.

Wtedy Faye, otrząsnąwszy się nieco ze zdumienia i ekstatycznego uniesienia, raptem pojęła, dlaczego Johanna tak bardzo chciała się z nią zobaczyć, porozmawiać. Bo od kilku dni wiedziała, że Abel żyje...

Żył! Naprawdę żył! Żył! Istota z krwi i kości, a nie z owej materii, z jakiej uprzędzione są sny, tuliła Faye do serca — a serce to biło tak szybko i mocno — tulił ją Abel we własnej osobie, nadal szepcząc czule:

— Nie płacz, siostrzyczko! Nie bój się! Moja niedola już minęła. Twoja też się skończy. Tam, w Wietnamie, zamknęli mnie, torturowali, omal nie doprowadzili do obłędu. Tak samo jak z ciebie tutaj chcieli zrobić wariatkę. Ale widzisz? byliśmy silniejsi! Potrafiliśmy się oprzeć. No nie płacz już, Faye, uśmiechnij się do mnie!

— Wiedziałam — rzekła na to głosem urywanym z dławiącej ją emocji. — Wiedziałam, że nie umarłeś, zawsze wiedziałam. W głębi duszy coś mi tak mówiło. I nie zabiłam się, kiedy było mi bardzo źle, nie zabiłam się ze względu na ciebie, dla ciebie... dlatego, że czekałam na twój powrót. Tak, brali mnie za wariatkę, ilekroć wymawiałam twoje imię. Chcieli mnie zamknąć w szpitalu. Ale ja miałam malarstwo i miałam... ciebie. To znaczy miałam wspomnienie ciebie, kiedy wszedłeś do pokoju, w którym umierał nasz ojciec... Kiedy wziąłeś go za rękę i powiedziałeś: „Widzisz? jestem!" I kiedy potem... — dodała wybuchając szlochem — kiedy potem się odwróciłeś i uśmiechnąłeś do mnie...

— Faye!—zawołał Abel.—Faye!... za kilka tygodni, za kilka dni będziesz pomszczona...

Ruszyli bez celu ulicami, trzymając się objęci w pół niczym kochankowie. I długo tak chodzili przytuleni, śmiejąc się, płacząc, mówiąc do siebie czule, drżąc odrobinę —ona w jego marynarce, którą zarzucił jej na nagie ramiona, on w białej koszuli, rozpiętej pod szyją, jak bohater roman-

tyczny. Chodzili przez kilka godzin, aż się znaleźli w Village, przed drzwiami domu Faye.

— Wejdź na chwilę.

— Dobrze. Zwłaszcza że muszę zadzwonić do Johanny, żeby się nie martwiła...

Nadchodził już poranek.

W półmroku pracowni niepostrzeżenie rosła na parkiecie złotawobrązowa plama światła. Obrazy ożywały, werniks zdawał się rozpalać z wolna i pożerać ciała i twarze. Pod autoportretem naturalnej wielkości, na którym przedstawiła się z zasłoniętymi opaską oczami, rękami i nogami związanymi, Faye siedziała umie przytulona do brata. Była pogodna, spokojna. Twierdziła, że nie chce się jej spać. I że nigdy nie była równie szczęśliwa. Oczy miała jednak podpuchnięte i zaczerwienione: długo płakała, kiedy Abel jak najbardziej powściągliwie opowiadał jej o mękach, jakie przeszedł w wietnamskich obozach śmierci. I z przerażeniem wysłuchała historii spisku zorganizowanego przez Jeremy'ego przeciwko bratu. I dostała torsji z odrazy, gdy Abel ostatecznie zebrał całą odwagę i zdecydował się nader ostrożnie wyjawić jej, jak potwornych zbrodni dopuściła się jej matka, Kay Mc Kay.

— Prześpię do rana tu, na kanapie — rzekł potem. — Nie chcę cię zostawiać samej po tym, czego się dowiedziałaś, siostrzyczko. Jesteś jeszcze pod wpływem szoku... Może zresztą nie powinienem był ci mówić...

— Nie, Abel, dobrze zrobiłeś. Widzisz, już nie jestem smutna. Przeciwnie, czuję się wyzwolona: wreszcie wiem, dlaczego byłam taka nieszczęśliwa, wiem, dlaczego tak bardzo nienawidziłam mamy. Ale ten koszmar skończył się dzisiaj. Dziwne tak mówić, ale czuję się doskonale. Mimo wszystko zostań jeszcze. Przygotować jajka, kawę?

— Jak zakochani po nocy spędzonej na miłości, co? Chętnie zjem.

— Mój Boże, Abel! Te dziewięć lat bez ciebie... dziewięć lat! A ty żyłeś! Och, pozwól, niech cię jeszcze dotknę... pogłaskam... Jakiś ty piękny...

Przyciągnął ją do siebie, musnął ustami kark. Objęła go mocno, lekko ugryzła w ucho. Potem ich usta się spotkały. Lecz Abel pierwszy się opanował i rzekł szeptem:

— Nie, Faye... nie trzeba.

Ona zaś odpowiedziała:

— Nie trzeba. Masz rację.

Dokładnie w tej chwili rozdzwonił się telefon, aż podskoczyli.

— Johanna! — zawołali jednym głosem, parskając śmiechem jak dwoje rozbawionych dzieci. Porozumiewawczo jak tylko brat i siostra mogą...

W świecie dziennikarskim mówiono tylko o tym: pierwszy numer „Imagine" ma się ukazać we środę 15 października.

Konferencja prasowa zorganizowana przed pół rokiem przez Richiego Garrymore'a, przyszłego redaktora naczelnego, i Roberta O. Kelly'ego, dyrektora generalnego pisma, by zapowiedzieć wypuszczenie tygodnika jesienią, wzbudziła ogromną ciekawość. Potem nader zręcznie przeprowadzona kampania w kręgach znajomych ze sfer publicznych, kilka enigmatycznych komunikatów dokonały reszty. Z niecierpliwością czekano, by zobaczyć, czym jest nowe pismo i jak się będzie miało do innych wielkich tygodników informacyjno-kulturalnych: „Time'a", „Newsweeka", „Eventsa". Poza tym dziwiono się, że Robert G. Kelly staje na czele pisma, zwłaszcza że sądząc po wstępnej reklamie, zapowiadało się jako przeciwnik tego, którym kierował przez ponad trzydzieści lat.

Zastanawiano się również nad pochodzeniem kapitału, jakim dysponowało „Imagine": był nadzwyczaj wysoki. Czyż nie donoszono o wstępnym nakładzie w wysokości półtora miliona egzemplarzy? Kto mógł finansować takie przedsięwzięcie? Kto mógł udzielić wystarczających gwarancji? Ta kwestia budziła tysiące domysłów: banki zachowywały, zgodnie z regułami gry, absolutną dyskrecję, lecz szacowano, że jeśli pieniądze wykłada osoba fizyczną, to musi być niezwykle majętna. Toteż palono się, by poznać nazwisko nieznanego komandytariusza, który się krył za całą tą sprawą. Zwłaszcza że Richie od czasu do czasu rzucał w rozmowie aluzje wpływające na wzmocnienie wokół

przedsięwzięcia aury tajemnicy. Kiedy go jednak naciskano, by coś więcej powiedział, twierdził, że niewiele więcej niż inni wie na ten temat. Nawet przyszli współpracownicy otrzymywali tylko wymijające odpowiedzi oraz słowo honoru Roberta G. Kelly'ego, który ucinał wszelkie domniemania mówiąc:

— Mogę panu obiecać, że tajemnica zostanie wkrótce odsłonięta. Wraz z trzecim numerem z 29 października. *Do* tej pory ma pan tylko moje słowo. Ale proszę mi wierzyć, naprawdę nie zawiedzie się pan co do osoby właściciela pisma i nie będzie pan żałował, że do nas przeszedł. Możemy poza tym dodać w umowie klauzulę, że zastrzega pan sobie prawo odejścia z redakcji, jeśli uzna pan właściciela za osobą nie zasługującą na współpracę, kiedy wyjawione zostanie jej nazwisko...

Kelly dobrze wiedział, że nikt z tego prawa nie skorzysta.

W skład kolegium redakcyjnego wchodziło sporo osób nie znanych, ale też kilka sław — i o tym również wiele mówiono w sferach prasy. Połączone nazwiska Kelly'ego i Garrymore'a, reputacja największego naczelnego wszechczasów połączona z opinią genialnego reportera, laureata nagrody Pulitzera, skojarzenie ogromnego doświadczenia zawodowego i świeżości pomysłów przyczyniły się do ściągnięcia do „Imagine" najróżniejszych talentów.

— Nie mamy żadnych przesądów ideologicznych ani politycznych — mawiał Richie — liczą się tylko umiejętności.

A Robert żartobliwie mu wtórował:

— W gruncie rzeczy nie jesteśmy bardzo wymagający, chcemy tylko to, co najlepsze: najlepszych dziennikarzy, najlepszych fotografików, najlepszych grafików, najlepszych redaktorów technicznych.

Toteż bez większych trudności udawało im się werbować pracowników u konkurencji: wielu dziennikarzy skusiła przygoda. Kelly zdołał nawet ściągnąć z „Eventsa" Shawna Arbotha, słynnego humorystę, będącego wszak instytucją w łonie instytucji, jaką było pismo Emersonów. Szeptano wprawdzie, że Shawn Arboth miał niedawno gwałtowne starcie z Jeremym Emersonem, ale żeby z tego powodu od razu przechodzić na stronę wroga!...

Tak, wroga — bo Garrymore i Kelly nie skrywali, że ich zamiarem jest stworzenie anty-„Eventsa". Dziwiono się nawet, iż wyraźnie strzały kierują bardziej przeciw temu pismu rriź przeciw innym konkurentom, „Time'owi" czy „Newsweekowi". Uraza Kelly'ego do byłego szefa nie wyjaśniała wszystkiego. Dlaczego znęcał się nad chorym? zastanawiano się.

„Events" bowiem w ostatnich latach stracił wiele ze swego prestiżu. Nie był już tygodnikiem o największym nakładzie, a i koncern jakby podupadał. Naturalnie takie imperium nie wali się z dnia na dzień: wszystkie publikacje koncernu żyły nadal, w większości z dawnych osiągnięć, lecz krąg czytelników, a zwłaszcza czytelników „Eventsa", osobliwie się postarzał — potwierdzały to sondaże i badania rynku. Redakcja nie potrafiła zmodernizować stylu, toteż pismo wydawało się mocno „przeżyte". Za czasów „Trzech E" zaś o jego sukcesie stanowił nieustanny rozwój i dostosowywanie się do wszystkich mód. Dzisiaj Whyatt i Bergman, dwaj ostatni, którzy pozostali z „ery Roberta O. Kelly'ego", tak oto mogli streścić sytuację:

— „Trzy Zera" nie zdążył nas jeszcze całkiem rozłożyć, ale...

— Cierpliwości! Już niedługo!

Malała liczba reklam z powodu właśnie zestarzenia się grona odbiorców, anonsujący nastawiają się bowiem raczej na trzydziesto-, czterdziestolatków. Krzywa sprzedaży opadała powoli, lecz stale. A ponieważ redakcja nadal utrzymywała ekstrawagancki styl życia z czasów swej świetności, w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat należało się bezwzględnie spodziewać ogłoszenia upadłości.

W przeciwieństwie do kierownictwa „Eventsa" Richie Garrymore, Robert G. Kelly oraz Jane Cox, niedawno zaangażowana dyrektorka działu reklamy, potrafili dobrze „sprzedać" miejsce w „Imagine" udowadniając, że w prasie amerykańskiej brakuje dużego tygodnika adresowanego do nowej klasy kobiet i mężczyzn, którzy w latach sześćdziesiątych mieli po dwadzieścia lat, wierzyli, że ziści się cudowna nadzieja na zmianę społeczeństwa, ale życie z czasem ich rozczarowało. Zagubione dzieci pokolenia Kennedyego, bardziej niż ich rodzice wykształceni i niezależni,

czego innego też chcieli: pragnęli poznać świat, jego ewolucję, i mieli w sobie więcej ciekawości aniżeli ludzie wcześniejszych generacji. Interesowali się, tak samo jak tamci, aferą Watergate, problemem energii, recesją, bezrobociem. Ale też chcieli, żeby im mówiono o zaczynającym się uwidaczniać kryzysie cywilizacyjnym. Mogli byli negować społeczeństwo konsumpcyjne przed kilku laty, kiedy owo społeczeństwo wydawało się niezachwiane, niezniszczalne. Teraz jednak, gdy nastały trudniejsze czasy, mniej pewne, stawali się wszyscy potencjalnymi nabywcami! Taki był ulubiony argument Richiego Garrymore'a. I w połowie posępnej jesieni 197S roku, w okresie zastoju ekonomicznego, okazał się tak przekonywający, że agencje reklamowe rzuciły się na wyścigi kupować miejsce w piśmie. Już od numeru zerowego „Imagi-ne" zapowiadało się więc na przedsięwzięcie intratne, bez problemów finansowych, dysponujące blisko rokiem na to, by się wykazać.

Powodzenie przyszłego tygodnika było widoczne już w wyborze lokalu przy Madison Avenue. „Imagine" wynajmowało dziesięć najwyższych pięter w niedawno wykończonym wieżowcu. Biura urządzono bez przesadnego luksusu, tak zmyślnie jednak, by dało się w nich odczuć swobodę sprzyjającą szerzeniu idei, tworzeniu. Na otwartej przestrzeni nie czuło się żadnej wyraźnej hierarchii, nic nie było zamykane czy ukrywane, nie ustalono żadnych stałych godzin urzędowania, odgórnego podziału obowiązków. Przeciwnie: biurokrację zredukowano do minimum i jak to lapidarnie określał Rićhie, „nastały rządy wyobraźni". Czyż nie było to zresztą niezbędne minimum dla magazynu noszącego taki tytuł?

Istniało jednak coś, czego w żaden sposób nie umiano sobie wyobrazić, mianowicie do kogo może należeć ostatnie piętro wieżowca. Z prywatnego boksu na trzecim piętrze podziemnych parkingów prywatna winda zapewniała połączenie z apartamentem, ale dotąd nie zauważono, by ktoś do niej wchodził oprócz kilkorga dzieci, zawsze poprzebieranych albo w maskach. Przypuszczalni właściciele zaś odjeżdżali i przybywali limuzyną o zaciemnionych szybach, przez które niepodobna było dojrzeć ich twarzy. Rićhie, wypytywany o powody strzeżenia incognito, odpowiadał wzrusze-

niem ramion mającym znaczyć, że nie ma pojęcia i jest bezradny. Kelly zaś, gdy go zagadywano, czy domyśla się, kim jest ten majętny człowiek, mawiał z kpiącym enigmatycznym śmieszkiem:

— No... ktoś na tyle bogaty, żeby sobie zafundować taki metraż z wielkim tarasem i wspaniałym widokiem...

Na tarasie panowała właśnie szalona wesołość. Grupka dzieci przedstawiała *Czarnoksiężnika z krainy Oz.* Dziewczynki przebrane za kwiaty robiły próbę zabawnego pląsu, a chłopcy tworzyli taneczny krąg potrząsając grzechotkami. Johanna wybijała rytm na cymbałkach i doradzała, udzielała wskazówek scenicznych, gdy tymczasem Alec, z kamerą wideo na ramieniu, filmował dzieci. Abel zaś bawił się z synem w chowanego miedzy kominami i tak się wygłupiał, że obaj śmiali się do łez. Pożyczył od maluchów szminki i błyskotki i pomalował sobie twarz jak klown. Potem na głowę przywdział dziurawą jaskraworóżową piłkę z błony, przez co miał groteskowy wygląd łysego. „Jak tam leci, co?" zapytywał tonem cyrkowego błazna, ilekroć umyślnie pozwalał się znaleźć małemu Ablowi w kryjówce. I śmiech wybuchał ze zdwojoną siłą... A kiedy mała Eva zaintonowała ślicznym cienkim głosikiem słynną piosenkę *Over the Rainbow,* Abel zeskoczył z transformatora, chwycił w ręce skrzypce i udawał, że wygrywa z orkiestrą uroczą melodię. Czy jednak istotnie nie był czarnoksiężnikiem z Oz ten człowiek, który rozsiewał wokół siebie tyle humoru i szczęścia, człowiek, który mieszkał w bajkowym szklanym domu górującym nad miastem, jego gorączkowym ruchem i światłami?

Był w rzeczy samej czarnoksiężnikiem, samą swoją obecnością sprawiającym, że wśród wszystkich panowała jakaś cudowna zgoda, uśmiechnięta beztroska budząca podziw w rzadkich gościach dopuszczonych do uczestnictwa w książęcym życiu, jakie wiódł tutaj z Johanną i swoim synem: w Elli i Robercie Kellych, w Garrymorze, Edzie Barrecie Jr., który wziął na siebie wszelkie problemy prawne i związane ze spadkiem, jakie wywoła „zmartwychwstanie" jego klienta, podobnie jak przed laty, po urodzeniu Abla, uczynił ojciec Eda. Od kilku dni przychodziła tam również Faye, doświadczająca ogromnej zmiany życiowej po

ujawnieniu się brata, najbliżsi Johanny, którym kazała przysiąc, że zachowają w tajemnicy powrót Abla, i wreszcie Alec. Alec, który zapominał i zaczynał darzyć odwiecznego rywala uczuciem zgoła braterskim — pozbawionym urazy i zazdrości. Niewątpliwie dlatego, że sam Abel nie okazywał najmniejszej zazdrości, gdy widział Johannę czule się do niego tulącą albo kiedy mały Abel zostawiał go naraz i z radosnym pokrzykiwaniem biegł przywitać tego, który przez wiele lat był jego tatą. Min nauczył Abla, że zazdrość jest uczuciem ludzi miernych, ludzi nie lubiących na tyle samych siebie, by umieć lubić innych takimi, jacy są, a nie jakimi chciałoby się, żeby byli.

„Czy będziesz miał odwagę, Abel, kiedy zostaniesz wypuszczony na wolność, czyli kiedy wrócisz do ludzi? Nie odwagę wobec świadków, wobec innych ludzi: to nie jest odwaga. Mówię o odwadze człowieka samotnego, o »odwadze orła, na którego już żaden Bóg nie spogląda«, o odwadze tygrysa zostawionego w najgłębszych ostępach dżungli. Czy potrafisz nie odczuwać zazdrości ani zawiści nie wobec ludzi przewyższających cię — bo to jest łatwe — ale wobec tych, którzy nigdy nie zajdą równie wysoko, równie głęboko w las jak ty?"

Tak, Ablowi wydawało się, że osiągnął taki stan. I jego przyjaciele, nie do końca tego świadomi, również to odczuwali. Niemal nadprzyrodzona obecność człowieka, który stawił czoło śmierci i szaleństwu, który się ich nie uląkł, który niejako nad nimi zapanował i pokonał je, już sama jego obecność sprawiała, że wśród otaczających go osób panowała harmonia. Kiedy jakiś konflikt wybuchł, wystarczało, że Abel uśmiechnął się bez słowa, a w jednej chwili wszystko stawało się jasne, łatwe. Skoro przeszedłszy tak nieludzkie doświadczenia, można być szczęśliwym, to nikt nie ma prawa narzekać na swój los, myślano patrząc na niego. I każdy pragnął okazać się godnym miana człowieka jemu bliskiego.

Taki oto był czarodziej mieszkający na ostatnim piętrze wieżowca, który Richie, czyniąc aluzję do drapacza chmur Eventsa, nazywał żartobliwie „Imagine Tower".

Thomas, siedzący w salonie w fotelu na kółkach, z rozczuleniem zabarwionym odrobiną goryczy przyglądał się

przez szybę bandzie wesołych wariatów, którzy grali, tańczyli, skakali, wirowali i śpiewali, zaśmiewając się do rozpuku. Od kilku chwil machał sprawną ręką, lecz Abel, zerkający nań kątem oka, nie domyślił się jeszcze, że ten gest skierowany jest do niego ani co oznacza. Naraz pośród wrzawy posłyszał dwutonowy dźwięk domofonu i wtedy zrozumiał. Rzucił się do słuchawki i udając, że się potknął na wyimaginowanym stopniu, poturiał się po ziemi i oburącz chwycił aparat, jakby ktoś chciał mu go odebrać. Dzieci hałaśliwymi okrzykami przyjęły tę błazeńską improwizację.

— Ta! — rzekł, łapiąc oddech. — Abel Young do usług, kimkolwiek człowieku jesteś.

Usłyszał głos Rićhiego:

— No, nareszcie!... Abel, trzeba jechać: Howard się z nami — to znaczy ze mną umówił na piątą, a mamy dobre dwie godziny drogi.

— Świetnie — powiedział Abel poważniejąc. — To spotkajmy się za dziesięć minut na parkingu, muszę zmyć makijaż.

— Co zrobić?

— Zmyć makijaż. Nie bój się, nie sfiksowałem do reszty. Udawałem błazna, żeby zabawić dzieciaki.

— No, ładnie! — stwierdził Rićhie z udawanym wyrzutem i urazą. — To my durni harujemy jak dzikie osły, żeby pierwszy numer ukazał się na czas, a kochany szefuńcio robi sobie wygłupy!

— W porządku! — zawołał Abel tak samo żartobliwie. — Jeśli chcesz robotę u konkurenta poważniejszego ode mnie, to mógłbym cię ewentualnie polecić Jeremy'emu Emersonowi...

— Skończ już to paplanie i posłuchaj: mam coś nowego i chcę o tym pomówić. Niewiarygodna rzecz!

— W związku z Howardem?

— Nie. Z Whyattem i Bergmanem: dostarczyli mi pewien dokument. I znów byli przekonywać Roberta...

— Te łajzy? Nie ma mowy, żeby ich zatrudnić w „Imagi-ne". Proszę bardzo, niech przychodzą do nas, żeby wpieprzać „Trzy Zera", niech znoszą wszystkie ploteczki z „Eventsa" i reszty... Będą z tego mieli obrywki — ale żeby od razu ich przyjmować, wybacz! Mam lepsze mniemanie o „Imagine".

Zresztą Kelly w pełni się ze mną zgadza: myśmy za nimi nie chodzili! A on ich zna lepiej niż ty czy ja i mówi, że to fałszywe typy aż strach...

— Nie wkurzaj się tak, Abel. Poczekaj, aż dowiesz się więcej, a oniemiejesz. Wyobraź sobie, że proszą nas teraz 0 ochronę.

— Co?

— Tak, tak. Pchali nos w gówno i niechcący coś znaleźli. 1 to nie byle co: wiedzą, kto pierze w Las Vegas pieniążki twojego kochanego brata. Zdobyli nawet zdjęcie tego inte resującego osobnika. Jak je zobaczysz, zdziwisz się że hej! Mówię ci! Teraz już naprawdę mamy Jeremy'ego...

— Jak to?... — spytał nadzwyczaj podniecony Abel.

— Schodź zaraz na dół, stary!

— Już idę. Za pięć minut na parkingu. Czekaj przy boksie, gdzie trzymam sevillę. Pojedziemy do Howarda moim autem.

— Dobra, szefie! Wedle rozkazu! Nie zapomnij tylko, szefie, zdjąć sztucznego nosa!

— Skończ już, cymbale!

Abel odłożył słuchawkę i popędził do łazienki, nucąc pod nosem *Over the Rainbow.*

Richie spacerował niecierpliwie przed drzwiami boksu. Był jeszcze bardziej podekscytowany niż Abel, ponieważ wiedział, że tego właśnie dnia może zamknąć dwa dochodzenia prowadzone równolegle od chwili, gdy namówił Roberta O. Kdly'ego, by razem z nim dał się wciągnąć w przygodę z „Imagine" — jedno dotyczyło Jeremy'ego Emersona, drugie zaś Kay Mc Kay. Pismo posiadało teraz wystarczająco dużo dowodów, aby w poczuciu zupełnej bezkarności wyjawić zbrodnie matki i syna: już przy pierwszym numerze skandal mógł wybuchnąć...

Podobnie jak przed dziewięcioma laty, kiedy zainteresował się dziejami rodu Emersonów i losem „bękarta", Richie zaczął wypytywać Leonarda Howarda i na kolejnych spotkaniach, podczas kolejnych pogawędek, nigdy go w sumie nie przymuszając, zdołał w końcu wydobyć zeń całą prawdę. Leonard Howard był teraz politowania godnym starcem. W skromnym emerycie o niepewnym kroku, opanowanym

nerwowym drżeniem, snującym się przez cały dzień w szlafroku i flanelowej piżamie, z trudem dawało się rozpoznać błyskotliwego adwokata, wysportowanego bywalca wyścigów samochodowych, przez długi czas uchodzącego w oczach dziennikarzy z prasy sensacyjnej za kochanka pięknej Kay Mc Kay. Żył na uboczu w małym bungalowie na przedmieściach Poughkeepsie, gdzie korpulentna, wąsata i zgryźliwa jejmość, pełniąca zarazem funkcje pielęgniarki i gospodyni, zamieszkała na stałe i traktowała go jak zidiociałego, bardzo nudnego krewniaka, którego pustego gadania od dawna już się nie słucha. Toteż Howard znajdował niejaką przyjemność w odwiedzinach młodego dziennikarza, przynoszącego wieści ze świata zewnętrznego i słuchającego uważnie jego wywodów. Najważniejsze jednak było to, że choć trochę może wylać przed kimś poczucie winy, jakie nim owładnęło w wiele lat po popełnieniu zbrodni, w dniu, kiedy dowiedział się o istnieniu innego Abla, innego syna Eliotta Ernesta Emersona, niczym żywe oskarżenie noszącego imię Abel! Najważniejsze było, że może się komuś zwierzyć z wyrzutów sumienia, które go od tej pory nękały, dręczyły bez ustanku i uczyniły jego życie nie kończącym się koszmarem. Mówienie o tym niosło mu chwilowe ukojenie: po każdych odwiedzinach Richiego przez jakiś czas mniej mu ciążyło poczucie winy. Był weselszy, lepiej sypiał w następnych dniach—sam to zauważał. I Richie, tak samo jak przed dziewięcioma laty, posługując się podobnymi argumentami, podobnie perswadując, zdołał go stopniowo przekonać, że powinien teraz wszystko wyznać na piśmie i dać mu do opublikowania. Czyż podając fakty do publicznej wiadomości nie ulży bardziej niż kiedykolwiek dotąd swemu sumieniu? Czyż nie jest to sposób na to, aby wreszcie osiągnął spokój ducha, aby zapomniał?

— I tak przecież istnieje coś takiego jak przedawnienie, prawda? Jest pan przecież adwokatem, wiec powinien pan lepiej wiedzieć — zauważył podczas ostatniego spotkania. — Nie będzie pan ścigany przez prawo. Ale po przeszło trzydziestu latach prawda w końcu musi wyjść na jaw! Musi zostać wydrukowana czarno na białym, koniecznie!

Tamtego dnia starzec się wystraszył i nagle zamknął w sobie.

— Nie! — powiedział. — Nie dostanie pan nic podpisanego przez mnie. A w ogóle dlaczego nie wypyta pan raczej Harry'ego Rienza? On przynajmniej nie musi sobie niczego wyrzucać...

— Harry'ego Rienza? Przecież umarł w zeszłym roku, już panu mówiłem — odparł Richie.

Harry Rienzo był przez blisko czterdzieści lat szoferem Eliotta £. Emersona. Nawet udając się prywatnym samolotem do Kalifornii szef Eventsa zabierał go ze sobą, aby prowadził limuzynę czekającą na lotnisku, ponieważ tylko jemu ufał. Tym sposobem z całego otoczenia „Trzech E" jeden Harry wiedział o istnieniu Lauren Young i małego Abla. Zawsze zachowywał wzorową dyskrecję, a miał ku temu ważki powód. Ten syn pokojówki Abigail Emerson jako młody związkowiec zabił w czasie demonstracji policjanta. Jednakże Eliott, darzący sympatią chłopaka, którego uważał za winnego tragicznego w skutkach czynu, ale nie zbrodni, złożeniem fałszywych zeznań dostarczył mu koniecznego alibi i uratował go od krzesła elektrycznego lub więzienia. Toteż Harry darzył chlebodawcę wdzięcznością bez granic, niezawodną wiernością. Niestety, kilka lat później Kay Mc Kay z ust męża dowiedziała się o tym i odtąd trzymała w garści szofera, dała mu bowiem do zrozumienia, że zna jego tajemnicę i gdyby kiedyś było trzeba, potrafi dowieść, iż Eliott kłamał na procesie. Harry uwierzył jej —i on to, nie wiedząc, dlaczego każą mu to robić, musiał na polecenie Howarda pomajstrować przy układzie kierowniczym i skrzyni biegów w kabriolecie alfa romeo. Nie miał pojęcia, że ma to być samochód dla Abla Emersona w nagrodę za przyjęcie do Princeton; nie rozumiał, że dopuścił się celowego uszkodzenia pojazdu... A kiedy się dowiedział, było za późno: czerwony samochód roztrzaskał się na falezie w Sag Harbor. Długie lata żył jeszcze potem, potulny i milczący, pracując u Emersona, któremu z największą chęcią wykrzyczałby prawdę, ale nie mógł tego uczynić; żył ze strasznymi wyrzutami sumienia, lecz zawsze je skrywał głęboko, tak bardzo się lękał odwetu ze strony Kay Mc Kay i Howarda; żył skrywając za każdym razem, gdy woził „Trzy E" do Modesto, jak przykro jest mu słuchać, kiedy ten przywołuje naturalnego syna: „Abel!"

Tę opowieść o życiu zmarnowanym za sprawą dwóch zbrodni Ricbie — wykorzystując swą niebywałą zręczność wnakłanianiu ludzi do zwierzeń—wydobył z Rienza w roku 1966, kiedy zaczął szperać w historii Emersonów. Szofer mieszkał wtedy w domku przy bramie prowadzącej do dworu w Sag Harbor. I choć tak miał być przywiązany do chlebodawcy, ledwie w kilka dni po śmierci Emersona Richie dowiedział się, że Harry wypowiedział pracę. Zdziwiło go to, więc postanowił wypytać starca: od słowa do słowa, Rienzo w końcu wyjawił całą prawdę w zamian za obietnicę pomocy materialnej i ochrony, gdyby sprawy przybrały dla niego zły obrót.

Lecz Harry Rienzo nie żył i jedynym świadectwem, jakie miał do dyspozycji Richie, były wyznania Leonarda Howarda.

— Harry Rienzo nie żyje — powtórzył dziennikarz ze znużeniem.

A Howard z uporem rzekł na to:

— Czemu w takim razie nie pójdzie pan spytać Kay Mc Kay? Ona wpadła na pomysł spowodowania wypadku, żeby zgładzić przyrodniego syna. Tak samo jak ona zgładziła Juliusa Hancocka, króla konserw wołowych, swojego pierwszego męża. Ja byłem tylko wykonawcą. To znaczy zmusiłem tego biedaka Rienza do brudnej roboty. Czemu nie zapyta pan jej, hę?

— Howard, niechże pan nie gada byle czego! Dobrze pan wie, że właśnie j ą chcemy dosięgnąć za pana pośrednictwem. Nie wejdziemy przecież w paszczę lwa. Pan ma wyrzuty sumienia, a ona żadnych. I ona była incjatorką wszystkiego. Sam pan to mówi. To ona...

— Tak! — zawołał adwokat, wpadając Richiemu w słowo. —To przez nią stałem się zbrodniarzem. Przez nią! Ona była moim przekleństwem...

Richie nie bez zadowolenia skonstatował, że zręcznie udało mu się sprowadzić rozmowę na temat niewyczerpany i zawsze chętnie przez Howarda roztrząsany: Kay Mc Kay. Ona była winna, ona go omotała, ona i tylko ona czyniła zło. A to dlatego, że po prostu była wcieleniem Zła przez duże „z", kobietą przynoszącą zgubę — Howard, naiwny

i słaby, żywił takie właśnie przekonanie. Z powodów równie irracjonalnych uważał się za przeklętego za to, że wyparł się żydowskiego pochodzenia zmieniając nazwisko, a jego mizoginia sprawiała, iż obwiniał kobiety w ogóle, a Kay Mc Kay w szczególności o zdeprawowanie go za pomocą jakiejś nadprzyrodzonej mocy, o nakłonienie do zbrodni tak potwornej jak zamordowanie szesnastoletniego dziecka.

— Nigdy mężczyzna sam by nie wymyślił czegoś tak okropnego! — bronił się żałośnie i jękliwie. — Niech mi pan wierzy, Garrymore, zanim poznałem Kay Mc Kay, zanim zostałem jej adwokatem, byłem uczciwym i prawym facetem, nie popełniłem najmniejszego świństwa. Ale on a to wcielony diabeł: dla niej byłbym zabił ojca i matkę, gdyby mi kazała.

— Niedługo zacznie pan też twierdzić, że wszystko przez te jej rude włosy i że wiadomo, że każda ruda kobieta... — rzekł wtedy Richie z sarkazmem i wzgardą. Obrzydzenie budziło w nim wychodzące teraz na jaw tchórzostwo Howarda: czy naprawdę wierzył w to, co mówił, gdy jedynie zły los oskarżał o uczynienie zeń, człowieka prawego i cnotliwego, mordercy? Ale wracając do zasadniczej myśli dodał nie bez przebiegłości: — Tak czy owak sam pan widzi, że to jeszcze jeden powód, żeby opublikować pana pisemne wyznania: trzeba powstrzymać tę kobietę przed dalszym czynieniem zła...

Na co Howard odparł, wracając do starczego roztrząsania poczucia krzywdy, jakie mu stale doskwierało:

— Tak, tak, winna jest ona! Dla niej zrobiłem to, co zrobiłem, i dlatego, że mnie nakłoniła! Chciała mieć wszyst ko: władzę, pieniądze, poważanie... Chciała, żeby jej syn był wyłącznym spadkobiercą. A ja, skończony dureń, kiedy mówiła, że mnie kocha, że wyjdzie za mnie później, po śmierci Eliotta, byłem na tyle głupi, że wierzyłem w jej szczerość... No i robiłem wszystko, czego zażądała. Godzi łem się na wszystko) Zawsze) Ach) można powiedzieć, że mnie omotała... Przez całe lata prowadziła mnie jak psa na smyczy. I tylko mgliście obiecywała, że kiedyś za mnie wyjdzie. Jak mówi porzekadło: nie ma bardziej głuchego od tego, kto nie chce słyszeć. Przeczuwałem, że wykorzysta mnie i rzuci, ale chciałem się nadal łudzić. Nie widzieć, nie

wiedzieć... Tak! Zatykałem uszy, zamykałem oczy—kochałem ją. A zrozumiałem, tak naprawdę zrozumiałem dopiero w dzień śmierci Emersona... na kilka godzin przedtem, kiedy zadzwoniła do mnie z Saint-Jean-Cap-Ferrat, żeby mi powiedzieć o istnieniu be... to znaczy tego biedaka Abla Younga. Pamiętam, jakby to było wczoraj: przebywałem wtedy w Kalifornii i musiało być około piątej rano, gdy zatelefonowała. Była jeszcze pod wrażeniem i pierwsze, co mi powiedziała, gdy podniosłem słuchawkę, to „Abel". I wtedy ja, nie całkiem przebudzony, rzekłem: „Nie umarł". Miałem na myśli Abla Emersona. I zaraz potem przemknęło mi przez głowę: mój Boże! inny Abel przyszedł na świat, żeby pomścić tamtego... Tak, wiem, że to idiotyczne, panie Garrymore, ale tak właśnie w pierwszej chwili pomyślałem. I od tamtego dnia...

Howard nie dokończył: zaczął dcho płakać, jak płaczą starcy z żalu za minioną młodością. A Richie natychmiast pojął, w jaki sposób zdoła go wreszde złamać i uzyskać podpisane zeznania, których potrzebował, by obwieśdć prawdę w pierwszym numerze „Imagine": następnym razem jadąc do niego zabierze z sobą Abla.

Przechylające się pod sufitem żelazne drzwi prywatnego boksu tak donośnie załomotały pod betonowym sklepieniem parkingów, aż Richie się wzdrygnął. Silnik cadillaca o przyriemnionych szybach już pracował, z zewnątrz otwarto przednie drzwiczki po stronie pasażera.

— Wsiadaj! — rzekł Abel, ustawiając dźwignię auto matycznej skrzyni biegów w pozycji „start".

Richie, wsiadłszy do auta, położył na kierownicy jakieś zdjede fotografią do dołu. W poprzek białego papieru widniało wypisane czerwonym flamastrem nazwisko: Lany Hawkins.

— No?—ponaglił Abel, nierierpliwie oczekujący wyjaśnień, ponieważ nazwisko nic mu nie mówiło.

— Tak się nazywa gość, który „prał" forsę Jere-my'ego w Las Vegas. Jeremy zrobił go w jajo, jak tamten wpadł, facet się zeżlił i poledał z jęzorem do Whyatta i Bergmana, a d zaraz przyszli do Kelly'ego — chwytasz? Larry Hawkins jest oskarżony o niedozwolony układ z kasynem ze szkodą dla innych graczy, ale bez problemu mógłby

stać się głównym ś wi ad kie m, gdyby zeznawałprzeciw-ko twojemu bratu, na którego konto pracował. Chwytasz dalej?

— Tak, stary, ale ciągle nie wiem, do czego zmierzasz.

— Popatrz tylko na fotografię...

— O! do diabła!

Drgnął tak gwałtownie, aż puścił pedał hamulca i samochód omal nie wpadł na wspornik garażu. Abel zdążył jednak przesunąć dźwignię biegów na pozycję „stop".

— Do diabła! — powtórzył, zbyt wzburzony, by od razu przypomnieć sobie nazwisko mężczyzny widniejącego na zdjęciu. — Przecież to... to...

— Tak — potwierdził Richie. — To Lulu Davis. Na pewno on.

— Lulu Davis!

— Larry Hawkins to nie kto inny jak Lulu Davis.

— A więc nie wypadł z obiegu?

— Gdzie tam! Nie tylko nie został zlikwidowany wbrew temu, co sądziłem, ale w dodatku nadal załatwiał pewne drobiazgi Jeremy'emu.

Abel uchylił drzwiczki cadillaca i pod włączoną tym samym lampkę podsunął fotografię. Tak, w około czterdziestoletnim Murzynie, bardzo wytwornie odzianym, lecz o brutalnych rysach, rozpoznał bez trudu rzekomego „goryla", którego zatrudnił Sweety Monroe, by go ochraniał w Sajgonie, zabójcę, który go prześladował nocą w „Mood Indigo", mordercę małej Nam Hoi oraz jej małpki Thina, pomyślał od razu, podczas gdy przemożnie zaatakowała go, zalała fala wspomnień: długie namiętne dysputy z Hungiem w chłodzie pawilonu, gdy zapadała wonna, rozbrzmiewająca dźwiękami noc... jasny, piskliwy śmiech dziewczynki, kiedy przerywała mu pracę nad artykułem domagając się lekcji angielskiego... Ale też widoki potworności, jakie przywoził z wypraw na front, koszmar przemocy, znużenie tak ogromne, aż czuł mdłości nie wiedząc, że niebawem sam zazna ciałem i duszą okrucieństwa, do jakiego zdolni są ludzie... Zadrżał i pełne łez oczy obrócił na Richiego, który obserwował go ukradkiem i nie skrywał, że również jest bardzo wzruszony. Zrozumieli się bez słów, wiedzieć teraz, że osiągają oto cel: godzina prawdy wybiła...

Na skutek szperania w sekretach Eventsa niewielka grupka dziennikarzy, utworzona przez Richiego przed kilkoma miesiącami w celu zebrania odpowiednich materiałów na temat słynnego koncernu, zdołała wykryć rozmaite nieprawidłowości: do najbardziej jaskrawych należało między innymi finansowanie kampanii wyborczej Jeremy'ego Emersona z nielegalnej kasy pisma, afera z łapówkami dawanymi senatorom, szybko zduszona za pomocą łapówek wręczonych innym senatorom, defraudacja części dochodów gazety na korzyść jednej tylko akcjonariuszki, Brendy Welles, małżonki Jeremy'ego, „pranie" dochodów nie zgłoszonych fiskusowi przy współudziale kasyna w Las Vegas, gdzie prezes Eventsa ulokował swoich ludzi, takich jak ów Larry Hawkins alias Lulu Davis... Języki powoli się rozwiązywały, akta pęczniały z dnia na dzień, wzbogacały się coraz to nowymi łajdactwami. Zwłaszcza że spośród dziennikarzy „Eventsa", wystraszonych, że pismo, w którym pracują, upada powoli, lecz nieuchronnie, zwabionych osobowością Kelly'ego, znanego im i cenionego w czasach, gdy był dyrektorem w koncernie, albo po prostu zauroczonych ideami, jakie roztaczał przed nimi Richie przedstawiając „Imagine", kilku starało się o zatrudnienie w kolegium redakcyjnym nowego tygodnika, dostarczając kolejnych rewelacji. Richiego napawało to zresztą lekkim niesmakiem. Abel zaś, gdy ostatnio rozmawiali na ten temat, zauważył:

— Całkiem jak wyrzucone ze służby fagasy, które w la tach trzydziestych handlowały sekretami alkowy dawnych chlebodawców z sensacyjnymi brukowcami. Człowiek za czyna się w końcu zastanawiać, czy nie powymyślali tych wszystkich paskudztw, żeby mieć przyjemność dostarczyć je nam i korzystnie się przedstawić Kelly'emu.

Po czym złośliwie dodał:

— Ten biedak Jeremy naprawdę ma w otoczeniu same kanalie!

Bergman i Whyatt jako ostatni w największym sekrecie zaproponowali Kelly'emu swoje usługi. W zamian za bardzo mglistą obietnicę dostarczyli mu sensacyjnych informacji na temat „sprawy Larry'ego Hawldnsa", która zaczynała się dopiero rozchodzić i choć nazwisko Jeremy'ego Emersona

jeszcze w niej nie padło, to niebawem bez wątpienia się to stanie. Richie dowodów miał już aż nadto, by zniszczyć doszczętnie reputację Jeremy'ego i postawić go przed sądem, ale teraz, gdy wiedział, kto się kryje pod postacią Larry'ego Hawkinsa, wytyczył sobie cel zupełnie różny od ujawnienia zwykłej afery skarbowej, w którą zamieszany byłby właściciel Eventsa: podobnie jak prawie przekonał Howarda, by dał mu kompletne zeznania na temat morderstwa Abla Emersona, tak samo chciał zmusić Lulu Da\isa do publicznego oskarżenia Jeremy'ego o to, że za pośrednictwem Sweety'cgo Monroe zwerbował go do usunięcia Abla Younga.

Kiedy Abel zatrzasnąwszy drzwiczki ruszył wreszcie z podziemnego parkingu, Richie przedstawił mu pokrótce swój plan i zakończył:

— Musimy się nim posłużyć.

Abel przytaknął, ostrzegł jednak:

— To niebezpieczna gra. Ten facet jest mordercą, nie zapominaj.

— Nie zapominam. Ale w tym wypadku zawsze będzie mógł mieć na swoją obronę to, że nie wywiązał się z umowy, ponieważ ty nie zginąłeś, a nigdy nie ustalono, kto był sprawcą zamachu, w którym zginęła Nam Hoa. Nawet nie dotknął forsy, jaką był mu winien Sweety Monroe. Za to nadal ma tę taśmę z rozmową Sweety'ego z Jeremym, którą ukradł Sweety'emu... Wiesz, chciałem ci o niej powiedzieć po powrocie z Da Nang, kiedy leżałeś w Gralu...

— Tak, pamiętam.

— To jedyny dowód spisku. Na pewno Sweety chciał nią szantażować twojego brata. Później. Ale wcześniej został zlikwidowany. Przez Lulu Davisa oczywiście.

— Na rozkaz Jercmy'cgo.

— Stuprocentowo.

— Nie mówiłeś dotąd, że o tylu rzeczach wiesz.

— Och! bo wiem raptem od godziny.

— Tylko zdaje mi się, że taśma magnetofonowa nie jest dla sądu dowodem.

— Nie, masz rację. Ale mimo wszystko jest ważnym elementem. I Lulu doskonale pojął, co jest dla niego korzystne: obciążając twojego brata, świadcząc przed sądem,

ratuje własną skórę. Jestem pewien, że zagra z nami. A jak się jeszcze dowie, że nie umarłeś!...

Abel uśmiechnął i zadrżał jednocześnie.

Samochód wyjechał z półmroku w oślepiającą jasność Madison Avenue.

— A jak tam Faye? — zagadnął Richie po chwili, w czasie której trwali pogrążeni każdy we własnych myślach.

— Och, Faye! — entuzjastycznie zawołał Abel. — Gdybyś widział, jak się zmieniła! Jest przeobrażona, odkąd...

Skromność sprawiła, że urwał w pół zdania, i jego myśl dokończył Richie, bez cienia ironii mówiąc:

— Odkąd wróciłeś i rozjaśniłeś jej życie. Odkąd wróciłeś na ziemię, Abel: potrafię to zrozumieć, bo właśnie coś takiego, na swój sposób, ja też odczułem, kiedy cię znalazłem w Da Nang. Nagle moje życie nabrało sensu...

— Ależ żadna w tym moja zasługa — rzekł Abel zakłopotany. — Po prostu kiedyśmy się poznali z Faye w Saint-Jean-Cap-Ferrat, od razu poczuliśmy się rodzeństwem. Rozumiesz? Jakbyśmy się nawzajem szukali od urodzenia...

— Więzy krwi...

— Nie, bo z Jeremym czegoś takiego nie było. Przeciwnie. Zanim jeszcze się dowiedział, kim jestem, już mnie nienawidził, czytałem to z jego twarzy. Był oszalały z nienawiści, dosłownie oszalały.

— Wiesz, na samym początku, kiedy zacząłem zbierać materiały do artykułu o dziejach Emersonów, który kazał mi napisać Kelly, sądziłem jak wszyscy, że Faye rzeczywiście jest stuknięta. A potem, i to szybko, zorientowałem się, że to jedyna zdrowo myśląca osoba w całej rodzinie. I polubiłem jej obrazy...

— Nie mówiłem ci jeszcze, że Johanna kazała cię zaprosić do nas jutro na obiad, a że zaprosiła też Faye, więc ją zobaczysz. Wygląda oszołamiająco: nigdy dotąd nie była tak piękna, tak szczęśliwa, tak tryskająca życiem... Chce teraz walczyć. Na początek postanowiła, że zwolni Finkela, swojego adwokata, i osobiście będzie na najbliższym posiedzeniu rady nadzorczej koncernu. Odbierze mu pełnomocnictwa. Dobrze wiedziała, że ten drań wcale nie broni jej interesów, domyśliła się nawet, że za jej plecami sprzymie-

rzył się z Jeremym, żeby napchać sobie kabzę, ale nic nie mówiła, gwizdała na to. Zwłaszcza odkąd utrzymuje się ze sprzedaży obrazów... Ale teraz wszystko się zmieni: nie pozwoli dłużej, żeby Kay ją prześladowała, a Jeremy okradał. Koniec. Powiedziała mi zresztą w związku z tym coś dziwnego, tak, coś naprawdę dziwnego w jej ustach. Powiedziała: „Nie zemścić się, to znaczy zatruć siebie nienawiścią noszoną w sobie. Teraz już nie będę nadstawiała drugiego policzka..."

— Myślisz, że możemy jej powiedzieć o tym, czegośmy się dowiedzieli na temat jej... waszego kochanego braciszka? — spytał Richie, kładąc ironicznie nacisk na słowo „waszego".

— Nie strugaj wariata! — roześmiał się Abel. — A jak myślisz, dlaczego kazałem Johannie zaprosić cię na jutrzejszy obiad, stary? Dla pięknych oczu?

I kiedy Richie poszturchiwał go po przyjacielsku w bok, Abel, zacisnąwszy mocniej ręce na kierownicy, by utrzymać samochód na swoim pasie, zawołał z jakąś dziką radością, którą sam się zdumiał:

— W porządku. A teraz: kierunek Poughkeepsie szosą 9A. Szykuj się, Leonardzie Howard!

Była piąta po południu, kiedy samochód zatrzymał się przed drewnianym domkiem przy jednej z ulic Poughkeepsie, gdzie ludzie nie przywykli oglądać parkujących cadillaców.

Drzwi wejściowe uchyliły się i korpulentna wąsata jejmość, opiekunka Howarda, zerknęła przez nie podejrzliwie, nim otworzyła je na całą szerokość.

— Poczekaj, aż dam ci znać — rzekł Richie Ablowi wysiadając z auta. I ruszył alejką...

Przez przyciemnione szyby Abel ujrzał wtedy odzianego w pasiastą piżamę i szlafrok ze szkockiej wełny starca, który wyszedł Garrymore'owi na spotkanie krokiem ciężkim, niepewnym —i chociaż był na to przygotowany, zdumiał się jednak, że tak podupadł. Richie musiał się zwracać do niego podniesionym głosem, bo Howard w dodatku przygłuchł.

— Panie Howard, pozwoliłem sobie odwiedzić pana z przyjacielem.

— A, to bardzo dobrze, bardzo dobrze!

Wszedł pierwszy do sieni, Richie zaś dał Ablowi znak, że może przyjść.

— Tak, bardzo dobrzel — powtórzył Howard. — Z przyjemnością go poznam. Tak rzadko ktoś mnie tu odwiedza...

Abel odetchnął głęboko, nim wysiadł z samochodu, i raz jeszcze, gdy przekraczał próg domku — serce waliło mu jak młot.

W półmroku małej biblioteki, której półki zapełniało więcej trofeów i pucharów wygranych na wyścigach samochodowych niż książek, Howard ciężko usiadł w skórzanym fotelu. Patrzył zaintrygowany na wchodzącego, Richie zaś odsłonił okno i biliotekę zalała fala światła...

Abel podszedł bliżej i starzec jął naraz wydawać z siebie jakieś nieludzkie mruczenie, odpychając rękoma to, co widać uważał za przywidzenie, koszmarne przywidzenie.

— Nie! Nie! — wybełkotał wreszcie z przerażeniem. — Nie! To nie on! On nie żyje...

— Więc poznaje pan tego człowieka? — zawołał Richie.

Howard, cały wstrząsany teraz gwałtownym drżeniem, z trudem wystękał:

— To Abel. Abel Emerson...

— Myli się pan—rzekł Abel podchodząc jeszcze o krok. — Nie jestem Abel Emerson.

A ponieważ teraz nie odczuwał już ani krzty litości, wzgardliwie wykrzyknął:

— Ha! chciałbyś, żebym był Ablem Emersonem, prawda? Bo mógłbyś sobie wtedy wyobrażać, że go nie zabiłeś, że alfa romeo nie roztrzaskała się na skałach w Sag Harbor... Przykro mi, nie jestem Ablem Emersonem, a ty, Howard, na zawsze pozostaniesz zbrodniarzem.

— Niech pan zamilknie! — szlochał starzec. — Błagam, niech pan zamilknie!

Abel jednak niewzruszenie ciągnął:

— Nie, nie jestem tym, którego spodziewałeś się ujrzeć. Pomyśl zresztą, że gdyby Abel Emerson żył, miałby dziś pięćdziesiąt lat. Mam wprawdzie trochę siwych włosów, bo wiele wycierpiałem, ale czy wyglądam na pięćdziesiątkę? Nie, Howard. Zastanów się! No, zastanów się: znasz mnie. Jestem... zastanów się...

— O Boże! — wybełkotał Howard, kuląc się w fotelu. — Pan jest bbbb... pan jest...

— Bękartem, chciałeś powiedzieć? No właśnie, jestem bękartem! Jestem Abel, ale nie Abel Emerson: nazywam się Abel Young.

— To pan nie umarł?

Z histerycznym przerażeniem starca kontrastował chłodny spokój Abla.

— Nie umarłem — odparł. — I przybywam, aby cię oskarżyć o to, że od Kay Mc Kay, a może od samego Jeremy'ego wiedziałeś o spisku, jaki przeciw mnie knuli, i że nic nie zrobiłeś, aby mu zapobiec, przeszkodzić im. Czy się mylę, Howard?

— Nie, nie!

— To znaczy, że wiedziałeś?

— Tak, o tym też wiedziałem. Litości! Wiedziałem i nic nie mówiłem. Byłem tchórzem.

— Tchórzem? Tak, faktycznie, zauważyłem, że w gruncie rzeczy wszyscy zbrodniarze są tchórzliwi. A tyś już wcześniej zabił, Howard. Dlaczego zatem miałbyś zadawać sobie trud i ujawniać, co się przeciw mnie szykowało?

— Och! litości! Tak się pana bałem.

— Mnie?

— Tak. Kiedy Kay Mc Kay powiedziała mi o panu... zrozumiałem, że przybywa pan, żeby pomścić Abla Emersona, od razu to zrozumiałem. Ale to Kay mnie do tego namówiła. Tak samo jak namówiła Jeremy'ego, żeby...

— O nich pomówimy w swoim czasie. Teraz idzie o ciebie, Howard. O ciebie.

Stojący Abel wskazywał palcem Howarda, który na klęczkach, ze złożonymi dłońmi, błagał:

— Niech mi pan wybaczy, panie Young. Niech mi pan wybaczy, zaklinam pana na wszystko. Niech pan patrzy, co się ze mnie porobiło, niech pan ma litość. Obiecałem panu Garrymore'owi, że spiszę wszystko dla jego gazety...

— Dla jego gazety? Raczej żeby ulżyć swojemu sumieniu!

— Och! zaklinam pana... Czego pan więcej żąda?

— Skradziono mi młodość i najpiękniejsze nadzieje, na osiem lat zostałem zamknięty i uczyniono ze mnie drapież-

nika, Howard! Błagasz drapieżnika, drapieżnika prosisz, żeby był łagodny! — bezlitośnie ciągnął Abel, podczas gdy starzec zgaszonym głosem powtarzał:

— Litości!... litości!... litości!...

I naraz w nawrocie poczucia godności własnej zawołał:

— Ja nie jestem Leonard Howard! Nazywam się Kann. Rozumie pan teraz, dlaczego jestem przeklęty? Rozumie pan wreszcie? Wysłucha mnie pan?

Pokonany wzruszeniem i własną gwałtownością Abel raptem się uspokoił.

— Tak, lituję się nad tobą — rzekł. — Lituję się nad tobą, bo jesteś teraz niczym. Ani Howardem, ani Kahnem, jesteś cieniem człowieka. Lituję się, bo będziesz cierpiał może nawet bardziej niż ja, choć przeszedłem piekło.

— Niech mnie pan oszczędzi.

— A co ty myślisz? Że chcę twojej śmierci? Ja nie jestem katem. Nie, miałem na myśli to, że będziesz cierpiał, bo nie ma nic gorszego, nic bardziej nieznośnego jak zbrodnia na sumieniu i przeczucie, że zawsze już będzie się zabijało. Że jest się skazanym na wieczne powtarzanie tego samego czynu...

— O Boże! — krzyknął Leonard Howard u szczytu przerażenia. — Boże!

I padł bez czucia...

„Imagjne"!

Jeremy jeszcze nie wstał, jeszcze nie otworzył oczu, a już o tym myślał. Graniczyło to z opętaniem, przekształcało się w obsesję: teraz śnił o tym nawet w nocy, a przebudziwszy się, wiedział, że znowu znienawidzony tytuł po stokroć będzie rozbrzmiewał mu w uszach niczym sarkastyczna nieco rada, kpina: „Imagine"!

Do szału go doprowadzały pytania otoczenia na temat nowego pisma, wściekał się zauważając, jaką ciekawość budzi powrót Roberta G. K.elly'ego jako dyrektora tygodnika informacyjnego, który bez wątpienia będzie konkurował z jego gazetą. Zirytowany wiadomością, że pierwszy numer ukaże się niebawem, przeczuwał, nie w pełni je sobie uświadamiając, coś na kształt zagrożenia dla kolosa na glinianych nogach, jakim stał się £vents, odkąd on nim

kierował. Chorobliwie podejrzliwy, widział w tym godzące w siebie oskarżenia o błędy w zarządzaniu, malwersacje, a przede wszystkim o brak... wyobraźni.

Co prawda miał powody do niepokoju: w świecie prasy zawsze zastanawiał fakt, że jego dojście do władzy w roku 66 natychmiast spowodowało dymisję Roberta G. Kelly'ego, głównego filaru imperium Eventsa, a także odejście Richiego Garrymore'a, najbłyskotliwszego stypendysty Fundacji Events. Teraz, po dziewięciu latach, Whyatt i Bergman, najwierniejsi z wiernych, ośmielają się mówić mu prosto w oczy, że pozwalając tamtym odejść, popełnił niewybaczalny błąd. I Jeremy mgliście przeczuwał, że ci dwaj wiedzą więcej na temat „Imagine", niż się przyznają. Poza tym była jeszcze ta przykra sprzeczka z Shawnem Arbothem w związku z jego rysunkiem, do którego podpis został ocenzurowany już po składzie na polecenie „z góry". No i właśnie „ten gnojek Shawn" także „przeszedł do wroga"...

Przed dwoma dniami, w czasie kolacji w Sag Harbor, którą w każdą niedzielę regularnie od dziesięciu lat jadał tylko z matką, nawet Kay Mc Kay wydała się tym zaniepokojona. Kolacje z Jeremym były dla niej okazją do podszeptywania, doradzania, udzielania wskazówek, do odgrywania szarej eminencji, a w rzeczywistości, ponieważ jej syna cechowała słabość i niezdecydowanie, do sprawowania regencji, do rządzenia imperium pozostając w cieniu. Każdy problem Kay zawsze rozstrzygała z ogromną pewnością siebie i wykazywała absolutną ufność we własne osądy.

Największą jej wadą w interesach — co sam Jeremy zdołał zauważyć — było minimalizowanie przeszkód, nie docenianie przeciwnika. Jednakże ostatnio przy kolacji, wzgardliwie kosztując suflet z kawiorem przyrządzony przez jej kucharza, wyznała, że jest „kapkę wpieprzona wypuszczaniem pierdolonego szmatławca tego gnojka Kelly'ego" — takimi słowy wypowiadała się elegancka pani Emerson, kiedy służby nie było w zasięgu głosu. A ten wyszukany eufemizm, wyrażony jej pięknymi zaciśniętymi ustami, miał znaczyć, że sprawa niesłychanie ją martwi.

Lecz Jeremy — o tym jednak nie ośmielił się powiedzieć matce, tak bardzo lękał się jej napadów złości—Jeremy miał na głowie jeszcze inne zmartwienia: nade wszystko aferę

Larry'ego Hawkinsa, grożącą wybuchem i zniesławieniem go, jeżeli nawet nie całkowitym zamieszaniem i kompromitacją. Bał się: Larry Hawkins, czyli Lulu Davis, Lulu Davis, którego zostawił własnemu losowi, gdy ten znalazł się w tarapatach, okazywał wielką pewność siebie, zbyt wielką, by Jeremy nie czuł strachu. Czy „czarnuch" miał coś, czym mógł go szantażować? I kto zapłacił horrendalnie wysoką kaucję za wypuszczenie go na wolność? Kto go ochrania?

Tak, Jeremy naprawdę coraz bardziej się niepokoił: czuł się osaczony, lecz nie potrafił dokładnie określić przez kogo, co tylko powiększało jego obawy. Wiedział, że jest w krytycznym położeniu, ale nie bardzo miał pojęcie dlaczego. Zaczynało się w nim rodzić mgliste poczucie winy...

Tego ranka przebudził się w humorze jeszcze gorszym niż normalnie w ostatnich dniach: spojrzał na kalendarz i przeczytał wpisane pod aktualną datą jedno trzykrotnie podkreślone słowo: „Imagine".

Miał to być jeden z punktów do omówienia na posiedzeniu rady nadzorczej, która zbierała się przed południem. Za poduszczeniem Kay Mc Kay kwestię tę wniesiono do porządku dziennego: szło o ustalenie riposty, z jaką „Events" zamierzał wystąpić w związku z kampanią prasową i reklamową otaczającą wejście na rynek nowego pisma. Ewentualnie o znalezienie środków finansowych lub innych mogących zapobiec wydaniu tygodnika...

Jeremy, z niesmakiem cisnąwszy daleko od siebie notatnik i szturchnąwszy żonę, która jeszcze drzemała leżąc na brzuchu, wstał wściekły i poszedł do łazienki.

Nie tak dawno wymienił umeblowanie w całym mieszkaniu przy Piątej Alei i wystrój wnętrz był teraz jeszcze bardziej pretensjonalny i krzykliwy niż przed jego małżeństwem z Brendą Welles. Przysłowiowy zły gust znanej gwiazdy seriali telewizyjnych niejako podsycił, wzmocnił jego brak smaku.

Tak też było z ogromną łazienką „pana" — ściany pokryte imitacją rybiej łuski, porfirowe umywalki, złota armatura — obwieszoną powiększonymi fotografiami „pana" ukazującymi go nagiego we wszelkiego rodzaju artystycznych pozach, które podkreślały jego próżność...

Jeremy długo przeglądał się w lustrze o złotym podlewie, nim zabrał się do skrupulatnej toalety. Miał teraz ciało mężczyzny czterdziestoletniego, lecz mężczyzny, który w młodości przesadnie uprawiał kulturystykę i nie potrafił utrzymać szalonego obciążenia treningowego, nieodzownego do samej śmierci, jeśli nie chce się, by mięsnie zwiotczały i obrzydliwie obwisły. Toaleta Jeremy'ego trwała więc bez końca, ponieważ starał się jak najlepiej zaradzić nieodwracalnym szkodom wyrządzonym przez czas i własne lenistwo. Maseczki piękności, farbowanie włosów, doklejanie sztucznych kosmyków, opalanie pod lampą kwarcową były częścią codziennej pielęgnacji. A kiedy już wcisnął brzuch w sprawiający ból ciasny gorset, poświęcał jeszcze najmniej trzy kwadranse na dobór i włożenie odzieży, którą prezentował mu pokojowiec.

Potem, gdy spożył osobliwe śniadanie złożone jedynie z filiżanki protein w płynie i koktajlu witaminowego, dozowanego zgodnie z zaleceniami osobistego dietetyka, polecił kierowcy, aby gotów był w każdej chwili zawieźć go do Events Tower białą limuzyną, oznakowaną na drzwiczkach jego złotymi inicjałami: J. £. E.

— „Imagme"... — rzekła przywitawszy go miss Brich, jego sekretarka, gdy wyszedł ze swojej windy.

— No co: „Imagine"? — burknął wściekły.

— Pan kazał... — wyjąkała przestraszona sekretarka — wczoraj wieczorem kazał mi pan przypomnieć, że ma to być na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia rady nadzorczej.

— Tak, tak, wiem! — odparł nadal ze złością.

Po czym ruchem przesadnie znużonym otworzył drzwi sali posiedzeń.

Dlaczego właśnie w tej chwili, choć przez całe dziewięć lat od owego dnia nigdy o tym nie myślał, wspomniał naraz pierwsze po śmierci ojca posiedzenie kolegium redakcyjnego, na którym przedstawiony został „bękart"? Dlaczego nagle przypomniał sobie Abla idącego w stronę wielkiego owalnego stołu swobodnym kocim krokiem, i ten jego strój, który wywołał skandal: kurtkę z czerwonego płótna, dżinsy i koszulkę rozpiętą pod szyją? Niewątpliwie na zasadzie skoja-

rżeń: „Imagine" skierowało jego myśli na Roberta G. Kelly'ego, Robert G. Kelly zaś na swojego „pupila": na Abla. Jednakże zdumienie niespodziewanym nasunięciem się tego wspomnienia nie ustępowało i Jeremy poczuł się trochę nieswojo.

Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że rada nie jest w komplecie, i to go również zirytowało. Wchodząc zawsze na końcu, zawsze każąc przez dobry kwadrans na siebie czekać, Jeremy Emerson był zdania, że postępuje jak szef — tej sztuczki nauczył go zresztą jego guru. Jeśli jednak brakowało choćby jednego członka rady, to zabieg ten nie osiągał pożądanego efektu. I oto dzisiaj Finkel, adwokat Faye, „łajdaczyna prowadzący sprawy tej cipki" — tak prywatnie mówił o nim Jeremy — Finkel był nieobecny. Zaskakiwało to tym bardziej, że zazwyczaj Finkel był bardzo punktualny. Jeremy już miał demonstracyjnie okazać swoją władzę, co leżało w jego zwyczajach, usiąść i otworzyć posiedzenie niegrzeczną uwagą pod adresem adwokata, gdy naraz zebrani ujrzeli, że znieruchomiał z otwartymi ustami. Wszyscy spojrzeli ku dwuskrzydłowym drzwiom, w które się wpatrywał z niebotycznym zdumieniem: wsparta ramieniem o futrynę stała w nich Faye we własnej osobie. W ręku trzymała dyplomatkę, ubrana była w surowy tweedowy kostium, jaki noszą niemal wyłącznie kobiety sprawujące odpowiedzialne funkcje w świecie biznesu, lecz jakby przez kpiącą przekorę w klapę żakietu wpięła broszkę w kształcie miniaturowej palety malarskiej.

— Nie chcieli mnie wpuścić! — westchnęła z nieśmiałym uśmiechem, jakby tłumacząc się ze spóźnienia i udając, że nie zauważyła, jaką sensację wzbudziło jej wejście.

— A-a-ale... a-a-ale... — bełkotał Jeremy osunąwszy się na fotel, gdy gestem dłoni Faye poprosiła jedenastu mężczyzn, by usiedli.

— Zgadza się, braciszku — rzekła z rozbawieniem. — To ja. Na pewno ja. Ale opanuj się! Wiem, że nie widzieliśmy się od... słowo daję, już nie pamiętam od kiedy. To było tak dawno! A ja niestety nie dostępuję zaszczytu regularnego goszczenia na kolacyjkach w Sag Harbor. Pewnie w kręgach wysoko postawionych uważa się, że nie umiem zachować się przy stole albo Bóg wie co! Zwróć

jednak uwagę, że nie żałuję tego: niezbyt przepadam za wyszukaną kuchnią francuską. Te wszystkie sosy na winie, te potrawy z płonącym alkoholem... A co się tyczy naszej matki...

— Faye, czego ty tutaj szukasz? — wydusił wreszcie z siebie Jeremy, wpadając jej w słowo.

Zignorowała pytanie i groźne spojrzenie, jakim ją mierzył. Zwracając się do reszty zgromadzonych, wyraźnie mocno zakłopotanych, rzekła dowcipnie:

— Wybaczcie, panowie, że dotąd się nie przedstawiłam: jestem Faye Emerson. Wiecie, ta biedna wariatka, jakie zdarzają się w każdej wielkiej rodzinie, ta biedna wariatka, którą dziesięć lat temu ubezwłasnowolniono. I pewnie przypominacie sobie też, że ta biedna wariatka odzyskała swoje prawa, kiedy Howard, adwokat pani Emerson, osobiście wystąpił z wnioskiem o dokonanie kontrekspertyzy psychiatrycznej. Zadziwiający, niewytłumaczalny zwrot w wypadku jednego z ludzi, którzy wcześniej robili wszystko, żeby mnie ubezwłasnowolnić. Zwrot dotąd nie wyjaśniony. Ale być może przypominacie sobie również, że właśnie wtedy wielkie nieszczęście spadło na moją matkę i brata, już ciężko doświadczonych moim nieuleczalnym niedorozwojem umysłowym. Nie, nie, panowie, nie mówię o śmierci mojego biednego ojca...

— Zamkniesz się w końcu? — ryknął blady ze złości Jeremy, gdy nie udało mu się przerwać potoku jej słów.

Lecz Faye niewzruszenie ciągnęła:

— Mam na myśli wydarzenie, które ich naprawdę wtedy zbulwersowało: otóż Jeremy i ja mieliśmy nie znanego brata, Abla. I ten Abel...

— Czemu o tym opowiadasz?—przerwał jej znowu brat.

Stanął naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu, i patrzył na siostrę z nienawiścią. W tej nienawiści był jednak również strach. Strach jeszcze nieokreślony, ale już się z wolna precyzujący: z jakiego powodu Faye przywołała wspomnienie Abla, o którym osobliwym zbiegiem okoliczności on sam przed kilkoma chwilami nieoczekiwanie pomyślał?

— Czemu? — powtórzyła Faye nie tracąc ani odrobiny spokoju. — A czemu nie? Czego się obawiasz, Jeremy? Czyżbyś się bał słuchać, jak mówię o...

— Zamknijże się!
— ...o Ablu?
— Zamknij się, ty...
— Ty wariatko: tak chciałeś powiedzieć, prawda? Nie taka znowu ze mnie wariatka, Jeremyl Nie taka ze mnie wariatka. Posłuchaj tylko: pozbawiłam mojego adwokata pełnomocnictw, a interesy powierzyłam Barretowi juniorowi. Wyobrażałeś sobie pewnie, że nigdy nie odkryję, żeście się z Finkelem dogadali, aby mnie oskubać? Ta głupia Faye w ogóle się na tym nie rozumie, zawsze podpisuje w ciemno: tak myśleliście, co? A za plecami kompromitowaliście moje nazwisko w podejrzanych machinacjach...
— Co ty znowu wymyślasz?
— Nic nie wymyślam. Dobrze wiesz, że mówię samą prawdę. Zależało mi po prostu na poinformowaniu rady nadzorczej, jeśli tego nie wiedziała, zależało mi na poinformowaniu was, panowie... no, na przykład o tym, że jak się okazuje, jesteście wspólnikami w niezbyt czystych operacjach „prania" pieniędzy... Tak się chyba określa tego typu rzeczy...
— Kłamiesz! Pleciesz, co ci ślina na język przymesiel — krzyknął Jeremy siostrze w twarz.
Był zamroczony gniewem: spostrzegłszy, że etatowa stenotypistka rady zapisuje wszystko, co mówi Faye, wyrwał jej z rąk maszynę z porywczością, która przeraziła wszystkich, i ordynarnie wrzasnął:
— A ty przestań notować te bzdety! Wynoś się! Będziesz potrzebna, to zadzwonię!
— Nie, nie, przeciwnie! Niech zostanie!—sprzeciwiła się Faye, ani trochę onieśmielona tą demonstracją siły. — Jeszcze nie wszystko powiedziałam. Najciekawsze dopiero będzie.
Kompletnie lekceważąc niemą groźbę zamordowania jej przez uduszenie, jaką kierował do niej teraz brat z drugiego końca stołu, Faye, zerknąwszy do notatek otrzymanych od Abla, mówiła dalej:
— Panowie, czy znacie niejakiego Larry'ego Hawkinsa?
Słowa te wypowiedziała z największym spokojem, toteż wzburzenie, jakie dokładnie w tej chwili owładnęło Jeremym, wywarło tym potężniejsze wrażenie.

— C-c-c-co?... — stęknął, rzuciwszy się w fotelu. — C-c-c-coo... c-c-co to za...?

Jakież było jednak jego zdumienie, gdy usłyszał dalsze słowa Faye:

— To nazwisko oczywiście nic wam nie mówi. I nie bez powodu. Larry Hawkins nie jest „z naszej sfery". To gangster, oszust karciany i co więcej, ten interesujący osobnik był także niegdyś najemnym mordercą. Nazywał się wtedy Lulu Davis...

— Skąd to wiesz? — przerwał jej raz jeszcze Jeremy. — Skąd masz te... Może się w końcu wytłumaczysz? Czy...

Nie dokończył: zdało mu się, że wszystko wokół wiruje, wszystko się wali. Działo się to jakby w koszmarnym śnie na jawie: Faye, niewzruszona, nieprzenikniona, nadal celnie raz za razem trafiała nie przejawiając emocji, nie podnosząc głosu, nie tracąc opanowania. I Jeremy mętnie uświadamiał sobie, że ten straszny spokój przemawia na jej korzyść, gdy tymczasem on, tak się miotając, sam się oskarża. Ale jak, powtarzał sobie w duchu, jak ona się dowiedziała? Kto jej powiedział? Kto?

Stropieni członkowie rady popatrywali po sobie ukradkiem i milczeli: nie wiedzieli, jaką postawę przyjąć, jak się zachować — wyjść czy zostać?

— Cierpliwości, Jeremy — rzekła Faye w odpowiedzi na pytanie, które ledwie zrozumiale sformułował: i to także wydało mu się przerażające. — Cierpliwości. Podam źródła, gdy przyjdzie pora. Na razie wystarczy wiedzieć, że sławny Jeremy Emerson, prezes koncernu Events, od blisko dziesię ciu lat był w zmowie z mordercą. Ale powiedz, Jeremy, czy jesteś pewien, że chcesz to wszystko usłyszeć? Tak bardzo ci zależy, żebym opowiedziała, jak to w październiku 66 roku opłaciłeś jednego z korespondentów gazety, świętej pamięci Sweety'ego Monroe, żeby kazał Davisowi zlikwidować na szego brata Abla, który był wtedy na reportażu w Wiet namie?

Oniemiały, zdjęty zgrozą Jeremy zrazu zapadł się tylko głębiej w fotel. Przez kilka długich chwil siedział w milczeniu, ze spuszczonym wzrokiem pod oskarżycielskim spojrzeniem siostry, ledwie mrugającej od czasu do czasu oczami. Po czym ogarnięty jakby nieopanowanym drżeniem, kon-

wulsjami, poderwał się gwałtownie i waląc pięściami w stół, jął wrzeszczeć do zebranych:

— To wariatka! Nie widzicie, że to wariatka? Że opowiada jakieś bzdury? Przyjaciele, uciszcie ją, błagam! Uciszcie ją, bo ja nie dam rady!

Niewątpliwie jednak teraz on dawał oczywiste oznaki szaleństwa, gdy tak ryczał niemal histerycznie: ślinił się, pocił obficie, szarpał kołnierzyk koszuli, jakby się bał udusić. A napięcie w sali stało się nie do zniesienia.

Faye ciągle naigrawała się z niego całą siłą swej pozornej obojętności. Nie zareagowała na zniewagi rzucane przez brata, lecz nachyliwszy się do ucha sąsiada po prawej, poprosiła, by przysunął jej jeden z dwóch telefonów znajdujących się pośrodku stołu konferencyjnego. Mężczyzna zawahał się w obawie przed obłąkanymi represjami ze strony prezesa, który nie dopuszczał, by ktokolwiek prócz niego telefonował w czasie narad. Jednakże Faye wystarczająco władczo wskazała podbródkiem aparat, by ustąpił: najdyskretniej jak mógł przysunął jej telefon, licząc, że nie zostanie to dostrzeżone.

Próżne starania: Jeremy zauważył. Ale był tak rozwścieczony, że nie potrafił się wysłowić: dusił się i w końcu oderwał kołnierzyk u koszuli, która pękła od góry do dołu. Pośród niespokojnego szelestu dziesięciu wstrzymywanych oddechów słyszał teraz, jak Faye wybiera czterocyfrowy numer wewnętrzny i lakonicznie mówi:

— Davis? Zechce pan wejść.

Wtedy Jeremy podniósł dłoń do ust, jakby chciał powstrzymać jęk...

Kiedy ocknął się z osłupienia i czegoś na kształt utraty przytomności, amnezji, w jaką popadł na długą chwilę, ujrzał Lulu Davisa we własnej osobie, który stojąc przed uchylonymi drzwiami sali konferencyjnej, mówił do zbulwersowanej rady nadzorczej:

— Tak, rzeczywiście w 66 roku pan Monroe zwerbował mnie, żebym zabił pana Younga. Ale nie wywiązałem się z umowy i pan Young, jak państwo chyba pamiętacie, zginął w zamachu w szpitalu Grał w Sajgonie. Pan Monroe nie zapłacił mi, jak było umówione, sam jednak wziął od pana Emersona połowę tego, co był mi winien. Nie rzucam

oskarżenia bez dowodów. Mogę na przykład dostarczyć nagranie pewnej rozmowy...

Po czym spojrzawszy na Jeremy'cgo z miną, w której wielka wzgarda mieszała się z budzącą strach ironią, nader wytworny czarny olbrzym rzucił jakby na zakończenie, językiem niezwykle starannym i bezosobowym, groźniejszym niż gdyby mówił chuligańskim żargonem, czysto konwencjonalnie używanym w brukowych powieściach i kryminałach:

— Sądzę, że będzie pan musiał zrezygnować z wszelkich działań, jakie zamierzał pan przedsięwziąć przeciwko mnie w aferze z kasynem, panie Emerson. Ale nad tym prob lemem, podobnie jak nad innymi, zastanowią się pańscy adwokaci wspólnie z moimi. Może nie jest jeszcze za późno, żeby złożył pan zeznania odciążające i uniewinniające mnie i żeby tym samym cała ta historia pozostała naszą wspólną tajemnicą... To znaczy pańską, moją i panów tu obecnych. W sumie proponuję panu transakcję. Przypuszczam, że gdy minie pierwsze przygnębienie, bardzo poważnie rozważy pan tę kwestię ze swoimi prawnikami. Czy się mylę, panie Emerson?

Po czym skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedł równie szybko, jak przybył...

Żaden z członków rady nie zdążył się jeszcze pozbierać, gdy Faye, jak wytrawna, pewna siebie aktorka — a przecież w tak niewielkim stopniu nią była—poruszyła kolejny temat budzący strach, spokojnie zabierając głos.

— Panowie — rzekła jakby nigdy nic — incydent uważam za zamknięty. Przejdźmy teraz do porządku obrad. Mieliśmy, jak mi się zdaje, mówić między innymi o tym nowym piśmie, które ma się niebawem ukazać: o „Imagine"...

Lecz Jeremy, zataczając się jak pijany, wspierając się to o ścianę, to o oparcia foteli wokół stołu, opuścił już salę i słychać było, jak w pomieszczeniu obok ryczy niby opętany, by natychmiast połączono go z matką, słychać było, jak rozpaczliwie woła:

— Mamo!

Pozostali członkowie rady zaś podnieśli się z miejsc i jęli przepychać do wyjścia w sromotnym odwrocie, niczym

pasażerowie statku powiadomieni o niechybnym zatonięciu Szczury! pomyślała Faye.

I w rzeczy samej, te szczury mgliście przeczuwały już niedaleką katastrofę...

Lulu Davis zerknął ukradkiem przez ramię — był to u niego jakby tik wykształcony przez całe lata, gdy dybano na jego życie — uważnie spojrzał w lusterko samochodu Richiego, nim zajął w nim miejsce z przodu.

— W porządku — rzekł lakonicznie, uśmiechając się z zadowoleniem.

Ale natychmiast uśmiech zastygł mu na twarzy, przeobraził się w grymas: wydało mu się, że za jego plecami ktoś się poruszył. Tak, miał kogoś za sobą, na tylnym siedzeniu. Domyślał się czyjejś obecności, teraz czuł nawet na karku ciepło oddechu.

Ogarnął go paniczny strach — i Lulu odwrócił się gwałtownie...

— Ktoś ty?—zapytał, ujrzawszy mężczyznę o twarzy na poły przysłoniętej ciemnymi okularami, bladej w słabym świetle lampki sufitowej, którą zapalił.

— Kto ty jesteś?

Abel zdjął ciemne okulary.

Lulu Davis nie zdołał pohamować odruchu zaskoczenia.

— Znam pana — rzekł szeptem. I widać mu było po oczach, że bardzo się stara, lecz nadaremnie, przywołać wspomnienia... — Znam pana — powtórzył, czując, że ogarnia go rosnący niepokój, głuchy lęk, jeszcze nieokreślo ny.— Pan jest...

I naraz wytchnął ledwie słyszalnie:

— Och! tak! Znam pana: pan jest...

— No właśnie — przytaknął Abel. — No właśnie.

Przez nieskończenie długą chwilę w samochodzie słychać było tylko urywany, świszczący oddech, nieregularny oddech człowieka przeżywającego atak serca. Czuć było tylko kwaśny smród, smród strachu. Lulu Davis zlewał się potem i dyszał jak konający...

Nie umierał jednak: wyraźnie słyszał, jak Abel mówi:

— No, niechże się pan weźmie w garść! Czego się pan boi, Davis? Ja nie jestem mordercą, nie mam żadnej broni.

Nie ma się czego bać. Chciałem tylko, żeby się pan dowiedział, dlaczego odtąd nie może pan sobie pozwolić na najmniejszy fałszywy krok, chciałem, żeby pan wiedział, dzięki czemu mam pana w ręku: bo ja żyję, Davis, żyję! I chociaż wszyscy na świecie zapomnieli o dziewczynce imieniem Nam Hoa, ja, żyjący, pamiętam. Podobnie jak zawsze będę pamiętał, że to pan ją zabił.

— Boże!—wyszeptał Lulu Davis u szczytu przerażenia.

Abel, udając, że usłyszał wezwanie Najwyższego w słowie wymówionym przez mordercę machinalnie, jak to bywa pod wpływem wzruszenia, zawołał strasznym głosem:

— Dla mnie Bóg umarł, panie Davis. Umarł w Wietnamie, dawno temu. Ale później od pewnego starego mędrca dowiedziałem się, że według większości wierzeń bóstwa mścicielskie i karzące pojawiły się na długo przed przyjściem na świat bogów i ludzi. I że zawsze będą istniały...

Pani Emerson miała sprzeczkę z synem i chodzi trochę podenerwowana.

— Mc Beef się wściekła, trza uważać.

— Stara zeźliła się na syna, uwaga!

— Siedzieć tam cicho w kuchni, szefowa zmyła głowę synalkowi i teraz się wyżywa.

— Ani mru-mru: „Trzy Zera" widać wyciął jakiś numer. I mamuśka kipi.

— Uważać, stara jest rozjuszona: już wszystko wytłukła w łazience.

— *Dio miot signora* szaleje! A my, *poveretti,* będziemy się mieli z pyszna.

Panna Crabb powiedziała to majordomusowi, ten zaś pokojowcowi, ten zaś ogrodnikowi, ten zaś francuskiemu szefowi kuchni, ten zaś szoferowi, ten zaś włoskiej bieliźnianej, ta zaś Bogu — i teraz każdy krył się gdzie mógł zostawiając wszystko, byle znaleźć się poza zasięgiem chlebodawczyni. Panna Crabb już oberwała, pokazywała każdemu rozdartą bluzkę i czerwone ślady na policzkach. Służba przeżyła wystarczająco dużo podobnych scen, by się lękać,

wiedziano, do jakich szaleństw Kay Mc Kay bywa zdolna pod wpływem złości, każdy mógł pokazać, jak kosmetyczka, ślady zadrapań albo sińców. Pozostawali na służbie u pani Emerson tylko dlatego, że byli wynagradzani znacznie powyżej stawek związkowych i wykorzystywali po swojemu marnotrawstwo zwyczajne w każdym zamożnym domu, w Sag Harbor Manor osiągające jednak zawrotne proporcje. Od zarządcy po ostatniego pomywacza rzekłbyś, że wszyscy konkurują w podkradaniu, a równocześnie łączyło ich ciche porozumienie zawsze, gdy trzeba było stanąć przeciwko „madame", zawsze, gdy dworek rozbrzmiewał jej krzykami. Madame miała właśnie napad obłąkanej wściekłości i wyładowywała się na wszystkim, co jej wpadło w ręce w salonie piękności przylegającym do łazienki, gdzie zdążyła już metodycznie potłuc wszystkie flakony i słoiki ustawione na toaletce, na koniec zaś samą toaletkę. Madame często rozbijała luksusowe drobiazgi warte kilkaset czy nawet kilka tysięcy dolarów, a że nie była przesądna, nie wahała się ciskać nimi w lustra. Wtedy odbicie wizerunku starej, acz ciągle pięknej furii, o twarzy nienawistnie wykrzywionej, pękało, rozlatywało się, kruszyło i spadało w tysiącach odłamków. A ponieważ Kay Mc Kay, w miarę jak się starzała, z coraz większym przerażeniem patrzyła na siebie, to i lustra coraz częściej musiano wymieniać w rozległym ponurym domostwie. Kay zawsze — i teraz też — czyniła wszystko, by pozostać młodą, lecz miała już sześćdziesiąt pięć lat. I mimo że wyglądała na pięćdziesiąt, spojrzenie każdego rana na swoje odbicie było dla niej okrutnym, trudnym do zniesienia przeżyciem. Toteż nadal z własnej woli cierpiała katusze, starając się zaradzić nieodwracalnym skutkom upływu czasu. Choć tak bolesna była męczarnia zadawana przez maskę piękności — gumowe pasy wrzynały się w ciało, gorące opaski nasączone błotem dusiły — to przynajmniej w czasie, gdy miała ją założoną, nie widziała się taką, jaką jest, przynajmniej mogła sobie wyobrażać siebie taką, jaką była niegdyś...

Tego ranka Kay siedziała zanurzona po szyję w kąpieli wodorostowej, kiedy panna Crabb, kosmetyczka, podała jej telefon, nader oględnie wyjaśniając, że pilnie chce z nią

mówić Jeremy, że wydaje się bardzo wzburzony, toteż z tego względu „pozwoliła sobie przekazać madame połączenie, chociaż madame prosiła, żeby nie przeszkadzać jej pod żadnym pretekstem..."

Kay zrazu jednak nic nie zrozumiała z opowieści Jeremy'ego, tak mętnie przedstawiał to, co zaszło na posiedzeniu rady nadzorczej. Udało jej się w końcu odgadnąć, że nieoczekiwanie zjawiła się tam Faye i wywołała skandal. No i w końcu domyśliła się, iż Jeremy wyznaje tylko połowę prawdy. Ukrył przed nią bowiem, że Faye oskarżyła go o morderstwo, i słowem nie wspomniał o przybyciu Lulu Davisa...

Kiedy Kay cisnęła ze złością słuchawkę na widełki, była zamroczona długo wstrzymywaną furią i natychmiast zapłaciła za to panna Crabb: och! ten jej „kochany Remy" jest tak bojaźliwy, aż dziecinny! Kto by powiedział, że w zeszłym roku obchodził czterdzieste urodziny? Woła na pomoc „mamę" przy najmniejszej przeciwności, jak tylko wyłania się najdrobniejsza choćby trudność! I co? Nie mógł sam usadzić tej „głupiej kretynki", nie mógł kazać jej się „przymknąć" albo „wykopać jej z posiedzenia"? „Nie mógł jej raz pokazać, kto tu rządzi?" „A co zrobi, kiedy mamy już nie będzie? Będzie liczył, że ta durna gęś Brenda Welles mu pomoże?"

Ale gdy tak przeżuwała zarzuty i słowa, które nie przyszły jej w porę na myśl w odpowiedzi na łzawe skargi syna, zaczęło ją ogarniać nieprzyjemne podejrzenie, rosnący niepokój: skoro Faye, zazwyczaj taka nieśmiała, odważyła się po raz pierwszy w życiu na tak spektakularny czyn, to czy nie dlatego, że ktoś ją namówił czy nawet zmusił? Niewątpliwie nie znany wróg Jeremy'ego — tylko kto? I dlaczego?

Och! po raz kolejny zatem ona, Kay Mc Kay, musi wyjaśnić tę sprawę, przeniknąć jej tajemnicę, by móc doradzić Jeremy'emujak powinien postąpić—jak zwykle! Że też nie ona jest prezesem Eventsa! Dlaczego Eliott nie przekazał władzy jej zamiast cedować ją na syna? To znaczy na synów, ponieważ „ten gnojek «Trzy E»" znieważył ją jeszcze „wpieprzając jej tego bękarta", który też byłby rządził, „gdyby nie był tak uprzejmy szybko dać się utłuc, łapserdak!" Dlaczego jednak Kay pomyślała naraz o Ablu

Youngu? O wyzwaniu, jakie jej rzucił w „Giocondzie"?... Zaniepokoiło ją to na moment, lecz zaraz wyrzuciła z głowy tę myśl, bo miała coś pilniejszego do zrobienia: dokładnie się dowiedzieć, co zaszło na posiedzeniu, i podjąć stosowne kroki, aby uniemożliwić Faye kolejne tego rodzaju wybryki. Co robić? zastanowiła się, gdy pozrywała jeszcze miedzy innymi sprężyny eskpandera i połamała okulary oświetlające panny Crabb. Ha! przede wszystkim musi jechać do Faye i „sprawdzić, co tej gęsi siedzi za skórą"! A potem zobaczy... Ubierając się w pośpiechu bez pomocy pokojówki, Kay wrzasnęła:

— Samochód! Rollsa, lincolna albo mercedesa, obojęt ne. Ale na-tych-miast!

Szofer zaparkował czarnego rolls royce'a w Greenwich Village przed dużą starą kamienicą, która była dla Faye zarówno domem, jak i pracownią. Drżał lekko, bo przez blisko dwie godziny jazdy czuł za plecami Madame miotającą się na tylnym siedzeniu, jak zawsze gdy gotowała się do urządzenia sceny. Nie miało znaczenia to, że był okazjonalnym kochankiem Madame, jak zresztą większość mężczyzn zatrudnionych w Sag Harbor—albowiem chcąc pozostać na służbie u pani Emerson nie wystarczyło dowieść tylko i wyłącznie kwalifikacji zawodowych — bał się jej.

— To na pewno tutaj? — spytała gniewnie.

Mimo trzech pięter z oknami wykuszowymi, mansard, sutereny osłoniętej od ulicy ogródkiem i wspaniałej szklarni z kutego żelaza modern style, przestronny dom z czerwonej cegły wydawał się ciasny, niegodny nazwiska Emersonów, choćby nosiła je Faye Emerson, artystamalarz.

— Tak, proszę pani, nie ma wątpliwości, to tutaj — po twierdził Roy, jej kierowca.

Kay w ciągu pięciu lat, odkąd córka tu zamieszkała, nigdy jeszcze jej nie odwiedziła. Przepełniona zaślepiającą ją niechęcią, zastanowiła się, lecz na głos, jakby pytała Roya, kto prócz jej córki mógłby „gnieździć się w takiej budzie, w takiej gównianej dzielnicy!"

Przecież nie zależało to ód środków finansowych! rzekła sobie. Myśl, „że te ohydne bohomazy, które jej córka packa" mogą teraz być warte pięćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy

dolarów każdy, doprowadzała ją do szału! Myśl, że jej córka sprzedała co najmniej piętnaście płócien w ubiegłym roku, napełniała ją rozgoryczeniem i zawiścią. Było jednak coś jeszcze gorszego: mianowicie myśl, że mogła była mieć dziesiątki, setki tych obrazów, za które teraz musiałaby płacić ciężkie pieniądze...

A jeszcze myśl, że „ta idiotka" jest piękna i tak bogata dzięki własnej pracy, że może sobie pozwolić na nienaruszanie ogromnego spadku, zwłaszcza zaś myśl, że „ci pieprzeni krytykanci" przyznają jej wielki talent!... geniusz nawet! — ach, czy nie było to dość, by poczuć zazdrość i stracić nad sobą panowanie?

Owładnięta urazą Kay wykonując nieskoordynowane gesty histeryczki nacisnęła guzik domofonu. Żeby ona, Kay Mc Kay, musiała dzwonić do drzwi domu własnej córki z żądaniem wyjaśnień — doprawdy, wszystko się już na tym świecie poprzewracało!

Po kilku sekundach w głośniku zaskrzypiał głos Faye:

— Słucham.

— Tu twoja matka.

— Co?

— Nie przesłyszałaś się. I na pewno wiesz, dlaczego przychodzę.

— Ale tak się składa, wyobraź sobie, że nie mam najmniejszej ochoty cię oglądać! Jestem zajęta... paćkaniem, jak ty to mówisz.

— Faye!

— Nie upieraj się: nie otworzę ci i już. Nawet gdybyś miała stać przed bramą dzień i noc na deszczu.

— Fa-a-ayef

Rozwścieczona Kay waliła jedną pięścią w mikrofon, drugą zaś w przycisk domofonu, co tym bardziej utrudniało rozmowę. Lecz na swoje pytanie: „Co się stało?" wyraźnie usłyszała odpowiedź Faye — a metaliczny, suchy pogłos nadawał jej słowom jakąś wymowę straszliwszą i większe namaszczenie, niż gdyby rozmawiały twarzą w twarz:

— Och, nic takiego! W obecności członków rady oskarżyłam Jeremy'ego o przestępstwo.

— Co ty wygadujesz? Faye, co ty wygadujesz? Tyś zwariowała!

— Nie, nie zwariowałam. Usiłowałaś mi wmówić, że jestem wariatką, ale ten numer od dawna nie chwyta. Wymyśl coś innego! Nie jestem wariatką, mamo. Tylko na swoje nieszczęście jestem córką... zbrodniarki.

Ogarnięta zgrozą, struchlała Kay puściła przycisk domofonu, urywając rozmowę.

A więc Faye wiedziała! Ale co? I dlaczego?

* *

Na ostatnich piętrach wieżowca przy Madison Avenue zaczęto już odliczanie dni dzielących od wydania pierwszego numeru „Imagine". „Dziewięć do «Imagine»", mówiono, „osiem do «Imagine», siedem do «Imagine»" — w biurach gorączka rosła na równi ze zdenerwowaniem. I we wszystkich działach trudzono się przez całą dobę na okrągło, żeby inauguracja pisma stała się triumfem. Jeden Abel zachowywał, przynajmniej na pozór, ogromny spokój, on jeden wykazywał niewzruszoność i pogodę ducha, zbrojny w ową wewnętrzną siłę, jaką drapieżnik zbiera w sobie, gdy nieruchomieje na chwilę przed skokiem na ofiarę. Jakby nigdy nic między jedną a drugą męczącą naradą z Kellym i Gar-rymore'em wracał do zabaw z dziećmi goszczącymi w domu, gdzie spędzał długie czułe chwile z samą tylko Johanną, cały wolny czas poświęcając na serdeczność i miłość. W przyjemnościach, śmiechu, beztrosce godzin kradzionych pracy czerpał świeżą energię. Wcielał w życie ducha sabi, którego Min postarał się mu wpoić: „powszedni banał delikatnie podbarwiony wewnętrzną transcendentalnością".

Rankiem na siedem dni „przed «Imagine»" zdarzyło się to, czego tak bardzo się obawiał, wtedy bowiem Thomas z naciskiem ponowił swoją prośbę. Pod nieobecność pielęgniarki Abel osobiście zajmował się toaletą i śniadaniem przyjaciela. Skończył go właśnie ubierać, gdy kaleka, chwyciwszy go za ramię władną ręką, z patosem w błagalnym spojrzeniu rzekł, z trudem wymawiając każde słowo:

— Teraz, Abel. Chcę teraz umrzeć. Nie mogę dłużej.

I Abel usłyszał własny głos wyraźnie, jakby w transie, który wzmacniał jego siłę, budził osobliwe echo:

— Tak, wiem, Thomas, wiem. I chcesz, żebym ci po mógł, prawda?

Thomas przytaknął bez słowa, starając się jak naj weselej uśmiechnąć. Abel objął go i długo trzymał przytulonego do serca bijącego nagle szybciej, mocniej...

A więc on, którego całe życie było dotąd jednym wyzwaniem rzuconym śmierci, musiał oto zadać śmierć, aby być w pełni człowiekiem i mieć spokojne sumienie. On, którego wszystkie czyny wieściły dotąd odrazę do zabijania, musiał oto zabić — i to kogoś, kto, o gorzka ironio losu! przywrócił mu ongiś chęć do życia, gdy był zdesperowany! Kiedy miała wybić godzina Tygrysa, Abel musiał oto podnieść rękę na jednego ze swych ludzkich braci... I wspomniał naraz proroctwo Mina, choć wtedy, w stanie ogromnego osłabienia władz umysłowych po pobycie w wybetonowanym lochu więzienia, nie zwrócił na nie uwagi: „Być może kiedyś ty także będziesz musiał zadać śmierć, a mówiąc ściślej: ofiarować ją. Bo z miłości to uczynisz..."

— Tak, wiem — powtórzył Abel z cicha Thomasowi na ucho. — Za chwilę...

Z oczami pełnymi łez wyszedł z pokoju i wrócił do Johanny.

— Pójdziesz po małego do szkoły — rzekł bezbarwnym, zgnębionym głosem. — Zawieziesz go do Aleca. Zostańcie tam przez cały dzień. I przenocujcie...

— Dobrze — odparła Johanna tłumiąc szloch, zrozumiała już bowiem.

— Wrócicie dopiero jutro po południu, kiedy będzie po wszystkim — dodał Abel.

Zbyt wzburzona, by jeszcze coś mówić, Johanna pocałowała go w czoło i odsunęła się, gdy chciał ją objąć, uścisnąć, tak bardzo się bała, że okaże słabość wobec ogromnej odwagi, w jaką musiał uzbroić się Abel...

— Gdzie Thomas? — spytał Abel Junior po powrocie następnego popołudnia, gdy obiegł apartament i taras i nigdzie nie znalazł Haynesa ani jego wózka inwalidzkiego.

— Jest... u rodziców — odpowiedziała mu z zakłopotaniem matka, przełykając łzy.

Lecz jego ojciec był zdania, że dziecku należy zawsze mówić prawdę, choćby miała się okazać najokrutniejsza, toteż sprostował:

— Nie, skarbie, mama się myli. Nie jest u rodziców. Umarł wczoraj rano. Ja...

Nie dokończył: to zostawię na później, pomyślał. Kiedy jego syn na tyle dorośnie, by zrozumieć, że można zabić z litości.

Tak, kiedyś później Abel Junior dowie się, że jego ojciec zadał śmierć przyjacielowi — z przyjaźni, że sączył ją po kropli z flakonika do szklanki. Odrobinę tylko więcej niż trzeba, aby zasnąć: w sumie zapewnił jedynie Thomasowi dłuższy sen — i wszystko przebiegło bardzo prosto.

Tak, Abel Junior dowie się, że jego ojciec przez większą cześć nocy trzymał w ramionach ciało tego przyjaciela, nieszczęsne umęczone i kalekie ciało, z którego w kilka chwil uszło życie. Dowie się, że ojciec trwał tak przez długie godziny, jakby dotknięty obłędem, wpatrując się w trupa o szeroko otwartych szklistych oczach, który zdawał się uśmiechać doń po śmierci...

Pochowano Thomasa w dokuczliwą, lodowatą mżawkę. Abel płakał, jak płacze się po stracie brata. I złamany zmęczeniem nie zdołał sobie przypomnieć, choć bardzo się starał, dwóch ostatnich wersów poematu Rimbauda, który tak lubił i już raz deklamował w podobnych okolicznościach:

Już odnaleziona. Co?
Wieczność. To...

Może to nicość. Nicość, pomyślał: deszcz bębniący o drewniane wieko trumny, garść ziemi rzuconej w czarny otwór grobu, kilka wyszeptanych słów współczucia, drobnostki...

Życie jednak musiało wrócić do dawnego biegu — Abel tego chciał, otwarcie mówił: „Pozostawmy umarłym grzebanie umarłych, jak powiada Biblia". Życie już zwyciężało...

Wyobraził sobie „morze pospołu ze słońcem" tam, w Kalifornii, plaże bez końca, ogromny, zmienny ocean,

kiedy słońce barwi jego wody na różowo i złoto. I naraz ogarnęła go wielka tęsknota: zobaczyć kraj, gdzie dorastał.

— Chodź! — powiedział do Johaimy po powrocie z cmentarza. Objął ją, pocałował. I kochali się prawie nieśmiało, jak na samym początku ich miłości, kiedy byli tak zakłopotani, aż ledwie odważali się potem przyznać, że zaznali rozkoszy. Po czym szepnął jej na ucho:

— Porywam cię na trzy dni, chcesz? Tylko ty i ja. To będzie strasznie romantyczne. Całkiem jak wtedy, kiedyśmy się spotkali pierwszy raz dziesięć lat temu.

— Jedenaście.

— Masz rację: jedenaście. Pamiętasz?

— O, tak! Wszystko pamiętam, kochany. Paryż, wjazd na autostradę. Widzę cię w tej obszernej pelerynie khaki z wielkim plecakiem, sznurami i całym majdanem. Popatrzyłam na ciebie ot tak —już wtedy mi się spodobałeś. A ty uśmiechnąłeś się miło. Od razu uznałam, że jesteś bardzo przystojny, bardzo zabawny, bardzo... jak by to powiedzieć? Bardzo rozczulający. O właśnie.

— I bardzo bezczelny.

— I bardzo bezczelny! Nie, to nie tak: raczej fanfaron niż bezczelny.

— Wtedy pierwszy raz w życiu odważyłem się powiedzieć dziewczynie, że jest ładna.

— Wiesz? zaraz to zrozumiałam. Nie myśl sobie, że tego nie było widać.

— A ty, pamiętam, powiedziałaś: „Nie potrafię tak zupełnie cię nie znosić".

— To się nazywa nie skompromitować się!

Złapali się na tym, że zaśmiewają się do rozpuku, gdy Abel telefonował, by zarezerwować dwa miejsca na ostatni wieczorny lot Nowy Jork-San Francisco. Nie zawstydzili się — ich śmiech był wyzwaniem rzuconym śmierci, nie zapomnieniem.

Zostawili małego Abla u Aleca. I przeżyli trzy dni miłości, ale też zasmucenia.

Zasmucenia, bo dom przy Haight Ashbury, gdzie upłynęło im tyle szczęśliwych dni, gdy beztrosko wiedli cygański żywot w ukwieconej suterenie, pośród przyjaciół, znajomych,

zwierzaków, płyt Boba Dylana i zbiorków poezji, ten dom został zburzony, a na jego miejscu wyrosła szkaradna rezydencja. Zasmucenia, bo urocza willa Madeleine, podarowana jej przez Abla, gdy otrzymał zaliczkę na poczet spadku, została zmieciona z powierzchni ziemi przez inwestora, który nabył ją od Emersonów. Zasmucenia, bo Abel zapragnął też odwiedzić Modesto i pokazać Johannie miejsca, gdzie bawił się w dzieciństwie — niestety! nic nie zostało z Cafe Madeleine^ przy szosie 132, tylko powykrzywiany, przerdzewiały szyld kołyszący się na pustkowiu, opatrzonym tablicą informującą, że niebawem wybuduje się tu supermarket.

Tak, nie przetrwał żaden ślad przeszłości: wszystko zostało zburzone, zmiecione. A wraz ze śmiercią Thomasa Haynesa odszedł ostatni świadek minionego czasu. Abel pojął wtedy, że już zawsze będzie sierotą, człowiekiem bez korzeni, bez rodzinnych więzi, bez bagaży i bez wspomnień innych niż zawarte w jego pamięci. Ale pojął też, że z tego ubóstwa czerpał będzie swoją siłł?: jak przepowiedział Min, będzie zmierzał przez życie niczym tygrys w dżungli — wolny, lekki. Zawsze się w życiu będzie zachowywał z elegancją tego, kto wspina się na najwyższe szczyty i śmieje się z otchłani i skacze w przepaści, jednakże wiecznie jest czujny i świadom swych słabości oraz ryzyka ponoszonego na każdym kroku. „Tak, niczym linoskok, powiedział również Min, niczym linoskok na linie przeciągniętej między tym, co ludzkie, i tym, co nadludzkie..."

A gdyby kiedyś miało nadejść zniechęcenie, to czyż nie będzie miał jeszcze jako podpory Johanny, szalonej miłości, jaką go darzyła i jaką on ją darzył w zamian, tej miłości, która czyniła go silniejszym nad wszystko?

Jeden dzień „przed «Imagjne»".

Wrócili do Nowego Jorku—kochali się jak nigdy dotąd. A za kilka godzin zacznie się przyjęcie dla uczczenia pierwszego numeru „Imagine", za kilka godzin wybije godzina Tygrysa. „Za kilka godzin!" — to powiedział im Richie, kiedy późnym popołudniem powitał ich na lotnisku.

To będzie ,jednorazowa" feta — tak postanowi! Richie. Kelly mu przyklasnął, Abel zaś z rozbawieniem przystał na to. Wiedział, że namiętnością Richiego *są przyjęcia.* I że ma do nich talent: znał się na tym, kogo zapraszać, a kogo unikać, jeszcze lepiej zaś znał się na sztuce wymyślania nieoczekiwanych atrakcji, na zapewnianiu niesłychanej rozrywki. Często wydawał przyjęcia, których oryginalność, przepych i wyrafinowanie długo wspominano.

Co się tyczy otwarcia „Imagine", to ekscytacja, jaka ogarnęła tysiąc zaproszonych po zapowiedzeniu przyjęcia, rosła z dnia na dzień: tak niecierpliwie czekano na chwilę, gdy będzie można przekartkować wreszcie tygodnik, o którym w zasadzie nic jeszcze nie wiedziano! Jeśli zaś idzie o uciechy, to Richie zdawał się przechodzić samego siebie: rozmaite orkiestry, wszelkiego rodzaju bufety i kolacja przy stole dla tych, co sobie zażyczą — było to zaznaczone na zaproszeniach. Richie bowiem wymyślił, że będzie picie, jedzenie, tańce i zabawa do samego świtu, o świcie zaś ciężarówka przywiezie prosto z maszyn pierwszy tysiąc egzemplarzy i każdy z tysiąca uprzywilejowanych otrzyma pismo.

Kim byli szczęśliwi wybrańcy obdarzeni cennym kartonikiem upoważniającym do wstępu do holu i salonów recepcyjnych wieżowca, wynajętych na tę okoliczność? Cały nowojorski świat prasy, teatru i pióra, cały waszyngtoński świat polityki, cały hollywoodzki świat lana. Do tego dochodziły jeszcze osobistości z międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, bez których, zdaniem Richiego, żadnego przyjęcia nie można było uważać za w pełni udane, ów *beautiful people,* tak przezeń lubiany.

— Kto zaprasza? — pytano.

— „Imagine" — odpowiadał.

— Tak, ale kto za tym stoi? — nalegano.

— Ba!... — odpowiadał z przekornym uśmieszkiem kogoś, kto wie znacznie więcej, niż mówi.

Niektórzy zwiedzili biura, a dotarłszy do przedostatniego piętra, zapytywali, do kogo należy ostatnie. Ale i na to Richie odpowiadał enigmatycznie, wzruszeniem ramion mającym oznaczać niewiedzę i bezradność.

Incognito Abla miało zostać utrzymane do ukazania się drugiego numeru pisma — było to konieczne.

Co jednak nie przeszkodzi Ablowi, Johannie i kilku przyjaciołom, którzy postanowili razem z nimi uczcić ten wieczór, wziąć udział w przyjęciu. Bo Richie wpadł na pomysł, żeby w apartamencie na ostatnim piętrze zainstalować nie tylko bufet, ale też cały system magnetowidów połączonych z holem wieżowca. Pokazał zachwyconemu Ablowi funkcjonowanie aparatury pozwalającej mu na siedmiu ekranach śledzić przyjęcie przez całą noc. W siedmiu miejscach holu i salonów recepcyjnych bowiem kamery będą filmowały gości. Goście zaś na trzydziestu monitorach porozstawianych wszędzie będą mogli oglądać różne punkty atrakcji oszołamiającej fety: parkiet taneczny, bufety francuskie, amerykańskie, włoskie i rosyjskie, fontannę ponczową, orkiestry cygańską, dżezową, latynoamerykańską, itd. Oprócz, rzecz jasna, ostatniego piętra.

— Zobacz! — zawołał Richie, przesuwając jeden z siedmiu ruchomych ekranów —jest nawet kamera na zewnątrz, żeby filmować przybycie sław.

Pojawił się chodnik przed wieżowcem przy Madison Avenue, płócienny okap rozpięty na tę okazję, rozstawione barierki mające bronić dostępu gapiom, policjanci ściągnięci dla utrzymania porządku, cała sfora fotografów agencyjnych i poszukiwaczy sensacji. Potem rozbłysły flesze, gdy pierwsi goście wchodzili do środka.

Wtedy Richie i Kelly, którzy zajrzeli na górę przywitać się z Ablem i Johanną i napić się z nimi szampana, poderwali się na nogi: czuli się w obowiązku być na dole, by witać napływający tłum zaproszonych...

Ablowi przyszło na myśl, że jest coś z magicznej, nieco perwersyjnej nawet gry w uczestniczeniu w przyjęciu jedynie spojrzeniem, dwieście metrów ponad gośćmi, którzy przez całą noc i kilka następnych dni nie będą mieli pojęcia, kto był ich gospodarzem. Tutaj, w przestronnym apartamencie o wyglądzie obozowiska, również będzie picie, jedzenie, tańce, zabawa do samego świtu. O świcie zaś Abel osobiście wręczy każdemu egzemplarz pierwszego numeru „Imagine". Tyle że w gronie przyjaciół, z dala od tłumu będą mogli go przeczytać.

Abel ów pierwszy numer „Imagine" znał niemal na pamięć. Przyniesiono mu egzemplarz około szóstej wieczorem. A naj-

większym podziwem napawało go to, że dotąd nie było najmniejszych przecieków tyczących się wyglądu pisma, zwłaszcza zaś treści. Trzydziestu współpracowników dopuszczonych do tajemnicy dotrzymało słowa. Przed świtem nikt oprócz nich nie będzie nic wiedział o nowym tygodniku — nawet o okładce.

Na okładce zaś znajdowała się straszna karykatura Shawna Arbotha, karykatura, w której nie było zakazu doszukiwać się podobieństwa do Kay Mc Kay. Jeden z tytułów wydrukowanych na okładce zachęcał nawet do tego, jeśli ktoś znał przezwisko pani Emerson:

ANGOLA: Wojna czy pokój?
SACHAROW: Nagroda Nobla dla dysydenta.
FIKCJA: Bajeczne dzieje Lady Mc Beef, nowela Hieniego Garrymore'a.

Taki bowiem sposób postępowania przyjęli Abel, Richie i Robert: tę *cover story* potraktować ze zjadliwą ironią, niszczycielskim humorem. Rewelacje publikowane przez „Imagine" mogły bowiem, jak im się wydawało, przejść pod tym jedynie warunkiem: musieli przeciągnąć na swoją stronę prześmiewców i unikać stylu donosów, tak częstego w pismach brukowych. Toteż nigdzie nie padały prawdziwe nazwiska, a zbrodnicza kariera Kay Mc Kay opowiedziana była jako bajka. Kto jednak w świecie dziennikarskim i pośród jako tako poinformowanych czytelników nie rozpozna modelu, który natchnął Richiego? Kogo nie ogarnie podziw dla jego zręczności?

Bo Kay Mc Kay będzie zmuszona milczeć i udawać, że nic nie wie, albo pozwać przed sąd „Imagine". W obydwu wypadkach przyzna się do winy. Pułapka już się wokół niej zamykała.

A tu jeszcze zapowiadano kolejne skandaliczne rewelacje. Na końcu błyskotliwego artykułu Richie powiadamiał już bowiem o ciągu dalszym w numerze drugim — na swój zwariowany sposób:

Naturalnie w tym, co Państwo przeczytali, wszelkie podobieństwo do osób, które istniały bądź istnieją, jest czysto

przypadkowe i niezależne od woli autora — tylko nazwiska zostały zmienione!

W przyszłym tygodniu w tym samym miejscu pisma kolejną opowieść fantastyczną, podobną w nastroju i z tymi samymi bohaterami, przedstawi ten sam autor. Tytuł jest wielce obiecujący: „Trzy Zera", krwawy syn Lady Mc Beef!

* *
*

Godzina Tygrysa wybiła.

Jest trzecia rano. Wesoła zabawa osiąga szczyt, ale też daje się już odczuć niejakie znużenie. Goście tańczą z mniejszym zapałem, opadła także nieco gorączka przy bufetach. Jak co godzinę od początku zabawy, orkiestra gra *Imagine,* piosenkę Johna Lennona, będącą motywem przewodnim wieczoru.

Na ostatnim piętrze również zmęczenie ogarnęło biesiadników Abla. Alec i Johanna drzemią przed ekranami monitorów. A gospodarz, wykorzystując różnicę czasu, zatelefonował do Servozów i gawędzi z nimi o wszystkim i o niczym, dzieli się swoją emocją, napięciem, szczęściem...

Nagle rozlega się potężniejący hałas na ulicy — krzyki, śmiech... Poprzebierani za gazeciarzy w kraciastych kaszkietach, jakich widywało się w przedwojennych filmach, młodzi ludzie z plikami tygodników pod pachą torują sobie drogę przez tłum, wesoła wrzeszcząc co sił w płucach:

— Kupujcie „Imagine"! Kupujcie „Imagine"!

Ludzie obstępują ich ze wszystkich stron. Przypuszczają szturm. Rzekłbyś, że to stado wróbli, któremu rzucono ziarno.

Ze wszystkich stron pojawiają się nowi gazeciarze.

— Kim jest Lady Mc Beef? Dowiecie się z „Imagine"! — woła jeden.

A inny odpowiada echem:

— Komu? Komu „Imagine"?

Goście klaszczą, wyrywają sobie pismo, nim gazeciarze zdążą zerwać winylowe opaski spinające tygodnik w pliki po dwadzieścia pięć. Wśród zaproszonych są też pracownicy Eventsa, którzy dotąd trzymali się razem, nieco z dala od

tłumu, teraz jednak rozpychają się łokciami, by jak najszybciej dorwać i przejrzeć magazyn Roberta G. Kelly'ego i Richiego Garrymore'a. W końcu podają sobie z ręki do ręki egzemplarz, który udało się zdobyć Whyattowi.

Oprócz Whyatta jest tam Bergman, Jay Heetlet i Barbara Ridgewick, straszna redaktorka kroniki wydarzeń, seniorka wśród dziennikarzy. „Najbardziej złośliwa kobieta w świecie prasy", mawiał ongiś „Trzy E", kiedy ją przedstawiał. A jej nawet było w smak, że tak się ją określa. Chuda jak szkielet i przesadnie umalowana niczym staruchy z obrazów Goi, z długą suchą szyją, miną wyniosłą i wzgardliwą, w pelerynie z łabędziego puchu i kapeluszu z egretą, przypomina dość mocno ptaka brodzącego z czubem na głowie, a jej skrzekliwy, drżący głos góruje nad innymi.

— N-n-no n-n-nie! — woła. — Sz-sz-szaleństwo! Ten gagatek Kelly ośmielił się jednaki

Promienieje radością. Skandal jakby jej przypinał skrzydła. Piórka na wieczorowej pelerynie drżą, kiedy Barbara puszy się smakując własne słowa:

— C-c-cu-do-wnie! Zawsze uważałam, że nasz kochany Robert to wariat. A już odkąd został hipisem) Odkąd przeżył własną rewolucję kulturalną!

— Dziewięć lat po złożeniu dymisji!—wzdycha Whyatt, teatralnie kiwając głową. — Powiadają, że zemsta jest potrawą, którą należy spożywać na zimno...

Umówili się z Bergmanem, że wprowadzą wszystkich w błąd, również udając zdziwienie.

— A ten młody Garrymore — zauważa Bergman z aplombem — też jest zapiekły w urazie, nie? Jak pomyślę, że debiutował dzięki stypendium Fundacji Eventsl...

— Ale co z właścicielem? Kto się za tym kryje, hę? — pyta Jay Heetlet. — Barbaro wszystkowiedząca, nie wiesz?

— Napisali tu: A. Y. Pewnie Anonimowa H-Yena, moja mała! Och, czy nie udał mi się dowcip?

— Świetny. Tylko że „hiena" pisze się przez „i", moja droga.

— Wiesz, ja i ortografia...

— Ale poważnie, Barbara, nic ci nie przychodzi na myśl?

— Absolutnie nic. I to mnie właśnie doprowadza do szału! Może duch Juliusa Hancocka, króla konserw wołowych!

— Och, a ja przyszłam tu dzisiaj w nadziei, że poznam rozwiązanie zagadki!

— Ale jaki wściekły będzie „Trzy Zera", moje dzieci! Już kipi od tej rady nadzorczej, na której zdaje się była jakaś rozróba.

— No, zdajesz sobie sprawę, George? Czytałeś końcówkę artykułu Richiego? Jeżeli następny okaże się w tym stylu, ale będzie numer! Bóg wie, co jeszcze wynajdą...

— ...grzebiąc w śmietnikach.

— Wstrząsające! „Krwawy syn Lady Mc Beef'! Wierzcie mi, lepiej będzie siedzieć jutro jak myszy pod miotłą. To znaczy za chwilę, na kolegium. Podejrzewam, że jakaś dobra dusza już mu podetknęła pod nos artykuł Garrymore'a i drogiego Jeremy'ego trzeba będzie obchodzić z daleka.

— Ale dlaczego oni to robią?

— Kto? Richie? Robert?

— Tak. Dlaczego? Nie rozumiem. To przecież szaleństwo.

— Ale najważniejsze, to kto się za tym kryje?

— No właśnie, oto pytanie: kto?

To samo pytanie, będące teraz na ustach wszystkich, pytanie obiegające hol i salony, gdzie od paru chwil znów ożywała zabawa, powodowało nawrót podniecenia, jakie panowało na początku wieczoru: kto ukrywa swoją tożsamość za banalnymi inicjałami A.Y.? Kto?

Szósta rano.

Apartament Jeremy'ego pogrążony jest w półmroku. W sypialni pali się tylko lampka nocna nad ogromnym łożem, na którym w rozkopanej pościeli z fiołkowego atłasu i białych futer drzemie piękna Brenda Welles. Przez sen usłyszała, że Jeremy odbiera telefon i wstaje. Widać coś bardzo ważnego, skoro ktoś ośmielił się tak wcześnie go

obudzić i odwiedzić. Może to koniec świata? Ale co tam! myśli Brenda, ponownie zasypiając.

Jeremy osobiście odprowadził gościa. Może dać upust złości, którą dotąd udało mu się hamować. Ciska otrzymanym egzemplarzem „Imagine" i wpada do swej sali gimnastycznej, zrzucając jedwabne kimono. Jego nagie ciało, nadęte i obrzmiałe ciało kulturysty, odbija się w lustrach opasujących całe pomieszczenie, kiedy Jeremy wali pięściami w worek treningowy: prawy prosty, lewy prosty, sierpowy, hak... Wydaje mu się, że to sposób na opanowanie wściekłości, która go opada, zalewa: osłabić ją ciosami, zmęczyć.

Ach! więc to to było: więc to było owo zagrożenie, które mgliście przeczuwał i nie potrafił go sobie wytłumaczyć! Ta irracjonalna obawa, odkąd się dowiedział, że Robert G. Kelly znów kieruje pismem. A potem awantura z Faye na posiedzeniu, zjawienie się Lulu Davisa, podczas gdy w nim narastał strach, popłoch i nie znane poczucie winy. Więc to było to: wiedział, że musi teraz odpokutować! Ale dlaczego? I dlaczego dzisiaj?

Seria prawych i lewych na przemian, Jeremy głośno dyszy.

Co robić? Ha, zadzwoni do matki. Czyż nie tak reaguje, gdy tylko wyłania się jakaś trudność?

Ależ nie! Odzież on ma głowę! Zadzwonić do matki! Powiedzieć jej... Och! powiedzieć jej to, czego się właśnie dowiedział, ale też zawsze niejasno domyślał: że jest zbrodniarką! Że zabiła, tak, zabiła! I że zostało to napisane, wydrukowane jasno i wyraźnie w gazecie!

Zbrodniarka? Czy jest naprawdę zbrodniarką? Jeremy się zastanawia. I naraz wspomina czasy, gdy był dzieckiem. Wspomina urodziny swego starszego brata Abla. Chce wsiąść z nim do alfy romeo, którą właśnie dostarczono. Wszystko się odbywa dokładnie tak jak w łudząco prawdziwej opowieści Richiego Oarrymore'a: mały Jeremy chce wsiąść do auta, ale z jakąż gwałtownością wtedy matka, zwykle spełniająca każdy jego kaprys, każe mu zamilknąć! Z jakąż dziwną zapalczywością zabrania mu, choć zawsze ustępowała! „Nie, Jeremy, nie!" krzyczy. Ona, która zawsze mówiła „tak"!

No tak, Jeremy teraz wie, już wie dlaczego! To, co Richie wypisuje, jest zatem prawdą. Prawdą jest to, co publikuje „Imagine": Lady Mc Beef, czyli Kay Emerson, zabiła dwa razy!

Jeremy jeszcze mocniej wali w skórzany worek, jeszcze szybciej. Jakby chciał odpędzić obrazy materiałizujące się w jego umyśle.

Ale kto, kto za tym wszystkim stoi? zadaje sobie pytanie, i rodzi się w nim strach podobny mdłościom. I pot ścieka mu z czoła do oczu, szczypie do łez.

Tak, kto poza tym wypierdkiem Garrymore'em, poza tym gnojkiem Kellym? Kto pociąga za sznurki w tej dziwacznej grze? A czy oni nie obawiają się procesu?

Proces? Ech, jaki proces? Czy w ogóle można wszczynać proces? Przecież ten szubrawiec Richie nie wymienia ani jednego nazwiska, posługuje się tylko aluzjami. Ale oczywiście wszyscy rozpoznają Kay Mc Kay w zjadliwym portrecie wdowy po magnacie prasowym, byłej tancerki kabaretowej. Wszyscy! A wystąpienie do sądu byłoby pięknym przyznaniem się do winy! Och, bezbłędna pułapka. Robert i Richie dobrze to sobie przemyśleli i na pewno mają dowody: nikt się nie wplątuje w coś takiego bez koniecznego zabezpieczenia. Ten A.Y. też widać o tym pomyślał. I zasięgnął porady prawników, nim pozwolił wydrukować coś tak haniebnego.

Co robić? Zadzwonić do Kay? Poczekać, aż sama się dowie? Zostawić ją na pastwę powszechnej wzgardy, dezaprobaty?

Tak, to jedyny sposób postępowania. Przestać być solidarnym z nią: ze zbrodniarką!

— Uch! — boleśnie stęka Jeremy, nadal młócąc pięściami. — Zostawić mamę — mówi na głos. — Pierwsza rzecz: zostawić mamę. To jest to! Zostawić ją od zaraz...

Cóż, kiedy to nie pomniejsza strasznej pogróżki, jaką kończy się artykuł Richiego Garrymore'a: w przyszłym tygodniu będzie mowa o „krwawym synu Lady Mc Beef, o „Trzech Żerach"! Czyli o nim! Bo dobrze wie, że tak jest nazywany. Tak, o nim! Jaka matka, taki syn. Ich losy są związane...

Ale co oni w końcu wiedzą o nim? Co jeszcze chcą opublikować? Na jaki temat? Czyżby Lulu Davis sypnął

jeszcze przed kimś oprócz Faye? Czyżby ktoś z rady nadzorczej został pociągnięty za język po tym ostatnim skandalu? Czyżby Sweety Monroe zostawił jeszcze inne dowody? Czy oni mają kopię taśmy, którą posiada Lulu? Mogli zmusić do wyznań nie znanych wspornikow Sweety'ego albo Davi-sa? Jakimi w ogóle śladami dysponują? Och, i kimże on i są, kim są? Dlaczego tak go dzisiaj dręczą? Czemu jego?

Kim jest ten A.Y.? Kto się może kryć za tymi inicjałami?

Mój Bożel Czyżby po dziewięciu latach...? Czy...?

ósma czterdzieści.

Dwór w Sag Harbor rozbrzmiewa przenikliwymi krzykami starej wariatki, strąconej królowej, na którą już nawet służba nie zważa.

Kay raptem postarzała się i zbrzydła. Półnaga błądzi po korytarzach rozległego domostwa, wymachując okładką pisma, na której okrutny rysunek Shawna Arbotha przedstawiający ją jako lady Macbeth przestanie być wkrótce karykaturą. Nienawiść i strapienie, ale też strach zniekształcają jej rysy. W półmroku korytarza prowadzącego do wielkich pustych salonów z niejakim przerażeniem widzi swoje odbicie w lustrach, odbicie istoty rozczochranej, kredowobladej, zjawy ze świata umarłych.

Przed dziesięcioma minutami pokojówka przyniosła jej z innymi gazetami ten nowy tygodnik, którego pojawienie się tak ją intrygowało: dlaczego Kelly w jego wieku wraca do kierowania pismem? zastanawiała się. Co to może znaczyć? Jakie to zagrożenie dla „Eventsa"? I oto najpierw wstrząsnęły nią oskarżenia rzucone przez córkę, a teraz już wie! Wie, i ma wrażenie, że dokładnie w chwili, gdy otworzyła „Imagine", jej życie przeobraziło się w tragedię. Jakby nadszedł czas pokuty.

Och, kto im powiedział? Kto?

Howard oczywiście! Ten gnojek Leo. To mógł być tylko on. On jeden, ponieważ Harry Rienzo umarł zeszłego roku.

Ale co robić? Jaki jest sposób obrony? A nawet kontr-ataku?

W pierwszym rzędzie uprzedzić Jeremy'ego. „Kochany Remy" musi się dowiedzieć.

Może jednak już wie? O, tak, z pewnością wie. Taki chodził w ostatnich dniach niespokojny przez całą wrzawę wokół pierwszego numeru tego obrzydliwego szmatławca: na pewno już przeczytał. Na pewno mu pokazali. „Biedny kiciuś" taki był podenerwowany skandalem wywołanym przez Faye na radzie nadzorczej, jeszcze mu teraz tego brakowało! A ona, niedobra matka, ofuknęła go wtedy!

Lecz skoro Jeremy wie, to dlaczego nie dzwoni? Ach, bo uwierzył w to, co nawypisywał Richie! Uwierzył, nie ma wątpliwości. Właśnie odkrył wszystko to, do czego ona, Kay Mc Kay—boska Kay! — była zdolna dla niego! Żeby jej syn został kiedyś wyłącznym dziedzicem imperium Eventsa! Jej syn, syn tancerki z „Primavery"...

I nie dzwoni? Cóż za niewdzięczność! A przecież już powinien przy niej być ze swoim adwokatem. Ha! skoro Jeremy nie telefonuje jak co rano po jej przebudzeniu, w porze dietetycznego śniadania i spożywania zbożowych preparatów przeczyszczających, więc ona pierwsza się odezwie!

Najpierw jednak linia jest zajęta. A potem, och! ta gęś jego sekretarka, ta głupia Brich... Och! panna Brich, zupełnie jakby otrzymała polecenie, odpowiada jej zuchwale, że syn nie może z nią chwilowo mówić!

Jakto?Jakto nie może? Chyba raczej nie chce? Co? Jej syn? To zdarza się pierwszy raz...

Czyżby jej syn, jej własny syn wyparł się jej? Ten smarkacz nie kazał nawet powiedzieć, że zatelefonuje, jak tylko będzie mógł. Nie kazał tego powiedzieć, nie stać go było na elementarną uprzejmość, na minimum synowskiego szacunku, jaki winien jest matce. Tak! Najpierw Faye odmówiła jej otwarcia drzwi, a teraz Jeremy! Jeremy, któremu ofiarowała imperium...

Och! to nie do zniesienia! Ta samotność. I niepewność! Zwłaszcza niepewność jest straszna: skąd wyszedł cios? Kto się kryje za Kellym i Garrymore'em? Nim cokolwiek zrobi, tego się musi dowiedzieć.

Ale najpierw wziąć się w garść. Koniecznie. Natychmiast. Odzyskać zimną krew. Nie dać po sobie poznać, jak bardzo

ją to dotknęło. Grać nieświadomość albo obojętność, zależnie od sytuacji. Zadbać o swój wygląd jak co rano. Wytrzymać kilkugodzinne cierpienia, zanim będzie mogła wyjść. Stać się na powrót wiecznie młodą Kay Mc Kay.

Jeremy ją zostawił samą? Dobrze! W takim razie odnajdzie ślad Leonarda Howarda, sama go wezwie do Sag Harbor na konfrontację, na wyjaśnienia, sama zgromadzi wokół siebie sforę adwokatów. I jeszcze się okażel

Co się, do licha, dzieje? To jakaś zmowa: u każdego z jej trzech adwokatów telefon jest ciągle zajęty — zajęty — zajęty!

I powraca gniew, gwałtowniejszy, potężniejszy, i przeradza się w atak nerwowy. Ach! wiedziała, że nic dobrego jej to nie wróży. A raczej im obojgu: jej i Jeremy'emu. Nie, nic dobrego nie wróżył powrót Kelly'ego do zawodu. A kiedy się dowiedziała, że Shawn Arboth, „to świńskie łajno", składa wypowiedzenie i przechodzi do „Imagine", czyż nie słusznie czyniła Jeremy'emu wyrzuty, że nie zrobił nic, aby go zatrzymać? To też było z powodu mglistego, jeszcze niezrozumiałego przeczucia bliskiej katastrofy-, nie wolno było pozwolić przejść do wroga najlepszemu humoryście *Eventsa,* człowiekowi, który, jak w całym dziennikarskim świecie wiedziano, przyjaźnił się z „Trzema E".

Do diabła! czy ten Jeremy to idiota?

Jeremy, idiota! O Boże! co też przychodzi jej do głowy! Och, nie! nie! Jeremy, jej syn! Jej jedyny syn! Jej biedny kochany Remy, któremu również grożą skandalicznymi rewelacjami!

„Krwawy syn Lady Mc Beef!"—tak o n i go nazwali. Te dranie, dranie! Ale dlaczego tak się ich obojga czepiają? I kim oni są? Garrymore, Kelly, ci „obesrańcy", których „Trzy E" wydobył z nicości, a oni tak mu teraz dziękują! I jeszcze ten A.Y., skrywający swoje nazwisko na pewno nie bez powodu.

A.Y.?

— Boże! Mój Boże! Czyżby...?

Służących we dworze dobiega ogłuszający łoskot tłuczonych luster. Kay nie była w stanie znieść swojego widoku: widoku maszkary.

Dziewiąta pięć.

Jeremy nadal nie odpowiada. Ha, niech i tak będzie! Pójdzie do niego do biura. Będzie musiał ją przyjąć.

Każe szoferowi być gotowym za dziesięć minut. Czyli że daje sobie dziesięć minut, żeby zrobić się na piękność. Lecz jakie uroda ma teraz znaczenie?

W tak wielkiej jest rozpaczy, niepokoju, że przychodzi jej naraz do głowy, by zadzwonić do córki. Chciałaby usłyszeć od niej słowa pociechy, uspokojenia. Tak, Kay Mc Kay doszła do tego, że prosi o pomoc tę wariatkę, chce ją błagać. Poniży się, upokorzy telefonując do Faye, do Faye, której numeru telefonu nawet nie zna! Do córki, swojej córki, która niedawno się jej wyparła, znieważyła ją...

Coś potwornego! Nie do zniesienia! Gorszego niż policzek: Faye śmieje się! Faye się naigrawa! Faye mówi spokojnie, nie tracąc przerażająco zimnej krwi:

— Skoro syn cię zawiódł, to nie szukaj litości u mnie, mamo. Bo nie znajdziesz. Wiem, że wszystko, co wydrukowano w „Imagine", jest prawdą. Wiem od kilku dni, że jestem córką zbrodniarki. Powiedziałam ci to. Mamo, wszystko musiałam od ciebie znieść. I przyszło mi jeszcze zaznać tego, że jestem parszywą córką parszywej kryminalistkil Podobno dzieci winne są miłość i poważanie rodzicom, nawet jeśli rodzice zabili. Ale jeżeli rodzice zabijają własne dzieci, to co? A przynajmniej usiłują zabić. Bo chciałaś mnie zabić, mamo!

— Faye!

— Nie zaprzeczaj: chciałaś mnie zabić. Próbowałaś mnie zniszczyć tymi cholernymi psychotropami. I opychając mnie IMAO, i elektrowstrząsami. Podając mnie za stukniętą... I omal rzeczywiście nie zwariowałam. I próbowałam popełnić samobójstwo, co by cię zresztą urządzało! Ale nie sprawiłam ci tej przyjemności! Tak, mamo, zabiłaś nie tylko króla konserw wołowych i tego biedaka Abla: mnie też chciałaś usunąć.

— Faye!

— Płaczesz? Ha, pierwszy raz słyszę, jak płaczesz: nawet po śmierci taty nie udało ci się wycisnąć jednej mar-

nej łezki. A przecież taka z ciebie aktorka, mamo) Płaczesz teraz?

— Tak! Płaczę.

— Kiedy byłam mała i płakałam, nigdy mnie nie pocieszałaś. A jeśli już, to dlatego, że byli obcy mogący podziwiać, jaką to dobrą matką jesteś: wtedy odstawiałaś przed nimi swój wielki numer. Ale ja się nie dawałam oszukać. Pamiętam, że całowałaś mnie w czoło, a to był taki cholernie zimny pocałunek. Mdliło mnie od niego. I mimo wszystko próbowałam cię kochać, mamo. Żebyś i ty mnie pokochała. Ale kiedy chciałam cię pocałować, zawsze mówiłaś ze złością: „Zostaw! zburzysz mi fryzurę!" Jeremy najpewniej nie burzył ci fryzury, kiedy turlałaś się z nim w trawie! Zawsze nienawidziłaś mnie, mamo. Zawsze! I omal nie zrobiłaś ze mnie wariatki. Tato...

— Tato! Tato! Tato! O kim ty mówisz? O Eliocie E. Emersonie? Ty głuptasie: on nie był twoim ojcem!

— Co ty mówisz?

— Dobrze usłyszałaś, Faye. Ale skoro chcesz, żeby postawić kropkę nad i, to ci powiem, że kiedy się urodziłaś, ja o wiele dłużej niż od dziewięciu miesięcy nie spałam ztwoim ojcem! Co, przykro tego słuchać, hę? Ranie cię, nic?

Wokół Faye wszystko się chwieje, zaczyna obracać. A więc Eliott E. Emerson nie był jej ojcem? On, który ją po ojcowsku kochał...

Umilkła. Nie słucha potoku zniewag, jakimi obsypuje ją matka teraz, gdy jest górą. Myślami jest gdzie indziej, krąży wokół wspomnień i zgoła piekielnego wystroju swojej pracowni zalanej światłem. Widzi Abla w wieczór jego „zmartwychwstania", widzi go, jak uśmiecha się do niej serdecznie i trzyma ją za rękę: są rodzeństwem. Ale to rodzeństwo nie ma ani kropli wspólnej krwi w żyłach. Mogli byli... Tak! Mogli byli, ale do niczego nie doszło tej nocy, choć Abel spał przytulony do niej. Pozostali bratem i siostrą, rodzeństwem kochającym się czule, namiętnie.

Jednakże Faye już się opanowała: na cóż się zdadzą tak marne, śmieszne żale? Są bez znaczenia! Zdobyła szczęście

i na pewno pokrzykiwania, złośliwości matki teraz go nie naruszą. Nigdy więcej, obiecała sobie, nie pozwoli, żeby Kay ją terroryzowała — i jej słowa już nie ranią. Faye ma świeżą wiarę w życie, ufność, której nic nie zachwieje. I z jakąż pewnością, z jakąż dumą odpowiada:

— Eliott był moim ojcem, bo mnie kochał. Ty nie jesteś moją matką.

— Faye, jak możesz?...

— Nie jesteś moją matką, nawet jeśli mnie nosiłaś w tym swoim cholernym brzuchu.

— Faye! Bądź cicho! Proszę, bądź cicho!

— Wszyscy zawsze chcieli, żebym się zamykała, no więc się zamykałam! Ale dzisiaj krzyczę! Krzyczę! Słuchaj, mamo: krzyczę! I ty na pewno mi w tym nie przeszkodzisz.

— Faye, przestań! Skąd ci się wzięło...?

— Jestem wolna, mamo! A raczej wyzwolona! Rozumiesz? Rozumiesz przynajmniej, co to znaczy? Zaczyna się dla mnie nowe życie. A twoje niedługo marnie się skończy. Słuchaj, mamo, słuchaj: teraz ja mówię, ja mam głos. Posłuchaj, co twoja cholerna córka ci powie...

— Co? — zapytała niecierpliwie Kay. — Co chcesz mi jeszcze powiedzieć tak ważnego?

— To dotyczy Abla...

— No i co z tym Ablem?

— Nic — odpowiada Faye. — Dowiesz się na czas.

I spokojnie odkłada słuchawkę.

* *

Dziewiąta dwadzieścia.

Czy Jeremy nie próbował dzwonić, kiedy rozmawiała z tą wariatką Faye, która snuła jakieś majaczenia przez telefon?

Biedna, biedna ta Faye! Co tak ważnego chciała jej powiedzieć i w końcu się nie zdecydowała? Co ona wie? Na pewno nic. To wszystko rojenia chorego umysłu! Kolejna postać normalnej u niej mitomanii. Ale ileż w niej gwałtowności! Ileż porywczości! To doprawdy straszne.

I Kay wstrząsa dreszcz. Z wolna ogarnia ją niewysłowiony niepokój. Nigdy dotąd nic i nikt nie umiał stawić jej czoła,

a teraz czuje się osaczona. Przez co? Bezbronna. Przed czym? Wszystko, co stanowiło ojej sile, niknie. Dlaczego? Dlaczego naraz ma wrażenie, że jej świat się wali?

Nie, Jeremy nie próbował dzwonić. Potwierdza to miss Brich. I ta „głupia gęś" nie może powiedzieć nic ponad to, co mówi głosem fałszywym i zakłopotanym. Ach! coś się dzieje: niemożliwe, żeby Jeremy nie chciał, by go łączyć z matką, on, który jest zdolny przerwać każdą rozmowę, kiedy Kay dzwoni.

Kay nie ma już córki, jeśli ją w ogóle kiedykolwiek miała. Czyżby i syn ją odtrącał? Ten syn, dla którego, tak! dla którego posunęła się aż do morderstwa? Czy to możliwe, żeby się jej wyparł?

— Szybko do „Eventsa" — mówi do szofera.

Do adwokatów zatelefonuje z limuzyny.

Samochód jedzie brzegiem oceanu. Mimo przejmującego chłodu Kay opuściła szybę. Potrzebuje powietrza, silnego podmuchu powietrza: dusi się. Ma wrażenie, iż serce jej zaraz pęknie. Boi się, że nagle umrze. Boi się, że umrze nie zobaczywszy Jeremy'ego, nie zdążywszy się przed nim usprawiedliwić. Nie zdążywszy mu powiedzieć... Ale co?... co się stało Jeremy'emu?

Adwokaci trafili na ślad Leonarda Howarda. Kay telefonuje do starca. Lecz on kompletnie zwariował. Krzyczy w słuchawkę:

— Abel! Abel nie umarł!

Jak przed dziewięcioma laty, kiedy...

No nie! czyż zmarli nie nękają żywych tylko w opowieściach grozy?

Nie! nie! nie! — Kay z całych sił chce odsunąć tę myśl.

No i najwyraźniej nic więcej nie wydobędzie z Lea, ludzkiego wraka, człowieka przegranego noszącego w sobie śmieszne poczucie winy, skrupuły, to, co ona pogardliwie nazywa .Jego żydowskością"! Leo jest skończony, plecie głupoty! Po cóż dłużej słuchać takich niedorzeczności?

Powiedział, że Abel żyje.

— Szybciej! Szybciej! — rozkazuje Kay Royowi, kładąc słuchawkę na widełki.

— Szybciej!

Dziesiąta.

Blady i przygnębiony, o twarzy naznaczonej dręczącym go skrycie zmartwieniem i niepokojem, Jeremy długo krążył wokół biurka, przenosząc złość na zapełniające je gadżety. Podłoga jest usłana stalowymi kulkami, rozciągniętymi sprężynkami, kawałkami pleksiglasu.

Potem w końcu się zdecydował: tak, upokorzy się, poniży, telefonując do Kelly'ego, którego wezwie, żeby się przyszedł tutaj wytłumaczyć. Jak w czasach gdy...

A jeśli Kelly odmówi? Cóż, w taki razie Jeremy jeszcze bardziej się upokorzy, poniży się tak bardzo, że złoży mu wizytę w biurze przy Madison Avenue. Chce wiedzieć. Chce wiedzieć, co się przeciw niemu szykuje. I poznać tego, kto pociąga za sznurki w tej grze... Choćby miał zagrozić Kelly'emu procesem. Lub przeciwnie, błagać go na kolanach, przez pamięć o przyjaźni, jaka łączyła byłego dyrektora Eventsa z jego ojcem. Uważa jednak, że taką sprawę należy załatwiać bez świadków, bez adwokatów. Przynajmniej na razie...

Czy Robert będzie tak uprzejmy przyjść? Tak, nie czynił żadnych obiekcji, nie stawiał żadnych warunków. Jakby się nawet spodziewał, że Jeremy go wezwie! Robert jest miły i uprzejmy jak zwykle. Nie sprawia wrażenia, że choćby w najmniejszym stopniu zaniepokoiła go prośba o spotkanie. A to właśnie najbardziej niepokoi prezesa Eventsa!

— O jedenastej trzydzieści może być?

— Świetnie.

Potem zapada cisza. Jeremy domyśla się, że Kelly, zasłoniwszy dłonią mikrofon, pewnie rozmawia z kimś z drugiego aparatu. Wreszcie, ku jego zdumieniu, dyrektor „Imagine" mówi odrobinę ironicznym tonem:

— Słuchaj, Jeremy: nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo jeszcze dzisiaj chcesz się ze mną zobaczyć, ale może przy okazji miałbyś ochotę poznać naszego prezesa? Chcesz, żebym z nim przyszedł?

— Hmm... to znaczy, skoro... Hm... to wy... — bełkocze oniemiały. — To znaczy... nie śmiałem...

Zamierzał okazać władczość, zamierzał grozić... Zamiast tego omal nie przepraszał, że przeszkadza! Co za upokorzenie, gdy sobie to uświadamia!

Ciężko siada w głębokim fotelu prezesowskim oznakowanym swoimi inicjałami i w zgięciu ramienia wspiera czoło na zimnej lace biurka. Ogarnia go dziwne pragnienie, żeby zapłakać...

Nie, nie, mimo wszystko nie zadzwoni do matki. Nie teraz. Chociaż czuje się taki samotny, taki opuszczony, taki zdeprymowany. Tak bardzo potrzebuje pociechy...

Jedenasta dwadzieścia pięć.

Events Tower. Abel podnosi wzrok na prostą krawędź ze szkła i stali, po której wspiął się przed dziewięcioma laty. Zalewa go fala wzruszenia. Czuje dreszcz taki sam jak wówczas, gdy podejmował niebezpieczną wspinaczkę. Przypomina sobie, że podciągając się bez trudu na krawędź pierwszego dźwigara, powiedział wtedy: „No zmierz się ze mną, Eventsie!"

Dzisiaj rzuca inne wyzwanie. Bardziej bolesne, bardziej też niebezpieczne, myśli. Ale nie zawaha się. Decyzję już podjął: za kilka minut Jeremy Emerson ujrzy przyrodniego brata, którego uważa za zmarłego.

— Zmierz się ze mną, Jeremy!

Abel uspokoił łomoczące gwałtownie serce. Idzie za Robertem G. Kellym, przed którym bezszelestnie rozsuwają się drzwi holu zaopatrzone w czujniki elektroniczne.

Kelly prosi hostessę przy wejściu, żeby ich zapowiedziała.

— Robert G. Kelly i... hmm... prezes „Imagine".

Najwyraźniej jego nazwisko nic nie mówi dziewczynie. Hostessa zamienia kilka słów z sekretarką Jeremy'ego, otrzymując potwierdzenie, ze panowie są umówieni, po czym zaczyna im tłumaczyć, jak się dostać na piętro dyrektorskie. Goście jednak z porozumiewawczym uśmiechem przerywają:

— Znamy drogę!

W windzie jeżdżącej bezpośrednio na dwa ostatnie piętra ktoś pozdrawia Kelly'ego, wyraża uprzejme zdziwienie spotkaniem. Potem ukradkiem przygląda się Ablowi, którego były dyrektor Eventsa nie raczył przedstawić: ta twarz nie jest mu obca... kogoś przypomina... Ach! myśli naraz, jakie to dziwne: nieznajomy jest uderzająco podobny do młodego Eliotta £. Emersona z portretu wiszącego w holu wejściowym, części poświęconej historii Eventsa. To naprawdę dziwne — ale wydaje mu się też, że jeśli pogrzebie we wspomnieniach...

Tak, ten człowiek to...

Kto? No kto?...

Jedenasta trzydzieści.

Abel i Robert czekają, siedząc na dwóch końcach wielkiej kanapy. Nic nie mówią. Każdy jest pogrążony we własnych myślach. Każdy patrzy niewidzącym wzrokiem na wystrój znanego salonu. Parę rzeczy się zmieniło: słychać ckliwą muzykę, na podłodze leży paskudna wykładzina w barwie ostrego fioletu nakrapianego zielenią i złotem, a na ścianie w głębi wisi płaskorzeźba ze złoceniami, dobitnie potwierdzająca nuworyszowski gust Jeremy'ego. To alegoria prasy: odbitki korektowe, maszyny rotacyjne, teleksy, a między tym wszystkim setki gęsich piór zanurzonych w kałamarzach.

— Do Ucha! Ależ tu ohydnie! ^— parska nerwowo Abel.

Spoglądają na siebie i wybuchają śmiechem.

Jedenasta czterdzieści.

Przemierzając wzdłuż i wszerz taras omiatany wiatrem, co chwila zerkając na zegarek, Jeremy z rozmysłem kazał gościom czekać: żeby dać im odczuć swoją władzę, ale też aby mieć czas na opanowanie nerwów i ułożenie twarzy stosownie do rozgrywki, która ma być twarda, zimna, ostateczna.

Lecz jego wzburzenie jest silniejsze, a chęć poznania wreszcie człowieka, którego się lęka nie wiedząc dlaczego, staje się przemożna. Wraca do gabinetu, zostawiając szeroko rozsunięte jego szklane ściany: Jeremy potrzebuje świeżego powietrza, wzdymającego zasłony i łopoczącego nimi jak żaglami. Potrzebuje tej inscenizacji: będzie stał daleko za biurkiem, w otwartych drzwiach na taras, i zmierzy gości pogardliwym wzrokiem, postanawia, tak jak doskonale potrafi to robić jego matka. Będzie mówił zwięźle, ostro, jak wpoili mu nauczyciel zachowania i jego guru. Powtarza w myśli rady i sztuczki wyczytane niedawno w podręczniku opublikowanym przez Wydawnictwo Events: *Jak zdobyć dominację nad ludźmi.* Tak, pokaże się jako człowiek wyniosły, energiczny. Jako przywódca nie lękający się walki. Lew stający naprzeciw szczurów!

Zerka po raz ostatni do lustra i lustro ukazuje mu raczej zadowalający wizerunek szefa. Naciska wtedy klawisz interfonu i prosi miss Brich, żeby ich wprowadziła.

Sekretarka otwiera drzwi przedpokoju, potem dyrektorskich gabinetów, i usuwa się na bok przepuszczając gości.

Wchodzi Robert G. Kelly...

Drugi przybysz zatrzymał się na moment w progu z twarzą ukrytą w cieniu.

— Wejdźcie, proszę — mówi Jeremy i cofa się. Niemy wyraz przerażenia, a potem oszalały krzyk:

— Mój brat!... Mój brat!

Jeszcze się cofa. Krzyknął tak głośno, aż do gabinetu wpadły dwie inne sekretarki. Oniemiałe biorą udział w niewiarygodnej scenie, Jeremy bowiem tak bardzo jest wzburzony, że nie ma dość przytomności, aby kazać im odejść. I razem z Kellym będą to oglądały aż do tragicznego końca.

Abel postąpił naprzód bez wahania, z wysoko podniesioną głową, swobodnym krokiem. Całkowicie nad sobą panu-

je, nie okazuje żadnego z uczuć, które gwałtownie nim miotają. Mówi głosem poważnym i równym, bez wykrzykników. Dla Jeremy'ego jednak jest to znacznie gorsze, niż gdyby podnosił ton i tracił zimną krew.

— Brat? — rzecze Abel z ironią zabarwioną goryczą, uśmiechając się lekko, ze smutkiem i bardzo łagodnie. — Brat? Chyba pierwszy raz tak o mnie mówisz. Ale jeśli o mnie idzie, to po raz ostatni...

Jeremy, u szczytu przerażenia, wzdryga się: sądzi, że wybiła jego ostatnia godzina. Sądzi, że Abel przybył, aby go zabić...

Cofa się, ciągle się cofa, wyciągając ręce, jakby się bronił, a zarazem błagał. Kwili niczym ranione zwierzę.

Abel poprawia się, nadal tak samo niewzruszony:

— Och nie! Powiedziałem „ostatni", ale nie rozum źle moich słów: nie przybyłem, żeby cię zabić. Nie jestem uzbrojony. Nie jestem taki jak ty, Jeremy. Nie jestem, nigdy nie będę mordercą... Miałem na myśli to, że nigdy więcej nie nazwę bratem człowieka, który zabił małą Nam Hoę i jej małpkę... Nigdy więcej nie nazwę bratem człowieka, który skradł mi najpiękniejsze lata życia, młodość...

Abel miarowym krokiem podchodzi bliżej, jeszcze bliżej. Jeremy nie czuje już pod stopami miękkiej, zapadającej się wykładziny, lecz twarde podłoże tarasu. Cofa się, ciągle się cofa...

W końcu opiera się plecami o barierkę i smagany podmuchami wiatru, z wytrzeszczonymi oczami pełnymi łez, patrzy na człowieka, którego od tak dawna uważał za zmarłego, bada jego spojrzenie, jakby chciał w nim odkryć tajemnicę jego zmartwychwstania. Lecz żadne pytanie nie wychodzi mu na usta i zaczyna tak drżeć, aż strach na niego patrzeć.

Uginają się pod nim chwiejące się nogi. Potem na twarz występują mu pierwsze oznaki szaleństwa. W nerwowym napadzie wesołości wybucha śmiechem. Wspomniał dzień, gdy on stał tutaj, Abel zaś wyłonił się z z drugiej strony barierki. Znów widzi tę scenę, widzi brata przeskakującego przez poręcz i opadającego na nogi miękko, z elegancją tancerza doskonałego. Abel jest piękny w zmierzchającym świetle dnia, szczęśliwy, triumfujący niczym młody bóg. Jest

w stanie laski! A jednak on, mimo że powinien by go podziwiać, chociażby za dokonany właśnie wyczyn, czuje nienawiść, czuje nienawiść do tego... „bękarta"! Chciałby popchnąć tego brata... zepchnąć go w przepaść, z której się wyłonił.

Jeremy zdołał się wtedy opanować, umiał powściągnąć chęć zabicia. Ma jednak świadomość, że w tamtej właśnie chwili w jego głowie zrodziła się myśl o morderstwie, o zamachu.

A dzisiaj, teraz, Abel znów stoi przed nim na tarasie. Abel wciąż żyje. Abel jest nieśmiertelny!

— Och! litości! litości! — bełkocze Jeremy w zamroczeniu. —Ja nie chciałem, żeby ta dziewczynka... Nie myślałem, że... Zresztą to wina Sweety'ego! To Sweety! Nie ja! To przez Sweety'ego i Davisal Ja nic nie zrobiłem. Nie chciałem...

— Czyżbyś był tchórzem? — przerywa mu z pogardą Abel.

Nie podniósł głosu, nie grozi. Nadal mówi spokojnie, nawet jakby uroczyście, aby ukryć możliwie najlepiej, jak bardzo strach, który wzbudza, przeraża teraz jego samego.

— Czyżbyś był tchórzem, że nie stać cię nawet na przyznanie się do zbrodni? O, tak, jesteś tchórzem! Takim samym jak wszyscy tobie podobni. Jak wszyscy ci, w których nigdy nie będę widział „braci", choć niestety, są moimi bliźnimi: jak mordercy, oprawcy, tyrani... Tak, jak wszyscy ci, którzy torturują, zabijają, tyranizują dla władzy, pieniędzy, ambicji. Czy po prostu dlatego, że chcą mieć rację! Jak wszyscy ci, a jest ich całe mnóstwo, którzy chcą innym narzucić swoje poglądy, idee, wiarę! Jak tak zwani silni ludzie! Ale ja, Jeremy, należę do tych, co wątpią, co wiedzą o swojej słabości, wrażliwości, lecz nie wstydzą się ich, należę do tych, co po omacku, na swój sposób szukają szczęścia i nie boją się pomyłki, bo ich błąd nie dotknie poza nimi nikogo, nie boją się zaczynać od nowa, bo zwycięstwo, które jest na końcu, zwycięstwo nad sobą, jest jedynym zwycięstwem! Nie należę do tych, co zawsze starają się przechodzić samych siebie...

— Iw gruncie rzeczy żal mi cię, Jeremy. Żal mi cię, bo nigdy nie zaznasz tej radości, chociaż życie wszystko ci dało: władzę, pieniądze, zaszczyty. Nie bój się, nie zabiję cię, nie

wystąpię do sądu, może nawet nie opublikuję prawdy o tobie, choć jeszcze pięć minut temu chciałem ją wykrzykiwać ponad dachami. Nie! Jakie to ma teraz znaczenie? Jakie ma znaczenie, czy czujesz wyrzuty sumienia, czy nie? Czy jesteś zhańbiony, czy nie? Moja zemsta będzie straszniejsza od tego, co mógłbyś sobie wyobrazić, ponieważ nie będzie zemstą. Będzie lekcją. Skromną lekcją życia, jakiej ci udzielę, ja, człowiek dziesiątki razy niemal umarły! I w dodatku nie mogący ścierpieć tych, którzy nauk udzielają! Posłuchaj, Jeremy, powiem ci tylko to: nie ma piekła ani nieba. Jest tylko ten świat, przez który przemykamy, jest tylko życie tak krótkie, w czasie którego powinniśmy osiągnąć pełnię człowieczeństwa, czyli zdobyć szczęście. Boję się jednak, czy dla ciebie nie jest za późno. Ach! jakie to straszne potępienie, prawda? Straszne potępienie już na ziemi! Bo jesteś potępiony, Jeremy, ponieważ nie potrafiłeś kochać. I zawsze będziesz potępiony. Chyba że dzisiaj zdobędziesz się na to, żeby mnie, bękarta, uznać za swojego brata. I na to, żeby mnie uścisnąć...

Abel otworzył ramiona, uśmiecha się jak ktoś, kto prosi o pokój.

— Nie! nie! — krzyczy Jeremy, zamroczony zgrozą i przerażeniem. — Nie!

I nagle, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, okracza balustradę i skacze w pustkę. W otchłań.

Jedenasta czterdzieści pięć.

Na placu Eliotta Ernesta Emersona tłumek zgromadził się wokół trupa, krwawego kłębka pomieszanych kości, ciała, trzewi i tkanin, wokół zniszczonej marionetki.

Kay Mc Kay wie. Już wie, choć nie ma pojęcia skąd. Przeczucie: wysiadała z limuzyny, usłyszała przenikliwy dźwięk syreny ambulansu i samochody policyjne wyjące jak karzące bóstwa antyczne...

Biegnie. Krzycząc z przerażenia, drapiąc i szarpiąc jak tygrysica, toruje sobie drogę we wrogim tłumie gapiów.

— Synu!

Przypada do zniekształconych zwłok, kładzie się na nie i chwyta je rozpaczliwie, i wije się, obscenicznie rzucając lędźwiami, całując trupa, obejmując go, jakby chciała udusić. To coś na kształt kopulacji ze zmarłym.

Ze śmiercią...

Teraz wstrząsają nią spazmy. Rzęzi, szlocha, mamrocze słowa bez związku, pogróżki.

Próbują zabrać ją stamtąd, lecz broni się, gryzie. Wreszcie zostaje siłą odciągnięta.

Protestuje:

— Nie! nie! To nie ja... To nie ja go zabiłam! To Abel! Tak, Abel! Nie rozumiecie? Abel! Abel, mówię wam! Abel żyje!

I podnosi rękę do serca. Przestało bić.

Poznałem go latem tego roku.

Schodził ze szczytu Innominaty w towarzystwie Jac-ques'a Servoza —ja szedłem na przełęcz ze swoim przewodnikiem.

Od razu go rozpoznałem: jego zdjęcie widniało na pierwszych stronach wszystkich gazet nazajutrz po tragedii w Events Tower.

Od tamtej właśnie chwili zainteresowałem się nim, jego niewiarygodnymi dziejami. Później, a było to w ubiegłym roku, poznałem Richiego Garrymore'a, zaprzyjaźniliśmy się i odtąd wiedziałem, że kiedyś o Ablu napiszę. Ale do tej pory nie było mi dane go spotkać.

I raptem oto znalazłem się przed nim, niezdolny wydusić z siebie nic ponad banalne zdania o pięknie wschodu słońca w górach. On także niewiele mówił. Uśmiechał się i bez przerwy miętosił palcami siwy kosmyk w jasnych włosach rozwiewanych przez silny wiatr, który zerwał się nad lodowcem. Lód rozbłyskiwał w pierwszych promieniach wstającego słońca, a kobaltowe niebo, gdzie świeciła jeszcze Gwiazda

Pasterza, różowiało między skalnymi zębami na wschodzie. Panował dojmujący chłód, nasze oddechy zamarzały w powietrzu usiane igiełkami szronu — lecz była to jedna z niewysłowionych chwil spokojnego szczęścia, jakiego można zaznać jedynie na tej wysokości lub na pełnym morzu: ekstaza całkiem materialna.

Niewątpliwie przez delikatność Abel się nie przedstawił, ja zaś udałem, że nie wiem, kim jest.

Kiedyśmy się jednak żegnali, powiedział: — Jesteś przyjacielem Richiego, prawda? Może byś wpadł w przyszłym tygodniu do Saint-Jean-Cap-Ferrat? Wydaję skromne przyjęcie z okazji otwarcia Fundacji Emer-sonów w „Giocondzie" i chcę się pożegnać z wszystkimi, których lubię: wyjeżdżamy z Johanną, Ablem Juniorem i małą Lauren w podróż jachtem dookoła świata. Nie wiem, ile rejs potrwa: rok, dwa, może trzy. Może nigdy nie wrócimy... Przyjedź! Chciałbym cię widzieć wśród swoich przyjaciół...

Spotkałem go więc ponownie w Saint-Jean-Cap-Ferrat — było to przed kilkoma tygodniami, ale mam wrażenie, jakby od tego czasu upłynęła cała wieczność.

Abel i Faye, spadkobiercy imperium Eventsa, uczynili z dworu w Sag Harbor i z „Giocondy" zakłady dla nieszczęśliwych dzieci z całego świata. Sprzedali kilka dzieł sztuki z ogromnej kolekcji ojca, a najpiękniejsze podarowali muzeom. Mimo hojności obydwoje posiadają fortunę praktycznie niewyczerpaną. Abel jednak, przynajmniej chwilowo, zrezygnował ze sprawowania władzy i wbrew wszelkim oczekiwaniom stanowisko prezesa koncernu objęła Faye. Zgodnie przyznaje się jej wrodzone wyczucie dziennikarskie i zmysł organizacyjny, a raczej reorganizacyjny. W ciągu trzech lat sytuacja „Eventsa" zdecydowanie się poprawiła: tygodnik jakby nabrał oodechu, odmłodniał. I to do tego stopnia, że zabiera się za klientelę „Imagine", podkrada mu czytelników. Stało się to zresztą przedmiotem żartów Faye i Abla. Lecz Abel czuł się już z tych spraw wyłączony: na początku roku zrezygnował ze stanowiska prezesa i podarował pismo na własność pracownikom, wszystkim, poczynając od nowego dyrektora, Richiego Garrymore'a —

ponieważ Robert G. Kelly definitywnie wrócił do swoich lasów w Connecticut — a kończąc na gońcu. Należy jednak przypuszczać, że wolność ciąży większości ludzi: corftz częściej w środowiskach związanych z prasą mówi się o wykupieniu pisma przez „£ventsa", a nawet o fuzji ze sławnym starszym bratem. Abel umożliwił pracownikom „Imagine" bezprecedensową przygodę: wielki tygodnik będący własnością tych, którzy go robią. Ale nie stało im wyobraźni, woleli poczucie bezpieczeństwa, spokój rutyny.

Ten zawód niewątpliwie wywarł spory wpływ na decyzję, jaką Abel podjął z początkiem lata: wyjechać. W towarzystwie Johanny stać się na powrót tym człowiekiem wolnym i beztroskim, szczęśliwym, który spał przytulony do niej pod gołym niebem blisko piętnaście lat temu...

Jak piętnaście lat temu — tyle że Abel ma teraz dwoje pięknych dzieci, Abel ma trzydzieści sześć lat, Abel ma fortunę, Abel ma odwagę, jakiej nauczył go Jacąues, Abel ma mądrość nabytą od Mina—i być może kiedyś podzieli się jej arkanami — Abel ma doświadczenie w cierpieniu — o Bu Loc, Khuo Mai zdoła może kiedyś mówić inaczej niż samymi tylko powściągliwymi aluzjami wyrażanymi półgłosem, obiecał to przyjaciołom — i Abel ma siłę potężniejszą niż wszystko inne: pewność przeogromnej miłości, jaką darzy go Johanna, a on odwzajemnia.

„Jak przedtem, lepiej niż przedtem" — to w pewnym sensie dewiza ich obojga.

Jeżdżą po świecie na los szczęścia, wolni i beztroscy, szczęśliwi, lecz teraz łatwo i wygodnie niczym renesansowi książęta, a jeśli czasem sypiają pod gołym niebem, to na pokładzie długiego, eleganckiego jachtu „Min Tu", na którym pędzą życie podróżując, gdzie tylko sobie zamarzą —i wtedy ich oczy, zapatrzone w Mleczną Drogę, zamykają się z wolna, przemożnie...

Albo rozpalają ogień z polan w salonie na statku, bo noc jest chłodna, i Johanna pokazuje przy pianinie Ablowi Juniorowi, jak grać pierwsze akordy *Nuage gris* Liszta, a mała Lauren zaśmiewa się do rozpuku, turlając się po dywanie w objęciach ojca, który bawi się z nią jak młody kociak...

Albo też zbierają się w bibliotece na dziobie, gdzie co rano Abel udziela synowi i chętnym z załogi lekcji filozofii, języka, poezji, a młody kapitan robi wykład z matematyki, fizyki lub astronomii...

Albo też wszyscy, prócz małej Lauren, która śpi beztrosko, we mgle i słonych porywach wiatru stawiają grotżagiel, ponieważ nadciąga burza, fale mocniej uderzają o kadłub i nad morzem zaczyna sypać śnieg...

Albo też zawijają do małego portu rybackiego i tańczą na plaży ze wszystkimi mieszkańcami wioski, bo właśnie obchodzi się święto patrona — i Youngowie fundują sztuczne ognie, mięsiwa, słodycze, wina...

Albo też nic nie robią, tylko z zachwytem patrzą na wzlot mew we wschodzącym słońcu...

Piękna była ta noc otwarcia zakładu Fundacji Emer-sonów w „Oiocondzie".

Do Saint-Jean-Cap-Ferrat ze wszystkich stron świata ściągnęli przyjaciele Abla i Johanny. Tańczyliśmy, śpiewali, pili i jedli, szaleliśmy do samego świtu, a w naszej wesołości nie brakło również skrywanej słodkiej goryczy melancholii, bez której nie ma zabawy naprawdę udanej: niebawem nas opuszczą!

Wczesnym rankiem odprowadziliśmy ich do szalupy przycumowanej przy molu należącym do willi.

Pomyślałem wówczas o przepojonych nostalgią obrazach Lancreta, Watteau, Guardiego, Goi, o obrazach sprzed rewolucji, na których widać wyrafinowane społeczeństwo schyłku wieku, świat mający świadomość, że jest już skazany przez historię na pozostanie w porcie lub na obrzeżu lasu, gdy tymczasem paru wybranych odchodzi lub odpływa ku wolności kryjącej się za horyzontem; i na zawsze zachowam w pamięci widok ich odjazdu:

Pośrodku zatoki Villefranche żagle trójmasztowca, ciasno zwinięte, chyboczą się lekko w złotawym świetle wstającego dnia, jakby z niecierpliwością czekały chwili, gdy wezdmą się wreszcie i załopoczą na wietrze.

Po trapie weszli na pokład i z rufy przesyłają nam ostatnie pożegnalne gesty.

Johanna, drżąca w wieczorowej sukni, w długim szalu powiewającym na szyi, macha ręką.

Abel, nagi do pasa, wysoko podnosi w rękach małą Lauren, która właśnie się obudziła i uśmiecha się słodko.

Abel Junior, spożytkowując całą swą jedenastoletnią śmiałość, wspina się po wantach, donośnie pokrzykując.

Nieważne, gdzie są dzisiaj, w tej chwili, pod jakim równoleżnikiem, na której półkuli, nieważne, czy pływają w ciepłych przejrzystych wodach błękitnej laguny Mórz Południowych albo czy Abel wspina się z synem na skalno-lodowy szczyt nad skandynawskim fiordem, nieważne, czy Johanna gra na pianinie powolnego walca w zatoczce na Morzu Śródziemnym, do której zawinęli po zapadnięciu zmroku, albo czy mała Lauren stawia pierwsze kroki w cieniu palm kokosowych na różowym piasku antylskiej plaży — czy będą tu, czy gdziekolwiek indziej, na zawsze pozostaną w naszych sercach.

— Krótko mówiąc, Faye, przyszłaś mi powiedzieć, że mnie już nie potrzebujesz?

— No właśnie.

— Abel wrócił, prawda? Czytałam w gazetach, widziałam w telewizji: cóż to za potworna tragedia! Twój brat... Twoja matka... Chciałam zaraz do ciebie dzwonić, ale później, kiedy się dowiedziałam, że Abel Young żyje... kiedy się tym samym zorientowałam, że nie był tylko twoim wymysłem...

— Powtarzałaś do znudzenia, że on nie istnieje! Że powinnam o nim zapomnieć! A on po raz drugi przywrócił mi życie.

— I sądzisz, że teraz... pozbierasz się?

— Nie tylko sądzę: popatrz na mnie, Marion. Widziałaś mnie kiedyś taką szczęśliwą, taką swobodną?... Widziałaś mnie już taką?

— Wybacz, że o to zapytam: nie czujesz smutku? Twój brat, matka...

— Nie. Pewnie wydamci się potworem, ale dlaczego miałabym kłamać? Zwłaszcza tobie, która doskonale o wszystkim wiedziałaś.

— Myślisz więc, że tak prosto jest żyć, moja mała?

— Tak. I nie jestem już „twoją małą", Marion. Wiesz? Abel mi powiedział, że nie chce imperium, gdyby miał je odziedziczyć, a na pewno odziedziczy. Ale ja, ta wariatka Faye Emerson, czuję w sobie świeżą energię: mam ochotę poprowadzić dalej... a raczej rozpocząć od nowa dzieło

mojego ojca, o którym nawiasem mówiąc dowiedziałam się, że nie był moim ojcem. To dość dziwne, prawda?

— Mówisz o tym wszystkim, Faye, z ogromnym spokojem, z jakąś wielką pewnością siebie — i muszę przyznać, że mnie to trochę przeraża. Nie boisz się, że...? A twoje malarstwo?

— Będę dalej malować, nawet gdyby to były teraz bukiety. A co do reszty, to czego mam się obawiać?

— No, nie wiem... Sądzisz, że będziesz w stanie pokierować Eventsem, ty, taka wrażliwa, taka słaba, delikatna? Weź przynajmniej na początku kogoś do pomocy. Tego... no, tego twojego brata, tego Abla.

— Nie. Skoro Abel nie chce kierować Eventsem, to dlaczego miałabym mu tym zawracać głowę? Ma prawo żyć jak mu się podoba, większe niż ktokolwiek. Mówi, że chce wyjechać, podróżować... I wiem, że to zrobi, że znowu zniknie z mojego życia: jest taki spragniony wolności!

— Ależ, moje biedne dziecko, będziesz żyła w oczekiwaniu na jego powrót, tak jak dotąd żyłaś żalami i wspomnieniami!

— Nie, nie, Marion! A chcesz wiedzieć dlaczego? Bo Abel nauczył mnie być sobą. A poza tym jeżeli kiedyś rzeczywiście odejdzie, to wiem teraz, że wróci... Zawsze będzie wracał.

Rozpoczęte w schronisku Monzino — Masyw Mont Blanc — 19.07.1978. Skończone w Paryżu 9.04.1979.

„Zamiast szczęśliwego
dzieciństwa mieliśmy
Wietnam."

MICHAEL HERR, *Dispatckes*

SPIS TREŚCI

Prolog 7
Część pierwsza
GODZINA KOTA 13
Część druga
GODZINA WILCZYCY 53
Część trzecia
GODZINA SZCZURA 109
Część czwarta
GODZINA SOWY 160
Część piąta
GODZINA MAŁPY 212
Część szósta
GODZINA PAJĄKA 285
Część siódma
GODZINA TYGRYSA 362
Epilog 500